PATRYK PLESKOT

PORTRET MORDERCY

ARTYSTA, KTÓRY ZABIŁ PREZYDENTA

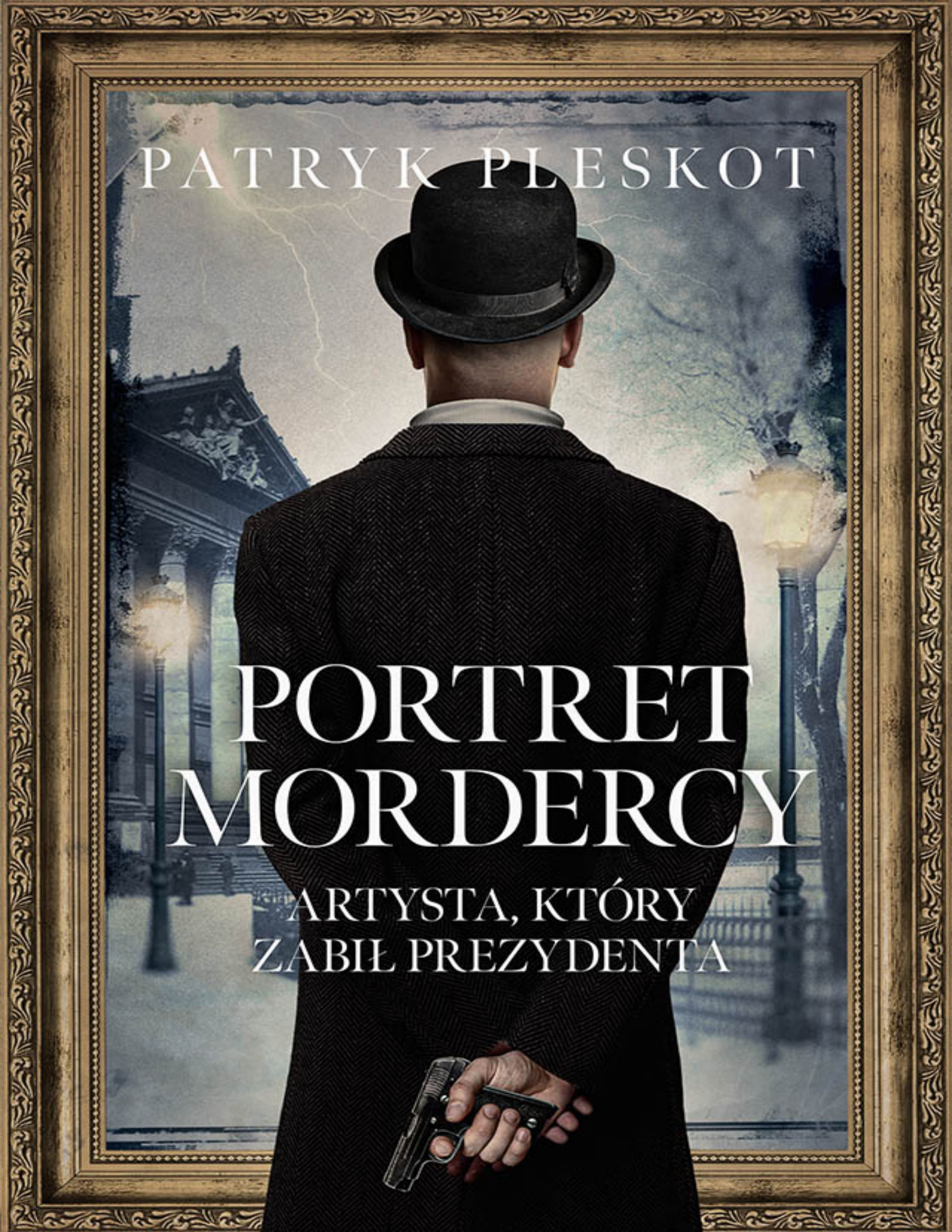

PATRYK PLESKOT

PORTRET MORDERCY

ARTYSTA, KTÓRY ZABIŁ PREZYDENTA

Znak Horyzont
Kraków 2022

Wstęp

„Stoję przy grobie rycerza. Prawdziwego rycerza [...], który dokonał ataku jak żołnierz broniący ojczyzny na wroga ojczyzny. I zabił go”. To słowa opublikowane niedawno na jednym z portali internetowych, wypowiedziane z aktorską emfazą, przy wtórze smętnej melodii, przez znanego politycznego performera Wojciecha Olszańskiego. Ten sam Olszański wystąpił z inicjatywą nazwania warszawskiego skweru w północnym Śródmieściu imieniem Eligiusza Niewiadomskiego.

– To tylko patostreaming – mógłby ktoś skomentować. A jednak w końcu 2021 roku prestiżowy, stołeczny dom aukcyjny sprzedał obraz mordercy Narutowicza – *Portret pani Niewiadomskiej* – za 60 tysięcy złotych. „Oferowany portret żony przywraca ponownie postać tego niezwykłego malarza, stanowiąc świadectwo talentu i wrażliwości” – zachwalono w opisie dzieła. Jak widać, skutecznie. Nie sposób uznać tego za zdarzenie marginalne.

Sporo wcześniej, bo w czerwcu 2011 roku, ówczesny minister spraw zagranicznych III Rzeczypospolitej Radosław Sikorski, przemawiając do posłów na sali sejmowej, zwrócił uwagę na anonimowy wpis pewnego internauty, który na forum dziennika „Rzeczpospolita” umieścił pogróżkę wobec ministra oraz premiera Donalda Tuska: „mam nadzieję, że znajdzie

się Niewiadomski, który odstrzeli ciebie i twojego guru Tuska”. „Wydaje mi się – komentował Sikorski – że jeśli mamy poradzić sobie z taką morderczą mową nienawiści, to i wy – media – musicie pomóc. To gazeta ma adres IP osoby, która tego wpisu dokonała, i myślę, że na gazecie ciąży obowiązek złożenia doniesienia o podżeganiu do zamachu”.

Trudno o lepszy przejaw tego, jak aktualna jest postać Eligiusza Niewiadomskiego.

*

Kim był Niewiadomski? Zdolnym artystą malarzem, wszechstronnym uczonym, zaangażowanym wychowawcą, nowoczesnym popularyzatorem nauki, radykalnym działaczem politycznym? Zimnym mordercą? Najciekawsze jest to, że był każdą z tych postaci.

Książka ta stanowi nie tyle biografię, ile próbę doszukania się odpowiedzi na palące pytanie: DLACZEGO? Dlaczego Eligiusz Niewiadomski, w bezprecedensowym dla polskiej tradycji kroku, z zimną krwią zabił pierwszego prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza i nie odczuł po tym czynie żadnej skruchy – choć jak sam przyznał, jego głównym wrogiem politycznym i celem zamachu był... Józef Piłsudski?

Starałem się, by książka nie ciążyła zbytnio ku ofierze – prezydentowi Narutowiczowi, dość dobrze przedstawionemu już w literaturze historycznej i popularnej. Franciszek Bernaś (*Ofiary fanatyzmu*, Warszawa 1987), Danuta Pacyńska (*Śmierć prezydenta*, Warszawa 1965) i Marek Ruszczyc (*Strzały w Zachęcie*, Katowice 1987), wychodząc od faktu zabójstwa, skupili się tylko na odtworzeniu (w mało zresztą obiektywny, panegiryczny sposób) biografii zmarłego prezydenta, bardzo mało uwagi poświęcając sprawcy. Mnie osobiście najbardziej interesuje właśnie on.

W dodatku książki te powstały w rzeczywistości Polski Ludowej, kiedy cenzura nie pozwalała na pełne opracowanie wszystkich kluczowych wątków. Do nielicznych późniejszych publikacji, gdzie nieco więcej miejsca poświęcono mordercy, zalicza się tekst Macieja J. Nowaka pt. *Narutowicz–Niewiadomski. Biografie równoległe* (Warszawa 2019).

W 2012 roku wydałem książkę *Niewiadomski. Zabić prezydenta*. Obecnie proponuję nową, zmodyfikowaną i przepracowaną wersję tej historii, uzupełnioną o świeże ustalenia i przemyślenia. Chciałbym przede wszystkim podziękować krewnemu Eligiusza, panu Andrzejowi Prus Niewiadomskiemu, który wzbogacił moją wiedzę o wiele cennych informacji rodzinnych.

Przygotowując tę wersję, wciąż starałem się pilnować, by nie była ona aktem oskarżenia czy też przejawem pisarstwa „z tezą”. Zależało mi przede wszystkim na ZROZUMIENIU Niewiadomskiego. Snując rozmaite przypuszczenia dotyczące jego motywacji i inspiracji, próbowałem uciekać z jednej strony od łatwego oceniania, a z drugiej – od podawania prostych, acz nieoddających prawdy wyjaśnień i taniego psychologizowania. Nie oznacza to bynajmniej, że powstrzymywałem się od wyrażania swych opinii czy komentarzy – są one jednak starannie oddzielone od warstwy faktograficznej.

Założyłem, że Czytelnik sięgający po publikację tego typu ma elementarną wiedzę na temat opisywanej epoki. Postanowiłem nie wyjaśniać szczegółowo każdego wydarzenia, zjawiska czy znaczenia postaci przewijających się w życiu Niewiadomskiego. Aby nie rozbijać spójności narracji ciągłymi dygresjami, ograniczyłem się do skrótowych wyjaśnień, choć w podstawowym zakresie przybliżających mniej znane fakty. Czytelnik zainteresowany pogłębieniem swej wiedzy może sięgnąć do zamieszczonych na końcu propozycji bibliograficznych. Uznałem

jednak, że niezbędne dla jasności przekazu będzie skrótowe przedstawienie polskiej perspektywy I wojny światowej, a także krótka charakterystyka polskiej sceny politycznej w latach 1918–1922 i dramatycznych walk o granice Rzeczypospolitej. Czas ten był kluczowy dla formacji Niewiadomskiego i to do niego odnosi się większość jego wypowiedzi.

W książce tej wykorzystałem dwa typy narracji: w części pierwszej, a także trzeciej przeważa forma beletrystyczna, przedstawiająca kluczowe wydarzenia z życia (i śmierci) Niewiadomskiego w udramatyzowanej formie. Nieocenione okazały się pamiętniki osób odgrywających zasadniczą rolę w dramatycznych wydarzeniach grudnia 1922 roku. Dzięki nim można próbować oddać atmosferę chwili i dojrzeć „ludzki" wymiar historii.

W tych częściach ściśle opierałem się też na źródłach z epoki – przede wszystkim stenogramie procesu bohatera mojej książki, artykułach prasowych, wspomnieniach i materiałach filmowych.

Dlatego też – mimo formy – „beletrystyczne" akapity możliwie wiernie oddają rzeczywistość historyczną, do minimum ograniczając wymiar wymyślonego świata przedstawionego. Może to czasem mieć niekorzystny wpływ na atrakcyjność narracji. Nie piszę jednak powieści historycznej, tylko pracę popularnonaukową, więc dążenie do odtwarzania rzeczywistości musi przeważyć nad fajerwerkami narracyjnymi. Starałem się przy tym prostować nieprawdziwie informacje, powtarzane zwłaszcza we współczesnych artykułach prasowych, a także starszych opracowaniach, które nie znajdują potwierdzenia w źródłach.

Część druga – najobszerniejsza – to już „typowa" forma pracy popularnonaukowej, wzbogacona jednak elementami narracyjnymi. Całą książkę starałem się mimo wszystko napisać tak, by nie nużyła ona

Czytelnika zbyt sztywnym i pseudonaukowym językiem, a jednocześnie spełniała wszystkie wymogi rzetelności badawczej i warsztatu historyka.

Prolog

16 grudnia 1922 r. w sali Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych po daniu trzech strzałów do Prezydenta Narutowicza cofnąłem się o jeden czy dwa kroki i odwróciłem tyłem.

Tak stałem bez ruchu. Czekałem, aż ktoś się zbliży. Nie zbliżał się nikt – nikt nie rozumiał, co się stało i że to ja byłem sprawcą strzałów.

Wtedy – stojąc w tym samym miejscu – podniosłem rękę z rewolwerem do góry do poziomu głowy. Po jakimś czasie zobaczyłem za sobą z prawej strony pana Edwarda Okunia. Pan Okuń podchodził do mnie w sposób niezwykły: wyginał się, pochylał, cofał, wyciągał rękę, cofał rękę, jak gdyby walczył z niezwykle groźnym niebezpieczeństwem. Zwróciłem się do niego wtedy ze słowami: „nie bójcie się, nie będę do Was strzelał”. Okuń – o ile pamiętam – ręki mojej nie dotknął.

Kiedy usłyszałem, że zbliża się do mnie fala ludzka, obróciłem się. Obok mnie stał jakiś oficer – oddałem mu broń. Powiedziałem przy tym: „proszę wezwać policję”. Usłyszałem jakby odpowiedź: „to już zrobiono”. Kto to powiedział, nie wiem.

Stałem w dalszym ciągu tyłem do leżącego pana Narutowicza. Po upływie może pół minuty posłyszałem za sobą: „trzymajcie go!”. Wówczas ktoś z tyłu do mnie podszedł i ujął za ręce w łokciach. Trzymał lekko. Po chwili powiedziałem mu: „może pan nie trzymać, nie ucieknę”.

Odpowiedział: „ja wiem – no i moje tu głupie położenie...”. Wkrótce potem ktoś podsunął mi fotel wyplatany. Usiadłem na nim. Czy za mną kto stał, nie wiem. Siedziałem bez ruchu, dopóki nie zjawiła się policja.

Fragment wypowiedzi Eligiusza Niewiadomskiego w czasie procesu z 30 grudnia 1922 roku, (Stanisław Kijeński, Proces Eligiusza Niewiadomskiego o zamach na życie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabriela Narutowicza, *Warszawa 1923).*

CZĘŚĆ I
ZBRODNIA

Preludium

Warszawa, mieszkanie Eligiusza Niewiadomskiego, ulica Szopena
poniedziałek 4 XII 1922, wieczór

Eligiusz Niewiadomski spojrzał na leżący przed nim dziesięciostrzałowy hiszpański rewolwer typu browning, kaliber 7,65 milimetra, nr 78950 – pamiątkę z wojny polsko-bolszewickiej. Szybkim ruchem chwycił broń i wymierzył w lustro. Wypolerowana, srebrna lufa błysnęła odbiciem. Niewiadomski w ostatnich dniach powtarzał ten gest dziesiątki razy. Był pewien, że Józef Piłsudski nie ma szans na przeżycie.

Parę dni wcześniej dowiedział się od znajomego, że w środę 6 grudnia Naczelnik Państwa przybędzie na otwarcie wystawy „Warszawa za Stanisława Augusta” do kamienicy Baryczków na Rynku Starego Miasta. Tam właśnie Eligiusz chciał go zastrzelić, pozbywając się tym samym – jak mniemał – przyszłego prezydenta Rzeczypospolitej.

Niewiadomski odłożył browninga, spojrzał krytycznie na broń. Mimo to wiedział, że nie spudłuje. Piłsudski zginie.

Warszawa, ulica przed kamienicą Eligiusza Niewiadomskiego
wtorek 5 XII 1922, poranek

– To niemożliwe!!! – wycedził Eligiusz, z zimną wściekłością wpatrując się w pierwszą stronę gazety, którą właśnie kupił. Chłopiec sprzedający prasę spojrzał na niego ze zdziwieniem. Niewiadomski nie mógł uwierzyć w to,

co przeczytał. „Piłsudski odmówił!!!” – kołatało mu w rozgorączkowanej głowie. „Nie będzie kandydował! Nie będzie prezydentem!!!”. Niedoszły morderca marszałka był bliski furii. Wściekłość mieszała się z niedowierzaniem, frustracją, zawodem i bezradnością.

Wrócił szybko do mieszkania i zamknął się w gabinecie.

Warszawa, mieszkanie Zofii Kordisówny
sobota 9 XII 1922, godz. 22.15

Gabriel Narutowicz stanął w drzwiach pokoju Zofii Kordisówny, swojej siostrzenicy. Wyglądał na bardzo zmęczonego. I bardzo poważnego. Zofia czekała z niecierpliwością na wieści z Sejmu, gdzie kończyły się właśnie burzliwe i pełne napięcia głosowania nad kandydaturami na urząd prezydencki.

– Wujku! – zawołała, zwracając się ku przybyszowi. – Czy wybrano hrabiego Zamoyskiego?

Spodziewała się, że to faworyt prawicy i środowisk narodowych Maurycy Zamoyski (jeden z najbogatszych ludzi w Polsce) zostanie pierwszym prezydentem odrodzonej Rzeczypospolitej.

– Nie. Mnie! – odparł Narutowicz. W jego głosie nie było słychać radości, tylko zaskoczenie i niedowierzanie.

– Wujku, czy odmówisz?

– To już niemożliwe, droga Zosiu. Po ulicach chodzą ludzie i wykrzykują jakieś pogróżki. Nie mogę komplikować i tak trudnej sytuacji. Muszę to przyjąć. – Popatrzył ze znużeniem na siostrzenicę. – Czas już na mnie. Muszę jechać do Łazienek.

Zofia uważnie popatrzyła na Narutowicza. Wyglądał na zmęczonego i jakby zrezygnowanego. Jej zdaniem do tej pory nie otrząsnął się całkiem

po śmierci żony Ewy, zmarłej w lutym 1920 roku. Teraz doszedł nowy problem. Chciała wypowiedzieć jakieś budujące słowa, ale sama nie wiedziała, czy gratulować Gabrielowi, czy mu współczuć.

– Zapraszam, chodźcie ze mną – prezydent zwrócił się tymczasem do Zofii i jej matki. – Auto czeka!

Podekscytowane kobiety podążyły za Narutowiczem.

Warszawa, Aleje Ujazdowskie
sobota 9 XII 1922, godz. 22.30

Niewiadomski stał w wielotysięcznym tłumie pod balkonem mieszkania generała Józefa Hallera przy Alejach Ujazdowskich nr 33. Nie wiadomo, kto rzucił hasło, by przyjść akurat tutaj. Wśród zgromadzonych dominowali młodzi ludzie, studenci, bojówkarze organizacji endeckich. Zanim tu dotarli, przeszli Nowym Światem spod Sejmu, gdzie obrzucili kamieniami samochód na rejestracjach MSZ. Teraz protestowali przeciw szokującej nominacji pięćdziesięciosiedmioletniego uczonego Gabriela Narutowicza na pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, do której doszło trzy godziny wcześniej w sejmie.

Narutowicz – człowiek sukcesu, poważany naukowiec i inżynier – porzucił wygodne życie w spokojnej Szwajcarii i we wrześniu 1919 roku przyjechał do ojczyzny, której nie widział ponad trzydzieści lat. Wrócił do kraju całkowicie dobrowolnie, z patriotycznego obowiązku. Wiedział, że młode państwo na gwałt potrzebuje wykształconych fachowców. Wiedział, że kraj dopiero walczy o swoje granice praktycznie ze wszystkimi dookoła, nawet nie jest pewne, czy przetrwa. Jechał w nieznane.

W czerwcu 1920 roku – w cieniu sowieckiej ofensywy, zbliżającej się nieuchronnie do Warszawy – objął funkcję ministra robót. Gdyby nie

sierpniowy „cud nad Wisłą”, zapewne trafiłby wraz z całym rządem do sowieckiej niewoli. W lipcu 1922 roku awansował i został ministrem spraw zagranicznych.

– Żydowski elekt! Precz z Narutowiczem! Mason! Ateista! Żydowski pachołek! – raz po raz ktoś przekrzykiwał szum rozgorączkowanych głosów pod balkonem generała Hallera.

Wybór Narutowicza był szokiem. W wyborach liczyli się popierany przez lewicę Stanisław Wojciechowski i związany z prawicą Maurycy Zamoyski. Posłowie narodowi tak manipulowali głosami, by wyeliminować Wojciechowskiego. Kiedy w ostatecznym głosowaniu pozostali tylko Zamoyski i nieliczący się Narutowicz, wydawało się, że zwycięstwo jest blisko. Tymczasem profesora ze Szwajcarii poparli niespodziewanie socjaliści z PPS, partie chłopskie i mniejszości narodowe. Ostatecznie triumfował najmniej oczekiwany kandydat. Prawica wpadła w furię.

Eligiusz nie lubił tłumów, ale tym razem wsiąkł w atmosferę ulicy. Przygnębiony po decyzji Piłsudskiego, odzyskał wigor. Dzisiaj, po burzliwym, wieloturowym głosowaniu w Sejmie, znalazł sobie nową ofiarę.

Tłum zafalował. Rozległy się oklaski i wiwaty. Na balkonie pojawił się Józef Haller, idol młodzieży narodowej, legendarny dowódca Błękitnej Armii, która przybyła z Francji do Polski po odzyskaniu niepodległości i walnie przyczyniła się do jej obrony. Generał od razu gwałtownie potępił wybór Narutowicza i w emocjonalnych słowach solidaryzował się z niezadowoleniem części mieszkańców Warszawy. Teraz przywitał ludzi w generalskim mundurze, najwyraźniej spodziewając się przybycia zwolenników.

– Rodacy i towarzysze broni! – rozpoczął donośnym, nawykłym do wygłaszania mów głosem, opierając się o elegancką balustradę. Niewiadomski skupił się na słowach generała. – Wy, a nie kto inny, piersią

swoją osłanialiście, jakby twardym murem, granice Rzeczypospolitej, rogatki Warszawy. W swoich czynach chcieliście jednej rzeczy: Polski. Polski wielkiej, niepodległej. W dniu dzisiejszym Polskę, o którą walczyliście, sponiewierano. Odruch wasz jest wskaźnikiem, iż oburzenie narodu, którego jesteście rzecznikiem, rośnie i przybiera jak fala.

Tłum, podniecony poparciem Hallera, stawał się coraz głośniejszy. Niektóre okna w sąsiednich kamienicach, dotychczas otwarte, zostały ostrożnie zamknięte.

– Tak, tak, racja! racja! – generał przytakiwał wiwatującym ludziom. Wśród zgiełku dało się odróżnić kolejne inwektywy pod adresem prezydenta elekta.

Po chwili ktoś rzucił hasło, by pójść nieco dalej, pod budynek, w którym mieściła się siedziba sprzyjającej endekom „Gazety Warszawskiej". Niewiadomski, wyjątkowo spokojny na tle krzyczących i wygrażających ludzi, dał się ponieść razem z innymi.

– Zaślepienie lewicy i ludowców sprawiło – do tłumu przemówił narodowy poseł Antoni Sadzewicz – że najwyższym przedstawicielem Polski ma być człowiek, który jeszcze dwa dni temu był obywatelem szwajcarskim i któremu na gwałt, może już po wyborach na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, sfabrykowano obywatelstwo polskie. W roku 1912 Żydzi narzucili Warszawie niejakiego Jagiełłę jako posła do Dumy rosyjskiej – krzyczał Sadzewicz. – Dziś posunęli się dalej: narzucili pana Narutowicza na prezydenta!

Tłum zawył z wściekłości. „Tego nie wiedziałem!" – pomyślał Niewiadomski. Zacisnął pięści w kieszeniach swego palta. Nie wiedział, że Sadzewicz oszukał zgromadzonych: Narutowicz, od dwóch przecież lat pełniący funkcje ministerialne w Polsce, posiadał oczywiście polskie

obywatelstwo. Można przypuszczać, że wiedza ta i tak nie powstrzymałaby Eligiusza przed wykonaniem planu, który rodził się właśnie w jego głowie.

– Hańba! Hańba! – krzyczeli ludzie.

Demonstranci, podzieleni na liczne grupki, ruszyli ponownie w stronę Nowego Światu. Tymczasem Eligiusz nagle przypomniał sobie, że za parę dni, 16 grudnia, popularna galeria sztuki zwana potocznie Zachętą organizowała otwarcie nowej wystawy. Jako członek rzeczywisty Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych Niewiadomski miał prawo wolnego wstępu na każdą uroczystość, również na otwarcie tzw. salonu.

Wiedział, że zgodnie z tradycją na imprezy tego typu zapraszano naczelnika Piłsudskiego. „Czy teraz zaproszą prezydenta?” – pomyślał z nadzieją, mimowolnie rozluźniając rękę jak podczas ćwiczeń z bronią przed lustrem.

Warszawa, Nowy Świat, ulica Żurawia
sobota 9 XII 1922, 22.30

Zofia Kordisówna, z tylnego siedzenia solidnego automobilu należącego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, widziała przez okno coraz liczniejsze grupy rozgorączkowanych ludzi. Tłum gęstniał, zajmował nie tylko chodniki, lecz także ulice. Przed siedzibą endeckiej organizacji „Rozwój” przy ulicy Żurawiej samochód niemalże stanął.

– Patrzcie! – ktoś nagle krzyknął. – Auto na rejestracji MSZ! Może to Narutowicz?!

Tłum naparł na sunący powoli pojazd. Zofia była przerażona. Narutowicz z troską spoglądał na towarzyszące mu kobiety.

Zofia krzyknęła, gdy ktoś uderzył kijem w szybę. Po chwili las kijów obijał auto niczym grad. Dziewczyna skuliła się i zasłoniła twarz dłońmi.

Ale solidne okna wytrzymały.

– Jedźże! – rzucił zdenerwowany Narutowicz do szofera.

Kierowca, choć trzęsły mu się ręce, zawył silnikiem i ruszył do przodu.

Tłum niechętnie się rozstąpił.

Warszawa, ulica Wiejska
niedziela 10 XII 1922, wieczór

Marszałek Sejmu Maciej Rataj szedł ulicą Wiejską, w pobliżu gmachu Sejmu. Spacerując w ostatnich dniach ulicami Warszawy, napatrzył się już na włóczące się po mieście bez wyraźnego celu bandy zaczepiające Żydów. Był pod wrażeniem antyprezydenckiej agitacji. Tego dnia tłumy znowu słuchały generała Hallera. Przemawiał też znany ze swych narodowych przekonań ksiądz Kazimierz Lutosławski, a także wpływowy poseł Stanisław Grabski. Rozgorączkowany tłum wznosił okrzyki ku czci Benito Mussoliniego pod siedzibą poselstwa Królestwa Włoch, po chwili urządził zaś „kocią muzykę" pod Hotelem Europejskim, gdzie – jak się irracjonalnie spodziewano – mógł przebywać Narutowicz. Wrzaski przeplatały się z namiętnymi przemówieniami.

Rataj przyspieszył kroku. Nagle dostrzegł jakiegoś mężczyznę w drogim futrze, który przekonywał do czegoś stojącego obok starszawego stróża, gwałtownie gestykulując. Rataj zbliżył się.

– ...wybrali prezydentem złodzieja – dobiegły go słowa mężczyzny w futrze – żydowskiego pachołka, Narutowicza!...

„Pewnie zaraz i stróż pójdzie protestować" – mruknął do siebie Rataj i szybko się oddalił.

Warszawa, dom Narutowicza w Łazienkach

niedziela 10 XII 1922, noc

Narutowicz w noc poprzedzającą zaprzysiężenie nawet nie zmrużył oka. Telefon co chwila rozbrzmiewał natrętnym brzęczeniem. Po drugiej stronie słuchawki przeważnie nikt się nie odzywał. Prezydent elekt był wyczerpany nerwowo. Chwilami, nie panując nad sobą, wybuchał gniewem.

Przed paroma godzinami odwiedził go marszałek Rataj, blady i roztrzęsiony. Donosił o zamieszkach i chaosie, jakie ogarnęły Warszawę. Był zdeterminowany, żeby jak najszybciej doprowadzić do zaprzysiężenia. Narutowicz posępnie zgodził się z Ratajem.

– W tej sytuacji nie mogę zrzec się urzędu – potwierdzał smutno.

Przypomniał też sobie niedawną propozycję Aleksandry Piłsudskiej, drugiej żony marszałka, aby w te trudne dni przeniósł się do Belwederu. Odmówił grzecznie, ale stanowczo. „Ucieczka do Belwederu zostałaby odebrana jako akt tchórzostwa” – myślał.

Teraz, w otoczeniu najbliższych, nerwowo przechadzał się po salonie. Dzieci spały niespokojnie. Co chwila przysiadał i brał w ręce ostatnie numery endeckich gazet.

– Po co te brudy, po co te brudy?! – mruczał do siebie.

Dla zabicia czasu relacjonował najbliższym zajścia z wczorajszego wieczoru.

– Lepiej, że ja oberwałem – z gorzkim uśmiechem opisywał przejazd autem Nowym Światem i Żurawią – niż gdyby policja skrzywdziła kogoś z tych małych chłopców biorących udział w tej łobuzerce ulicznej. Przecież oni są niewinni. Bezmyślność tej burdy ulicznej bije w oczy każdego. – Jego głos zaczął zdradzać zdenerwowanie. – Sytuacja jest dla mnie bardzo przykra, gdyż nie chodzi o moją osobę, nie mogę jednak dopuścić do poniżenia godności Rzeczypospolitej.

– Trzeba wzmocnić straże wokół Łazienek! – odparł ktoś z obecnych.

W odpowiedzi Narutowicz wskazał na leżący na stoliku rewolwer i stwierdził z cichą determinacją: – Gdyby się tu wdarli, będę strzelał. Ale tylko wtedy, jeśli zechcą coś zrobić memu chłopcu. A do Sejmu pojadę – podniósł głos. – Przecież nie wolno mi się cofnąć.

W salonie zapadło milczenie.

Warszawa, skrzyżowanie Alej Ujazdowskich z aleją Róż
poniedziałek 11 XII 1922, godz. 12.00

Odkryty powóz stanął przed wysoką barykadą z ławek i skrzyń na śmieci, wzniesioną przez podniecony tłum, agitowany głównie przez narodowe bojówki stowarzyszenia „Rozwój”. W tym samym czasie inne grupy zablokowały wszystkie wejścia prowadzące do budynku Sejmu.

Konie w zaprzęgu nerwowo parskały. Szwadron szwoleżerów eskortujący powóz z trudem powstrzymywał wystraszone hałasem zwierzęta. Jadący w powozie Gabriel Narutowicz powoli wstał z napiętą, ale niewzruszoną miną. Towarzyszący mu hrabia Stefan Przeździecki, szef protokołu dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, spoglądał z przestrachem raz na stojącego nieruchomo prezydenta elekta, raz na wykrzywione twarze ludzi. Jechali właśnie z Belwederu do Sejmu, gdzie Narutowicz miał zostać zaprzysiężony na pierwszego prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej. Prezydenta, którego wrzeszczący tłum zdążył już znienawidzić. Pierwotnie zamiast Przeździeckiego miał jechać premier Julian Nowak, ale na godzinę przed wyjazdem, przerażony agitacją na ulicach, zmienił zdanie. Na gwałt ściągnięto Przeździeckiego, który musiał w Belwederze przebrać się w pożyczone uroczyste ubranie.

Agitowani przez niektórych posłów ludzie stali tutaj już od ponad godziny, blokując każdy przejeżdżający samochód. Zatrzymano nawet dyplomatyczne auta przedstawicieli Francji i Wielkiej Brytanii udających się na zaprzysiężenie. Entuzjastycznie przywitano za to posła Francesca Tommasiniego, przedstawiciela faszystowskich Włoch. Gorszy los spotkał socjalistów Ignacego Daszyńskiego i Rajmunda Jaworowskiego, których wywleczono z auta i zamknięto w bramie domu nr 10 przy placu Trzech Krzyży. Dwóch innych posłów PPS dotkliwie pobito. Kłopoty miał też Przeździecki, który wcześniej przyjeżdżał tędy, by odebrać Narutowicza z Łazienek. Przepuszczono go niechętnie dopiero wtedy, gdy zagroził użyciem pistoletu. „Żydowski hrabia!” – krzyczano za nim, gdy odjeżdżał.

W tłumie przypadkowo znalazła się żona Józefa Piłsudskiego Aleksandra. „W ścisku nie mogłam się prawie ruszyć” – opowiadała później mężowi. „Z jednej strony parła na mnie stara, przygłucha chłopka, która bez przerwy pytała, o co chodzi, z drugiej – gruba, wielka służąca. Ta ostatnia z czerwoną twarzą podrygiwała całym ciałem, wymachując pięściami i krzycząc: »Precz z Narutowiczem! Precz z Żydem! Żydzi nie będą nami rządzili!«. Gdy jej zabrakło oddechu, powiedziałam, że znam dobrze rodzinę Narutowiczów; nikt z nich nie pochodzi z Żydów. Ale to był groch o ścianę. Za chwilę znowu zaczęła wrzeszczeć: »Żydzi nie będą nami rządzili!«. Skończyło się na tym, że wszyscy koło mnie krzyczeli i przeklinali w podobny sposób. Nie miałam wątpliwości: wśród tłumów znajdowali się agitatorzy”.

– Rozebrać barykadę! – wrzasnął teraz dowódca szwoleżerów do biernie przyglądających się całej scenie funkcjonariuszy policji, starając się przekrzyczeć uliczny hałas. Policjanci niechętnie rozpoczęli rozbiórkę wśród przeraźliwych gwizdów.

Podniecony tłum otoczył odkryty powóz prezydencki. Nagle w bok pojazdu uderzyła kula śniegu, przelatując nad niezbyt szczelnym kordonem szwoleżerów. Po chwili druga trafiła bliżej; okruchy śniegu posypały się po wnętrzu powozu. Hrabia Przeździecki drgnął i odruchowo skulił się na swym siedzeniu. Narutowicz stał nieruchomo. Mimowolnie zastanawiał się, czy nie byłoby jednak lepiej, gdyby zgodził się na silniejszą eskortę i pomoc policji. Tuż przed wyjazdem nerwowo zareagował na taką propozycję. „Nie jestem carem Mikołajem, abym jeździł z całą armią! – warknął. – Legalnie obrany prezydent nie będzie się krył za policją. Przecież mnie nie zabiją!”.

Czy na pewno? Lekko zadrżał, gdy usłyszał świst kamienia i głuchy odgłos uderzenia o blachę powozu. Między szprychy kół wpadł jakiś kij. Stojący najbliżej koń niespokojnie uderzył kopytami o ziemię, powstrzymywany z trudem przez woźnicę. Wtem Narutowicz poczuł lodowate zimno śniegu na policzku. Z tłumy dobiegły go radosne okrzyki. Spokojnie otarł topniejące resztki z twarzy, przelotnie dotykając zaczerwienionego miejsca uderzenia. Po chwili przyjął kolejne uderzenie od jakiejś kobiety. Tym razem w czoło. Rana była bolesna, na czole pojawił się duży guz. Po chwili nadlatujący kij strącił mu z głowy cylinder. Część ludzi stojących w tłumie roześmiała się. Narutowicz starał się nie odchylać odsłoniętej głowy, choć palce jego dłoni coraz mocniej zaciskały się na poręczy wozu.

– Hańba! Bandyci! – wołał hrabia Przeździecki.

Patrząc na tłum, Narutowicz przypomniał sobie niedawną wypowiedź ministra spraw wewnętrznych Antoniego Kamieńskiego: „A niech ulica sobie pohula!” – stwierdził beztrosko szef MSW, kwitując tymi słowami narastające od 9 grudnia niepokoje społeczne. I rzeczywiście, policja pozwalała w tych dniach na wyjątkowo dużo.

Tymczasem paru jej funkcjonariuszy z ociąganiem kończyło rozbieranie barykady.

Nagle z tłumu wybiegł jakiś człowiek, przebił się przez niespokojnie rozglądających się wkoło szwoleżerów i wspiął na powóz. Przed oczami Narutowicza mignęła laska. Obserwujący scenę Przeździecki z przerażeniem zobaczył solidną, żelazną gałkę umocowaną na końcu laski. Agresor wziął zamach. „Człowieku – pomyślał Narutowicz – czy mnie tak spokojnie zabijesz?!” Spojrzał mu w oczy. Atakujący spuścił wzrok, a po chwili opuścił laskę. Szwoleżerom udało się wreszcie odsunąć go od prezydenta.

W tym momencie policjanci usunęli barykadę. Mokry Narutowicz, wciąż stojąc prosto w odkrytym powozie, ruszył dalej wśród wyzwisk i gróźb rzucanych przez kilkusetosobowy tłum. Nie zwrócił uwagi na to, że wciąż kurczowo ściska poręcz powozu.

Dopiero po paru godzinach dowiedział się, że barykada przy alei Róż była tylko początkiem gwałtownych rozruchów, które rozprzestrzeniły się na całe miasto. Nieudolny szef MSW Antoni Kamieński (marszałek Maciej Rataj nazwał go „głupkowato nieporadnym”), który swą bierną postawą dopuścił do wzrostu napięcia, został zdymisjonowany. Zastąpił go energiczny Ludwik Darowski, który odegra ważną rolę w kolejnych dniach. W planach Narutowicza miał zostać przyszłym premierem, ale tylko na okres przejściowy.

Tymczasem stolicę opanowały narodowe i socjalistyczne bojówki, wciągając w wir bezsensownej walki niewinnych świadków. Okolice Śródmieścia stały się terenem regularnych walk ulicznych. Wydarzenie było bezprecedensowe. Kilkadziesiąt osób zostało rannych (po obu stronach), w tym dziewięć ciężko. Wściekły tłum poturbował dyplomatów japońskich, którzy nie okazali się dość „polscy”. Pobito co najmniej dwóch

senatorów żydowskich: rabina Lejba Kowalskiego i Mojżesza Deutschera. Darowski zbyt późno przejął władzę, by jego odezwa, sporządzona naprędce jeszcze tego samego dnia, wzywająca do spokoju i grożąca użyciem „najostrzejszych” środków w celu tłumienia dalszych wybryków, mogła odnieść natychmiastowy skutek.

W walce, jaka rozgorzała między bojówkami endeckimi i PPS-owskimi w pobliżu bramy, gdzie uwięziono Jaworowskiego i Daszyńskiego, zginęła od strzału jedna osoba – robotnik Jan Kałuszewski, rzeźnik z Woli, dzierżący sztandar. To była pierwsza ofiara grudniowej gorączki.

Drugą był prezydent.

Warszawa, dom Narutowicza w Łazienkach
poniedziałek 11 XII 1922, wieczór

Józef Piłsudski, który przybył do prezydenta z postanowieniem ustalenia harmonogramu przekazywania władzy, skończył właśnie w ostrych i pełnych krytyki słowach opowiadać o wydarzeniach na mieście. Narutowicz siedział w fotelu. Był w widoczny sposób poruszony i zdenerwowany. Może nawet zrozpaczony. Marszałek, lepiej panując nad emocjami, uważnie patrzył na prezydenta, który parę godzin wcześniej złożył ślubowanie.

Narutowicz, zamiast odpowiedzieć na sprawozdanie Naczelnika Państwa, pokazał marszałkowi stertę anonimów i paszkwili.

– Co to ma być?! – rzucił, a w jego głosie wściekłość walczyła z rezygnacją.

– Wiem – przyznał Piłsudski. – Paszkwile, że żydowski pachołek, zdrajca itd. Ja takie przez całe lata dostawałem. A telefony? – zapytał po

chwili z gorzkim uśmiechem. – Dzwonki umyślnie poplątane, zapytania, zadawane udawanym żydowskim akcentem, czy zdarzają się już u pana?

– Dokuczają już tym od dawna! – prezydent spojrzał ostro na Piłsudskiego. – Skąd pan wie o tym?!

– Ależ panie – odparł marszałek – ja byłem w Polsce Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, więc wszy wyłaziły zewsząd. Zwykłe rzeczy! To narodowa robota!

– To nie jest Europa – powiedział Narutowicz w przypływie gniewu. – Ci ludzie lepiej by się czuli pod tym, kto karki im deptał i bił po pysku!

Spotkanie Józefa Piłsudskiego z prezydentem Narutowiczem w Belwederze, 10 grudnia 1922 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Po chwili uspokoił się, przepraszająco spojrzał na marszałka i westchnął. Wskazał na rewolwer leżący niedaleko na stoliku.

– Uprzedzono mnie, chciałem wziąć tę broń ze sobą, a strzelam bardzo celnie – mruknął. – Zostawiłem rewolwer na stole. Nie chcę się bronić. – Te ostatnie słowa zabrzmiały trochę jak wyzwanie.

– Miał być zamach stanu – dodał później, rozmawiając ze swoją siostrzenicą Zosią Kordisówną, kiedy marszałek opuścił już dom – ale idioci i tego porządnie zrobić nie umieją!

Warszawa, Aleje Ujazdowskie
wtorek 12 XII 1922, wieczór

Jeden z liderów lewicowych ludowców z PSL „Wyzwolenie”, Stanisław Thugutt, opuścił wraz z kilkoma towarzyszami Belweder. Poszedł tam, by się upewnić, czy podjęto odpowiednie środki bezpieczeństwa w celu niedopuszczenia do powtórki zamieszek z poprzedniego dnia. Czuł się odpowiedzialny za osobę, która w pewnym sensie przez niego została prezydentem. Był trochę spokojniejszy, bo zorganizowany wcześniej tego dnia przez PPS strajk powszechny przebiegł stosunkowo spokojnie, choć doprowadził m.in. do paraliżu transportu publicznego.

„Sale Belwederu były jasne i ciepłe, jak zwykle” – wspominał. „Ale na dworze mżył drobny, zimny deszcz, ciężka mgła ćmiła światło latarni, pod nogami chlupało błoto brudne i lepkie. W pustych zupełnie Alejach wicher szarpał i męczył drzewa. A w dali spało miasto, stare, dobre miasto, zatrute jadem nienawiści, ogłupione i nieszczęśliwe. Niewidoczna jeszcze oczom, ale już odczuwana nerwami, czaiła się zbrodnia. W dół, na tyły Łazienek, schodziły ciemne i gęste kolumny piechoty w bojowym rynsztunku, chronić przed tą zbrodnią najdobrotliwszego z ludzi”.

Warszawa, dom Narutowicza w Łazienkach

środa/czwartek 13/14 XII 1922, noc

Narutowicz siedział w swym gabinecie przy zapalonej lampie. Nie mógł spać. Dotknął guza na czole. „To Polka rzuciła we mnie grudą lodu – Polka w prezydenta Rzeczypospolitej!” – pomyślał z goryczą.

Wiedział, że w Belwederze po południu doszło do poufnej narady z udziałem Piłsudskiego i marszałka Rataja. Dyskutowano o groźbie zamachu stanu. Piłsudski, kierujący jeszcze armią, kazał ściągnąć do Warszawy posiłki wojskowe. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Podejrzewał, że narodowcy szykują „coś” na czwartek. Ale co?

Narutowicz westchnął. W myślach ciągle pobrzmiewały mu hasła skandowane przez rozgorączkowany tłum 11 grudnia: „Niech żyje włoski faszyzm!”, „Niech żyje Mussolini!”, „Niech żyje prezydent Haller!”. Zaledwie kilka tygodni temu, pod koniec października, Benito Mussolini zdobył władzę we Włoszech, krocząc na czele „marszu czarnych koszul”.

„Czy endecy próbują zrobić to samo?” – zastanawiał się prezydent.

Warszawa, Belweder
czwartek 14 XII 1922, godz. 12.30

Piłsudski, ubrany w szarą kurtę legionową, zastukał w napełniony do połowy kieliszek, prosząc o ciszę. Zgromadzeni w sali jadalnej pałacu belwederskiego panowie zwrócili się w jego stronę. Marszałek przesunął wzrokiem po twarzach zebranych, dostrzegając między innymi marszałka Sejmu Macieja Rataja, marszałka Senatu Wojciecha Trąmpczyńskiego i premiera Juliana Nowaka. W końcu zatrzymał się na postaci poważnego, choć lekko bladego Gabriela Narutowicza.

Przed chwilą – w samo południe – sporządzono i podpisano w sąsiedniej sali audiencyjnej uroczysty Akt przekazania władzy przez Naczelnika Państwa nowemu prezydentowi. Podczas składania podpisów bateria dział rozlokowana w Parku Łazienkowskim oddała salwę złożoną ze 101 strzałów. Wobec niezwykle napiętej sytuacji w ostatnich dniach strzały te zabrzmiały raczej złowrogo. Tego wrażenia nie zatarło odegranie hymnu na dziedzińcu pałacowym i oddanie honorów prezydentowi przez kompanię i szwadron przyboczny. Z dziedzińca zaprzysiężony prezydent wraz z rodziną i świtą przeszedł w towarzystwie Piłsudskiego do sali jadalnej na późne śniadanie.

Piłsudski, spoglądając na kieliszek, odchrząknął:

– Panie Prezydencie Rzeczypospolitej! – rozpoczął głośno i dobitnie. – Czuję się niezwykle szczęśliwy, że pierwszy w Polsce mam wysoki zaszczyt podejmowania w moim jeszcze domu i w otoczeniu mojej rodziny Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej Polskiej – marszałek, wyjątkowo jak na niego, starannie dobierał słowa. Liczył, że otwarte zadeklarowanie pełnego poparcia dla Narutowicza uspokoi nieco nastroje społeczne i rozgorączkowanych polityków.

– Panie Prezydencie! – kontynuował coraz głośniej. – Jako jedyny oficer polski czynnej służby, który dotąd przed nikim nie stawał na baczność, staję oto na baczność przed Polską, którą ty reprezentujesz, wznosząc toast: Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej – niech żyje!

Zdumieni dostojnicy, powtarzając uroczyste „niech żyje”, zobaczyli, że marszałek rzeczywiście stanął na baczność, demonstrując tym samym najwyższy szacunek dla urzędu prezydenckiego. Urzędu, którego sam nie chciał objąć, doskonale zdając sobie sprawę, że to nie prezydent, ale Sejm dzierży prawdziwą władzę.

– Panie Marszałku! – Narutowicz poczuł się w obowiązku odpowiedzieć na toast. – Są w życiu rzadkie chwile, w których najlepszą wymową jest korne i wzruszone milczenie – rozpoczął. – Do takich chwil zaliczam dzisiejszą. Są rzadcy w historii ludzie, których oceniać nie wolno współczesnym, bo nie dorośli do objęcia ogromu ich zasług. Do takich ludzi pan, panie Marszałku, należy! Toteż, jeżeli pomimo to mówić muszę, to dlatego, że wymaga tego twardy obowiązek tej służby, do której po ciężkiej ze sobą samym walce stanąłem. Obowiązek tym cięższy, że spełniany dotąd przez człowieka tej miary co pan, panie Marszałku.

Narutowicz lekko się ukłonił, Piłsudski nadal stał wyprostowany. Prezydent liczył, że docenienie roli marszałka może mu pomóc, poza tym naprawdę wierzył w to, co mówi.

Gabriel Narutowicz opuszcza gmach Sejmu po złożeniu przysięgi w dniu 11 grudnia 1922 roku. Fot. Polona

– Toteż – kontynuował – jeżeli coś w tej chwili otuchy mi dodaje, to wiara, że Polsce nadal sił swoich skąpić nie będziesz. Nazwałeś mnie, panie Marszałku, Pierwszym Obywatelem Rzeczypospolitej. Tytuł ten nadało mi prawo. Pozwól, że w stosunku do ciebie użyję tytułu, który ci nada historia, wznosząc toast: Najzasłużeńszy obywatel Rzeczypospolitej, którą wskrzesił, zbudował i przed wrogiem obronił. Marszałek Piłsudski – niech żyje!

– Niech żyje! – zawtórowali goście. Marszałek lekko uśmiechnął się pod wąsem.

Szybko okaże się, że gest Piłsudskiego, obliczony przede wszystkim na reakcję opinii publicznej, nie zda się na nic. Nie sprawdzą się także prognozy Narutowicza: marszałek wkrótce zaszyje się w Sulejówku, zniesmaczony polską sejmokracją.

Niewiadomski zapewne znał (choćby z prasy) treść obu toastów. Widział wzajemne uprzejmości obu panów. Tym bardziej obu nienawidził.

Warszawa, ulica Marszałkowska 83, mieszkanie Stanisława Cara
czwartek 14 XII 1922, wieczór

– Dobry wieczór. – Stanisław Car, nowo wybrany szef kancelarii prezydenta Narutowicza, wszedł zmęczony do mieszkania, zamykając cicho drzwi.

– Dzwonił do ciebie ktoś z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, zostawił swój numer – poinformowała żona. – Bardzo prosił, żebyś oddzwonił.

– Dobrze, dobrze, już idę – westchnął Car i podszedł do aparatu. Na stoliku obok leżała kartka z numerem telefonu. Poprosił centralę o połączenie.

– Halo? – odezwał się po chwili przytłumiony głos.

– Tutaj Stanisław Car. Z kim mam przyjemność?

– Ach, witam, witam. – Głos w słuchawce zabrzmiał radośnie. – Mówi Karol Kozłowski, prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

– Dobry wieczór, panie Karolu. – Car znał z widzenia Kozłowskiego jako starszego kolegę z czasów studenckich. – Zdaje się, że dzwonił pan do mnie?

– Tak, tak – potwierdził Kozłowski. – Chodzi o sprawę dużej wagi: pojutrze Zachęta otwiera nową wystawę. Bardzo byśmy chcieli, żeby prezydent Narutowicz mógł zaszczycić swą obecnością to ważne wydarzenie.

Car westchnął. Nie miał ochoty angażować prezydenta w kolejną sprawę, w dodatku niezbyt ważną.

– Pan prezydent jest bardzo zajęty – odparł wymijająco. – Może panowie wyślą zaproszenie pisemnie.

– To sprawa wielkiego znaczenia. – Kozłowski nie dał się zbyć. – Uważam, że nie wypada zapraszać prezydenta pisemnie, takie zaproszenie należałoby przekazać osobiście. Zresztą czasu jest już bardzo mało.

– Pan prezydent z powodu nawału zajęć nie będzie miał czasu spotkać się z panami – odparł lekko już zniecierpliwiony Car.

– Doskonale to rozumiem, wystarczy, że spotkam się z panem i omówimy tę sprawę osobiście, na spokojnie. – Kozłowski nie zamierzał ustąpić.

– Cóż, w porządku – skapitulował Car, wyczuwając determinację prezesa. – O której moglibyśmy się spotkać?

– Czy godzina dwunasta panu odpowiada?

– Postaram się wygospodarować ten czas.

– Bardzo jestem panu zobowiązany. Dziękuję i do zobaczenia!

Warszawa, Belweder
piątek 15 XII 1922, poranek

Narutowicz rozpoczął swój pierwszy faktyczny dzień urzędowania w Belwederze od śniadania. Choć nie pokazywał tego po sobie, uważał, że ostatni tydzień, pełen niezwykłego napięcia i stresu, to prawdopodobnie najgorsze chwile jego pięćdziesięciosiedmioletniego życia. W dodatku wczoraj, w związku z przekazaniem władzy przez Piłsudskiego, premier Julian Nowak złożył dymisję swego rządu. Narutowicz stanął przed trudnym zadaniem skompletowania nowego gabinetu. Zadaniem, którego nie było mu dane zrealizować.

Odstawiając pustą filiżankę, mimowolnie przypomniał sobie o niedawnych poważnych kłopotach z sercem. Wolał jednak o tym nie myśleć. Chciałby też zapomnieć o wczorajszym sejmowym wystąpieniu Ignacego Daszyńskiego, jednego z przywódców socjalistów z PPS, który mówił o „nikczemnym, tajnym spisku" endeków, sięgającym „w głąb armii polskiej". Daszyński mówił też o „wojnie domowej".

Prezydent sięgnął po przyniesioną przed chwilą korespondencję. Jego uwagę zwróciła koperta zaadresowana po francusku: „Monsieur le Président, République Polonaise, Gabriel Narutowicz, Varsovie–Warszawa–Belweder". Na znaczku widniał lekko sfatygowany stempel pocztowy „Lwów, 12 XII 22". Narutowicz spojrzał na drugą stronę koperty, ale adresu nadawcy nie znalazł. Mimo to rozkleił kopertę i wyciągnął niewielką kartkę. Zaczął czytać:

Pozostaje Panu do oznaczonego terminu już tylko 4 doby i godzin 20. Przypominam, że grozi Panu śmierć naturalna z powodu ataku sercowego. Czas zrobić testament. Pozdrowienia. Zawiadomienie trzecie.

Ostatnia liczba automatycznie skierowała myśli Narutowicza ku dwóm wcześniejszym anonimowym pogróżkom, które otrzymał w ostatnich dniach. Pierwszy liścik nadszedł ze stolicy:

Warszawa, 10 grudnia 1922 roku.

Szanowny Panie ministrze! Wobec wyboru pana ministra na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej głosami lewicy i mniejszości narodowych, bloku nam wrogiego, będąc pewnymi, że pan minister będzie ugodowcem, będzie zmuszony wywdzięczać się blokowi mniejszości, że pan minister nie stworzy rządu o silnej ręce, rządu, że tak powiemy, poznańskiego, wreszcie, że pan minister śmiał przyjąć ofiarowaną sobie kandydaturę, grozimy panu ministrowi jak najfantastyczniejszym mordem politycznym. Z poważaniem – polski faszysta.

Dzień później nadszedł kolejny anonim, tym razem z Wilna:

Warszawa, Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Panu ministrowi Narutowiczowi do rąk własnych.

Panie Ministrze! Dosięże Pana kara śmierci, o ile Pan natychmiast nie złoży godności Prezydenta!!!

Dnia 10 XII 22. Patriota.

Z Lublina z kolei ktoś w tym samym czasie skierował następujące słowa:

Warszawa, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Jaśnie Wielmożny Pan Minister Gabriel Narutowicz.

Wielce Szanowny Panie Ministrze! Na Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej został Pan obrany nie większością głosów narodowych, lecz głosami odwiecznych wrogów Polski – niemców i żydów. Obowiązkiem więc Pana, jako człowieka uczciwego i szlachetnego Polaka (a wiemy, że Pan Minister te zalety posiada) jest zrzec się tego zaszczytu przed złożeniem przysięgi. Przy tym ogromnie wrogim usposobieniu, z jakim naród przyjął wiadomość o wyborze Pana Ministra, trudno Panu będzie sprawować spokojnie rządy. Tego zdania jest ogół ludności województwa lubelskiego. Życzliwy.

Narutowicz zmusił się do przerwania tych rozmyślań i odłożył przeczytaną pogróżkę na stertę pozostałych listów. „To z pewnością najgorsze dni w moim życiu” – pomyślał znowu.

Mimowolnie raz jeszcze rzucił okiem na otrzymany właśnie list ze Lwowa. „Pozostaje Panu do oznaczonego terminu już tylko 4 doby i godzin 20...”. Wbrew sobie Narutowicz obliczył, kiedy by to się miało stać. Wyszedł mu 16 grudnia.

Czy było tylko zbiegiem okoliczności, że właśnie tego dnia zginął? Sprawa anonimów zostanie całkowicie pominięta w ekspresowym procesie Eligiusza Niewiadomskiego. Dlaczego? Czy były dla kogoś niewygodne? Pytania pozostają otwarte.

Warszawa, poczekalnia Belwederu
piątek 15 XII 1922, godz. 12.00

– Witam, panie prezesie! – Stanisław Car wyciągnął rękę do Karola Kozłowskiego. Miał dziś wiele spraw na głowie, okazywał więc pewne zniecierpliwienie. Obok stał nieznany Carowi mężczyzna, którego Kozłowski przedstawił jako wiceprezesa Edwarda Okunia. Obaj przyjechali przed chwilą automobilem pod Belweder. Car nie zaproponował, by goście usiedli.

Trzech mężczyzn stało więc w obszernej poczekalni Pałacu Prezydenckiego przy Krakowskim Przedmieściu. Wokół kręcili się nieliczni pracownicy budynku.

– W czym zatem mogę panom służyć? – zapytał Car, choć zdawał sobie sprawę, o co chodzi. Wstępnie rozmawiał już z prezydentem i ten – wbrew pierwszej reakcji szefa kancelarii – poważnie rozważał przybycie do Zachęty.

– Tak jak mówiłem panu wczoraj w rozmowie telefonicznej, chcielibyśmy zaprosić pana prezydenta Gabriela Narutowicza do naszego gmachu. Jak pan zapewne wie – Kozłowski starał się być przekonujący – Naczelnik Państwa marszałek Józef Piłsudski zawsze bez wyjątku zaszczycał nas swoją obecnością, gdy otwieraliśmy wystawę w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Byłoby nam bardzo miło – podkreślił swe słowa gestem ręki – gdyby prezydent Narutowicz zechciał utrzymać tę tradycję i przybyć jutro na otwarcie naszej ekspozycji.

– Zdaje pan sobie sprawę – Car wciąż grał na zwłokę – że prezydent Narutowicz jest teraz niezwykle zajęty.

– Jesteśmy tego świadomi – uprzejmie przytaknął Okuń.

– Czy zaproszenie prezydenta jest pańską indywidualną decyzją, czy też rozmawia pan ze mną jako przedstawiciel zarządu Zachęty? – dopytywał Car.

– Zgłaszam propozycję w imieniu zarządu, choć sam osobiście jak najbardziej ją popieram – zapewnił Kozłowski.

– Cóż, drodzy panowie, obiecuję ściśle powtórzyć i przekazać to zaproszenie, które panowie składają na moje ręce. Na razie jednak nie mogę dać żadnej wiążącej odpowiedzi, jako że prezydent jest nieobecny.

– Kiedy możemy spodziewać się decyzji pana prezydenta? – Kozłowski spojrzał w oczy rozmówcy. Był dobrej myśli: kontaktował się już z pełniącym tymczasowo obowiązki premiera Julianem Nowakiem, który obiecywał przyjazd Narutowicza. „Jak będę u niego po południu, to mu powiem” – Kozłowski przypomniał sobie obietnicę Nowaka.

– Dzisiaj prezydent ma bardzo pracowity dzień i będę mógł się z nim spotkać dopiero późnym wieczorem. – Car pomyślał przez chwilę. – Jest szansa, że jutro, wracając z umówionej już wizyty u kardynała Aleksandra Kakowskiego, zajedzie do Zachęty. Będzie miał w sumie po drodze.

– Naprawdę bardzo nam zależy na wizycie pana prezydenta – przekonywał Kozłowski. – Bardzo pana proszę, przez wzgląd na naszą starą znajomość, o osobiste wstawiennictwo w tej sprawie.

– Zobaczymy, co da się zrobić – Car wciąż unikał wiążących deklaracji.

– Czy możemy liczyć na rychłą odpowiedź? – wtrącił się Okuń, powtarzając pytanie Kozłowskiego.

– W tej chwili odpowiedzi dać nie mogę. – Car lekko westchnął. – Zadzwonię do pana dzisiaj wieczorem – dodał, zwracając się do Kozłowskiego.

– Znakomicie – ucieszył się prezes, przekonany, że uda się pozytywnie załatwić sprawę. – Kiedy ewentualnie możemy się spodziewać pana prezydenta w dniu jutrzejszym?

– A kiedy nastąpi otwarcie wystawy?

– W samo południe – poinformował Okuń.

– Naczelnik Piłsudski zawsze przybywał bardzo punktualnie; pewnego razu przybył na naszą wystawę tuż przed dwunastą, kiedy nie zebrali się jeszcze nawet członkowie komitetu powitalnego – uzupełnił Kozłowski. Dodał trochę bez związku: – Byłoby pożądane, żeby nie było tłoku w chwili przyjazdu.

– Jeśli prezydent zdecyduje się przybyć, postara się być punktualnym. Jeśli, powiedzmy, przez piętnaście minut po oznaczonym terminie nie przybędzie, to będzie znaczyło, że nie przyjedzie wcale. Jeszcze jedno. – Car mimochodem rozejrzał się po pustawej poczekalni i ściszył głos: – Dobrze panowie wiedzą, co działo się w ostatnich dniach. Zatem zalecam dyskrecję. Niech panowie nie mówią, że prezydent ma przybyć.

– Niemniej – zaoponował Okuń – obecność pana prezydenta jest takim zaszczytem dla Zachęty, że nie możemy jej przemilczeć!

Okuń dopiero co przybył z Włoch i nie za bardzo zdawał sobie sprawę z napiętej atmosfery panującej w mieście.

– Oczywiście, przyzwoitym ludziom naturalnie można powiedzieć – zastrzegł Car.

– Panowie, rzecz nie jest jeszcze przesądzona – Kozłowski przyjął punkt widzenia Cara, licząc na jego przychylność – więc nie ma potrzeby rozsyłania niepewnych informacji. Nie zamierzam o ewentualnym przyjeździe powiadamiać nawet członków komitetu Towarzystwa Zachęty.

Warszawa, Belweder
piątek 15 XII 1922, godz. 21.30

– Skoro jeździł tam Piłsudski, pojadę i ja – powiedział z półuśmiechem Gabriel Narutowicz, opierając się miękko na fotelu, do którego nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić.

– Oczywiście, powiadomię o pańskiej decyzji prezesa Kozłowskiego – odparł tonem służbisty Stanisław Car. Zawahał się, po czym dodał, zerkając na prezydenta: – Pozostaje do rozpatrzenia kwestia bezpieczeństwa. Powiadomię policję o trasie przejazdu.

– Ależ skądże! – zaoponował prezydent. – Nie będę ulegał garstce sztubaków! Jestem prezydentem tego kraju, nie będę się odgradzał od ludzi policyjnym kordonem. Jadę tylko ja i pan! – Narutowicz wskazał palcem na swego współpracownika.

Stanisław Car jako wicemarszałek Sejmu, 1931 rok. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

– Nie uważam, by był to dobry pomysł. Co z pana bezpieczeństwem?!

– Uważam, że najlepszym zabezpieczeniem będzie niezwracanie się do władz bezpieczeństwa – gorzko odparł prezydent, wspominając bierność policji w czasie incydentu z barykadą sprzed kilku dni.

– Panie prezydencie, to niedopuszczalne! – Stanisław Car zaczął nerwowo przechadzać się po gabinecie swego przełożonego. – Nie może pan przecież pozostać bez obstawy! Zapomniał pan, co stało się w poniedziałek?! – Zdenerwowany Car zdawał się zapominać, że rozmawia z głową państwa.

– Nie mogę okazać strachu – spokojnie, ale stanowczo i z ledwo ukrywaną nieustępliwością odparł siedzący w fotelu Narutowicz.

– Nie może pan przejechać przez miasto bez osłony! – gorąco przekonywał Car. – Przecież oni mogą pana... – W ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Pragnę uświadomić wszystkim, że nie boję się tych smarkaczy – z rosnącą złością obstawał przy swoim Narutowicz, zaciskając dłonie – i zamierzam wykonywać swoje obowiązki w sposób normalny.

– Ależ panie prezydencie...

– Co więcej – Narutowicz wstał, wyraźnie już zdenerwowany – nie życzę sobie, aby policja była choćby poinformowana o moim przejeździe! – ostatnie słowa niemal wykrzyczał.

Car przyglądał się przez chwilę prezydentowi w milczeniu, po czym szybkim – zbyt szybkim – krokiem udał się do wyjścia. Głośno – zbyt głośno – zamknął za sobą drzwi.

Udał się do swego zastępcy Stanisława Łepkowskiego i przekazał mu oschle zarządzenia prezydenta. Łepkowski z kolei powiadomił o sprawie prezydenckiego adiutanta Ignacego Sołtana, który – wbrew zaleceniom Narutowicza – miał obok Cara towarzyszyć mu w podróży do Zachęty.

Tymczasem prezydent szykował się do snu. Kazał się obudzić o godzinie 7.00.

Kulminacja

Warszawa, mieszkanie Tadeusza Jackowskiego
sobota 16 grudnia 1922, poranek

Tadeusz Gustaw Jackowski, zaufany współpracownik Narutowicza z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, właśnie przebierał się po powrocie z Gdańska, gdy usłyszał dzwonek telefonu.

– Jackowski. Halo?

– Mówi major Maciesza z Belwederu – przedstawił się głos w słuchawce. – Prezydent przyjmie pana po godzinie dwunastej trzydzieści.

– Znakomicie, dziękuję!

Jackowski był zadowolony. Przywoził z Gdańska dobre wieści.

Warszawa, Belweder
sobota 16 grudnia 1922, poranek

Stanisław Łepkowski, zastępca szefa kancelarii cywilnej prezydenta, podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry, mówi komisarz pierwszego obwodu policji. – Łepkowski nie rozpoznawał głosu. Rozmówca zresztą nie przedstawił się. – Czy prezydent z całą pewnością uda się na wystawę do Zachęty?

Tknięty złym przeczuciem, Łepkowski postanowił nie udzielać wiążących odpowiedzi.

– Nic jeszcze nie jest ustalone, proszę pana – odparł. Usłyszał, że rozmówca przerwał połączenie.

Łepkowski szybko odszukał swego przełożonego. Stanisław Car pokręcił głową:

– To jakaś podejrzana sprawa. Czemu nagle policja zainteresowała się sztuką? Dlaczego ten człowiek się nie przedstawił? Mam nadzieję, że nie udzielił mu pan żadnych informacji? – spojrzał ostro na Łepkowskiego.

Ten zdecydowanie zaprzeczył.

Sulejówek, willa Otradno
sobota 16 grudnia 1922, poranek

Aleksandra Piłsudska przed chwilą pożegnała swego męża, który skrzypiąc w śniegu podkutymi butami, wyruszył z ich willi Otradno w Sulejówku do Warszawy, do biura Sztabu Generalnego WP.

Aleksandra szła właśnie do swych córek, kiedy usłyszała dźwięk dzwonka dobiegający z podwórza.

– Nie wpuszczaj do mieszkania nikogo obcego! – zawołała, tknięta złym przeczuciem, za oddalającą się w stronę podwórza służącą.

Po chwili służąca wróciła, oznajmiając: – Trzech nieznajomych młodych panów chce zobaczyć się z panem marszałkiem. Nie wpuściłam ich – zapewniła.

– Dobrze, powiedz im, że pan marszałek właśnie wyszedł i wróci dopiero za parę godzin – poleciła podenerwowana Aleksandra.

Wzdrygnęła się, gdy nagle usłyszała głośniejszy dźwięk dzwonka przy drzwiach frontowych. Podbiegła do nich, ostrożnie założyła gruby łańcuch i uchyliła drzwi.

– Słucham? – Za uchylonymi drzwiami ujrzała jakiegoś młodzieńca, za nim stało dwóch następnych. Prawe dłonie trzymali w kieszeniach płaszczy. Aleksandra mimowolnie obróciła się za siebie, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma dzieci.

– Chcielibyśmy zobaczyć się z pani mężem – powiedział pierwszy spokojnym głosem.

– Przecież służąca mówiła wam, że męża nie ma w domu! – odparła zdenerwowana Aleksandra i szybko zamknęła drzwi.

Wydychając wstrzymywane w napięciu powietrze, zerknęła dyskretnie przez okno. Trzej osobnicy pokręcili się jeszcze przed domem i w końcu zniknęli.

Do dziś nie wiadomo, kim byli i co zamierzali.

Warszawa, Belweder
sobota 16 grudnia 1922, poranek

Narutowicz zerknął na kartkę z planem dnia, poprawiając się w fotelu. Na dole szykowano już samochód, którym miał wyruszyć w ostatnią podróż swego życia. Stanisław Car wybrał ten środek transportu, by uniknąć sytuacji z 11 grudnia. Wciąż niepokoił się dziwnym telefonem, o którym dowiedział się od Łepkowskiego.

„11.30 – wizyta u kardynała Aleksandra Kakowskiego” – czytał prezydent. Wczoraj kardynał odwiedził Narutowicza, rozmowa przebiegała bardzo serdecznie. Teraz prezydent miał udać się z rewizytą. Choć nie przywiązywał wielkiej wagi do spraw wiary, doceniał społeczny wymiar działalności Kościoła katolickiego i poprzez tę wizytę pragnął dać wyraz swemu szacunkowi dla hierarchii kościelnej. „Może to uspokoi nieco nastroje” – pomyślał nie po raz pierwszy.

Przypomniał sobie swoje zachowanie podczas wczorajszej rozmowy, które nieco zaskoczyło nawet jego samego. W przypływie emocji i w reakcji na ciężki stres ostatnich dni, uklęknął wtedy i poprosił kardynała o błogosławieństwo, choć wcale nie był praktykującym katolikiem. Poruszony Kakowski uznał ten gest za spowiedź, uczynił znak krzyża i udzielił rozgrzeszenia. Narutowicz, oskarżany o ateizm i konszachty z masonami (faktycznie należał do Wielkiej Loży Narodowej Polski), przeżegnał się.

„12.00 – otwarcie salonu sztuki w Zachęcie”. – Prezydent wrócił do lektury kartki. „Ach, tak – pomyślał z pewną dozą ironii – idę w ślady Piłsudskiego”.

„12.30 – spotkanie z Jackowskim”. Narutowicz podkreślił palcem ten punkt. „To bardzo ważne” – stwierdził w myślach. Rankiem poprzedniego dnia Tadeusz Jackowski pojechał do Gdańska, gdzie skontaktował się z Leonem Plucińskim. W zamierzeniach Narutowicza Pluciński – Komisarz Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku – był idealnym kandydatem na premiera po przejściowym gabinecie Darowskiego. Związany z obozem narodowym, mógł przyczynić się do uspokojenia nastrojów. Jackowski miał go wypytać, czy zgodziłby się przyjąć tę funkcję. „Może Pluciński ostatecznie zakończy to bezkrólewie” – mruknął do siebie prezydent.

Narutowicz nie dowiedział się już, że Pluciński zgodził się objąć tekę premiera. Jackowskiemu, z niecierpliwością czekającemu na przekazanie dobrych wiadomości, nie było dane to uczynić.

„13.30 – spotkanie z Kapitułą Orderu Orła Białego”.

„Wieczór – konsultacje z kandydatami na ministrów”.

Narutowicz westchnął. „To będzie ciężki dzień” – pomyślał. Był jednak zdeterminowany, by jak najszybciej sformować nowy gabinet. Liczył, że

koalicyjny rząd choć częściowo obniży temperaturę debaty politycznej i społecznej.

Pogrążony w tych myślach, sięgnął po kolejny dokument: prośbę o akt łaski dla pewnego skazanego na śmierć więźnia. Narutowicz przez chwilę się zawahał. Miał właśnie podjąć swą pierwszą formalną decyzję jako prezydent Rzeczypospolitej. Z lekkim uśmiechem zamaszystym podpisem ułaskawił skazańca. „To dobry znak! Ktoś dzięki mnie będzie żył...” – pomyślał pół żartem, pół serio.

Nie wiedział, że ta pierwsza decyzja będzie zarazem ostatnią.

– Samochód gotowy, panie prezydencie! – w drzwiach gabinetu ukazał się Stanisław Car i zaprosił swego przełożonego do wyjścia.

Narutowicz już wstawał, gdy do gabinetu wpadł Leopold Skulski – czterdziestopięcioletni były premier i minister spraw wewnętrznych, z którym Narutowicz dzierżawił rejon myśliwski. Co charakterystyczne, Skulski był działaczem endecji, a nie przeszkadzało mu to lubić i szanować „kolegi od strzelby”.

– Panie prezydencie, co by pan powiedział na małe polowanie w najbliższych dniach? – zapytał z uśmiechem. – Właśnie przygotowuję się do wyjazdu. Oderwałby się pan od tych warszawskich problemów.

– Ha, panie Leopoldzie, trudno mi teraz podejmować takie decyzje – odparł Narutowicz. Po chwili milczenia dodał: – Proszę mi dać czas do wieczora. Dam wtedy panu znać.

Już wychodząc, w przypływie nagłego impulsu, Narutowicz zatrzymał się i powiedział, chwytając Skulskiego za ramię:

– Pamiętaj, panie Leopoldzie, w razie nieszczęścia proszę zaopiekować się moimi dziećmi. – Być może prezydent przypomniał sobie przepowiednię z anonimu przysłanego ze Lwowa.

– Wolne żarty! – Zaskoczony Skulski starał się zbagatelizować sprawę. – Nie wiadomo, komu pierwsze pisane.

Skulski próbował przywołać uśmiech na twarzy, ale widząc spojrzenie Narutowicza, zrezygnował.

Warszawa, Krakowskie Przedmieście 15
sobota 16 grudnia, godz. 11.00

– Do widzenia, do widzenia! – zawołał uprzejmie Eligiusz Niewiadomski, odwracając głowę już w drzwiach. Właśnie opuszczał siedzibę wydawnictwa Gebethner i Wolff w Pałacu Potockich, gdzie załatwiał formalności związane z przygotowywaną przez siebie publikacją poświęconą historii malarstwa polskiego.

Był spokojny i opanowany. Rano nieśpiesznie zjadł śniadanie i starannie się ubrał. Teraz, wychodząc z wydawnictwa, skierował się powolnym krokiem w stronę Zachęty. W kieszeni płaszcza delikatnie masował palcami wypolerowaną kolbę browninga.

Warszawa, gmach Zachęty
sobota 16 grudnia, godz. 11.55–12.05

Jan Skotnicki, malarz i urzędnik Departamentu Kultury i Sztuki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, stał w pobliżu schodów w holu gmachu Zachęty przy placu Ewangelickim, tuż przy grupce członków Komitetu Zachęty, którzy z ledwo skrywaną niecierpliwością oczekiwali na otwarcie wystawy. Między nimi nerwowo przechadzał się prezes Kozłowski, dziękując dostojnym członkom Komitetu za wczesne przybycie.

Pogrążony w kurtuazyjnej rozmowie ze stojącymi obok panami, Skotnicki raz po raz zerkał na wypełniającą się gośćmi salę. Otwarcie salonu sztuki w Zachęcie stało się jedną z większych atrakcji towarzyskich Warszawy w stosunkowo spokojnym okresie adwentu. Wśród zgromadzonych dostrzegł m.in. najwyższych przedstawicieli dyplomatycznych Wielkiej Brytanii, Włoch, Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii i wielu członków korpusu dyplomatycznego niższego szczebla.

Skotnicki z trudem ukrywał podekscytowanie, a także pewien niepokój. Nie był pewien, czy otwarcie zaszczyci swoją osobą nowo wybrany prezydent. Zdawał sobie sprawę z kontrowersji, jakie budził ten wybór. Sam nie był do końca do niego przekonany. Z tym większą niecierpliwością czekał na rozwój sytuacji. Prezes Zachęty Karol Kozłowski i jego zastępca Edward Okuń wyrażali się dość enigmatycznie, udzielając wymijających odpowiedzi na temat ewentualnego przybycia Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej.

Wtem w gęstniejącym tłumie Skotnicki dostrzegł znajomą postać. Między ludźmi przeciskał się nienagannie ubrany, ale z zaciętym wyrazem twarzy, jego były kolega z ministerstwa – Eligiusz Niewiadomski. Panowie poznali się jeszcze przed wojną, w 1912 lub 1913 roku w pracowni malarza Edwarda Trojanowskiego. Po wojnie Skotnicki – od 1919 roku urzędnik w resorcie sztuki – co jakiś czas widywał się w pracy z Eligiuszem.

Gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przy pl. Małachowskiego 3 w Warszawie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Niewiadomski podszedł do Skotnickiego i przywitał się. Rozglądając się wokoło, rzucił natarczywie pytanie:

– Cóż to jest za uroczystość? Na kogo tak czekacie?

– Czekamy na pana prezydenta – odparł zapytany.

Skotnicki po wymianie tych zdań odwrócił się do swych rozmówców, Niewiadomski stanął obok. Skotnicki zamierzał właśnie odpowiedzieć na skierowane do niego jakieś grzecznościowe pytanie, gdy dostrzegł przy wejściu wzmożony ruch. Zauważył, że prezes Kozłowski szybkim krokiem udał się w tę stronę.

– To chyba dwóch adiutantów pana prezydenta – stwierdził jeden z członków Komitetu Zachęty. Kozłowski zamienił parę słów z wyraźnie śpieszącymi się gośćmi, po czym adiutanci wyszli. W ślad za nimi udał się wiceprezes Okuń.

– Panowie, bardzo proszę o niezwłoczną informację, jak tylko ujrzycie pana prezydenta – poprosił oficerów Okuń już na zewnątrz.

W tym samym czasie podekscytowany Kozłowski zbliżył się do grupki, w której stał Skotnicki i poinformował: – Pan prezydent zaraz przybędzie! Za parę minut!

Wśród członków Komitetu zapanowało dyskretne poruszenie. Skotnicki wymienił stosowne uwagi ze swymi rozmówcami. Wieść szybko rozniosła się wśród tłumnie zgromadzonych eleganckich pań i panów.

Stojący nieopodal Niewiadomski z nikim nie rozmawiał. Po raz kolejny wymacał w kieszeni płaszcza znajomy kształt rewolweru.

Tymczasem do sali wkroczyli inni oczekiwani goście: tymczasowy premier Julian Nowak, zaraz potem minister sprawiedliwości Wacław

Makowski, znany mason, a także minister oświecenia publicznego Kazimierz Kumaniecki. Przeciskając się między gośćmi, ministrowie podążali powoli w kierunku grupy członków Komitetu Zachęty.

– Gdzie mógłbym zostawić płaszcz? – zapytał Nowak po przywitaniu się z najważniejszymi dostojnikami.

– Panie premierze – odparł szybko prezes Kozłowski – nie ma takiej potrzeby, tu w westybulu jest dosyć zimno.

Premier posłuchał rady prezesa i pozostał w płaszczu. Skotnicki zbliżył się do niego i rozpoczął grzecznościową pogawędkę, w której brali udział także obaj ministrowie i kilku członków Komitetu.

– Panie prezesie – Skotnicki zwrócił się do Kozłowskiego – czy miał już pan przyjemność poznać ministra Kumanieckiego?

– Jeszcze nie – przyznał Kozłowski. Skotnicki dokonał prezentacji, mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Niewiadomski, stojąc nieco z tyłu, obserwował z roztargnieniem tę scenę. Podekscytowany Kozłowski, myśląc, że Eligiusz również należy do oficjalnej delegacji, machinalnie uścisnął mu rękę.

Nowak, cieszący się opinią znawcy sztuki, z dużą erudycją opowiadał anegdoty dotyczące przedwojennego życia artystycznego, chcąc umilić czas oczekiwania. Słuchacze byli pod wrażeniem jego wiedzy. Tymczasem niespokojny Kozłowski co chwila opuszczał grupkę rozmówców i przechadzał się po sali, raz po raz nawołując:

– Panie, panowie, proszę zrobić przejście! Za chwilę przybędzie pan prezydent. Proszę zrobić przejście!

Wtem w wejściu do budynku zamajaczyła odziana w futro wysoka sylwetka Narutowicza.

– To jest ten Narutowicz? – Niewiadomski zagadnął odwróconego w stronę drzwi Skotnickiego.

– Tak – odparł szybko zapytany. – Proszę obecnie usunąć się na bok – dodał, nie patrząc na Eligiusza.

Niewiadomski przecisnął się nieco do tyłu i stanął przy schodach.

Warszawa, Pałac Borchów, ulica Miodowa
sobota 16 grudnia 1922, godz. 12.00

Narutowicz w towarzystwie Cara i Sołtana wyszedł z siedziby metropolity warszawskiego i wsiadł do samochodu. Był zadowolony. Kardynał Kakowski po raz kolejny okazał się serdecznym rozmówcą. Wyraził oburzenie w związku z atakami środowisk narodowych i niektórych katolickich (jak przyznał z żalem) na prezydenta. Krytykował demonstracje uliczne i nagonkę prasową. Narutowicz z kolei opwiadał o swoim pobycie w Szwajcarii i żalił się na rozgorączkowanie rodaków. Obiecał też poprzeć starania kardynała o zawarcie konkordatu ze Stolicą Apostolską.

„Jest pan prawym i wybitnym człowiekiem, panie prezydencie. – Narutowicz, ruszając spod Pałacu Borchów, powtarzał sobie w myślach słowa kardynała Kakowskiego. – Uliczna gawiedź to jeszcze nie cała Polska". „Otóż to" – zgodził się prezydent.

W czasie rozmowy, o 11.50, do kardynała przybył marszałek Maciej Rataj. We trójkę zastanawiali się, jak uspokoić podniecone umysły warszawiaków. Rataj został u duchownego dłużej. Obaj wciąż będą pogrążeni w rozmowie, gdy prezydent będzie konał.

Pokonując krótką trasę z ulicy Miodowej na plac Ewangelicki (Narutowicz nie mógł się jeszcze przyzwyczaić do nowej nazwy – plac Małachowskiego), przypomniał sobie inną wypowiedź metropolity: „Proszę, panie prezydencie, niech pan zniesie te chwilowe udręki i upokorzenia – dla wspólnego dobra".

Narutowicz, spoglądając przez szybę samochodu, westchnął ciężko.

– Chyba dojeżdżamy już do Zachęty? – zagadnął Stanisława Cara, by rozwiać ponure myśli, jakie znów go dopadły.

– Tak, panie prezydencie. Prezes Kozłowski na pewno się już niecierpliwi – odparł Car. Był nieco spokojniejszy niż wczoraj. Napotykani ludzie, widząc prezydencki samochód, reagowali spokojnie. Choć nadal żałował, że prezydent nie zdecydował się na jakąkolwiek ochronę, pozwolił sobie na chwilowe odprężenie.

– Mam nadzieję, że wystawa nie przeciągnie się tak długo, by obiad nam wystygł – na żart pozwolił sobie i prezydent.

Samochód nieśpiesznie wjechał na plac Ewangelicki.

Warszawa, gmach Zachęty
sobota 16 grudnia, godz. 12.05

Edward Okuń stał na zewnątrz, przy wejściu do Zachęty. Tarł ręce, próbując odgonić zimno. Nagle zobaczył wjeżdżający samochód. Po chwili wyrósł przed nim jeden z oficerów z wiadomością, że prezydent właśnie zajechał.

– Jest! Już przyszedł! Idzie! – Właśnie wtedy stłumione okrzyki zmusiły Skotnickiego do spojrzenia w stronę drzwi wejściowych do hallu i pozbycia się natarczywego Niewiadomskiego. Przy wejściu ujrzał wysoką sylwetkę Narutowicza, odzianego w szykowne futro, które prezydent właśnie rozpinał. Nie zdjął go jednak.

Kozłowski szybko zbliżył się do prezydenta. Podobnie uczynił cały komitet powitalny. Skotnicki trzymał się blisko. Wiceprezes Okuń uprzejmie, ale zdecydowanie starał się tak rozsunąć gości, by zrobić przejście dla delegacji. Od ścian obszernego westybulu odbijały się echa oklasków i pojedynczych wiwatów na cześć prezydenta.

Niewiadomski przez chwilę intensywnie wpatrywał się w wyprostowaną postać w futrze. Widział Narutowicza po raz pierwszy w życiu. To dlatego zagadnął Skotnickiego – chciał się po prostu upewnić. Przesunął się w stronę schodów, po chwili dyskretnie obszedł zawieszoną tu powitalną wstęgę przez nikogo nieniepokojony, a następnie wszedł wyżej, do sal wystawowych. Nie było to dziwne: pracownicy Zachęty dobrze go znali; wiedzieli, że artyści często zbierają się wcześniej i witają gości, stojąc w pobliżu swych dzieł.

– Czuję się niezmiernie zaszczycony – Skotnicki w tym samym czasie przysłuchiwał się słowom prezesa Kozłowskiego – że pan prezydent znalazł czas na przybycie i uświetnienie otwarcia naszego salonu sztuki. Zapraszam serdecznie!

Kozłowski ruszył przodem w kierunku schodów. Za nim podążał prezydent, premier, ministrowie i członkowie Komitetu Zachęty. Na schodach na gości oczekiwał szef protokołu dyplomatycznego hrabia Przeździecki. Narutowicz przywitał się z grupą malarzy, których prace wystawiono w salach na pierwszym piętrze. Każdemu uścisnął dłoń. Następnie cała grupa przeszła obok wstęgi. Nie było zwyczaju jej przecinania.

– Po wystawie oprowadzą pana członkowie Komitetu – informował podekscytowany Kozłowski, idąc po schodach i zarazem odwracając głowę ku prezydentowi, co wyglądało dość niebezpiecznie. – Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem malarskiej wiedzy pana premiera Nowaka – kontynuował. – Na pewno ubarwi on zwiedzanie bardzo interesującymi objaśnieniami.

Skotnicki zauważył, że Narutowicz grzecznie przytaknął, a Nowak uśmiechnął się.

– Osobiście bardzo interesuję się sztuką – dodał prezydent. – Bardzo żałuję, że przez ostatnie dwa lata nie miałem czasu, żeby odwiedzić

Towarzystwo Zachęty.

Kozłowski zrobił nieokreślony ruch ręką, informując w ten sposób, że nic się nie stało. Idący nieco z tyłu Skotnicki stwierdził, że prezes wyglądał na szczerze przejętego.

Warszawa, gmach Zachęty
sobota 16 grudnia, godz. 12.12

Kawalkada dotarła do końca schodów i weszła do sali nr 1. Skotnicki kątem oka dostrzegł nieruchomą postać Niewiadomskiego. W ułamku sekundy zdziwił się, że Eligiusz jest już na górze, ale szybko zapomniał o tej myśli, pochłonięty osobą Narutowicza. Tymczasem prezydent, premier Nowak i wiceprezes Okuń stanęli przed pierwszym obrazem.

– Czyj to obraz? – zapytał uprzejmie Narutowicz.

Ani Kozłowski, ani Okuń nie potrafili odpowiedzieć na to pytanie. Zapanowała chwilowa konsternacja. Skotnicki pozwolił sobie na dyskretny uśmiech. Po chwili Kozłowski w pośpiechu wręczył prezydentowi katalog wystawy. Mimo zimna otarł pot z czoła.

Cała grupa już sprawniej zaczęła oglądać kolejne obrazy. Narutowicz przy każdym zatrzymywał się i formułował uwagi, komentowane przez towarzyszących mu widzów. Na przedzie szedł Kozłowski, tuż za nim prezydent w otoczeniu Juliana Nowaka, Edwarda Okunia, Kazimierza Kumanieckiego i ministra sprawiedliwości Wacława Makowskiego. Blisko trzymał się także szef protokołu hrabia Przeździecki. W niewielkiej sali nie zmieściło się wielu gości. Pochód zamykali towarzyszący prezydentowi Ignacy Sołtan i Stanisław Car, nieco zagubieni w bezładnie rozproszonej grupie zwiedzających, zainteresowanych bardziej osobą Narutowicza niż dziełami sztuki.

Prezydent ze swoją świtą skończył oglądanie pierwszej ściany wystawy i skierował się ku drugiej. Nikt nie zauważył, że Niewiadomski zrobił parę kroków w tym kierunku. Gdy zwiedzający oficjele zatrzymali się przed obrazem Kazimierza Kopczyńskiego, przedstawiającym fronton gmachu Zachęty i zgromadzonych wokoło ludzi, Narutowicz, stojący na przedzie, tuż za Kozłowskim, żartobliwie stwierdził:

– O, to jest taki ruch jak przy dzisiejszej uroczystości!

Dostojni panowie pozwolili sobie na dyskretny śmiech. Skotnicki dostrzegł, że w tym momencie do prezydenta podszedł poseł Królestwa Wielkiej Brytanii William Grenfell Max Muller wraz z małżonką.

– Panie prezydencie, bardzo przepraszam, ale z powodu choroby nie miałem dotychczas możliwości złożenia panu gratulacji i najlepszych życzeń – powiedział po francusku dyplomata, przedstawiając lady Muller.

– Dziękuję, ale raczej kondolencja mi się należy, panie ministrze – pół żartem, pół serio odparł piękną francuszczyzną prezydent.

Narutowicz zwrócił się w kierunku kolejnego dzieła: obrazu Teodora Ziomka pt. *Szron*. Stanął plecami do sali. Kozłowski na chwilę odwrócił się w kierunku posła faszystowskich Włoch Francesca Tommasiniego, który właśnie podszedł. Narutowicz spojrzał w kierunku płótna utrzymanego w dość ponurych barwach. Wykrzywione cienie bezlistnych drzew na śnieżnych zaspach były ostatnim, co zobaczył w swym życiu.

Niewiadomski, przesuwając się wśród zgromadzonej w głębi publiczności, stanął kilka kroków z tyłu. Szybko wyciągnął pistolet z kieszeni i skierował broń w plecy prezydenta.

Powietrze rozdarły trzy strzały, oddane jeden po drugim w przeciągu półtorej sekundy. Zabrzmiały zaskakująco głucho. Skotnickiemu wydały się przytłumione i oddane jak gdyby w innym kierunku i dalej.

Przez ułamek sekundy wydawało się, że czas stanął w miejscu. Po chwili zapanowało niezwykłe zamieszanie. Skotnicki miał poczucie uczestniczenia w czymś nierzeczywistym, w jakimś nieprawdopodobnym śnie; miał wrażenie, że wszystko toczy się w zwolnionym tempie. Poczuł gwałtowny ucisk w żołądku.

Zgromadzony tłum bezwiednie cofnął się o kilka kroków. Prezes Kozłowski gwałtownie odwrócił się w stronę prezydenta i wbił w niego wzrok. Narutowicz stał tuż przed nim. Kozłowski dostrzegł na jego twarzy zdziwienie. Zaraz potem prezydent mrugnął oczami i zaczął się słaniać. Upuszczone binokle uderzyły o ziemię. Oparł się na ręce o podłogę, ale szybko upadł na wznak.

Skotnicki odruchowo wspiął się na palce i wrzasnął:

– Zamknąć drzwi!

– Biedna Polska! – rozdzierająco krzyknęła jakaś kobieta.

Skotnicki wraz z premierem Nowakiem rzucili się w kierunku umierającego, amortyzując upadek ciała. Kozłowski próbował pomóc. Podobnie hrabia Przeździecki. Stojąca niedaleko młoda poetka Kazimiera Iłłakowiczówna – sanitariuszka z czasów wojny – przez chwilę podtrzymywała głowę umierającego. Na czole dostrzegła lekko blednący guz. Później wspominała, że próbowała reanimacji. Obecny na sali ksiądz profesor Antoni Szlagowski zaczął odprawiać na głos modlitwę za konających. Z tyłu przebijali się Car i Sołtan. Gdzieś rozległ się przeraźliwy krzyk innej kobiety. Poseł Muller zemdlał. Niespokojna wrzawa, jak z sennego koszmaru, narastała.

– Kto to zrobił? – Skotnicki histerycznym tonem zadał pytanie Okuniowi. Nie zauważył, że Okuń nie zatrzymał się przy upadającym prezydencie, tylko pobiegł dalej, w kierunku publiczności, intensywnie wpatrując się w jakąś nieruchomą postać.

Premier Nowak wraz ze Skotnickim i Kozłowskim, niewiele myśląc, unieśli ciało prezydenta i położyli je na stojącej kilka kroków dalej, pośrodku sali, małej kanapie w kształcie litery L. Obok kanapki stały dwa postumenty. Na jednym znajdowała się rzeźba. Nieopodal stał trzcinowy fotel. Mężczyźni ułożyli odziane w futro ciało nieporadnie, w pozycji półleżącej.

– Lekarz!! Niech ktoś wezwie lekarza!!! Czy jest na sali lekarz?!! – dało się słyszeć wokół przerażone okrzyki.

– Czy nie ma doktora?! – krzyknął i Kozłowski.

Obraz Teodora Ziomka Szron, *przed którym zginął prezydent Narutowicz. Fot. Domena publiczna*

Skotnicki zauważył, że nad prezydentem pochyla się jakiś młody człowiek, zapewniając, że jest lekarzem. Doszedł go głos: „połóżcie go na ziemi!”. Kozłowski wydał pomruk niezadowolenia, ale wraz z pozostałymi

umieścił Narutowicza bezpośrednio na podłodze. Skotnicki, zdjąwszy futro prezydenta, położył mu je pod głowę. Z przejęciem spojrzał na zastygłą w niejasnym zdziwieniu twarz zmarłego. Rozpiął jego kamizelkę i dojrzał na koszuli trzy niewielkie brudnoczerwone plamy.

– Może zatamuje się krew! – rzucił ktoś z tyłu.

Lekarz pochylił się nad ciałem, chwycił rękę i próbował wybadać puls.

– Jeszcze oddycha! – Skotnicki usłyszał za sobą głos.

Kozłowski, też słysząc te słowa, zwrócił się gwałtownie do młodego doktora:

– Panie doktorze, jeszcze oddycha!

Zdenerwowany lekarz odparł szorstko:

– Krwotok wewnętrzny, płucny, zaduszenie – pokiwał głową przecząco. Po chwili, w konsternacji, dodał, jak gdyby tonem usprawiedliwienia: – Nazywam się doktor Śniegocki. Jestem asystentem doktora Sawickiego – wyjaśnił trochę bez sensu.

Tymczasem na parterze wybuchła panika. Ludzie, nie wiedząc dokładnie, co się stało, ruszyli, kierując się zbiorowym instynktem, w kierunku drzwi wyjściowych. Portier zamknął je na klucz. Mimo to pojedynczym gościom udało się opuścić obszerny, ale nagle sprawiający klaustrofobiczne wrażenie hall.

Warszawa, ulica Miodowa
sobota 16 grudnia, godz. 12.20

Prokurator Kazimierz Rudnicki pracował w swym gabinecie, wciśniętym między inne pokoje gmachu Sądu Okręgowego w Warszawie przy ulicy Miodowej. Nagle zadzwonił telefon.

– Proszę natychmiast udać się na plac Ewangelicki – usłyszał w słuchawce zdenerwowany głos. – Przed chwilą jakiś malarz strzelał do prezydenta!

– Jezus Maria! – wykrzyknął Rudnicki, w mgnieniu oka blednąc.

Wybiegł z pokoju. Nie mógł jeszcze wiedzieć, że to on będzie głównym oskarżycielem w procesie Niewiadomskiego, który rozpocznie się dwa tygodnie później.

Warszawa, plac Ewangelicki
sobota 16 grudnia, godz. 12.25

Zastępca Stanisława Cara, Łepkowski, gorączkowo próbował dodzwonić się na pogotowie i do Belwederu z hallu Zachęty. Telefony nie działały. Major Marian Zyndram-Kościałkowski, redaktor „Polski Zbrojnej” i wierny piłsudczyk, widząc bezsilność Łepkowskiego, z impetem wybiegł na zewnątrz, przepuszczony przez portiera, w poszukiwaniu budki telefonicznej.

Tuż przed Zachętą natknął się na grupkę zwolenników endecji, którzy zamierzali odpowiednio przywitać wychodzącego prezydenta. W grupie, otoczony wianuszkiem wielbicieli, stał generał Józef Haller.

– Krew ta spada na pańską głowę! – wrzasnął wściekły Zyndram-Kościałkowski, dostrzegając generała, który z zaskoczeniem odwrócił się w jego kierunku. W grupce zapanowała konsternacja.

– Mordercy, mordercy! – odkrzyknęli lekko zdezorientowani narodowcy, a także sam Haller. Jednocześnie zdali sobie sprawę, że coś się stało.

– Hola, hola, panie! – jak spod ziemi koło poczerwieniałego majora wyrósł komisarz policji, śpieszący właśnie do budynku. Chwycił

Zyndrama-Kościałkowskiego za rękę. Zaalarmowany i zdenerwowany sytuacją w Zachęcie, zamierzał aresztować wojskowego.

– Puść mnie pan! – wykrzyknął gniewnie piłsudczyk i pokazał policjantowi legitymację poselską, gwarantującą nietykalność osobistą.

Uwolniony, pobiegł dalej, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami. Jedno z tych spojrzeń należało do prokuratora Rudnickiego, który właśnie pojawił się na placu.

Warszawa, gmach Zachęty
sobota 16 grudnia, godz. 12.12–12.30

Przez cały ten czas Niewiadomski tkwił nieruchomo w miejscu, z którego strzelał. A mógł uciec, korzystając z zamieszania, gdyby tylko chciał. Spokojnym – może zbyt spokojnym – ruchem opuścił rękę z pistoletem. Poczuł ciepło lufy. Drugą ręką dotknął trzcinowego fotela stojącego tuż obok.

– Niewiadomski, bójcie się Boga! Strzelacie! – wykrzyknął nagle Edward Okuń w chwili, kiedy Nowak, Skotnicki i Kozłowski biegli do prezydenta. Okuń rzucił się w kierunku Niewiadomskiego. Bał się reakcji mordercy, ale ten stał spokojnie.

– Trzymajcie go!!! – usłyszał gdzieś przed sobą.

W końcu, klucząc, podszedł bardzo blisko Eligiusza, chwytając go za rękę. Wtedy do sprawcy przebił się wreszcie Ignacy Sołtan i o wiele gwałtowniej niż Okuń wykręcił Niewiadomskiemu ręce do tyłu, wyrywając rewolwer. Widząc jednak spokój sprawcy, złagodził uścisk.

– Nie bójcie się, do was strzelać nie będę – spokojnie, ale lekko drżącym głosem zapewnił Eligiusz. Był bardzo blady. Stał nieruchomo i nie

próbował uciekać. – Pragnę oddać się w ręce władz – zapewniał. – Może pan nie trzymać, nie ucieknę – zwrócił się bezpośrednio do Sołtana.

Marek Walczewski jako Eligiusz Niewiadomski. Kadr z filmu Śmierć prezydenta *w reżyserii Jerzego Kawalerowicza, 1977 rok. Fot. Polfilm / EAST NEWS*

– Ja wiem... No i moje tu głupie położenie... – bąknął nieskładnie Sołtan.

Kozłowski, skupiony dotychczas wyłącznie na prezydencie, nagle zwrócił uwagę na nieruchomego mężczyznę trzymanego przez Sołtana. Zaskoczyła go kamienna, wręcz marmurowa twarz zabójcy.

– Kto to jest? – zapytał gorączkowo wiceprezesa Okunia, który znalazł się w pobliżu.

– To ten z Ministerstwa Sztuki! – odkrzyknął wciąż zszokowany Okuń.

– Czy to pan Wojdyno? – zapytał Kozłowski. Od dłuższego czasu mylił Niewiadomskiego i Wojdynę: dwóch urzędników z Ministerstwa Sztuki o dość podobnej sylwetce.

– Nie, to Niewiadomski – zawołał ktoś z tyłu.

– Tak, to Niewiadomski – potwierdził ciężko oddychający Skotnicki, spoglądając to na ciało prezydenta, to na Eligiusza. – To ten wariat, dlatego Ponikowski usunął go z ministerium! – wypalił pełnym napięcia głosem. Rzeczywiście, półtora roku wcześniej minister kultury i sztuki oraz premier Antoni Ponikowski wręczył Niewiadomskiemu dymisję.

– Za czyje pieniądze?! – zawołał ktoś w tłumie.

Eligiusz nienaturalnie spokojnie usiadł w trzcinowym fotelu, w asyście Okunia i Sołtana, pośrodku sali. Za jego plecami widniał *Grunwald* Jana Matejki.

Warszawa, plac Ewangelicki
sobota 16 grudnia, godz. 12.25

Stefan Krzywoszewski, popularny dramaturg i redaktor naczelny tygodnika „Świat” – niemal rówieśnik Narutowicza – szedł zdyszany, szybkim krokiem przez plac Ewangelicki w kierunku Zachęty. Był zły na siebie. Spóźnił się na otwarcie wystawy o pół godziny.

Tuż przy budynku zatrzymał go nagle posterunkowy. Krzywoszewski ze zdumieniem zauważył, że policjant był bardzo zdenerwowany i blady. Pokazał mu zaproszenie na wystawę, tłumacząc tym samym swą obecność. Policjant ledwo na nie spojrzał, nie chciał czytać.

– Dostęp jest wstrzymany – oznajmił niespokojnym tonem.

– Czemu?! Co się stało?! – Krzywoszewski był przestraszony nie na żarty.

– Pan prezydent został zamordowany.

Pisarz wstrzymał oddech. Poczuł się słabo. Wtem ujrzał, że z budynku wychodzi baron Gustaw Taube, podtrzymując bladą małżonkę, która ledwie mogła ustać na nogach. Taube zatrzymał się i zmienionym ze zdenerwowania głosem poinformował:

– Strzelano do prezydenta z tyłu, kiedy rozmawiał z dyplomatami cudzoziemskimi. Prezydent padł tuż koło nas i zaraz skonał.

Baronowa Taube zachłysnęła się i zakryła usta chusteczką.

– Ten co strzelał – kontynuował jej mąż – nazywa się podobno Niewiadomski.

Małżeństwo powoli oddaliło się. Krzywoszewski szybko otrząsnął się z szoku. Pozostawiając posterunkowego, wskoczył do przejeżdżającej pustej dorożki i wrócił do redakcji swego pisma. Zamknął się w gabinecie, rozłączył telefon, schował twarz w dłoniach. Był przepełniony wstydem i bólem. „Przez tyle wieków chlubiliśmy się, że naród polski nie splamił się nigdy królobójstwem – myślał. – I teraz, kiedy cudem odzyskaliśmy niepodległość, złość i kłótnia doprowadziły do takiej sromoty”.

Godz. 12.30

Zaraz po tym, jak Zyndram-Kościałkowski oddalił się biegiem od Zachęty, pod budynek zajechała z piskiem opon karetka. Z wozu wypadł młody, zdenerwowany lekarz i popędził w kierunku sali nr 1.

Warszawa, gmach Zachęty
sobota 16 grudnia, godz. 12.30–13.00

W sali nr 1 prezydencki adiutant Sołtan, pozostawiając siedzącego Niewiadomskiego, zszedł na dół, do westybulu i biegiem skierował się do telefonu. Poprosił o połączenie z Belwederem. Nikt nie odpowiadał.

Pozostający na piętrze premier Nowak nie mógł się pozbierać.

– Po co pan prezydent przyjechał – rozpaczał – przecież ja mu wczoraj perswadowałem, żeby tego nie robił; że ja go zastąpię!

Prezes Kozłowski słuchał tych słów ze zdziwieniem; przecież Nowak przez cały czas zapewniał, że dzięki jego wstawiennictwu prezydent do Zachęty przybędzie. W ogólnym zamęcie nie miał jednak czasu rozmyślać nad tą sprawą.

Po chwili do siedzącego nieruchomo Niewiadomskiego zbliżył się roztrzęsiony staruszek, rodzony brat Stanisława Witkiewicza i wuj Witkacego.

– Jak mogłeś podnieść rękę na Pierwszego Obywatela Polski! – nachylił się ze wzburzeniem nad mordercą.

– Za pieniądze żydowskie wybranego! – odwarknął Niewiadomski.

Jan Skotnicki wzdrygnął się, słysząc te słowa. Również on był całkowicie rozbity. Z konsternacją zauważył, że wszystkie wejścia do budynku zostały zamknięte. Rozejrzał się dookoła. Premier Nowak gdzieś zniknął.

– Co się dzieje? – zapytał, bardziej sam siebie, niż obecnych na sali. „Znowu puściły mu nerwy” – pomyślał ze złością o premierze, przypominając sobie, że parę dni temu odmówił przejazdu z prezydentem na uroczystość zaprzysiężenia, bojąc się tłumu.

– Jezu! – dobiegły go czyjeś słowa. – Przecież na placu Trzech Krzyży trwa teraz pogrzeb tego robotnika, który zginął parę dni temu podczas demonstracji w obronie prezydenta!

– Tam jest z kilkadziesiąt tysięcy osób! – dodał inny głos. – Jeśli dowiedzą się o zabójstwie... Matko Boska!

Skotnicki zaczął rozumieć, dlaczego odizolowano gmach Zachęty od reszty miasta. W pogrzebie uczestniczyli pracownicy większości fabryk warszawskich i delegacje z innych miast. Jedna iskra mogła przemienić ich w żądną odwetu armię. Przerażony, obawiał się wybuchu rewolty i starcia antagonistycznych bojówek.

Skotnicki dostrzegł, że w sali zjawił się minister spraw wewnętrznych Ludwik Darowski.

– Czy posłano po marszałka Rataja jako konstytucyjnego zastępcę prezydenta? – zapytał przybyłego ministra.

– Tak – przytaknął Darowski. – Jednak przed sporządzeniem urzędowego aktu zgonu ma on związane ręce.

Szef MSW zbyt optymistycznie poinformował zgromadzonych, że na razie informacja o zabójstwie nie przedostała się na zewnątrz. Jednym z nielicznych poinformowanych był właśnie Rataj.

– Należy jak najszybciej sporządzić akt zgonu – obwieścił Darowski.

Zaczęły się gorączkowe poszukiwania medyka, który tuż po śmierci Narutowicza zdążył go obejrzeć.

– Jest, jest! – Spośród zgromadzonych wypchnięto doktora, najwyraźniej bardzo niezadowolonego z tego faktu. Nie chciał mieć żadnych kłopotów. Podszedł jednak do ciała.

– Musi pan jako lekarz oficjalnie stwierdzić zgon prezydenta – tłumaczył mu z przejęciem Skotnicki.

– Kiedy nie mogę! – usłyszał nagle zaskakującą odpowiedź.

– Dlaczego?

– Bo ja jestem lekarzem chorób wenerycznych.

Roztrzęsiony Skotnicki nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Rozumiał, że doktor bał się zamieszania w polityczną sprawę.

Wtedy do sali wpadł zziajany lekarz z pogotowia, taszcząc nosze. Podbiegł do ciała prezydenta. Specjalista od chorób wenerycznych mógł z ulgą zmieszać się z tłumem. Za lekarzem przyszedł też Sołtan, poważnie zmartwiony brakiem połączenia z Belwederem.

– Należy natychmiast przeciąć kable telefonicznie – kontynuował Darowski, nerwowo przechadzając się po sali, nie patrząc na przybyłego lekarza. – I nie wypuszczać nikogo z budynku. Ciało prezydenta trzeba wywieźć dyskretnie. Panowie! – przypomniał po chwili, dramatycznie podnosząc głos. – Przecież jak ci robotnicy z placu Trzech Krzyży dowiedzą się o morderstwie...

Słuchający tych słów pokiwali ze zrozumieniem głowami. Jedynie pozostający w pomieszczeniu zachodni dyplomaci, nieznający polskiego, patrzyli wokół z konsternacją.

– Nie mogę na to pozwolić – nieoczekiwanie zaprotestował zziajany jeszcze lekarz, odwracając się ku zgromadzonym. – Według regulaminu pogotowia przewóz zmarłych nie jest dozwolony.

Wszyscy byli niezwykle zdenerwowani i reagowali niekiedy w zaskakujący sposób.

– Ależ panie, to są zwłoki prezydenta Rzeczypospolitej! – nie wytrzymał Skotnicki, z krzykiem zwracając się do lekarza. Na dzisiaj miał już serdecznie dość przedstawicieli tego zawodu.

– Przewożenia zwłok prezydenta regulamin też nie przewiduje – upierał się wyraźnie wytrącony z równowagi doktor.

– Bałwan! – wrzasnął Skotnicki. Był już bliski przejścia do rękoczynów.

Sytuację opanowali adiutanci Narutowicza: bezceremonialnie przywłaszczyli sobie nosze, z którymi przybył doktor. Uparty lekarz nadal jednak nie chciał użyczyć karetki pogotowia i wkrótce się wyniósł.

Zgromadzeni w sali nr 1 mężczyźni popatrzyli na siebie ze zmieszaniem. „No i nie uda się ukryć zabójstwa przed robotnikami” – pomyślał Skotnicki.

– Wezwijcie powóz! – krzyknął ktoś ze zgromadzonych.

Skotnicki zdał sobie sprawę, że przy takim środku transportu wszyscy od razu zorientują się w sytuacji.

– Trzeba też wezwać szwoleżerów – stwierdził ktoś stojący obok. „Jak ostentacja, to ostentacja” – pomyślał zrezygnowany Skotnicki.

W tym momencie do sali wkroczył śledczy Sądu Okręgowego w Warszawie Józef Skorżyński, z marszu rozpoczynając dochodzenie. Prawdopodobnie towarzyszył mu prokurator Rudnicki, wciąż zdziwiony sprzeczką Zyndram-Kościałkowskiego z generałem Hallerem. Zabrano się do dokładnej rewizji Niewiadomskiego, rozpoczęto przesłuchanie. Eligiusz beznamiętnie udzielał odpowiedzi.

Zgromadzeni w sali wystawowej nr 1 oficjele – zarazem świadkowie – nie wiedzieli, co ze sobą zrobić.

– Na miłość boską, co pan uczynił?! – nie wytrzymał któryś z zebranych, zwracając się ku Niewiadomskiemu i nie bacząc na czynności śledcze.

– Nikt nie chciał tego dokonać, musiałem sam się tego podjąć – odparł spokojnie.

Po sali przeszedł szmer oburzenia mieszającego się ze zdenerwowaniem i wciąż silnym szokiem. W tej atmosferze Skorżyński dał sobie spokój z przesłuchiwaniem zabójcy.

– Pomóżmy panu prokuratorowi w poszukiwaniu śladów – rzucił Kozłowski, nerwowo przechadzając się po sali. Wraz z Okuniem i woźnym zaczęli przeczesywać miejsce zbrodni, przy pewnej dezaprobacie Skorżyńskiego, obawiającego się zadeptania dowodów.

Szybko znaleziono dwie łuski po nabojach. W pewnym momencie przy pomocy woźnego Okuń odsunął kanapkę w kształcie litery L, na której z powrotem ułożono ciało prezydenta. Okuń nachylił się, zajrzał pod mebel i wydał cichy okrzyk. Skotnicki spojrzał w jego stronę. Okuń odnalazł łuskę po trzecim pocisku. Przekazał ją Skorżyńskiemu.

Wkrótce, wezwany telefonicznie, przybył szwadron przyboczny prezydenta Rzeczypospolitej. Jednak jego obecność niewiele już mogła prezydentowi pomóc.

Warszawa, ulica Mazowiecka
sobota 16 XII 1922, godz. 13.00

Żona Eligiusza Maria Niewiadomska robiła zakupy, trzymając w ręku niewielki koszyk. Wtem usłyszała jakiś harmider.

– Ludzie! Prezydent nie żyje! Zastrzelił go jakiś wariat! – krzyczał nieznajomy, rozgorączkowany mężczyzna.

Po chwili przypadkowi przechodnie przemienili się w złorzeczący tłum, skandujący: „Na szubienicę łotra!”.

Maria przeżyła wstrząs. Płakała. Na wpół przytomnie zaczęła krzyczeć razem z innymi.

Nie wiedziała jeszcze, kto był tym „łotrem”.

Szok

Warszawa, gmach Zachęty
sobota 16 XII 1922, godz. 13.12

Profesor Antoni Leśniowski, lekarz przyboczny prezydenta, zbliżył się do ciała, przynaglony spojrzeniem Józefa Skorżyńskiego, sędziego śledczego Sądu Okręgowego w Warszawie. Leśniowski w pośpiechu przybył przed chwilą na plac Małachowskiego i ze starannie maskowanym zdenerwowaniem spoglądał na zwłoki. Obok stał Edward Okuń lustrujący otoczenie. Salę wystawową nr 1 na pierwszym piętrze opróżniono już z gapiów. Niemniej wciąż dało się słyszeć podniecone głosy, spazmy i krzyki dochodzące z dołu.

Leśniowski podszedł do stojącej na środku sali niewielkiej kanapy. Narutowicz wciąż leżał na wznak, zwrócony głową do drzwi wejściowych z klatki schodowej. Nie wiadomo, kto i dlaczego z powrotem odział ciało w rozpięte futro. Czarny żakietowy garnitur był pognieciony. Ręce zmarłego spoczywały bezwładnie rozłożone, nogi były z lekka rozstawione, oczy zamknięte. Leśniowski zauważył, że koszula na piersi Narutowicza była rozpięta i mocno pokrwawiona. Ślady krwi odnalazł też na prawej dłoni prezydenta. Obok, równolegle do głowy, leżały cylinder i pince-nez, przy nogach zaś znalazł się – nie wiadomo czemu – czarny, zapinany krawat.

– Prezydent nie żyje – trochę bez sensu oznajmił poniewczasie Leśniowski. – Zginął od ran postrzałowych.

Przystąpił do smutnej procedury wypisywania aktu zgonu.

Warszawa, Belweder
sobota 16 XII 1922, godz. 13.20

Tadeusz Gustaw Jackowski z rosnącym zniecierpliwieniem przechadzał się po sali audiencyjnej Belwederu. Pragnąc jak najszybciej podzielić się z prezydentem zdobytymi w Gdańsku informacjami, przybył do gmachu już niewiele po godzinie 12.00. Ku swemu rozczarowaniu dowiedział się, że Narutowicz prawdopodobnie się spóźni w wyniku długiej rozmowy z kardynałem Kakowskim i decyzji o odwiedzeniu Zachęty. Spóźnienie jednak w niezrozumiały sposób przedłużało się.

Czekając na prezydenta, Jackowski odtwarzał sobie w myślach przebieg wizyty w Gdańsku. Wyjechał w piątek rano i prosto z pociągu pośpieszenie udał się do siedziby Generalnego Komisariatu Rzeczypospolitej w Gdańsku, pragnąć spotkać się z Leonem Plucińskim. Pluciński, rozłożony grypą, nikogo nie przyjmował. Kiedy jednak dowiedział się, że o spotkanie usilnie nalega jego dobry znajomy Jackowski – i to w dodatku z poufną misją od prezydenta – natychmiast przyjął go w swej sypialni.

Kiedy Jackowski poinformował, że Narutowicz chciałby powierzyć mu misję tworzenia rządu, Pluciński nie potrafił ukryć zdumienia. Po chwili zaczął jednak zadawać krótkie, rzeczowe pytania. Jackowski nie ukrywał, że sytuacja jest trudna, a nastroje społeczne bardzo wzburzone. Zapewniał zarazem, że Pluciński ma szansę, za aprobatą prezydenta, utworzyć rząd. Komisarz zamyślił się. Poprosił o kilka godzin do namysłu, tłumacząc się zmęczeniem rozmową i chorobą.

Zgodnie z umową Jackowski zjawił się ponownie w godzinach popołudniowych. Pluciński był spokojny i poważny. Stwierdził, że jego

obowiązkiem jest nie uchylać się od wezwania prezydenta. Zdając sobie sprawę z trudnego zadania, jakim będzie stworzenie rządu, oświadczył, że mimo to przyjmuje propozycję i zjawi się w Warszawie tak szybko, jak pozwoli mu lekarz. Uszczęśliwiony Jackowski uścisnął mu rękę i wybiegł z budynku Generalnego Komisariatu, szykując się do drogi powrotnej.

Urzędnik MSZ ocknął się z rozmyślań. Jego uwagę zwróciło zamieszanie w pomieszczeniu dyżurnym Belwederu. Zauważył, że oficer dyżurny zameldował coś majorowi Andrzejowi Macieszy, z którym Jackowski rozmawiał rano. Jego uszu doszła rwana relacja zdenerwowanego dyżurnego:

– Prezydent uległ wypadkowi... Był zamach... Strzelał jakiś malarz-wariat...

Jackowski poczuł zimny pot na karku. W sali zapanowało podniecenie. Major Maciesza rugał przerażonego dyżurnego, który nie mógł przekazać pewnych informacji. Nikt dokładnie nie wiedział, co się naprawdę dzieje; telefony funkcjonowały fatalnie, brakło informacji. Jeden z oficerów – Leon Kniaziołucki – prędkim krokiem udał się do odwachu (siedziby warty) naprzeciw Belwederu z zamiarem połączenia się z miastem przez telefon.

Wrócił po chwili. Jego cichy, choć naładowany emocjami głos rozniósł się po sali:

– Pan prezydent nie żyje...

Jackowski gwałtownie pobladł.

Warszawa, Pałac Namiestnikowski
sobota 16 XII 1922, godz. 13.30

Marszałek Rataj w pośpiechu wychodził z siedziby Prezydium Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie próbował porozmawiać ze zjeżdżającymi się ministrami. Chodzili bezradnie, nie potrafiąc wydać żadnych zarządzeń. Wściekły Rataj postanowił pojechać do Zachęty, by zorientować się w sytuacji.

Przy bramie wyjściowej z Pałacu Namiestnikowskiego zauważył auto wojskowe. Ze środka wyskoczył nagle adiutant Józefa Piłsudskiego.

– Panie marszałku, marszałek Piłsudski oczekuje pana w Sztabie Generalnym – oświadczył Ratajowi.

– Jadę na chwilę do Zachęty – odparł polityk, wyraźnie się śpiesząc. – Potem przyjmę marszałka Piłsudskiego w Prezydium – dodał poirytowany.

Adiutant popatrzył na niego przez chwilę, wyraźnie zdziwiony. Wyglądało, jakby się wahał.

– Rozkaz! – zdecydował się w końcu na odpowiedź.

Warszawa, gmach Zachęty
sobota 16 XII 1922, godz. 14.30

Pod budynek Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych zajechało przysłane wprost z Belwederu lando, czyli czterokołowy powóz konny. Wokół ustawił się szwadron szwoleżerów. Twarze żołnierzy były poważne. Unikali wzroku coraz liczniej gromadzących się na placu Ewangelickim osób. Goście wystawy, zmuszeni do opuszczenia budynku, przekazywali straszną wiadomość przybywającym. Atmosfera robiła się gorąca.

– Gdzie jest morderca! Pokazać nam zabójcę! – dało się słyszeć krzyki.

Podniecony tłum falował i mienił się jak żywy organizm. Nagle wydał zbiorowe westchnienie. U wejścia do Zachęty, owinięte w narodowy sztandar, ukazało się ciało Gabriela Narutowicza niesione przez Stanisława

Cara, ministra Ludwika Darowskiego, członków Komitetu Zachęty oraz przybyłych pośpiesznie najbliższych.

Dopiero przed chwilą zakończono sporządzanie aktu zgonu. Marszałek Rataj wciąż czekał na formalną możliwość objęcia funkcji zastępcy prezydenta. „Póki co nikt w tym kraju nie rządzi – myślał przerażony Skotnicki, patrząc na zwłoki. – To całkowita anarchia!”.

Kondukt zbliżył się do szwoleżerów i landa. Cała grupa udała się w uroczystym przemarszu do Belwederu, odprowadzana przez wciąż gęstniejący tłum, miotany sprzecznymi uczuciami przygnębienia i wściekłości. Na stopniach powozu stali rotmistrz Ignacy Sołtan i doktor Antoni Leśniowski.

Tymczasem, z dala od oczu ciekawskich, paru policjantów wysokiej rangi, ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony, wyprowadziło niezmiennie spokojnego Niewiadomskiego z Zachęty bocznym wejściem od ulicy Królewskiej i w pośpiechu wepchnęło go do policyjnego automobilu. Pojazd dyskretnie zapuścił silnik i szybko ruszył w kierunku więzienia mokotowskiego przy ulicy Rakowieckiej. Zgromadzeni niedaleko gapie nie zdążyli zareagować.

Na czyjeś – nie wiadomo czyje – polecenie w tym samym czasie na gmachu Zachęty zatknięto żałobne chorągwie.

Była to zapewne jedyna tego dnia sprawnie przeprowadzona inicjatywa państwowa.

Warszawa, cukiernia „Teatralna”
sobota 16 XII 1922, godz. 14.35

Zofia Kirkor-Kiedroniowa, siostra endeckiego polityka Władysława Grabskiego, przeglądała prasę w modnej cukierni „Teatralna” (zwanej też

„Pod Filarami” albo „Lours”) mieszczącej się w gmachu Teatru Wielkiego. Z pewnym zdziwieniem rozglądała się wokoło, zauważając wyjątkowo dużą – jej zdaniem – liczbę klientów żydowskich.

Gdy przełknęła łyk herbaty i przerzuciła stronę gazety, usłyszała stukot końskich kopyt i podniecone, narastające głosy. Spojrzała przed siebie. Większość klientów cukierni zerwała się z krzeseł i tłoczyła przy wejściu, obserwując ulicę.

– Co się stało? – Zdumiona Zofia stanęła obok kasjera cukierni.

– Zamach na prezydenta – odparł zaskakująco spokojnym głosem pracownik lokalu.

– Gdzie?! – dopytywała się skonsternowana Zofia.

– Zdaje się, że w Zachęcie.

– Czy ranny?!

– Nie wiadomo.

Zofia wybiegła ze sklepu, odprowadzana wzrokiem bardzo przestraszonych Żydów. „Pewnie przewidują nowe zamieszki!” – pomyślała, wracając do domu.

Warszawa, kawiarnia „Ziemiańska”
sobota 16 XII 1922, godz. 14.40

Edward Ligocki, sympatyzujący z generałem Hallerem literat i mason, usłyszał głuchy stukot końskich kopyt. Wstał od stolika w kawiarni „Mała Ziemiańska” przy ulicy Mazowieckiej, przy którym popijał kawę. Wyszedł na zewnątrz. To, co ujrzał, zdumiało go.

Od strony Krakowskiego Przedmieścia zbliżał się czwórkami oddział kawalerii. Ligocki dostrzegł obnażone szable trzymane ostrzami do góry. Na czele kawalkady sunął samotny pułkownik. Ludzie na chodnikach

zamarli. Rozległy się głosy zdziwienia, potem niedowierzania. Podkowy pogrzebowym tonem uderzały o brudną kostkę ulicy. Za oddziałem Ligocki ujrzał otwarty pojazd. Zaraz potem dostrzegł owinięte w sztandar ciało Narutowicza. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Długo stał przed wejściem do „Ziemiańskiej”, zwrócony w stronę oddalającego się landa.

– No i zamordowali człowieka... – usłyszał westchnienie jakiegoś mężczyzny.

Warszawa, Belweder
sobota 16 XII 1922, godz. 14.50

Uroczysty kondukt żałobny z ciałem prezydenta dotarł do Belwederu. Na dziedzińcu honor zmarłemu oddała kompania przyboczna, która cały poranek spędziła bezczynnie. Zwłoki ułożono w sali audiencyjnej i przepasano wielką wstęgą orderu Orła Białego. Ułani szwadronu przybocznego rozpoczęli wielogodzinną wartę honorową.

Warszawa, gmach Sejmu
sobota 16 XII 1922, popołudnie

Uzbrojeni w sękate kije posłowie PPS i PSL „Wyzwolenie” wpadli, trzaskając drzwiami, do siedziby klubu poselskiego Narodowej Demokracji przy ulicy Wiejskiej.

– Mordercy! – krzyknęli zdenerwowanymi głosami i rzucili się z kijami na przebywających w pomieszczeniu endeków.

Zdumieni narodowcy szybko otrząsnęli się z szoku i zaczęli oddawać ciosy. Szarpanina, przy wtórze przekleństw i złorzeczeń, przyciągnęła

innych przebywających w gmachu posłów, którzy przystanęli w progu demolowanego pomieszczenia.

Dopiero po pewnym czasie udało się rozdzielić krewkich parlamentarzystów.

Warszawa, Belweder
sobota 16 XII 1922, popołudnie

Sędzia śledczy Józef Skorżyński niecierpliwie czekał na przybycie profesora medycyny sądowej Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego i pułkownika Eugeniusza Piestrzyńskiego, którzy mieli dokonać oględzin zwłok, niezależnie od aktu zgonu.

Dwaj lekarze przybyli wkrótce i bez zwlekania przystąpili do oględzin ciała Narutowicza. Wiktor Grzywo-Dąbrowski, młody, trzydziestosiedmioletni uczony, stojący wówczas dopiero u progu bogatej kariery, na potrzeby protokołu prowadził obserwację na głos:

– Oględziny zwłok mają na celu ustalenie uszkodzeń cielesnych, otrzymanych podczas zamachu w dniu dzisiejszym, oraz stwierdzenie przyczyn śmierci – rozpoczął urzędowym tonem, pochylając się nad ciałem. – Zwłoki mężczyzny budowy i odżywiania dobrego w wieku lat około sześćdziesięciu, wzrostu powyżej średniego. Stężenie pośmiertne wszędzie wyraźne, mniej więcej równomiernie utrzymane w poszczególnych częściach ciała – informował, fachowo dotykając zwłok. – Skóra na ogół blada. Plamy opadowego przekrwienia średnio obfite, o zabarwieniu brudnofioletowym, najwyraźniej się przedstawiają na tylnej powierzchni szyi, w górnej części pleców, w okolicy lędźwiowej i krzyżowej, w mniejszym zaś stopniu po bokach klatki piersiowej, na bocznych powierzchniach pośladka, na tylnej powierzchni ud i tylnej

powierzchni ramion. – W asyście Piestrzyńskiego Grzywo-Dąbrowski delikatnie i dyskretnie, ale sprawnie i bez oporów manipulował leżącym sztywno ciałem.

– Powieki przymknięte, spojówki blade – kontynuował. – Źrenice średniej wielkości, okrągłe, równe. Napięcie gałek ocznych zmniejszone. W prawej dziurce nosowej znajduje się nieznaczna ilość ciemnych skrzepów krwi. Wargi zaciśnięte, bladoróżowe. Na wargach nieznaczna ilość skrzepów krwi. Brzuch z lekka wzdęty, narządy płciowe bez zmian. Skóra na klatce piersiowej od przodu i od tyłu przykryta warstwą płynnej krwi.

Dwaj lekarze usunęli krew z klatki piersiowej Narutowicza i zaczęli przyglądać się ranom zadanym przez Niewiadomskiego.

– Na klatce piersiowej od przodu, na poziomie odpowiadającym przyczepowi piątych żeber do mostka i w odległości piętnastu milimetrów od linii środkowej – mówił pochylony Grzywo-Dąbrowski – znajduje się rana w kształcie półksiężyca, wygięciem zwrócona ku dołowi i w prawo. Szerokość tej rany wynosi dziesięć milimetrów. Brzegi odstają od siebie mniej więcej na trzy milimetry. Brzegi skórne są równe. W głębi tej rany widoczne są z lekka postrzępione tkanki, przepojone krwią. Skóra naokoło opisanej rany zabarwiona na niebieskawo w promieniu czterech–pięciu centymetrów.

– Na klatce piersiowej od przodu na poziomie trzecich żeber w linii środkowej znajduje się powierzchne zadrapanie naskórka o kształcie okrągławym, około trzech milimetrów średnicy – ciągnął. – Obnażona skóra na tym miejscu zabarwiona na czerwonoróżowo. Głębokość zdrapania około milimetra. – Profesor przechylił ciało. – Na lewym boku w linii pachowej tylnej na poziomie dziewiątego żebra znajduje się na skórze otwór okrągły o średnicy sześciu milimetrów o brzegach z lekka

rozmiękłych, wwiniętych ku wewnątrz. Naskórek naokoło tego otworu starty w postaci rąbka około dwumilimetrowej szerokości i w ten sposób uwidoczniła się powierzchnia skóry o kolorze szaraworóżowym. Poza tym ku przodowi od tego otworu na przestrzeni około pięciu milimetrów skóra zabarwiona na sinawo. Z opisanego otworu obficie wypływa ciemna krew.

Skorżyński odruchowo zerknął na zegarek. Tymczasem Grzywo-Dąbrowski kontynuował swój szczegółowy opis: – Na tylnej powierzchni klatki piersiowej jedenastego żebra, w odległości pięciu i pół centymetra od linii środkowej, znajduje się otwór o kształcie zbliżonym do okrągłego, około pięciomilimetrowej średnicy, o brzegach rozmiękłych, nierównych, częściowo wwiniętych w głąb, częściowo ku zewnątrz. Naokoło tego otworu również naskórek starty w postaci rąbka około dwumilimetrowej szerokości. Rąbek ten zabarwiony na ciemnoróżowo. Ku przodowi od tej rany tuż przy jej brzegu skóra zabarwiona na ciemnoniebieskawo na przestrzeni około czterech milimetrów. Z rany tej wypływa ciemna krew.

– W okolicy lędźwiowej – dodał. – W linii środkowej na poziomie czwartego kręgu lędźwiowego znajduje się otwór o kształcie prawie okrągłym, o brzegach rozmiękłych, nierównych, z lekka wwiniętych w głąb. Naokoło tej rany znajduje się rąbek szerokości około dwóch milimetrów o kolorze ciemnoczerwonym. W obrębie tego rąbka naskórek starty. Skóra w bezpośrednim otoczeniu tej rany na przestrzeni od dwóch do pięciu milimetrów o zabarwieniu sinawym. Z rany opisanej wypływa ciemna krew.

Po chwili dalszych badań ogłosił: – Poza powyżej wymienionymi innych uszkodzeń na ciele nie stwierdzono.

– Panie doktorze, proszę – zamiast odpowiedzi Skorżyński wezwał profesora Uniwersytetu Warszawskiego Edwarda Lotha, który miał za zadanie zabalsamować ciało prezydenta.

Lekarz przystąpił do pracy w asyście Grzywo-Dąbrowskiego i Piestrzyńskiego. W czasie pracy odkryli jeszcze jeden fakt: w worku osierdziowym znajdowała się niewielka ilość płynnej krwi, a na tylnej powierzchni serca, mniej więcej w środku, stwierdzili istnienie okrągłego, centymetrowego otworu. Był też drugi, nieregularny i dwa razy większy otwór na stronie przedniej mięśnia sercowego, po prawej jego stronie.

– Należy włączyć tę informację do protokołu – zadecydował Skorżyński.

– Proszę dodać – odezwał się Grzywo-Dąbrowski – że uszkodzenia serca powstały wskutek przestrzału. Rana ta była bezwarunkowo śmiertelna. Śmierć musiała nastąpić bardzo szybko. Świadomość musiała być utracona natychmiast.

Po chwili ciszy dodał, zdradzając większe emocje: – Niewiadomski to malarz. Doskonale zna anatomię. I doskonale wiedział, gdzie celuje. Strzelał z bardzo bliska, z zimną krwią, niemal dotykając futra prezydenta...

Przez chwilę patrzyli sobie ze Skorżyńskim w oczy.

– Dziękuje, panowie – odparł wreszcie Skorżyński. – Będę jeszcze prosił o sporządzenie pisemnej opinii.

Niewiele później Grzywo-Dąbrowski i Piestrzyński wręczyli śledczemu karteczkę:

Opinia.

I. Na podstawie wyniku oględzin zwłok Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej Gabriela Narutowicza stwierdziliśmy obecność trzech ran postrzałowych, z których dwie zadane w klatkę piersiową, jedna zaś w okolicę lędźwiową kręgosłupa.

II. Wszystkie trzy strzały padły z tyłu, przy tym kula od jednego tylko strzału przeszła na wskroś klatki piersiowej, dwie zaś kule pozostały

najprawdopodobniej w ciele.

III. Kula, która wyszła przez otwór w klatce piersiowej, w przebiegu swoim uszkodziła płuca i ewentualnie serce lub duże naczynie klatki piersiowej, powodując śmiertelne zranienie.

IV. Biorąc pod uwagę umiejscowienie dwóch pozostałych ran, przechodzimy do wniosku, że zranienia te mogły spowodować znaczny krwotok i w ten sposób mogły być dla życia niebezpieczne, w każdym razie przyśpieszyły one zejście śmiertelne.

V. Opisane rany postrzałowe mogły być zadane z przedstawionego nam pistoletu magazynowego wyrobu hiszpańskiego kalibru 7,65 milimetrów.

VI. Odrapania mogły powstać podczas ratowania Prezydenta, w związku z przypadkowym zadrapaniem lub zastrzykiem.

Biegli: W. Grzywo-Dąbrowski, Piestrzyński Eugeniusz

Warszawa
sobota 16 XII 1922

Przez kilka godzin po zastrzeleniu Narutowicza przez Eligiusza Niewiadomskiego władza w Rzeczypospolitej leżała na ulicy. Nie działały urzędy, ministerstwa. Nie było rządu, nie było prezydenta. Nie ogłoszono nawet publicznej żałoby, a mimo to – nie wiadomo z jakiego powodu – nawet kina zostały zamknięte. Marszałek Rataj nie mógł przejąć prezydenckich obowiązków, zanim nie sporządzono uwierzytelnionego aktu zgonu. Zapanowała anarchia.

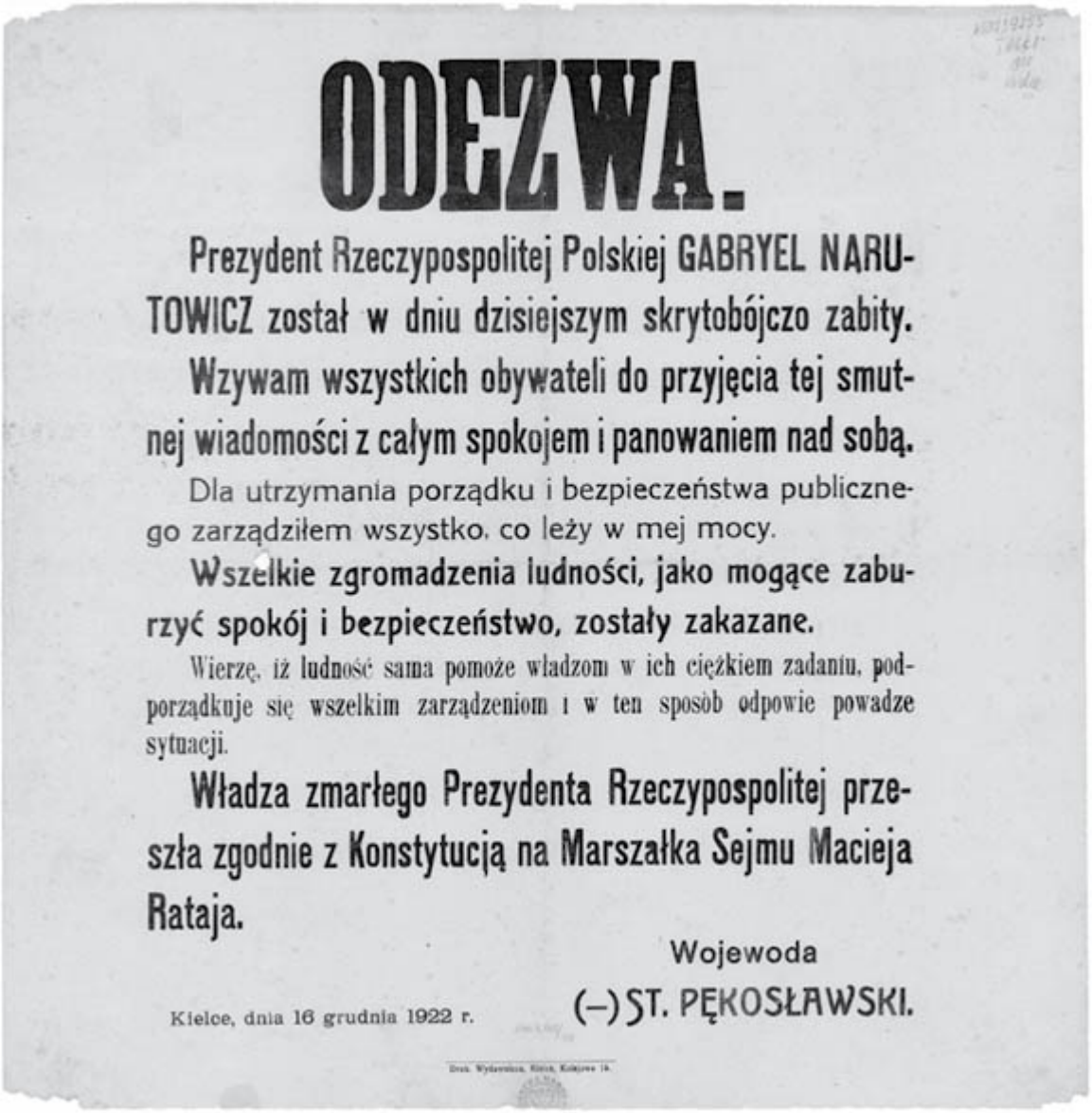

ODEZWA.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej GABRYEL NARUTOWICZ został w dniu dzisiejszym skrytobójczo zabity.

Wzywam wszystkich obywateli do przyjęcia tej smutnej wiadomości z całym spokojem i panowaniem nad sobą.

Dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego zarządziłem wszystko, co leży w mej mocy.

Wszelkie zgromadzenia ludności, jako mogące zaburzyć spokój i bezpieczeństwo, zostały zakazane.

Wierzę, iż ludność sama pomoże władzom w ich ciężkiem zadaniu, podporządkuje się wszelkim zarządzeniom i w ten sposób odpowie powadze sytuacji.

Władza zmarłego Prezydenta Rzeczypospolitej przeszła zgodnie z Konstytucją na Marszałka Sejmu Macieja Rataja.

Wojewoda
(–) ST. PĘKOSŁAWSKI.

Kielce, dnia 16 grudnia 1922 r.

Odezwa wojewody kieleckiego Stanisława Pękosławskiego z 16 grudnia 1922 roku. Fot. Polona

Minister spraw wewnętrznych zdymisjonowanego rządu Ludwik Darowski bezskutecznie starał się zapanować nad sytuacją. Ogłosił publiczne obwieszczenie, w którym przekonywał:

Niepoczytalna ręka dokonała dnia 16 grudnia ohydnego mordu na osobie Najwyższego Dostojnika Rzeczypospolitej Polskiej Gabriela Narutowicza.

Sprawca został ujęty i poniesie zasłużoną karę.

Obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej objął zastępczo w myśl artykułu 40 Konstytucji Marszałek Sejmu p. Maciej Rataj.

Wszystkie władze nadal sprawują swe funkcje.

Powiadamiając o powyższym ludność Rzeczypospolitej, wzywam wszystkich do zachowania bezwzględnego spokoju i powagi, potrzebnych w chwili tak ciężkiej próby dla Państwa.

Minister L. Darowski

Kierownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych

Warszawa, 16 grudnia 1922 r.

Rzeczywistość nie wyglądała tak różowo. „Na warszawskich trotuarach każdy mimowolnie nadsłuchiwał, czy gdzie już nie strzelają” – pisał w tym czasie Stanisław Cat Mackiewicz. „To początek wojny domowej” – alarmowała prasa litewska w Wilnie.

Co prawda bojówki endeckie, tak aktywne w ostatnich dniach, zostały sparaliżowane czynem mordercy, w zamian uaktywniły się jednak grupy radykalnej lewicy. Zmobilizowali się też piłsudczycy.

Część oficerów legionowych, działaczy piłsudczykowskich i ludowców zawarła błyskawiczne porozumienie. Później pojawiały się nawet komentarze, że Niewiadomski został sprowokowany przez te środowiska do swego czynu, który miał stać się pretekstem do przeprowadzenia piłsudczykowskiej rewolucji, uzasadnianej koniecznością ratowania pozbawionego władz państwa. Pierwszym celem akcji, o której przemyśliwano, było wymordowanie prawicowych przywódców w ramach odwetu za śmierć prezydenta oraz przejęcie władzy w Polsce. Władzy, której tego dnia nikt nie sprawował.

Wojna domowa wisiała w powietrzu.

Warszawa, ulice miasta
sobota 16 XII 1922, wczesny wieczór

– Prezydent nie żyje! Narutowicz zamordowany! – chłopcy sprzedający wieczorne wydanie „Kuriera Warszawskiego” (nr 345) nie musieli tym razem udawać przejęcia.

Ludzie wyrywali sobie jeszcze ciepłe egzemplarze dziennika, który najwcześniej umieścił na pierwszej stronie krótką i niezbyt dokładną depeszę Polskiej Agencji Telegraficznej na temat morderstwa:

W chwili, gdy Prezydent Rzeczypospolitej wprowadzony przez prezesa i wiceprezesa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, w towarzystwie szefa kancelarii cywilnej, dwóch adiutantów, prezesa Rady Ministrów oraz ministrów Kumanieckiego i Makowskiego znalazł się w pierwszej sali, stojący w tłumie za prezydentem Eligiusz Niewiadomski strzelił trzykrotnie z rewolweru w plecy Prezydenta Rzeczypospolitej, po czym usiłował zbiec. Prezydent upadł i w kilka minut życie skończył. Mordercę ujął adiutant Prezydenta Rzeczypospolitej.

Warszawa, Sztab Generalny Wojska Polskiego, ulica Rakowiecka
sobota 16 XII 1922, wieczór

W ciasnym pomieszczeniu należącym do Sztabu Generalnego Wojska Polskiego zebrało się kilku wpływowych oficerów legionowych. W ożywionej dyskusji prym wiedli Ignacy Boerner, Adam Koc, Bogusław Miedziński, Henryk Floyar-Rajchman i Kazimierz Stamirowski. Wszyscy współpracowali swego czasu z Piłsudskim.

– Panowie, sytuacja jest krytyczna – mówił jeden z nich. – Ministerstwa nie działają. Próbowaliśmy nawiązać kontakt telefoniczny. I nic.

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych nie ma nikogo. W Komendzie Głównej Policji też. Nie rozesłano jakichkolwiek instrukcji czy raportów ani do województw, ani do placówek zagranicznych, ani do Polskiej Agencji Telegraficznej. Panowie, rząd nie funkcjonuje.

– To nie może dłużej trwać. Czas przejąć władzę – odparł cicho drugi, głosem zdradzającym zdenerwowanie i determinację.

Mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu.

Czy Józef Piłsudski wiedział o tych planach? Czy przemyśliwał nad wykorzystaniem napiętej sytuacji do przejęcia władzy? Na pierwsze pytanie można z dużym prawdopodobieństwem odpowiedzieć twierdząco. Drugie budzi o wiele większe wątpliwości, o czym świadczyły jego dalsze posunięcia. Posunięcia, które – jak zobaczymy – okażą się kluczowe.

Warszawa, siedziba warszawskiej PPS, Aleje Jerozolimskie 6
sobota 16 XII 1922, wieczór

– Panie przewodniczący, należy brutalnie pomścić zabójstwo prezydenta! – pułkownik Marian Zyndram-Kościałkowski, wierny piłsudczyk, gwałtownie gestykulował rękami, zwracając się do przewodniczącego warszawskiej organizacji Polskiej Partii Socjalistycznej Rajmunda Jaworowskiego. Tego samego, który został uwięziony przez bojówki endeckie w czasie zamieszek z 11 grudnia. Obok siedziało dwóch oficerów, którzy przybyli do siedziby PPS wraz z pułkownikiem.

– Trzeba wymordować głównych działaczy prawicy. – Wciąż wściekły Zyndram-Kościałkowski wziął głęboki oddech, zanim wypowiedział te słowa. – Trzeba wykorzystać to, że przed paroma godzinami na placu Trzech Krzyży zgromadzili się robotnicy, którzy przyszli na uroczysty pogrzeb zmarłego jedenastego grudnia kolegi.

Asystujący mu oficerowie pokiwali głowami.

– Rozumiem. – Jaworowski starał się zapanować nad nerwami. Miał właśnie podjąć kluczową decyzję bez porozumienia z centralnym kierownictwem swej partii. Przełknął ślinę.

– Oczekuję zatem na listę z nazwiskami osób, które należy zlikwidować – powiedział po chwili milczenia. – Moja milicja porządkowa oznaczy farbą bramy domów osób, których należy się pozbyć.

Warszawa, mieszkanie Jerzego Iwanowskiego
sobota/niedziela 16/17 XII 1922, noc

Jerzy Iwanowski, aktywny działacz PPS i były minister spraw zagranicznych Litwy Środkowej – efemerycznego tworu państwowego stworzonego przez Piłsudskiego – był bardzo zdenerwowany z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze – zabójstwo prezydenta. Po drugie – planowany odwet. Po trzecie – nigdy jeszcze w swym domu nie gościł tylu znakomitych gości.

Rozejrzał się po salonie. Pogrążeni w żywej dyskusji, siedzieli na kanapach i krzesłach lub stali pomiędzy nimi czołowi aktywiści PPS: Ignacy Daszyński, Rajmund Jaworowski, Jędrzej Moraczewski, Adam Szczypiorski, Tadeusz Hołówko. Dyskutowali z przybyłymi dyskretnie na spotkanie wojskowymi, wpływowymi oficerami z kręgu Piłsudskiego: podporucznikiem Kazimierzem Stamirowskim i majorem Adamem Włoskowiczem.

Atmosfera była gęsta, a Jaworowski, przestraszony podjętymi przez siebie zobowiązaniami, wyglądał na onieśmielonego obecnością przywódców swej partii. Daszyński gorąco przekonywał pułkowników, by odstąpili od planu odwetu. Zgromadzeni otrząsnęli się już z pierwszego

szoku wywołanego zabójstwem Narutowicza i poważnie dyskutowali nad panującym bezkrólewiem i możliwymi sposobami przejęcia władzy. Entuzjazm sprzed kilku godzin częściowo się ulotnił, a rozmówcy zaczęli zdawać sobie sprawę, jak trudnego zadania się podjęli.

Wtem do mieszkania wpadł poseł Norbert Barlicki, jeden z najważniejszych ludzi w PPS. Barlicki spiorunował wzrokiem Jaworowskiego.

– Panowie, wracam właśnie z narady, jaką marszałek Józef Piłsudski odbył z marszałkiem sejmu Ratajem i generałem Władysławem Sikorskim. – Rozmowy gwałtownie ucichły, wszystkie oczy zwróciły się ku Barlickiemu.

– Zostało ustalone – kontynuował przybyły – że Maciej Rataj, zgodnie z artykułem czterdziestym konstytucji, powoła jutro rano generała Sikorskiego na premiera oraz ministra spraw wewnętrznych.

Goście spojrzeli na siebie, po czym zaczęli wymieniać się uwagami.

– Chciałbym wyraźnie podkreślić – głos Barlickiego przebił się przez szmery rozmów – sformułowaną na spotkaniu opinię marszałka Piłsudskiego. Marszałek w dobitny sposób opowiedział się, cytuję, „przeciw nierozważnym akcjom” planowanym tu i ówdzie. Dodał też, że Polski nie stać na jakiekolwiek zaostrzanie walk wewnętrznych. Mam nadzieję, że stanowisko to zostało wyrażone jasno.

Mówca popatrzył twardo wokół. Jego słowa wywołały różne reakcje: od aprobaty po niezgodę. W tym momencie prawdopodobnie upadła sprawa przewrotu wojskowego.

Rano Maciej Rataj powołał rząd energicznego i twardego Władysława Sikorskiego. Odwetowe nastroje w PPS zostały opanowane, głównie dzięki postawie Ignacego Daszyńskiego i Norberta Barlickiego. Stanisław Thugutt

tonował za to rozgorączkowanie niektórych ludowców, zwłaszcza z PSL „Wyzwolenie”, którzy właśnie przybyli do Warszawy na swój zjazd.

Również Sikorski skanalizował część nagromadzonej negatywnej energii, oświadczając w dniu wyboru, że nie zamierza jedynie ukarać Eligiusza Niewiadomskiego, lecz także moralnych sprawców tej zbrodni – narodowców. Antyprezydencką nagonkę z burzliwego okresu między 9 a 16 grudnia nazwał większą hańbą niż samo zabójstwo.

Warszawa, Pałac Namiestnikowski
niedziela 17 XII 1922, poranek

Władysław Sikorski, dość młody, bo czterdziestojednoletni generał, po w zasadzie nieprzespanej nocy nie miał czasu na odpoczynek. Powierzono mu stanowisko premiera i szefa MSW. Właśnie podpisał surową odezwę, która – jak liczył – mogła uspokoić nastroje i zapobiec wojnie domowej. Raz jeszcze rzucił okiem na niezwykle emocjonalny tekst:

Rodacy!

Powołany przez marszałka Sejmu, zastępującego prezydenta Rzeczypospolitej, obejmuję, jako karny żołnierz, ster rządów Rzeczypospolitej w chwili najcięższej, jaką przeżywało państwo nasze od swego zmartwychwstania.

Groza bowiem najazdu bolszewickiego, który w roku 1920 stał u wrót stolicy, blednie wobec politycznego mordu, jakiego ofiarą padł pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej; wobec walk bratobójczych oraz wobec zamachów na porządek prawny i majestat Rzeczypospolitej [...]. *Dzisiaj zbrodnicze działania występnych fanatyków okryły nas niesławą, rozsadzają siłę wewnętrzną państwa, zwiększając jego niebezpieczeństwa zewnętrzne.*

Ujmując w takim momencie ster rządów, jestem zdecydowany przeprowadzić z całą bezwzględnością obronę porządku prawnego i spokoju wewnętrznego [...].

Mimo zrozumiałego oburzenia, z jakiem reaguje społeczeństwo w odpowiedzi na mord Prezydenta Rzeczypospolitej, domagam się od wszystkich bezwzględnego spokoju. Rząd spełni swój obowiązek. Winni skrytobójczego mordu spotkają się z zasłużoną i prawem przewidzianą karą. Równocześnie jednak wszelkie samosądy społeczne będą ukrócone z całą stanowczością.

Mając pełną wiarę w możliwość odwrócenia niebezpieczeństwa, które grozi państwu, oraz niedopuszczenia do zamętu, żądam od Was, Polacy, w tej ciężkiej chwili poszanowania prawa, posłuchu władzom, jak również karnego oddania się pracy dla Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Prezes rady ministrów

gen. dyw. Władysław Sikorski

Sikorski nie zamierzał poprzestawać wyłącznie na odezwach. Przekonany o potrzebie zdecydowanych działań, wprowadził na krótko stan wyjątkowy w Warszawie, wyprowadził wojsko na ulice i kazał internować najbardziej zajadłych przeciwników Narutowicza, m.in. pisarza Adolfa Nowaczyńskiego. Wśród aresztowanych znalazł się także Edward Ligocki, którego winą były powiązania z generałem Hallerem.

W kraju zapanowała bardzo chwiejna równowaga pod rządami wojskowych. Niewiadomski, chcąc swym czynem zapobiec anarchii, niemal do niej doprowadził.

Warszawa, Belweder

niedziela 17 XII 1922, godz. 10.00

Ksiądz Marian Tokarzewski, oficjalny kapelan prezydenta Rzeczypospolitej, punktualnie o godzinie 10.00 rozpoczął prywatną mszę dla rodziny Narutowicza i jego najbliższych przyjaciół. Uroczystość odbywała się w sali audiencyjnej Belwederu, gdzie umieszczono zabalsamowane ciało. Przy trumnie, odziane w czarne ubrania, stały pogrążone w rozpaczy dzieci: Stanisław Józef i Anna. Niedawno straciły matkę. Teraz musiały pogodzić się ze śmiercią ojca.

Obecny na uroczystości Stanisław Car z trudem powstrzymywał łzy. Łzy wściekłości i żalu.

Ciało Gabriela Narutowicza wystawione na katafalku w Belwederze. Fot. Polona

Warszawa, Sąd Okręgowy
poniedziałek 18 XII 1922

PROTOKÓŁ

Dnia 18 grudnia 1922 r. sędzia śledczy Sądu Okręgowego w Warszawie Józef Skorżyński dokonał oględzin rewolweru, odebranego od oskarżonego Eligiusza Niewiadomskiego, oraz przedmiotów odebranych od niego przy rewizji osobistej, dokonanej niezwłocznie po dokonaniu przezeń zamachu na Prezydenta Rzeczpospolitej. Oględzinami ustalono:

1. Rewolwer 10-strzałowy – hiszpański pistolet nr 78950.

2. Magazyn do tego rewolweru z czterema niewystrzelonymi nabojami rewolwerowymi, takiż jeden nabój rewolwerowy niewystrzelony i dwie gilzy od wystrzelonych nabojów.

3. Legitymacja wydana przez ministerstwo sztuki i kultury w dniu 1 stycznia 1921 r. nr 3050/23 na nazwisko Eligiusza Niewiadomskiego, radcy ministerialnego.

4. Żółty skórzany portfel, wewnątrz którego znajduje się: a) zegarek niklowy na rękę bez bransoletki, b) siedem biletów wizytowych z nazwiskiem Eligiusza Niewiadomskiego, c) mała karteczka, na której ołówkiem napisano „Niewiadomski Eligiusz”, d) 20 615 marek polskich z następującymi banknotami: 2 banknoty po 10 000 marek, 1 banknot – 500 marek, 3 banknoty po 20 marek, 5 banknotów po 10 marek i jeden pięciomarkowy; e) maleńka karteczka z napisem na jednej stronie: „wazy fenickie (rysunek)” i na odwrotnej stronie: „Cew za równo 600”, „10 IX 1922 r.”.

5. Żelazny klucz od zatrzasku przy drzwiach.

6. Biała nieprana chustka do nosa z literą „E”.

Na powyższym zakończono protokół dzisiejszy.

DECYZJA: Dnia 18 grudnia 1922 r. sędzia śledczy Józef Skorżyński, mając na uwadze, że znalezione podczas osobistej rewizji przy oskarżonym Niewiadomskim i wyszczególnione w protokole oględzin z dnia dzisiejszego

przedmioty pod numerami 3–6 nie mają znaczenia dla sprawy, zdecydował powyższe przedmioty zwrócić według własności.

Ostatecznie rewolwer, jedna kula, dwie gilzy i jeden nabój trafiły do zakładu medycyny sądowej Uniwersytetu Warszawskiego – zgodnie z życzeniem tej placówki.

Mała pomięta karteczka z podpunktu c) z imieniem i nazwiskiem zabójcy stała się dla niektórych przesłanką, że Niewiadomski uczestniczył w szerszym spisku. Niektórzy członkowie rodziny Eligiusza byli przekonani, że karteczka ta była losem, który właśnie jego wskazał spośród trzech kandydatów do morderstwa, wyselekcjonowanych przez tajemniczą organizację spiskową, szukającą osób powiązanych z Zachętą. Pojawiały się głosy, że tak naprawdę rozchwiany emocjonalnie artysta został dyskretnie podpuszczony do zbrodni przez fanatycznych piłsudczyków, pragnących wykorzystać falę oburzenia spowodowaną zabójstwem prezydenta do rozprawienia się z prawicą i przeprowadzenia zamachu stanu.

Pogłoski te nie zostały w żaden sposób potwierdzone, choć przecież po wyborze Narutowicza tendencje spiskowe były realnym zjawiskiem. Czy tylko po stronie piłsudczyków?

Warszawa, Sąd Okręgowy
poniedziałek 18 XII 1922

PROTOKÓŁ
Dnia 18 grudnia 1922 r. sędzia śledczy Sądu Okręgowego w Warszawie Józef Skorżyński dokonał oględzin futra, w którem był Prezydent Rzeczpospolitej w momencie dokonania na niego zamachu, przy czym

ustalił: futro – tzw. bibrety, kryte ciemną materią, mały, formy okrągłej, otwór. Na odległość mniej więcej 10 centymetrów ku środkowi i około 6 centymetrów w dół drugi takiż otwór i wreszcie prawie na samym szwie również na odległości 8 centymetrów w bok i 6 centymetrów w dół od drugiego otworu takiż otwór trzeci. Śladów opalenizny materii w okolicach otworów nie skonstatowano. O powyższym sporządzono protokół niniejszy.

Warszawa, Belweder
poniedziałek 18 XII 1922, popołudnie

Marszałek Rataj popatrzył w kierunku zamykanych właśnie drzwi swego gabinetu. Potarł oczy. Przed chwilą odbył mało przyjemną rozmowę z Marią Niewiadomską i jej córką Anną. Kobiety błagały marszałka, pełniącego obowiązki prezydenta, by Eligiusz nie był sądzony przez sąd doraźny. Rataj zapewnił, że tak się nie stanie. Nie zdradził jednak, że sprawa zostanie najprawdopodobniej rozstrzygnięta w błyskawicznym tempie.

Patrząc na drzwi, myślał o informacji przekazanej niedawno przez mecenasa Stanisława Kijeńskiego, ochotniczego obrońcę Niewiadomskiego, według którego dzisiaj miał zostać wykonany kolejny zamach: na pełniącego funkcję „interrexa” marszałka. Później zadzwonił z Pragi jakiś „major rezerwy”, który rzekomo wpadł na ślad planowanego zamachu.

„To jakieś szaleństwo!” – pomyślał w desperacji Rataj. Bezwiednie sięgnął ręką do szuflady biurka, gdzie trzymał napisany tego dnia na wszelki wypadek pożegnalny list do żony.

Warszawa, mieszkanie Eligiusza Niewiadomskiego, ulica Szopena

poniedziałek 18 XII 1922, popołudnie

Policjanci z VI okręgu miasta stołecznego Warszawy bez pośpiechu wkroczyli do lokalu Niewiadomskich. Eligiusz przebywał w areszcie, a żona i córka malarza wybrały się właśnie do Rataja. Policjanci, dość delikatnie obchodząc się z domowymi sprzętami, uważnie lustrowali pomieszczenia. Szczególnie pilnie szukali korespondencji i wszelkiego rodzaju dokumentów.

– Patrzcie! – wykrzyknął jeden z policjantów i wskazał na leżący na widoku futerał na pistolet i magazynek z kulami. Przedmioty skrzętnie opisano i zapakowano do przekazania prokuraturze. Magazynek zawierał dziewięć kul. Policjanci stwierdzili, że futerał odpowiada rozmiarami pistoletowi, z którego padły strzały do prezydenta.

Policjanci szybko doszli do wniosku, że korespondencja, którą znaleźli, nie zawierała żadnych informacji o przygotowaniach do zamachu. Miała osobisty charakter i dotyczyła spraw sprzed 16 grudnia. Większe zainteresowanie wzbudziła tylko jedna notatka, napisana na złożonym półarkuszu białego papieru:

– „Na wypadek mojej śmierci pozostawiam tę notatkę dla wiadomości rodziny ostatnich moich interesów” – odczytał nazwę jeden z policjantów.

– Proszę to pokazać. – Jego przełożony zainteresował się i sięgnął po notatkę. Przeżył jednak rozczarowanie. Poniżej Niewiadomski wypisał tylko listę sum pieniężnych należnych od firm „Z. Arct”, „Trzaska”, „Ewert, Michalski”, od zarządu kursów drukarskich, a także wykaz sum znajdujących się w biurku i w kasie I Spółdzielczego Towarzystwa Budowy Domów.

Mimo wszystko postanowił zainteresować tym dokumentem prokuraturę.

– Jest i legitymacja wojskowa! – Inny policjant pokazał niewielką książeczkę. Dowódca, przeglądając dokument, w pewnym miejscu natrafił na fragment:

3 Kompania zapasowa 5 p. p. Legitymacja. Dowództwo 3 Kompanii zapasowej. B/Z 5 p. p. Stwierdzam, że Niewiadomski Eligiusz przy wstąpieniu do wojska był już posiadaczem pistoletu hiszpańskiego nr 78950, przy czym zaznaczam, że nie otrzymał pozwolenia z Dowództwa kompanii zapasowej 5 p. p. Legionów na noszenie tejże broni przy sobie. Chełmno, dnia 19 IX 1920 r., Zieliński, ppor. dowódca.

– No i wszystko jasne – mruknął funkcjonariusz.

Warszawa, Sąd Okręgowy
wtorek 19 XII 1922, przedpołudnie

– Pan Henryk Kwieciński, zamieszkały przy ulicy Nowy Świat czternaście? – upewnił się śledczy Skorżyński.

– To ja – odparł Kwieciński, wezwany do sądu w celu wykonania ekspertyzy kaligraficznej.

Zachęcony gestem sędziego, Kwieciński podszedł do stołu, gdzie umieszczono cztery anonimy, jakie otrzymał po swej nominacji prezydent Narutowicz. Obok leżał list Eligiusza Niewiadomskiego, pisany już z aresztu do żony Marii, oraz sporządzona przez niego notatka z wykazem spraw majątkowych dostarczona przez policjantów.

– Proszę o ustalenie, czy anonimy zostały napisane przez jedną osobę. Chcielibyśmy również wiedzieć, czy tą osobą mógł być oskarżony Niewiadomski – polecił Skorżyński.

Kaligraf rozpoczął przeglądanie materiału dowodowego. Egzaminowanie nie zajęło mu wiele czasu. Dość szybko, podnosząc głowę znad dokumentów, oświadczył urzędowo, świadomy, że jego słowa będą protokołowane:

– Listy anonimowe ze stemplami pocztowymi: „Warszawa dwa, dzesiąty grudnia dwudziestego drugiego” i „Wilno, jedenasty grudnia dwudziestego drugiego” są prawdopodobnie napisane przez tę samą osobę, na co wskazuje charakter pisma, budowa liter, szczególnie znamienne przewijanie ciągów. Pomiędzy zaś listami anonimowymi „Lublin, jedenasty grudnia” i „Lwów, dwunasty grudnia” nie znajduję identyczności charakteru i sądzę, że one zostały napisane przez różne osoby.

– Pierwsze dwa wymienione listy są napisane pismem bez chęci ukrycia naturalnego charakteru i nie mają żadnych wspólnych cech podobieństwa z charakterem pisma Eligiusza Niewiadomskiego – kontynuował. – Pismo zaś na liście z Lublina z jedenastego grudnia i pismo ze Lwowa z dwunastego grudnia jest pismem sztucznym o formach czcionek drukarskich lub też o kaligraficznej budowie liter. Pismo z datą jedenasty grudnia z Lublina posiada więcej, pismo zaś z dwunastego grudnia ze Lwowa – mniej cech podobieństwa z pismem Eligiusza Niewiadomskiego pod względem budowy liter. Procent jednak prawdopodobieństwa jest tak mały, że nie może służyć za podstawę do jakichkolwiek konkretnych wniosków.

Skorżyński przyjął to stwierdzenie bez komentarza.

– Szczegółowa analiza nie daje dodatnich rezultatów – ciągnął coraz pewniej grafolog. – Owszem, osłabia podejrzenie, jakoby te listy mógł pisać Niewiadomski; tym bardziej że ręka Niewiadomskiego nie jest tak spokojną, jaką jest ręka, która pisała listy anonimowe. Wobec czego

przychodzę do wniosku, że żaden z anonimowych listów nie został napisany przez oskarżonego Niewiadomskiego.

– Dziękuję panu – z zawodową grzecznością odparł Skorżyński. Zdecydował mimo wszystko, że list Niewiadomskiego do żony i notatka z adnotacją „na wypadek śmierci” zostaną włączone do sprawy w charakterze dowodów rzeczowych.

Warszawa, Belweder–Zamek Królewski
wtorek 19 XII 1922, godz. 12.00–14.00

Trumna z ciałem Gabriela Narutowicza w uroczystym pochodzie opuściła Belweder, niesiona na ramionach szwoleżerów. Ułożono ją na wysokim karawanie okrytym kirem, który ciągnęło osiem dorodnych koni. Uroczysty kondukt udał się w stronę Zamku Królewskiego Alejami Ujazdowskimi, Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem. Na trasie zgromadziły się nieprzebrane tłumy warszawiaków – może nawet 500 tysięcy. Szara pogoda jak ulał pasowała do panującego nastroju. Przejście procesji rejestrowała ekipa filmowa ze studia „Sfinks”.

Złożenie zwłok prezydenta Gabriela Narutowicza do grobu w katedrze św. Jana, 22 grudnia 1922 roku. Fot. Polona

Kondukt prowadziły dwa szwadrony 1 Pułku Szwoleżerów, za nim szły dwa bataliony piechoty i bateria artylerii. „A jeszcze parę dni temu prezydent odmawiał jakiejkolwiek eskorty” – myślał idący niedaleko trumny Stanisław Car, zdumiony kontrastem między rzucającą się w oczy obecnością wojska na pogrzebie a bezbronnością prezydenta w ostatnich dniach jego życia.

Przed trumną kroczyły dwa równoległe rzędy duchownych z kardynałem Aleksandrem Kakowskim, głównym celebransem, na czele. Przy karawanie szli z obnażonymi szablami starsi oficerowie Wojska Polskiego. Car mimowolnie przypomniał sobie scenę z 11 grudnia, kiedy policjanci bezczynnie przyglądali się, jak tłum obrzuca Narutowicza

błotem. W przenośni i dosłownie. Przed sobą, bliżej trumny, a za oficerami, Car dostrzegał marszałków obu izb parlamentu, nowego premiera Sikorskiego o zaciętym wyrazie twarzy i przedstawicieli wszystkich stronnictw politycznych. Szli też narodowcy. Nigdzie nie dostrzegał Piłsudskiego. Wyczytał gdzieś, że marszałek był silnie zaziębiony. Car nie widział powodów, żeby nie wierzyć tym informacjom.

Wtem usłyszał hałas. Kondukt zbliżał się już do placu Zamkowego. Car dostrzegł, że jakaś grupa chuliganów próbuje przerwać kondukt. Policja konna brutalnie wjechała w wykrzykującą wyzwiska grupkę i rozpędziła ją. Cały incydent trwał bardzo krótko i większość obserwujących z dala gapiów nawet go nie zauważyła. Mimo to Car ciężko westchnął. „Nawet po śmierci nie dają mu spokoju" – skomentował w myślach. Chcąc nie chcąc, pomyślał też o Niewiadomskim. „Mam nadzieję, że nie wyczyta on jutro w swojej celi z gazet, że w czasie pogrzebu doszło do incydentów" – powiedział w duchu.

Tymczasem trumna dotarła już pod Zamek Królewski. Car spojrzał na zegarek: była 13.20. Szwoleżerowie ostrożnie ściągnęli skrzynię z powozu i włożyli ją na barki m.in. ministra spraw wojskowych Kazimierza Sosnkowskiego, ministra sprawiedliwości Wacława Makowskiego i ministra rolnictwa Józefa Raczyńskiego. Grupa ta weszła na zamkowy podwórzec i skierowała się do Sali Rycerskiej, gdzie trumnę złożono na przygotowanym katafalku. Kardynał Kakowski odprawił egzekwie. Następnie wszyscy opuścili salę, w której została tylko warta honorowa.

*

Następnego ranka Salę Rycerską otwarto dla publiczności. Oblicza się, że przez dwa dni hołd prezydentowi złożyło kilkaset tysięcy Polaków.

Dwudziestego drugiego grudnia rano trumnę na szkarłatnym katafalku przeniesiono do katedry św. Jana. Wszystkie żyrandole świątyni zostały osłonięte kirem. Biły dzwony sąsiednich kościołów. Podczas kazania wygłoszonego na celebrowanej przez kardynała Kakowskiego mszy żałobnej ksiądz profesor Antoni Szlagowski wspomniał o Niewiadomskim i jego „zbrodniczej ręce, która targnęła się na nietykalną osobę Pierwszego Urzędnika w państwie, sponiewierała dostojeństwo Rzeczypospolitej, zdeptała cześć, zniesławiła imię Polski w świecie". „Swój to, nie obcy!" – kończył duchowny, mając na myśli zmarłego prezydenta.

Przed trumną swego poprzednika przyklęknął też nowo obrany prezydent Stanisław Wojciechowski i przez chwilę się modlił. Po mszy orkiestra reprezentacyjna komendy miasta zagrała marsz żałobny Fryderyka Chopina. Zwłoki złożono w podziemiach katedry, obok grobowca córki króla Jana Kazimierza.

Dzięki zabiegom polskich przedstawicielstw dyplomatycznych nabożeństwa żałobne zorganizowano w tych dniach w Bernie, Brukseli, Gdańsku, Hadze, Konstantynopolu, Kopenhadze, Londynie, Paryżu, Rydze, Sofii, Trieście, Watykanie, Wiedniu, a nawet w komunistycznej Moskwie i dalekim Rio de Janeiro. Pamięć prezydenta uczciła również Wielka Synagoga na Tłomackiem w Warszawie. Poseł Ozjasz Thon, przewodniczący parlamentarnego Koła Żydowskiego, w swym przemówieniu wygłoszonym w tej świątyni stwierdził m.in.: „synagoga nie jest sądem [...]. Nie będziemy więc mówili ani o mordzie, ani o mordercach, lecz tylko o Ofierze szlachetnej, o jego wielkim dostojeństwie, które zostało zgładzone ręką mordercy".

Do wyboru Wojciechowskiego na drugiego prezydenta Rzeczypospolitej doprowadziły 20 grudnia połączone izby parlamentu. Wojciechowski był bliski środowiskom ludowców, ale niedaleki również

socjalistom. Postrzegano go jako głównego oponenta popieranego przez endeków hrabiego Maurycego Zamoyskiego w wyborach, w których ostatecznie wygrał Narutowicz. Teraz pokonał kandydata prawicy Kazimierza Morawskiego i otrzymał poparcie dokładnie tych samych środowisk co zamordowany poprzednik – w tym mniejszości narodowych.

Na tym polu Niewiadomski, mimo swego desperackiego czynu, nic nie osiągnął. Ciekawe, czy przyjął to do wiadomości, obserwując z więziennej celi rozwój wydarzeń na polskiej scenie politycznej.

Gdy 20 grudnia w południe ogłoszono wyniki wyborów prezydenckich, któryś z posłów lewicy rzucił w stronę politycznych oponentów: – Kiedy go zabijecie?

CZĘŚĆ II
DLACZEGO?

Człowiek, epoka

Eligiusz Józef Niewiadomski przyszedł na świat 1 grudnia 1869 roku w Warszawie, naznaczonej traumą stosunkowo świeżej klęski powstania styczniowego. Mijał czternasty rok panowania cara Aleksandra II Romanowa, który w 1881 roku miał zginąć w zamachu bombowym w Sankt Petersburgu. Zaledwie cztery lata przed urodzinami Niewiadomskiego John Wilkes Booth, uważany wówczas za najprzystojniejszego aktora Ameryki, zakradł się na balkon prezydenckiej loży w Teatrze Forda w Waszyngtonie i strzelił ze swego derringera kaliber .44 w tył głowy Abrahama Lincolna, po czym przez balustradę skoczył prosto na scenę. Upadł tak niefortunnie, że złamał nogę – mimo to wykrzyknął, cytując Brutusa, *Sic semper tyrannis!* („Tak kończą tyrani!”) i zdołał na cwałującym koniu uciec z miasta. Nie uratował jednak sprawy secesyjnego Południa, o którą walczył.

Tak jak Niewiadomski nie zmienił oblicza II Rzeczypospolitej, mordując Narutowicza.

W 1869 roku świat żył już innymi sprawami niż zabójstwo Lincolna. W marcu popularny wykładowca chemii petersburskiego uniwersytetu Dmitrij Mendelejew zaprezentował publicznie swą wizualizację układu okresowego pierwiastków. Towarzyskim wydarzeniem lata dla europejskich salonów był ślub duńskiego następcy tronu Fryderyka z księżniczką szwedzką i norweską Luizą. Kieszenie finansjery zubożyło załamanie się rynku złota w USA we wrześniu, ale otwarcie Kanału Sueskiego 17

listopada stworzyło fantastyczne perspektywy handlowe. Tydzień po przyjściu na świat małego Eligiusza Terytorium Wyoming (formalnie ogłoszone 44. amerykańskim stanem dopiero w 1890 roku) przyznało kobietom prawa wyborcze.

XIX wiek – o czym dzisiaj często się zapomina – był okresem niezwykle dynamicznych zmian na wszystkich polach życia społecznego.

Na tym tle sytuacja zaboru rosyjskiego, w którym przyszło żyć rodzinie Niewiadomskich, rysowała się o wiele bardziej statycznie i pesymistycznie. Polacy z terenów podporządkowanych carskiej Rosji z zazdrością obserwowali liberalizację polityczną w austro-węgierskiej Galicji – w sierpniu 1869 roku we Lwowie położono kamień węgielny pod kopiec Unii Lubelskiej, przypominający o chwale I Rzeczypospolitej. Niewiele później mieszkańcy Krakowa mogli ponownie podziwiać w kościele Mariackim ołtarz Wita Stwosza, który odsłonięto po gruntownym remoncie.

Tymczasem w Kongresówce przeprowadzono właśnie reformę administracyjną, w wyniku której wiele miejscowości straciło prawa miejskie. Prowincjonalizacja dawnego Królestwa Polskiego stale postępowała.

A jeszcze pięć lat wcześniej trwały tutaj zacięte, choć niewielkie potyczki skazanych na klęskę powstańców z olbrzymimi siłami carskiego wojska. Powstańcem styczniowym był ojciec Eligiusza – Wincenty, z zamiłowania literat i szachista, a z zawodu urzędnik mennicy warszawskiej – instytucji powstałej jeszcze w 1765 roku, która miała jednak przetrwać tylko do 1867 roku, kiedy to władze carskie zdecydowały się ostatecznie ją zamknąć (monet nie produkowała już od 1865 roku). Zasługą Wincentego dla sprawy powstańczej było przede wszystkim konspiracyjne wykonywanie pieczęci powstańczego Rządu Narodowego, tworzącego system alternatywnej państwowości, który bez zbytniej

przesady można porównać do polskiego państwa podziemnego z okresu II wojny światowej.

Po powstaniu Wincentemu udało się uniknąć najgorszego – śmierci lub wywózki na Sybir. Najprawdopodobniej udało mu się również zachować majątek rodzinny. Trudno sobie jednak wyobrazić, by cieszył się on z sytuacji, w jakiej znalazła się Polska. Represje cara Aleksandra II były surowe. Cel był jeden – ostateczne wcielenie Kongresówki do rosyjskiego imperium i całkowita likwidacja jakiejkolwiek autonomii tej prowincji. W 1866 roku Królestwo Polskie (formalnie nigdy nie porzucono tej nazwy) zostało na wzór rosyjski podzielone na dziesięć guberni. Rok później zniesiono pozostałe jeszcze szczątki instytucjonalnej autonomii prowincji i wycofano odrębny herb Królestwa. Tereny Kongresówki zaczęto półoficjalnie nazywać Krajem Przywiślańskim, chcąc doszczętnie wymazać słowo „Polska” z używanego nazewnictwa.

Wincenty był typowym przedstawicielem środowiska drobnej i średniej szlachty, która w wyniku przemian gospodarczych i społecznych XIX wieku coraz wyraźniej traciła ekonomiczny grunt pod nogami. W efekcie Niewiadomscy musieli najczęściej parać się pracą urzędniczą lub wojskową, choć mogli się pochwalić rodowodem sięgającym XV wieku i z początku należeli do szlachty posesjonackiej. Rodzina chlubiła się swym herbem Prus o przydomku Goleń i pochodzeniem ze wsi Niewiadoma, położonej niedaleko Sokołowa Podlaskiego.

Z czasem główna gałąź rodziny przeniosła się do Galicji. Zawierucha spowodowana rozbiorami i wojnami napoleońskimi sprawiła jednak, że część rodu trafiła do Warszawy i Kielc. Dziadek Eligiusza, urodzony w 1796 roku Józef Kajetan, pracował jako niski urzędnik wojskowy w Komisji Rządowej Wojny Królestwa Polskiego w Warszawie – jednym z kolegialnych organów Królestwa Polskiego, ustanowionym na mocy

konstytucji z 1815 roku. Konstytucja ta została niechętnie przyznana przez cara Aleksandra I Polakom, zgodnie z ustaleniami Kongresu Wiedeńskiego, kończącego epopeję napoleońską w Europie.

Józef Kajetan dożył jeszcze urodzin Eligiusza: zmarł rok później, w 1870 roku. Co ciekawe, brat Józefa Kajetana, Jakub Ewaryst, był napoleońskim oficerem w wojsku Księstwa Warszawskiego. Później również znalazł zatrudnienie w Komisji Rządowej Wojny Królestwa Polskiego.

Wincenty Izydor Niewiadomski – ojciec Eligiusza, pierworodny syn Józefa Kajetana i Barbary z Gąsowskich, urodził się 26 kwietnia 1827 roku w Warszawie, niedługo przed wybuchem powstania listopadowego. Ojciec, stały bywalec szachowej kawiarni warszawskiej „Pod Dzwonnicą”, zaraził młodego Wincentego bakcylem szachów.

Wincenty zdawał sobie sprawę, że nawet w ponurym czasie popowstaniowego rozczarowania trzeba jakoś urządzić sobie życie. Już w 1864 roku, na trzy lata przed formalnym i ostatecznym zamknięciem mennicy, zmienił pracę i zatrudnił się w biurze Kolei Warszawsko-Terespolskiej. Niedługo później, dzięki protekcji finansisty żydowskiego pochodzenia Jakuba Natansona, uzyskał posadę archiwisty w Warszawskim Towarzystwie Kopalń Węgla, gdzie pozostał aż do 1890 roku. Po powstaniu znalazł też więcej czasu, by poświęcić się swej pasji – szachom. Zaliczał się do czołówki szachistów warszawskich.

Nie najlepiej płatna praca i potrzeba utrzymania licznej rodziny skłaniały Wincentego do dorabiania poprzez aktywność publicystyczną. Jeszcze w 1862 roku rozpoczął współpracę z bardzo popularnym „Tygodnikiem Ilustrowanym”, zamieszczając w nim artykuły popularyzujące światowe dokonania na polu nauk przyrodniczych. Współpracował również z innymi pismami (m.in. „Bluszczem”, „Biesiadą

Literacką”, „Kłosami”, „Kurierem Porannym”), publikując w sumie ponad 200 artykułów poświęconych m.in. teorii ewolucji, ochronie roślin czy zachowaniu zwierząt. Trudnił się także przekładem prac przyrodoznawczych, głównie z języka francuskiego. Był jednym z pierwszych w Polsce popularyzatorów myśli Karola Darwina, odsądzanego wtedy jeszcze od czci i wiary przez bardziej konserwatywne środowiska opiniotwórcze w Europie. Zdobył poza tym pewną popularność jako współautor poczytnego i kilkakrotnie wznawianego dzieła *Mikołaj Kopernik*, przygotowanego z myślą o 400. rocznicy urodzin odkrywcy (pierwsze wydanie w 1873 roku, następne w 1884 i 1886 roku). Samodzielnie opublikował cztery książki, w tym... religijną książeczkę dla dzieci: *Powieści Pisma Świętego wierszem dziatwie opowiedziane przez Jana z Rzeszowa* (1880 rok). Rosyjska cenzura nie dopuściła z kolei do wydania jego napisanych wierszem „Dziejów Polski od Mieszka I do Stanisława Augusta”.

Łatwo się przekonać, że ojciec Eligiusza był człowiekiem nietuzinkowym, nowoczesnym, inteligentnym, wykazującym niezwykle szerokie zainteresowania, a przy tym utrzymującym dobre stosunki z bogatą ludnością żydowską (o czym świadczy chociażby życzliwe pośmiertne wspomnienie jego dobroczyńcy Natansona opublikowane na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” w 1884 roku). Człowiekiem, który na własnej skórze doświadczył też restrykcyjnej polityki rosyjskich władz (kłopotów z cenzurą, pracy w zrusycyzowanym urzędzie). Czy Eligiusz mógł nasiąknąć atmosferą tworzoną w rodzinnym domu przez ojca?

Trudno odnaleźć w Wincentym – zagorzałym racjonaliście, darwiniście i zwolenniku pracy organicznej – podobieństw do osobowości Eligiusza. Wincenty reprezentował jeszcze pokolenie „przetrącone” powstaniem styczniowym; pokolenie powoli radykalizującej się inteligencji

warszawskiej. Eligiusz ukształtował się już w czasie dojrzewania współczesnych mu ruchów politycznych: lewicowych, narodowych i ludowych. Musiał zdefiniować swe poglądy w innej konstelacji światopoglądowej, charakterystycznej dla końca XIX wieku.

Wincenty Niewiadomski, ojciec Eligiusza. Fot. Polona

Pochodzenie matki Eligiusza Juliany (używającej imienia Julia) z Wernerów nie jest tak dobrze udokumentowane jak rodowód ojca. Jak jednak ustalił Andrzej Prus Niewiadomski, rodzina Wernerów (wywodząca się spod Magdeburga) miała bez wątpienia czysto niemieckie pochodzenie i protestancki światopogląd. Ojciec Julii Ferdynand Werner (1788–1825) pełnił funkcję starosty powiatu Merzig – jednego z licznych powiatów przemysłowego Zagłębia Saary, niedaleko Trewiru, tuż przy granicy z Francją. W 1817 roku ożenił się z Julią Amalią z domu Hallfeld (1796–1859). Wernerowie zaliczali się do dobrze prosperującej warstwy mieszczańskiej.

Co znamienne, brat Ferdynanda, lekarz wojskowy, w wyniku zawirowań epoki napoleońskiej związał się z... polskimi legionami i walczył po stronie Napoleona. Otrzymał nawet Złoty Krzyż Virtuti Militari. Po przegranej kampanii rosyjskiej osiadł w... Warszawie i pełnił służbę w korpusie inwalidów i weteranów. W czasie powstania listopadowego opatrywał polskich oficerów. Potem pracował jako prywatny lekarz, obracając się w środowisku inteligencji i masonerii warszawskiej. Wśród jego klientów była m.in. rodzina Lelewelów. Gdyby nie zawiłe koleje jego biografii, matka Eligiusza nigdy nie trafiłaby do Polski.

Julia (a zgodnie z metryką: Andrigun Corinna Juliana Carolina) urodziła się 3 kwietnia 1825 roku w Merzig. Jak na ówczesne standardy późno wyszła za mąż: katolicki ślub z młodszym o dwa lata Wincentym Niewiadomskim odbył się 23 września 1854 roku w kościele św. Andrzeja Apostoła w Warszawie. Bardzo szybko z tego związku narodziły się dzieci: najstarsza córka Cecylia przyszła na świat w listopadzie 1855 roku. Przeżyła Eligiusza o ponad dwa lata. Kolejnymi dziećmi Niewiadomskich byli Włodzimierz (1859–1902, oficer wojska rosyjskiego), Roman Mieczysław (1861–1944, przedsiębiorca, działacz endecji), Maria (zmarła

w 1882 roku), Jan (1863–1915, rysownik i jubiler) oraz najmłodszy z tej szóstki – Eligiusz.

Czysto niemieckie pochodzenie Julii było skrzętnie ukrywanym przez rodzinę Wernerów sekretem, podobnie jak okoliczności jej przybycia do Polski. Wyjazd z Merzig odbył się w atmosferze skandalu. Po niespodziewanej śmierci Ferdynanda na zapalenie opon mózgowych (w wieku zaledwie 37 lat, tuż przed urodzinami córki) okazało się, że w kasie miejskiej brakuje pieniędzy. Był to rzadki przypadek defraudacji dokonanej przez pruskiego urzędnika państwowego. Obawiając się konsekwencji tej afery, wdowa po Ferdynandzie wraz z Julią zdecydowała się uciec spod kurateli Prus i osiedlić u swego szwagra, wspominanego Fryderyka Wernera, w tym czasie też już wdowca. Ferdynand zmarł w 1852 roku, a Julia Amalia – siedem lat później.

Czy Eligiusz wstydził się tej historii? Jak oceniał niemieckie korzenie matki? Nigdy nic o tym nie powiedział. Co znamienne, jego niemiecki dziadek Ferdynand znany był z cholerycznego i surowego charakteru, choć doceniano jego fachowość i energiczność. Czy nie przypomina to osobowości wnuka?

W maju 1870 roku Eligiusz został ochrzczony w parafii św. Jana w Warszawie. Matką chrzestną była jego stryjenka Lucyna, a ojcem chrzestnym – dziennikarz Wincent Korotyński. Tymczasem częste porody nadszarpnęły zdrowie Julii Niewiadomskiej. Zaledwie rok i dziesięć miesięcy po narodzinach Eligiusza, 30 września 1871 roku, niespodziewanie zmarła. Czy najmłodszy z rodzeństwa Niewiadomskich był już na tyle świadomy, by uzmysłowić sobie ogrom straty? Od tej pory maluchowi matkowała najstarsza siostra Cecylia, wówczas już szesnastoletnia. Co prawda Wincenty po śmierci Julii związał się z bliżej

nieznaną Heleną, ale ów nieformalny być może związek okazał się nieudany i po pewnym czasie dobiegł końca.

Eligiusz nie utrzymywał zresztą praktycznie żadnych kontaktów z ową Heleną, a nawet z ojcem jego relacje nie były bliskie, ponieważ Cecylia, niezadowolona z nowej wybranki ojca, szybko wyprowadziła się z domu i zabrała ze sobą najmłodszego brata (którego nazywała Elkiem). Dosłownie zastąpiła mu matkę.

Cecylia zapisała się w historii jako bardzo zasłużona, ceniona działaczka oświatowa i społeczna: ofiarna, niezwykle pracowita, skromna pedagożka, tłumaczka, współtwórczyni tajnego ruchu oświatowego na terenie Kongresówki, autorka nielegalnych podręczników i ćwiczeń. Jej zasługi podkreślał m.in. Władysław Bartoszewski. Od 1901 roku należała też do Ligi Narodowej – podzielała więc, a wcześniej najpewniej kształtowała poglądy młodego Elka. Trudno jednak ocenić, do jakiego stopnia. Czy to pod jej wpływem skanalizował swój radykalizm w światopoglądzie narodowym?

Co znamienne, Cecylia wykazywała wyjątkową surowość i oschłość archetypicznej starej panny (według tradycji rodzinnej jej niespełnioną miłością był Teofil Waligórski, jeden z najbliższych współpracowników Romana Dmowskiego). Miała niewątpliwie największy wpływ na Eligiusza ze wszystkich członków jego rodziny. Trudno przypuszczać, by nie tylko postawa polityczna Cecylii, lecz także cechy jej charakteru – powściągliwość uczuć, pryncypialność, powaga, surowość – nie pozostawiły śladu na światopoglądzie z jednej, a psychice i stanie emocjonalnym Eligiusza z drugiej strony.

Czy żyjąc z apodyktyczną siostrą, myślał o matce? Idealizował ją? Albo wręcz przeciwnie? A może spychał takie myśli głęboko w podświadomość, podobnie jak niemieckie korzenie nieznanej mu tak naprawdę Julii?

Nie wiemy też, jak wyglądały jego relacje ze starszym rodzeństwem. Nie utrzymywał z nimi zbyt bliskich stosunków. Czy żołnierska kariera Włodzimierza była przedmiotem krytyki narodowo nastawionych braci? Jak śmierć młodziutkiej Marii wpłynęła na trzynastoletniego wówczas Eligiusza? I te pytania muszą pozostać bez odpowiedzi.

Młody chłopak na pewno odziedziczył po ojcu wszechstronność zainteresowań i inteligencję. Jako utalentowany młodzieniec został posłany do najlepszej szkoły średniej w Warszawie – Gimnazjum Realnego. Instytucja ta, założona w 1841 roku, oferowała przede wszystkim wykształcenie ścisłe i techniczne, choć przez pewien czas blisko współpracowała ze Szkołą Sztuk Pięknych (zlikwidowaną po upadku powstania styczniowego). Ten podwójny profil – ścisły i artystyczny – będzie charakterystycznym rysem wykształcenia Niewiadomskiego.

Eligiusz uczył się w ponurym okresie narastającej rusyfikacji i gnębienia wszystkiego, co polskie. Prestiżowe Gimnazjum Realne potrafiło lepiej obronić się przed polityką obniżania jakości kształcenia, uprawianą w Kongresówce przez rosyjskie władze, ale nie mogło uniknąć przygnębiającego klimatu „nocy apuchtinowskiej”, tak dobrze znanej nam z *Syzyfowych prac* Żeromskiego. To właśnie wtedy, gdy Eligiusz pobierał nauki w Warszawie, carski urzędnik Aleksandr Apuchtin pełnił funkcję kuratora warszawskiego okręgu szkolnego, wprowadzając ohydny policyjny system, oparty na donosach i szpiegowaniu uczniów. Kurator starał się w ten sposób wyplenić polskość – jednym z jego ulubionych powiedzonek było stwierdzenie, że na skutek jego działań „matka Polka zawodzić będzie nad kołyską dziecka rosyjską piosenką”.

Nie docenił jednak ducha przekory młodych Polaków. Co prawda nie można kreślić jednoznacznego obrazu przywiązania mieszkańców Kraju Przywiślańskiego do polskiej narodowości – w wielu przypadkach (trudno

obliczyć, ilu dokładnie) polityka rusyfikacji przynosiła efekty i doprowadzała do wykorzenienia polskości. Jednak dla większości „apuchtinowskich” uczniów szkolne zmagania z rusyfikacją stanowiły prawdziwą szkołę przetrwania i naukę patriotyzmu. Częstą reakcją na tłumienie polskości był efekt przeciwny do zamierzeń rosyjskich władz: silniejsza identyfikacja ze wspólnotą narodową i ukształtowanie narodowych czy wręcz nacjonalistycznych poglądów. Wydaje się, że tak właśnie stało się w przypadku Eligiusza Niewiadomskiego.

Niespełna dziewiętnastoletni chłopak ukończył wydział matematyczny gimnazjum w 1888 roku. Nie pociągały go jednak studia ścisłe czy techniczne. Odkrył w sobie talent malarski i postanowił dalej kształcić się w zakresie sztuk pięknych. Pytanie brzmiało: gdzie? W roku urodzin Eligiusza ostatecznie zamknięto – w ramach popowstaniowych represji – polską Szkołę Główną (i tak działającą pod tą nazwą zaledwie od 1862 roku jako namiastka zlikwidowanego w 1831 roku Uniwersytetu Warszawskiego). Od 1870 roku w dawnej stolicy Rzeczypospolitej funkcjonował Cesarski Uniwersytet Warszawski, nie cieszący się wśród Polaków dobrą opinią nie tylko ze względu na całkowite zruszczenie, ale też niski poziom naukowy.

Ostatecznie Eligiusz zdecydował się wyjechać na studia w samą „paszczę lwa” – do Sankt Petersburga i tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Ciekawe, dlaczego nie zdecydował się na wyjazd do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie mógł uczyć się po polsku i oddychać polską atmosferą autonomicznej Galicji. Być może zadecydowały względy praktyczne: krakowska uczelnia dopiero w 1900 roku uzyskała prawa akademii, w Petersburgu zaś Eligiusz mógł bez problemów uzyskać wykształcenie wyższe.

Petersburski okres w życiu Niewiadomskiego upłynął – jak się wydaje – pod znakiem wytężonej pracy. W środku jego studiów, 2 stycznia 1892 roku, w Ostrowi Mazowieckiej zmarł Wincenty Niewiadomski. Pochowano go na Powązkach. Eligiusz stracił nie tylko bliskiego człowieka, lecz także postać, która jeśli nie zaraziła go poglądami, to na pewno zaszczepiła w nim pasję popularyzatorską i samokształceniową.

Po pogrzebie ojca młodzieniec tym gorliwiej zaangażował się w naukę. Okazał się zdolnym i pracowitym studentem: dwukrotnie otrzymał uczelniane nagrody (tzw. małe srebrne medale). Uczelnię ukończył w 1894 roku z dużym srebrnym medalem absolwenta, otrzymując zarazem złoty medal i nagrodę pieniężną za obraz *Centaury w lesie*, inspirowany twórczością szwajcarskiego symbolisty Arnolda Böcklina (dzieło zdobyło kolejną nagrodę na wystawie w warszawskiej Zachęcie w 1896 roku, a potem trafiło do pałacu Tyszkiewiczów w Wace koło Wilna). Odtąd mógł się tytułować artystą I stopnia.

Dzięki uzyskanemu dwuletniemu stypendium (po 300 rubli rocznie) wyjechał jeszcze w 1894 roku do Paryża, gdzie doskonalił swoje umiejętności w mekce artystów – paryskiej Académie des Beaux-Arts. Przebywał tam do 1896 roku. Pobyt w Paryżu ułatwiła też finansowa pomoc brata Romana, który nieźle zarabiał jako inżynier w Kongresówce.

Petersburskie studia miały – według późniejszego współpracownika Niewiadomskiego, malarza Jana Skotnickiego – prawdopodobnie decydujący wpływ na ukształtowanie jego charakteru. „Przypuszczam – twierdził po latach Skotnicki – że pobyt w Petersburgu był źródłem i powodem pewnej pryncypialności, prostolinijności, oschłości i ascetyzmu w stosunku do siebie, które jako w artyście, kolidowały z sentymentalizmem i czułostkowością, jaką bezwzględnie miał. Mnie się zdaje, że to był wpływ atmosfery literackiej, a szczególnie studenckiej tych

czasów petersburskich, których wpływ w kierunku pewnego nieuznawania etykiety w stosunku do władz był akcentowany w życiu pana Niewiadomskiego. Pobyt w Petersburgu spowodował ten dualizm, wpłynął na to rozdwojenie charakteru człowieka i artysty, chcącego być suchym i rzeczowym”. Wybuchowa mieszanka tych dwóch tendencji doprowadziła do tragicznego finału w 1922 roku.

Portret Eligiusza Niewiadomskiego z czasu studiów w Paryżu, 1896 rok. Fot. Polona

Niechętny Niewiadomskiemu marksista Ludwik Krzywicki, również znający go z okresu petersburskiego, dosadniej i jednoznacznie wypowiadał się o charakterze Eligiusza. „Był to człowiek na wskroś nerwowy, niestatecznego usposobienia, pożerany przez jaką niezdrową ambicję” – wspominał Krzywicki. „W Petersburgu, o ile można wywnioskować z ubioru jego, sympatiami swymi ciążył ku nihilizmowi. Paradował jako *sui generis* nihilista: w murach Akademii Sztuk Pięknych chętnie posługiwał się wyrazami i zwrotami jędrnymi, w jakie obfituje język rosyjski”.

Rosyjski nihilizm końca XIX wieku był specyficznym tworem tamtejszej inteligencji, niezwiązanym bezpośrednio ani z tradycją starożytną, ani z poglądami Nietzschego. Nihilistów często utożsamiano z ogólnie pojmowanymi radykałami – głównie socjalistami, anarchistami, rewolucjonistami. Nie jest pewne, co przez ten termin rozumiał Ludwik Krzywicki. Jest za to intrygujące, że członkiem jednej z radykalnych organizacji rosyjskich – Narodnej Woli – był Ignacy Hryniewiecki, który zabił cara Aleksandra II, rzucając bombę pod carski powóz w 1881 roku. W wyniku wybuchu zginął też zamachowiec.

Czy Niewiadomski popierał tę formę walki z caratem i ten sposób rozwiązywania problemów? Wydarzenia z 1922/1923 roku zdają się twierdząco odpowiadać na to pytanie. Niestety nie znamy wypowiedzi Eligiusza, w których komentowałby udany zamach na cara. Trudno jednak spodziewać się, by nie nasiąkał radykalną mentalnością rosyjskich młodych rewolucjonistów; skłonnością do brutalnych działań, czego przejawem było nie tylko zabójstwo cara Aleksandra II, lecz także premiera Piotra Stołypina w 1911 roku, a ponadto wielu generałów czy innych carskich dygnitarzy. Do znienawidzonych wrogów należało strzelać – taką lekcję mógł

wyciągnąć Eligiusz z pobytu w Petersburgu. Czy zatem zabójstwo Narutowicza było swego rodzaju przeniesieniem rewolucyjnej mentalności rosyjskiej na grunt polski?

Brzmi to prawdopodobnie, tym bardziej że w relacji Krzywickiego młody Niewiadomski jawi się jako postać antypatyczna i radykalna: „wymyślał kolegom niekiedy publicznie od burżujów, a żarty jego miały jeszcze często inny odcień – erotyczny. Wszystko to trzymało go niejako na pograniczu... Całe jego zachowanie można by scharakteryzować jednym z ulubionych jego zwrotów rosyjskich: »Choczet i kapitał priobresti i czest' sochranit«". W wolnym tłumaczeniu można by to przełożyć jako „chciałby i mieć ciastko, i je zjeść".

Eligiusz student: wulgarny outsider i niezrównoważony radykał? Pamiętajmy, że charakterystykę tę przedstawiła osoba niechętna Niewiadomskiemu, w dodatku z perspektywy wielu lat. Trudno jednak i bezpodstawne byłoby ją zakwestionować. Co znamienne, w tym opisie Niewiadomski bardziej przypomina młodego lewicowca niż zwolennika idei narodowych. Czy zatem w tych czasach ulegał fascynacji socjalizmem? Sam później pośrednio wspominał o takich inklinacjach, choć z wieloma zastrzeżeniami i chyba z pewnym ukrywanym wstydem. Być może socjalistyczne zaangażowanie było u niego większe, niż przyznawał.

Późniejszy pobyt w Paryżu nie zapisał się w pamięci Eligiusza do końca pozytywnie: na skutek nieszczęśliwego wypadku uległ poważnym poparzeniom, z których konsekwencjami zmagał się jeszcze po powrocie do Polski. Na skutek urazów ograniczył swoją twórczość malarską, skupiając się bardziej na działalności krytyka sztuki. Jak się okaże, nie był to jedyny poważny wypadek w jego życiu.

Nie wiemy, co młody artysta sądził o zachodniej Europie i kulturze francuskiej, z którą miał okazję bezpośrednio się zapoznać. W tym czasie

Francja była niedawno proklamowaną republiką, zawzięcie walczącą z Kościołem i promującą laickość państwa. W państwie ścierały się silne prądy lewicowe z nacjonalistycznym klimatem imperialnego mocarstwa kolonialnego. Dokładnie w czasie pobytu Eligiusza Francją wstrząsnęła afera Dreyfusa, oficera artylerii pochodzenia żydowskiego oskarżonego na podstawie spreparowanych dowodów o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Żołnierz został skazany na dożywotni obóz karny w Gujanie w Ameryce Południowej. Przez kraj przetoczyła się fala antysemityzmu. Czy uległ jej również Eligiusz? Być może właśnie wtedy jego niezaprzeczalna niechęć do Żydów – obca Wincentemu Niewiadomskiemu – ugruntowała się.

Po powrocie znad Sekwany Eligiusz na stałe osiadł w Warszawie, choć często jeździł na prowincję z wykładami i odczytami. Nie mogąc znaleźć stałego zatrudnienia, które by go satysfakcjonowało, wiódł niezależne życie prywatnego propagatora sztuki, dziennikarza-artysty, a zarazem prowadził konspiracyjną działalność polityczną. Wśród warszawskich elit zyskał sporą popularność jako krytyk sztuki i publicysta, obracając się w światku konserwatywnych artystów i uczonych.

Pokochał też – jak wielu przedstawicieli jego pokolenia – góry i Zakopane. Wszechstronność zainteresowań i odziedziczony po ojcu bakcyl popularyzatorski sprawiły, że nie tylko pasjami maszerował po górskich szlakach, lecz także zaangażował się w promowanie taternictwa. Lubił chodzić sam, swoimi ścieżkami, podejmując ryzykowne wyprawy bez przewodnika. Był zarazem autorem jednej z pierwszych dokładnych map Tatr, na której zostały zaznaczone szlaki turystyczne i sieć schronisk.

Taternictwo nie było tylko niewinną rozrywką. Chodzenie po górach i szerzej: uprawianie sportu było dla Eligiusza bardzo ważnym elementem wychowywania narodu. Za najpożyteczniejsze dyscypliny uważał fechtunek, zapasy, a zwłaszcza boks: „przypadają one do temperamentu

polskiego – pisał już w więzieniu – uczą zręczności, rozwijają siły, są środkiem samoobrony i załatwiania sporów bez pieniactwa i sądów. Uczą przestrzegać uczciwości w walce, gardzić bólem, zachowywać zawsze przytomność umysłu. Dają pewność siebie, panowanie nad sobą i poczucie własnej godności. Są najlepszym środkiem wychowawczym i drogą do odrodzenia dawnych cnót, zawartych w słowie »rycerskość«".

Według koncepcji Niewiadomskiego Polacy mieli stać się narodem wojowników, współczesnych Spartan, prawdziwych mężczyzn panujących nad swoim losem. Czy w tych tezach nie przebijały się podświadomie kompleksy człowieka borykającego się z problemami zdrowotnymi w wyniku dwóch poważnych wypadków, jakie przeszedł? Być może fascynacją sportami walki zaraził Eligiusza jego bratanek Roman, zapalony sportowiec.

Co znamienne, wynurzenia Eligiusza o szlachetności i rycerskości sportów walki nijak nie dają się pogodzić z oddaniem trzech strzałów w plecy niewinnego, bezbronnego człowieka.

W najbliższym otoczeniu Niewiadomskiego panowało przekonanie, że po kilkumiesięcznym pobycie w carskim więzieniu na Pawiaku w 1901 roku (o którym jeszcze napiszę), wszystkie negatywne cechy jego osobowości zaczęły narastać i stawać się coraz bardziej widoczne. Ograniczył działalność artystyczną, aktywność w instytucjach kulturalnych, wkrótce zerwał z endecką Ligą Narodową. Udzielał się jeszcze tylko w Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Jako instytucja, Wolna Wszechnica Polska funkcjonowała dopiero od 1918 roku. Wcześniej istniała w formie Towarzystwa Kursów Naukowych: jawnie działającego od 1905 roku w Warszawie o nieformalnym statusie szkoły wyższej, prowadzącej zajęcia na wydziałach matematyczno-przyrodniczym, humanistycznym, technologicznym i rolniczym.

Towarzystwo stanowiło emanację konspiracyjnego Uniwersytetu Latającego, organizującego szkolnictwo polskie na poziomie uniwersyteckim dla kobiet (które właściwie nie miały prawa studiować) od lat osiemdziesiątych XIX wieku. Tajne zajęcia prowadzono w często zmieniających się prywatnych domach warszawiaków – stąd nazwa tego „uniwersytetu”. Niewiadomskiego można zatem zaliczyć do współtwórców polskiej niezależnej oświaty.

W zdominowanej przez środowiska lewicowe Wszechnicy Eligiusz czuł się obco. Dawał zresztą wyraz niezadowoleniu. Krzywicki tak wspomina swego współpracownika: „Niewiadomski rozpoczął swoje wykłady. Ruchy jego były porywcze, w ogóle nic nie wskazywało spokoju wewnętrznego i zrównoważenia. Trzymaliśmy się z daleka od siebie. Jak okazało się, był nieprzejednanym endekiem, ciasnym, fanatycznym. Pewnego wieczoru doszło pomiędzy nami do ostrego starcia z powodów całkowicie błahych. Miałem ogłosić stały swój wykład bodaj o godzinie siódmej wieczorem. Okazało się, iż Niewiadomski wykładał poprzednią godzinę w audytorium, w którym wykładałem od lat wielu, przy czym zajął tę salę na własną rękę, bez żadnego opowiedzenia się Zarządowi, przeciągnął wykład podczas pauzy, a kiedy wchodziłem do audytorium na swój wykład, podszedł ku mnie i oświadczył, że ta sala mu dogadza, ma zamiar ciągnąć swój wykład przez drugą godzinę i miejsca mi nie ustąpi. Wszystko to było tak obcesowo niegrzeczne, tak pełne samowoli, iż pozostało mi krótko oświadczyć do słuchaczy swoich, którzy już wchodzili lub zajęli miejsca: »Proszę siadać, rozpoczynam wykład«. Niewiadomski na to zirytowany rzecze, że zawiadomi jutro Zarząd Kursów Naukowych jako z powodu stawianych mu przeszkód zawiesza swoje wykłady na Kursach. Odparłem mu węzłowato: »jak się panu podoba!«. Jednak wykładów swoich nie przerwał i w przyszłości zastosował się do rozkładu godzin i sal w planie”.

Pamiętajmy, że to subiektywny opis autorstwa osoby niechętnej Niewiadomskiemu. Dobrze opisuje on jednak skłonność Eligiusza do samowoli, upartości, gwałtowności i jawnego okazywania niechęci ludziom, którzy myślą inaczej. Znamienna jest też nieco histeryczna reakcja na fakt, że coś nie idzie po jego myśli (przyjście do sali Krzywickiego): dziecięce wręcz obrażenie się i „tupnięcie nogą” (zagrożenie rezygnacją z kursów). Cecha ta nie raz się jeszcze objawi w jego życiu. Również w sposób tragiczny.

I wojna światowa siłą rzeczy poważnie wpłynęła na życie osobiste Niewiadomskiego. Pozostał w Warszawie, podczas gdy część jego rodziny – siostra Cecylia wraz z córką Niewiadomskiego Anną (o której jeszcze napiszemy) – na kilka lat przeniosły się do Kijowa. Nie został jednak wcielony do armii i usiłował kontynuować dotychczasową działalność, skupiając się (przynajmniej w swej legalnej działalności) na popularyzowaniu sztuki. Utrzymywał się z lekcji historii na pensjach oraz z korepetycji, co nie stanowiło wtedy zbyt pewnego ani obfitego źródła dochodu. W sferze publicznej starał się angażować w działalność organizacji sanitarnych i zaczątki milicji obywatelskich.

Już od sierpnia 1914 roku mieszkańcy Kongresówki zaczęli przejawiać oddolne inicjatywy społeczno-samorządowe. Od razu po wybuchu wojny w Warszawie zawiązał się Komitet Obywatelski. W ślad za nim spontanicznie poczęły powstawać różne komitety miejskie, powiatowe i gminne (zrzeszone od września 1914 roku w Centralny Komitet Obywatelski), a także towarzystwa sanitarne, humanitarne i dobroczynne. Pod przykrywką apolitycznych działań komitety te starały się przejmować funkcje administracji państwowej.

Milicje obywatelskie były ponadto próbą samoorganizacji społecznej, broniącej Polaków przed gwałtami popełnianymi przez okupantów –

najpierw Rosjan, potem Niemców. W lipcu 1915 roku zorganizowano Straż Obywatelską, do której zgłosiło się 8 tysięcy ochotników. Czy znalazł się wśród nich Niewiadomski – nie jest pewne. Należy pamiętać, że zarówno Rosjanie, jak i Niemcy – przynajmniej do pewnego momentu – w walce z wrogiem stosowali taktykę spalonej ziemi, w której potrzeby ludności cywilnej liczyły się najmniej. Po raz kolejny w swej historii Polska stała się pastwiskiem dla obcych armii, ponosząc olbrzymie straty materialne, a także – ludzkie.

Trzeba jednak podkreślić, że owe „milicje", choć bardzo pożyteczne, nie stanowiły oddziałów zbrojnych na wzór legionów Piłsudskiego. Niewiadomski nie walczył czynnie z okupantem, kimkolwiek ten okupant był. Wątek współpracy ze służbą sanitarną jest ciekawy, choć dość niejasny. Nie wiadomo, czy chodziło o jakieś zaangażowanie w którąś z wymienionych wyżej form spontanicznej inicjatywy społecznej, czy może o działanie wewnątrz struktur armii niemieckiej, posiadających własne formacje sanitarne. Nie musiało to zresztą oznaczać jakiejś godnej potępienia kolaboracji.

To zadziwiające, że Eligiusz, tak bardzo wyczekujący wolnej Polski, tak mało zaangażował się w aktywność polityczną w czasie I wojny światowej. Zachowywał zaskakującą wręcz bierność. Czy bowiem współpracę (bliżej nieokreśloną) z organizacjami quasi-samorządowymi można uznać za przyjęcie aktywnej postawy? Trauma po pobycie na Pawiaku w 1901 roku musiała odegrać znaczącą rolę w jego życiu. Publicznie wypowiadał się wyłącznie na tematy artystyczne, nawołując m.in. do rozszerzania sieci muzeów czy powołania Biblioteki Sztuk Pięknych w Warszawie. Angażował się też trochę w działalność Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. I to wszystko.

Nie najlepsza sytuacja materialna Niewiadomskiego była charakterystyczna dla wielu przedstawicieli polskiej inteligencji tego trudnego wojennego okresu. Fatalne zaopatrzenie, problemy z wyżywieniem i ciężar utrzymywania zmieniających się okupantów dotkliwie uderzały w kondycję mieszkańców ziem polskich, w tym Warszawy, która w 1915 roku znalazła się pod okupacją niemiecką. Według niektórych ocen w okresie 1914–1920 zniszczeniu uległa prawie jedna trzecia całego majątku narodowego Polaków. Podobny kataklizm powtórzy się dwadzieścia lat później.

Wybuch największego w tamtych czasach konfliktu w historii cywilizacji europejskiej spowodował 28 czerwca 1914 roku dziewiętnastoletni Gawriło Princip, serbski nacjonalista z Bośni i ciężko chory suchotnik. Wraz z kilkoma współpracownikami Princip przygotowywał zamach na następcę tronu austro-węgierskiego, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, który akurat gościł wraz z żoną w Sarajewie, stolicy niespokojnej prowincji Austro-Węgier. Wydawało się, że zamach się nie powiedzie: żaden z rozstawionych na trasie przejazdu arcyksięcia zamachowców nie zdołał dokonać skutecznego ataku. Zniechęcony Gawriło, rozmówiwszy się z kolegami, poszedł kupić kanapkę. Nagle, zdumiony, ujrzał, że w jego kierunku zbliża się wóz arcyksięcia. Okazało się, że szofer pomylił trasę w drodze powrotnej do pałacu i teraz wybrał skrót przez ulicę, na której znalazł się Princip. Młodzieniec nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Bez namysłu wyciągnął broń i zastrzelił Franciszka Ferdynanda oraz Zofię. Kobieta była w ciąży. Gawriło próbował się otruć, ale cyjanek, który zażył, okazał się zwietrzały i przez to nieskuteczny. Zamachowiec zmarł w więzieniu na gruźlicę w kwietniu 1918 roku.

Strzał Principa podpalił lont tkwiący w beczce prochu, na której od kilku lat siedziały najważniejsze państwa europejskie, rywalizujące ze sobą w bezprecedensowym w historii wyścigu zbrojeń. Przypadek zadecydował o wybuchu największego konfliktu zbrojnego w (dotychczasowej) historii. Musiało to dać Niewiadomskiemu do myślenia. Oto czyn jednego człowieka zmienił bieg dziejów. Eligiusz marzył o odegraniu tak wielkiej roli. W zachowanych źródłach nigdzie jednak o Principie nie wspomina. Nie musiało zresztą chodzić o bezpośrednią inspirację.

W wyniku wojennego koszmaru setki tysięcy Polaków w wieku poborowym trafiły do trzech armii zaborczych, nierzadko walcząc przeciw sobie. Można tylko zgadywać, ile ludzkich dramatów, rozterek i konfliktów przyniosła ta sytuacja. Wojenny kataklizm miał jednak przynajmniej jeden aspekt pozytywny dla polskich aspiracji narodowych: po raz pierwszy od czasu utraty niepodległości i zawirowań epopei napoleońskiej został zerwany sojusz zaborców. Najważniejsi wrogowie polskości – Rosja i Niemcy – znaleźli się w stanie wojny totalnej. Taka okazja nie trafiała się często.

W obliczu wojny wyczekującą postawę obrali przywódcy środowisk narodowych, skupionych w partii Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, zwanej Narodową Demokracją (czyli popularnie endecją). Od sierpnia 1914 roku endecy spodziewali się, że zjednoczenie ziem polskich może nastąpić tylko w wyniku zwycięstwa koalicji rosyjsko-angielsko-francuskiej nad państwami centralnymi. W listopadzie ukształtował się Komitet Narodowy Polski – ośrodek polityczny narodowców kierowany przez Romana Dmowskiego. W odezwie z 25 listopada przekonywano, że „klęska Niemiec w tej walce – to nasze zwycięstwo”, a za cel działań uznano „zjednoczenie Polski po berłem monarchy rosyjskiego”. Endecy zachęcali

Polaków do wstępowania do polskich oddziałów walczących u boku Rosji, co jednak nie spotykało się z życzliwym przyjęciem.

Środowisko skupione wokół Polskiej Partii Socjalistycznej i Józefa Piłsudskiego wykazało najbardziej aktywną postawę w pierwszych miesiącach wojny. Aktywną – co nie znaczy, że skuteczną. Już w 1908 roku Piłsudski zorganizował Związek Walki Czynnej: tajną organizację o charakterze wojskowym, której celem stała się walka o niepodległość Polski (w sprzyjających okolicznościach). Na bazie Związku w 1910 roku utworzono w Galicji, gdzie panowała największa swoboda polityczna, jawnie działające organizacje paramilitarne: Towarzystwo „Strzelec" w Krakowie oraz Związek Strzelecki we Lwowie, funkcjonujące pod wspólną nazwą Związków Strzeleckich, których Komendantem Głównym był Józef Piłsudski.

Tuż przed oficjalnym wypowiedzeniem wojny przez głównych aktorów zmagań Piłsudski, przeczuwając, co się święci, ściągnął do galicyjskiego Krakowa około 6 tysięcy wiernych strzelców. Jawnie występujący członkowie tych oddziałów, które zaczęto nazywać legionami polskimi – na wzór legionów z czasów napoleońskich – zamieszkali w barakach postawionych na Oleandrach, przy krakowskich Błoniach. Stąd właśnie mglistym porankiem 6 sierpnia 1914 roku, poprzedzona ośmioosobowym patrolem konnym, ruszyła słynna pierwsza kompania kadrowa pod dowództwem porucznika Tadeusza Kasprzyckiego. Liczyła 170 żołnierzy. Celem wymarszu, dyskretnie popieranego przez Austriaków, było wywołanie ogólnonarodowego powstania na ziemiach zaboru rosyjskiego. Legioniści kierowali się na północ, w stronę Kongresówki. Siódmego sierpnia o godzinie 9.45 obalili słupy graniczne w pobliżu Michałowic, dzielące zabór austriacki od rosyjskiego. Trzech kawalerzystów, dla których

zabrakło koni, przeszło przez granicę z siodłami na plecach. Rozpoczęła się „inwazja”.

Epopeja „pierwszej kadrowej” została w dużej mierze zmitologizowana w czasach II Rzeczypospolitej. Tymczasem zakończyła się ona całkowitą klęską. Wydając rozkaz wymarszu, Piłsudski liczył, że na widok polskich mundurów mieszkańcy Kraju Przywiślańskiego rzucą wszystko i chwycą za broń (której zresztą nie mieli). Na to liczyły też władze austriackie, mając nadzieję, że Polacy przez swój bunt osłabią cara, który znalazł się po drugiej stronie barykady w tej wojnie.

Ani zamierzenia Piłsudskiego, ani Austriaków nie powiodły się. Polacy, widząc przejeżdżających legionistów, reagowali nieufnie, a nawet niechętnie. Klęska XIX-wiecznych zrywów niepodległościowych gruntownie przeorała mentalność społeczną. Trzeba też pamiętać, że w wyniku mobilizacji prawie 600 tysięcy Polaków znalazło się w szeregach armii carskiej, a 200 tysięcy – niemieckiej. Pozostali postanowili czekać na rozwój sytuacji i nie poszli za Piłsudskim. Dezorientację wywołała też ideologiczna kontrofensywa Rosjan: 14 sierpnia wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, dowódca wojsk carskich, wezwał do „pojednania się braterskiego z Wielką Rosją”, mgliście zapowiadając zjednoczenie Polski pod berłem cara. Oświadczenie to spotkało się ze sporym oddźwiękiem społecznym – wydawało się, że strategia endecji, opierająca się na sojuszu z caratem, wydaje o wiele większe owoce niż szalona eskapada Piłsudskiego.

Latem 1915 roku skuteczna ofensywa państw centralnych wypchnęła Rosjan z terenów polskich. Była to nowa sytuacja: Piłsudski, którego autorytet w ciągu ostatnich miesięcy bardzo wzrósł – mimo ubiegłorocznego „falstartu” – zorientował się, że dalsze wzmacnianie doraźnych sojuszników może zacząć obracać się przeciwko sprawie Polski.

W konsekwencji usiłował teraz ograniczać werbunek do legionów. Jednocześnie skupił się na rozwijaniu aktywności tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej, utworzonej już jesienią 1914 roku, której był komendantem. POW dążyła do pełnej niepodległości, bez oglądania się na zaborców. W planach Piłsudskiego POW miała być asem w rękawie: tajnym atutem wojskowym Polaków, który mógł zostać użyty w decydującej dla niepodległości Polski chwili.

Po zajęciu w połowie 1915 roku ziem Królestwa Polskiego Austro-Węgry i Niemcy musiały rozstrzygnąć kwestię, co ma się z tymi ziemiami stać. Czy przyłączyć je do Rzeszy? A może do cesarsko-królewskiej monarchii? Anektować część ziem przy wypędzeniu polskiej ludności? Ostatecznie zdecydowano się na łagodniejszy wariant, mający zyskać życzliwość ludności tubylczej; tym bardziej że Polacy sami zaczęli stosować politykę faktów dokonanych, mnożąc wspominane już inicjatywy samorządowe, jak również tworząc zręby narodowego sądownictwa i szkolnictwa. W tym kontekście okupanci wybrali ograniczony kompromis: zdusili wiele oddolnych inicjatyw, ale zgodzili się na powołanie Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej (w listopadzie 1915 roku).

Przy okazji chciano rozprawić się z coraz bardziej niezależnymi i kłopotliwymi legionami: w ramach planów marginalizacji tych struktur 20 września 1916 roku władze austriackie przekształciły je w Polski Korpus Posiłkowy, zaczynając wycofywać polskie oddziały z frontu w głąb kraju, gdzie można je było lepiej kontrolować. W obliczu tej decyzji Piłsudski złożył dymisję z zajmowanego stanowiska komendanta. W ten sposób jego legenda bojownika o niepodległość wzrosła. Być może zresztą był to tylko pretekst, by skupić się na przyszłościowej POW, z którą wiązał coraz większe nadzieje. Pod koniec 1916 roku tajne oddziały POW gromadziły

już około 15 tysięcy żołnierzy. Legiony – w formie Korpusu – działały zresztą dalej.

Zmiany organizacji legionów zaszły bowiem w przededniu ważnych rozwiązań: licząc na pozyskanie Polaków, Rzesza i Austro-Węgry zdecydowały się wreszcie na deklarację w sprawie przyszłości ziem polskich: 5 listopada 1916 roku generalni gubernatorzy tych krajów, zarządzający ziemiami polskimi, wydali dwie deklaracje, w których powiadomiono mieszkańców o decyzji obu cesarzy, by „z ziem panowaniu rosyjskiemu wydartych utworzyć państwo samodzielne z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem”. Obietnica była niejasna – brakło konkretów w sprawie granic i stopnia uzależnienia od okupantów – ale po raz pierwszy od wybuchu wojny tak jasno postawiono sprawę państwowości polskiej. Konflikt między zaborcami zaczynał przynosić wymierne efekty. O prawdziwej motywacji cesarzy najlepiej świadczy jednak fakt, że kilka dni później ogłoszono odezwy o zaciągu do podporządkowanego okupantom „wojska polskiego” – chodziło więc o skłonienie Polaków do walki.

Przedłużające się, wyczerpujące walki na wielu frontach zmuszały Niemców i Austriaków do decydowania się na dalsze kompromisy. W grudniu 1916 roku ogłoszono powstanie organu o charakterze rządowym: Tymczasowej Rady Stanu oraz zwołanie autonomicznego sejmu. Kierownikiem jednego z ośmiu departamentów Rady – wojskowego – został Józef Piłsudski. Objęcie tej funkcji wynikało z przekazania przez Austriaków Polskiego Korpusu Posiłkowego pod zwierzchnictwo Rady. *De facto* w ten sposób legiony Piłsudskiego stały się autonomiczną częścią wojsk państw centralnych i wyraźnie odżyły. Było to spore ustępstwo na rzecz Polaków, ale faktyczną władzę w stolicy i tak sprawował gubernator Hans von Beseler. Jednocześnie Niemcy

organizowali autonomiczne oddziały Polnische Wehrmacht, a tajna POW zwiększała swe szeregi. Sytuacja robiła się coraz ciekawsza.

Oświadczenie obu cesarzy umiędzynarodowiło sprawę polską. Było to w sumie na rękę krytycznym skądinąd wobec aktu endekom, którzy – po klęskach Rosji z lata 1915 roku – skupili się na lobbowaniu na rzecz niepodległości Rzeczypospolitej w gabinetach zachodnich rządów. Rozumiano, że to tutaj będą zapadać powojenne decyzje. W ten sposób zaistniało brzemienne w skutkach rozdwojenie polskich ośrodków państwotwórczych: jeden, kierowany przez Piłsudskiego, działał „od wewnątrz", na ziemiach polskich; drugi zaś – endecki – prowadził aktywność „od zewnątrz", na Zachodzie.

Decyzja cesarzy z listopada 1916 roku rozpoczęła „licytację" sprawą polską między walczącymi mocarstwami. Dwudziestego piątego grudnia Mikołaj II wydał rozkaz do wojska, w którym stwierdził, że jednym z celów wojny jest „stworzenie Polski wolnej, złożonej ze wszystkich trzech części, dotąd rozdzielonych". I tu zabrakło konkretów w sprawie granic i stopnia zależności do Moskwy. Niewiele później milczenie przerwali wreszcie również zachodni dyplomaci. Dwudziestego drugiego stycznia 1917 roku słabo zorientowany w sprawach Europy Wschodniej prezydent Stanów Zjednoczonych Thomas Woodrow Wilson ogłosił orędzie do senatu, w którym podkreślił: „mężowie stanu wszędzie są zgodnego zdania, że powinna powstać Polska zjednoczona, niepodległa i samoistna". Po raz pierwszy tak dobitnie wypowiedziano się publiczne za niepodległością Rzeczypospolitej.

Kwestia polskiej niepodległości nabrała nowego wymiaru w momencie wybuchu dwóch brzemiennych w skutkach rewolucji w Rosji: obalenia caratu i powołania częściowo demokratycznego Rządu Tymczasowego w marcu 1917 roku (tzw. rewolucja lutowa), a następnie komunistycznego

zamachu stanu, który przeszedł do historii jako rewolucja październikowa (według kalendarza gregoriańskiego nastąpił on w listopadzie 1917 roku). Czternastego marca 1917 roku bolszewicy – radykalni marksiści zamierzający wykorzystać wojnę do przeprowadzenia rewolucji – ogłosili, że „Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym". Nie chcąc pozostać w tyle, trzy dni później podobną, choć nieco ostrożniejszą deklarację wydał petersburski Rząd Tymczasowy. Po przejęciu władzy w listopadzie bolszewicy raz jeszcze potwierdzili zgodę na oderwanie się ziem polskich od rosyjskiego imperium.

W ten sposób właściwie wszyscy najważniejsi antagoniści I wojny światowej w ciągu kilku miesięcy 1917 roku zadeklarowali – przeważnie nieprecyzyjnie – wolę ustanowienia niepodległej Polski. Zachód, do tej pory skrępowany sztywnym stanowiskiem carskiej Rosji, teraz znalazł szersze możliwości manewru. Działający tak skutecznie przez wiele dziesięcioleci system zaborów zaczął rozsypywać się jak domek z kart. Pozostało pytanie, jaką treścią wypełnią się te ogólne ramy deklaracji.

Rewolucje 1917 roku miały jeszcze jeden ważny skutek: polscy poborowi zaczęli masowo opuszczać armię rosyjską i wstępować do tworzonych właśnie spontanicznie polskich formacji w Rosji: Związku Wojskowych Polaków (który uznał swym honorowym przewodniczącym Józefa Piłsudskiego) czy Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego, który zorganizował I Korpus Polski. Pod koniec 1917 roku Korpus, kierowany przez generała Józefa Dowbora-Muśnickiego, wdał się w walkę z „czerwonymi" (czyli bolszewikami). W tym czasie działał już II Korpus Polski, który osłaniał polskie majątki na Podolu. Państwa zachodnie uznały go za wojsko sojusznicze. Gdy Austriacy rozpoczęli likwidację legionów, do Korpusu przedarła się część żołnierzy II Brygady dowodzonych przez

dobrze nam znanego generała Józefa Hallera. Haller objął dowództwo nad całym II Korpusem. Wkrótce jednak oddziały te zostały rozproszone przez Niemców.

Polskie oddziały wojskowe zaczęły też powstawać na Zachodzie. Wiosną 1917 roku wykrystalizował się projekt stworzenia odrębnej armii polskiej walczącej u boku Francji. Czwartego czerwca 1917 roku prezydent Raymond Poincaré wydał dekret, na mocy którego rozpoczęto organizację armii złożonej z ochotników, a także z walczących po stronie Niemiec Polaków, którzy dostali się do niewoli i teraz pragnęli walczyć już tylko w polskim interesie. Wobec obecności liderów endecji na Zachodzie nie może dziwić, że to środowiska narodowe zdominowały tę inicjatywę. Armia szybko się rozrastała – w kwietniu 1918 roku liczyła już 11 tysięcy żołnierzy. Na czele rosnących w siłę oddziałów stanął nie kto inny, jak generał Haller, który przybył do Francji z Rosji po rozbiciu II Korpusu. Błękitna Armia – bo tak nazywano polskie oddziały z racji koloru mundurów – paliła się do walki.

Tworzonej armii patronował powstały latem 1917 roku w szwajcarskiej Lozannie (ale z siedzibą w Paryżu) nowy ośrodek polityczny – Komitet Narodowy Polski. Jego prezesem został Roman Dmowski. Komitet określił się jako reprezentant Polski na arenie międzynarodowej oraz zwierzchnik polskich sił zbrojnych we Francji. Wszystko wskazywało na to, że to Komitet stanie się zalążkiem przyszłych władz Polski. Kto jednak tak myślał, nie doceniał Józefa Piłsudskiego.

W 1917 roku wydawało się, że Komendant znalazł się na straconej pozycji. Marionetkowa Tymczasowa Rada Stanu, sankcjonująca obecność okupantów w Polsce, nie spełniała pokładanych w niej nadziei. Polacy zresztą mieli coraz większe aspiracje i sama autonomia przestała już im wystarczać. Piłsudski liczył, że Rada przeistoczy się w prawdziwy rząd, ale

postawił na niewłaściwego konia. Niemcy, dostrzegając słabość wstrząsanej rewolucjami Rosji i mniej licząc na polskiego rekruta, usztywniły swe stanowisko. W efekcie 2 lipca 1917 roku Piłsudski złożył dymisję i przestał kierować departamentem wojny. Jego kariera wydawała się skończona. W dodatku okupanci, konsekwentni w swej polityce ograniczania zrębów niezależności Polaków, zażądali od oddziałów polskich działających przy państwach centralnych (czyli w praktyce trzech brygad legionów) złożenia przysięgi na wierność obu cesarzom. Postawiony pod ścianą Piłsudski wezwał żołnierzy do odmowy spełnienia rozkazu. W ten sposób doszło do słynnego „kryzysu przysięgowego”. Obdarzony świetną intuicją Piłsudski poczuł, że należy dokonać radykalnego zwrotu: wobec osłabienia Rosji trzeba było teraz wystąpić przeciwko państwom centralnym.

Autorytet Komendanta sprawił, że niemal cała I i III Brygada odmówiły złożenia przysięgi podczas uroczystego apelu w Warszawie. Oficerowie na znak protestu rzucili szablami o ziemię. Widok ten zrobił wielkie wrażenie na warszawiakach. Z jednolitego frontu wyłamała się tylko kierowana przez generała Hallera II Brygada, która – jak już wiemy – zostanie później wcielona do armii austriackiej, a Haller przebije się z częścią podwładnych do II Korpusu w Rosji. Wtedy właśnie na dobre rozgorzał konflikt między Hallerem a Piłsudskim, dotąd tlący się w formie rywalizacji obu przywódców o wpływy w legionach.

Okupanci nie zamierzali przepuścić I i III Brygadzie niesubordynacji: oddziały zostały natychmiast rozwiązane, część żołnierzy wcielona do armii austriackiej, a część – internowana w obozach w Beniaminiowie i Szczypiornie. Nocą z 21 na 22 lipca Piłsudski (wraz z Kazimierzem Sosnkowskim) został aresztowany. Po przewiezieniu w głąb Niemiec ostatecznie osadzono go w twierdzy w Magdeburgu.

Klęskę projektu politycznego i militarnego Piłsudskiego częściowo rekompensowała legenda, która rosła i szerzyła się w świadomości społecznej: legenda bojownika o niepodległość i szlachetnego dowódcy, który nie zamierzał współpracować z zaborcami (choć przecież przez trzy lata z nimi współpracował!). Wydawało się jednak, że będzie to legenda kolejnego w historii Polski patrioty, który przegrał i zniknął na zawsze w czeluściach więzienia.

Tymczasem słabnący okupanci jesienią 1917 roku utworzyli na ziemiach polskich nową strukturę autonomicznej władzy: zaledwie trzyosobową Radę Regencyjną. W jej skład weszli prezydent Warszawy książę Zdzisław Lubomirski, arcybiskup warszawski Aleksander Kakowski oraz Józef Ostrowski, były członek rosyjskiej Rady Państwa. Wbrew oczekiwaniom okazało się, że duży autorytet członków Rady pozwalał jej na prowadzenie bardziej niezależnej polityki niż Tymczasowej Radzie Stanu. Regenci oparli się m.in. żądaniu Austrii i Niemiec, by ogłosić stan wojny Polski z ententą. Rada powołała też autonomiczny rząd, na czele którego stanął Jan Kucharzewski.

Powitanie Józefa Piłsudskiego na Dworcu Wiedeńskim w Warszawie po przybyciu z Krakowa, 12 grudnia 1916 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Jak wspominałem, Niewiadomski nie brał udziału w działaniach wojennych, jego zdrowie i życie nie były więc bezpośrednio zagrożone. Niemniej nie ominęły go w tym czasie spore problemy zdrowotne. Dwudziestego ósmego lutego 1918 roku nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności niespełna pięćdziesięcioletni Eligiusz uległ poważnemu wypadkowi, wyskakując z warszawskiego tramwaju. Doznał licznych złamań i obrażeń. Po kilku miesiącach kuracji poczuł się na tyle dobrze, że brał czynny udział w akcji rozbrajania żołnierzy niemieckich, do której doszło w momencie triumfalnego przyjazdu Piłsudskiego do Warszawy 10 listopada.

Nieco wcześniej, latem, do Warszawy przyjechały siostra Niewiadomskiego Cecylia z jego córką Anną, a niedługo potem – brat

Roman ze swoją liczną rodziną. I on wraz z Eligiuszem rozbrajał Niemców na warszawskich ulicach.

Rozbrajanie Niemców – zapomniany już epizod polskiej drogi do niepodległości – było finałem zmieniającej się jak w kalejdoskopie sytuacji międzynarodowej, która – co rzadko się zdarza – w ciągu 1918 roku okazała się korzystna dla interesów Polski.

Ósmego stycznia 1918 roku Thomas Woodrow Wilson ogłosił swój słynny i trochę naiwny (ale bardzo zgrabny stylistycznie) czternastopunktowy program powojennego urządzenia świata. W punkcie 13 podkreślił, że „należy stworzyć niezawisłe państwo polskie w granicach etnicznych i z dostępem do morza”. Program amerykańskiego prezydenta okazał się olbrzymim sukcesem propagandowym. Deklaracje tego typu, choć wciąż dość ogólne, stawały się jednak coraz bardziej konkretne. Trzeciego czerwca 1918 roku premierzy Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch oświadczyli podczas spotkania w Wersalu: „utworzenie Polski zjednoczonej i niepodległej, z dostępem do morza, stanowi jeden z warunków pokoju trwałego i sprawiedliwego oraz przywrócenia poszanowania prawa w Europie”.

Okupanci próbowali ratować sytuację dalszymi ustępstwami na rzecz Polaków. W czerwcu 1918 roku powstała przy Radzie Regencyjnej Rada Stanu – namiastka parlamentu, zajmująca się jednak tylko drugorzędnymi sprawami. Zarazem coraz lepiej widoczna klęska państw centralnych powodowała rosnącą aktywizację rywalizujących ze sobą piłsudczyków i endeków.

Na Zachodzie Komitet Narodowy Polski radykalizował swój program: obóz Dmowskiego domagał się połączenia wszystkich ziem polskich i zapewnienia im dostępu do morza, w tym przyznania Gdańska. Gwałtownie rosły szeregi Błękitnej Armii, osiągając w drugiej połowie

1918 roku liczbę 50 tysięcy żołnierzy. Równolegle sympatycy Piłsudskiego rozbudowywali w kraju swą „tajną broń”: Polską Organizację Wojskową. Władze okupacyjne raz po raz otrzymywały żądania uwolnienia więzionego Piłsudskiego, coraz powszechniej postrzeganego jako symbol walki o niepodległość. Radykalizacji ulegała polityka Rady Regencyjnej: 7 października 1918 roku wydała odezwę do narodu, w której poparła wizję prezydenta Wilsona, zapowiedziała opracowanie ordynacji wyborczej, zwołanie sejmu i powołanie niezależnego rządu. Mimo że Rada wahała się między ustrojem monarchicznym a demokratycznym, odezwa z 7 października była praktycznie deklaracją niepodległości.

Tymczasem cesarsko-królewskie Austro-Węgry w przeciągu października legły w gruzach. Państwo pogrążyło się w chaosie i anarchii, monarchię całkowicie skompromitowały wojenne klęski. Sytuacja ta była jednak na rękę Polakom, którzy na większą skalę niż ich pobratymcy na terenach zajmowanych przez Niemcy, mogli rozwinąć państwowotwórczą działalność. Dwudziestego ósmego października w Krakowie rozpoczęła działalność Polska Komisja Likwidacyjna, która *de facto* przejęła zarząd nad częścią Galicji. Pierwsze skrzypce w Komisji grali przedstawiciel umiarkowanych ludowców Wincenty Witos oraz socjalista Ignacy Daszyński. Trzy dni później naprędce tworzone oddziały polskie rozbroiły zdemoralizowany garnizon austriacki w Krakowie. Piątego listopada nowo powstała Cieszyńska Rada Narodowa zawarła układ z czeskim Narodnim Vyborem w sprawie tymczasowego podziału spornego Śląska Cieszyńskiego. Po stronie polskiej znalazło się całe Zaolzie.

Ambitny Daszyński w nocy z 6 na 7 listopada podjął w Lublinie próbę utworzenia ogólnonarodowego, centralnego rządu polskiego. W projektowanym gabinecie przewidziano miejsce przede wszystkim dla

socjalistów, ale także ludowców i bliskich współpracowników Piłsudskiego. Lewicowa orientacja rządu wykluczała endeków.

Jak widać, tuż przed końcem wojny na ziemiach polskich oraz na Zachodzie równolegle działało kilka niezależnych ośrodków polskiej władzy, o często sprzecznych tendencjach ideowych. W tej sytuacji konieczny był kompromis i pogodzenie różnorodnych nurtów. Kto jednak mógł, dzięki swemu autorytetowi, pogodzić rywalizujące obozy? Wtedy właśnie na pierwszy plan wysunął się Józef Piłsudski, w tym momencie już człowiek legenda. Komendant cieszył się poparciem lewicy, liczącej, że poprowadzi on Polskę ku socjalizmowi. Jego osobę była skłonna poprzeć nawet prawica, obawiająca się radykalizmu Daszyńskiego. W pewnej mierze Piłsudski rozczaruje i jednych, i drugich, prowadząc własną, niezależną politykę. Duża część Polaków po prostu czuła szacunek do więzionego bojownika o niepodległość. Powszechnie dostrzegano zaskakującą trafność (chyba dość przypadkową) jego przewidywań: tak jak oceniał, najpierw państwa centralne pokonały Rosję, a potem uległy krajom zachodnim.

Rozumiano, że Polsce potrzebny jest silny człowiek. Wpierw jednak musiał on opuścić swe więzienie. Niemcy, przerażeni sytuacją rewolucyjną we własnym kraju, coraz bardziej skłaniali się ku zwolnieniu Komendanta. Wreszcie pogodzono się z faktem niepodległości Polski. Niemieckie władze zaczynały zarazem rozumieć, że Piłsudski, stojący na czele państwa polskiego, może stanowić zaporę dla bolszewików, których wpływy w Rzeszy poszerzały się z dnia na dzień. Rewolucyjna gorączka, która ogarnęła skompromitowane wojną cesarstwo niemieckie w początkach listopada, dotarła również do Magdeburga.

Ósmego listopada rano w ogrodzie, gdzie siedzieli Piłsudski i jego współpracownik (przyszły generał) Kazimierz Sosnkowski,

niespodziewanie zjawił się wysłannik z Berlina, hrabia Harry von Kessler. Poinformował, że zapadła decyzja o uwolnieniu obu Polaków i muszą oni natychmiast ruszyć z nim do Berlina. Zaledwie dzień wcześniej Daszyński utworzył w Lublinie swój rząd, którzy Niemcy postrzegali jako rewolucyjny. Z kolei dzień później doszło do detronizacji cesarza Wilhelma II, który w momencie uwolnienia Komendanta uciekał właśnie do Holandii. Tryby historii przyspieszały.

Dziewiątego listopada w wykwintnym lokalu „Hiller” w ogarniętym rewolucją Berlinie Piłsudski przeprowadził konsultacje z przedstawicielami niemieckiego MSZ. Sytuacja była surrealistyczna: niemieccy dyplomaci starali się prowadzić towarzyską konwersację, zagłuszani przez okrzyki zbuntowanych robotników paradujących ulicami miasta. Coraz pewniejszy siebie Piłsudski zażądał odwiezienia do Warszawy. Mimo kłopotów i chaosu niemieccy gospodarze ofiarowali zwolnionym więźniom prywatny pociąg, który wieczorem 9 listopada ruszył na wschód. Piłsudski i Sosnkowski byli jedynymi pasażerami.

Dziesiątego listopada o godzinie 7.00 Komendant przybył wreszcie do Warszawy. Oczekiwało na niego siedem osób. Dopiero w kolejnych godzinach warszawiacy dowiedzieli się, kto do nich przyjechał. Piłsudski chciał zresztą od razu udać się w dalszą podróż do Lublina i połączyć się z Daszyńskim, ale zmienił zdanie, przekonany przez rozmówców, że to w Warszawie trzeba stworzyć władze.

Właśnie tego dnia rozpoczęło się spontaniczne rozbrajanie Niemców, w którym miał uczestniczyć – choć nie wiadomo dokładnie, w jakiej formie – Niewiadomski. Rozbrajanie prowadzili przede wszystkim żołnierze z POW, która właśnie się ujawniła, a także młodzież akademicka. Trzeba pamiętać, że w dniu przybycia Piłsudskiego na ziemiach polskich stacjonowało około 80 tysięcy żołnierzy Deutsche Armee, a blisko pół

miliona znajdowało się wciąż na wschodzie, czekając na powrót do kraju po zakończeniu walk z Rosjanami. Polska była więc okupowana i w zasadzie otoczona przez niemieckie oddziały, zdemoralizowane i rozprzężone. Jedenastego listopada gubernator Warszawy von Beseler uciekł w przebraniu do Berlina. Wyżsi oficerowie porzucili stanowiska, a żołnierze zaczęli plądrować sklepy.

W czasie warszawskiej akcji rozbrajania nie obyło się bez incydentów, prawdziwych walk i ofiar śmiertelnych: przy zdobywaniu Cytadeli – tej samej, w której później siedział Niewiadomski i gdzie miał zostać rozstrzelany – zginęło aż trzydziestu Polaków. Dzięki negocjacjom prowadzonym przez Piłsudskiego od 12 listopada oddziały niemieckie zaczęły jednak opuszczać pociągami Warszawę. Akcja ogarnęła cały kraj i już po tygodniu 80 tysięcy żołnierzy znalazło się w Niemczech. Okupacja Polski skończyła się.

Przebywając w centrum wydarzeń i kontrolując niemal 50-tysięczną POW, Piłsudski dysponował poważnymi atutami, których nie miał Dmowski, przebywający w tym czasie w Stanach Zjednoczonych i od trzech lat nieobecny w Polsce. Co prawda pośpiesznie wybrał się w drogę powrotną i 19 listopada znalazł się w Paryżu, ale było już za późno. Jedenastego listopada Rada Regencyjna oficjalnie przekazała Piłsudskiemu naczelne dowództwo nad polskimi siłami zbrojnymi. Decyzja ta – wcale nie pierwsza i nie najważniejsza w łańcuchu doniosłych zdarzeń tych dni – stanie się symbolem odzyskania niepodległości przez Polskę po 123 latach zaborów.

Rozbrajanie Niemców w Warszawie, listopad 1918 roku. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Tego samego dnia w wagonie kolejowym w lasku pod miejscowością Compiègne przedstawiciele Niemiec złożyli podpis pod aktem zawieszenia broni. Koniec wojny oznaczał początek Polski. Pełną władzę Piłsudski przejął tak naprawdę dopiero trzy dni później, 14 listopada, kiedy Rada Regencyjna scedowała na niego nie tylko władzę wojskową, lecz także cywilną. Tego samego dnia rozwiązała się. To samo uczynił rząd Daszyńskiego, uznając pierwszeństwo Piłsudskiego. Siedemnastego listopada 30 tysięcy żołnierzy niemieckich z warszawskiego garnizonu ostatecznie opuściło stolicę. Niewiadomski z pewnością przyjął ten fakt z niekłamaną radością.

Dwudziestego drugiego listopada Piłsudski objął urząd Tymczasowego Naczelnika Państwa i zmienił nazwę rządzonego przez siebie kraju na Republikę Polską – Rzeczpospolitą. Tak oto narodziła się II Rzeczpospolita, od początku obierając profil republikański. W tym samym czasie lider endecji i Komitetu Narodowego Polskiego Roman Dmowski walczył o uznanie polskiej państwowości w Paryżu, gdzie trwały gorączkowe negocjacje i przygotowania do zawarcia pokoju, który miałby zorganizować powojenny porządek w Europie. Do historii przejdzie on jako traktat wersalski, podpisany ostatecznie 28 czerwca 1919 roku.

Na szczęście obaj mężowie stanu stanęli w tym kluczowym dla Polski momencie na wysokości zadania. Kiedy w styczniu 1919 roku pokojowa konferencja paryska wreszcie ruszyła, Piłsudski wysłał do Francji swego przedstawiciela z zadaniem dogadania się z Dmowskim i utworzenia wspólnej delegacji. Dmowski przywitał posłańca tęgą awanturą, ale ostatecznie zgodził się na kompromis. Dzięki temu Polska mówiła w Paryżu jednym głosem.

Rzadki na polskiej scenie politycznej kompromis osiągnięto w dramatycznej dla odrodzonego kraju sytuacji: gorzkim paradoksem

historii był fakt, że koniec wojny światowej oznaczał dla tworzonego dopiero państwa otwarcie konfliktów zbrojnych właściwie na wszystkich frontach. Na walkę o granice nakładały się skomplikowane animozje etniczne, cywilizacyjne wpływy Wschodu i Zachodu i diametralne różnice ideologiczne w kontekście ekspansji komunizmu. W pewnej mierze „karczowanie" zasięgu terytorialnego Polski było walką o jej europejskość.

Najważniejsze polskie obozy polityczne miały własną wizję kształtu Rzeczypospolitej. Piłsudczycy opowiadali się za koncepcją federacyjną: Polska miała wzorować się na granicach przedrozbiorowych, ale uznano zarazem potrzebę stworzenia na wschodzie niedużych państewek: Litwy, Białorusi i Ukrainy, które miały być powiązane z Polską federacją na wzór Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Kraje te miały zarazem chronić Polaków przed bolszewikami. Dlaczego jednak narodowości te miałyby uznać faktyczną zwierzchność Polski? Polski nacjonalizm uwidocznił się za to w inkorporacyjnej koncepcji Narodowej Demokracji: Dmowski bardziej realistycznie oceniał możliwości „przetrawienia" terytoriów obcych etnicznie przez Rzeczpospolitą i sugerował, że granice powinny objąć obszar gwarantujący „spójność wewnętrzną" opartą na kryteriach narodowych. Oznaczało to rezygnację z części wschodnich rubieży (część Białorusi i Galicji).

Obie koncepcje nie wzięły pod uwagę brzemiennej w skutki erupcji świadomości narodowej na Ukrainie oraz siły bolszewików. Jeszcze przed 11 listopada 1918 roku rozpoczęły się walki z Ukraińcami, którzy zajęli część Galicji Wschodniej i atakowali Lwów. Potyczki objęły właściwie całą Galicję, gdzie zaczęły powstawać rywalizujące ze sobą ośrodki ukraińskiej władzy. Od początku listopada przez trzy tygodnie nieliczne oddziały POW i młodzież harcerska rozpaczliwie, w osamotnieniu broniły Lwowa, otoczone przez przeważające siły Ukraińców. Dwudziestego listopada udało

się odeprzeć wrogów, ale przez najbliższe tygodnie miasto pozostało odosobnione i musiało zmagać się z kolejnymi natarciami. Dopiero w marcu 1919 roku udało się przerwać front ukraiński i zapewnić łączność miasta z centrum Polski.

Korzystając z zamieszania wokół Lwowa, w styczniu 1919 roku wojska czeskie zaatakowały polską część Śląska Cieszyńskiego. Rozgorzały zażarte walki. Po tygodniu, 30 stycznia, zawarto niekorzystny dla strony polskiej rozejm, który w lutym usankcjonowały państwa zachodnie. Większość spornych ziem, w tym Zaolzie, znalazła się teraz w rękach czeskich.

Tymczasem kilkaset kilometrów na północ oddziały polskie, na mocy porozumienia z wycofującymi się oddziałami niemieckimi, obsadzały od listopada 1918 roku linię demarkacyjną wzdłuż traktu kolejowego Brześć-Białystok-Grajewo. Tym samym zetknęły się oko w oko z oddziałami Armii Czerwonej, które przejmowały po Niemcach teren na wschód od tej linii. Bolszewicy zajęli przy tym tereny litewskie (w tym Wilno), do których pretensje zgłaszała Polska. Konflikt wisiał w powietrzu. Korzystając z uspokojenia na froncie ukraińskim, Piłsudski przerzucił w lutym 1919 roku na północ sporą liczbę żołnierzy, którzy przeszli przez linię demarkacyjną w kierunku Niemna. W tym też miesiącu doszło do pierwszych potyczek z komunistami. W kolejnych tygodniach Naczelnik Państwa próbował dalej wdzierać się na tereny litewskie, mgliście obiecując ich mieszkańcom jakąś formę sojuszu. Wobec niepowodzenia rozmów Komendant, bez konsultacji z Sejmem, uderzył w kwietniu na Wilno. Po ciężkich walkach z Rosjanami ostatecznie opanowano miasto. Litwini, starający się wywalczyć własną państwowość, uznali ten fakt za okupację. Polska zyskała kolejnego wroga.

W pierwszych miesiącach niepodległości dramatyczny przebieg miał również proces wytyczania polskiej granicy zachodniej. Środowiska endeckie postanowiły w końcu 1918 roku czekać z działaniami na rozstrzygnięcia przyszłej konferencji paryskiej, jednak społeczeństwo polskie, widząc posunięcia administracji niemieckiej i rozbudowę paramilitarnych struktur wśród niemieckich obywateli, zdradzało coraz większe zaniepokojenie. Czynne przygotowania do walki prowadzili piłsudczycy i POW. W tej napiętej atmosferze 26 grudnia 1918 roku w Poznaniu zatrzymał się światowej sławy pianista Ignacy Paderewski. Witano go jak bohatera. Demonstracja ku czci słynnego pianisty szybko przekształciła się w zaczyn powstania. Już następnego dnia, kiedy Paderewski wyjechał do Warszawy, poznaniacy opanowali strategiczne punkty miasta. Dwudziestego dziewiątego grudnia zdobyto cytadelę. W pierwszych dniach stycznia 1919 roku Poznań został całkowicie opanowany.

Powstanie ogarnęło inne obszary byłego zaboru niemieckiego. Wkrótce regularne wojska niemieckie ruszyły na wschód. Rozpoczęła się zacięta wojna. Równolegle do potyczek, polska i niemiecka dyplomacja starły się na forum międzynarodowym, głównie we Francji. W lutym udało się na rozmowach w Trewirze ustalić linię demarkacyjną, która miała stać się (z drobnymi zmianami) przyszłą granicą polsko-niemiecką. Walki ustały, sytuacja pozostawała jednak bardzo napięta.

Ostateczna wersja układu pokojowego, przyjęta 28 czerwca 1919 roku w Sali Lustrzanej pałacu w Wersalu, nie spełniła wszystkich oczekiwań Polaków; co więcej, dodała nowe problemy. Co prawda traktat wersalski (zwany też pokojem paryskim) zaakceptował w zasadzie rozwiązania przyjęte w Trewirze w sprawie granicy zachodniej i przyznał Polsce dostęp do morza, ale uznał Gdańsk za odrębne Wolne Miasto oraz ogłosił

przeprowadzenie plebiscytów na Warmii, Mazurach i Górnym Śląsku. Mieszkańcy tych regionów mieli sami zadecydować, w jakim kraju chcą mieszkać. Skomplikowane położenie Rzeczypospolitej zagmatwało się jeszcze bardziej. W sprawie granicy wschodniej praktycznie nie ustalono niczego konkretnego. Co więcej, wszystkie nowo utworzone w wyniku zakończenia wojny państwa musiały podpisać upokarzający, dodatkowy „traktat mniejszościowy", który umożliwiał głównym państwom ententy pewną ingerencję w politykę narodowościową, religijną czy edukacyjną tych krajów.

Sukces na Wileńszczyźnie i rozejm w Wielkopolsce z lutego 1919 roku skłoniły Piłsudskiego do rozwiązania patowej sytuacji na Ukrainie. Przyczynił się do tego powrót do kraju ponad 50 tysięcy żołnierzy Błękitnej Armii, którzy od kwietnia 1919 roku wyczarterowanymi pociągami przenosili się z Paryża na wschód. Choć wraz z nimi przybył stary rywal Piłsudskiego – generał Haller – korzyści z tak licznych posiłków były trudne do przecenienia. W maju 1919 roku Piłsudski osobiście pokierował wielką ofensywą, w wyniku której szybko zdobyto kolejne tereny. Po kilku tygodniach wojska polskie doszły aż po Stanisławów i rzekę Zbrucz.

Od początku 1919 roku pełna napięcia pozostawała sytuacja na Górnym Śląsku. Postanowienia traktatu wersalskiego o przeprowadzeniu plebiscytu tylko podgrzały i tak gorącą atmosferę. Obie strony – polska i niemiecka – nie zamierzały biernie czekać na rozwój wypadków. Niemcy rozpowszechniali na forum międzynarodowym tezę o niemieckości Śląska, wzmacniali struktury paramilitarne. To oni dzierżyli ster administracji w regionie, przez co mogli szykanować Polaków i utrudniać im organizowanie się. Zaangażowanie wojsk polskich na wschodzie sprawiało, że polscy Ślązacy mogli liczyć właściwie tylko na siebie.

Podjęta w Wersalu decyzja o plebiscycie szybko doprowadziła do mobilizacji społecznej. Jedenastego sierpnia wybuchł strajk powszechny zorganizowany przez ludność polską. W wyniku brutalnej interwencji niemieckiej policji, podczas której zginęło siedmiu górników, w nocy z 16 na 17 sierpnia strajk przekształcił się w powstanie. Przeszło ono do historii jako pierwsze z trzech powstań śląskich. Po 10 dniach walk powstanie upadło. Niemniej w przeprowadzonych jesienią wyborach samorządowych polscy kandydaci zdobyli 61 procent mandatów.

Federacyjna idea Piłsudskiego zyskała latem 1919 roku dość nieoczekiwane wsparcie za sprawą konfliktu między ośrodkami władzy na tych terenach Ukrainy, których nie zajęło polskie wojsko (na wschód od Zbrucza). Jeden z samozwańczych przywódców, ataman Symon Petlura, stając w obliczu przegranej w walkach z Armią Czerwoną, zwrócił się w sierpniu o pomoc do Piłsudskiego jako ostatniej deski ratunku. Naczelnik postanowił wykorzystać ten pretekst do przeprowadzenia kolejnej ofensywy wschodniej. Ofensywy, która okazała się zgubna dla kraju.

Zbliżająca się zima sprawiła jednak, że zamiary te wstrzymano do następnego roku. Na razie, na przełomie 1919 i 1920 roku, wojska polskie znalazły się w bezpośredniej styczności z Armią Czerwoną (w rejonie Wołynia) i z wiernymi carowi „białymi” (w rejonie Podola). Co ciekawe, bolszewicy, zainteresowani w tym czasie przede wszystkim rozprawieniem się z „białą” armią generała Antona Denikina, prowadzili sondujące, tajne rozmowy z przedstawicielami Polski. Rozmowy takie prowadził również Denikin. Nie bardzo wiedziano, co planuje Piłsudski. Niektórzy historycy uważają, że gdyby Komendant sprzymierzył się wtedy z „białymi”, rewolucja w Rosji zostałaby stłumiona. Piłsudski nie ufał jednak ani „czerwonym”, ani „białym”, którzy w dodatku z uporem odmawiali

wyraźnego uznania polskiej niepodległości. Dwulicowa polityka rokowań z równoległym zbrojeniem się trwała do wczesnej wiosny 1920 roku.

Na przełomie 1919 i 1920 roku sytuacja militarna na wschodzie była bardzo ciężka. Front, rozciągnięty do granic możliwości, obejmował tereny od Dźwiny na północy do Dniestru na południu. Armię dziesiątkowały choroby, ludzie padali od duru plamistego, sytuacja sanitarna była opłakana. Pośpiesznie sklecone Wojsko Polskie, złożone z żołnierzy POW, Błękitnej Armii, byłych wojsk austriackich i niemieckich, a także wszystkich dotychczasowych legionów, brygad i korpusów, zmagało się z poważnymi problemami. Szwankowało zaopatrzenie, głównie dlatego, że żołnierze używali różnych typów broni, wymagających różnej amunicji. Armia tworzyła chaotyczne, kolorowe zbiorowisko: dostrzec można było niebieskie mundury francuskie, niebiesko-szare mundury austriackie noszone przez elitarne oddziały legionowe, szare poniemieckie mundury polowe i tylko nieliczne nowe, zielone uniformy wyprodukowane przez Polaków. Lotnictwo było słabo rozwinięte, artyleria narzekała na brak amunicji. Nie brakowało za to oficerów – różne tradycje awansowe trzech zaborów pogłębiały chaos i powodowały olbrzymie kłopoty szkoleniowe. Tylko częściowo mogli im zaradzić doradcy przysłani z Francji – w tym młody kapitan Charles de Gaulle, który przybył do Polski wraz z armią generała Hallera.

W niezwykle gorączkowych miesiącach wykluwania się polskiej państwowości Niewiadomski nie wytrwał długo w (częściowo) biernej postawie, obranej wraz z wybuchem wojny. Bolesne narodziny II Rzeczypospolitej obserwował z pozycji urzędnika ministerstwa (departamentu) kultury i sztuki. Posadę tę otrzymał jeszcze w marcu 1918 roku z nadania Rady Regencyjnej. Jak widać, nie wzbraniał się przed współpracowaniem z organami państwowymi koncesjonowanymi przez

Niemców – choć pamiętajmy, że Rada w tym czasie manifestowała daleko idącą niezależność. Kiedy ze wschodu zaczęła nadciągać „czerwona zaraza” – postanowił nie siedzieć dłużej z założonymi rękami.

Sowiecka kontrofensywa z 1920 roku była najbardziej dramatycznym fragmentem wojny o granice z lat 1918–1921. A zdawało się, że rok 1920 będzie czasem największego triumfu polskiego oręża. Piłsudski był zdecydowany na przeprowadzenie wielkiej ofensywy wschodniej. Jej powodzenie mogło zlikwidować zagrożenie bolszewickie i przyczynić się do sukcesu Polaków w planowanych plebiscytach. Komendant wciąż marzył też o realizacji swych federacyjnych planów. Jednak ponawiane pokojowe apele bolszewików dezorientowały przy tym polskie społeczeństwo. W niektórych kręgach pojawiło się przekonanie, że Piłsudski prowadzi własną wojnę kosztem Polski. Czy podobnie myślał Niewiadomski? Być może nie – przecież jak zobaczymy, w tym czasie wszędzie tropił on komunistyczne spiski. Walka z komunistami mogła więc zyskać jego poparcie – zwłaszcza że przeciw wojnie protestowali socjaliści.

Sam Piłsudski był przekonany, że Rosjanie wcześniej czy później uderzą na Polskę. Należało więc wyprzedzić ten atak. Dwudziestego piątego kwietnia 1920 roku na Ukrainę ruszyła potężna ofensywa. Sukcesy były oszałamiające. Już 5 maja Polacy wkroczyli do Kijowa. Nie sprawdziły się jednak rachuby co do mobilizacji Ukraińców po stronie Semena Petlury. Polska armia, pozbawiona w zasadzie sojuszników, znalazła się nagle bardzo daleko od kraju, otoczona przez co najwyżej obojętnych tubylców i zmuszona do czekania na kontruderzenie wojsk sowieckich.

Znaczna część polskiego społeczeństwa, nieświadoma tych uwarunkowań i niedoświadczająca bezpośrednio skutków tej kampanii, wpadła w euforię, upojona łatwymi sukcesami armii. Powszechnie

świętowano pierwszy od 300 lat triumf polskiego oręża. Krytykowany Piłsudski ponownie stał się idolem i bohaterem. Peany sławiące jego zwycięstwa formułował nawet Sejm, który jeszcze kilka tygodni wcześniej prześcigał się w oskarżeniach. Gdy pod koniec miesiąca Piłsudski wrócił do Warszawy, korzystając z przestoju na froncie, witały go wiwatujące tłumy, a w kościołach śpiewano dziękczynne *Te Deum*.

Euforia nie trwała długo. Już w czerwcu polski dowódca w Kijowie Edward Rydz-Śmigły został zmuszony do opuszczenia miasta. Ruszyło starannie przygotowane kontruderzenie Armii Czerwonej, szybko wypierając oddziały polskie za Zbrucz. Czwartego lipca ruszył zaś kolejny, potężny atak od strony północnego wschodu (z kierunku Litwy i Białorusi). Polskie wojska były przerażone, szerzyła się demoralizacja. Niezliczone oddziały zaprawionej w wojnie domowej Armii Czerwonej miały jeden cel: przejście po trupie Polski i zawojowanie całej Europy w imię budowy komunizmu. Zdeprawowani okrucieństwami rewolucji i nieustannej wojny domowej żołnierze – najczęściej biedni i głodni analfabeci – siali śmierć, spustoszenie i pożogę. Szczególnym okrucieństwem odznaczała się kawaleria Siemiona Budionnego, złożona w większości z bezwzględnych Kozaków.

Kontrofensywa sowiecka była potężna i przerażająco skuteczna. Czternastego lipca bolszewicy zajęli Wilno, tydzień później – Grodno. Następna w kolejce była Warszawa. Przerażone władze polskie już 23 czerwca powołały rząd kierowany przez Władysława Grabskiego, a Sejm w pośpiechu przyjął ustawę o powołaniu Rady Obrony Państwa. Trzeciego lipca wydano odezwę „Ojczyzna w potrzebie”. Grabski gorączkowo szukał poparcia u sojuszników. Piątego lipca pojechał do belgijskiej miejscowości Spa, gdzie rozpoczęła się właśnie konferencja międzynarodowa poświęcona Niemcom. Polski premier poprosił o pomoc, usłyszał twarde warunki:

w zamian za pośredniczenie w zawarciu pokoju z Rosją Polska musiała uznać linię Curzona jako swoją wschodnią granicę, oddać Wilno Litwie, a także *de facto* zrezygnować z Galicji Wschodniej i Śląska Cieszyńskiego. Dwunastego lipca dyktat ententy zaakceptowała Rada Obrony Państwa. W efekcie lord Curzon (brytyjski minister spraw zagranicznych) wezwał bolszewików do wstrzymania ofensywy i podjęcia rokowań na arenie międzynarodowej. Sowieci nie przyjęli tych warunków.

Polityczna sytuacja w Warszawie była bardzo napięta. Dziewiętnastego lipca członek Rady Obrony Państwa Roman Dmowski zaproponował, by odwołać Piłsudskiego ze stanowiska naczelnego wodza. Propozycja nie została przegłosowana, ale chyba po raz pierwszy od chwili odzyskania niepodległości konflikt między obydwoma politykami stał się tak oczywisty. Na pewno wpłynął on na poglądy Niewiadomskiego, niezwykle ceniącego Dmowskiego. Eligiusz musiał też boleśnie odczuć dyktat ententy sformułowany w Spa.

Klęski na froncie i porażki na arenie międzynarodowej doprowadziły do obalenia gabinetu Grabskiego. Dwudziestego czwartego lipca powołano rząd obrony narodowej z Wincentym Witosem na czele. Niemal natychmiast wydał on odezwę „Ojczyzna w niebezpieczeństwie”. Tymczasem bolszewicy, upojeni miażdżącą ofensywą, liczyli na wywołanie rewolucji w Polsce i opanowanie Europy. Musieli jednak najpierw zdobyć Warszawę, gdzie w atmosferze przemożnego strachu, ale też wyjątkowej mobilizacji przygotowywano się do obrony. Tworzono ochotnicze Bataliony Obrony Warszawy – między początkiem lipca a połową sierpnia wcielono do wojska ponad 160 tysięcy ludzi, z czego niemal połowę stanowili ochotnicy. W tym czasie ogólny stan liczebny armii polskiej sięgnął 900 tysięcy żołnierzy.

Jak dobrze wiemy, o przyszłości Polski – a może i Europy! – zadecydowały walki z połowy sierpnia. Dziś znamy je pod określeniem „cud nad Wisłą”. W istocie termin ten kilka miesięcy później wymyślił endecki publicysta i polityk Stanisław Stroński. W zamierzeniach autora miał on negatywny wydźwięk i umniejszał zdolności przywódcze Piłsudskiego, który tylko „cudem” wybronił się przed bolszewikami. Dla endeków to generał Haller, dowódca Frontu Północnego, był tym, który zatrzymał Rosjan.

Na początku sierpnia 1920 roku Armia Czerwona znalazła się w pobliżu Warszawy. Opinia światowa była przekonana, że krótka i tragiczna historia młodej Rzeczypospolitej właśnie dobiega końca. W nocy z 13 na 14 sierpnia prawie cały zagraniczny korpus dyplomatyczny opuścił stolicę. Wyjeżdżając, dyplomaci słyszeli pomruk artyleryjskiej kanonady. Nazajutrz w Warszawie ogłoszono stan wojenny.

Bolszewicy byli już jednak zmęczeni długim, nieprzerwanym marszem, liczonym w setkach kilometrów. Mieli poważne problemy z rozciągniętymi liniami zaopatrzenia, szwankowała też łączność. Niektórzy żołnierze walczyli nieprzerwanie od trzech lat. Polacy postanowili wykorzystać te problemy. Generał Tadeusz Rozwadowski, który na stanowisku szefa sztabu zastąpił generała Hallera, opracował wraz z Piłsudskim plan kontruderzenia z rejonu Wieprza, gdzie dostrzeżono lukę między armiami sowieckimi (wynikającą m.in. z rywalizacji bolszewickich dowódców i egoistycznej postawy jednego z komisarzy politycznych, młodego Józefa Stalina). Dwunastego sierpnia plan był gotowy. Nazajutrz wojska bolszewickie podeszły pod Radzymin. Rozgorzały tam intensywne walki, które osiągnęły punkt kulminacyjny 15 sierpnia – w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Tego dnia udało się zatrzymać pochód Armii Czerwonej. Dzień później znad Wieprza ruszyła, zgodnie z opracowanym planem,

armia manewrowa dowodzona przez Piłsudskiego. Bolszewicy byli zaskoczeni tym atakiem. Zdezorientowani, pozbawieni skutecznej łączności, rzucili się do odwrotu, który przeistoczył się w bezładną ucieczkę. W zaledwie kilka dni Armia Czerwona została wyparta z centralnej Polski.

Szybkość kontrofensywy zdumiała nawet polskich generałów, którzy zdezorientowani, nie wykorzystali w pełni niespodziewanego sukcesu. Również świat zachodni nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Po kilkunastu dniach część uciekających oddziałów sowieckich przekroczyła w Prusach granicę z Niemcami, a reszta zatrzymała się dopiero na linii Niemna. Olbrzymia liczba 60 tysięcy czerwonoarmistów została przez Polaków osadzona w obozach jenieckich.

Jedenastego lipca 1920 roku – w okresie fatalnym dla Polski – zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego doszło do plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu. Trudno było wymyślić bardziej pechowy moment głosowania. Nie może więc dziwić, że olbrzymia większość mieszkańców – aż 96,5 procent – zadeklarowała chęć przyłączenia się do niemieckiej republiki. Polsce przyznano tylko trzy gminy na Mazurach i pięć na Warmii.

W tym czasie bardzo napięta atmosfera, podsycana wiadomościami z Warszawy, panowała też na Śląsku. Przygotowania do plebiscytu, nadzorowanego przez międzynarodową komisję, były coraz bardziej nerwowe. Niemcy rozwijali swoje bojówki i bezwzględną policję bezpieczeństwa, Polacy zaś rozbudowywali struktury POW i konspiracyjnie gromadzili broń. Śląsk stawał się beczką z prochem. Wobec ofensywy sowieckiej Niemcy stawali się coraz bardziej pewni siebie, mnożąc represje w stosunku do polskich działaczy społecznych. Siedemnastego sierpnia doszło do ataków na ludność polską w Katowicach. POW postanowiła

działać: w nocy z 19 na 20 sierpnia zasłużony działacz Wojciech Korfanty wezwał do strajku generalnego. Tak rozpoczęło się drugie powstanie śląskie. Entuzjazm Polaków pobudzały doniesienia o ofensywie znad Wieprza. Tym razem powstanie przyniosło wymierne rezultaty: po niecałym tygodniu potyczek, które objęły większość okręgu przemysłowego, Korfanty wezwał do spokoju – uzyskał bowiem od komisji międzysojuszniczej zgodę na powołanie mieszanej, polsko-niemieckiej służby porządkowej Apo (Abstimmungspolizei).

„Cud nad Wisłą” nie oznaczał jeszcze końca wojny z bolszewikami. Nienaruszony pozostawał front lwowski. We wrześniu i tu jednak ruszyła polska ofensywa. Tymczasem na północy sierpniowy impet armii polskiej osłabł. We wrześniu ścigające generała Michaiła Tuchaczewskiego wojska natrafiły na oddziały litewskie, które w lipcu zajęły Wilno. W powietrzu zawisł kolejny konflikt zbrojny. Tym razem Piłsudski zdecydował się jednak na fortel: z dyskretnego polecenia Naczelnika jego zaufany oficer, generał podporucznik Lucjan Żeligowski, „samowolnie” zajął w październiku Wilno i wkrótce ogłosił powstanie państewka o nazwie Litwa Środkowa, które ostatecznie zostało wcielone do Polski w lutym 1922 roku.

Teraz jednak należało zakończyć wojnę z bolszewikami. We wrześniu 1920 roku ciężkie walki objęły Wilno i linię Niemna. Ostatecznie Polakom udało się przebić ten front, co zadecydowało o losach wojny. Po kilku tygodniach wojska polskie osiągnęły z grubsza linię ustaloną zimą 1919 roku. W wyniku dwuletnich, krwawych walk nie zrealizowano w zasadzie żadnego punktu nakreślonego w wizji Piłsudskiego. Federacyjna koncepcja Komendanta legła w gruzach. Próba jej realizacji kosztowała życie dziesiątków tysięcy żołnierzy i ludności cywilnej. Obroniono jednak

niepodległość Polski i przynajmniej na jedno pokolenie wywalczono jej granice.

Ostatecznie polsko-sowiecki układ pokojowy został podpisany dopiero 18 marca 1921 roku w Rydze. Utrwalił on wschodnią granicę II Rzeczypospolitej tylko na kolejne osiemnaście lat. Przebiegała ona średnio zaledwie 80 kilometrów na zachód od granic sprzed pierwszego zaboru w 1772 roku. Arbitralny podział Białorusi i Ukrainy między obu sygnatariuszy stanie się przyczyną głębokich konfliktów narodowych, zwłaszcza po stronie polskiej. Konfliktów, które pośrednio doprowadzą do śmierci Narutowicza.

5 Pułk Piechoty Legionów Polskich w Baranowiczach i Leszniewce, 1916 rok – w pułku tym służył Eligiusz Niewiadomski wraz z synem Stefanem. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

W momencie rosyjskiej inwazji na Polskę Niewiadomski postanowił czynnie bronić swej ojczyzny. Zgłosił się na ochotnika do Wojska Polskiego, ale z racji wieku (miał już 51 lat) i nie najlepszego zdrowia (niedawny wypadek) jego podanie zostało odrzucone. Jednocześnie jednak z polecenia Kazimierza Sosnkowskiego – znanego nam, bliskiego współpracownika Piłsudskiego i faktycznego organizatora obrony Warszawy – zaangażował się do pracy kontrwywiadowczej w Oddziale II Sztabu Generalnego. Nie jest przy tym pewne, dlaczego Sosnkowski protegował Niewiadomskiego. Może nie należy przeceniać skali tej protekcji.

Krótki epizod pracy w Sztabie spotęgował niechęć Eligiusza do piłsudczykowskiego środowiska, kształtującego nowe polityczne elity, a także wzmocnił radykalizm jego poglądów. Świeżo upieczony funkcjonariusz wojskowych służb specjalnych domagał się bardziej stanowczej walki z komunistyczną agenturą oraz dywersją. Jego kolejne koncepcje były jednak odrzucane, co tylko nasilało frustrację i poczucie niespełnienia. Na wierzch wychodziły jego fobie i obsesje: co chwila prokurował rewelacje na temat bolszewickich spisków, których autorami mieli być oczywiście Żydzi. Niemal wszystkich – zwłaszcza „niearyjskich” Polaków – podejrzewał o szpiegowanie na rzecz Rosji.

Sam Niewiadomski bardzo negatywnie wspominał okres służby w kontrwywiadzie: „w dziedzinie państwowej jest pewien odłam, który bezpośrednio podlegał w czasie wojny Naczelnikowi Państwa, mianowicie wojsko. Kiedy w 1920 r. odprawiono mnie z biura poborowego i biura werbunkowego, ze względu na mój wiek, zwróciłem uwagę na defensywę, w której jak myślałem, można będzie służyć z takim samym, a może nawet z większym pożytkiem sprawie obrony kraju. Za pomocą polecenia ministra Sosnkowskiego dostałem się do centrali warszawskiej. Tu był

węzeł największych, najbardziej odpowiedzialnych poza obroną frontu spraw. Tu spodziewałem się znaleźć i dla siebie jakąś pożyteczną rolę. To są rzeczy wyjątkowe, które przeżyłem bezpośrednio i które również niewątpliwie rzucą światło na usposobienie moje. Niezmiernie odpowiedzialny organ, który powinien być obsadzony przez dobór ludzi, stał się miejscem nieodpornym, miejscem rzeczy niesłychanie gorszących, za które odpowiada ten, kto jest najwyższym szefem. Stanowiska odpowiedzialne były powierzane ludziom nieodpowiednim".

W poczuciu zbędności i bezsensu pracy na tyłach Niewiadomski skłonił swoich przełożonych do wyrażenia zgody na przeniesienie go na front – do 5 Pułku Piechoty Legionów, gdzie wraz z synem Stefanem walczył jako zwykły szeregowiec. Nie wiemy dokładnie, w którym momencie to się stało: najpewniej wiosną lub wczesnym latem 1920 roku. Dostał przydział do kompanii zapasowej – nie walczył zatem na pierwszej linii frontu. Trzeba jednak docenić jego pragnienie bezpośredniej obrony zagrożonej ojczyzny.

5 Pułk Piechoty Legionów nie był zwykłą jednostką – wprost nawiązywał do tradycji legionowej, choć jego organizowanie rozpoczęto dopiero w listopadzie 1918 roku w Krakowie. To bardzo ciekawy moment w biografii Niewiadomskiego: związał się z formacją, która identyfikowała się z tradycją piłsudczykowską. Działali w niej żołnierze POW, a dowódca pułku – podpułkownik Michał Tokarzewski-Karaszewicz (skądinąd miłośnik teozofii) – był bardzo wysoko oceniany przez Komendanta. Jak w tej atmosferze czuł się Eligiusz? Jak znosił spełnianie rozkazów piłsudczyków? Zawsze miał przecież problemy z podporządkowaniem się czyjejś woli. Niewykluczone, że potem wstydził się związków z tą formacją (a może nadziei, jakie z nią wiązał) i zwalczał ten wstyd agresywną krytyką.

Dziesiątego listopada 1918 roku pierwszy oddział pułku pod dowództwem majora Juliana Stachiewicza udał się w okolicę Przemyśla, gdzie walczył z Ukraińcami o zdobycie miasta. Pułk został poważnie wzmocniony, kiedy 17 listopada do Przemyśla przybyły z Rzeszowa dwie kompanie POW z oddziałem karabinów maszynowych. Dwa dni później I batalion z dowódcą pułku, podpułkownikiem Tokarzewskim-Karaszewiczem, wyjechał na odsiecz Lwowa i przejął kierowanie ciężką obroną miasta. W kolejnych miesiącach pułk angażował się w wojnę na froncie wschodnim z bolszewikami. Czynnie uczestniczył w ofensywie, odwrocie i kontrofensywie z przełomowego 1920 roku. Formacja ta, której przyznano własny, odrębny sztandar dopiero w grudniu 1920 roku, otrzymała Krzyż Srebrny orderu Virtuti Militari za zaangażowanie w bojach z Armią Czerwoną. Ciekawe, czy Eligiusz odebrał to odznaczenie jako gorzką ironię losu. Był bowiem bardzo zniesmaczony organizacją Wojska Polskiego.

Służąc kilka miesięcy w wojsku, Niewiadomski musiał przeżyć bardzo bolesne zderzenie ideałów z rzeczywistością. Armia polska nie okazała się tym, czego oczekiwał. Wydaje się, że krótkie doświadczenia wojskowe z 1920 roku odegrały bardzo ważną rolę w kształtowaniu jego poglądów. Naocznie przekonał się o rzeczywistym bałaganie i chaosie panującym w polskich strukturach wojskowych w krytycznym momencie wojny polsko-bolszewickiej, o których dzisiaj często się zapomina: niekonsekwentnych rozkazach, personalnej rywalizacji dowódców czy problemach zaopatrzeniowo-sprzętowych. Nie tego spodziewał się po wymarzonym Wojsku Polskim. Ostatecznie zraził się do Piłsudskiego i jego otoczenia; utwierdził się w przekonaniu, że za bałagan w armii i państwie odpowiadają właśnie piłsudczycy.

Zarazem manifestacyjne zaangażowanie się w walkę na froncie w charakterze szeregowca stanowiło nie tylko odejście od pracy w Sztabie Generalnym, lecz być może także ogólniejsze i radykalniejsze zarazem odrzucenie nowych elit, piłsudczykowskiej wizji państwa i metod działania; zepchnięcie siebie na margines, do głębokiej opozycji i niezgody na sposób odbudowy niepodległości. Wpadł jednak z deszczu pod rynnę: do pułku o legionowych tradycjach.

Co więcej, jako szeregowiec wcale nie wyzbył się swej megalomanii i tendencji do nieliczenia się z otoczeniem. Pewnego razu zażądał – on, zwykły żołnierz – audiencji u ministra wojny w celu przedstawienia mu planów reformy armii. A właśnie trwała wojna.

Mimo rzeczywistych problemów wojska, pomijanych w nieobiektywnych, mitotwórczych analizach walk na wschodzie, krytyki Niewiadomskiego przynajmniej częściowo nie były sprawiedliwe. Przecież akurat kontrwywiad Wojska Polskiego mógł pochwalić się w czasie wojny polsko-bolszewickiej znaczącymi sukcesami. Dzięki jego działaniom „cud nad Wisłą” stał się możliwy. Polakom udało się już we wrześniu 1919 roku złamać szyfry Armii Czerwonej, używane w łączności między poszczególnymi jej członami. Osiągnięcie to było zasługą matematycznego geniusza, porucznika Jana Kowalewskiego. Manewr znad Wieprza w połowie sierpnia 1920 roku udał się więc i dlatego, że Rozwadowski z Piłsudskim znali meldunki bolszewików oraz orientowali się w ich położeniu. Dzięki temu dostrzegli lukę, która umożliwiła przeprowadzenie śmiałego i skutecznego uderzenia.

Największym sukcesem kontrwywiadu w tych przełomowych dniach było przechwycenie i odczytanie 13 sierpnia radiodepeszy XVI Armii Czerwonej w sprawie zajęcia Warszawy. Szczęśliwie udało się też zdobyć jedną z rosyjskich radiostacji (według innych relacji wykorzystywano

sprzęt znajdujący się w Warszawie) i rozpocząć skuteczne zagłuszanie, dezorientujące Rosjan. Polacy znaleźli się w dogodnej sytuacji, w której znali każdy ruch przeciwnika i jednocześnie utrudniali mu łączność.

Niewiadomski mógł jednak o tym nie wiedzieć – w tym czasie najprawdopodobniej walczył już na froncie. Zresztą najpewniej jeszcze pracując w kontrwywiadzie nawet nie słyszał o ściśle tajnych osiągnięciach porucznika Kowalewskiego.

Zaledwie dwa dni po podpisaniu traktatu ryskiego zorganizowano plebiscyt na Górnym Śląsku. Polakom, ze względów propagandowych, zależało na ogłoszeniu pokoju z Rosją przed głosowaniem. Wobec korzystniejszej sytuacji międzynarodowej wyniki plebiscytu były lepsze niż na Warmii i Mazurach. Wynikało to też po prostu z faktu, że mieszkało tu więcej ludności identyfikujących się z polskością – około 65 procent. Niemieckie fortele (ściągnięcie w dzień głosowania dziesiątek tysięcy Niemców urodzonych na Śląsku z głębi kraju) spowodowały jednak, że tylko niewiele ponad 40 procent głosujących opowiedziało się za Polską. Chociaż reprezentowali oni głównie obszar przemysłowy, państwa zachodnie były skłonne przyznać Niemcom większość tego najcenniejszego regionu Śląska. Tendencje te oburzyły wielu polskich mieszkańców, których zdania nie chciano uwzględnić.

W tej sytuacji wybuch kolejnych niepokojów społecznych był tylko kwestią czasu. Tak zwane trzecie powstanie śląskie – podobnie jak poprzednie – zapoczątkował strajk generalny. Teraz wybuchł on 2 maja 1921 roku. Przemysł i komunikacja zostały całkowicie sparaliżowane. W nocy oddziały powstańcze zaatakowały strategiczne punkty łączności i komunikacji, a w ciągu kilku dni opanowały w zasadzie cały region przemysłowy. Wtedy jednak do kontruderzenia przystąpili Niemcy. Kolejne tygodnie zostały zdominowane przez zacięte i krwawe walki. Polakom

udało się natomiast utrzymać kontrolę nad regionem przemysłowym. Potyczki wygasły w końcu czerwca, kiedy kontrolę nad całym Górnym Śląskiem przejęły wzmocnione międzynarodowe wojska międzysojuszniczej komisji plebiscytowej. Ostatecznie podział Śląska przeprowadzono w październiku 1921 roku. Był on korzystniejszy dla Polski niż we wcześniejszych planach, sprzed trzeciego powstania śląskiego. Co prawda Rzeczypospolitej przyznano tylko około 30 procent spornych ziem, ale były to tereny najbardziej uprzemysłowione.

Tak oto w wyniku krwawych walk i licznych ofiar, w konwulsjach i bólach rodziły się granice Rzeczypospolitej. Euforia z listopada 1918 roku mijała, zastępowana traumatycznym doświadczeniem blisko trzech lat wyczerpujących walk na niemal wszystkich możliwych frontach.

Po demobilizacji, przeprowadzonej po podpisaniu pokoju ryskiego, Niewiadomski powrócił do pracy w Ministerstwie Kultury i Sztuki, z którym – jak wspominałem – związał się jeszcze w marcu 1918 roku. Powierzono mu ważny odcinek: jako radca ministerialny zajmował się sprawami szkolnictwa artystycznego. Nie da się ukryć, że na tym polu Eligiusz był fachowcem. Niektórzy współpracownicy na forum oficjalnym dobrze oceniali pracę kolegi. Jeden z nich przekonywał później: „jako urzędnik był pod względem pojmowania swoich obowiązków pracowitym i wzorowym w swoim wydziale”. Dał się jednak poznać również jako uparty autor licznych – mniej lub bardziej realnych – projektów reform i pomysłów, z frustracją przyjmujący kolejne nieudane potyczki z machiną biurokratyczną. Praca w ministerstwie utwierdzała go zatem w krytycznej ocenie II Rzeczypospolitej i – być może – pogłębiała uczucie irytującej bezsilności. Nie mogąc dłużej wytrzymać tego stanu, 8 listopada 1921 roku podał się do dymisji.

Traumatyczne doświadczenie pracy zarówno w wojsku, jak i w ministerstwie, odcisnęło piętno na osobowości Niewiadomskiego. Całkowicie zraził się do polskiej sceny politycznej i wojskowej. Mimo owej „pracowitości” i „wzorowości” musiał być pracownikiem trudnym we współpracy, narzekającym, wiecznie niezadowolonym, łatwo wpadającym w zdenerwowanie, pogardzającym współpracownikami „niepolskiego” pochodzenia. O wielkiej frustracji, w jaką wpędziły go obowiązki służbowe, najdobitniej świadczy fakt, że podczas przemówienia na procesie – miast skupić się na najważniejszych tezach swego ideologicznego *credo* – zapędził się w kuriozalne, szczegółowe opisy nieprawidłowości, jakie obserwował w pracy. Z tych drobnych faktów wyciągał jednak poważne wnioski. Wnioski, które doprowadziły go do zabójstwa.

– Ta wiara w protokóły, referaty, przepisy, regulaminy – narzekał w czasie procesu – tylko nie w ludzi. Ludzi państwu brak. Brak zwłaszcza woli twórczej. Jako przykład niechaj posłuży rzecz, na którą z bliska patrzyłem. Króciutko. W maju tysiąc dziewięćset dwudziestego roku Ministerstwo Sztuki i Kultury zamknęło szkołę sztuk pięknych, aby na jej miejsce stworzyć inną szkołę państwową. Potem był najazd bolszewicki. Ministerstwo czasowo nie funkcjonowało, później urzędnicy powrócili do pracy. Z początkiem tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku sprawa była w takim stadium: typ wyższej szkoły sztuki dekoracyjnej był dokładnie opracowany, ustawa napisana, plany i kosztorysy opracowane szczegółowo, ludzie na kierowników upatrzeni. Od tego czasu w przeciągu dwóch lat sprawa nie postąpiła, szkoła do dzisiejszego dnia nie została otworzona. Szkoła jest tak potrzebna krajowi, jak uniwersytet [...]. Miałem tę sprawę w ręku, przechodziła ona do trzech czy czterech ministrów, przeszkody były ściśle formalne, trzeciorzędne. Żaden z tych panów nie

zdobył się na akt woli twórczej i nie powiedział: ma tak być, dziś, zaraz, a poprawki formalne i uzupełnienia później.

Spalone na panewce projekty, niepowodzenia snutych przez Niewiadomskiego planów nie były niczym nowym: nie raz doświadczył ich już przed 1914 rokiem. Jednak teraz, po odzyskaniu niepodległości, porażki te nie znajdowały już żadnego wytłumaczenia. Stały się na tyle dotkliwe, że Eligiusz był gotów za nie zabić.

Niewiadomskiego urzędnika denerwowali nie tylko przełożeni, lecz także współpracownicy i metody pracy w resorcie i wojsku:

– Zabieram się do pracy, proszę o papier i pióro, dostaję na to odpowiedź: nie mamy, jesteśmy skąpo uposażeni – skarżył się. – Zrozumiałem to. Każą mi badać aresztowanych. Pytam o formularze, na których podstawie mam ich badać. Znów dostaję odpowiedź: nie mamy.

– Jakiś Iks-Iks – frustrował się dalej – jest w czasie wojny na poczcie cenzorem wojskowym korespondencji żydowskich. Jego przeszłość: żyd [*sic*!] białostocki czy grodzieński, podczas okupacji niemieckiej był współpracownikiem dziennika gadzinowego wychodzącego w trzech językach. Nie przyznawał się nigdy do polskości. Według domniemania uchodził za szpiega niemieckiego. Temu człowiekowi była powierzona cenzura listów żydowskich. Defensywa była „bezsilna”. Powiedziano mi, że nie mają prawa ani aresztować go, ani zawiesić go w czynnościach, ani zawiesić szefa, który go przyjął, że w ogóle defensywa jest „bezsilna”.

Niewiadomskiemu zapewne trudno było znaleźć życzliwych mu współpracowników. Uprzedzenia rasowe i wytykanie najróżniejszych nieprawidłowości (zapewne rzeczywistych!) musiało powodować, że w pracy był nieznośny.

– Lauer, członek centralnego komitetu komunistycznego, aresztowany na posiedzeniu komunistycznym – Eligiusz podawał kolejny przykład. –

Masa okoliczności obciążających. Jeszcze jedna sprawa: Horwitz – były członek PPS, obecnie członek centralnego komitetu komunistycznego, podpalił hangary lotnicze w Wilnie. Śledztwo przeprowadzone. Siedział jakiś czas w X pawilonie [Cytadeli], ale wkrótce po wyjściu z defensywy dowiedziałem się, że Horwitz uciekł z obozu jeńców, dokąd go uprzejmie przeniesiono, a Lauer prawdopodobnie też.

– Sprawa archiwum komunistycznego – kontynuował. – Zwraca się do mnie szef rotmistrz S. z żądaniem, żebym odcyfrował pewne kartki z notatnika, znalezionego w skrzyni pewnego aresztowanego. Nie wiadomo było, co to jest. Po kilku dniach odcyfrowałem. Okazało się, że to była lista członków organizacji komunistycznej w wojsku polskim. Podano dokładnie, gdzie kto służy, w jakim pułku, batalionie, w jakiej kompanii, gdzie się znajduje w tej chwili, w jakim mieście i koszarach, na kogo należy się konspiracyjnie powoływać itd. Zwracam się do rotmistrza: pierwszorzędna rzecz. Rotmistrz odpowiada: ano, muszę natychmiast rozesłać po pułkach zawiadomienia dla dokonania aresztowań. Ale nie aresztowano nikogo. Rzecz w tym, że ta bibuła i ten notatnik były przed kilkoma miesiącami znalezione przez policję i przesłane do defensywy, potem znowu odebrane, znów przysłane i dopiero po trzech czy czterech miesiącach notatnikiem się zajęto, kiedy aresztowanie nie było możliwe. Po paru miesiącach rozsyłanie rozkazu aresztowań osób wymienionych w spisie nie miało już sensu. Wszyscy dawno gdzie indziej się znajdowali.

Czy było możliwe, że Niewiadomski po prostu się w tej sprawie pomylił? Wszyscy znali jego manię tropienia komunistów, więc do proponowanych przez niego rozwiązań podchodzono zapewne podejrzliwie. Nie oznacza to wcale, by wypominana przez Eligiusza opieszałość i biurokracja nie były realnymi problemami. Jedno jest pewne: jego frustracja rosła.

– Druga sprawa – wyliczał. – Studenta politechniki, żyda [*sic*!], przyłapanego na kolportowaniu bibuły komunistycznej, aresztowano, gdy wsiadał do tramwaju. Poznał go człowiek, który miał skład bibuły komunistycznej na przechowaniu w Mokotowie. Sprawa jest prosta. Trzeba było czytać jeszcze tę bibułę. Słów nie ma na powiedzenie tego, co tam było. To był kał, piana psa wściekłego, to było przesiąknięte krwią żołnierzy polskich, tysiącem żyć chłopców naszych, którzy wzięli tę bibułę do serca i byli rozstrzelani za dezercję. Inni podpalali magazyny wojskowe, podpalali hangary, niszczyli aparaty lotnicze. Ta bibuła sprowadziła krzywdy niesłychane. Była cała przesiąknięta krwią polską. Zwraca się do mnie rotmistrz: co z nim zrobić, jak pan myśli? Powiadam: rozstrzelać. A słyszę odpowiedź: „Kiedy on taki młody, może mu nie przeszkadzać w karierze, niech skończy politechnikę”. Nie wiedziałem zupełnie, co na to odpowiedzieć.

Fragment ten przynosi dwie bardzo ważne informacje o Niewiadomskim. Po pierwsze, z powyższych słów przebija pewne rozczarowanie stanem ducha polskich żołnierzy, ich waleczności i bohaterstwa. Eligiusz, ruszając wraz z synem na front, nie mając doświadczeń tego typu wyniesionych chociażby z I wojny światowej, przepełniony był zapewne duchem romantycznej walki, pięknych bitew i rycerskich bohaterów. Tymczasem boleśnie przekonał się, jak naprawdę wygląda wojna. Jak zachowują się Polacy – nie jak mityczny naród, tylko zwykli ludzie, w których olbrzymi stres i bliskość śmierci wyzwalały cechy zarówno wielkie, jak i małe. Niewiadomski nie był jednak w stanie zrezygnować ze swego mitu; przyznać, że Polacy nie są wyjątkowi na tle innych. Winę za swoje rozczarowanie przerzucił na Żydów i wszelkiej maści socjalistów.

Po drugie, fragment wyraźnie ujawnia bezwzględność Eligiusza i jego skłonność do rozwiązań radykalnych – nie wahał się zaproponować rozstrzelania studenta politechniki. W swej kalkulacji nie wziął zupełnie pod uwagę czynnika ludzkiego (w przeciwieństwie do owego rotmistrza), a tylko kwestie ideologiczne. Dokładnie tak samo postąpi, zabijając Gabriela Narutowicza.

W czasie krótkiego epizodu pracy w ministerstwie Niewiadomski zdążył zrazić do siebie zarząd Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Tuż przed odzyskaniem niepodległości kierownictwu tej placówki udało się usunąć z części lokali gmachu przy placu Ewangelickim (od 1916 roku noszącym oficjalną nazwę placu Aleksandra Małachowskiego) żandarmów, którzy je zajmowali. Uzyskaną przestrzeń chciano wykorzystać do zwiększenia terenu wystawowego. Tymczasem z resortu kultury i sztuki nadszedł nakaz rekwizycyjny zwolnionych lokali. Tak rozpoczął się zatarg, który ostatecznie zakończył się zwycięstwem Towarzystwa. Jego prezes Karol Kozłowski był przekonany, że nakaz przysłano staraniem Eligiusza Niewiadomskiego.

Niewiadomski, mimo swej niezwykłej pracowitości i pedanterii, potrafił być rażąco niekompetentny i marnotrawić pieniądze publiczne – głównie z racji całkowitego braku umiejętności współpracy z innymi. Jeden z jego współpracowników wspominał, że pewnego razu Eligiusz zażądał kilku milionów marek polskich na wykonanie fotografii sporej liczby zabytków. Pieniądze przyznano. Dopiero po pewnym czasie okazało się, że kolega pracujący biurko dalej już dawno zamówił te zdjęcia. Innym razem Eligiusz został wyznaczony jako rzeczoznawca w sprawie pewnego malarza przeciw klientce, która nie chciała przyjąć swego portretu, twierdząc, że w ogóle nie oddaje on podobieństwa. Niewiadomski nie potrafił sformułować jasnej

opinii, a na koniec wybiegł z sali sądowej, wołając: „A czy to nie wszystko jedno!”.

Pedanteria przybierała wręcz chorobliwy, obsesyjny charakter. Jak wspominali jego współpracownicy z ministerstwa, Eligiusz podczas pisania dokładnie rzeźbił każdą literę, odmierzał linijką każdy wiersz. Bez potrzeby podkreślał nawet błahe słowa. Miał poza tym zwyczaj nieodmieniania nazwisk. Mówił np.: „Czytałem ostatnio ciekawą rzecz Dmowski”, „Nie mogę ufać Kowalski”, „Słuchałem koncertu Chopin”. Nawet w tej słowotwórczej warstwie można dostrzec jego problemy w relacjach z innymi ludźmi.

Szczegółowy opis Eligiusza podał po latach Emil Zegadłowicz, przez pewien czas jego podwładny w resorcie: „suchy, wysoki, twarz ostra z blond bródką [...], Szwed czy Norweg – jakby przed chwilą wrócił z wyprawy polarnej [...]. Witał się ze wszystkimi bardzo grzecznie, swoistym gestem wyrzucał dłoń od piersi; spojrzenie czyste, niebieskie spoza złotych okularów (zawsze ta sama ropna plamka w przynosowych kątach oczu); wróg ówczesnego rejwachu ekspresjonistycznego, kubistycznego, dadaistycznego [...]. Organizator, fanatyk, wizjoner nieszczęsny”.

Owa „grzeczność” nie zgadza się z innymi relacjami. Na pewno dymisja Niewiadomskiego z ministerstwa została przeprowadzona w atmosferze sporów i dyskusji. Jego reakcje – mimo owych „nordyckich” pozorów opanowania – bardzo przypominały niemal dziecinną złość i skłonność do dramatyzowania, jaką wykazał podczas kursów Wolnej Wszechnicy Polskiej dwadzieścia lat wcześniej. W październiku 1921 roku ówczesny premier, a zarazem minister kultury i sztuki Antoni Ponikowski, przełożony Niewiadomskiego, zażądał od niego funduszy z kredytu wydziału, w którym pracował Eligiusz. Jak przekonywał ten ostatni,

minister chciał wykorzystać te pieniądze na inne cele niż pierwotnie wyznaczone. Przebywając w Krakowie, Ponikowski zobowiązał się mianowicie do pomocy finansowej w restaurowaniu budynków Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie trzeba podkreślać, jak ważna i potrzebna była to inicjatywa. Minister nie rozporządzał jednak w tym czasie funduszem dyspozycyjnym, polecił więc, by poszczególne wydziały skomasowały wszystkie oszczędności i przelały zgromadzone pieniądze na fundusz restauracyjny w Krakowie. Decyzja ta do żywego dotknęła Niewiadomskiego, który miał ustalony, sztywny plan prac swego wydziału. Co prawda mogły one zaczekać, bo zbliżał się koniec roku, ale poczuł się obrażony, że komasację przeprowadzono za jego plecami. Nie było to do końca prawdą: Ponikowski zwrócił się do swego podwładnego z osobistym, prywatnym listem, w którym uprzejmie prosił o przelanie konkretnej sumy. To jednak było dla Eligiusza niewystarczające. Dało tu o sobie znać jego rozdmuchane ego, pedantyzm i brak elastyczności.

Ostatecznie Niewiadomski, w geście protestu, wyraził co prawda swą zgodę (nie miał wielkiego pola manewru), ale wraz z tą pisemną zgodą dołączył prośbę o dymisję. Postarał się uwidocznić w niej ton osoby obrażonej:

Panie Prezydencie [Prezesie], dotychczasowa praca Wydziału plastyki nie była dorywcza, ale zgodna z pewnym planem, obmyślanym gruntownie i pociągającym za sobą pewne zobowiązania, umowy na dalszą metę itp. Narażanie tego planu na zwichnięcie przez odkładanie spraw pilnych lub też decyzje nieprzewidziane, powzięte bez porozumienia ze mną na podstawie informacyj jednostronnych i niefachowych, a tym samym nieścisłych, wprowadzają do pracy anarchię, która ją paraliżuje. Brak możności porozumiewania się z Panem Prezydentem bezpośredniego pogarsza sprawę w sposób beznadziejny. W tych warunkach, nie

poczuwając się do możności pracowania z pożytkiem dla sztuki, proszę Pana Prezydenta o łaskawe zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska.

Eligiusz Niewiadomski, 8 XI 1921 r.

Oto zmagania człowieka z rzeczywistością, która nie uwzględnia jego planów. To niezwykłe, że również pragnienie zapobieżenia „anarchii” będzie jednym z głównych motywów zabójstwa Gabriela Narutowicza.

Prośba została rozpatrzona pozytywnie – ku pewnemu zaskoczeniu samego Eligiusza, który – przekonany o swej ważnej roli w ministerstwie – spodziewał się raczej pozostawienia jego pisma bez odpowiedzi.

Bardziej zniuansowany stosunek do Niewiadomskiego urzędnika miał malarz Jan Skotnicki, kolega z pracy w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Skotnicki wskazywał na olbrzymią pracowitość i sumienność Eligiusza. Przyznawał jednak, że „w stosunku do władz wyższych, jak minister, czasem można było odczuwać pewne tarcia, stosunek służbowy niezupełnie odpowiadający regulaminowi służbowemu”. Mimo to poświęcenie i zaangażowanie niesfornego pracownika tonowały te tarcia i wzbudzały uznanie przełożonych. Minister miał wręcz niekiedy prosić go o radę, a przyjmując dymisję w 1921 roku, przyznał odchodzącemu podwładnemu większe odszkodowanie niż zakładały przepisy.

Po dymisji z resortu kultury i sztuki Eligiusz pozostawał bez stałego zatrudnienia. Znów musiał utrzymywać się z korepetycji, odczytów, wykładów. Chwytał się każdego możliwego zlecenia, np. ilustrował tomik wierszy... zapalonego piłsudczyka, poety legionowego Edwarda Słońskiego. Mimo wzniecanych przez niego niesnasek i konfliktów luźno współpracował też z Towarzystwem Zachęty Sztuk Pięknych. Był jednym z organizatorów wystawy, na którą 16 grudnia 1922 roku w południe przybył Gabriel Narutowicz.

Brak pewnego, stałego źródła dochodu, konieczność uciekania się do chałtur (nawet obcych ideowo) być może pogłębiały jego niezadowolenie z otaczającej rzeczywistości, a podświadomie – niechęć do samego siebie.

Niewiele wiemy o rodzinnym, domowym życiu Niewiadomskiego. Cechował się pewną skrytością i niechęcią do ujawniania swych słabości. Zapewne tak nauczyła go postępować apodyktyczna Cecylia. Skrzętnie ukrywał przed rodziną poparzenia odniesione w Paryżu. Nie był także skłonny do zwierzeń i pozostawał zamknięty w sobie – poza momentami, gdy wybuchał gniewem. Zarzucano mu bowiem także popędliwość i gwałtowność. Według Antoniego Słonimskiego nigdy się nie uśmiechał i nie miał poczucia humoru. Nawet szanujący go wydawca Władysław Trzaska przyznawał, że Eligiusz był „bardzo drażliwy i łatwo się denerwował”. Wydaje się, że cały czas próbował trzymać się w uścisku, całkowicie kontrolować. Kumulowane w ten sposób emocje co jakiś czas przełamywały jednak wzniesione bariery, co prowadziło do wybuchów i agresji.

SŁOŃ DUDA

>>> NAPISAŁA JULJA DUSZYŃSKA <<<
OBRAZKI ELIGJUSZA NIEWIADOMSKIEGO

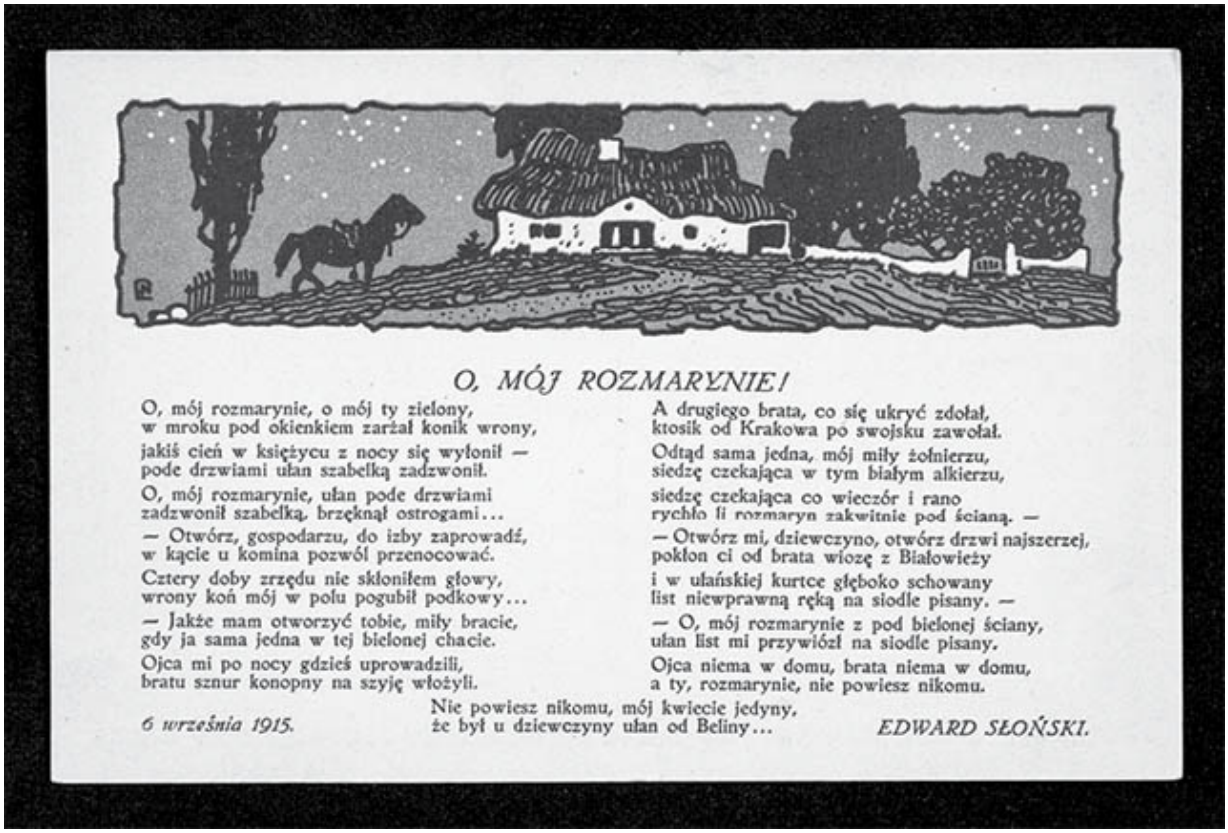

O, MÓJ ROZMARYNIE!

O, mój rozmarynie, o mój ty zielony,
w mroku pod okienkiem zarżał konik wrony,
jakiś cień w księżycu z nocy się wyłonił —
pode drzwiami ułan szabelką zadzwonił.
O, mój rozmarynie, ułan pode drzwiami
zadzwonił szabelką, brzęknął ostrogami...
— Otwórz, gospodarzu, do izby zaprowadź,
w kącie u komina pozwól przenocować.
Cztery doby zrzędu nie skłoniłem głowy,
wrony koń mój w polu pogubił podkowy...
— Jakże mam otworzyć tobie, miły bracie,
gdy ja sama jedna w tej bielonej chacie.
Ojca mi po nocy gdzieś uprowadzili,
bratu sznur konopny na szyję włożyli.
A drugiego brata, co się ukryć zdołał,
ktosik od Krakowa po swojsku zawołał.
Odtąd sama jedna, mój miły żołnierzu,
siedzę czekająca w tym białym alkierzu,
siedzę czekająca co wieczór i rano
rychło li rozmaryn zakwitnie pod ścianą. —
— Otwórz mi, dziewczyno, otwórz drzwi najszerzej,
pokłon ci od brata wiozę z Białowieży
i w ułańskiej kurtce głęboko schowany
list niewprawną ręką na siodle pisany. —
— O, mój rozmarynie z pod bielonej ściany,
ułan list mi przywiózł na siodle pisany.
Ojca niema w domu, brata niema w domu,
a ty, rozmarynie, nie powiesz nikomu.
Nie powiesz nikomu, mój kwiecie jedyny,
że był u dziewczyny ułan od Beliny...

6 września 1915. EDWARD SŁOŃSKI.

Książeczki dla dzieci i wiersze ilustrowane przez Eligiusza Niewiadomskiego. Fot. Polona

Eligiusz nie miał wielu przyjaciół czy choćby znajomych, przypisywano mu oschłość i arogancję. Oskarżano go nawet o pobicie redaktora „Gazety Porannej” Przemysława Mączyńskiego. Gazeta, wydawana od 1912 roku, była organem... endecji. Skłonność do przemocy można wyczuć w opisywanych już peanach, jakie wygłaszał na cześć sportów walki i „męskiego” rozwiązywania problemów. Nawet jego obrońca w procesie Stanisław Kijeński przyznawał: „na uchybienie przeciw honorowi swemu i innych reagował z nadzwyczajną gwałtownością. Wybujała jego indywidualność nie mogła się pomieścić w ramach programu żadnego stronnictwa i dyscypliny partyjnej”. Co więcej, „w życiu duchowym stanowił typ samotnika” i „czuł się zdolnym głównie do rozkazywania”. Nieuporządkowanie emocjonalne, gwałtowny charakter Eligiusza

i skłonność do przemocy stanowiły znakomite podłoże dla decyzji z 16 grudnia 1922 roku.

W relacjach ze znajomymi potrafił zupełnie otwarcie okazać brak empatii i nieliczenie się z sytuacją życiową czy osobistą drugiej osoby. Znany nam Edward Okuń, malarz i swego czasu wiceprezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, choć zastrzegał się przed zdefiniowaniem charakteru Niewiadomskiego, wskazywał na pewną znamienną historię. Otóż Eligiusz zarządzał – najpewniej z pozycji wysokiego urzędnika ministerialnego – pracownią malarską, z której korzystał Okuń. „On do mnie często zachodził – wspominał Okuń. – I dopytywał, kiedy się usunę z tej pracowni. Byłem chory i nie mogłem tego zrobić [...]. Dla mnie osobiście bardzo sympatycznym nie był. Byłem chory, nie miałem się gdzie wynieść, a pan Niewiadomski nalegał na mnie, żebym pracownię opuścił”.

Jak wiemy, cytowany już Jan Skotnicki dostrzegał w Eligiuszu sprzeczne cechy. Ten dualizm wciąż nie dawał mu spokoju: „z jednej strony robi wrażenie człowieka bardzo czułostkowego, a w pewnych chwilach sentymentalnego, w innych oschłego i sztywnego. Te sprzeczności starałem się wytłumaczyć w ten sposób, że pan Niewiadomski, jako artysta, chciał w sztuce być czułostkowy, jednakże wychowanie dało mu, poza sztuką, pewną prostolinijność, jaka w stosunku do ludzi nadawała mu pewną oschłość i ostrość, które mu zarzucano”.

Skotnicki niuansował przy tym powszechny pogląd o agresywnej naturze kolegi malarza: „pan Niewiadomski w opinii ludzi uchodził za człowieka robiącego awantury. Nic podobnego jednak nie zauważyłem; przeciwnie, jeżeli były jakie scysje, to były wywołane z tamtej strony przeciwnej. Pan Niewiadomski był człowiekiem dość powściągliwym, a jeżeli mu kto w tej lub innej formie zrobił jakąś uwagę, to opanowywał się i szukał rozwiązania czy to w przepisach dyscyplinarnych, czy innych”.

Czy w tych słowach nie przebijała się nieco solidarność zawodowa Skotnickiego i Niewiadomskiego? Skotnicki mówi zresztą tylko o zachowaniu kolegi w miejscu pracy.

Sam Skotnicki przyznawał jednak, że pod opanowaną – wydawałoby się – maską krył się charakter gwałtowny i nieokiełznany. Tłumacząc przed sądem w 1922 roku, dlaczego po zabójstwie Narutowicza nazwał Niewiadomskiego „wariatem", Skotnicki przekonywał: „to dotyczyło pewnej prostolinijności, która wywoływała pewne nietakty, zwane przez ludzi »narwanością«, mimo że jednak panował nad sobą. To dotyczyło pewnej bezwzględności w stosunku do ludzi, co do których miał takie czy inne wątpliwości. To dotyczyło tej egzaltacji, przesady, nadczułości". Nawet sprzymierzeńcy Eligiusza przyznawali, że był on posądzany o „pewne narwanie" i „brak równowagi" w życiu codziennym. Można zatem zaryzykować stwierdzenie, że to właśnie owa bezwzględność i porywczość, spuszczone z łańcucha, doprowadziły do zabójstwa.

Nawet cechy pozytywne, na które chciał zwrócić uwagę Skotnicki, brzmiały dwuznacznie. Co prawda „tam była nadzwyczajna prawość charakteru", ale „doprowadzona do pewnego przeczulenia i krańcowości". Niewiadomskiego cechowała „uczciwość", „ofiarność" i „bezinteresowność", ale raczej w sferze przekonań i pracy, a nie kontaktów z ludźmi. Skotnicki zwracał uwagę, że po złożeniu w listopadzie 1921 roku dymisji z posady w resorcie kultury i sztuki jeszcze przez trzy-cztery miesiące opracowywał rozpoczęte projekty, za co nie brał żadnych pieniędzy.

Współpracownik Niewiadomskiego zastanawiał się przy tym, czy Eligiusz był człowiekiem samodzielnym, czy też ulegał wpływom innych. Nie potrafił na to odpowiedzieć jednoznacznie: „pan Niewiadomski był człowiekiem zupełnie samodzielnym i nie tak łatwo poddawał się wpływom

zewnętrznym, z zewnątrz narzuconym. Jednakże jeżeli te rzeczy były podsuwane umiejętnie, to pan Niewiadomski mógł je przyjmować jako swoje. Na potwierdzenie mogę podać następujący fakt: kiedy wstąpiłem na służbę jako człowiek zupełnie świeży, zauważyłem pewne braki, na które zwróciłem uwagę, podkreślając, że należałoby położyć pewien nacisk. Mówiłem o przemyśle artystycznym. Ten przemysł artystyczny w pierwszych latach stał na drugim planie; mój program przerzucenia się na przemysł artystyczny po paru miesiącach został przyjęty przez pana Niewiadomskiego, który został jego fanatycznym wyznawcą, może nawet z niejaką ujmą dla czego innego. Sądzę, że to dlatego, że umiejętnie podsunięta, a nie narzucona rzecz mogła jednak wywrzeć swój wpływ". Być może Skotnicki przeceniał swoje możliwości. Jego słowa nie brzmią jednak niewiarygodnie. Niewiadomski na pewno z trudem przyjmował zdania odrębne od jego własnego. Jako osoba o chyba małej wyobraźni nieświadomie im jednak ulegał – ale dopiero wtedy, gdy je zinternalizował.

Skotnicki zwrócił uwagę na jeszcze jedną, ciekawą cechę osobowości Niewiadomskiego – być może jedną z najważniejszych dla badania motywów jego postępowania: „to był umysł, który nie powiem, by ogarniał całość; ogarniał tylko pewne rzeczy, które starał się widzieć, nie widząc zupełnie z boku konsekwencji i niebezpieczeństw, jakimi mogło to grozić. To zdaje się powodowała owa prostolinijność". „To był człowiek nie zawsze o szerokich poglądach – dodawał Skotnicki – ale ideowy bezwzględnie". To bardzo niebezpieczne połączenie.

Do fanatyzmu, ciasnoty intelektualnej, wąskich horyzontów, braku wyobraźni społecznej i bezwzględności dochodziły jeszcze trudności z odróżnianiem rzeczywistości od propagandy. Niewiadomski, tak wyczulony na ideologię komunistyczną, zupełnie bezkrytycznie

przyjmował punkt widzenia (na ogólnym, światopoglądowym poziomie) środowisk narodowych. Cechę tę podkreślał Jan Skotnicki.

– Na zasadzie obserwacyj, które miałem możność poczynić, stykając się z panem Niewiadomskim przez ostatnie dwa lata – mówił podczas procesu – mogę powiedzieć, że w trakcie mego stosunku z nim pan Niewiadomski polityką się nie zajmował, był pochłonięty sprawami Wydziału, jednak rzeczy, które dochodziły do jego uszu, których nie mógł przecież zamknąć, były przez niego przyjmowane bezkrytycznie. Przyjmował on bezkrytycznie literaturę agitacyjną taką czy inną, nie rozróżniając, gdzie jest agitacja, a gdzie przedstawiony faktyczny stan rzeczy. Sądzę, że jako artysta przy pewnej wrażliwości mógł sobie sztucznie przedstawić sytuację na zasadzie literatury.

Jednocześnie Eligiusz potrafił bardzo ostro krytykować (a nawet fizycznie atakować!) poszczególnych endeków i zarzucać im miękkość. Ludzie mu się nie podobali, idee – jak najbardziej.

W swych późniejszych wspomnieniach Skotnicki, nieograniczany już sztywnymi ramami przewodu sądowego i towarzyszącym mu stresem, pozwolił sobie na jednoznaczniejsze (i może szczersze) opisanie postaci Niewiadomskiego. „Moje stosunki osobiste z Niewiadomskim trwały parę lat – stwierdzał raz jeszcze. – W Ministerstwie Sztuki i Kultury siedziałem z nim przy jednym podwójnym biurku, patrząc mu w oczy przez dwa lata, poznałem go więc dobrze”. Co ciekawe, w czasie procesu, przed sądem, występujący w charakterze świadka Skotnicki nie zdradził aż tak bliskiej znajomości z Eligiuszem. Czy we wspomnieniach, pisanych po latach i z całą świadomością gwałtownych emocji, jakie wzbudzało zabójstwo Narutowicza, nie koloryzował nieco przeszłości? A może przed sądem starał się umniejszyć swe kontakty z mordercą?

Na kartach pamiętników Skotnicki uznał Eligiusza „za typowy produkt wychowania carskich szkół. Niewiadomski, jak wielu wychowanków tych szkół, a szczególnie uniwersytetów, był przepojony duchem nielegalnej literatury końca zeszłego stulecia, mentalnością ówczesnych rosyjskich zamachowców i ich pryncypialnością. Ta pryncypialność była głównym źródłem jego radykalizmu. Że znalazł się on w obozie narodowym, to przypadek. Chwilowe, taktyczne hasła tego obozu przyjmował jako istotne wyznanie wiary. Niewiadomski w każdej partii byłby krańcowym radykałem. Nie próbował zgłębiać programów, pociągała go raczej ich jaskrawość. Stąd wypływało jego oderwanie od rzeczywistości, a także pozerstwo i deklamatorstwo”.

To bardzo ciekawa analiza człowieka, który dość dobrze znał Eligiusza. Ale przecież tysiące młodych Polaków przeszły podobną formację i skłaniały się ku radykalizmowi – a jednak nie zostali mordercami.

„Jako zwierzchnik był surowy, często popędliwie złośliwy, jako człowiek – mściwy, bezwzględny, uparty – kontynuował Skotnicki, o wiele ostrzej oceniając Niewiadomskiego niż na procesie. – Te cechy charakteru nie zjednywały mu sympatii między kolegami i interesantami. Trzeba przyznać, że był również surowy w stosunku do siebie, a w służbie niezwykle punktualny i pedantyczny oraz niebywale, choć nie zawsze celowo, pracowity. Służbowo ze mną nigdy nie miał najmniejszego zatargu, ale nad moim kolegą J. wprost się znęcał, czym uniemożliwiał mu zupełnie pracę”. Słowa te oddają stwierdzone już cechy: aspołeczny charakter Eligiusza, pogardę dla otoczenia, ale też niezwykle intensywne zmaganie się z samym sobą w imię wybujałych ambicji.

„Do władzy odnosił się tak, jak każdy radykał – przekonywał dalej Skotnicki. – Nie uznawał żadnych przyjętych form towarzyskich wypływających ze stopnia urzędniczego. Demonstracyjnie występował

przeciw nim, a więc np. nie wstawał nigdy, gdy wchodził minister, a jeśli wstawał, to witał go nie jako zwierzchnika, lecz jako znajomego. Siedząc w fotelu, wyciągał rękę ze słowami: »Jak się macie, ministrze«. Czynił to szczególnie uporczywie wobec publiczności”.

Można by powiedzieć: fotelowy rewolucjonista. Ta wzgarda dla hierarchii i władzy mogła być spadkiem po konspiracyjnej przeszłości z czasów zaborów. Świadczyła też o pewnym niezsocjalizowaniu, dystansie wobec powszechnie obowiązujących norm społecznych, a więc i o pewnym wyobcowaniu. Taka postawa ułatwiała podejmowanie radykalnych decyzji i realizowanie ich bez względu na koszty społeczne.

Skotnicki zauważył ponadto niezwykle istotną rzecz: po dymisji z ministerstwa Niewiadomski wszedł na drogę wiodącą ku przepaści. Wątek ten rozwinę jeszcze przy omawianiu jego aktywności politycznej. Według Skotnickiego rosnąca izolacja bezrobotnego Eligiusza miała wyraźny wpływ na jego życie prywatne i stan psychiki: „mam wrażenie, że stosunki osobiste i trudności życiowe po otrzymaniu dymisji zrodziły w jego głowie myśli samobójcze. Chciał jednak popełnić samobójstwo, wykorzystując je jednocześnie na wielki, efektowny, historyczny czyn. Tym czynem i jednocześnie samobójstwem stało się zabójstwo Narutowicza. Może mylę się, ale takie miałem wówczas wrażenie”.

To bardzo ważny fragment. Skotnicki przecież dobrze znał Niewiadomskiego, był w stanie obserwować zmiany w jego zachowaniu. Tendencje autodestrukcyjne mogły leżeć u podstaw pomysłów i posunięć zamachowca. Należy jednak dobitnie podkreślić, że nawet jeśli tak było, Eligiusz sam przed sobą nigdy by tego nie przyznał. Był zbyt dumny, ambitny i przekonany o swoich racjach, by przyznać się do porażki, jaką byłoby samobójstwo. Morderstwo, którego konsekwencją byłaby kara śmierci – to co innego.

Niezwykłe jest przy tym, jak desperacko Eligiusz szuka ofiary: najpierw obierając sobie za cel Piłsudskiego, a potem od razu Narutowicza. Planując zamach, nawet nie zdaje sobie sprawy (lub nie chce przed sobą przyznać), że przygotowuje tak naprawdę swoje samobójstwo. Morderstwo wydaje się rozwiązaniem idealnym: prowadzi nie tylko do autodestrukcji (co może być podświadomą motywacją jego działań), lecz także – w zamierzeniach sprawcy – w pełni realizuje jego poglądy polityczne i ideologiczne, a przede wszystkim czyni go bohaterem i postacią, która chwalebnie zapisze się na kartach historii. To odpowiada jego ambicjom i megalomanii.

Narastające napięcie w psychice Niewiadomskiego wyczuł nieznający go osobiście lewicowy pisarz żydowskiego pochodzenia Leo Belmont, którego trudno posądzać o sympatię dla zabójcy Narutowicza. Obserwując go w czasie procesu, Belmont odważył się jednak na taką opinię: „Niewiadomski jest przecież zabójcą przez nieporozumienie z duszą własną, dotąd zawsze czystą i nawet w akcie zbrodni niemyślącą o sobie, oraz przez przypadkowy konflikt z duszą społeczną w chwili jej zmącenia przez kurzawę walk partyjnych”. Można mieć wątpliwości co do tej „czystości”. Eligiusz na pewno myślał w tych dniach o sobie. Jednak stwierdzenie wewnętrznego konfliktu, rozdzierającego jego osobowość, wyobcowania i ulegania presji antyprezydenckiej nagonki z grudnia 1922 roku wydaje się trafne.

Belmont, niemający wykształcenia medycznego, przekonywał mimo to, że w chwili popełnienia zbrodni Niewiadomski był „niepoczytalny”: „Niepoczytalny! – wbrew temu, co sam o sobie mówi i wbrew zdawkowym sądom mas, które mówią o nim na mocy złej obserwacji i mylnej informacji, bez zasięgnięcia opinii psychiatrów i psychologów. Wszakże przewód sądowy odbył się zgoła bez porady u ludzi nauki”. Tymczasem, jak tłumaczył Belmont, morderca posiadał duszę „czułą wewnętrznie,

a oschłą z pozoru, nieskazitelnie prawą na każdym stanowisku, wybuchającą późno a jaskrawo po podrażnieniu. Wulkan pod korą lodową!”.

Jak widać, pisarz twórczo rozwinął ostrożne wypowiedzi Skotnickiego. „Sam podsądny – ciągnął – z uporem symulujący zdrową jaźń, wstydzący się cienia słabości, acz na zgubę sobie, z maniakalną uciechą samobójcy łudził sąd, salę, dzienniki, iż jest człowiekiem absolutnie normalnym, nie tylko o myśli logicznej, lecz i woli, podobnież zdrowej, co i twardej”.

Zauważane przez wielu wewnętrzne napięcie osobowości Eligiusza i skłonności samobójcze nie budzą chyba wątpliwości. Dalsze quasi-medyczne tezy Belmonta należy jednak traktować z przymrużeniem oka: Niewiadomski „nie pozwolił widzieć nikomu, że to była wola ślepa, działająca pod kilkuletnią samohipnozą [*sic*!], która nie wyczerpała się w akcie zbrodni, a przeszła za zabójcą na ławę podsądnych, aby bronić jego czynu przed sobą i światem! Ale czyż jest […] normalnym człowiek tak absolutnie pozbawiony instynktu samozachowawczego?” – pytał pisarz i odpowiadał, że zabójca to „człowiek chorej, samozahipnotyzowanej na zabójstwo woli”.

Trudno całkowicie poważnie podejść do tezy o „samohipnozie”, niemniej wątek „psychiczny” był jednym z podstawowych tematów poruszanych przez komentatorów zabójstwa Narutowicza. Ciekawą, choć kontrowersyjną glosę do charakterystyki osobowości Niewiadomskiego sporządził lekarz psychiatra Maurycy Urstein, który w 1923 roku opublikował broszurę „Eligiusz Niewiadomski w oświetleniu psychiatry”. Urstein dowodził, że Niewiadomski cierpiał na katatonię, która wywoływała u niego napady szału i zamroczenia. Opierając się na analizie manifestów, napisanych już w więzieniu przez Eligiusza, lekarz stwierdzał: „doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy słyszeli orkiestrę bez kapelmistrza.

W gruncie rzeczy to zbiór głośno brzmiących wyrazów bez wewnętrznego związku i logicznego powiązania, przy tym uporczywe zatrzymywanie się przy poszczególnych oderwanych wyobrażeniach, zamęt i chaos”.

„Całe życie jego – przekonywał Urstein – jest wyrazem owej ciężkiej choroby, która z żywiołową koniecznością musiała doprowadzić do owego tragicznego rezultatu. W każdym razie nie był on zdolny właściwie pokierować swoim życiem i zdobyć sobie należne stanowisko społeczne”. To prawda – na żadnym stanowisku nie potrafił dłużej zagrzać miejsca, poczuć satysfakcji z pracy, jaką wykonywał. „Przy tym – ciągnął psychiatra – pozwolił się stopniowo opanować ideom, które być może pierwotnie wynikały jeszcze z niechęci osobistych, lecz które w następstwie rozwinęły się w tak oczywiście niedorzeczny sposób, że ich związek ze stanowiska psychologicznego wcale ująć się nie daje. Do tego się dołącza wielka nietrafność, raczej zupełny brak sądu, słaba wola, megalomania w ocenianiu własnej osoby, typowe idee reformatorskie, nieobliczalne postępki, dziwactwa w obejściu i inne cechy charakterystyczne dla katatonii”.

„Niewiadomski łatwo ulegał wpływom i sugestii – kontynuował Urstein, wbrew niektórym opiniom znajomych Eligiusza. – Nie posiadając oparcia w sobie samym ani stałych przekonań katatonicy [...] przejmują łatwo cudze myśli, które uważają następnie za swoje własne. Tacy chorzy, jak dzieci, podlegają cudzym dobrym i złym wpływom. Dopóki pozostają pod kierownictwem swoich przełożonych, starają się zasłużyć na ich zadowolenie i nawet pracują z pożytkiem”. Pamiętajmy, że Niewiadomski jednak lekceważąco odnosił się do przełożonych.

„Niewiadomski był wielkim pedantem, pracował dużo, lecz praca jego nie była owocną – przekonywał lekarz. – Umysł miał ciasny, jednostronny. Nie obchodziło go to, co się dokoła niego działo. Wspólnoty pracy nie

uznawał i zdarzało się nieraz, że brał się do rzeczy, którą już dawno siedzący obok kolega wykonał. Zamiłowanie do pracy było u niego mało celowe i przesadne. Nie zapominał uraz. Jeśli go kto dotknął, na razie nie okazywał tego, lecz nie przebaczał i szukał sposobności, aby mu się odpłacić”.

Trzeba pamiętać, że Urstein nie miał możliwości bezpośredniego przebadania Eligiusza, jego refleksji nie można zatem traktować jako diagnozy, tylko jako opinię.

Bardzo ciekawy eksperyment z zakresu psychiatrii przeprowadzono w 2000 roku w programie telewizyjnym „Rewizja Nadzwyczajna”. Na potrzeby programu dwoje lekarzy – Maria Kazubska i Andrzej Rogiewicz – przeanalizowało wszystkie zachowane wypowiedzi Niewiadomskiego, starając się opracować na ich podstawie pośrednią diagnozę. Ich zdaniem Eligiusz cierpiał na paranoję, a ściślej – tzw. obłęd posłannictwa.

Według fachowej definicji obłęd posłannictwa jest formą paranoi, przejawiającą się zaburzeniami, które znacznie przekraczają pojęcie idei nadwartościowych. Idee te u osób zdrowych nie przekraczają granic normy nawet przy największym uniesieniu afektywnym. O co tu chodzi? Osoba cierpiąca na to schorzenie po prostu ma poczucie misji, które realizuje bez względu na konsekwencje. Czy jednak taki opis musi cechować wyłącznie ludzi szalonych? Jak napisano w jednej z definicji obłędu posłannictwa, niekiedy trudno odróżnić go od „głupoty ludzkiej”...

Moim zdaniem nie można jednoznacznie uznać Niewiadomskiego za osobę chorą psychicznie. Pamiętajmy, że Urstein – nie mówiąc już o psychiatrach z „Rewizji Nadzwyczajnej” – postawił swą diagnozę jedynie na podstawie zapisanych przez Eligiusza słów. Mordercy nie zbadał fachowo żaden specjalista. Zgodnie ze sztuką lekarską nie było możliwe wydanie wiarygodnego orzeczenia, zwłaszcza po kilkudziesięciu latach.

Analizujący przypadek Eligiusza psychiatrzy przedstawiają obraz człowieka pełnego skrywanych kompleksów, gwałtownego, aspołecznego, rozchwianego emocjonalnie i charakterologicznie, słabego – ale nie klinicznie szalonego. Co znamienne, przecież sąd nie uznał go za niepoczytalnego i w ogóle nie badał jego psychiki, na co zwrócił uwagę chociażby Leo Belmont.

Trzeba zarazem spostrzec, że niezdecydowanie się przez sąd w ramach procesu na przeprowadzenie badań psychiatrycznych skazańca bezwiednie wpisywało się w logikę mordercy, który chciał stworzyć swą legendę. Uznanie go za niepoczytalnego – co byłoby możliwe przy pewnych naciskach na lekarzy – byłoby ciosem w tę legendę. Władze, zszokowane zabójstwem i zainteresowane jak najszybszym ukazaniem swej skuteczności w ukaraniu zbrodniarza, nie wykorzystały tej możliwości. Uznając Niewiadomskiego za osobę zdrową psychicznie, paradoksalnie ułatwiły propagowanie jego kultu w środowiskach narodowych.

W 2010 roku znany socjolog profesor Jerzy Szacki, przypominając postać Niewiadomskiego przy okazji tragicznego zabójstwa Marka Rosiaka, pracownika łódzkiego biura poselskiego europosła Prawa i Sprawiedliwości Janusza Wojciechowskiego, stwierdził ogólnikowo, lecz nader trafnie: „jeśli człowiek nie potrafi zdystansować się wobec wydarzeń, nie panuje nad swoimi emocjami lub jest chory, to spirala nienawiści rozkręcona przez polityków może mieć taki finał”. Nie ma wątpliwości, że w grudniu 1922 roku spirala nienawiści została rozkręcona do granic możliwości.

Zabójca Narutowicza był fanatykiem, megalomanem, targanym przez obsesje i uprzedzenia, osobą skłonną do wybuchów i okrucieństwa, pozbawioną empatii ludzkiej i społecznej, o ciasnej umysłowości i silnym poczuciu misji – ale to jeszcze nie wystarcza, by określić go jako katatonika

(w znaczeniu medycznym: schizofrenika katatonicznego) czy paranoika. Nie jest wykluczone, że był socjopatą. Czy socjopatię można jednak utożsamiać z chorobą stanowiącą zewnętrzny, „obiektywny” czynnik?

*

Nie wydaje się, by Niewiadomski przypisywał pierwszoplanową rolę religii i wierze. Oczywiście, deklarował się jako katolik, ale w jego słowach, rozważaniach i przesłaniach brak wyraźnych odnośników do wiary. Być może przeżywał ją bardziej kulturowo niż osobiście. Fakt, że zdecydował się zabić bliźniego, jaskrawo dowodzi, że nad elementarne przykazania przedkładał on własne idee. Co znamienne, w swym testamencie politycznym, pisanym tuż przed śmiercią – *Kartkach z więzienia* – nie zawarł jakichkolwiek odniesień do religii czy Boga.

Nie wydaje się również, by za ważniejszych od przekonań uważał swoich najbliższych. W końcu nie myślał o ich przyszłości i reputacji, kiedy zdecydował się na zabójstwo. Jak wzmiankowałem, najpewniej nie utrzymywał bliższych relacji z rodzeństwem i ich dziećmi, choć nie ma dowodów, by się od nich specjalnie odcinał. Jak sugeruje Andrzej Prus Niewiadomski, rodzina pod względem politycznym była podzielona, np. żony bratanków Eligiusza wywodziły się z domów o poglądach piłsudczykowskich, a podziały polityczne nieraz „szły w poprzek łóż małżeńskich”. Żoną jednego z krewnych Eligiusza z linii galicyjsko-krakowskiej Niewiadomskich była... siostra socjalistycznego premiera i ministra Jędrzeja Moraczewskiego. Można przypuszczać, że Eligiuszowi doskwierał brak „czystości ideologicznej” we własnym rodzie.

Nie jest pewne, jak kształtowały się jego relacje z Cecylią, kiedy wszedł już w dorosłość i usamodzielnił się. Skoro kobieta opiekowała się przez pewien czas córką Eligiusza, to raczej były one dobre.

O żonie i dzieciach wiemy niewiele. W październiku 1898 roku niespełna trzydziestoletni Niewiadomski ożenił się z młodszą o pięć lat Marią de Tilly, córką Jana i Natalii z Gorczyckich. W źródłach Maria występuje niekiedy jako Natalia i Waleria. Pochodziła ze starej, szlacheckiej rodziny. Prawdopodobnie nie podzielała pasji politycznych swojego męża. Co jednak znamienne, mogła wykazywać równie gwałtowne usposobienie jak jej mąż: jak wspominał sam Eligiusz, pewnego razu, w czasie I wojny światowej, Maria publicznie zwymyślała na ulicy pewną kobietę. Poszło o... dobre imię marszałka Piłsudskiego, którego zaatakowana kobieta oceniała krytycznie. Czy stosunek do Komendanta był przyczyną sporów w małżeństwie Niewiadomskich? Pamiętajmy, że w czasie I wojny światowej także Eligiusz nie zdążył jeszcze znienawidzić Piłsudskiego.

Zachował się portret Marii de Tilly Niewiadomskiej namalowany przez jej męża w 1917 roku. Z płótna nieco wyzywająco spogląda kobieta w sile wieku z kruczoczarnymi włosami, o silnym charakterze. Wydaje się – choć jest to zupełnie subiektywne odczucie – że postać patrzy na widza z pewną niechęcią. Trudno orzec, na ile przez to płótno przebija się autentyczna Maria, a na ile – osobowość artysty.

Eligiusz Niewiadomski z portretem żony Marii de Tilly. Fot. Zbiory Małgorzaty Karoliny Piekarskiej

Co ciekawe, inny portret Marii sporządził w 1913 roku jeszcze jeden malarz: Konrad Krzyżanowski. Świadczyłoby to o tym, że kobieta miała pewną pozycję w warszawskim światku towarzyskim. Podobno i Eligiusz nie unikał goszczenia w salonach warszawskiej inteligencji. W takiej roli zapamiętał go lekarz Wacław Stefański, według którego Niewiadomski w dyskusjach „podnosił poziom zebrań na artystyczne wyżyny".

W momencie zabójstwa Narutowicza dwójka dzieci Niewiadomskiego – Stefan i Anna (zwana Hanią) – liczyła odpowiednio dwadzieścia dwa i dwadzieścia lat. Trudno sobie wyobrazić, jak mocno musiały przeżyć całe zamieszanie wokół ojca. Narzeczonym Anny od niedawna był Aleksander Demidecki-Demidowicz, adwokat i działacz endecki. Zapamiętał przyszłego (i niedoszłego) teścia jako człowieka „wielkiej ascezy". Co znamienne, ojciec Aleksandra Konstanty był podobno jednym ze spiskowców, którzy uwolnili... Józefa Piłsudskiego ze szpitala psychiatrycznego w Sankt Petersburgu w 1901 roku.

Konsternacja Stefana była o tyle szczególna, że w momencie morderstwa przebywał w Turcji, w polskiej wiosce niedaleko Stambułu o nazwie Adampol. Miejscowość ta (po turecku Polonezköy, czyli Polska Wieś) stanowi ciekawostkę z historii polskiej emigracji. Zaczęła się rozwijać od lat czterdziestych XIX wieku. Utworzyli ją uchodźcy z powstania listopadowego, osiedlając się na nieuprawianych terenach położonych około 100 kilometrów od Stambułu, a należących do księży lazarystów. Uchodźcom pomagali materialnie przywódca polskiej Wielkiej Emigracji książę Adam Czartoryski i jego przedstawiciel w Turcji Michał Czajkowski. Osadę, sponsorowaną przez księcia, nazwano na jego cześć

Adampolem. Istnienie prawdziwej polskiej gminy w czasach, gdy Polski nie było na mapach świata, stało się ważnym symbolem. Dlatego w kolejnych latach napływali do niej nowi osadnicy, zresztą nie tylko Polacy. W latach osiemdziesiątych miejscowość przeszła na własność rodu Czartoryskich. Była dość ważnym centrum inicjatyw emigracyjnych.

Głośno zrobiło się o niej w momencie odzyskania niepodległości. Wielu Polaków dopiero teraz uświadomiło sobie jej istnienie; do Adampola zaczęły napływać liczne dary. Jednocześnie wielu mieszkańców powróciło wtedy do ojczyzny, a wioska stopniowo traciła polski charakter. W latach sześćdziesiątych XX wieku Czartoryscy ostatecznie zrzekli się własności na rzecz państwa tureckiego. Dziś Polonezköy jest miejscowością turystyczną, a Polacy stanowią mniej niż ⅓ ludności. Mimo to na wójta tradycyjnie wybiera się Polaka.

Już po zakończeniu krótkiej i przykrej przygody w Ministerstwie Kultury i Sztuki, latem 1922 roku, Eligiusz zwrócił się do Jana Skotnickiego z prośbą o wystawienie legitymacji, która ułatwiłaby mu podróż do Rumunii. Dlaczego chciał tam pojechać? Twierdził, że „to są sprawy rodzinne”. Skotnicki nie nalegał na bliższe wyjaśnienia.

Losy Rumunii w czasie I wojny światowej były bardzo zawiłe. W 1916 roku, po długich wahaniach, państwo opowiedziało się za ententą. Zapłaciło za tę decyzję słono: w kolejnych miesiącach zostało właściwie w całości zajęte przez wojska niemieckie, austriackie i bułgarskie. Uratowała je tylko ostateczna klęska państw centralnych. Na mocy traktatu z Trianon w 1920 roku zyskała jednak wiele terenów kosztem upadłych Austro-Węgier, co przyczyniło się do powstania znacznych problemów etnicznych. W 1923 roku przyjęto konstytucję, która sankcjonowała ustrój monarchii konstytucyjnej. Taki system mógł się bardziej podobać Niewiadomskiemu niż sejmokracja II Rzeczypospolitej, choć faktyczną władzę i tak

sprawowali tam premierzy. Co ważne, Rumunia utrzymywała najbardziej przyjazne relacje z Polską z grona wszystkich państw Europy Wschodniej. Oba kraje nie rywalizowały gospodarczo, nie miały też sporów granicznych. Wspólnie obawiały się bolszewickiej Rosji. Z tego powodu 3 marca 1921 roku podpisały w Bukareszcie traktat sojuszniczy, który zapewniał wzajemną pomoc w razie ataku ze strony trzeciego państwa.

Niewiadomski nie jechał jednak do Rumunii z sympatii. Tłumaczył, że decyzja o wyjeździe wynikała z troski o syna, z którym od dłuższego czasu nie miał kontaktu. Chciał zatem rozeznać się w jego sytuacji – dowodziło to ojcowskich uczuć. Obaj walczyli też z bolszewikami: może zatem syn był osobą, z którą Eligiusz rozwinął najbliższe relacje? W momencie wyjazdu Stefana do Turcji ta nić zostałaby jednak zerwana. Czy nieobecność syna, a przez to tym większa alienacja i osamotnienie ojca, nie stanowiły kolejnej przyczyny staczania się Eligiusza w społeczną przepaść? Oczywiście to tylko spekulacje i nie sposób tu udzielić zadowalającej odpowiedzi.

Tymczasem okazało się, że w przeddzień wyjazdu doszedł długo oczekiwany list od Stefana, w związku z czym ojciec odwołał podróż i pozostał w Warszawie. Być może był spokojniejszy o losy syna, ale wciąż nie miał z nim bezpośredniego kontaktu. W tym czasie Anna znalazła swego wybranka – czy ojciec mógł podświadomie czuć się jakoś „zdradzony” przez drugie dziecko? To znowu tylko spekulacje. Nie wiadomo przy tym, jak kształtowały się wtedy jego stosunki z żoną. Trudno się spodziewać, by była zadowolona z tego, że mąż stracił stałą pracę.

Czy w uczuciach najbliższych Niewiadomskiemu osób po dokonaniu przez niego zamachu przeważało poczucie straty i żalu za ojcem, czy też złość za hańbę, jaką sprowadził na rodzinę? Na pewno zachowywali w tych burzliwym okresie bardzo dużą dyskrecję, co nie powinno dziwić. Do dziś oceny biografii Eligiusza są wśród jego krewnych podzielone.

Późniejsze życie najbliższych Eligiusza nie okazało się zbyt szczęśliwe. Maria zmarła zaledwie kilka lat po mężu, w 1929 roku, w wieku 55 lat. Stefan w czasie II wojny światowej został aresztowany przez Gestapo i zginął w obozie koncentracyjnym w Auschwitz w 1941 roku. Prawdopodobną przyczyną aresztowania były... kawały o Hitlerze, jakie opowiadał w jednej z gospód w Górze Kalwarii, w pobliżu której mieszkał wraz z żoną Aleksandrą (zmarłą w 1966 roku). Co ciekawe, w dworku owdowiałej już Aleksandry w 1942 roku ukrywał się słynny żołnierz Szarych Szeregów Maciej Aleksy Dawidowski „Alek”.

Losy siostry Stefana Niewiadomskiego Anny były jeszcze bardziej burzliwe. Warto wspomnieć, że przyszła na świat w 1901 lub 1902 roku: mniej więcej w czasie, gdy Eligiusz trafił do Cytadeli. Wiemy już, że większość I wojny światowej spędziła wraz z ciotką Cecylią w Kijowie. Cecylia zorganizowała tam polskie gimnazjum Macierzy Szkolnej. Potem Anna pracowała w Warszawie jako urzędniczka państwowa. Jak wzmiankowałem, niedługo przed zabójstwem Narutowicza Anna zaręczyła się z Aleksandrem Demideckim-Demidowiczem. Wyszła za niego w niecały rok po rozstrzelaniu ojca. Podobno uchodzili za jedną z najpiękniejszych par międzywojennej Warszawy.

II wojna światowa obeszła się z Anną niemal równie okrutnie, co ze Stefanem. Wybuch wojny oddalił ją od męża: od października 1939 roku był on faktycznym przywódcą Narodowej Organizacji Wojskowej (konspiracyjnej endeckiej grupy militarnej), a w grudniu wyemigrował na Zachód. Zaangażował się w działalność polskiego rządu emigracyjnego: w latach 1943–1944 był nawet wiceministrem spraw wewnętrznych władz Rzeczypospolitej urzędujących w Londynie.

Tymczasem Anna angażowała się w działalność konspiracyjną w kraju. Została aresztowana przez Niemców na początku 1941 roku, zapewne

w związku z głośną sprawą schwytania Stanisława Piaseckiego, znanego działacza narodowego. Przetrzymywano ją na oddziale kobiecym Pawiaka – tzw. Serbii. Dwudziestego trzeciego września 1941 roku została wywieziona wraz z innymi więźniarkami transportem specjalnym do obozu w Ravensbrück. Tam zmuszono ją do wykonywania ciężkiej fizycznej pracy. Podobno udało się ocalić charakterystyczną cechę wyglądu: piękne złote włosy.

Tuż przed wyzwoleniem obozu prawdopodobnie została przeniesiona do jednego z zewnętrznych podobozów (tzw. komando) w miejscowości Neubrandenburg, położonej mniej więcej 170 kilometrów na północ od Berlina. Tam pracowała dla Luftwaffe w warsztatach mechanicznych podległych Hermannowi Göringowi. W 1945 roku udało jej się wrócić do Polski.

Osiadła w zrujnowanej Warszawie, ale szybko, po dwóch latach, przeniosła się do Szczecina, skąd planowała ucieczkę na Zachód. Na przełomie października i listopada 1947 roku, dzięki fałszywym dokumentom załatwionym przy pomocy przebywającego we Francji męża, przedostała się do Paryża. Małżonkowie po ośmiu latach rozłąki osiedlili się w Szwajcarii, a w połowie 1949 roku już na stałe w Londynie. Trudno było im jednak odnaleźć nić porozumienia. Wkrótce doszło do rozwodu.

Anna zmarła przedwcześnie: 27 października 1957 roku przegrała walkę z rakiem wątroby w londyńskim szpitalu. Spoczęła na cmentarzu Gunnersbury. Aleksander przeżył ją znacznie, kończąc życie w 1981 roku. Przez dziesięciolecia udzielał się jako członek władz emigracyjnego Stronnictwa Narodowego.

Niedługo przed śmiercią do Anny zgłosił się pewien Polak – szewc z zawodu, który chciał opłacić jej podróż do Lourdes w nadziei, że pielgrzymka może ją uzdrowić. Skąd ta propozycja? Mężczyzna wyjaśnił

zaskoczonej Annie, że był niegdyś członkiem plutonu egzekucyjnego. Plutonu, który 31 stycznia 1923 roku rozstrzelał jej ojca Eligiusza Niewiadomskiego.

*

Czy dzieciństwo, młodość i życie osobiste Eligiusza, umiejscowione w specyficznej, skomplikowanej i bardzo burzliwej epoce, podsuwają nam jakieś wyjaśnienia motywów, które doprowadziły do zabójstwa z 16 grudnia? Nie powinniśmy dawać się zwieść taniemu psychologizmowi. Brak matczynej opieki zrekompensowany apodyktycznością starszej siostry na pewno zaważył na rozwoju emocjonalnym bohatera naszej opowieści. Trudno jednak w tych okolicznościach widzieć bezpośredni związek z późniejszymi wydarzeniami. Nie wydaje się również, aby bogata osobowość ojca, na pewno pozbawionego cech radykała politycznego, mogła zadecydować o drodze, jaką obrał syn.

Dzieci Eligiusza, Anna i Stefan Niewiadomscy. Fot. Zbiory Małgorzaty Karoliny Piekarskiej

Czy pewnej roli nie odegrało upokorzenie, jakie musiał odczuwać młody narodowiec, zmuszony do edukacji w języku rosyjskim i na każdym kroku doświadczający praktyk niszczenia polskości? Czy flirty z radykalnymi prądami końca XIX wieku nie spotęgowały w nim skłonności do przemocy? Czy frustracja przeżyta w czasach kariery urzędniczej i wojskowej nie wpłynęła na scementowanie jego wybuchowej, skłonnej do przemocy osobowości? Doświadczenia życia w apuchtinowskiej Warszawie i nowo powstałej II Rzeczypospolitej na pewno w decydujący sposób wpłynęły na ukształtowanie poglądów Eligiusza dotyczących narodu polskiego, jego relacji z Rosją i innymi państwami, wewnętrznej sceny politycznej, a także wizji tego, jak ma wyglądać wymarzona Polska.

Wizji, w której wrogów należało zwalczać. Problem w tym, że ludzi o podobnych biografiach, a nawet poglądach, były tysiące. A tylko jeden został mordercą prezydenta.

Artysta, wykładowca, popularyzator

Czy artystyczna twórczość Niewiadomskiego pozwala nam lepiej poznać jego osobowość? Niewiadomski mógł pochwalić się gruntownym wykształceniem artystycznym na najwyższym poziomie. Elitarne studia w petersburskiej i paryskiej Akademii Sztuk Pięknych ukształtowały dojrzałego artystę o konserwatywnym, akademickim temperamencie, nieskorego do improwizowania, ale chętnie przyjmującego niektóre z nowinek artystycznych i od pewnego momentu zafascynowanego sztuką secesyjną. Jak zachwala jeden z domów aukcyjnych, twórczość Niewiadomskiego „ewoluowała od naturalizmu, jaki charakteryzuje okres petersburski i paryski, poprzez ekspresyjną, mroczną nastrojowość, doskonale widoczną w pejzażach i niektórych portretach malowanych w okresie do 1910 roku, aż do dekoracyjności i symbolizmu, jakim naznaczona była twórczość ostatnich lat życia artysty”.

Eligiusz to malarz ostrożny, ale o szerokich horyzontach. W ten sposób jego widzenie malarstwa stało w wyraźnej sprzeczności z poglądami politycznymi. Charakterystyczna jest przy tym ewolucja od naturalizmu do symbolizmu. Czyżby dowodziła stopniowej utraty kontaktu z rzeczywistością na rzecz prymatu idei? Nie mam kompetencji, by podjąć się analizy twórczości Niewiadomskiego pod kątem ewolucji jego osobowości.

Już jako aktywny student Eligiusz pisywał recenzje petersburskich wystaw, publikowane w tamtejszej prasie. Ponadto czynnie wspierał

reformatorskie prądy w Akademii, dążące do unowocześnienia placówki. Na tym polu blisko współpracował z artystami rosyjskimi. W sumie wróżono mu ciekawą przyszłość.

Mistrzem Eligiusza był znany polski artysta Wojciech Gerson, zmarły w 1901 roku. Gerson był żarliwym obrońcą realizmu – prądu artystycznego rozpowszechnionego w Europie w drugiej połowie XIX wieku głównie poprzez artystów francuskich. Chociaż w momencie swej ofensywy – latach czterdziestych i pięćdziesiątych – realizm był postrzegany jako prąd nowatorski, przeciwstawiający się sztywnemu akademizmowi, to jednak kilkadziesiąt lat później nowe pokolenie artystów końca XIX wieku właśnie realizm uznało za symbol artystycznego konserwatyzmu; skostniałą formę wyrazu, którą należy zwalczać. Nie na darmo w zasadzie wszystkie ówcześnie postępowe nurty w sztuce – od impresjonizmu po pierwociny abstrakcjonizmu – uciekały od realistycznego kanonu. Wydaje się, że w twórczości Niewiadomskiego to napięcie między artystycznymi prądami nie zostało uwidocznione, a malarz potrafił akcentować w swych dziełach różne inspiracje i tendencje.

Twórczość Gersona, choć nie wytyczała nowych trendów w sztuce, była niesłychanie wielostronna. Jedną z jego specjalizacji były pejzaże wykonywane w technice litografii. Ilustrował ponadto liczne publikacje historyczne. Zajmowały go prace etnograficzne, pedagogiczne i popularyzatorskie. Był znawcą historii sztuki i krytykiem. Możliwe, że to on właśnie zaraził Eligiusza wszechstronnością zainteresowań.

W 1860 roku Gerson, wraz z kilkoma kolegami po fachu (m.in. Marcinem Olszyńskim, Józefem Simmlerem i mającym żydowskie korzenie Aleksandrem Lesserem), założył w Warszawie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych – społeczną organizację mającą na celu

popularyzację sztuki. To w gmachu właśnie tego Towarzystwa Niewiadomski zastrzeli później pierwszego prezydenta II Rzeczypospolitej.

Eligiusz był początkowo wiernym uczniem Gersona, choć jego *Centaury w lesie* – praca dyplomowa obroniona w Petersburgu w 1894 roku – wpisywały się jeszcze w tradycyjny nurt akademicki, od dziesięcioleci reinterpretujący tematykę mitologiczną, nieobcą zresztą i nowym prądom. Dwa lata później, na otwarcie salonu paryskiego, przedstawił pejzażowe dzieło *W lesie*. I w Paryżu uchodził za zdolnego, dobrze rokującego malarza. W okresie paryskim namalował też autoportret. Na obrazie – do którego niestety nie udało się dotrzeć – jedna z Muz ozdabiała jego głowę wieńcem z wawrzynu. Przekaz tego dzieła mógł mieć ogólniejszy charakter symboliczny, odnoszący się do szczególnej roli artysty w społeczeństwie – niewykluczone jednak, że w tej figurze malarskiej odzwierciedliły się megalomania i poczucie wyższości, jakie autor żywił wobec otoczenia. Być może obraz ten, lepiej niż niejedna analiza psychologiczna, odmalowuje (*nomen omen*) osobowość Eligiusza. Trudno tu oczywiście o pewność.

Zachował się za to (niedawno sprzedany za 30 tysięcy złotych) nieco wcześniejszy autoportret artysty, jeszcze z Sankt Petersburga. Ukazuje on młodego mężczyznę o wyglądzie radykała, intensywnie wpatrującego się w widza.

Eligiusz Niewiadomski, Autoportret, *1893 rok. Fot. Domena publiczna / Archiwum Domu Aukcyjnego Polswiss Art*

W swej wczesnej twórczości artysta nie unikał też akademickich aktów kobiecych. Nieco późniejsze obrazy Niewiadomskiego, tworzone po ukończeniu nauk, najczęściej o charakterze portretowym i pejzażowym, miały już bardziej realistyczny charakter.

Prawdopodobnie z tego okresu pochodzi m.in. niewielki pejzaż pt. *Pole* (olej na płótnie naklejonym na dykcie o wymiarach 19 × 28 cm). Nie tak dawno zostało ono wystawione do sprzedaży przez kolejną firmę aukcyjną.

Do najbardziej znanych dzieł artysty, utrzymanych w konwencji realistycznej, zaliczają się dwa portrety: pierwszy przedstawia samego Stefana Żeromskiego i jest datowany na 1900 rok. Oczywiście przyczyną popularności obrazu stała się przede wszystkim sława jego bohatera. Co znamienne, 22 lata później Żeromski będzie uczestniczył w procesie swego portrecisty po zabójstwie Narutowicza.

Drugi portret nosi dość tajemniczy tytuł *Portret pana K.*, a data jego powstania nie została określona. Jedna z prywatnych firm aukcyjnych w 2006 roku wystawiła ten obraz na sprzedaż z ceną wywoławczą 1500 złotych – nie oszałamiającą, jednak znaczącą. Z informacji, jakie podano o dziele, wynika, że portretowanym mógł być bliżej nieznany „pan Kismanowski”. W okresie międzywojennym portret przechowywało poznańskie Towarzystwo Sztuk Pięknych. W maju 1923 roku Maria de Tilly Niewiadomska poświadczyła, że obraz stworzył jej niedawno zmarły mąż.

Znanym obrazem malarza jest też pejzaż *Na korsykańskim brzegu* z 1914 roku. Dzieło to wyraźnie pokazuje, że z biegiem czasu Eligiusz coraz bardziej fascynował się wkraczającym na salony, szeroko rozumianym modernizmem. Nie był więc artystą w pełni konserwatywnym,

choć wątki realistyczne w dalszym ciągu przebijały się w jego twórczości. Wydaje się, że przy całym jego nacjonalizmie, antysemityzmie i umiłowaniu polskiej kultury, rysy typowe dla konserwatysty były stosunkowo słabo widoczne w jego osobowości. Do końca życia pozostał radykałem; i to radykałem chyba o bardziej „świeckiej” niż religijnej wrażliwości.

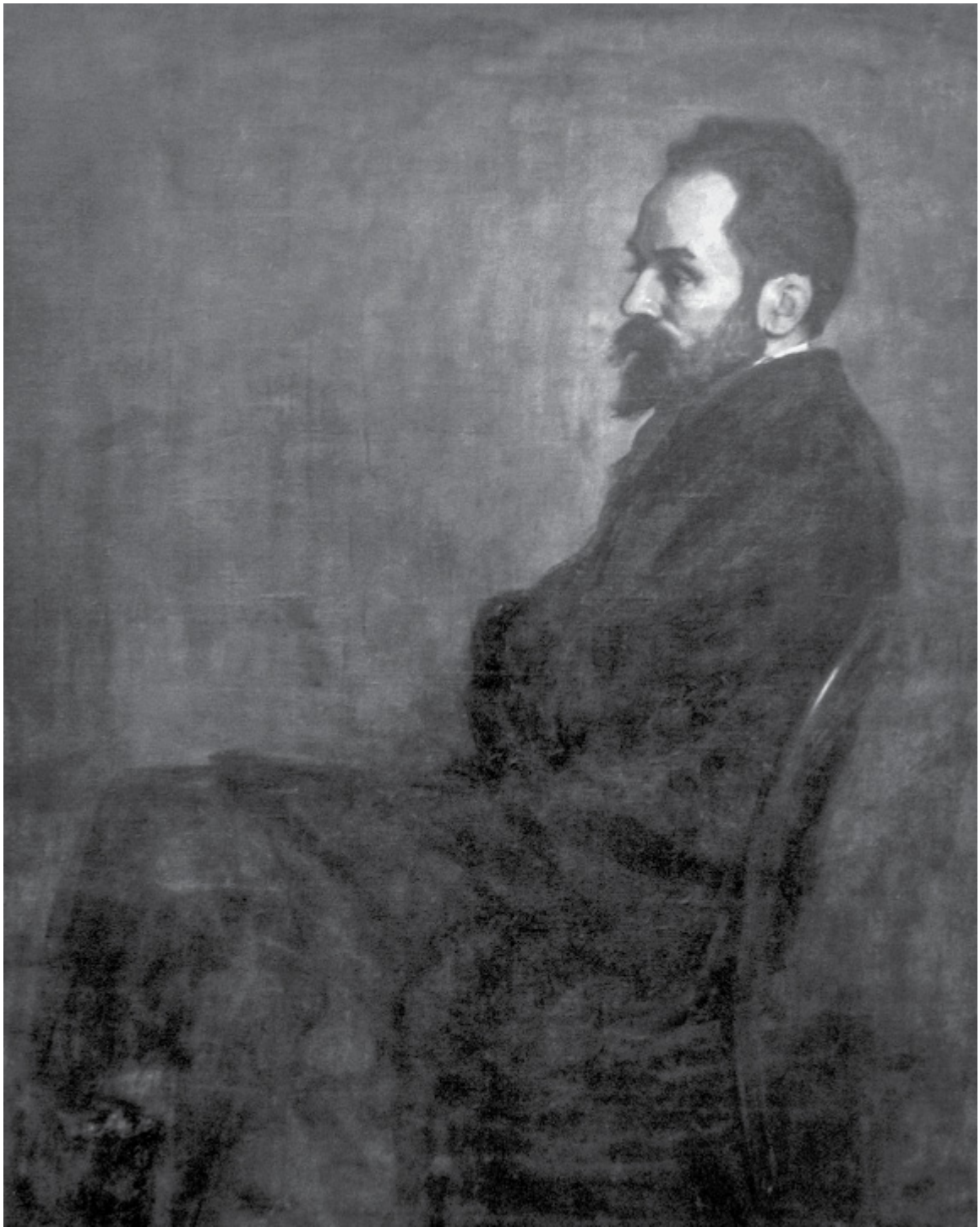

Eligiusz Niewiadomski, Stefan Żeromski*, 1900 rok. Fot. Domena publiczna / Muzeum Lubelskie*

Modernistycznym rysem jego twórczości była fascynacja pejzażami tatrzańskimi, które uczynił treścią kilku swoich większych prac, takich jak m.in. *Poranek nad Czarnym Stawem* czy *Droga do Morskiego Oka*. Obraz *Pejzaż Tatr* jeszcze w 2011 roku wisiał... w gabinecie marszałka Małopolski. Jak się okazało, dzieło wypożyczono z Muzeum Narodowego w Krakowie w 2007 roku.

Dyrektor Muzeum Zofia Gołubiew nie widziała w tym fakcie niczego niewłaściwego.

– To dobry obraz – przekonywała. – Nie powinno się łączyć dzieła z twórcą i jego życiem. Gdybyśmy tak robili, to należałoby pozbyć się pewnie połowy dzieł sztuki z muzeów na całym świecie. Choćby Caravaggio: był mordercą i poszukiwanym bandytą. Niewiadomski był poprawnym malarzem, a jego dzieła uchodzą za górną półkę średniej klasy polskiego malarstwa i można je zestawić z niektórymi pejzażami Jacka Malczewskiego. Poza tym Niewiadomski był uznanym i cenionym krytykiem sztuki.

Warto przemyśleć tę opinię i wyrobić sobie własne zdanie co do jej słuszności.

Wpływy modernizmu czy nawet symbolizmu widoczne są też w przejmującym, intymnym, stonowanym i wyciszonym obrazie *Chrystus*. Niewiadomski przelewał na płótno uczucia, które tłumił wszędzie indziej.

Podobny charakter ma intrygujące dzieło pt. *Anioł miłości* przechowywane w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Uwidacznia się w nim jakaś ulotność, wrażliwość, zwiewność i delikatność, tak kontrastujące z charakterem autora.

Wrażliwość na kolory i szczegóły ukazuje za to owalne płótno *Kwiaty* z 1906 roku.

Podobnie jak Gerson, Niewiadomski parał się ilustrowaniem wydawnictw książkowych. Wśród jego zainteresowań znalazła się również kartografia: w 1899 roku trzydziestoletni wówczas artysta wydał w Warszawie *Album do dziejów Polski*, w którym znalazło się kilkanaście map historycznych, ilustrujących zmiany terytorium Polski na przestrzeni dziejów. W projekcie tym widać chęć uświadamiania rodakom ich własnej historii. Historii, która stanowiła kolejną pasję Niewiadomskiego. Historii, w której Polska była europejską potęgą.

W ostatnich latach XIX wieku Niewiadomski z sukcesami kontynuował swoją malarską aktywność. Jego dzieło *Rodzina centaurów* otrzymało złoty medal Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. W 1897 roku kolejny pejzaż tatrzański dostał z kolei od Zachęty trzecią nagrodę. Wyrazem uznania dla twórczości Eligiusza było przyjęcie go w 1899 roku do zarządu Warszawskiego Towarzystwa Artystycznego. Jednak po pobycie w więzieniu w 1901 roku nie odzyskał już nigdy takiego artystycznego wigoru, jaki cechował go wcześniej.

Oprócz malarstwa o tematyce świeckiej Niewiadomski uprawiał również sztukę *stricte* sakralną. Jego największym dziełem w tej dziedzinie – jedynym ukończonym – była polichromia wykonana w kościele farnym pod wezwaniem św. Bartłomieja w Koninie, mozolnie tworzona przez wiele lat, między 1904 a 1907 rokiem lub (według innych, chyba bardziej wiarygodnych danych) między 1908 a 1910 rokiem.

Eligiusz przystąpił do tej pracy z prawdziwą pasją. Wcześniej w „Gońcu Porannym” zżymał się na „nieumiejętność, a nawet barbarzyństwo objawiające się w ozdabianiu naszych kościołów” – postanowił więc wziąć sprawy w swoje ręce; i to dosłownie. Pracował bardzo intensywnie. Zaprojektował w sumie około 60 figur: „wszystko naturalnej, a kilka kolosalnej wielkości” – pisał do Tadeusza

Jaroszyńskiego, recenzenta teatralnego i rysownika. Czy w tych słowach nie ujawnia się znowu jego skłonność do megalomanii i chorobliwa ambicja?

Tę megalomanię na polu działalności artystycznej zauważał Jan Skotnicki, kolega Eligiusza z okresu pracy w ministerstwie sztuki. Jak wspomina z ironią, „toczył on stałą walkę z Miriamem-Przesmyckim" – znanym poetą, krytykiem artystycznym i tłumaczem. „Obaj byli zdania, że są tak wielcy, iż mają prawo, a nawet obowiązek kierowania całą twórczością polską, narzucania kierunków i rządzenia sztuką. Nieszczęście tylko chciało, że każdy z nich miał inny na nią pogląd".

Eligiusz był autorem projektu polichromii i witraży w konińskim kościele, nadzorował też prace malarskie, które wykonał niejaki Józef Buze. Jest bardzo charakterystyczne, że dzieło Niewiadomskiego zostało utrzymane w secesyjnym stylu – świadczy to o tym, że jego fascynacja *art nouveau* przekładała się na konkretne posunięcia artystyczne. Malarz cenił zresztą chociażby dokonania Stanisława Wyspiańskiego. Czy jednak w tej ornamentyce można dostrzec cechy jego charakteru? Poza dążeniem do monumentalizmu (który zresztą wynikał przede wszystkim z charakteru zamówienia) – raczej nie.

Eligiusz Niewiadomski, Anioł miłości*, ok. 1900 roku. Fot. Domena publiczna / Muzeum Narodowe w Warszawie*

Wybór motywów jest dość typowy dla wystroju wnętrz kościelnych: pochód ludzi (w średniowiecznych szatach) adorujących Najświętszy

Sakrament, sylwetki czterech ewangelistów, pokłon Trzech Króli, Chrystus Pantokrator tronujący na globie ziemskim, medaliony z wizerunkami świętych niewiast, m.in. Jadwigi, Kingi, Salomei. Mniej typowa, choć oczywiście tematycznie uzasadniona, jest scena określana jako *Krzyżowcy na murach Jerozolimy*, a także wprowadzenie w nawach bocznych postaci Mieszka I i Dąbrówki. Mieszko, władca, który wprowadził Polskę do rodziny państw chrześcijańskich, jawi się tu jako słowiański czy wręcz „aryjski" rycerz. Czy w zamierzeniach twórcy nie miał to być dzielny bojownik o sprawę polską? Czy w tej postaci Eligiusz podświadomie nie dostrzegał lustra, autoportretu? Trudno tu oczywiście o konstatacje.

Mamy za to pewne dane świadczące o tym, że konińskie dzieło wywarło dobre wrażenie na znawcach sztuki. W marcu 1911 roku na łamach „Tygodnika Ilustrowanego" rysownik i krytyk Tadeusz Jaroszyński opublikował wzbogacony zdjęciami tekst *Polichromia kościoła w Koninie*, w którym określił projekt Niewiadomskiego jako „imponujący" i „śmiały". „Górną część bocznych ścian nawy obiega szeroki pas o nader dyskretnym szarym tonie, urozmaicony równie dyskretnym deseniem – relacjonował Jaroszyński. – Natomiast dolna część tumu: słupy i łuki o bogatych, skomplikowanych profilowaniach aż jarzą się od kolorów mocnych, zdecydowanych, śmiałych. Rzekłbyś, zawieszono na ścianach barwiste kilimy, to pasiaste, to znowu tkane w proste, hieratyczne wzory stylizowanych kwiatów, gwiazd lub figur heraldycznych".

„Tygodnik Ilustrowany” z 18 marca 1911 r. Fot. Biblioteka Cyfrowa Uniwersytetu Łódzkiego

„Dużo złota – odnotowywał dziennikarz – przywarło tego do tynku i świeci swoim mocnym metalicznym blaskiem, niby szczery metal w bezcennych mozaikach bizantyjskich”. Autor zwrócił jeszcze uwagę m.in. na „wielką kompozycję figuralną” w prezbiterium dookoła ołtarza oraz na „wyobrażenie Chrystusa, ustylizowanego nieco po bizantyjsku na wielkim tle złoconym”. I choć narzekał, że malowidło *Charitas* nad ołtarzem głównym dobrze widoczne jest tylko w bardzo jasne dni, to ogólnie nie mógł się całego dzieła nachwalić: „i tu wystąpić musi podziw dla dekoratora, który umiał wydobyć o takim natężeniu kolory i kolory podobne zestroić harmonijnie”.

Ze stosunkowo niewielką częstotliwością Niewiadomski malował w późniejszych, wojennych już latach – w czasie wojny stworzył m.in. kompozycję *Irydion*, którą później sprzedał pewnej agencji handlującej sztuką w Londynie. Po 1918 roku najprawdopodobniej zdecydowanie ograniczył malarską aktywność. Czy było przypadkiem, że jednocześnie gwałtownie radykalizował swoje poglądy?

Należy unikać taniego psychologizowania w interpretowaniu dzieł Niewiadomskiego. Zdecydowane kontury postaci, żywe kolory, charakterystyczne dla jego polichromii, mogłyby stanowić pewne przesłanki do oceny osobowości artysty – ale wcale nie muszą. W końcu były typowe dla nurtu secesji, a nie tylko dla samego Eligiusza. Niemniej można pójść tropem zarysowanej już tezy, że tworzone przez artystę dzieła sztuki stanowiły najbardziej intymną i delikatną stronę jego osobowości. Sam przyznał tuż przed śmiercią, że twórczość wynika z miłości i jedynie miłość jest w stanie coś stworzyć. Tym boleśniej zapewne Niewiadomski musiał przeżyć konieczność ograniczenia własnych możliwości twórczych w wyniku obu wypadków w Paryżu i Warszawie.

Po śmierci Eligiusza jego sympatycy urządzili w Poznaniu przeglądową wystawę obrazów artysty. Podobno większość została w krótkim czasie sprzedana. Za to część przechowywanych w Zachęcie dzieł zniszczyli wściekli pracownicy Towarzystwa, szukając odwetu za zabójstwo Narutowicza w ich gmachu. Niektóre płótna zaginęły, na inne wciąż można natrafić w prywatnych domach aukcyjnych.

*

Artystyczna działalność Eligiusza przeplatała się z jego karierą naukową i aktywnością dydaktyczną. Jednak podążanie ścieżką akademicką było bardzo trudne w podzielonej rozbiorami Polsce, gdzie polskie szkolnictwo wyższe funkcjonowało właściwie tylko w Galicji. Trzeba zarazem pamiętać, że w tych czasach życie naukowe nie było zorganizowane tak ściśle i sztywno jak dziś. Obok struktury *stricte* uczelnianej funkcjonowało wielu indywidualnych badaczy, którzy prowadzili działalność naukową na własną rękę, samodzielnie, poza strukturami akademickimi. Dotyczyło to zwłaszcza rozbiorowej Polski, gdzie w skali kraju bardzo trudno było zostać „licencjonowanym” uczonym.

O znaczącej pozycji Niewiadomskiego w warszawskim środowisku znawców sztuki świadczy to, że zaledwie kilkanaście miesięcy po powrocie z Paryża, w 1898 roku, niespełna trzydziestoletni uczeń Gersona otrzymał propozycję wykładania techniki rysunku w nowo otwartej Szkole Politechnicznej im. Cara Mikołaja II w Warszawie. Uczelnia ta po I wojnie światowej przekształci się w Politechnikę. Otwarcie szkoły umożliwiła bardzo ograniczona liberalizacja rusyfikacyjnej polityki carskiej, związana z odejściem znienawidzonego Apuchtina.

Pełen zapału młody wykładowca snuł odważne plany powołania w Warszawie prawdziwej Szkoły Sztuk Pięknych na wysokim, europejskim

poziomie, z jakim spotkał się w Sankt Petersburgu i Paryżu. Poziomu tego nie mogła zapewnić ani Szkoła Politechniczna, ani niewielka Klasa Rysunkowa – instytucja działająca w zastępstwie Szkoły Sztuk Pięknych, zlikwidowanej w 1864 roku. Niewiadomski miał wygórowane ambicje, nie zadowalał się skromnymi pomysłami. Samodzielnie przygotował statut takiej uczelni, harmonogram prac, koncepcję organizacyjną, a także zainteresował swym projektem wybitnych twórców epoki, m.in. rzeźbiarza Xawerego Dunikowskiego, malarzy Ferdynanda Ruszczyca, Kazimierza Stabrowskiego i Edwarda Trojanowskiego. Ostatecznie projekt nie został zrealizowany w formie opracowanej przez Niewiadomskiego, chociaż w 1904 roku w Warszawie powołano Warszawską Szkołę Sztuk Pięknych. Niewiadomski nie został w niej zatrudniony. Dopiero w 1909 roku otrzymał tam możliwość prowadzenia wykładów z zakresu historii sztuki. W tym czasie równolegle uczestniczył w organizowaniu wystaw przez niewielkie społeczne Towarzystwo „Odłam”, którego zadaniem było krzewienie sztuki.

W ramach realizacji swych planów Niewiadomski zaangażował się także w reorganizację tak ważnego dla naszych rozważań Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, które na przełomie wieków przeniosło się do własnego gmachu. Jak widać, doskonale – dosłownie od podstaw – znał miejsce, w którym zdecydował się później zastrzelić prezydenta Narutowicza. Czy owego feralnego 16 grudnia 1922 roku wspominał te pionierskie czasy? Czy obecność człowieka, który uosabiał znienawidzony przez niego reżim, w instytucji, którą traktował jako element swej wizji edukowania rodaków, potęgowała wściekłość, jaką odczuwał? Być może – należy jednak pamiętać, że Niewiadomski od samego momentu nawiązania współpracy z Zachętą nie szczędził jej słów krytyki.

Ambitne plany dydaktyczne Eligiusza zostały pokrzyżowane przez jego działalność polityczną. W wyniku dramatycznych wydarzeń, o których napiszemy później, w 1901 roku stracił pracę w Szkole Politechnicznej. Z centralną instytucją państwowo-naukową zetknął się po raz kolejny dopiero na początku 1918 roku: wpierw otrzymał etat starszego referenta w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, podlegającym koncesjonowanej przez niemieckich okupantów Radzie Regencyjnej, a 1 marca, w ramach restrukturyzacji, zaproponowano mu stanowisko naczelnika wydziału malarstwa i rzeźby w Ministerstwie Sztuki i Kultury. Choć dwa dni wcześniej uległ poważnemu wypadkowi, propozycję przyjął. W kolejnych miesiącach zajął się głównie palącymi sprawami organizacji polskiego szkolnictwa artystycznego, a w ramach swej urzędniczej pracy wciąż snuł plany zapewnienia edukacji plastycznej polskim uczniom i studentom. Przygotowywał też wystawy i scenariusze wykładów.

Warto raz jeszcze przypomnieć, że w tym czasie Rada Regencyjna prowadziła już bardzo niezależną politykę, coraz mniej liczącą się z żądaniami słabnących okupantów. W momencie zatrudnienia Niewiadomskiego prowizoryczny rząd Rady tworzył Antoni Ponikowski, bliski ideowo endekom. Był zarazem ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego: pozostał nim po dymisji z funkcji premiera, do której doszło w początkach kwietnia 1918 roku. Na tle poglądów Ponikowskiego jego konflikt z Niewiadomskim nabiera ciekawego zabarwienia: Eligiusz nie zamierzał się podporządkowywać nawet osobie pokrewnej ideowo; narodowe poglądy Ponikowskiego nie zmniejszały krytyki, jaką pod jego adresem formułował przyszły zabójca Narutowicza. Fakt ten każe ostrożniej oceniać związki zamachowca z endecją – miały one bardziej ogólnoideowy niż personalny charakter. Eligiusz był zbyt

radykalny dla każdej partii – nie potrafił współdziałać w większym zespole, choćby o zbliżonym światopoglądzie.

Jak wiemy, po zakończeniu służby wojskowej Niewiadomski powrócił wiosną 1921 roku do pracy w ministerstwie. Kolejny w jego życiu epizod urzędniczy nie trwał jednak długo. Zakończył się przykrą dymisją z listopada tego roku.

Niewiadomski chciał pozostać artystą, będąc urzędnikiem. W swych przekonaniach dotyczących organizacji i koncepcji sztuki był równie bezkompromisowy, bezwzględny i apodyktyczny jak w poglądach politycznych. Stanowiło to diametralną różnicę w stosunku do jego praktyki malarskiej – to kolejny niezwykły rys osobowości zamachowca. W tym kontekście Jan Skotnicki przypomniał sobie pewną historię: „a jaki był ciasny w swych doktrynach, niech świadczy choćby ten mały szczególik. Przyszedł kiedyś do wniosku, że obecna sztuka malarska doszła do szczytu doskonałości w rysunku u takich mistrzów, jak Chełmoński czy Matejko, wobec tego obecnie należy zwracać większą uwagę na kolorystykę. Tym poglądem tak się przejął, że kazał w biurze usunąć czarny atrament i pisać tylko czerwonym, co było utrapieniem dla naszych maszynistek. Nie pomagały ich skargi na ból oczu przy odcyfrowywaniu całych foliałów jego rękopisów, pisanych bladoczerwonym maczkiem”.

Zdarzenie miałoby nawet charakter pociesznej anegdoty, gdyby nie świadomość tego, jak zakończyło się życie Eligiusza. Pozornie błaha historia świetnie oddaje tę cechę jego osobowości, która doprowadziła do morderstwa: nieliczenie się z drugim człowiekiem i konsekwencjami w realizacji raz powziętych decyzji, przekonań, pomysłów. Fragment pokazuje również rzecz – wydawałoby się – sprzeczną z powyższą cechą: jak mocno Niewiadomski żył sztuką. I jak bardzo ciasno czuł się

w urzędniczych ramach. Czerwone pióro jest wręcz pewnym artystycznym manifestem, prowokacją zbuntowanego urzędnika.

W działalności naukowej Niewiadomski najwięcej chyba czasu poświęcał swym monumentalnym w zamierzeniach dziełom literackim z zakresu historii sztuki. Był przekonany, że nie tylko praca fizyczna – w postaci sportów walki – lecz także duchowa odgrywa decydującą rolę w kreowaniu kultury i cywilizacji. Od 1911 roku Niewiadomski pracował nad monumentalnym dziełem *O sztuce średniowiecznej*, do którego materiały zbierał w całej Europie. Nie zdążył go ukończyć. To *opus magnum* stanowi kolejny dowód jego niezwykle wygórowanych ambicji. Podjął się bardzo szerokiego tematu i chciał go możliwie szeroko opracować. Marzyła mu się rola wielkiego badacza i uczonego, pomimo – a może właśnie tym bardziej – że nie pełnił żadnych akademickich funkcji.

Pierwotnie praca miała ukazać się nakładem lwowskiego wydawnictwa „Nauka i Sztuka”. Jednak Eligiusz był tak nieznośny i stawiał tak wygórowane warunki, że wydawca zerwał z nim umowę. To kolejna historia, która dobrze oddaje aspołeczną osobowość autora maszynopisu i jego manię wielkości. A także pośrednio frustrację, kiedy rzeczywistość nie dostosowywała się do jego aspiracji. Rozbujała ambicja – nadmierna w stosunku do realnych skądinąd zdolności – stanowiła jedno z najważniejszych kół napędowych osobowości mordercy Narutowicza.

Przez wiele lat Eligiusz przygotowywał równie obszerną pracę pt. *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*, której zasadniczą część zdołał ukończyć tuż przed śmiercią. Miał też na koncie drobniejsze dzieła. W czasie I wojny światowej, kiedy z oczywistych względów zmniejszyły się możliwości pracy zarobkowej (przynajmniej na początku), opublikował dwie większe broszury, w których zaprezentował swoje poglądy na temat metod propagowania sztuki: *Potrzeby artystyczne Warszawy wobec*

przewidywanych zmian politycznych (Warszawa 1915) oraz *Program i metoda rysunku w średnich i wyższych szkołach techniczno-mechanicznych* (Warszawa 1917). Już po jego śmierci ukazała się praca *Wiedza o sztuce na tle jej dziejów* (Warszawa, 1923). Niestety elaboraty te są dzisiaj w zasadzie nie do zdobycia.

Ukończone w więzieniu *Malarstwo...*, opublikowane ostatecznie w 1926 roku przez Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie w 2700 egzemplarzach, krytycy uznali za jedną z najlepszych polskich rozpraw poświęconych tej tematyce. Książka jest do dziś dostępna choćby w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, a nawet w wersji zdigitalizowanej w Internecie. W 1993 roku doczekała się drugiego wydania.

Mimo szerokiej problematyki praca nie okazuje się opasłym tomiszczem: profesjonalnie wydana publikacja, zaopatrzona w szczegółowy spis ilustracji i bogaty indeks, liczy nie więcej niż 350 stron. Treść jest jednak bardzo gęsta, pełna nazwisk i informacji. Mimo to książkę czyta się stosunkowo dobrze. Składa się z dwóch części. Pierwsza, zatytułowana *Preludia*, obejmuje stulecie 1760–1860, w dwóch rozdziałach analizuje epokę stanisławowską i jej tradycje oraz sztukę z okresu Kongresówki. Druga część, nosząca tytuł *Złoty wiek malarstwa polskiego 1860–1920*, omawia zagadnienia polskiego romantyzmu (rozdział 1), malarstwa historycznego (rozdział 2), naturalizmu (rozdział 3, podzielony na trzy podrozdziały: *Realiści*, *Plener i impresjonizm*, *Krajobraz*), a także okresu najnowszego (rozdział zatytułowany *Styl i fantazja*). Rzuca się w oczy brak zakończenia – nie musiało to jednak wynikać z braku czasu na ukończenie działa, tylko z zamysłu autora.

Wertując kolejne karty erudycyjnej pracy, w której Niewiadomski przedstawia cechy charakterystyczne prądów malarskich w ramach licznych

opisów biograficznych ich najważniejszych przedstawicieli, można z trudem odszukać zdania, które dałoby się interpretować jako przejawy pewnej obsesji ich autora na punkcie narodowości. Niewiadomski pisze np. o „doszczętnym wynarodowieniu tych Polaków, którzy oddali się malarstwu kościelnemu”; o tym, że „świeżo przeżyty okres wielkiej poezji romantycznej podniecał jeszcze Psyche narodu”; o „potędze niepożytej ducha polskiego, twórczego mimo więzów potrójnej niewoli”; czy też o „duchu rasy i poczuciu polskości”.

Nie są to jednak przekonywające dowody na antysemityzm i rasizm autora: takie narodowościowe sformułowania były czymś zupełnie normalnym w nauce czasów zaborów i niedawno odzyskanej niepodległości. Podobnie pisali i inni badacze, którzy nie mieli na swoim koncie żadnego morderstwa. Co ciekawe, choć autor nieraz wspomina o Żydach widniejących na analizowanych dziełach sztuki, nie pozwala sobie na żadne złośliwe komentarze. Bez żadnych uprzedzeń pisze też o obcokrajowcach tworzących w Polsce. Nie wspomina nic o endekach i socjalistach. Jak widać, potrafił oddzielić pracę naukową od własnych poglądów, a nawet fobii i obsesji. Czy tworzenie sztuki i pisanie o niej było dla niego jedyną szansą na ucieczkę w normalność?

Podobnie nie można zbyt surowo oceniać kategorycznych i mało naukowych (wedle dzisiejszych standardów) sformułowań, takich jak: „malarstwo obsługiwało tylko próżność ludzką”, albo: „piękne czasy malarstwa kościelnego dawno minęły” czy: „w malarstwie polskim Matejko był zjawą cudowną”. W owych czasach język nauki nie był jeszcze tak ściśle skodyfikowany jak dziś, a teksty naukowe – zwłaszcza w humanistyce – przeważnie pisano w stylu nieodbiegającym poetyką od twórczości literackiej. Także i tekst Niewiadomskiego jest barwny, żywy, napisany ze swadą, wyczuciem, zrozumieniem dla sztuki i motywacji jej

twórców, niepozbawiony zwrotów kolokwialnych i literackich chwytów. Nie widać tu żadnych dziwactw, które zarzucano Niewiadomskiemu urzędnikowi. Eligiusz czuł chyba więcej empatii dla malarzy, których biografie opisywał, niż dla otaczających go, współczesnych mu ludzi.

Uważny czytelnik pracy Niewiadomskiego musi zwrócić uwagę na krótki fragment ze strony 263 zawierający opis postaci Teodora Ziomka jako malarza, „który zapowiadał się bardzo ciekawie, ale w ciągu kariery malarskiej coraz bardziej oddalał się od stylu i twórczych zadań w malarstwie, na rzecz wiernie, odtwórczo kopiowanych z natury »widoczków«”. To właśnie przed jednym z „widoczków” Ziomka autor owych słów zastrzelił Narutowicza. Ciekawe, czy miał czas przyjrzeć się dziełu krytykowanego artysty, kiedy już oddał trzy strzały w plecy stojącego przy obrazie prezydenta.

Najgodniejszą uwagi jest bardzo krótka przedmowa do dzieła, którą Niewiadomski napisał w więzieniu, 4 stycznia 1923 roku, zaledwie parę dni po burzliwym procesie. Czekał już wtedy tylko na wykonanie wyroku. „Książka ta pisana jest w warunkach trudnych” – przyznaje na samym początku autor. Nie pisze jednak o swojej sytuacji, tylko zwraca uwagę na szerszy problem badawczy: „historyk sztuki polskiej znajduje bardzo mało materiału przygotowawczego, nadto szukanie jego jest mozolne i powoduje dużą, a jałową stratę czasu, którego już nie miałem za wiele... Dlatego nie wszystko jest tak, jak bym chciał, aby było”. Ostatnie słowa to już element autokreacji: Niewiadomski dyskretnie przypomina o swym losie, tworząc obraz szlachetnego uczonego, który śpieszy się, by skończyć dzieło swego życia przed zgotowanym przez los przedwczesnym zgonem.

„Chciałem koniecznie skończyć tę pracę – zwierza się badacz. – Zbrakło mi czasu na lepsze opracowanie Pęczarskiego, Kwiatkowskiego, Dąbrowskiego, Sokołowskiego, Maleckiego, Straszyńskiego, którym należą

się poważniejsze monografie; przy innych nazwiskach nic nie zdążyłem dopisać. Tak samo i materiał ilustracyjny można by było wyszukać staranniej”.

Po tych zastrzeżeniach – z przemyconą informacją, że ewentualne braki nie wynikły z winy autora – Niewiadomski prezentuje swą wizję dzieła, w której można dostrzec jego skłonność do stawiania sobie wygórowanych (zbyt wygórowanych) celów: „najważniejszym jest tu zadanie c a ł o ś c i, to jest układu – rozgrupowania takiego, ażeby obraz naszego malarstwa nie był bezładną, poplątaną mozaiką dat, nazwisk, życiorysów i opisów. To zadanie – jak myślę – jest (przynajmniej z gruba [*sic*!]) rozwiązane. Stworzono tu pewne ramy, niby wielkiego poliptyku, i pole każdej wypełniono grupą artystów, związanych bądź epoką, bądź charakterem twórczości. Każdej takiej grupie starałem się dać pewne tło, na którym jaśniej tłumaczy się jej charakter i wzajemny związek jej członków. Nacisk główny położyłem poza tym na szereg wielkich twórców, którzy niby słupy milowe, znaczą linię rozwoju malarstwa polskiego”.

Zdjęcie Eligiusza Niewiadomskiego z albumu Szkoły Inżynierskiej im. H. Wawelberga i S. Rotwanda, 1917. Fot. Polona

Poza ambicjami stworzenia „wielkiego poliptyku” przedmowa i całe dzieło niewiele mówią nam o osobowości Niewiadomskiego.

I paradoksalnie, może to jest najbardziej znaczące. Jest coś bardzo niepokojącego w człowieku, który oczekując na śmierć w więzieniu, potrafi jak gdyby nigdy nic skupić się na oderwanej od rzeczywistości pracy naukowej. Czy tak funkcjonuje psychika przeciętnego człowieka? Taką postawę może tłumaczyć jedno: niezwykle silna chęć pozostawienia po sobie jak największego dzieła. Twórczość naukowa miała być kolejnym atrybutem kultu, o jakim marzył Niewiadomski. To marzenie było motorem jego działań nie tylko na płaszczyźnie politycznej, lecz także naukowej.

Niemniej taka motywacja wcale nie wyjaśnia zadziwiającego – a może i wywołującego lęk – „rozdwojenia jaźni" Niewiadomskiego badacza/artysty i Niewiadomskiego działacza/urzędnika. Jak w jednej osobowości mógł współistnieć zdolny, wrażliwy malarz, a także dociekliwy, pozbawiony uprzedzeń, interesujący intelektualnie historyk sztuki, nieraz krytyczny wobec dziedzictwa polskiego malarstwa i wysławiający kulturę Zachodu – z fanatykiem, socjopatą i frustratem, pogubionym emocjonalnie outsiderem, zabójcą człowieka, którego osobiście nawet nie znał? Poczucie misji, które spajało działalność Eligiusza na wszystkich polach aktywności, nie daje satysfakcjonującej odpowiedzi.

Wypada chyba bezradnie rozłożyć ręce przed tą zagadką natury ludzkiej.

*

Jestem przekonany, że popularyzatorska pasja Niewiadomskiego była czymś znacznie przekraczającym zwykłą działalność hobbystyczną. Eligiusz chciał Polaków wychować, nie tylko nauczyć ich podstaw sztuki, lecz także przez sztukę wpłynąć na ich rozumienie polskości i pogłębienie narodowej tożsamości. W swym poczuciu miał do spełnienia misję

edukowania rodaków, duchowego rozwoju narodu i uświadomienia mu własnej wielkości – przede wszystkim poprzez kształtowanie jego elit i środowisk opiniotwórczych, ale również edukację „ludu”. Dlatego swe wysiłki kierował głównie do ludzi wykształconych i młodzieży, splatając pracę naukową i popularyzatorską w nierozerwalny węzeł.

Popularyzacja sztuki i nauki była zatem dla Eligiusza niezbędnym instrumentem wychowywania społeczeństwa. W swym politycznym testamencie *Kartki z więzienia* przekonywał: „nauka niekoniecznie musi być nudziarstwem”. Zwracał uwagę na możliwość zaciekawienia nawet „leniwych umysłów” fotografiami albo materiałami filmowymi, co było czymś zupełnie nowatorskim. Zalecał ponadto rozwój sieci bibliotek i czytelni oraz terenowych „domów ludowych”, które powinni wznosić „pierwszorzędni polscy architekci”, by już sam widok gmachów uczył i wychowywał.

Równie ważne funkcje miała pełnić sztuka: „wśród orgii polityki i rozpętania nienawiści partyjnych i klasowych cóż może wnieść więcej spokoju i cichej, zdrowej radości do dusz targanych namiętnością – jak sztuka. To znaczy – teatr, chóry, orkiestra, wystawy [...]. Myślę, że lud dziś już może słuchać dzieł światowych geniuszów – oglądać na scenie Arystofanesa, Szekspira czy Wyspiańskiego. Że po przedstawieniu *Kordiana*, *Juliusza Cezara* czy *Wesela* wyjdzie z teatru z duszą szlachetniejszą i obciążoną myślami”. Warto zauważyć, że Niewiadomski proponował nie tylko dzieła polskie, lecz także europejskie. Opowiadał się poza tym za rozwojem teatrów amatorskich, propagowaniem „muzyki i śpiewu chóralnego” oraz za szeroką akcją wystawienniczą. Wszystkie te inicjatywy mogły być organizowane w owych „domach ludowych”. Polski lud miały też wychowywać... „wieczory taneczne, majówki itp., trzymane na pewnym szlachetnym poziomie obyczajowym, to jest wolnych od

pijaństwa, bójek i swawoli płciowej. Do tego trzeba włączyć gry fizyczne i wycieczki po kraju”.

Jak te szlachetne przecież życzenia zatroskanego społecznika i wolę uspokojenia gorących umysłów pogodzić z zamordowaniem Gabriela Narutowicza? Może przyjmując założenie, że Eligiusz potraktował morderstwo w kategorii sztuki... W końcu zastrzelił prezydenta na wystawie w Zachęcie, wśród obrazów i rzeźb!

Jednak chęć ukulturalnienia „ludu polskiego” nie była tak całkiem „niewinną” ideą: dzięki niemu prosty dotychczas Polak „sam odczuje różnicę między życiem i kulturą, a – propagandą. Między tym, co go budzi, rozwija i wyrabia, a tym, co z niego robi ślepy, sfanatyzowany automat do dawania głosów na listy socjalistyczne. Wówczas przestanie być stadem, służącym za podnóżek dla karierowiczów i ich osobistych celów. Sam spostrzeże, że był oszukiwany, że służył interesom nie swoim, wbrew swoim. A wtedy sam wytrzepie swój płaszcz i oczyści go z »ideowych pasożytów«”. Chodziło więc o kolejny front walki ze zgnilizną i socjalizmem. Co znamienne, smutny finał życia Niewiadomskiego sugeruje, że to on sam miał największe problemy z „wytrzepaniem swojego płaszcza” i wyczuciem „różnicy między życiem i kulturą, a – propagandą”.

W pracę społeczną Eligiusz angażował się mocno. Jak zauważał Jan Skotnicki, jego „egzaltacja w stosunku do młodzieży dochodziła do pewnego odcienia sentymentalizmu”, choć z drugiej strony „robił wrażenie człowieka bardzo opanowanego, który starał się ująć siebie nadzwyczajną siłą woli w pewne karby. W sztuce to nawet może być szkodliwe”. Po raz kolejny przekonujemy się, że Eligiusz ukrywał wybuchowy charakter artysty pod maską opanowania i spokoju. Maską, której czasami nie potrafił utrzymać. To wewnętrzne napięcie stanowiło podstawową, być może kluczową cechę jego osobowości.

Sztuka i wykłady stanowiły też dla Eligiusza sposób na życie. Niewiadomski, zdaniem Skotnickiego, cały czas odgrywał rolę, nie ujawniając swej prawdziwej natury. Przybierał pozę – „to jest człowiek, który szedł przez życie i był deklamatorem. To był pewien patos, który się przejawiał w sztuce, w jego wykładach publicznych”. W ten sposób mógł się realizować i potwierdzać przed samym sobą rolę, którą obrał.

Popularyzatorska misja Niewiadomskiego na pewno owocowała pożytecznymi inicjatywami. Po powrocie z Paryża w 1896 roku młody, obyty ze światem artysta zyskał pewną sławę wśród warszawskiej inteligencji jako płodny publicysta i krytyk sztuki. Publikował m.in. w „Kurierze Codziennym”, „Kurierze Warszawskim”, „Tygodniku Ilustrowanym” czy „Ziarnie”. Niechętny mu Ludwik Krzywicki musiał przyznać, że Eligiusz odznaczał się „śmiałością sądu, jakimś fermentem, który może nie dawał nic pozytywnego, ale budził myśl i przynaglał do wydobycia się z powijaków oklepanych frazesów”. Jego literacką twórczość cenił m.in. Stanisław Witkiewicz senior, osiadły w Zakopanem znany artysta i teoretyk sztuki. Jak wiemy, brat Witkiewicza będzie przebywał w sali nr 1 Zachęty owego feralnego 16 grudnia 1922 roku.

Eligiusz często wyjeżdżał za granicę, gromadząc niedostępne w Polsce materiały i literaturę niezbędne do pracy naukowej. Podejmując jakiś temat, chciał go opracować możliwie szeroko i wyczerpująco. Najlepiej. Tak, by nikt inny go nie prześcignął. Po tym, jak utracił pracę w Szkole Politechnicznej, aż do końca I wojny światowej poświęcił się działalności wykładowczej, zarabiając w ten sposób na życie, ale realizując też narzuconą sobie edukacyjną misję.

Po zawierusze z lat 1904–1906, kiedy w wyniku przegranej armii carskiej z Japończykami w Rosji wybuchły rewolucyjne niepokoje społeczne, ograniczona liberalizacja polityczna osłabionego reżimu

wpłynęła na większe możliwości działania alternatywnej oświaty w Kongresówce. Tajny Uniwersytet Latający przekształcił się w Towarzystwo Kursów Naukowych, odżyła zamknięta w 1900 roku prywatna Szkoła Handlowa im. Leopolda Kronenberga, działalność rozwijała powstała w 1905 roku Polska Macierz Szkolna, organizująca szkolnictwo elementarne w wąskich ramach dopuszczonych przez Rosjan. W mnogości inicjatyw Eligiusz mógł realizować swoje popularyzatorskie zapędy.

W tym okresie organizował w Warszawie, jak również w średnich i małych miastach na prowincji, odczyty z zakresu historii sztuki. Zgodnie z formułowanymi postulatami stosował przy tym najnowocześniejsze techniki wizualne, wzbogacając swoje wypowiedzi materiałami ikonograficznymi, w tym budzącymi sensację widowni przeźroczami.

Podwójny charakter – materialny i misyjny – miała także współpraca Niewiadomskiego z prywatnymi żeńskimi pensjami. Prowadził wykłady m.in. w Szkole im. Cecylii Plater-Zyberkówny w Warszawie, Wolnej Wszechnicy Polskiej, Szkole Rotwanda i Wawelberga, a także na licznych kursach graficznych, a nawet ogrodniczych. Tytuły wykładów świadczyły o szerokim zakresie podejmowanych przez Niewiadomskiego tematów: „Portret w sztuce starożytnej”, „Rzeźbiarze zwierząt w Niniwie i Babilonie”, „Człowiek w rzeźbie średniowiecznej”, „Kobieta w sztuce odrodzenia”, „Co to jest barok?”, „Prerafaelici angielscy”, „Źródła stylu *moderne* w architekturze”, „Matejko”, „Koń w malarstwie polskim”.

Z tego czasu malarza zapamiętał Antoni Słonimski. „Był moim profesorem w Szkole Sztuk Pięknych – wspomina poeta. – Wysoki, w binoklach, szczupły, sztywno chodząca normalność. Chyba jedna cecha szczególna. Nie uśmiechał się. Nie miał poczucia humoru. Czy był psychopatą? [...] Czy może był to ideowiec, fanatyk, którego porwała

nieprzytomna, zaciekła agitacja pism prawicowych? Chyba jedno i drugie” – konkludował autor. Swój opis sporządził już po zabójstwie Narutowicza, być może zatem nie można mu w pełni ufać.

Również w pracy popularyzatorskiej dawały się odczuć fobie, poczucie wyższości i zmiany nastrojów Eligiusza. Jeden z jego znajomych wspominał, że niedługo przed zamachem na prezydenta sprawca miał wygłosić odczyt o Wyspiańskim, zresztą w budynku Zachęty. Działo się to po dymisji z resortu sztuki – w czasie, gdy jego osobowość była już bardzo rozchwiana. Nie licząc się z tematem, prelegent zaczął krytycznie oceniać sztukę starożytną, którą przed wojną bardzo chwalił. Chaotyczny wykład, wzbogacony prezentacją fotografii, zakończył zaskakującymi słowami: „zresztą, co ja będę państwu tłumaczył, kiedy i tak nic nie zrozumiecie”. Wśród ciszy szybko opuścił salę.

Niewiadomski pogrążał się w mrokach własnej osobowości.

*

Otrzymana w 1918 roku posada w Ministerstwie Kultury i Sztuki, na etacie naczelnika zajmującego się szkolnictwem artystycznym, wydawała się wymarzona dla Eligiusza społecznika. Tutaj mógł realizować swe popularyzatorskie i organizatorskie pasje. I rzeczywiście, szybko rzucił się w wir pracy. Ułożył statut i organizację Państwowych Kursów Pedagogicznych dla Nauczycieli Rysunków, a także Państwowej Wyższej Szkoły Nauczycieli Rysunków. Opracował projekt przekształcenia Szkoły Sztuk Pięknych w Wyższą Szkołę Dekoracyjnej Sztuki. Zorganizował wystawę sztuki polskiej w Stanach Zjednoczonych, a także wystawę sztuki dziecięcej, otwartą w maju 1920 roku w auli Politechniki Warszawskiej. Miała ona stanowić zaczątek Muzeum Wychowania przez Sztukę, które ostatecznie zaistniało później jako Muzeum Sztuki Dziecka.

Projekty te, choć ambitne i trudne do realizacji, były pożyteczne i często nowatorskie. Jak jednak wiemy, nawet na tym najlepszym dla niego stanowisku nie wytrwał długo. Nie mógł znieść, że nie wszystko szło po jego myśli. Współpracownicy nie mogli zaś znieść jego megalomanii, apodyktyczności i nieumiejętności współdziałania z innymi.

Zaryzykowałbym tezę, że dymisja z ministerstwa stanowiła ostateczny krok ku samowykluczeniu Niewiadomskiego ze społeczeństwa. Po listopadzie 1921 roku był już skłócony właściwie ze wszystkimi. Przestał wykładać, malować. Skupił się tylko na lekcjach rysunku (traktowanych jako konieczne źródło utrzymania) oraz pracy nad *Malarstwem* i *Wiedzą o sztuce*. Nigdy jeszcze nie był aż tak wyalienowany i sfrustrowany. Klęski kariery wojskowej i urzędniczej nakładały się na siebie, tworząc wybuchową mieszankę z poczuciem wyobcowania. Uwarunkowania te stanowiły znakomity grunt pod radykalne decyzje. Takie jak morderstwo.

*

Polityka, nauka i sztuka tworzyły dla Niewiadomskiego nierozerwalną całość i zbiór instrumentów służących do realizacji celów narodowych. Jak pisał w swych *Kartkach z więzienia*: „młodzież nie umie i nie powinna być bierną i nie mogą jej wystarczyć ideały pełnego koryta, a w doktrynie socjalistycznej innych nie może się doszukać [...]. Potrzeba jej ideałów i to żywych, bo do oderwanych nie każdy potrafi się wznosić. Do serc młodych przemawia ideał żywy, widomy – człowiek [...]. Młodzieży polskiej potrzebny jest ten ideał bohaterstwa [...]. Wspaniały rys naszego ducha – złoty róg zdolny czynić cuda”. Czy to przypadkiem nie o sobie pisał w więziennej celi Niewiadomski? Czy w jego przekonaniu zabójstwo prezydenta miało zainspirować młodzież do działania i zaoferować przykład do naśladowania? Jeśli tak – zaiste pokrętna to logika.

Radykał, narodowiec

Nakreślenie tła epoki, a także opis życia prywatnego, kariery artystycznej, zawodowej, naukowej i społecznikowskiej Niewiadomskiego tylko częściowo umożliwiły wniknięcie w motywy, jakie popchnęły go do zabicia Gabriela Narutowicza. Pora przyjrzeć się bliżej ewolucji jego poglądów politycznych i wynikającej z nich działalności. Zabójstwo prezydenta wynikało przecież przede wszystkim z pobudek polityczno-ideowych. Ich analiza dokładniej wyjaśni, dlaczego zabójca znienawidził władze odrodzonej Rzeczypospolitej i dlaczego gwałtownie krytykował kierunek, w jakim podążała Polska. Czy jednak poglądy polityczne mogą stanowić wystarczające wyjaśnienie decyzji o pozbawieniu drugiego człowieka życia?

Zaangażowanie polityczne Eligiusza dało się dostrzec bardzo wcześnie. Szybko ustalił podstawę swych poglądów ideowych i zdecydował się na próbę ich realizacji w trudnej rzeczywistości okupowanej przez Rosjan Warszawy. Według niektórych źródeł już jako uczeń Gimnazjum Realnego działał w tajnych kółkach uczniowskich o charakterze narodowym, które staną się zapleczem środowiska narodowej demokracji. Kółka te były naturalną szkołą radykalizmu – konspiracyjność spotkań, stałe zagrożenie wpadką i nasilające się represje apuchtinowskich władz szkolnych sprzyjały kształtowaniu bezkompromisowych postaw u tych, którzy na tę działalność się decydowali. Nastoletni Eligiusz najprawdopodobniej podjął właśnie taką decyzję. Jednocześnie – jak twierdzili później jego znajomi – zaczął zwalczać inne uczniowskie organizacje o profilu socjalistycznym.

Sugerowałoby to bardzo wczesny początek jego konfliktów ze środowiskiem, które pod koniec życia utożsamił z osobą Józefa Piłsudskiego.

Należy jednak pamiętać, że w tym czasie – w latach osiemdziesiątych XIX wieku – podział na dwa główne obozy ideowe nie był jeszcze ścisły i klarowny. Ponadto informacje o narodowym zaangażowaniu gimnazjalisty pochodzą od osób mu sprzyjających, być może zatem koloryzują rzeczywistość i zbyt łatwo utożsamiają aktywność Eligiusza (nie ma powodu, by podać ją w wątpliwość) ze środowiskiem narodowym. Sugerowaliśmy już, że jego związki z socjalizmem mogły być bliższe, niż sam przyznawał.

Nie ulega za to wątpliwości, że samokształceniowe, tajne kółka uczniowskie, mnożące się w zrusyfikowanym szkolnictwie średnim Kraju Przywiślańskiego po klęsce powstania styczniowego, były formą samoobrony przed polityką wynaradawiania i próbą uratowania tożsamości narodowej uczniów w czasach „apuchtinowskiej nocy”. Stanowiły zarazem kuźnię kadr wykluwających się organizacji politycznych: od narodowych po komunistyczne.

Wyjazd do Petersburga mógł utrudnić Niewiadomskiemu czynne zaangażowanie polityczne. Być może w okresie petersburskim zabłysnął talentami organizatorskimi i przywódczymi – na rosyjskiej uczelni został rzekomo prezesem organizacji polskich studentów nie wykazującej szczególnie radykalnej działalności. Jednak i do tej informacji należy podejść ostrożnie: udziela jej mecenas Stanisław Kijeński, sympatyk oskarżonego wiele lat później zamachowca. Czy znany nam z przytaczanych opisów outsider i antypatyczny radykał mógł kierować niewielką nawet organizacją?

Na wieść o organizowanych, głównie przez warszawskich studentów, obchodach okrągłej, setnej rocznicy Konstytucji 3 maja Niewiadomski czym prędzej przybył znad Zatoki Newskiej do Warszawy. Wziął udział w pierwszej od upadku powstania styczniowego patriotycznej manifestacji w Kraju Przywiślańskim, odbytej przy niechętnym przyzwoleniu nieco mniej restrykcyjnych, w porównaniu z poprzednim okresem, władz carskich. Warszawska manifestacja nie osiągnęła jednak takich rozmiarów jak analogiczne uroczystości w cieszących się o wiele większą swobodą Lwowie i Krakowie. W tym ostatnim zaprezentowano m.in. obraz Jana Matejki *Konstytucja 3 maja*. Obchody okrągłej rocznicy tego doniosłego wydarzenia z historii Polski – mimo że w zaborze pruskim i rosyjskim bardzo ograniczone – stanowiły z pewnością ogólnonarodową lekcję patriotyzmu.

Na swój sposób w lekcji tej wziął udział również Niewiadomski. Jego intrygującą rolę w warszawskich obchodach z 1891 roku zapisał malarz Marian Trzebiński: „jakiś dorożkarz koniecznie chciał pochód przerwać – w odpowiedzi na ostrzeżenie, że nie wolno, zaczął sobie batem drogę torować. Wtem z pochodu wyskoczył młody, cienki student w nieznanym mi mundurze, chwycił konia za uzdę, dorożkarza zaś kijem przez plecy zwalił. Zdziwiony odwagą nieznajomego, zacząłem się dowiadywać, kto to był”. Okazało się, że to nie kto inny jak Eligiusz.

Epizod ten ma bardzo ważne znaczenie. Pokazuje raz jeszcze, że w imię obrony wartości patriotycznych (swoiście rozumianych), w momencie dużego napięcia społecznego (realia demonstracji), Niewiadomski już za młodu nie miał oporów przed stosowaniem przemocy. Kiedy myślał, że broni sprawy polskiej w kryzysowych czasach, wyzbywał się skrupułów.

Kilka lat później, po powrocie z Paryża, Eligiusz zdecydował się na związanie z tajną Ligą Narodową: formacją polityczną narodowej

demokracji. Zapewne poznał wtedy głównych przywódców partii, w tym Romana Dmowskiego. Nie był podrzędnym działaczem: w 1900 roku został powołany do Sekcji Robotniczej konspiracyjnego Towarzystwa Oświaty Narodowej, powiązanego z endecją. Nie jest pewne, co konkretnie skłoniło go do podjęcia tej decyzji. Pobyt w Rosji wpłynął na jego ogólną radykalizację, a studia w Paryżu rozbudziły być może potrzebę uczestnictwa w ruchach politycznych. W każdym razie Eligiusz nie chciał być tylko teoretykiem, pragnął działać.

*

Końcowe dwie dekady XIX wieku przyniosły na ziemiach polskich – w wyniku nieco spóźnionej inspiracji myślą zachodnią – narodziny potężnych ruchów politycznych i obozów ideologicznych, które gwałtownie przeorały mentalność społeczną. Główne trendy ideowe, które wtedy powstały – od nacjonalizmu przez ruchy ludowe po socjalizm i komunizm – pozostały żywotne w zasadzie do dnia dzisiejszego. W tym kontekście można stwierdzić, że schyłek XIX wieku zrodził nowoczesną Europę.

Chronologicznie najwcześniej na ziemiach polskich, gdzie przecież poza Galicją prowadzenie działalności politycznej było właściwie zakazane, zorganizował się ruch socjalistyczny, odwołujący się do myśli niemieckiego Żyda mieszkającego w Londynie, Karola Marksa, którego *Kapitał* zrewolucjonizował (jak się okazało: dosłownie) myślenie o społeczeństwie. Marksistowskie ugrupowania Wielki Proletariat, II Proletariat i Związek Robotników Polskich powstały w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Centrum ich działalności znajdowało się początkowo na emigracji – w kraju trudno było o strukturalne działania, choć sympatyków nie brakowało. Wkrótce zresztą na ziemiach polskich

rozkwitła znacząca, konspiracyjna działalność. W tych radykalnych organizacjach podział na socjalistów, z których większość skłaniała się ku rozmaicie charakteryzowanej ewolucyjnej reformie systemu polityczno-społecznego, i na komunistów, którzy w różnym stopniu opowiadali się za jakąś formą działań rewolucyjnych, nie był pierwotnie klarowny.

Specyfikę polskiej rzeczywistości stanowił fakt, że głównym przedmiotem sporów poszczególnych frakcji ruchu socjalistycznego był nie tyle (czy nie tylko) program ideowy, ile stosunek do niepodległości Polski. W listopadzie 1892 roku część działaczy Związku Robotników Polskich i II Proletariatu zdecydowała się utworzyć w Paryżu Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich, stawiający sobie za jeden z głównych celów dążenie do niepodległości Polski. W kraju organizacja miała występować pod nazwą Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS). Hasło demokratycznej Polski nie spodobało się najbardziej skrajnym sympatykom. Dlatego też kilka miesięcy później, podczas pierwszego, tajnego zjazdu Związku w Lasach Ponarskich oponenci głównej linii postanowili odłączyć się i założyć marginalną, komunistyczną Socjaldemokrację Królestwa Polskiego (i Litwy), kierowaną m.in. przez Różę Luksemburg, Juliana Marchlewskiego i Feliksa Dzierżyńskiego.

W samej PPS, mimo odejścia komunistów, można było dostrzec dwie różnicujące się orientacje. Bardziej lewicowa, skupiona wokół Jana Stróżeckiego, zgadzając się z koniecznością odrodzenia ojczyzny, kładła nacisk na kwestie socjalne i ideowe. Druga orientacja na pierwszy plan wysuwała kwestię niepodległości, jedynie ogólnikowo odnosząc się do przyszłego ustroju Polski. Niepodległościowe tendencje przeważały w niewielkich strukturach PPS działających w zaborze pruskim oraz wśród socjalistów z Galicji, wśród których największe wpływy miał Ignacy

Daszyński. W Kongresówce spór między najważniejszymi orientacjami w PPS doprowadzi z czasem do otwartego konfliktu.

Od drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych XIX wieku czołową rolę w niepodległościowej odnodze PPS zaczął odgrywać trzydziestoletni Józef Piłsudski. Przyszły Naczelnik Państwa urodził się w Zułowie pod Wilnem w grudniu 1867 roku, dwa lata przed Niewiadomskim. Działalność konspiracyjną rozpoczął w połowie lat osiemdziesiątych w Charkowie. Uczestniczył w kilku spotkaniach radykalnej organizacji Narodna Wola – tej samej, która w 1881 roku zorganizowała udany zamach na Aleksandra II; tej samej, z którą jakieś związki mógł mieć i Niewiadomski. Oto rys podobieństwa politycznej formacji ludzi o tak skrajnych – wydawałoby się – poglądach.

Tymczasem w 1887 roku carska policja zatrzymała przed Pałacem Zimowym trzech studentów, którzy nieudolnie przygotowywali spisek na życie kolejnego cara. Pociągnęło to za sobą serię aresztowań. Jednym z głównych oskarżonych spiskowców był brat Lenina Aleksander Ulianow, który został stracony. Aresztowania objęły też Piłsudskiego i jego brata Bronisława, skazanego później na piętnaście lat ciężkich robót. Choć Józef nawet nie wiedział o spisku, również poniósł karę: skazano go na pięcioletnie zesłanie na Syberię – niezbyt zresztą uciążliwe. W 1892 roku powrócił do Wilna i związał się ze środowiskami socjalistycznymi. Dwa lata później został przedstawicielem Sekcji Litewskiej Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS: kolegialnego kierownictwa partii. Równocześnie stanął na czele redakcji organu prasowego ugrupowania, wydawanego nielegalnie „Robotnika”. Tak zaczęła się jego wielka, choć kręta kariera.

Kilka lat po socjalistach ramy instytucjonalne swej działalności wykształcił ruch ludowy. Trzeba pamiętać, że olbrzymia część Polaków

była ówcześnie związana ze wsią i rolnictwem, siłą rzeczy ludowcy odgrywali więc bardzo ważną rolę. Z naturalnych względów ruch ten rozwijał się przede wszystkim w cieszącej się największą autonomią Galicji. W 1895 roku doszło do zjazdu aktywistów ludowych w Rzeszowie, podczas którego powołano do życia Stronnictwo Ludowe (SL). Początkowo ugrupowanie to skupiło się głównie na postulatach ekonomicznych i wyborczych, mających polepszyć warunki materialne chłopów i zwiększyć ich udział w administrowaniu Galicją. Kiedy jednak w 1903 roku rozrastające się SL zmieniło nazwę na Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL), coraz wyraźniej formułowało postulaty niepodległościowe. Tuż przed wojną, na przełomie 1913 i 1914 roku, doszło do podziału ludowców: bardziej umiarkowani i konserwatywni działacze utworzyli ugrupowanie o nazwie PSL „Piast”, zaś ich ciążący ku socjalizmowi oponenci wyodrębnili się w PSL „Lewicę”. W wolnej Polsce „Lewica” uległa marginalizacji. Dodatkowo w Królestwie Polskim w 1915 roku ludowcy z tego zaboru utworzyli własne, lewicowe ugrupowanie, od 1918 roku występujące pod nazwą PSL „Wyzwolenie”. Obok „Piasta” stało się głównym odłamem tego środowiska. To właśnie PSL „Wyzwolenie” wystawiło w 1922 roku kandydaturę Narutowicza na prezydenta.

W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku zinstytucjonalizował się także ruch narodowy. Jego początki sięgają jeszcze 1887 roku, kiedy Zygmunt Miłkowski, pisarz i działacz emigracyjny, założył w Szwajcarii Ligę Polską. To niepodległościowe ugrupowanie liczyło na wojnę z zaborcami, dzięki której będzie mogła się odrodzić Polska. Liga zaczęła współpracować z utworzonym mniej więcej w tym samym czasie w Galicji Związkiem Młodzieży Polskiej „Zet”, kierowanym przez Zygmunta Balickiego. W 1893 roku najbardziej dynamiczni działacze Ligi Polskiej

samowolnie przekształcili ją w Ligę Narodową. „Zet” stał się młodzieżową przybudówką ugrupowania.

Jak Piłsudski w środowisku socjalistów, tak Roman Dmowski rozpoczął wtedy karierę w kręgu narodowców. Urodzony w 1864 roku w podwarszawskim Kamionku, jako student nauk przyrodniczych na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim związał się z nielegalnym warszawskim kołem „Zetu”. W 1889 roku został przyjęty do Ligi Polskiej. Był jednym z autorów przewrotu dokonanego w Lidze w 1893 roku. Systematycznie awansował w hierarchii Ligi Narodowej. Kiedy w 1897 roku formacja ta wyłoniła Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, Dmowski stanął na czele partii (Liga Narodowa istniała nadal jako ruch społeczny aż do 1927 roku). Wtedy też utarło się określanie jej działaczy mianem endeków (od „narodowej demokracji”).

I tutaj, podobnie jak u socjalistów, dało się wyróżnić dwie orientacje ideowe. Co prawda ogólnie podzielano tzw. ideę wszechpolską, czyli konieczność wzmacniania trójzaborowej tożsamości narodowej wszystkich Polaków, jednak jeden nurt kładł nacisk na kwestie niepodległościowe i czynną walkę, drugi zaś krytykował tendencje powstańcze, widząc szanse na realizację polskich interesów raczej w ograniczonej współpracy z zaborcami, przede wszystkim z Rosją. W tę stronę ewoluował Dmowski. Jeśli jednak z biegiem lat wśród socjalistów zaczęła przeważać orientacja Piłsudskiego, tak insurekcyjne nastroje endeków już w końcu lat dziewięćdziesiątych ulegały postępującej marginalizacji.

W XX wiek uświadomiona politycznie część polskiego społeczeństwa wszystkich zaborów wkraczała zatem zorganizowana w odrębne tożsamościowo ugrupowania polityczne, mające swoje programy, cele i plany. Sytuacja międzynarodowa zdawała się sprzyjać rozbudzaniu politycznej gorączki. Rywalizacja mocarstw na Bliskim Wschodzie i w

Azji, napięta sytuacja na Bałkanach czy kształtowanie się dwóch przeciwstawnych obozów politycznych: państw centralnych (Niemcy, Austro-Węgry, Włochy) i ententy (Francja, Rosja, Wielka Brytania) – dowodziły, że zaborcy polscy nie mówią już jednym głosem. Na pierwszy plan wysunęło się pytanie: jak na zmieniającą się koniunkturę międzynarodową mają zareagować Polacy?

Roman Dmowski spodziewał się wybuchu wojny między Niemcami a Rosją i Francją. To właśnie cesarstwo niemieckie uznał za najgroźniejszego wroga, godzącego w tożsamość narodową Polaków. Nie uznawał jednak za możliwą próby samodzielnego pokonania potężnych okupantów. Sądził, że skuteczne jest tylko jedno rozwiązanie: zbliżenie i współdziałanie z Rosją. Postulat ten nie wynikał ze szczególnej sympatii dla caratu, tylko z kalkulacji politycznej. Dmowski rozumiał zagrożenia płynące z rusyfikacji, ale był przekonany, że Polacy się przed nią obronią. Trzeba pamiętać, że endecja mimo wszystko za końcowy cel swych działań uznawała odbudowę wolnej Polski. Uważała jednak, że jego realizacja prowadzi przez współpracę, a nie walkę.

Inne pomysły formułowali sympatycy Józefa Piłsudskiego. Uważali oni, że w przyszłej wojnie zwycięstwo odniosą państwa centralne. W związku z tym liczono, że ziemie podbitego zaboru rosyjskiego mogłyby zostać włączone do Austro-Węgier, tworząc w ten sposób poszerzone, trójczłonowe państwo (Austro-Węgry-Polskę). Choć koncepcja ta nie doceniała roli Niemiec i godziła się z utratą zaboru pruskiego, zyskała sobie wielu zwolenników – w tym PPS. Jednocześnie, zdaniem Piłsudskiego, dla realizacji tych planów konieczne było osłabianie Rosji poprzez akcje zbrojne i dywersyjne.

Prawdziwym testem dla Dmowskiego i Piłsudskiego stały się wojna rosyjsko-japońska i rewolucja 1905 roku, kiedy gwałtowne niepokoje

społeczne przeniosły się też do Kongresówki. Piłsudski nie miał wątpliwości: trzeba czynnie zaatakować słabnące imperium i wywołać powstanie. Trzynastego listopada 1904 roku socjaliści zorganizowali demonstrację na placu Grzybowskim w Warszawie, która przekształciła się w krwawe zamieszki. W lutym 1905 roku bliscy współpracownicy Komendanta – Walery Sławek i Aleksander Prystor – znaleźli się w kierownictwie uformowanej właśnie organizacji bojowo-spiskowej wewnątrz PPS. Jej celem było stworzenie podziemnej siły zbrojnej, zdolnej do wywołania powstania przeciw Rosji w dogodnym momencie. Na razie bojówki socjalistów skupiły się na akcjach „terrorystycznych”: Piłsudski organizował zamachy na carskie urzędy pocztowe, skarbowe, transporty kolejowe i brał w nich czynny udział. Akcje te służyły zdobywaniu doświadczenia oraz gromadzeniu sprzętu, broni i pieniędzy. W ciągu kilku miesięcy grupa zwerbowała około 2 tysiące ochotników.

Organizacja Bojowa PPS stawała się coraz bardziej niezależna od kierownictwa partii. Mniej radykalni działacze bardzo krytycznie oceniali jej działania, przekonując, że niewiele różnią się one od bandytyzmu. W efekcie musiało dojść do rozłamu: w listopadzie 1906 roku, na zjeździe w Wiedniu, od PPS odłączyła się Polska Partia Socjalistyczna-Frakcja Rewolucyjna, na której czele stanął Piłsudski. Frakcja przejęła Organizację Bojową. Pozostali działacze (tzw. młodzi) określili się mianem PPS-Lewica i z biegiem czasu ewoluowali w kierunku komunizmu.

W kolejnych latach, również na skutek wygaśnięcia niepokojów społecznych z lat 1904–1906, Frakcja ograniczyła zamachy. We wrześniu 1908 roku przeprowadziła jednak najsłynniejszą ekspropriację, napadając na stacji Bezdany niedaleko Wilna na rosyjski pociąg pocztowy jadący do Petersburga. W wyniku napadu uzyskano zawrotną sumę ponad 200 tysięcy

rubli – czyli około 100 tysięcy dolarów. Wtedy była to znacznie mocniejsza waluta niż dziś.

W 1908 roku, pragnąc poszerzyć swe zaplecze militarne, Piłsudski stworzył we Lwowie – dzięki pieniądzom zdobytym w Bezdanach – Związek Walki Czynnej. Była to organizacja o charakterze wojskowym, starająca się wychodzić poza wąskie podziały partyjne. Jednym z jej współpracowników został młody oficer armii austro-węgierskiej Władysław Sikorski. W zamierzeniach Piłsudskiego ZWC stanowił zalążek przyszłej armii polskiej.

Narodowa Demokracja ostro sprzeciwiła się powstańczym zapędom piłsudczyków, widocznym od wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej. Już w lipcu 1904 roku Roman Dmowski wyjechał do Tokio, przekonując Japończyków, że antyrosyjskie powstanie Polaków byłoby niepotrzebne i nie miałoby wpływu na możliwości mobilizacyjne carskiej armii. Co znamienne, dokładnie w tym samym czasie w Japonii gościł Piłsudski, który prosił o... pomoc dla polskiego powstania. Japończycy byli zdezorientowani. Obaj polscy politycy spotkali się zresztą w Tokio i dyskutowali z pasją przez kilka godzin. Żadnemu nie udało się przekonać drugiego do swoich racji. Było to ich pierwsze spotkanie w cztery oczy. Drugie (i ostatnie) odbędzie się w maju 1920 roku w warszawskim Belwederze. To niesłychane, że w swym długim życiu obaj mężowie stanu – niewolni od błędów architekci polskiej niepodległości – odbyli ze sobą zaledwie dwie poważne rozmowy.

Postawa Dmowskiego w burzliwym okresie 1904–1906 była kontrowersyjna: jawnie poparł on cara, głosząc jedynie hasła autonomii. Dzięki temu endecy zyskali możliwość ograniczonego działania w Kongresówce. Po powstaniu w 1906 roku rosyjskiej Dumy – namiastki parlamentu – został jej posłem. Ta zdecydowanie prorosyjska postawa,

podlana sosem ostrego antysemityzmu, spotkała się z niezrozumieniem części mieszkańców Kraju Przywiślańskiego, a także samych endeków: Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe w latach 1907–1909 straciło około 20 procent członków, a pozycja Dmowskiego osłabła. W 1909 roku przegrał wybory do marionetkowej Dumy z kandydatem PPS-Lewicy, popieranym m.in. przez ludność żydowską. Radykalnie antyniemieckie poglądy narodowców zyskiwały im za to popularność w Wielkopolsce. Mimo wszystko endecja, m.in. dzięki wyraźnemu poparciu części duchownych Kościoła katolickiego, pozostawała chyba bardziej wpływowa niż PPS również w Kongresówce.

Wydarzenia z lat 1904–1906 stworzyły przepaść między endekami i socjalistami. Sytuacja w kraju była bardzo napięta. W styczniu 1905 roku w czasie protestów w Warszawie zginęło około 100 osób. W czasie kolejnych starć 1 maja śmierć poniosło 32 demonstrantów. Trzy tygodnie później w Łodzi wybuchł strajk włókniarzy, który przeistoczył się w dwudniowe starcia z siłami rosyjskimi. Rannych i zabitych zostało około 2 tysięcy ludzi. Różnice poglądów przybierały dramatyczną formę. Podczas gdy socjaliści angażowali się w podburzanie ludności, bojówki endeckie uczestniczyły w pacyfikowaniu rozruchów. Dochodziło do bezpośrednich walk obu grup. Co prawda po kilku miesiącach sytuacja uległa uspokojeniu, ale fosa, jaka została wykopana między narodowcami i socjalistami, nie zniknie już nigdy.

*

Wybory polityczne głównego nurtu endecji wydatnie wpłynęły na sytuację Niewiadomskiego: w tym właśnie czasie jego drogi z narodową demokracją (na płaszczyźnie instytucjonalnej) rozeszły się. Poglądy Eligiusza okazały się po prostu zbyt radykalne, jak na szukające współpracy z Rosją

Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe. Jako zwolennik działań godzących w rosyjskiego zaborcę, coraz bardziej oddalał się od postulatów Dmowskiego, a przez to i głównego nurtu Ligi.

Niemniej w tych latach poznał sporo osób, m.in. hrabiego Maurycego Zamoyskiego, którego ponoć namówił do zakupu dziennika „Goniec". Pismo to stało się pierwszym organem endeckim w Warszawie. Przypomnijmy, że to właśnie Zamoyski przegrał z Narutowiczem wyścig o fotel prezydencki w grudniu 1922 roku.

Tymczasem po wybuchu wojny między Rosją a Japonią w 1904 roku nastąpiło ostateczne rozstanie Niewiadomskiego ze zinstytucjonalizowaną endecją. Usilnie próbował wtedy przekonać swych towarzyszy do zorganizowania akcji dywersyjnych, mających utrudniać Rosjanom prowadzenie wojny. Proponował m.in. wysadzenie mostów na Kamie i Wołdze w ramach akcji odcinania kanałów aprowizacyjnych dla walczącej na wschodzie armii carskiej. Plany te nie były zbyt realistyczne (obiekty wybrane przez Niewiadomskiego leżały w głębi imperium) i zostały odrzucone. Po tej scysji Eligiusz zrezygnował z członkostwa w partii.

Incydent ukazuje ważne cechy osobowości przyszłego zabójcy Narutowicza: gotowość do realizacji radykalnych rozwiązań w imię wyższego celu, a także bezkompromisowość i chęć obrony swych poglądów, choćby kosztem osamotnienia. To też bardzo ciekawy moment, w którym Eligiuszowi bliżej było do dywersyjnych inicjatyw Piłsudskiego niż antypowstańczej postawy Dmowskiego. Znowu okazuje się, że z Komendantem łączyło go więcej, niż później przyznawał. Być może dlatego tym boleśniej przeżył rozczarowanie polityką Naczelnika Państwa z lat 1918–1922.

Co ciekawe, nigdy nie skrytykował lidera endecji za ugodową politykę wobec Rosji – przynajmniej w zachowanych wypowiedziach. Ani razu nie

odniósł się też do roli, jaką endecja odegrała w 1905 roku, współpracując z Rosjanami w tłumieniu protestów. W konfrontacji z obranym kursem ideologicznym niewygodne fakty z realnego życia musiały przegrać. Warto jednak podkreślić, że ów kurs przyjął ostateczne kształty dopiero po odzyskaniu niepodległości, a jego fundamentem stała się krytyka polityki Naczelnika Państwa. Wcześniej Eligiusz najprawdopodobniej wiązał z nią duże nadzieje.

Odejście z Ligi nie oznaczało bynajmniej zmiany światopoglądu Niewiadomskiego. Mimo zaskakujących zbieżności z metodami działań Piłsudskiego i braku przynależności politycznej pozostał ideowym narodowcem. Jego antyrosyjskość sprawiała zarazem, że nawet w swym naturalnym środowisku pozostawał częściowo wyalienowany; i to nie tylko instytucjonalnie.

Mimo to Eligiusz nadal intensywnie współpracował z tajnym Towarzystwem Oświaty Narodowej, łącząc działalność konspiracyjną z edukacyjną. Towarzystwo starało się organizować kursy oświatowe, kółka rolnicze, biblioteki, kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, propagując idee solidaryzmu społecznego oraz nacjonalistyczne. W 1906 roku weszło w skład Polskiej Macierzy Szkolnej, zapoczątkowując jawną działalność. Rok później władze carskie, w ramach odwrotu od ustępstw przyznanych w wyniku niepokojów lat 1904–1906, zdelegalizowały Macierz. Kontynuowała ona jednak oświatową działalność w konspiracji aż do 1916 roku, kiedy to okupacyjne władze niemieckie zezwoliły na jej reaktywację.

Mimo krytyki polityki endeckiej Niewiadomski do końca życia, przynajmniej deklaratywnie, pozostał wielbicielem Romana Dmowskiego i jego żarliwym obrońcą. Taka postawa budzi pewne zdziwienie. „Dmowski!” – pisał w *Kartkach z więzienia*. „Ileż farby drukarskiej zużyły na tego człowieka pisma żydoskie [*sic*!], lewicowe, pseudo-centrowe

i pseudo-moralne! Ile jadu, ile fałszu, ile oszczerstw, ile o pomstę do nieba wołającej niesprawiedliwości! [...] Co za krzywdy wyrządził narodowi swemu ten człowiek, czy może potwór moralny?! Krzywdy takie: życie całe oddał pracy dla Ojczyzny. Od 30 lat służy wiernie temu, co uważa za jej dobro. Narażał dla niej wolność i życie. Poświęcił to, co nazywamy karierą – a więc dobrobyt, spokój, szczęście rodzinne!". Dmowski, zdaniem Niewiadomskiego, to „człowiek trzeźwego umysłu, świetnych zdolności, silnego charakteru, głęboko i wszechstronnie wykształcony". Dlatego zbrodnią niepodległej Polski stało się pozostawienie go na bocznym torze. Było to jednak nieuniknione, bo Dmowski, „świadom jest, jak mało który z polityków, niebezpieczeństwa żydowskiego". Był więc „niebezpieczny".

Można się zastanawiać, czy rzeczywiście Eligiusz miał tak dobre zdanie o Dmowskim przed wybuchem wojny, w okresie niezrozumiałej dla wielu narodowców kolaboracji ich lidera z carską Rosją. *Kartki z więzienia* powstały już po zabójstwie Narutowicza, a ich autor był zainteresowany przekazaniem światu swego przesłania. Mógł więc upraszczać i wygładzać pewne wątki, a skontrastowanie Piłsudskiego, wcielenia wszelkiego zła, z Dmowskim, uosobieniem cnót wszelakich, było efektownym zabiegiem narracyjnym.

Nawet i w takim tekście Eligiusz potrafił jednak przyznać, że początkowo wcale nie patrzył niechętnie na działalność Józefa Piłsudskiego i socjalistów. Choć wyznanie to jest tylko elementem retoryki i zostało ujęte w bagatelizujące ramy, świadczy mimo wszystko, że trudno przypiąć Niewiadomskiemu prostą łatkę przynależności politycznej. Jak sam przekonywał: „stosunek mój do socjalizmu i do osoby Piłsudskiego był obiektywny, rzeczowy w tym sensie, że wolny od uprzedzeń, od niechęci partyjnej. W młodości socjalizm był dla mnie ideą sympatyczną i bliską. Będąc w Paryżu w 1896 i 1897 roku prenumerowałem »Przedświt«

londyński, czytałem stale »La Petite République«, chodziłem na konferencje ludowe itp.”. Przyznawał, że gdy był młody, niekiedy dawał się porwać „wymową i szlachetnymi ideami różnych mówców lewicowych na tajnych zebraniach politycznych [...]. Brałem to wszystko za dobrą monetę. Mówiłem sobie: tam musi być prawda. Tylko prawda może ludzi natchnąć takim zapałem, wiarą, poświęceniem”.

Socjalizm nie przekonał jednak Eligiusza: „z czasem, kiedy złapałem parokrotnie moje pisma na zbyt grubych kłamstwach, zbudziła się moja czujność. Zarazem czytając »Przedświt« londyński, zrozumiałem jego jałowość i patologiczną stronę umysłów tych rozbitków emigracji socjalistycznej”. Uzmysłowił też sobie diametralną różnicę między słowami a czynami lewicowych działaczy: „życie odsłoniło mi zdumiewające rzeczy – wykazało różnice pomiędzy frazesem a postępowaniem, pomiędzy słowem a czynem. Dowiadywałem się niekiedy o moich »apostołach prawdy« rzeczy, które mi się nie chciały mieścić w głowie [...]. Wówczas przyszło rozczarowanie”.

To rozczarowanie wkrótce zmieniło się w nienawiść. Dojrzały Niewiadomski miał się przekonać, że „socjaliści – podobnie jak żydostwo – [są] dotknięci niemocą twórczą, dzięki czemu, jako oni, zmuszeni są do roli pasożytów na obcych organizmach”, podkopując w ten sposób zdrową strukturę narodu. Tylko strząśnięcie „żydostwa” mogło umożliwić socjalizmowi przejście od „religii nienawiści” do pierwotnej idei sprawiedliwości społecznej.

Można powątpiewać, czy Eligiusz rzeczywiście tak szybko otrząsnął się z idei socjalistycznych. Być może proces ten trwał dłużej i nie odbywał się w tak prosty, czarno-biały sposób. Tego jednak autor nie mógł przyznać – nie pasowałoby to do legendy, jaką sobie tworzył.

Bardziej wiarygodnie brzmią słowa krytyki wobec samej doktryny socjalistycznej. Dostrzegając pewne pozytywne aspekty teorii socjalizmu, Niewiadomski całkowicie odrzucał i wyśmiewał marksistowską ideę walki klas. To nie tarcia między wyzyskiwanymi a wyzyskującymi były motorem dziejów. Idei tej przeciwstawiał bliżej niesprecyzowany „geniusz jednostek", które twórczo budowały – indywidualnie, w ramach ras i narodów – kultury i cywilizacje. Przekonanie o decydującej roli genialnych ludzi pobrzmiewa trochę Heglem czy nawet Nietzschem, choć żaden z tych myślicieli nie pojawia się w rozmyślaniach autora *Kartek z więzienia*. Ponadto w wywodzie tym niejasno kształtuje się powiązanie owych jednostek z narodem i rasą. Tworzą one twórczą trójcę, ale niewiele dowiadujemy się o ich wzajemnych powiązaniach.

Roman Dmowski. Fot. Domena publiczna

Walka – klasowa, rasowa, narodowa, religijna, jednostkowa – istniała, ale była dla Eligiusza czymś nietwórczym, a więc drugorzędnym i wtórnym. Co więcej, koncept „walki klas” uważał za wątpliwy i słabo opisujący rzeczywistość, która była o wiele bardziej skomplikowana. Skąd więc powodzenie tej niezbyt udanej idei? Niewiadomski znał odpowiedź: stanowiła ona po prostu zasłonę dymną, mającą ukryć prawdziwy cel „żydostwa”: „walkę ras”. „Walka ras” prowadziła z kolei do „rozsadzenia spoistości społeczeństw aryjskich z pomocą rozpuszczenia cementu, który je spaja i utrudnia dostęp żydostwu – zasady narodowości”. W rozumowaniu tym zadziałał tak częsty u Niewiadomskiego mechanizm: swoiste *reductio ad Iudaeos*, czyli sprowadzanie wszystkiego do problemu żydowskiego. To przejaw sfanatyzowania i symplicyzmu intelektualnego.

*

Niewiadomski przyznawał, że przez długi czas szanował Józefa Piłsudskiego za jego odwagę i siłę charakteru. Z marszałkiem łączyły go wspólne elementy biograficzne: nielegalna aktywność polityczna i pobyt w więzieniu. Konspiracyjna aktywność Niewiadomskiego wymagała pewnej odwagi i determinacji: między 1897 a 1914 rokiem systematycznie krążył między Galicją a Kongresówką, przemycając do Warszawy nielegalne publikacje o charakterze narodowym, głównie „Przegląd Wszechpolski” i „Polaka”.

„Przegląd Wszechpolski” był pismem o profilu społeczno-narodowym, traktowanym jako organ narodowej demokracji, przeznaczonym dla mieszkańców wszystkich zaborów. Zaczął ukazywać się we Lwowie

w pierwszych miesiącach 1895 roku. Początkowo „Przegląd” miał profil dwutygodnika, od 1899 roku wychodził raz w miesiącu. Najważniejszymi redaktorami pisma byli Zygmunt Balicki, Roman Dmowski oraz Jan Józef Popławski. Dwaj ostatni funkcjonowali zarazem w roli głównych autorów. W 1902 roku redakcja przeniosła się do Krakowa. Wybuch niepokojów społecznych w 1905 roku skłonił Dmowskiego do zamknięcia pisma. Nieco mniej popularny „Polak” był przeznaczony dla odbiorców w zaborze rosyjskim. Wraz z „Przeglądem” był regularnie przemycany z Galicji do Kongresówki. Między innymi dzięki Niewiadomskiemu.

X Pawilon Cytadeli w Warszawie, 1934 rok. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

W niektórych wspomnieniach Eligiusz jest przedstawiany jako odważny, pomysłowy i śmiały konspirator. Jedną z przemytniczych historii zapamiętała Cecylia: „wiózł duży transport w pakach z północy [...]. Tym razem jechał na Płock i tu dopiero zauważył, że jedzie w asystencji. Ajenci byli jednak wahający się wobec czapki z gwiazdką (był wtedy profesorem na warszawskiej Politechnice), a z takim panem trzeba ostrożnie, gdyż pomyłka może być przykra. Elek [Eligiusz] to zrozumiał, nadrabiał zuchwalstwem. Przy ładowaniu pakunków na statek wezwał do pomocy jednego z ajentów, zaimponował rosyjskim językiem, petersburskim akcentem, stanowczością i traktowaniem ludzi z góry [...]. Skończyło się szczęśliwie”.

Opis ten należy traktować z pewnym dystansem: jest jednoźródłowy, a Cecylia prawdopodobnie przekazywała relację samego Eligiusza. Uwidacznia się w nim jednak ważna cecha konspiratora: gotowość do zuchwałych, niemal szaleńczych ruchów. W dodatku udanych.

Nielegalna działalność miała jednak swoją cenę: w nocy z 2 na 3 czerwca 1901 roku Eligiusz został aresztowany przez carską policję i oskarżony o przemyt nielegalnej literatury, którą znaleziono w jego mieszkaniu. Osadzono go w więzieniu na Pawiaku, skąd został przeniesiony do X Pawilonu Cytadeli warszawskiej. Spędził tam kilka miesięcy. Wypuszczono go bez wyroku, gdyż nie znaleziono wystarczających dowodów na przynależność Niewiadomskiego do Ligi Narodowej. I rzeczywiście – wkrótce z niej wystąpił. Jednak, jak już wiemy, po wyjściu na wolność stracił pracę w Szkole Politechnicznej.

Osławiony X Pawilon Cytadeli warszawskiej był miejscem przetrzymywania najgroźniejszych więźniów politycznych. Pozostałe pawilony zajmował od 1831 roku garnizon wojsk carskich. Tutaj nie trafiali przypadkowi ludzie. Jest znamienne, że zaledwie kilka miesięcy przed

Niewiadomskim w X Pawilonie przetrzymywano Józefa Piłsudskiego. Być może Eligiusz zdawał sobie z tego sprawę. Nie wiedział zapewne, że Komendant tak skutecznie symulował paranoję, że został odesłany do szpitala w Sankt Petersburgu. Zbiegł stamtąd dwa tygodnie przed osadzeniem Niewiadomskiego. Ten w każdym razie nie powtórzył tego samego manewru.

Aresztowanie i zamknięcie z pewnością przyczyniły się nie do „resocjalizacji", tylko do dalszej radykalizacji poglądów Niewiadomskiego. Więzienne doświadczenie pozwoliło mu osobiście odczuć, jaką cenę trzeba ponieść za swe działania. Doznane represje zapewne wzmocniły przekonanie Eligiusza o słuszności swojej misji. Może podświadomie zaczął hołdować zasadzie, że każdy powinien być gotowy do podobnych poświęceń. Czy zatem przeżyty epizod więzienny nie stanowił czynnika ułatwiającego podjęcie decyzji o pociągnięciu za spust 16 grudnia?

*

Trudności z precyzyjnym określeniem orientacji politycznej Niewiadomskiego wiążą się nie tylko ze skomplikowanymi związkami z endecją, ale również z jego poglądami na przyszłość polityczną Polski. Najpełniej sformułował je już w końcowych chwilach swego życia. Najpełniej – co nie znaczy, że jasno.

Eligiusz był zwolennikiem rządów silnej ręki, które miały zapewnić ład i porządek oraz zmuszać ludzi do wytężonej pracy. Opowiadał się zatem za jakąś – bliżej niesprecyzowaną – formą dyktatury. Biorąc pod uwagę jego antysemityzm, kult polskości oraz fakt, że wśród późniejszych zwolenników jego czynu z grudnia 1922 roku znaleźli się sympatycy włoskiego faszyzmu, prawdopodobnie podobałby mu się ustrój wzorujący się na powojennych rozwiązaniach włoskich. Czy także niemieckich?

Najprawdopodobniej dostrzegłby zagrożenie, jakie dla polskości niesie nazizm i nie pochwalałby polityki Hitlera.

Na pewno jednak opowiadał się za rządami autorytarnymi, które ograniczyłyby prywatę demokracji. „Nie chodzi wcale o to, aby Polską rządził chłop, robotnik czy socjalista” – przekonuje w *Kartkach z więzienia*. „Chodzi o to, aby nie rządziło nią chamstwo. [David] Lloyd George, [Alexandre] Millerand i inni wykazali jasno, że człowiek z ludu – i to przekonań bardzo radykalnych – może dobrze rządzić krajem. Ludzie ci zrozumieli jednak z chwilą, kiedy ich losy postawiły na czele narodu, że na tym stanowisku muszą stać na straży interesów narodu, a nie partii czy też pewnej warstwy ludności”. Co ciekawe, w tym wywodzie autor pisze o związanym z tradycjami socjalistycznymi Millerandzie, który był premierem Francji zaledwie przez kilka miesięcy w 1920 roku. Potem został prezydentem, który w ustroju III Republiki nie miał praktycznie żadnej władzy. Przykład nie został zatem dobrany zbyt fortunnie.

Niewiadomski zdążył jeszcze za życia usłyszeć o przewrocie Mussoliniego. Dowiedział się o nim w okresie, kiedy jego rozgorączkowanie i frustracje sięgnęły zenitu. Tym bardziej mógł więc pozostawać pod wrażeniem nieprawdopodobnego „marszu czarnych koszul”.

„Marsz czarnych koszul” czy też „marsz na Rzym” to barwne określenia zamachu stanu, jakiego w dniach 27–29 października 1922 roku – na kilka tygodni przed zamordowaniem Narutowicza – dokonał Benito Mussolini, przywódca włoskich faszystów. Na początku lat dwudziestych – w okresie głębokiego kryzysu gospodarczego i powojennego społecznego „kaca” – Mussolini zaczął urastać do roli męża opatrznościowego Włoch. Przyspieszył w tym czasie rozwój „czarnych koszul”: formacji milicyjnej, pełniącej funkcję bojówki partii

faszystowskiej. Kiedy dowiedział się, że na 4 listopada 1922 roku socjaliści przygotowują wielką demonstrację z okazji rocznicy zakończenia wojny, postanowił doprowadzić do konfrontacji. Dwudziestego szóstego października tysiące bojówkarzy zaczęły gromadzić się w Neapolu. Dzień później około 25 tysięcy ludzi ruszyło w kierunku Rzymu. Dwudziestego ósmego października, pod wielkim wrażeniem „marszu na Rzym", król Wiktor Emmanuel III, który za wszelką cenę chciał uniknąć wojny domowej, przekazał władzę Mussoliniemu. Kiedy 29 października przyszły dyktator otrzymał misję powołania rządu, oddziały „czarnych koszul" triumfalnie paradowały po ulicach Wiecznego Miasta.

Dla Eligiusza to była właśnie droga, którą powinna pójść Polska. Jak przekonuje Jan Skotnicki: „Niewiadomski był entuzjastą faszyzmu, jako idei radykalnej, prowadzącej walkę z komunistami, masonami i Żydami. Czuł się faszystą polskim i jako samozwańczy faszysta zdecydował się walczyć ze złem, uzurpując sobie prawo do tego, by strzelać nawet... w symbol domniemanego zła!". Czy spodziewał się, że zabijając Narutowicza, doprowadzi do przewrotu na wzór włoski? Być może. Na pewno udało mu się wywołać chaos, który – jak wiemy – mógł ewoluować w bardzo różnych kierunkach.

Wzorowanie się Niewiadomskiego na faszystach widać również w jednej z jego wypowiedzi (dość nieskładnej) krytykującej socjalistów: „najbardziej dla mnie godne uwagi było, że socjaliści najwięcej nienawidzą w przeciwnikach swoich to, co jest w nich najpiękniejszym, w tych przeciwnikach; w tych ludziach ubogich duchem, słabych, ułomnych, nienawidzą to, co jest często jedynym pięknym promieniem ich duszy, to jest uczucie narodowe i miłość Ojczyzny. Żywotność i triumf tego uczucia doprowadza partię socjalistyczną do obłędu. Przypominam wszystkim, jakim drgawkom ulegał »Kurier Poranny« i »Przegląd Wieczorny« po

przewrocie Mussoliniego. Idea narodowa jest najbardziej nienawistną wszystkim partiom socjalistycznym”.

Eligiusz na darmo czekał na polskiego Mussoliniego.

Jak jednak konkretnie, jego zdaniem, powinien wyglądać idealny ustrój odrodzonej Polski? Niewiadomski nie potrafił sformułować wyraźnej odpowiedzi na to ważne pytanie. Opowiadał się za zachowaniem dwuizbowego parlamentu, ale uważał, że muszą się w nim znaleźć „tylko najbardziej wyrobieni i dojrzali”. Nie wiadomo jednak, w jaki sposób miało do tego dojść. Był za utrzymaniem działania partii politycznych, jednak przy radykalnym ograniczeniu ich wynaturzeń: partyjniactwa i osobistych ambicji członków ugrupowań. Chciał ponadto wzmocnienia roli organizacji społecznych i samorządowych: gmin, związków zawodowych, kas chorych, kooperatyw itp. Nie proponował jednak wielu konkretnych kroków dla osiągnięcia tych celów. Był w stanie tworzyć głównie mgliste postulaty.

Do najbardziej palących potrzeb zaliczył jak najszybszą zmianę istniejącej ordynacji i uprawnień wyborczych, które były – jego zdaniem – „rękojmią trwałej anarchii”. Eligiusz uważał, że prawa wyborcze nie należą się wszystkim: „do udziału, a nawet rozstrzygnięcia o tym, kto i jak ma państwem rządzić, nie wolno dopuszczać ani tłumów najciemniejszych, ani dzieci, ani jawnych wrogów państwa. Horyzonty umysłowe pastucha, fornala, robotnika analfabety, służącej itd. nie dają (pominąwszy wyjątki) prawa do pracy obywatelskiej na tym terenie”. Bierne i czynne prawa wyborcze należałoby też zabrać mniejszościom narodowym. Prawa te miały stać się ekskluzywnym darem dla wybranych: „prawa wyborcze są klejnotem praw obywatelskich. Klejnot ten należeć ma jedynie do wiernych synów kraju, do jego gospodarzy i obrońców ofiarnych, świadomych swych obowiązków względem Ojczyzny”.

Jak jednak ich wyselekcjonować? Niewiadomski chciał podnieść pułap wieku biernego prawa wyborczego do 25 lat i wprowadzić cenzus wykształcenia (ukończenie siedmioklasowej szkoły powszechnej, a w niesprecyzowanym okresie przejściowym ukończenie czterech klas; ponadto dobra znajomość języka polskiego w mowie i piśmie). Czynnym prawem wyborczym miały się cieszyć osoby powyżej 30. roku życia, mające minimum wykształcenie średnie i dobrą znajomość polskiego. Autor zalecał poza tym rozszerzenie zakresu przewinień, które pozbawiałyby praw wyborczych (agitacje, oszustwa, malwersacje, udział w rozruchach itp.).

Co ciekawe, w swych postulatach autor skupia się tylko na parlamencie, który w jego wymarzonym ustroju „silnej ręki” miał przecież odgrywać drugorzędną rolę. Zaskakująco mało pisze o tym, kto i w jaki sposób miał stać się tą „silną ręką”. Dzieli się jedynie spostrzeżeniem, że na czele ministerstw powinni stać ludzie „fachowi, zdolni jako administratorzy i nieugięci jako charaktery”, najlepiej nienależący do żadnej z partii i dzięki temu niezależni. Brzmi to dość naiwnie. Przemilczenie to zadziwia szczególnie: przecież właśnie za niewykorzystanie szansy na wprowadzenie twardych rządów Niewiadomski chciał zamordować Piłsudskiego.

O ile program pozytywny politycznego projektu Eligiusza jest niejasny, o tyle program negatywny nie budzi wątpliwości: Niewiadomski był zajadłym wrogiem demokracji, nazywanej przez niego „demokratyzmem”. Demokracja to dla niego „geniusz oszustwa”, który „zabagnił kłamstwem” jej wyznawców, czyli przede wszystkim socjalistów. „Demokratyzm” i „religia sprawiedliwości społecznej” to wręcz „geszeft powszechny”, „największe oszustwo, jakie świat kiedykolwiek widział”.

Niewiadomski – podobnie zresztą jak Piłsudski! – bardzo krytycznie oceniał działalność polskiego Sejmu i Senatu po odzyskaniu niepodległości.

Nie miał litości dla kłótliwych posłów i rozbujałej sejmokracji. Przekonywał, że w Polsce rządzi „motłoch” i „włamywacze”, którzy „dorwali się do władzy”. „W zgiełku jarmarcznym ścierają się z sobą i przystosowują stronnictwa, partie, kliki, ambicje i interesy pojedynczych ludzi – zżymał się w swych *Kartach z więzienia*. – Ministrowie nie śmią zrobić kroku, słowa wyrzec, aby się nie narazić wpływowym partiom [...]. W powodzi gadulstwa i kompromisowego ucierania się topnieją siły ludzkie, toną czyny, tonie m o c t w ó r c z a! Każda idea, najbardziej tęga, jednolita i stanowczo zarysowana, wychodzi z tego młyna zniekształcona, bezbarwna, wykastrowana [...]. W tych warunkach można handlować drobiem, ale na siłę i wielkość nie ma tu miejsca”. Pod takim opisem mógłby podpisać się sam Komendant.

W rzeczywistości „demokratyzmu” naród nie może żyć, może tylko egzystować. Do prawdziwego życia trzeba mu wskazać „wielkie zadania dziejowe, wielkie cele jego wysiłków”. W demokracji nie jest to możliwe. Zatem w ustroju tym naród nie zyskuje możliwości rozwoju – przekonywał Eligiusz. Jednocześnie pełnemu rozpasaniu ulegały tworzące ten system partie, szczególnie lewicowe. Niewiadomski nie miał dla nich żadnego dobrego słowa: „to, co się dzieje wśród naszych partyj lewicowych, pozostawiło daleko za sobą marzenia najśmielszego karykaturzysty. Polskie partie lewicowe stały się jakimś zwierciadłem diabelskim wielu zwyrodnień z zakresu psychozy partyjnej”.

Życzliwiej, ale też krytycznie, autor *Kartek z więzienia* oceniał ugrupowania prawicowe, których słabością była „bierność, ostrożność, brak temperamentu i energii bojowej”. Cechowała je jednak „większa dojrzałość polityczna, większe poczucie odpowiedzialności (graniczące niekiedy z lękliwością), a przede wszystkim – jasna idea narodowa, przy której stoi olbrzymia większość narodu”.

Sympatie Eligiusza są jasne, ale potrafił on dostrzec słabości obozu, któremu sprzyjał. Łaskawsze oceny względem prawicy nie powstrzymywały go przed ogólnym i dobitnym stwierdzeniem, że „wzajemne współzawodnictwo partyj prowadzi je do kłamstwa i oszustwa – drogą naturalną. Im partia słabsza, tym silniejszych oszustw się chwyta, jako jedynej deski ratunku. W istocie – polityka w państwie demokratycznym, to jest wyposażonym w sejmy, wybory, głosowanie itd., jest w rękach przywódców partyjnych, którzy dostają się do Sejmu i do Rządu głosami wyborców. Tu jest źródło nieszczęścia”.

Dlaczego? Ponieważ „partie słabe, a bardzo chciwe władzy – duchowo zwyrodniałe, a zatem nie wierzące w szlachetność natury ludzkiej”, chcą po prostu te głosy kupić, oszukując i mamiąc obietnicami nieświadomych wyborców. Tak powstaje demagogia, oparta „na kłamstwie i oszustwie. Na obietnicach, które nie mogą być spełnione! [...] To właśnie nazwałem świństwem – licytowanie się w oszustwie!”. Drugim, równie „zbrodniczym” „świństwem” partii było oczernianie konkurentów za pomocą kłamstw oraz rozbudzanie nienawiści. I ten wywód Eligiusza – jak większość pozostałych – kończy się zabiegiem *reductio ad Iudaeos*: „zastanawia w tym wszystkim podobieństwo metod politycznych do sposobów stosowanych po prostu przez kupca szachraja w stosunku do klientów i konkurentów. W istocie wnieśli je do polityki »kupcy szachraje« – Żydzi. Wnieśli do tych partyj, które opanowali. A opanowali przede wszystkim partie socjalistyczne”.

Dlaczego więc socjaliści, osłabiani przez tak poważne wady, zdobywali mimo wszystko popularność? Przede wszystkim dzięki sojuszowi z „żydostwem”, a właściwie „uległości” wobec tej przemożnej grupy. Socjaliści sprawiali ponadto wrażenie aktywnych i radykalnych. Zdaniem Niewiadomskiego była to aktywność pozorna, nietwórcza. Swoją rolę

odgrywała także osoba Piłsudskiego, utożsamiana (do pewnego momentu) z lewicą.

Jeszcze więcej nienawiści Niewiadomski żywił do komunistów. Komunizm to po prostu „gnojówka żydowska, zatruwana najnikczemniejszą, jaka istnieje, bibułą". Tym bardziej żałował, że niektórzy Polacy z „duchowo jasnymi" i „prostymi aryjskimi duszami", dali się urzec komunistycznej propagandzie, utożsamionej z deprawującą działalnością „żydostwa".

O ile demokracja była największym na świecie oszustwem, o tyle ojczyzna stanowiła najświętszą świętość. Mityczna, teoretyczna „Ojczyzna", substytut raju, gdzie wszystkie plany, projekty, zamierzenia i poglądy Niewiadomskiego miały się zrealizować (a on sam znalazłby się na piedestale), była największą namiętnością Eligiusza. Nie znosił, jak inni – zwłaszcza przeciwnicy polityczni – używali tego słowa. To była wyłącznie jego „Ojczyzna".

– Dla każdego z nas Ojczyzna to jest najlepsza tradycja przeszłości, to jest dobro duchowe i materialne odziedziczone po przodkach i przekazywane jako świętość z pokolenia na pokolenie – mówił podczas procesu. – To jest własność dawnych i przyszłych pokoleń, wszystkich razem. A której my jesteśmy tylko chwilowymi dzierżawcami i strażnikami. To są nasze pojęcia. W naszym pojęciu miłości Ojczyzny mieści się przede wszystkim zespół obowiązków i ofiar, bo bez ofiar i bez poświęcenia nie ma Ojczyzny. Dla socjalistów sprawa przedstawia się inaczej: Ojczyzna – to my, my wszyscy. Jeżeli nam jest dobrze, to wszystko w porządku, to Ojczyzna jest szczęśliwa.

„Prawdziwa Ojczyzna" była dla wybranych; była bożkiem, któremu należało składać ofiary z ludzi. Tymczasem w ustach profanów słowo to stawało się bluźnierstwem.

– Takie zdanie wygłaszają nie najgorsi, wygłaszają najlepsi. Słyszałem na zebraniu publicznym, jak genialny pisarz, a naiwny polityk Sieroszewski [Wacław Sieroszewski, prozaik i socjalista – P.P.] wygłaszał to w obecności setek osób. Dla pospolitego ,,towarzysza" ta formuła jest jeszcze prostsza: Ojczyzna to jest tyle, o ile ma się z niej korzyść wyraźną, materialną, natychmiastową. Traktuje się ją jak interes, jak burżuja, fabrykanta, z którym się gada, jeśli dobrze płaci. Tym właśnie pojęciom dał wyraz poseł [Jędrzej] Moraczewski w pamiętnej mowie sejmowej w 1920 roku podczas najazdu bolszewickiego, kiedy twierdził, że lud polski nie pójdzie bronić Ojczyzny przeciw najazdowi, chyba że mu za to Ojczyzna drogo, bardzo drogo zapłaci. Lud polski w osobie „Piastów", w osobie Witosów, na te zniewagi, na te inwektywy niegodne nie znalazł odpowiedzi żadnej. „Piasty" i Witosy stały jak pod pręgierzem. O nich to mówi Wyspiański w *Wyzwoleniu*: „A tam jeszcze dymne palenisko / Kurzące, a już śmierć duchowa blisko...". O Piastach, o Witosach, o spekulantach politycznych, o chamstwie duchowym, o zatruwaniu duszy narodu.

Wypowiedź ta, niespójna i chaotyczna, dobrze oddaje stan ducha Niewiadomskiego tuż po zamordowaniu Narutowicza. Patrzył w tym momencie na świat przez filtr niemalże „artystycznej" impresji, przez strumień świadomości, wartki potok rozbieganych myśli.

Trudno zarazem zrozumieć, dlaczego Eligiusz już od dawna wyznawał poglądy antysemickie i ksenofobiczne. Zarówno jego ojciec, jak i on sam nieraz współpracowali przecież z osobami o korzeniach żydowskich, a pobyt w kosmopolitycznym Paryżu (czy nawet Sankt Petersburgu) nie pozwala szukać wyjaśnień tej postawy w jakiejś zaściankowości i braku doświadczeń z „obcymi". Wydaje się, że stosunek do mniejszości narodowych był zatem u Niewiadomskiego efektem przemyśleń ideowych, a nie osobistych doświadczeń. Krytykowane przez niego środowiska

piłsudczykowskie i żydowskie zlewały mu się w całość. To Żydzi byli odpowiedzialni za rozkład moralny socjalistów; to oni stanowili wrzód na zdrowym ciele narodu polskiego.

Jest niebywałe, że podczas swego procesu Niewiadomski – świadom, że wypowiada się publicznie po raz ostatni – zapędził się w kipiącą wściekłością filipikę potępiającą „żydostwo”. Jak bardzo musiała prześladować go ta mania, skoro poświęcił jej tak wiele ze swych ostatnich słów?

– Jad moralny i niemoc twórczą zaszczepiło socjalizmowi żydostwo – perorował. – Po okresie socjalizmu utopijnego rozpoczął się, mniej więcej pół wieku temu, inny okres, który socjaliści zwykli nazywać naukowym, a dla którego właściwym terminem jest: okres żydowski. I tak to nazwie kiedyś historia. Okres z Marksem, Kautskim i innymi, jako hersztami. Żydostwo w lot odczuło, czym może się stać socjalizm w ich rękach. Dało mu doktrynę, dało mu swoich świetnych teoretyków, dało kolporterów, agitatorów, poparcie materialne, prasę, reklamę, rozmach zewnętrzny. Ale nie dało darmo. W zamian wniosło do niego pewne pierwiastki własne, pierwiastki rasowe, które spowodowały zwyrodnienie wartości moralnej socjalizmu.

Mityczne „żydostwo”, zdaniem Niewiadomskiego, jak wirus zaatakowało socjalizm i zdegenerowało tę ideę.

– Żydzi wnieśli do socjalizmu ducha materializmu bezprzykładnego w dziejach świata, wnieśli hasła walki wyłącznie o dobra materialne. Odrzucili – jeżeli nie w teorii, to w praktyce – zasadę słusznego, to jest proporcjonalnego do wydajności pracy wynagrodzenia, jak gdyby świadomi tego, że nic tak nie deprawuje i nie demoralizuje, jak zysk nieprawy, zarobek nadmierny, łatwy do osiągnięcia. To jest jedno.

A drugie?

– Drugie co wnieśli, to jest ducha nienawiści, podstawową cechę całej propagandy, ducha walki i zemsty. Nienawiść, tarcia społeczne, przeciwieństwa interesów pracodawców i pracobiorców podnieśli do godności podstawowej zasady dziejów – walki klas.

W swych quasi-historiozoficznych wynurzeniach Niewiadomski posługiwał się modnymi wówczas teoriami rasistowskimi, nieprzechwyconymi jeszcze przez niemieckich nazistów.

– Walka klas okazała się genialnym środkiem do rozsadzania społeczeństw aryjskich i do odwracania ich uwagi od walki ras, od podboju żydostwa. Walka klas okazała się miechem do rozdmuchiwania tej iskierki zła, która znajdzie się w duszach nawet najlepszych ludzi. Ona to podyktowała socjalistom te metody. Zrobiła z nich specjalistów zwalczania. Zwalczanie stało się głównych ich zajęciem. Zwalcza się wszystko, co nie należy do sekty. Do tego wszystkiego odnoszą się z nienawiścią. Ale nienawiść zajadła jest zawsze nietwórcza, tak samo, jak każda twórczość musi być poczęta z miłości. Ta nienawiść jest przyczyną nietwórczości partyj socjalistycznych. Nietwórczość jest cechą na wskroś żydowską, udowodnioną przez dzieje. Dlatego żydzi [*sic*!] żyją jako społeczeństwo pasożytnicze na rasach aryjskich.

Jak jednak owo „żydostwo”, skoro było takie „nietwórcze”, mogło sterować światłymi „aryjczykami”? Trudno w wywodach Niewiadomskiego doszukiwać się logiki. Jeżeli można było u kogoś stwierdzić tę opisywaną „nienawiść”, to był nim na pewno sam Eligiusz. W figurę „żyda” bezwiednie wpisywał własne negatywne cechy.

– Zarazem lud ciemny w masie, łatwowierny, pobudliwy, mało trzeźwy – kontynuował – stanowi materiał wymarzony dla propagandy wywrotowej. Jednakże jeżeli lud nasz nie zamienił się dotąd w masę bandytów, to dlatego, że muszą być w duszy tego ludu jakieś cenne

pierwiastki, które go od tego bronią, które każą mu się opierać. Więc się opiera i nie tylko opiera, ale sam dochodzi do zrozumienia rzeczy wielkich i świętych.

„Do zrozumienia rzeczy wielkich i świętych” na pewno doszedł Niewiadomski. We własnym mniemaniu.

NARODZIE POLSKI!
Socjaliści kierowani przez
żydów za pieniądze Lenina,
Trockiego i Spartakusa
wiodą Polskę w przepaść
i czyhają na Twoją zgubę
Broń się i głosuj
tylko na listę
NARODOWĄ
№ 10

Propaganda skierowana w socjalistów i Żydów. Fot. Polona

Żydzi stali się – obok socjalistów i Piłsudskiego – głównymi bohaterami negatywnymi politycznego testamentu Eligiusza: pisanych już po morderstwie rozważań *Kartki z więzienia*. Zdaniem wydawcy z 2012 roku „testament ten pokazuje, jak bardzo jego twórca był osobą wrażliwą". Na pewno wrażliwą, a raczej drażliwą, na punkcie „żydostwa". „Rozwój umysłowy i życiowy ludu polskiego, jego samodzielność społeczna – są przeciwne interesom żydostwa, które od pół wieku objęło kierunek ruchu socjalistycznego w świecie" – przekonywał raz jeszcze autor, wypowiadając się w tym samym stylu, co na procesie.

Jest przy tym bardzo charakterystyczne, że uznał swoją długą antysemicką filipikę, wygłoszoną na rozprawie, za niewystarczającą. W *Kartkach* nie tylko przytoczył ją *in extenso*, lecz także rozwinął. Kontynuując wątek światowej ofensywy „żydostwa", podkreślał, że nie ominęła ona w swym triumfalnym pochodzie również Polski. Co więcej, „na gruncie polskim wszystkie te cechy urastają do rozmiarów potwornych dlatego, że ciśnienie intelektualne i materialne żydostwa jest silniejsze niż kiedykolwiek i gdziekolwiek bądź".

W wynurzeniach Eligiusza widać jakąś niezdrową fascynację stworzonym przez siebie konceptem semickiego zła absolutnego: „bezwzględny, cyniczny materializm – duch nienawiści i geniusz oszustwa – zabarwiają cały stosunek żydostwa do świata aryjskiego. W żydostwie jest jakaś niepojęta siła, zdolność po prostu automatyczna [do] rozkładania wartości moralnych innych ras. Ta siła jest tym bardziej złowroga i groźna, że dla samych Żydów, dla ich idealizmu wewnętrznego, zupełnie nieszkodliwa. Jest zabójcza tylko dla społeczeństw obcych, nawet tak odpornych, jak np. niemieckie. A wyjątkowo zabójcza dla nas [...]. Podnoszenie żydostwa na poziom wyższej kultury nie tylko [...] nie osłabia

tej siły, ale przeciwnie – potęguje ją. Inteligent żydowski jest stokroć groźniejszym czynnikiem rozkładu, aniżeli chałaciarz talmudysta”. Czy aby autor nie zazdrości swym wrogom tej wyimaginowanej skuteczności?

Jak zatem „aryjscy” Polacy mieli się bronić przed „zabójczą siłą” ludności semickiej? Dalsze słowa Niewiadomskiego – w kontekście późniejszych pomysłów nazistów i Hitlera, o którego istnieniu autor nie miał zapewne najmniejszego pojęcia – jeżą włos na głowie i brzmią niezwykle ponuro. Otóż „polska racja stanu domaga się [...] maksimum wyodrębnienia obu społeczeństw. Spowoduje to odosobnienie żydowskiego nowotwora w naszym organizmie społecznym – a za odosobnieniem organicznym pójdzie zarazem wydzielenie terytorialne, tj. rozwiązanie ostateczne i jedyne, do jakiego musi zmierzać żywioł polski a w s z e l k ą c e n ę. Od dżumy moralnej żydostwa naród musi się odgrodzić murem chińskim”. Hasło „ostateczne rozwiązanie” brzmi szczególnie złowrogo, ale podkreślmy wyraźnie, że nikt w tamtych czasach nie zdawał sobie sprawy, jakiego charakteru nabierze to określenie później, w czasie II wojny światowej.

Eligiusz miał swój oryginalny pomysł na to, jak przeprowadzić to „rozwiązanie” i „oddzielenie”: chciał mianowicie zapewnić Żydom... autonomię narodową. Brzmi to dość dziwnie i kojarzy się dzisiaj z czymś pozytywnym. Autor oferował jednak inną, choć mało sprecyzowaną wizję tej autonomii: miała ona zastąpić zasadę równouprawnienia. Co prawda zamierzał zapewnić Żydom możliwość decydowania o sobie, utworzenie własnych sądów, szkolnictwa, skarbowości i administracji, ale kosztem wysokich podatków, izolacji z ogółu społeczeństwa i gospodarki narodowej oraz faktycznej utraty praw obywatelskich.

Antysemityzm Niewiadomskiego w pełni ujawnił się już po 1918 roku, jednak poglądy te na pewno ukształtowały się o wiele wcześniej, przed

1914 rokiem, chociażby poprzez lekturę licznych wydawnictw endeckich, gdzie wątek ten – choć nie pierwszorzędny – pojawiał się regularnie.

*

Sygnalizowałem już, że poglądy polityczne Niewiadomskiego w czasie wojny nie były do końca jasne, a dawny przemytnik prasy endeckiej i zwolennik radykalnych działań obrał zaskakująco bierną postawę. W tym okresie Eligiusz otrzymał ofertę współpracy z Władysławem Studnickim – oryginalnym myślicielem i politykiem, który zaczynając jako socjalista, na początku XX wieku przemienił się w nacjonalistę. Z piłsudczykami łączyła go idea oparcia się o państwa centralne w procesie odzyskiwania niepodległości. Nie związał się jednak z Piłsudskim, szybko zraził się też do endecji, zbyt blisko na jego gust układającej się z Rosją. Współpracował za to z niemieckim generał-gubernatorem Hansem von Beselerem i prawdopodobnie miał wpływ na powstanie wspominanego już Aktu 5 listopada.

Była to postać oryginalna, trudna do zaszufladkowania, o wyrazistych poglądach narodowych. Podobnie jak Niewiadomski. Mimo to – a może właśnie dlatego – Eligiusz odmówił współpracy ze środowiskiem Studnickiego, działającym w ramach niewielkiej organizacji o nazwie Związek Państwowców Polskich. Być może uznał, że Studnicki zbyt blisko współpracuje z Niemcami. Dopiero w ostatnich miesiącach wojny zbliżył się nieco ku tej orientacji, przyjmując posadę w rządzie Rady Regencyjnej. Jak wiemy, w tych czasach Rada była już jednak w dużej mierze tworem niezależnym.

Być może stosunek do opcji proaustriackiej i prorosyjskiej przyczynił się do ewolucji poglądów Niewiadomskiego na temat Józefa Piłsudskiego. Do różnic ideowych, widocznych przed wojną (aczkolwiek i Piłsudski,

i Niewiadomski opowiadali się przecież za czynnymi działaniami wobec zaborców), a związanych z podziałem na socjalistów i narodowców, doszła teraz różnica w konkretnej koncepcji dążenia do niepodległości. Należy jednak wyraźnie zaznaczyć, że w tym czasie Eligiusz bardzo jeszcze szanował Komendanta. Co prawda z początku uznawał, że sformowanie legionów przez Piłsudskiego było błędem taktycznym, ale w miarę rozwoju wydarzeń wojennych zmienił zdanie. Docenił ich wagę i znaczenie.

Jak później przekonywał, w kolejnych latach wojny „moje uznanie dla Piłsudskiego jeszcze wzrosło. Przypominam listy trzech wariatek, drukowane w »Gońcu« ówczesnym, denuncjacje na Piłsudskiego, żądające jego aresztowania. Zerwałem wtedy stosunki z dwoma ludźmi, którzy jeszcze w tej redakcji pracowali, z Maliszewskim i Grużewskim, a żona moja zelżyła na ulicy jedną z tych pań". Małżeństwo Niewiadomskich gwałtownie broniło czci twórcy legionów. Dwa lata później Eligiusz zdecydowanie zmienił zapatrywania. Maria de Tilly Niewiadomska wcale nie musiała pójść jego śladem.

Aresztowanie Piłsudskiego po wzmiankowanym „kryzysie przysięgowym" i osadzenie go w Magdeburgu Niewiadomski pojmował jako kolejny element budowy legendy marszałka. W tym czasie postrzeganie to miało zresztą pozytywny wymiar. Dla Niewiadomskiego było ono „piękne" w tym znaczeniu, że dowodziło poświęcenia Piłsudskiego dla sprawy polskiej i miało jakiś romantyczny rys. Po raz kolejny można się przekonać, że ideologiczne *credo* mordercy Narutowicza ukształtowało się w pełni dopiero po 1918 roku – przynajmniej w stosunku do Komendanta.

Tymczasem Niewiadomski bardzo negatywnie przyjął rewolucję bolszewicką z jesieni 1917 roku i jej późniejsze postępy. Przekonywał, że stanowiła ostateczną kompromitację idei socjalistycznych. Być może wtedy

wyrzekł się ich resztek. Władzę komunistów nazywał „tyrańską krwawą kanaliokracją [*sic*!] pana Lenina *et consortes*”. Retorycznie pytał: „gdzie jest to szczęście ludu, podnoszenie go do poziomu? Gdzie są ich szkoły, szpitale, teatry, spokój ludu, sztuka ludu i moralność ludu? Tego tam nie ma. Jest za to duszą wszystkiego wszędzie obecne oszustwo”. Trzeba przyznać, że jego ostra ocena nie była pozbawiona racji.

Powrót Piłsudskiego z Niemiec był zapewne ostatnim momentem, w którym Niewiadomski pozytywnie ocenił postać późniejszego marszałka. Potrafił dostrzec atuty triumfującego Komendanta. Nawet tuż przed śmiercią w *Kartkach z więzienia* przyznawał: „po powrocie z Magdeburga Piłsudskiemu sprzyjało nadzwyczajne szczęście. Wszystko szło mu samo w ręce. Trzej regenci, ludzie niedołężni i małoduszni, pośpieszyli mu oddać w ręce swoją, nawiasem mówiąc, nielegalną władzę. Ogół widział w nim ofiarę patriotyzmu i twórcę siły zbrojnej polskiej. Legioniści poszliby za nim w piekło, peowiacy także. Jego własna partia widziała w nim wodza, miała do niego zaufanie bezwzględne. Nawet niechętni przyjęli go z pewną rezerwą, życzliwie, z wyczekiwaniem”. Czy miał na myśli samego siebie?

Przyszły morderca Narutowicza dał się unieść ogólnonarodowej euforii, jaka zapanowała w listopadzie 1918 roku. Jak wspominał: „największym atutem był nastrój ówczesny. Nastrój narodu był w pierwszych dniach po wyrzuceniu okupantów wspaniały. Trzeba było słuchać, co mówią na targach, na ulicach, po sklepach. Nie przemawiałem, ale chodziłem i słuchałem. Ludzie, lud lepiej może, aniżeli inteligencja, odczuwał intuicyjnie, że dzieje się coś wielkiego. Czekali, czekali hasła, czekali komendy męskiej i wielkiej, która by jednoczyła naród i poprowadziła go do bohaterskich wysiłków”.

Niewiadomski musiał przeżywać chwile uniesienia. Niepodległość Polski, na którą czekał przez całe dotychczasowe życie, nagle się

urzeczywistniła. Euforii towarzyszyło podświadome przekonanie, że odrodzona Polska musi być krajem idealnym, potężnym, zdolnym eksplodować uwięzioną w czasie zaborów energią narodową. Rozentuzjazmowany Eligiusz spodziewał się świetlanej przyszłości, szklanych domów i erupcji polskości. A także wspaniałego, mężnego wodza, dzielnie trzymającego stery rodzącego się państwa i prowadzącego je do koniecznej wielkości.

Tymczasem proza życia szybko dała znać o sobie. Raju na ziemi być nie mogło. Stopniowo Niewiadomski winę za ten stan rzeczy zaczął zrzucać na polityków – przede wszystkim socjalistów i samego Piłsudskiego, który – jego zdaniem – nie dorósł do roli, jaką historia pozwoliła mu zagrać. Nie mogąc zrozumieć, że Polska jest zwykłym, przeciętnym krajem postawionym nagle przed niezwykłymi, trudnymi wyzwaniami i problemami; że naród polski ma tyle samo wad i zalet, co każdy inny, całe swoje rozczarowanie przeniósł na władze – jak gdyby inne mogły osiągnąć więcej.

– Piłsudski mógł wtedy zdobyć bez żadnego oporu serca całej Polski – przekonywał Eligiusz, nie bez pewnej dozy słuszności, w czasie procesu. – Można zdobywać serca narodu niekoniecznie z pomocą łakoci i obietnic. Legioniści czcili Piłsudskiego nie za wygody i nagrody, ale za rany, za nędzę życia żołnierskiego; za krew, jaką przelewali dla idei wyższej, a która się u nich zamykała w jednym słowie: Polska. Myślę, że tą drogą zdobywa się serca ludzi, a ta droga była otwarta. Piłsudski miał w ręku los całej Polski. Był jej moralnym dyktatorem. Mógł i powinien był żądać ofiar. Ofiary pracy. Nasz kraj był ogłodzony i tylko praca mogła go wyżywić. Powinien był żądać ofiary krwi, bo dookoła nas była gromada wściekłych wilków. Powinien był żądać ofiary interesów partyjnych, bo tutaj szła gra o najwyższe stawki, o losy nie partii, ale narodu.

Zatem, zdaniem Niewiadomskiego, tylko bezwzględny dyktator mógł wznieść Polskę na wyżyny. Eligiusz nie zauważył, że przecież Piłsudski zażądał ofiary krwi w walce z wrogimi wojskami na wszystkich frontach. Ofiary, którą złożyły dziesiątki tysięcy żołnierzy i cywilów.

– Piłsudski nie dorósł do roli, jaką mu dzieje przeznaczyły – przekonywał tymczasem na rozprawie. – Zmarnował tę jedyną, bezpowrotną w życiu narodu chwilę. Zarazem zmarnował własną wielkość, własną nieśmiertelność. Zamiast tej komendy, której naród czekał, zamiast programu pracy i gotowości bojowej, dyscypliny i rządu silnego, który by w państwie wstrzymał anarchię, spadły na naród dwa fakty: powołanie Kesslera w charakterze posła niemieckiego i „rząd ludowy".

Takiej komendy oczekiwał pewnie sam Niewiadomski. Przeżył olbrzymi zawód. Piłsudski stał się uosobieniem jego strzaskanych marzeń.

*

Jak pamiętamy, 14 listopada 1918 roku Rada Regencyjna rozwiązała się, przekazując Komendantowi pełnię władzy. Kolejne tygodnie – aż do wyborów do Sejmu Ustawodawczego z 1919 roku – były okresem niezwykle silnych napięć wewnętrznych. Piłsudski musiał uporać się z radykalnym skrzydłem PPS, które dążyło do przewrotu socjalnego i całkowitego przejęcia władzy. Z drugiej strony środowiska narodowe były przerażone perspektywą bolszewizacji Polski i gwałtownie atakowały marszałka, utożsamianego z lewicą, dążąc do budowy Polski narodowej. Czynnikiem zaogniającym sytuację wewnętrzną była wojenna atmosfera, rozpalająca umysły polityków i zwykłych ludzi.

Tymczasem Piłsudski konsolidował swoją władzę – ale nie tak, jak tego sobie życzył Niewiadomski. Wzburzenie środowisk narodowych – i nie tylko – wywołała zatwierdzona przez Piłsudskiego akredytacja pierwszego

zachodniego dyplomaty w Polsce. Został nim wspomniany przez oburzonego Eligiusza Harry Kessler, który uwolnił Komendanta z twierdzy w Magdeburgu. Wielu odczytywało w tej nominacji przejaw uzależnienia Piłsudskiego od Niemiec i jego niejasnych powiązań z Berlinem.

Już 17 listopada Piłsudski powołał lewicowy rząd – ów wspomniany przez Niewiadomskiego „rząd ludowy" – kierowany przez działacza galicyjskiej mutacji PPS Jędrzeja Moraczewskiego. Piłsudski liczył, że premier, dawny podwładny Komendanta z I Brygady legionów, będzie posłusznie wykonywał jego polecenia. Okazało się to trudniejsze niż przypuszczał. Niemniej początki były obiecujące: 22 listopada rząd wydał dekret o tymczasowej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej, na mocy którego powołano do istnienia urząd Tymczasowego Naczelnika Państwa. Objął go oczywiście Piłsudski. Nazwa ta nawiązywała do tradycji Tadeusza Kościuszki, uwielbianego przez Komendanta. Naczelnik miał sprawować najwyższą władzę w kraju do momentu wyboru Sejmu Ustawodawczego.

Z pewnym uproszczeniem gabinet Moraczewskiego można by nazwać złagodzoną wersją „czerwonego" rządu lubelskiego Ignacego Daszyńskiego. Od razu wprowadził zresztą szereg socjalistycznych reform: powszechne prawo wyborcze, obejmujące również kobiety (co było w tych czasach niezwykle nowoczesne), ośmiogodzinny dzień pracy, gwarancję legalności związków zawodowych, prawo do strajku, a także instytucję inspekcji pracy oraz ubezpieczenia chorobowe. Taka polityka nie mogła podobać się działającej w kraju endecji, która sabotowała działania rządu. Sympatycy narodowców unikali np. płacenia podatków, poważnie podkopując sytuację finansową kraju. W Warszawie zaczęły krążyć plotki o prawicowym zamachu stanu. Po 123 latach zaborów trudno było o obywatelską dyscyplinę i poczucie obowiązku wobec władzy.

Zatem zaledwie w kilka dni po powrocie Piłsudskiego sytuacja polityczna w Polsce uległa wyraźnej polaryzacji. Prawicę opanowały żywioły narodowe, spychając na drugi plan bardziej umiarkowane prądy konserwatywne i chadeckie. Lewicę zdominowały triumfująca PPS i lewe skrzydło Polskiego Stronnictwa Ludowego. Skrajni radykałowie, sympatyzujący z komunistami, odgrywali niewielką rolę. Stosunkowo słabe pozostawało centrum, reprezentowane głównie przez umiarkowane skrzydło ludowców, otoczone niewielkimi partyjkami inteligenckimi. Najwięksi rywale – narodowa demokracja i socjaliści – byli przekonani, że to oni reprezentują większość Polaków. Piłsudski, który chyba nie przewidział, że już w momencie odzyskania niepodległości wybuchną zaciekłe, czasem żenujące spory między politykami, szybko przekonał się co do konieczności wyznaczenia jak najszybszego terminu wyborów.

Powołanie Kesslera i „rządu ludowego” rzeczywiście wstrząsnęło Niewiadomskim, a może dało mu pretekst do otwartego znienawidzenia Piłsudskiego. Jak sam przekonywał, wtedy już zaczęła w nim kiełkować idea zabicia marszałka. Boleśnie (i irracjonalnie) zawiedziony Naczelnikiem Eligiusz zareagował wściekłością, która stanowiła odbicie jego rozczarowania rzeczywistością odrodzonej Polski, a pewnie też osobistych frustracji urzędnika i marginalizowanego outsidera. Nie może dziwić, że na swym procesie bardzo krytycznie ocenił rządy ekipy Jędrzeja Moraczewskiego:

– Istnieje jaskrawe hasło, wywieszane dla ciemnych tłumów, hasło, które jest osią wszystkich dążeń stronnictw socjalistycznych: dyktatura proletariatu; hasło, w którym także widzę owoc umysłowego i moralnego zwyrodnienia. W dzisiejszych czasach dyktatura jakiejkolwiek klasy jest nie do pomyślenia. Ale jeżeli można z pewną dozą słuszności mówić o dyktaturze klasy najoświeceńszej, wyrobionej politycznie, to dyktatura

najciemniejszych mas jest hasłem zbrodniczym i oszukańczym [...]. Rosja zrealizowała te hasła i wykazała ich praktyczną wartość. Rząd ludowy Moraczewskiego nie miał ani odwagi, ani siły, żeby otwarcie pod tym sztandarem stanąć. Wybrał drogę pośrednią. Nazwał się skromnie rządem ludowym. Jednakże każdy zrozumiał, że nazwa była tu tylko listkiem figowym innych zamiarów, dyktatury właściwej. Pierwszą rzeczą, którą stworzył rząd ludowy, była milicja ludowa, środek zabezpieczenia. Milicja ludowa była pierwszym aktem antypaństwowym i pierwszą zdradą stanu.

Niewiadomski, opisując działania rządu Moraczewskiego, dawał upust swym frustracjom oraz myśleniu spiskowemu.

– Wszyscy pamiętamy te czasy. Pamiętamy wrażenia, jakie odnosiliśmy. – Niewiadomski projektował swoją postawę na innych. – Pamiętamy, że ta milicja tworzyła kadry kryminalistów, których poznawano na ulicy po zbrodniczym typie. Połowa z nich znalazła się wkrótce pod kluczem, reszta lepsza została wzięta do późniejszej policji państwowej. Na tym kończy się działalność rządu ludowego w sensie pozytywnym. Wykazał on tu uderzającą niemoc siły twórczej. Natomiast w sensie negacji, w sensie dezorganizacji pracy i deprawacji dusz dokonał rzeczy istotnie zdumiewających.

Według Eligiusza rząd ten doprowadził do degrengolady, anarchii i przez to zaprzepaścił szansę budowania Polski idealnej. Ludzką niedoskonałość, która tłumaczyła taką, a nie inną ewolucję sytuacji w Polsce, zastępował oskarżeniami o nieudolność władz, którymi manipulowało kosmopolityczne „żydostwo”. Ideologiczne kalki stawały się wygodnym kluczem do interpretacji trudnej, niezrozumiałej rzeczywistości; iluzją kompasu chroniącego przed zagubieniem.

– Po dorwaniu się do władzy pełnomocnicy Piłsudskiego zrozumieli, że otwiera się przed nimi niebywała okazja propagandy. Zaczęły się

manifestacje, wiece, strajki, lawina strajków! Byle banda łobuzów zatrzymywała życie stolicy i całego kraju. Zatrzymywała tramwaje, gazownie, elektrownie itd. Majestat władzy, majestat Rzeczypospolitej leżał w błocie ulicznym. Rząd widział to, mówił, że nie ma siły. Siłę miał, tylko jej nie używał. Koroną wszystkiego był strajk służby szpitalnej. Bojowcy rozpędzali tych, co chcieli pracować, chorzy tonęli we własnym kale, a panowie Piłsudski i Wojciechowski nie umieli znaleźć środków dla wstrzymania tej zgrozy.

Niewiadomski nie przebierał w słowach. Choć krytykował socjalistyczne milicje, marzyły mu się rządy silnej ręki – ale „właściwej” silnej ręki – zapewniające ład i porządek, choćby przemocą.

– W przeciągu kilku tygodni dyscyplina społeczna, to jest oś podstawowa pracy w każdym warsztacie, w każdej szkole, w każdym społeczeństwie, była złamana – wyrokował. – Zaczął się pochód jawnej anarchii. Widział to każdy stróż, każdy posłaniec – nie widział Piłsudski. Więcej nie było nic do zrobienia. Skarb był pusty, a tysiące „towarzyszów” umieszczonych na ważnych stanowiskach państwowych.

Największą „zbrodnią”, którą miał popełnić rząd Moraczewskiego, było opowiedzenie się za pomysłem demokratycznego Sejmu z bardzo nowoczesnym, pięcioprzymiotnikowym prawem wyborczym:

– Rząd ludowy zrezygnował i ustąpił. Ale zanim ustąpił, złożył jeszcze kukułcze jajo pod postacią ustawy pierwszego Sejmu, które zapewniło krajowi trwałą anarchię. Chwilę, kiedy naród polski potrzebował pracy i skupienia, kiedy potrzebował komendy krótkiej i słuchanej bezwzględnie, rządu silnego; kiedy osaczony dookoła przez wściekłe psy powinien był zamienić się w jedną wolę i jeden miecz – tę chwilę Naczelnik Państwa uznał za odpowiednią, żeby rzucić naród w odmęty polityki, rozpętać nienawiść i walkę partyjną. Zdecydował, że ma być Sejm, Sejm

demokratyczny, opierający się na pięcioprzymiotnikowym głosowaniu. Zamiast jednej głowy miało ich rządzić czterysta, a jakich głów – to te pięcioprzymiotnikowe wybory wykazały. Najzawilsze zagadnienia państwowe, losy Polski oddane były w ręce fornali i pastuchów bydła.

Spożycie owego „kukułczego jaja” Moraczewski pozostawił już swym następcom. W obliczu sabotowania działań rządu przez dużą część społeczeństwa zaledwie po kilku tygodniach stało się oczywiste, że dni tej ekipy są policzone. Tymczasem w tej pełnej napięcia atmosferze na scenę wkroczył Ignacy Paderewski, który przypłynął do Gdańska w Boże Narodzenie 1918 roku. Stamtąd udał się do Poznania, gdzie wciąż stacjonował niemiecki garnizon. Jak wiemy, entuzjastyczne przyjęcie słynnego Polaka wywołało wybuch powstania na Wielkopolsce.

Gdy 1 stycznia 1919 roku pianista i dyplomata przybył do Warszawy, został przyjęty równie ciepło. W ciągu kilku dni urósł do roli jednego z najważniejszych ludzi w państwie. Wpadł w samo centrum wydarzeń: jeszcze w dniu przyjazdu, wieczorem, odwiedziło go paru starych przyjaciół, którzy poinformowali go, że ludzie księcia Eustachego Sapiehy i pułkownika Mariana Januszajtisa przygotowali zamach stanu przeciw Piłsudskiemu i Moraczewskiemu. Spiskowcy, wywodzący się ze środowisk konserwatywnych, nie mieli bezpośrednich związków z endecją. Niemniej przewidziano, że po zamachu wiele wysokich stanowisk przypadnie zwolennikom Dmowskiego. Co ciekawe, o tym kompromitującym – jak się okazało – wydarzeniu Niewiadomski nigdzie nie wspomina ani słowem.

Paderewski odmówił przystąpienia do spisku, a trzy dni później spotkał się z Piłsudskim. Pianista, wiedząc o zamachu, nie potrafił ukryć zdenerwowania. Nie zdradził jednak swych przyjaciół. Tuż po spotkaniu czym prędzej wyjechał do Krakowa, nie chcąc uczestniczyć w planowanej na tę noc akcji. Wybrał dobrze, gdyż okazała się ona zupełną farsą. Dwaj

spiskowcy zostali natychmiast złapani, gdy tylko podjechali pod Belweder. Innej grupie udało się zatrzymać i zamknąć w garażu kilku ministrów. W tym momencie paru młodszych oficerów zapukało do jednego z pokoi w hotelu Bristol, w którym mieszkał szef sztabu Wojska Polskiego generał Stanisław Szeptycki, z zamiarem zatrzymania go. Szeptycki, ubrany w piżamę, otworzył drzwi. Widząc oficerów, błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Wyprężył się, kazał stanąć podwładnym na baczność i odmaszerować do aresztu. Tak skończył się przewrót. Piłsudski, bardziej rozbawiony niż zdenerwowany, zbagatelizował to niepoważne przedsięwzięcie, a niedługo potem nawet mianował księcia Sapiehę ambasadorem w Wielkiej Brytanii.

Dzień po „zamachu” Piłsudski wezwał Paderewskiego na rozmowę. Najpewniej rozumiał, że pianista był świadomy planów przewrotu, ale nie dał nic po sobie poznać. W zamian zaoferował mu posadę premiera. Po kilkudniowych negocjacjach i kompletowaniu gabinetu 16 stycznia 1919 roku Paderewski został drugim premierem Rzeczypospolitej. Decyzja Naczelnika świadczyła o jego dojrzałości: była ukłonem w stronę środowisk narodowych, które nie mogły już dalej paraliżować kraju. Paderewski był przy tym osobą rozpoznawalną na świecie i miał wpływowych przyjaciół. Co więcej, skompletował on swój gabinet kompromisowo, mianując przede wszystkim bezpartyjnych fachowców, a nawet kilku socjalistów. Sytuacja przed wyborami, ustalonymi na 26 stycznia, została oczyszczona.

Należy pamiętać o skomplikowanym kontekście, w jakim odbyły się te pierwsze w historii Polski demokratyczne wybory do Sejmu, tak ostro skrytykowane przez Niewiadomskiego. Polska wolność rodziła się w wyjątkowych bólach, a kraj nie miał nawet sprecyzowanych granic. Dominowały niepewność i niepokój. W młodym państwie obowiązywały

cztery porządki prawne (w tym Kodeks Napoleona!), szalała inflacja i deficyt budżetowy. Gospodarka była w ruinie, tylko 15 procent robotników miało pracę. Zdewastowana i niekompatybilna sieć kolejowa trzech zaborów nie zapewniała podstawowej komunikacji. Ponad połowa ziemi rolnej leżała odłogiem, a czteroletnie przemarsze różnych armii zniszczyły lasy i radykalnie zmniejszyły pogłowie bydła. W największym kryzysie znalazło się jednak samo społeczeństwo. Już w 1915 roku w głąb Rosji uciekło przed Niemcami prawie 700 tysięcy ludzi i w 1918 roku wciąż jeszcze nie powróciło, wciągnięte przez wiry rewolucji. Pół miliona Polaków zginęło, służąc w austriackich, niemieckich lub rosyjskich mundurach. Przez kraj przetoczyła się pandemia śmiertelnej grypy hiszpanki, wybuchały epidemie tyfusu, w niektórych regionach brakowało jedzenia.

Problemom społecznym towarzyszyły trudności etniczne i narodowe. Ziemie, które ostatecznie miały się znaleźć w granicach II Rzeczypospolitej, zamieszkiwało około 27 milionów ludzi. Co najmniej 8,5 miliona – czyli prawie jedną trzecią ogółu – stanowiły mniejszości narodowe, z których największą grupą byli Ukraińcy (około 14 procent), następnie Żydzi (około 8 procent), Białorusini (około 4 procent) oraz Niemcy (około 3,5 procent). Nie trzeba podkreślać, jak wielkim źródłem problemów była taka narodowa mozaika. Można wręcz stwierdzić, że w tym kontekście Rzeczpospolita okazała się zadziwiająco spokojnym państwem (mimo oczywistych i godnych potępienia przypadków dyskryminacji).

Struktura narodowościowa pozostawała zresztą bardzo płynna. Być może nawet 7–8 milionów Polaków (bądź osób pochodzenia polskiego) mieszkało poza granicami kraju: około 3,5 miliona w USA, około 1,5

miliona w Związku Sowieckim, 1,3 miliona w Niemczech, 400 tysięcy we Francji i nieco mniej w Ameryce Południowej.

Trzy czwarte ludności Rzeczypospolitej żyło na wsi, a dwie trzecie utrzymywało się z rolnictwa. Prowincja była przeludniona, a wysoki wskaźnik urodzin powodował postępujący podział ziemi. Plagą stały się karłowate gospodarstwa, z których nie dało się wyżywić rodziny. Rolnictwo zmagało się ponadto z kiepską wydajnością. Taka sytuacja musiała wywoływać nieustanne niezadowolenie. Wbrew pozorom rolnicy nie ulegali jednak zbytnio wpływom socjalistycznym czy komunistycznym: z natury byli konserwatywni, a ich celem była prywatna własność, a nie wspólnota dóbr.

Połowa robotników, którzy stanowili około 25 procent społeczeństwa, pracowała na terenach wiejskich. Wątłą klasę średnią można szacować na niewiele ponad 10 procent. Wobec takiego rozkładu społecznego brakowało wielkich miast: można do nich zaliczyć jedynie Warszawę (niecały milion mieszkańców), przemysłową Łódź (około 450 tysięcy) i wyraźnie mniejszy Lwów (około 280 tysięcy). Pozostałe – Kraków, Poznań, Wilno – nie przekraczały 200 tysięcy obywateli. Między poszczególnymi zaborami istniały ogromne dysproporcje w rozwoju społecznym, gospodarczym czy nawet cywilizacyjnym. Polakom z rożnych regionów, przez tak długi czas pozbawionym szerszego kontaktu, trudno się było dogadać. Na nieufność nakładały się podziały polityczne, które zdążyły się utrwalić jeszcze przed I wojną światową.

Po odzyskaniu niepodległości zerwaniu uległy kilkudziesięcioletnie więzi ekonomiczne z dużymi rynkami państw zaborczych, zwłaszcza niemieckimi i rosyjskimi. Z powodu wieloletniej niewoli i upadku szkolnictwa brakowało fachowców każdego rodzaju: od administratorów po techników. Zamieszanie monetarne – po kraju krążyły ruble, marki,

korony – z trudnością próbowała opanować wciąż dewaluowana marka polska. W momencie wyborów egzystowały najróżniejsze okręgi autonomiczne i tymczasowe podziały terytorialne: funkcjonował niezależny Tymczasowy Rząd Krajowy na Śląsku Cieszyńskim, Generalna Delegatura Rządu w Krakowskiem, Tymczasowy Komitet Rządzący we Lwowie, Komisariat Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu... Fakt zorganizowania i pomyślnego przeprowadzenia wyborów należy uznać wręcz za cud.

Według planów Sejm miał się składać z 526 posłów. Jednak w wyniku prowadzonych wojen i nieustalonych granic kraju ostatecznie na otwarciu pierwszej sesji 10 lutego 1919 roku zasiadło tylko 340 posłów. Reszta dochodziła sukcesywnie, w miarę przeprowadzanych aż do marca 1922 roku wyborów uzupełniających. Prawo wyborcze, ustalone przez Moraczewskiego – i tak krytykowane przez Niewiadomskiego – należało do jednych z najnowocześniejszych na świecie. Mimo wszystkich problemów nastrój wyborów był podniosły. Formacje polityczne wystawiły ponad 20 list wyborczych. Jednocześnie liczne grupy: większość ludności niemieckiej, spora część Żydów i Ukraińców, a także komuniści postanowili zbojkotować głosowanie.

W potyczce przy urnach wyraźne, choć nie zdecydowane zwycięstwo odniosły ugrupowania konserwatywno-prawicowe, ze Stronnictwem Demokratyczno-Narodowym na czele, zdobywając łącznie 42,7 procent głosów. Narodowcy uzyskali 116 mandatów (34 procent miejsc). Ich sojusznicy – Partia Chrześcijańsko-Narodowa i Chrześcijańscy Socjaliści – odgrywali drugorzędną rolę.

Partie centrum zgromadziły 13,4 procent głosów. Dominowali tu umiarkowani ludowcy z PSL „Piast” (44 mandaty) oraz powstały w 1905 roku Narodowy Związek Robotniczy, początkowo związany z endekami, ale później bliski opcji proaustriackiej. Lewica, reprezentowana przez PPS

(zaledwie 32 posłów), PSL „Lewicę” (22 posłów) i PSL „Wyzwolenie” (58 posłów), zdobyła w sumie 32,1 procent głosów. Socjaliści, tworzący przed wojną największe, obok narodowców, ugrupowanie polityczne, ponieśli wyraźną porażkę. Sama endecja wprowadziła do parlamentu tylu posłów, ile cała lewica. Co jednak znamienne, poważna reprezentacja mniejszości narodowych, które mimo strategii bojkotu zdobyły 11,1 procent głosów, ciążyła raczej ku lewicy, wzmacniając tym samym ten obóz.

Uroczystą inaugurację pierwszego Sejmu II Rzeczypospolitej otworzył Tymczasowy Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. W swym przemówieniu stwierdził m.in.: „dziś mamy wielkie święto narodowe, święto radości po długiej, ciężkiej nocy cierpień”. Była to jednak bardziej urzędowa niż szczera radość. Komendant zdążył już zrazić się do kłótliwych polskich polityków, a swoje myśli skupiał głównie na działaniach wojskowych. Pierwszym marszałkiem Sejmu został działacz endecki Wojciech Trąmpczyński. Skłócone ugrupowania chłopskie zaprzepaściły dużą szansę wyboru Wincentego Witosa, którego popierała lewica i centrum.

Pierwszy sejm II Rzeczypospolitej był dziwnym tworem. Posłowie nie wiedzieli nawet, jak długa będzie ich kadencja. Mieli pracować aż do przyjęcia konstytucji, po której planowano rozpisać nowe wybory. Początkowo pracowali zresztą szybko – co dobrze o nich świadczy. W miarę upływu kolejnych miesięcy zaczęli jednak przyzwyczajać się do swych stanowisk.

*

Cztery lata wolnej Polski, które przeżył Niewiadomski – okres niezwykle intensywny, burzliwy i dramatyczny w optyce nie tylko wojennej, lecz także polityki krajowej – zadecydowały o ostatecznej formacji intelektualno-osobowościowej Eligiusza. Wykreowały podatną na

propagandę osobowość zwolennika jednego z brutalnie rywalizujących ze sobą stronnictw. Przyszłego zamachowca całkowicie pochłaniały spory wokół budowania wolnej Polski. Pochłaniały i wzbudzały coraz większą odrazę. Odraza z kolei pogłębiała jego radykalizm i socjopatyczne cechy osobowości. Późną jesienią 1918 roku wszedł na drogę, która po równi pochyłej zaprowadziła go po raz drugi na Cytadelę. Tym razem miał już jej nie opuścić żywy.

Trzeba pamiętać, że oceniając burzliwe i często gorszące fakty z historii polskiej debaty publicznej w pierwszych powojennych latach, których dramatycznym uwieńczeniem było zabójstwo prezydenta, należy nieustannie brać pod uwagę specyficzne uwarunkowania, w których znalazła się polityczna scena młodej II Rzeczypospolitej. Trudno wyobrazić sobie spokojne dyskusje w sytuacji niemal ciągłych, wieloletnich walk zbrojnych na wielu frontach, traumy I wojny światowej (kiedy tylu Polaków walczyło przeciw sobie w szeregach zaborczych armii), zagrożenia militarnego ze wszystkich stron, kwestionującego samo istnienie państwa; ciężaru 123 lat zaborów, bolesnego scalania trzech bytów państwowych w jeden; podziałów ideowych wybuchłych wraz z niepodległością, a tlących się od dawna; przemożnych problemów etnicznych, wyznaniowych i materialnych; barier mentalnych, społecznych, kulturowych. To niezwykle ważny kontekst – nie tyle usprawiedliwiający, ile wyjaśniający brutalność polskiej polityki tych czasów.

Dwudziestego lutego 1919 roku, kiedy Sejm Ustawodawczy zakończył etap prac „rozruchowych”, Józef Piłsudski spełnił obietnicę z listopada 1918 roku i przekazał swe uprawnienia ukonstytuowanej izbie. Prawicowo-umiarkowana większość była zainteresowana w sprawie ograniczenia jego władzy, wypominając mu socjalistyczną przeszłość. Jednak z racji braku obowiązującej konstytucji i wojennej sytuacji parlament nie miał wyboru –

musiał ponownie powierzyć Piłsudskiemu funkcję Naczelnika Państwa. Nawet niechętni Komendantowi posłowie rozumieli, że w trudnej sytuacji, w jakiej znajdował się kraj pozbawiony granic, silny przywódca był nieodzowny. Funkcja naczelnika nie miała już w nazwie ograniczającego przymiotnika „tymczasowy”, choć w przyjętej rezolucji posłowie podkreślali, że wraz z uchwaleniem ustawy zasadniczej misja naczelnika wygaśnie. Nie wiedzieli, że miną jeszcze trzy lata, zanim konstytucja zostanie napisana, przyjęta w referendum i wprowadzona w życie.

Otwarcie Sejmu Ustawodawczego w Warszawie, 1919 rok. Fot. Domena publiczna

Sejmowa rezolucja z 20 lutego, wraz z kilkoma korektami, przejdzie do historii jako Mała konstytucja – prowizoryczny dokument ustalający porządek w państwie do czasu przyjęcia konstytucji. Zwięzłość dokumentu pozwalała na dość swobodną jego interpretację. Sam Naczelnik miał swą rolę określać jako „przymusową dyktaturę”. Jednym z jego pierwszych

posunięć była decyzja o utrzymaniu na stanowisku premiera Ignacego Paderewskiego.

W kolejnych miesiącach polskie życie polityczne kuliło się w cieniu dramatycznie zmiennych losów wojny i nawałnicy Armii Czerwonej. Dlatego też aktywność Naczelnika i Sejmu koncentrowała się na sprawach wojskowych. Prawie połowę skromnego budżetu państwa przeznaczono na potrzeby wojska – dobitnie świadczy to o realiach, w jakich trzeba było działać. Olbrzymie problemy gospodarcze pogłębiała fala strajków, która przeszła przez kraj w pierwszych miesiącach 1919 roku, przed wschodnią ofensywą Piłsudskiego. Rozruchy objęły również część ludności rolniczej.

W tych miesiącach dochodziło też do przetasowań partyjnych. W kwietniu trzy partie socjalistyczne z trzech zaborów ostatecznie połączyły się w jedną Polską Partię Socjalistyczną. Z kolei w październiku 1919 roku endecja zmieniła nazwę swego ugrupowania na Związek Ludowo-Narodowy. Nazwa ta nie zdobyła wielkiej popularności, a powszechnie środowisko to nadal nazywano narodową demokracją, w skrócie endecją. Reorganizacja objęła również ruch ludowy. W pierwszych miesiącach funkcjonowania Sejmu PSL „Wyzwolenie” bliżej współpracowało z „Piastem” niż z „Lewicą” i PPS, sytuując się w centrum sceny politycznej, jednak w październiku drogi sojuszników rozeszły się. Część posłów „Piasta” wzmocniła parlamentarny klub „Wyzwolenia”, które ogólnie coraz wyraźniej ciążyło ku lewicy, nie mogąc się jednak dogadać z jeszcze bardziej radykalnym PSL „Lewicą”.

Jednym z najważniejszych wyzwań, przed jakim stanęły władze, stała się kwestia reformy rolnej. Sytuacja prawna i materialna chłopów była niezwykle zagmatwana z powodu trójzaborowej przeszłości. Stosunek do reformy był zarazem ściśle związany z podziałami ideologicznymi. Znacznie podnosiło to temperaturę sporów. Burzliwe dyskusje, podczas

których nie unikano gróźb, mnożono postulaty i głosowania, częściowo uspokoiło kompromisowe rozwiązanie z 10 lipca 1919 roku: przyjęta większością zaledwie jednego głosu uchwała o zasadach reformy rolnej, ustanawiająca parcelację majątków powyżej 180 hektarów w byłym Królestwie Polskimi oraz majątków powyżej 400 hektarów na terenach byłych zaborów niemieckiego i austriackiego. Parcelacja miała się odbywać za odpowiednim odszkodowaniem dla właścicieli. Jego wysokość była jednym z głównych źródeł sporów. Realizacja tych postanowień, nie popartych odpowiednią ustawą, przebiegała opornie.

Dwudziestego siódmego listopada 1919 roku upadł rząd Ignacego Paderewskiego. Czar sympatycznego wirtuoza dawno już prysł. Wybitny polski patriota, któremu nie można odmówić wielkich zasług w promowaniu sprawy polskiej na świecie, był człowiekiem bardzo emocjonalnym i nigdy dotąd nie kierował wielką biurokratyczną machiną, jaką był rząd. Do biura na Zamku Królewskim przychodził, kiedy chciał – najczęściej za późno, by cokolwiek załatwić. Odmówił używania telefonu, bo denerwował go brzęczący dźwięk dzwonka. Nie potrafił skoncentrować się na jednej sprawie, ustalić konkretnego terminarza spotkań i obowiązków. Co więcej, dopuszczał do faktycznego współrządzenia swoją żonę Helenę, która bez skrępowania brała udział w dyplomatycznych spotkaniach, czytała tajną dokumentację i protegowała swoich znajomych na stanowiska.

Latem 1919 roku cała Warszawa plotkowała o chaotycznym premierze i działaniach premierowej. Prasa nie szczędziła kąśliwych artykułów. Świadomy krytyki, jaka na niego spada, Paderewski pogrążał się w coraz większym kryzysie emocjonalnym. Stracił zdolność podejmowania decyzji. Nie był nawet w stanie zdecydować się na dymisję. Wreszcie Sejm,

w którym nawet część prawicy odwróciła się od Paderewskiego, przegłosował rozwiązanie gabinetu.

Wirtuoz postanowił czym prędzej opuścić Warszawę i wyjechać do swej posiadłości w Szwajcarii. Jednak finał był równie groteskowy jak cała krótka polska kariera polityczna Paderewskiego. Kilkakrotnie zapowiadał swój wyjazd, lecz w ostatniej chwili rezygnował, powodując zakłopotanie korpusu dyplomatycznego, którego przedstawiciele za każdym razem wychodzili na dworzec pożegnać polityka. Był zupełnie rozbity, roztrzęsiony przygotowaniami do podróży, wciąż gubił jakieś dokumenty i szukał ich. Wreszcie pewnego lutowego dnia 1920 roku zjawił się wraz z żoną na dworcu. W ostatniej chwili okazało się, że Helena zaprosiła grupę znajomych, która miała z nimi jechać. W wagonie sypialnym zabrakło miejsc. Paderewski oznajmił, że w takim razie będzie spał na podłodze, ale goście odwiedli go od tego pomysłu. Pociąg ruszył. Po chwili jednak musiał się zatrzymać, bo Paderewscy zapomnieli wziąć swych bagaży z dworca.

Co znamienne, w swych wynurzeniach Niewiadomski ani razu nie wspomniał o kilkumiesięcznych rządach Paderewskiego, które należały zapewne do najbardziej nieudolnych w okresie pierwszych lat II Rzeczypospolitej. Paderewski był przecież narodowcem, a nie socjalistą. Eligiusz zdawał się przy tym nie zwracać uwagi na fakt, że większość tak krytykowanych przez niego rządów tworzyli w tym czasie właśnie ludzie związani ze środowiskami narodowymi i szeroko rozumianą prawicą. Szczegół ten nie pasował do koncepcji ideowych zabójcy Narutowicza.

Następcą nieszczęsnego Paderewskiego został były burmistrz Łodzi Leopold Skulski, jeden z twórców Związku Ludowo-Narodowego, nowego wcielenia endecji. Był on postacią bezbarwną, niepotrafiącą przeciwstawić się Piłsudskiemu. W gabinecie Skulskiego znalazło się zresztą kilku piłsudczyków. Nowa ekipa miała charakter pozaparlamentarny, nie cieszyła

się stabilnym poparciem większości sejmowej – co już na starcie osłabiało jej pozycję. Okres premierowania Skulskiego to tak naprawdę czas, kiedy całkowitą władzę polityczną i wojskową skupił w swoim ręku Piłsudski, nie oglądając się ani na Sejm, ani na rząd. Te ostatnie instytucje, funkcjonujące w głębokim cieniu prowadzonych działań zbrojnych, nie ważyły się zresztą na poważniejsze protesty. Znów może dziwić, że Niewiadomski zdawał się nie zauważać rzeczywistej władzy, jaką dzierżył Komendant. Nie pasowało to do narracji o zawiedzionych nadziejach z 1918 roku. Zarazem pewnie uważał, że kamuflaż Piłsudskiego był tylko niepotrzebnym półśrodkiem; należało pójść dalej i działać bardziej radykalnie przeciw „demokratyzmowi".

Niemrawy gabinet Skulskiego utrzymał się tylko pół roku. Jak wiemy, w czerwcu 1920 roku, w obliczu sowieckiej kontrofensywy, polska scena polityczna pogrążyła się w głębokim kryzysie. Impas po dymisji Skulskiego ciągnął się dwa tygodnie, a Sejm nie mógł wyłonić większości zdolnej powołać nową ekipę. W tej sytuacji Naczelnik powołał pozaparlamentarny rząd Władysława Grabskiego, kolejnego endeka. Na stanowisku Grabski utrzymał się miesiąc. Katastrofalna sytuacja na froncie doprowadziła do zawirowań, w wyniku których utworzono rząd jedności narodowej Wincentego Witosa.

Witos przetrwał bolszewicką nawałnicę i radykalną zmianę wojennej sytuacji po „cudzie nad Wisłą". Udało mu się utrzymać tekę premiera do września 1921 roku. Okres jego rządów zdominowały prace nad konstytucją Rzeczypospolitej. Prace, których cechą szczególną były nieustające, gwałtowne kłótnie, podchody, potok niepotrzebnych słów, a nawet rękoczyny.

Ostatecznie ustawa zasadnicza została przyjęta 17 marca 1921 roku – prawie równocześnie z podpisaniem traktatu ryskiego z bolszewicką Rosją.

Całkowicie weszła w życie tak naprawdę dopiero po wyborach parlamentarnych z listopada 1922 roku. Miesiąc przed jej przyjęciem Piłsudski gościł we Francji, gdzie podpisał ważną umowę polityczną i tajną konwencję wojskową. Polska zyskała potężnego sojusznika na wypadek ewentualnej agresji niemieckiej oraz wsparcie dla swej armii. W Warszawie porozumienie uznano za triumf. Oprócz Rumunii Francja była jednak jedynym państwem, z którym młoda Rzeczpospolita miała bliższe relacje.

Specjalna sejmowa Komisja Konstytucyjna, powołana w lutym 1919 roku, przedstawiła pierwszy projekt konstytucji w lipcu 1920 roku. Nie był to najlepszy czas na ustrojowe dyskusje. Dlatego do sprawy konstytucji wrócono dopiero jesienią tego roku. Głównym przedmiotem kłótni była dwuizbowość parlamentu: prawica opowiadała się za Senatem, lewica – przeciw. W gorących sporach partie próbowały przeforsować takie rozwiązania, które mogłyby zwiększyć ich własne znaczenie. Ostatecznie ustawę przegłosowano większością tylko 12 głosów, przy sprzeciwie części lewicy (głównie PSL „Wyzwolenia”).

Konstytucja marcowa powstała pod przemożnym wpływem rozwiązań francuskich. Jak na państwo o przewadze katolicyzmu i rolnictwa, była zaskakująco świecka i nowoczesna, choć oddzielenie Kościoła od państwa i świeckość szkolnictwa nie zostały jasno określone. Złożona ze 126 artykułów ustawa podkreślała suwerenność narodu polskiego i demokratyczny charakter rządów. Wprowadzała klasyczny trójpodział na władzę ustawodawczą (Sejm i Senat), wykonawczą (prezydent i rząd) oraz sądowniczą. Przyjęła zasadę pięcioprzymiotnikowych wyborów (powszechnych, równych, bezpośrednich, tajnych i proporcjonalnych), a także nowoczesny, niski cenzus wieku: czynne prawo wyborcze od 21 i 30 lat (odpowiednio do Sejmu i Senatu), a bierne od 25 (do Sejmu) i 40 (do Senatu).

Głównym ośrodkiem władzy był dwuizbowy parlament – Zgromadzenie Narodowe. Podlegał mu zarówno rząd, jak i prezydent. Władza tego ostatniego była bardzo ograniczona: nie miał prawa weta wobec ustaw, a w kwestii nominacji prezesa rady ministrów był uzależniony od posłów. To parlament ustalał ogólne ramy działań premiera i ministrów. Działanie rządu było ściśle uzależnione od większości sejmowej. Posłowie zatwierdzali ponadto budżet i kontrolowali długi państwowe. Dużym osiągnięciem ustawy było wprowadzenie powszechnego, bezpłatnego szkolnictwa na poziomie podstawowym, a także zatwierdzenie szerokiego katalogu praw i wolności obywatelskich, w tym wolności sumienia i wyznania. Oczywiście teoria musiała jeszcze znaleźć potwierdzenie w praktyce.

Konstytucja, wzorując się na ustroju III Republiki Francuskiej, powieliła zarazem jej błędy: jak się szybko okazało, zbytnio rozdmuchana władza parlamentu stworzyła błędne koło zmieniających się jak w kalejdoskopie chwiejnych rządów, jałowych acz gwałtownych dyskusji partyjnych i braku długofalowej wizji politycznej. Strach przed Piłsudskim, podzielany przez większość posłów, doprowadził do karykaturalnego wręcz ograniczenia władzy prezydenta. Zarówno on, jak i rząd, a nawet Senat nie miały wiele do powiedzenia. Liczył się tylko chimeryczny, rozrywany sprzecznymi tendencjami Sejm. Na mocy ustawy zasadniczej w Polsce zapanowała „sejmokracja”, tak znienawidzona przez Niewiadomskiego, marzącego o rządach silnej ręki. Trzeba jednak pamiętać, że ultrademokratyczna konstytucja była ucieleśnieniem marzeń wielu Polaków o wolności i demokracji, tłumionej przez lata zaborów.

Przyjęcie ustawy zasadniczej nie osłabiło sporów na polskiej scenie politycznej. Wręcz przeciwnie. Konstytucja została przyjęta z niesmakiem przez Piłsudskiego i jego otoczenie, które dostrzegało przede wszystkim

poważne więzy krępujące władzę wykonawczą. Choć według powszechnego mniemania marszałek był naturalnym kandydatem na prezydenta, on sam zaczynał poważnie się zastanawiać nad kandydaturą. Nie chciał być zakładnikiem posłów, których częścią po prostu pogardzał. Niezadowolenia nie kryła również lewica, niechętna Senatowi. Dla części prawicy demokratyzm konstytucji szedł zdecydowanie za daleko. Osiągnięty kompromis okazał się zgniły: zamiast wszystkich pogodzić, pogłębiał podziały i niezadowolenie.

Spory zaostrzał fakt, że konstytucja mogła tak naprawdę wejść w życie dopiero po rozwiązaniu Sejmu Ustawodawczego i wyłonieniu nowego Zgromadzenia Narodowego w wyniku wyborów. Tymczasem wielu posłów, którzy zdążyli już polubić bezpieczną posadę i nie chcieli ryzykować jej utraty, robiło wszystko, by przedłużyć działanie parlamentu. Dlatego proces rozpisania nowych wyborów przeciągano pod najróżniejszymi pretekstami, uciekając się nieraz do żenujących chwytów.

Przepychanki polityczne toczyły się w kontekście wszechogarniającego kryzysu gospodarczego. Być może lata 1921–1922 były okresem największych problemów materialnych społeczeństwa polskiego – przynajmniej do czasu wielkiego kryzysu z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych. Gospodarka, nagle wytrącona z wojennych trybów, stoczyła się na dno. Deficyt budżetowy groził samemu funkcjonowaniu państwa, ściągalność podatków nadal kulała. Szaleńcza polityka drukowania pieniądza napędzała galopującą inflację. W połowie 1919 roku za jednego dolara trzeba było zapłacić 590 marek polskich, trzy lata później – już prawie 18 tysięcy. Szerokie prawa socjalne i intensywny rozwój związków zawodowych (w 1921 roku liczba związkowców sięgnęła 1,3 miliona) tylko częściowo amortyzowały problemy i chroniły przed spekulacją.

Napięcie społeczne nie wynikało jedynie z sytuacji ekonomicznej. Nie było przypadkiem, że gwałtowne narastanie sporów wewnętrznych w Polsce nastąpiło w drugiej połowie 1921 roku – po zawarciu pokoju ryskiego, w zasadzie kończącego okres nieustannych wojen. W oczywisty sposób zmniejszenie zagrożenia zewnętrznego wpłynęło na „odmrożenie" i tak poważnych różnic ideologicznych. Zakończyło też niecodzienny czas euforii po odzyskaniu niepodległości i strachu przed jej ponowną utratą. Przyszedł czas na szarą rzeczywistość. Rzeczywistość, która okazała się inna niż snute latami marzenia o „szklanych domach" w wolnej Polsce. Do tej pory można było się łudzić, że konieczność wywalczenia granic i ich obrony tylko chwilowo oddala świetlaną wizję. Nadzwyczajna, wojenna mobilizacja społeczeństwa sztucznie podtrzymywała złudzenia. Teraz, w czasie pokoju, zderzenie marzeń z realnym życiem stało się nieuchronne i szczególnie bolesne. Skutkowało to wybuchem nowych, głębszych frustracji, rozczarowań, a przez to – coraz gwałtowniejszej walki politycznej i ideologicznej. Niewątpliwe pogłębiało też radykalizację Niewiadomskiego.

Nie przypadkiem wtedy też zaostrzyły się elementy ksenofobii –w poglądach nie tylko Eligiusza, lecz także pokaźnej części Polaków. Walczący o swe prawo do polskości naród dostrzegł, że w granicach wykutego w krwawych walkach państwa co trzeci mieszkaniec nie jest Polakiem. Kruchą „polskość" trzeba teraz było chronić od wewnątrz. Decydujący głos mniejszości w wyborach prezydenckich z grudnia 1922 roku tylko spotęgował wrażenie, że oto w cudem odzyskanej Polsce nie rządzą Polacy.

W czasach funkcjonowania gabinetu Wincentego Witosa w pełni dał się odczuć chaotyczny, egoistyczny, a niekiedy i skorumpowany styl uprawiania polityki w Polsce. Postanowienia konstytucji marcowej tylko

spotęgowały te tendencje. Niedoświadczeni posłowie nie umieli osiągać kompromisowych rozwiązań i dzielić się władzą; ministrowie nie potrafili wzbić się ponad partyjne interesy, szantażowani zresztą przez posłów. Poważny problem stanowiła korupcja: w Polakach tak silnie zakodowały się nieufność i sprzeciw wobec narzuconej władzy, że teraz trudno im było przestawić się na myślenie obywatelskie. Z racji uwarunkowań uprzednich dziesięcioleci nie istniała tutaj tradycja uczciwej i sprawnej służby publicznej. Łakomym kąskiem dla partii było kontrolowanie koncesji gospodarczych i importowych. Dokonywano malwersacji związanych z realizacją reformy rolnej, spekulowano ziemią, dzierżawą majątków państwowych.

Wobec kolejnych skandali, kłótni i szalejącego kryzysu, rząd Witosa ostatecznie upadł we wrześniu 1921 roku. Następcą lidera umiarkowanych ludowców został znany działacz oświatowy Antoni Ponikowski, obejmując jednocześnie tekę ministra oświecenia publicznego. W ten sposób został znanym już nam przełożonym Niewiadomskiego. Gabinet Ponikowskiego miał znów jedynie pozaparlamentarny charakter.

Mimo to minister finansów w rządzie Ponikowskiego Jerzy Michalski, podjął się niewdzięcznego zadania przynajmniej częściowego uzdrowienia finansów publicznych. Oznaczało to cięcia budżetowe, zwolnienia urzędników, ograniczenia wydatków wojskowych i tych związanych z realizacją reformy rolnej, a jednocześnie nowe podatki (od wzbogacenia, akcyza) i plany ograniczeń socjalnych. Strategia ta musiała doprowadzić do protestów społecznych, a także silnego oporu aparatu biurokratycznego i wojska. Niechęci wobec rządu nie było w stanie zmniejszyć przejściowe uspokojenie inflacji i rozpoczęcie niezwykle ważnej budowy portu w Gdyni. Pozbawiony szerszego poparcia Ponikowski zdołał przetrwać tylko do marca 1922 roku, kiedy musiał podać się do dymisji. Zamieszanie

i brak zgody co do wyłonienia nowej ekipy sprawiły, że jeszcze w tym samym miesiącu polityk dostał drugą szansę utworzenia gabinetu, jednak drugi rząd Ponikowskiego działał jeszcze krócej niż pierwszy.

Szesnastego kwietnia 1922 roku Rosja i Niemcy, wyraźnie izolowane podczas trwającej właśnie międzynarodowej konferencji ekonomicznej w Genui, spotkały się w oddalonej o dwadzieścia kilka kilometrów cichej, nadmorskiej osadzie Rapallo. Podpisały tam układ dwustronny, na mocy którego wyrzekły się wojennych pretensji oraz ogłosiły nawiązanie stosunków handlowych i dyplomatycznych. Umowa była szokiem dla Europy. Oto dwa potężne państwa, zupełnie odmienione w wyniku wojny, zademonstrowały wspólnotę interesów. Krążyły plotki, że umowie towarzyszyło tajne porozumienie wojskowe. W Paryżu poważnie przemyśliwano nad mobilizacją armii. Strach zapanował również w Warszawie, położonej przecież między obydwoma mocarstwami. Panowało przekonanie, że układ wymierzony jest przeciw Polsce.

Nerwowa sytuacja odbiła się rykoszetem na rządzie Antoniego Ponikowskiego, który oskarżano o brak zdecydowania i zaangażowania w obronę interesów Polski. Trzeciego czerwca premier ogłosił dymisję swego drugiego rządu – z powodu nie tylko sytuacji międzynarodowej, lecz także niepowodzeń w niekończącej się walce z Sejmem o kształt ordynacji wyborczej. Była to szósta tego typu dymisja w ostatnich czterech latach. Sejmokracja trwała w najlepsze.

Okoliczności dymisji Ponikowskiego były wyjątkowe i przełomowe dla historii młodej Rzeczypospolitej. Drugiego czerwca 1922 roku Piłsudski, wciąż pełniący funkcję Naczelnika (w myśl konstytucji miał się jej zrzec po wybraniu prezydenta) wezwał premiera i jego ministrów na rozmowę. Dał wyraźnie do zrozumienia, że rząd powinien zrezygnować. Ponikowski nie protestował i ugiął się wobec woli marszałka. Nigdy wcześniej Naczelnik

Państwa nie ingerował tak bezpośrednio i drastycznie w działanie rządu. Posłowie prawicy i centrum nie kryli oburzenia. Czy odczucia te podzielał również Niewiadomski? Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie: przecież był skonfliktowany z Ponikowskim i gardził słabą władzą. Prawdopodobnie oburzała go cała sytuacja i jej kontekst, a nie poszczególne *dramatis personae*.

Sejm postanowił nie puścić płazem demonstracji siły przez Piłsudskiego. Kpiąc sobie z jakichkolwiek zasad przyzwoitości, zdecydował się po raz trzeci nominować Ponikowskiego na premiera. Ten jednak nie wytrzymał nerwowo i zniechęcony, odmówił przyjęcia urzędu. Zaskoczeni posłowie pogrążyli się w kłótniach i dysputach, ale nie byli w stanie wyłonić konkretnej kandydatury. Wielodniowy impas przełamał Naczelnik, po raz kolejny odgrywając kluczową rolę. Zaproponował na premiera swego przyjaciela, dawnego członka PPS-Frakcji Rewolucyjnej Artura Śliwińskiego. Sejm zaakceptował tę nominację zupełnie minimalną przewagą. Efemeryczny rząd nie zdążył jeszcze zacząć funkcjonować, gdy dziesięć dni później – 7 lipca 1922 roku – został zdymisjonowany.

Wybór następcy trwał następne trzy tygodnie. Bliski objęcia funkcji prezesa rady ministrów był śląski bohater Wojciech Korfanty, wysunięty przez prawicę, ale jego wybór zablokował Piłsudski, co rozwścieczyło narodowców. Jak się okaże, również Niewiadomskiego. To wtedy miał podobno zacząć konkretnie obmyślać zabójstwo Naczelnika.

Lipcowe „bezkrólewie” było momentem największego kryzysu polskiej sejmokracji od momentu odzyskania niepodległości. Nerwowość posłów potęgował zbliżający się termin wyborów, który wreszcie ustalono na listopad. W czasie gwałtownych dysput sejmowych grożono wojną domową i ulicznymi rozruchami. Prasa endecka gwałtownie atakowała marszałka. Posłowie prawicy pod koniec lipca zgłosili wotum nieufności

wobec Naczelnika. Głosowanie rozstrzygnęło się na korzyść Komendanta, ale większością jedynie kilkunastu głosów. W tym czasie lewica ogłosiła strajk powszechny i zapowiadała zamieszki. Można sobie wyobrazić, z jakim napięciem w tych gorączkowych dniach Niewiadomski śledził bieżące wydarzenia.

Wreszcie 31 lipca 1922 roku z inicjatywy Piłsudskiego udało się sklecić ekipę kierowaną przez profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, konserwatystę Juliana Nowaka. Zgodnie z niechlubną tradycją rząd ten miał pozaparlamentarny charakter, jak zwykle nie mając większości w Sejmie. Dobrze wiemy, w jakich okolicznościach ustąpił 14 grudnia 1922 roku Nominacja rządu tylko pozornie i na krótko uspokoiła sytuację. Posłowie byli wściekli, że w ostatnich tygodniach to Piłsudski odgrywał decydującą rolę na scenie politycznej. Zarazem lipcowy kryzys postawił na głowie normalny bieg wydarzeń. Prawica żarliwie stanęła w obronie sejmokracji przeciw autorytarnym zapędom Naczelnika. W kłopotliwej sytuacji znalazła się lewica, która – chcąc nie chcąc – weszła w gorące lipcowe dni w sojusz z Piłsudskim, eliminując kandydaturę Korfantego na urząd premiera. Jednocześnie to jej założenia programowe traktowały Sejm jako najwyższą władzę w państwie i sprzeciwiały się rządom jednostki. Co więcej, to jej głosami Nowak – przecież konserwatysta! – został wybrany na premiera.

Czy Niewiadomski potrafił zrozumieć tę parlamentarną ekwilibrystykę? Zapewne nie zawracał sobie głowy szczegółami. Skoro Nowaka wybrali socjaliści, to musiał być zły. Czy jednak nie zauważał, że w tym czasie Piłsudski walczył z tak znienawidzoną przez niego sejmokracją? Działanie to nie naprawiło jednak kluczowego – w oczach Niewiadomskiego – błędu, którego Eligiusz nigdy marszałkowi nie wybaczył – niewykorzystania szansy zbudowania silnej władzy, mogącej stworzyć „prawdziwą” Polskę.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden czynnik, który zagęszczał atmosferę w ostatnich miesiącach 1922 roku. Akurat teraz, w przededniu wyborów, długotrwały kryzys gospodarczy przechodził szczególnie ostrą fazę: na początku roku, w wyniku kolejnej dewaluacji marki polskiej, jeszcze szybciej zaczęły rosnąć ceny. Podwyżki zdarzały się niemal codziennie, płace za nimi nie nadążały, a oszczędności topniały w oczach. Spowodowało to bezprecedensową falę strajków. W sierpniu protesty robotników rolnych objęły prawie całe województwo poznańskie. Strajkowali łódzcy włókniarze, górnicy Zagłębia Dąbrowskiego, pracownicy poczty. O powadze problemów gospodarczych najlepiej świadczy fakt, że w 1922 roku wydatki państwa dwukrotnie przekroczyły dochody. Wydawało się, że kraj zbankrutuje.

Ostatnia sesja Sejmu Ustawodawczego zakończyła się 26 września 1922 roku. Do tego czasu zgłoszono ponad 20 list wyborczych. Endecy, chadecy i działacze Chrześcijańsko-Narodowego Stronnictwa Ludowego utworzyli blok wyborczy pod nazwą Chrześcijański Związek Jedności Narodowej. Drugi duży blok koalicyjny utworzyły – co znamienne – ugrupowania etniczne, w większości nie decydując się na strategię bojkotu, jaką obrały w 1919 roku. Blok Mniejszości Narodowych objął część Ukraińców z Wołynia, Białorusinów, Żydów (spoza Galicji), Niemców i Rosjan. Osobno startowali m.in. syjoniści i żydowscy socjaliści z ugrupowania Bund. Gdyby wszystkie partie mniejszości zdecydowały się na start, blok stałby się jeszcze silniejszy. Centrum reprezentowały przede wszystkim PSL „Piast” i Narodowa Partia Robotnicza. PPS i PSL „Wyzwolenie” szły do wyborów oddzielnie. Rozdzierane konfliktami wewnętrznymi PSL „Lewica” nie liczyło się, a część jego sympatyków przeszła do „Wyzwolenia”. Współpracownicy Piłsudskiego kandydowali z różnych list – głównie ludowych i socjalistycznych. Mniej znani

zwolennicy obozu belwederskiego wystawili dwie odrębne, ale mało znaczące listy.

Przedbiegi do właściwych wyborów stanowiło głosowanie do autonomicznego Sejmu Śląskiego, zorganizowane 24 września. Siłę pokazała prawica: koalicja endecji z chadecją uzyskała 34 procent głosów. PPS zdobyła tylko 17 procent. Specyfika dzielnicy sprawiła, że socjalistów pokonały partie mniejszości niemieckiej, osiągając 22 procent. Znaczącą pozycję osiągnęła też Narodowa Partia Robotnicza – 14 procent. Proporcje te dawały do myślenia przed głosowaniem ogólnokrajowym.

Wybory z 5 listopada (do Sejmu) i 12 listopada (do Senatu) 1922 roku były pierwszymi „normalnymi" wyborami parlamentarnymi w niepodległej Polsce i jedynymi w historii II Rzeczypospolitej, kiedy tak niewiele ugrupowań zdecydowało się na ich zbojkotowanie. W wyborcze szranki stanęło niezwykle barwne, różnorodne towarzystwo, zgrupowane w marginalnych partyjkach i potężnych ruchach. Wyglądało to wszystko chaotycznie, zwłaszcza że poziom politycznego uświadomienia obywateli był bardzo niski. Niemniej sposób przeprowadzenia głosowania nie wzbudził żadnych poważniejszych kontrowersji.

Wybory zostały poprzedzone „typową" kampanią. „Typową" – czyli naznaczoną brutalną, bezwzględną walką polityczną. W niedoświadczonym politycznie narodzie ujawniło się zjawisko „polaryzacji afektywnej", jak to mądrze, acz niejasno określają politolodzy. Chodziło o to, że konkurent polityczny był postrzegany nie jako przeciwnik, lecz jako wróg, którego należało zwalczać. Zmagania polityczne stały się ideowym, spolaryzowanym i niezwykle emocjonalnym starciem dwóch obozów: „endecko-klerykalno-paskarskiego" z „socjalistyczno-komunistyczno-niemieckim", czyli narodowej prawicy z ugrupowaniami lewicowymi i piłsudczykowskimi. Z jednej strony straszono bolszewizmem, z drugiej –

„żydostwem”. Grano na strunach ksenofobii i walki klas. Oskarżano się wzajemnie o zdrady i złodziejstwo. Aż prosi się o pytanie, czy owa „polaryzacja afektywna” – z innym zestawem haseł, ale o tej samej naturze – nie toczy również współczesnej polskiej sceny politycznej? Niech każdy sam poszuka odpowiedzi.

Jesienią 1922 roku na pierwszej linii frontu znaleźli się dziennikarze rywalizujących gazet. Poziom artykułów prasowych wszystkich stron sporu był żenujący: walczono nie tylko na słowa („bandyci”, „trutnie”, „apostołowie łapownictwa”, „straganiarze dziennikarscy”, „aferzyści”), dziecięce przedrzeźnianie (np. „Robotnik” był „Rebe-tnikiem”, PPS – „pepejsowcami”, Chrześcijański Związek Jedności Narodowej – „Chjeną”, Korfanty – Korfantkiem) i wyzwiska („matoł”, „półgłówek”), ale i na czyny – bito znanych dziennikarzy i pisarzy (np. Adolfa Nowaczyńskiego, Stanisława Rymara), napadano na drukarnie i redakcje. Jednocześnie kosztowna kampania prowadziła do zawierania egzotycznych sojuszy: np. lewicowe PSL „Wyzwolenie” ofiarowało miejsca w Sejmie kilku bogatym przedstawicielom burżuazji, którzy zgodzili się użyczyć ugrupowaniu sporych sum pieniężnych.

Niewiadomski, obserwując brutalną kampanię, był targany sprzecznymi uczuciami: z jednej strony na pewno z obrzydzeniem śledził rynsztokowe awantury, tak dalekie od jego wizji Polski. Jednocześnie chłonął i przyjmował za własne tezy prasy narodowej, sam stając się częścią zjawiska „polaryzacji afektywnej”. Zjawiska, które w jego indywidualnym przypadku doprowadziło do zbrodni.

Zgodnie z ustaleniami konstytucji marcowej dwuizbowe Zgromadzenie Narodowe miało się składać ze 111 senatorów i 444 posłów. Frekwencja wyborcza pokazała wyraźne różnice między poszczególnymi regionami Polski. W centrum i na zachodzie wyniosła 60–90 proc, a na wschodzie –

zaledwie 30–50 procent. Podobnie jak w głosowaniu śląskim, zwycięzcą okazała się prawica. Zdobyła w sumie prawie 40 procent mandatów (z czego Chrześcijański Związek Jedności Narodowej wprowadził do Sejmu 163 posłów). Dobry wynik osiągnęły też partie centrowe, uzyskując około 20 procent (PSL „Piast”: 70 posłów, Narodowa Partia Robotnicza: 18). Ludowcy z „Piasta” stali się drugą siłą polityczną w Sejmie. Zaledwie 20 procent uzyskały razem lewicowe PSL „Wyzwolenie” (49 posłów) i PPS (tylko 41 posłów). Przeprowadzone tydzień później wybory do drugorzędnego Senatu potwierdziły rozkład głosów sejmowych: prawica zdobyła 49 miejsc, centrum – 20, a lewica – 15. Reszta przypadła mniejszościom narodowym.

Prawica nie była zadowolona z takiego obrotu spraw. Co znamienne, brak wyraźnej większości był wręcz niezrozumiały z punktu widzenia Warszawy, gdzie endecja zdobyła więcej głosów niż przeciętnie w skali kraju. To tylko podsycało napięcie.

Mimo wszystko wydawało się, że – biorąc pod uwagę podziały na lewicy i dobrą organizację prawicy – to ta ostatnia będzie miała decydujący głos w rządzeniu państwem. Sama endecja (Związek Ludowo-Narodowy) dysponowała niemal setką parlamentarzystów. Rozumowanie to nie uwzględniało jednak jednego czynnika – mniejszości narodowych.

Podstawową różnicą w porównaniu do składu Sejmu Ustawodawczego była znacznie większa liczba klubów poselskich – aż siedemnaście – a także zdecydowanie silniejsza reprezentacja mniejszości narodowych. W 1919 roku wybrano zaledwie dziesiątkę Żydów i paru Niemców. Teraz mniejszości reprezentowało już prawie 20 procent posłów (Blok Mniejszości Narodowych uzyskał 66 mandatów, pozostałe ugrupowania – 23) i taki sam procent senatorów. Najsilniejsze stały się ugrupowania żydowskie. Stało się jasne, że to środowisko, dzięki swej liczebności

stanowiące jedną z głównych sił w Sejmie, będzie przedmiotem (i podmiotem) niebezpiecznych konfliktów. Do pierwszego doszło już na inauguracyjnym posiedzeniu Sejmu 28 listopada 1922 roku: kiedy posłowie ukraińscy chcieli złożyć przysięgę w swym ojczystym języku, marszałek Maciej Rataj zmusił ich, by przysięgali po polsku.

Sprawa posłów mniejszości stanie się podstawową przyczyną dramatycznych wydarzeń, do których dojdzie niecały miesiąc później, w grudniu.

Wybór władz i organizacja pracy nowego parlamentu zajęły aż dziesięć burzliwych dni. Okazało się, że mimo przewagi, prawica nie była w stanie samodzielnie stworzyć większości sejmowej zdolnej wyłonić stabilny rząd. „Chjena" musiała szukać koalicjanta – najbliższym zdawał się być PSL „Piast". Co znamienne, w tych dniach endecka prasa nagle przestała krytykować Wincentego Witosa. Szykowano się do sojuszu, jednak wcześniejsze, ostre ataki nie zostały zapomniane, co wydatnie utrudniało porozumienie. W dodatku wśród ludowców silna pozostawała tendencja do porozumienia dwóch największych partii chłopskich: „Piasta" i „Wyzwolenia". Tej opcji nie był przeciwny sam Witos, a jej gorącym orędownikiem stał się Piłsudski. Budziła ona jednak gwałtowny sprzeciw części najbardziej lewicowych działaczy „Wyzwolenia". Sytuacja była patowa.

Ostatecznie wybór władz sejmowych świadczył jednak o początkach praktycznej współpracy „Piasta" z „Chjeną". To właśnie w wyniku kompromisu i poparcia prawicy marszałkiem został przedstawiciel umiarkowanych ludowców Maciej Rataj, a marszałkiem Senatu wybrano endeka Wojciecha Trąmpczyńskiego.

Emocje związane z organizowaniem prac Sejmu i skomplikowanymi podchodami poszczególnych partii nie zdążyły jeszcze opaść, gdy na

pierwszy plan wysunęła się sprawa wyboru prezydenta Rzeczypospolitej. Choć według konstytucji nie miał on zbyt szerokich prerogatyw, było pewne, że jego nominacja w formie głosowania Zgromadzenia Narodowego stanie się przedmiotem zażartych walk.

*

Przebieg prezydenckiego głosowania z 9 grudnia 1922 roku był jednym z najbardziej zdumiewających, zaskakujących i brzemiennych w skutkach wydarzeń w całej historii II Rzeczypospolitej. Nic nie zapowiadało tego, co się wydarzyło w sali sejmowej w przeciągu zaledwie jednego dramatycznego dnia.

Pozycja wyjściowa była dość klarowna: ugrupowania prawicowe dysponowały, jak wiemy, około 40 procent głosów. Mimo trudności w rozmowach sojuszniczych liczono na pomoc PSL „Piast”. Ta większość umożliwiała zaproponowanie swojego kandydata i wystąpienie z pozycji siły. Był jednak pewien problem: endecja nie chciała ustąpić „Piastowi” w sprawie reformy rolnej i żądała 100 procent odszkodowania dla właścicieli ziemskich, co było nie do zaakceptowania dla ludowców.

Do tego dochodziła niejasna gra Piłsudskiego. Wszyscy myśleli, że zwlekający z decyzją marszałek tylko udaje, a tak naprawdę ostatecznie zgłosi swą kandydaturę. W związku z tym sejmowe partie zdecydowały się wystawić mało znaczących kandydatów, wiedząc, że i tak nie mają oni większych szans z niezwykle popularnym Piłsudskim, symbolem polskiej niepodległości. Niespodziewana decyzja marszałka z 4 grudnia 1922 roku o ostatecznej rezygnacji z ubiegania się o urząd prezydencki (ogłoszona oficjalnie dzień później) zaskoczyła polityków i zdumiała społeczeństwo. Piłsudski zarezerwował dla siebie tylko stanowisko przewodniczącego

Ścisłej Rady Wojennej, który w razie wojny obejmował zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi. Nie chciał być listkiem figowym Sejmu.

Zdumieni posłowie musieli teraz wybierać między zgłoszonymi już „zającami”. Początkowo wszystkie większe ugrupowania za punkt honoru postawiły sobie wyłonienie własnego kandydata, choć było pewne, że ostatecznie będzie musiało dojść do kompromisu. PSL „Piast” zaproponowało działacza spółdzielczego Stanisława Wojciechowskiego. Lider ugrupowania Witos nie chciał mierzyć się z Piłsudskim. Naczelnik później poparł właśnie kandydata umiarkowanych ludowców. Rywalizujące z „Piastem” PSL „Wyzwolenie” postawiło na Gabriela Narutowicza, wybitnego hydrotechnika, ministra spraw zagranicznych, który w wyborach parlamentarnych poparł marginalną piłsudczykowską Unię Narodowo-Państwową. Partyjka ta poniosła klęskę, nie zdobywając żadnego mandatu. Narutowicz nie był zbyt blisko związany z „Wyzwoleniem”, a jego kandydatura wynikała z partyjnego kompromisu i... braku lepszego pomysłu. Atutem tej nominacji było pokazanie, że lewicowi ludowcy potrafią wznieść się ponad podziały partyjne (Narutowicz nie należał do tego ugrupowania) i swój naturalny chłopski elektorat.

Hrabia Maurycy Klemens Zamoyski, główny oponent Gabriela Narutowicza w wyborach prezydenckich. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Socjaliści z kolei zdecydowali się na jednego ze swoich liderów: Ignacego Daszyńskiego. Jego zdecydowanie lewicowe poglądy sprawiały jednak, że nie miał szans na wybór. Nominacja była więc formą demonstracji politycznej. Również mniejszości narodowe postanowiły pokazać swą siłę, wystawiając wspólnego kandydata. Został nim egzotyczny Jan Baudouin de Courtenay, wywodzący się z francuskiej arystokracji wybitny językoznawca, spokrewniony z pradawną królewską linią Kapetyngów.

Największą cenę za manewr Piłsudskiego zapłaciła endecja, która – uważając, że w konkurencji z marszałkiem i tak przegra – wystawiła kandydaturę hrabiego Maurycego Zamoyskiego, największego obszarnika II Rzeczypospolitej, absolutnie przeciwnego reformie rolnej. Był to gest uprzejmości wobec zasłużonego współpracownika i mecenasa, niemniej w zmienionej nagle sytuacji kompromis z „Piastem” okazał się niemożliwy. Większość parlamentarna, która mogła zadecydować o wyborze, została pogrzebana. Co prawda endecy starali się gorączkowo znaleźć innego kandydata (pojawiały się nawet propozycje nominowania Dmowskiego i Paderewskiego), ale było już za późno na zmianę.

Zgromadzenie Narodowe, które zebrało się na uroczystej sesji 9 grudnia, stanęło zatem przed wyborem pięciu kandydatów. Atmosfera z godziny na godzinę stawała się coraz bardziej nerwowa. W pierwszym głosowaniu nie zapadły żadne decyzje. W drugim odpadł Ignacy Daszyński, zbyt radykalny dla wszystkich poza PPS. Otrzymał tylko 1 głos. Zamoyski, z 226 głosami, urastał do roli faworyta. Wojciechowskiego poparło 152 posłów, a Narutowicza – tylko o jeden mniej. Badouin de Courtenay zdobył

zaledwie 10 głosów i w kolejnej, trzeciej turze, został wyeliminowany. W szrankach pozostali Zamoyski, Wojciechowski i uznany za najmniej ważnego Narutowicz. Głównym oponentem kandydata endecji miał być faworyt PSL „Piast”. Partie, które miały współdziałać w wyborach, starły się w ostrym klinczu. A gdzie dwóch się bije... W wyniku skomplikowanej arytmetyki wyborczej w czwartym głosowaniu prawicy udało się pozbyć Wojciechowskiego, którego nie poparła ponadto część lewicy niechętna Piłsudskiemu. Pozostali tylko Zamoyski i lekceważony Narutowicz.

Piąte głosowanie miało się odbyć wieczorem. Posłowie byli wyczerpani całodzienną sesją, pełną nerwów i sporów. Blok Mniejszości Narodowych postanowił przed ostatecznym rozwiązaniem zademonstrować swoją jedność i poprzeć konkretnego kandydata. Mógł nim być tylko Gabriel Narutowicz. Rzeczywiście, to głosy mniejszości przeważyły o wyborze pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Była to demonstracja siły, ale też pyrrusowe zwycięstwo, okupione gwałtownym wzrostem ksenofobii i antysemityzmu wśród sporej części prawicowych posłów i ich wyborców. Na Narutowicza postawiła też lewica, skłonna podjąć jakąkolwiek decyzję, byle przeszkodzić w wyborze Zamoyskiego. Ostatecznie Narutowicz otrzymał 289 głosów (103 przedstawicieli mniejszości oraz 186 lewicy i centrum), a Zamoyski – 227: właściwie tyle samo, ile na początku. Klęska prawicy była równie nieoczekiwana co druzgocąca.

Wybory prezydenckie wygrał kandydat, który od początku podchodził do swej roli niechętnie i z oporami. Na pierwszą prośbę lidera PSL „Wyzwolenie” Stanisława Thugutta o wyrażenie zgody na nominację z ramienia tej partii zareagował odmownie. Nie dał się w pełni przekonać do samego dnia głosowania. Start odradzał mu Piłsudski. Dostępne źródła nie dają nawet pewnej odpowiedzi, czy zgody tej udzielił już podczas

wyborów, czy też ludowcy postawili go przed faktem dokonanym. Sytuacja była zupełnie niecodzienna.

Zdumiewająca porażka Zamoyskiego spowodowała osłupienie narodowców. Szybko jednak otrząsnęli się z szoku. Osłupienie ustąpiło wściekłości. „Polaryzacja afektywna" z okresu kampanii wyborczej odżyła ze zdwojoną mocą, sprowadzając państwo na skraj przepaści. Jeszcze 9 grudnia środowiska endeckie rozpoczęły bezpardonową i – jak się okazało – zabójczą kampanię antyprezydencką. Dramatyczne wydarzenia z dni między 9 a 20 grudnia (od wyboru Narutowicza po wybór Wojciechowskiego), to jeden z najczarniejszych okresów w historii II Rzeczypospolitej. Do dziś budzi on zdziwienie i przykre odczucia.

Jeszcze 9 grudnia wieczorem narodowi radykałowie z Towarzystwa „Rozwój" sformułowali odezwę, w której ogłosili zorganizowanie następnego dnia „wielkiego wiecu rozwojowego" pod siedzibą Towarzystwa przy ulicy Żurawiej 2. „Rozzuchwalone dotychczasowym powodzeniem żydostwo sięgnęło po najwyższą władzę w Polsce" – alarmowano. I zachęcano: „Cały obóz narodowy winien odważnie i z energią spojrzeć prawdzie w oczy i dać mocną odprawę żydowsko-masońskiemu zamachowi na godność i honor Narodu Polskiego". „Stawcie się licznie!" – apelowano. „Niech żyje wolna od żydów [*sic*!] Polska!!! Niech żyje wolny i wyzwolony spod wpływów żydowsko-masońskich Naród Polski".

„Niech żyje!" – mógł odpowiedzieć Niewiadomski, a na pewno czytał ten apel. Na „zamach na godność" trzeba było odpowiedzieć własnym zamachem.

RODACY!

Rozzuchwalone dotychczasowem powodzeniem żydostwo, sięgnęło po najwyższą władzę w Polsce. Ich głosami (razem 103 głosy mniejszości narodowych), przy poparciu socjalistów i piastowców (łącznie 186 głosów polskich), wybrany został na Prezydenta Rzeczypospolitej Gabryel Narutowicz, przeciwko Maurycemu Zamoyskiemu, za którym opowiedziało się 227 posłów—polaków.

Cały obóz narodowy winien odważnie i z energją spojrzeć prawdzie w oczy i dać mocną odprawę żydowsko-masońskiemu zamachowi na godność i honor Narodu Polskiego. Wzywamy tych posłów—polaków (oraz ich wyborców), którzy w zaślepieniu partyjnem skorzystali z poparcia żydów do przeprowadzenia swego kandydata, by jaknajprędzej się opamiętali i nawrócili z drogi, która prowadzi do ostatecznego wydania Polski na żer międzynarodowego, żydowsko-masońskiego mocarstwa anonimowego.

Obywatele, w obliczu nowej porażki narodowej, zdobędźcie się na czyn, i ślubujcie wytrwale i ofiarnie pracować nad wyzwoleniem Polski z pod wpływów żydowskich!

W celu omówienia szczegółów tej pracy, zwołujemy w niedzielę dnia 10 grudnia 1922 r. o g. 4 po poł. w siedzibie naszej (Żórawia 2)

WIELKI WIEC ROZWOJOWY.

Stawcie się licznie!

Niech żyje wolna od żydów Polska!!

Niech żyje wolny i wyzwolony pod wpływów żydowsko-masońskich Naród Polski!

Odezwa Towarzystwa „Rozwój” z 9 grudnia 1922 roku. Fot. Polona

Jeszcze zanim marszałkowie Sejmu i Senatu udali się do Pałacu Brühla – siedziby MSZ, gdzie przebywał Narutowicz – tłum przed gmachem parlamentu zaczął gęstnieć. Wychodzących posłów witały okrzyki „Przecz z Narutowiczem!”, „Niech żyje Zamoyski!”. Tłum ruszył w stronę Nowego Miasta i Krakowskiego Przedmieścia. Zatrzymał się przed siedzibą poselstwa włoskiego, wykrzykując „Niech żyje Mussolini!”, „Niech żyje polski faszyzm!”. Poseł włoski Tommasini wcale nie był zresztą zachwycony działaniami narodowców. Jak wiemy, wysłuchano też płomiennego przemówienia generała Hallera. Grupa protestujących wybiła kilka szyb w redakcji „Kuriera Porannego” przy ulicy Marszałkowskiej. Już nocą, w okolicach Dworca Wiedeńskiego, ostatnie bojówki zostały rozproszone przez niemrawą policję.

Dzień później, 10 grudnia, zgodnie z wezwaniem narodowców odbył się burzliwy wiec, który wieczorem przeistoczył się w kolejne zamieszki, głównie w okolicach Alej Ujazdowskich. Tłum niósł na rękach Stanisława Grabskiego, wznosząc okrzyki przeciw Narutowiczowi, ale także przeciw Witosowi, który nie poparł Zamoyskiego w głosowaniu prezydenckim. Ponownie zebrano się przed mieszkaniem generała Hallera, który wygłosił kolejne przemówienie. Poseł Konrad Ilski, niesiony na ramionach studentów, wzywał tłum, by następnego dnia zajął ulice i nie dopuścił do zaprzysiężenia prezydenta elekta. Pochód demonstrował później przed Sejmem, a także przed Hotelem Europejskim.

W mieście dochodziło do ekscesów antyżydowskich. Poparcie ze strony znanych polityków rozzuchwaliło ludzi, niekoniecznie zresztą związanych

z konkretną opcją polityczną. W dodatku z ulic w zasadzie zniknęły służby porządkowe. Do dziś nie jest pewne, dlaczego tak się stało.

Podczas wiecu z 10 grudnia uchwalono rezolucję, w której wzywano nominata do rezygnacji i nieskładania przysięgi. Wybrano delegację, która miała wręczyć elektowi ten dokument. Policja nie dopuściła jej jednak do gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie wciąż przebywał prezydent elekt, formalnie nadal jeszcze pełniący funkcję ministra spraw zagranicznych. Tego samego dnia przywódcy endecji i chadecji – m.in. Stanisław Głąbiński, Stanisław Grabski, Marian Seyda, Józef Chaciński, Stanisław Stroński, Edward Dubanowicz i Wojciech Korfanty – podpisali protest przeciw elekcji i zapowiedzieli walkę o jej unieważnienie. W związku z tym marszałek Rataj udał się do Pałacu Brühla (siedziby MSZ) na naradę z Narutowiczem. Postanowili zgodnie z planem zorganizować zaprzysiężenie 11 grudnia o godzinie 12.00.

Narodowi politycy nazajutrz spełnili swe obietnice. Prawica po prostu zbojkotowała uroczystość. Jak wiemy, w Warszawie wybuchły zamieszki i walki między bojówkami socjalistów i endeków. Zaskakująca bierność policji trwała. Jednocześnie prawicowi politycy starali się stosować quasi-prawne sztuczki. Z samego rana do Rataja zgłosił się poseł Edward Dubanowicz, oświadczając, że Narutowicz zadeklarował się w Szwajcarii jako bezwyznaniowiec. Czy wobec tego przysięga na Biblię, którą przewidziano w harmonogramie uroczystości, nie byłaby bluźnierstwem? – pytał przekornie endek. Zirytowany marszałek odprawił posła.

Ostatecznie Narutowicz został zaprzysiężony, składając przysięgę w ponurym otoczeniu na wpół pustej sali obrad. W tym czasie część parlamentarzystów prawicy popijała kawę w sejmowym bufecie. Udało się jednak zebrać kworum. Obecni posłowie byli przerażeni tym, co się dzieje wokół budynku. Po problemach związanych z dotarciem do gmachu Sejmu

bali się teraz wyjść. Na czole składającego przysięgę prezydenta widoczny był z daleka siniak spowodowany uderzeniem, które otrzymał, gdy został zaatakowany przez tłum w drodze do Sejmu. Endecję dodatkowo rozwścieczyło przemówienie nowego prezydenta, który złożył hołd swemu „znakomitemu poprzednikowi marszałkowi Piłsudskiemu” i obiecał „wiernie kontynuować jego politykę pokoju, sprawiedliwości i bezstronnego stosunku do wszystkich polskich obywateli, niezależnie od ich pochodzenia i poglądów”.

Można sobie wyobrazić, jak na te słowa, rozpowszechniane przez prasę, zareagował Niewiadomski. Dla niego oznaczały one wyrok skazujący.

Po zaprzysiężeniu zarówno prezydent, jak i posłowie ociągali się z wyjściem z budynku. W salach komisji sejmowych, gdzie kręcili się posłowie prawicy, atmosfera gęstniała. Dochodziło do bójek. Generał Haller o mało nie pobił się z Jędrzejem Moraczewskim. Parlamentarzyści PPS gwałtownie atakowali odchodzącego szefa MSW Kamieńskiego za nieudolność i utratę kontroli nad sytuacją w mieście. Blady i przerażony minister bronił się zupełnie niedołężnie. Marszałek Rataj biegał od sali do sali, uspakajając krnąbrnych polityków. Któryś z posłów socjalistycznych oznajmił, że na Wiejską podążają robotnicy z zamiarem odbicia trzech uwięzionych posłów. „Chcecie wojny domowej?” – zapytał prowokacyjnie endek Stanisław Stroński.

Narutowicz, wystraszony wizją starcia, nie czekał na zbliżających się robotników i postanowił wreszcie wyruszyć w drogę powrotną do Łazienek. Wśród gróźb, okrzyków i rzucanych kamieni udało mu się bezpiecznie wydostać. Tymczasem bojówki robotnicze rzeczywiście dotarły w okolice placu Trzech Krzyży. Zaczęły się walki. To właśnie wtedy zginął socjalista Jan Kałuszewski.

Wieczorem Piłsudski zebrał w Belwederze Radę Ministrów. Zgromadzeni mieli zażenowane, niepewne miny. Zdenerwowany marszałek, trzymając w ręku protokół zaprzysiężenia prezydenta, chciał się dowiedzieć, czy nadal jest Naczelnikiem Państwa czy już nie. Zażądał pełnomocnictw do rozprawienia się z tłumem. Marszałek Rataj delikatnie odmówił.

Chcąc odwrócić uwagę opinii publicznej od zamieszek z 11 grudnia, trzy dni później posłowie Związku Ludowo-Narodowego, Klubu Chrześcijańskiej Demokracji i Klubu Chrześcijańsko-Narodowego wystąpili z wnioskiem o powołanie sejmowej komisji śledczej dla zbadania działalności „bojówek socjalistycznych". Wniosek ten, jak czytamy w stenogramie z obrad Sejmu z 14 grudnia, wywołał „wesołość na lewicy". Sama lewica nie pozostała jednak dłużna: tego samego dnia wezwała Sejm do powołania „komisji specjalnej" dla zbadania „wrogich dla Państwa manifestacji" i postawienia w stan oskarżenia „sprawców oraz urzędników winnych zaniedbania obowiązków służbowych", w tym ministra Kamieńskiego.

Sejmowa walka na komisje śledcze – czy czegoś nam to nie przypomina?

Między 11 a 14 grudnia kraj pogrążył się w chaosie. Narutowicz, przerażony otaczającą go nienawiścią, był bliski załamania się. Zwlekał z przejęciem władzy. Wcale jej zresztą nie pragnął. Poirytowany Piłsudski domagał się jasnej deklaracji i odpowiedzi na pytanie, czy jest jeszcze Naczelnikiem Państwa. Dwunastego grudnia endecja zorganizowała strajk młodzieży szkolnej, a organizacje robotnicze z całego kraju wzywały warszawskich towarzyszy do strajku. W lokalu PSL „Wyzwolenie" przy ulicy Karowej zebrało się kilkuset sympatyków partii gotowych do działania. Kolejne zamieszki nie wybuchły tylko dzięki bardziej

zdecydowanym działaniom nowego szefa MSW Ludwika Darowskiego, typowanego na nowego, przejściowego premiera. Mimo że minister nie ogłosił stanu wyjątkowego, na ulice Warszawy wyszło wojsko. Sytuacja w mieście przypominała stan oblężenia.

Nie może dziwić, że obrady sejmowe z 14 grudnia okazały się niezwykle burzliwe i gorące. Wystąpienia kolejnych posłów były regularnie zakłócane przez gwizdy, śmiechy, okrzyki lub oklaski słuchających. Lewica wyzywała prawicę od „faszystów", endecy wykrzykiwali, że przed mniejszościami narodowymi nie będą ustępować. Podczas przemowy Stanisława Strońskiego, który gwałtownie atakował prezydenta na łamach endeckiej prasy, z ław zajmowanych przez posłów żydowskich dobiegły szydercze okrzyki: „Won, żydzie [*sic*!], won! My na przechrztach robimy najgorszy interes!". Sprzeczki parlamentarnych pieniaczy tylko podgrzewały nerwową atmosferę w kraju.

Tego dnia Narutowicz ostatecznie przejął obowiązki prezydenta Rzeczypospolitej, a Piłsudski złożył urząd Naczelnika Państwa. Uroczystość przekazania władzy odbyła się, jak pisałem, w Belwederze. Poprzedziła ją dość żenująca scena protokolarnego rozliczenia funduszy Naczelnika. Jednocześnie rząd Juliana Nowaka podał się do dymisji. Nie oznaczało to jednak końca niepokojów. Wręcz przeciwnie. Na nic zdały się gesty Narutowicza, który w pierwszej kolejności zdecydował się na rozmowy z przywódcą chadecji Józefem Chacińskim i kardynałem Kakowskim, chcąc zyskać przychylność choć części umiarkowanej prawicy.

Najważniejszym – obok zamieszek ulicznych i ostracyzmu politycznego – narzędziem antyprezydenckiej nagonki stała się endecka prasa oraz liczne publiczne odezwy i rezolucje. Nigdy jeszcze młoda II Rzeczpospolita nie doświadczyła tak brutalnego i okrutnego ataku

medialnego na najwyższego urzędnika państwowego. Nie doświadczyła tego zresztą i później.

Bezpośrednio po wyborze tytuły endeckich gazet były jednoznaczne: *Zwycięstwo nad Polską*, *Jezus Maria!* – mogli wyczytać kupujący. Dwunastego grudnia na łamach „Kuriera Warszawskiego” poseł Władysław Rabski pisał: „za jaką bądź cenę Prezydentem Rzeczypospolitej miał zostać Piłsudski. Albo we własnej osobie, albo w manekinie z ukrytymi sznurkami. Jeżeli się uda, to bez żydów. Jeżeli się nie uda, to z żydami. Wszystko jedno jak”. Wizja Narutowicza jako kukły sterowanej przez marszałka musiała działać na wyobraźnię Niewiadomskiego.

Wyrazy szoku mieszały się z wezwaniem do działania. Już 9 grudnia, bezpośrednio po głosowaniach, komisja parlamentarna Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej w szybko przyjętej rezolucji pisała o „podeptaniu zdrowej polityki narodowej”, do jakiego doszło w trakcie wyboru głowy państwa. Nominacja Narutowicza stanowiła „ciężką zniewagę, wyrządzoną pokoleniom, które o niepodległość walczyły” oraz „gwałt zadany myśli politycznej” i „groźne znamię rozstroju”. „Warszawa nie zawiedzie!” – przekonywała z kolei niewiele później „Gazeta Poranna 2 grosze”, a radykalni narodowcy ze stowarzyszenia „Rozwój” w swej odezwie pisali wprost: „Obywatele! W obliczu nowej porażki narodowej zdobądźcie się na czyn!”. To było już niemal wezwanie do rewolucji.

Głównym „pistoletem” prasy endeckiej okazał się Stanisław Stroński – czterdziestoletni uczony romanista, wpływowy prawicowy publicysta i poseł powiązany z obozem narodowym. Miarą jego znaczenia i medialnej skuteczności był wspominany już fakt, że to on ukuł określenie „cud nad Wisłą”, mające pierwotnie zdeprecjonować rolę Piłsudskiego w odparciu ofensywy Armii Czerwonej.

Teraz Stroński przystąpił do bezpardonowego ataku na Narutowicza. Podobno już po II wojnie światowej przyznał, że był to największy błąd jego życia. Na pewno nie uważał tak późnym wieczorem 9 grudnia, tuż po niespodziewanej nominacji, kiedy pełen wzburzenia zasiadł do pisania namiętnego artykułu dla „Rzeczpospolitej”. Tekst ukazał się nazajutrz w numerze 337 dziennika pt. *Ich prezydent*. Stroński nie miał wątpliwości, że za nominację odpowiadały „obce narodowości: Żydzi, Niemcy, Ukraińcy”, które „rozstrzygnęły i narzuciły większości polskiej w Zgromadzeniu Narodowym i narodowi polskiemu pana Narutowicza na prezydenta”. Dziennikarz jako „hańbę” określił postępowanie PSL „Piast”, które nie poparło hrabiego Zamoyskiego i ugięło się „kornie, haniebnie, nędznie” woli „Żydów, Niemców i Ukraińców”.

Nie dość, że wybrany głosami „nie-Polaków”, to jeszcze Narutowicz (zdaniem Strońskiego) po prostu nie nadawał się na urząd. Był za mało patriotyczny, narodowy, polski. „Czy pan Gabriel Narutowicz – wołał autor – nie ma poczucia niewysłowionej krzywdy wewnętrznej, jaką wyrządza narodowi polskiemu, przyjmując wybór tak dokonany z podeptaniem najsłuszniejszych zasad tego narodu, który walczył z pokolenia na pokolenie, aby sam, naprawdę sam o swych losach rozstrzygał?”. „Wybór ten – konkludował – zdumiewająco bezmyślny, wyzywający, jątrzący, wytwarza stan rzeczy, z którym większość polska musi walczyć i na podstawie którego żadną miarą nie stanie do pracy państwowej, bo to byłoby tylko utrwaleniem rozstroju i zagładą podstawowych pojęć, którymi stoją narody”.

Rozgorączkowany autor wprost namawiał w ten sposób do zamachu stanu! Wzywał do buntu wobec prawa, konstytucji i legalnie wybranych władz. Nazywając Narutowicza „ich” prezydentem i tytułując go per „pan” pokazywał, że nie uznaje jego wyboru. Czy jest przypadkiem, że

w anonimach, grożących Narutowiczowi śmiercią, znalazły się wyrażenia łudząco przypominające użyte w tym tekście słowa?

Dwa dni później, 12 grudnia, w „Rzeczpospolitej” ukazał się kolejny tekst Strońskiego. Dzień wcześniej w zamieszkach ulicznych zginął człowiek, a Narutowicz został obrzucony kamieniami i śniegiem, tymczasem polityk skupił się na krytyce prasy lewicowej i żydowskiej, triumfującej po zwycięstwie „ich prezydenta”. „Żydzi, na czele obcych narodowości – przekonywał Stroński – czują się zwycięzcami, nie ukrywają tego, od razu wyciągają ręce po dalsze zdobycze: »Poszło z Prezydentem, pójdzie i z Rządem!«”. Jednak naród polski nie pozwoli na realizację tych niecnych zamiarów: „niechże stronnictwa lewicy, które w takim wyborze p. Narutowicza uczestniczyły, zrozumieją, że one to rzuciły wyzwanie społeczeństwu polskiemu, one dotknęły je w najzdrowszych pojęciach i najsłuszniejszych uczuciach, one urządzają sobie niegodziwe igraszki i haniebne wystawienie na próbę jego cierpliwości. Naród, w którego żyłach płynie krew, a nie gnojówka, musi się wzburzyć, gdy mu się bezczelnie i szyderczo pokazuje, że o najważniejszych i najdroższych dlań urządzeniach odzyskanego w męce i ofierze państwa niepodległego rozstrzygają wrogo wobec polskości występujące narodowości obce”.

„Kto śmie w ogóle porównywać zuchwałą i na zimno popełnioną zbrodnię takiego szarpania uczuć narodowych z wykroczeniami wzbudzonej młodzieży na ulicy?” – retorycznie pytał Stroński, uznając tym samym, że śmiertelna ofiara zamieszek i kilkudziesięciu rannych nie mogą równać się ze „zbrodnią” wyboru Narutowicza. Co więcej, oskarżał o rozlew krwi bojówki piłsudczykowskie, które zaatakowały narodową „młodzież”. Zarazem usprawiedliwiał oburzenie Polaków przejawiające się gwałtownymi demonstracjami (nie skrytykował zaatakowania Narutowicza

przez tłum) i wciąż wzywał do nieuznawania wyników głosowania. Czy marzył mu się faszystowski przewrót?

Chyba jednak nie: dzień później dziennikarz nieco się opanował – przynajmniej deklaratywnie. W tekście *Prawo i jego istota*, wydrukowanym w „Rzeczpospolitej” z 13 grudnia, podkreślał: „oburzenie społeczeństwa jest najzupełniej słuszne i zrozumiałe, nie przebrzmi też ono w ciągu paru dni, będzie trwało póty, póki trwa przyczyna, ale wyrażać się ono będzie w uchwałach zgromadzeń obywatelskich, w głosach pism, w stanowisku stronnictw, a nie w zaburzeniach ulicznych”. Nie wyrzekł się jednak wcześniejszych sądów. „Wybór jest prawny – przyznawał z niechęcią, ale: – Konstytucja w ogóle nie wszystko mówi, co jest słuszne i samo przez się zrozumiałe, zostawiając niejedno, więcej niż niejedno, bo samą istotę rzeczy, jak w każdym prawie, woli i rozumowi ludzi, którzy się tym prawem rządzą”.

W dalszej partii tekstu Stroński powrócił do kwestionowania wyboru Narutowicza. „Nie mówi Konstytucja, jaki ma być Prezydent” – przekonywał. „Nie mówi, że powinien być uczciwy, rozumny, zdolny. A jednak nie jest to zapewne bezprawiem, jeśli żądanie tych właściwości, prawnie wcale niezastrzeżonych, uzna się za nakaz sumienia obywatelskiego. Nie mówi też Konstytucja, jaką większość powinien mieć za sobą Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Nie mówi, że powinna to być większość polska”. Jednak obok konstytucji istnieją jeszcze „wierzenia, uczucia, sądy i wola”. Wynika z tego, że wybór prezydenta, choć „prawny”, był zarazem... bezprawny.

Dla Strońskiego było oczywiste, że „ogół polski musiał odczuć narzucenie większości polskiej Prezydenta Rzeczypospolitej przez obce narodowości w połączeniu z mniejszością jako niebezpieczeństwo i jako poniżenie. Co tu dużo mówić: są Polacy, nie tylko na prawicy, ale i na

lewicy, którzy by takiego wyboru nie przyjęli, uznając, że jeśli się jest Polakiem i ma się być pierwszym urzędnikiem w Polsce, trzeba mieć zaufanie większości Polaków, bo inaczej zrywa się bezcenne węzły spoistości i godności narodowej". Dlatego „zdrowo" myślący politycy spodziewali się, że Narutowicz wyboru nie przyjmie. Narutowicz, z ciężkim sercem przyjmując przeznaczony mu urząd, stanął na drodze do „godności narodowej".

Czternastego grudnia w artykule o brzemiennym tytule *Zawada* („Rzeczpospolita", nr 341) dziennikarz wyciągnął logiczny wniosek z powyższego rozumowania. Narutowicz był „zawadą". A co się robi z zawadą? Usuwa się ją – dopowiadał domyślny czytelnik. Na przykład Eligiusz Niewiadomski. Tekst ten, wraz z ukutym wówczas hasłem „usunąć tę zawadę!", stał się ponurym proroctwem. Niewiadomski wezwanie to zrozumiał dosłownie.

„Narutowicz osobą swą zawalił drogę ku naprawie gospodarczo-skarbowej w państwie, która już-już przeświecała przed oczyma wśród otchłani rozstroju" – patetycznie przekonywał Stroński. Poprzez głosy „nie-Polaków" nowy prezydent zburzył możliwość stworzenia stabilnej, narodowej większości w sejmie, której wyczekiwano w każdym „kątku ziemi polskiej". Przebieg głosowania prezydenckiego i zachowanie PSL „Piast" mogły okazać się tylko „złośliwym przypadkiem", gdyby Narutowicz nie przyjął stanowiska. „Ale okazuje się zaraz, że przyjmuje, a w dalszym ciągu, że uparcie trwa w tym postanowieniu. I wtedy oczy wszystkim się otwarły. Więc to nie przypadek? Któż to na drogę wiodącą ku większości polskiej, ku odpowiedzialności, ku ludowi, ku uzdrowieniu, rzucił ten kloc nieczuły, ociężały, nieruchawy, tępy? Poznano w tej robocie dobrze znajomą rękę. To pan Piłsudski, odchodząc i zdawało się, otwierając swym odejściem drogę ku lepszym czasom, na odchodnym rzucił na tę

drogę, jako niezawodną zaporę, pana Narutowicza, wybranego głosami lewicy i obcych narodowości”.

Słowa te łudząco przypominały argumentację samego Niewiadomskiego, którą jeszcze będziemy mieli okazję prześledzić. Czyżby po prostu przejął i zinternalizował wywody Strońskiego? Podobne przypadki zdarzały się wcześniej w jego życiu; co więcej, Stroński idealnie zaspokajał potrzeby Eligiusza, oferując mu konkretny cel.

Poseł Stanisław Stroński w kuluarach sejmowych, 1931 rok. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Tak więc Piłsudski – tłumaczył dalej polityk i dziennikarz – „zawalił drogę ku stworzeniu większości polskiej panem Narutowiczem [...]. Zawada jest skuteczna. Pierzchły widoki uzdrowienia gospodarczo-skarbowego i wzmocnienia stanowiska za granicą. Zamiast tego wynurza się po staremu pan Piłsudski. Naj bude jak buwało. To znaczy, ta zawada. Czy pęd kraju do życia i zdrowia nie otworzy drogi ku odpowiedzialności, polskiej większości, pracy i lepszej przyszłości?”.

„Otworzy – odpowiadali sobie na to pytanie czytelnicy – jeśli usunie się zawadę”. Tak zapewne odpowiedział i Niewiadomski. Pomyślał, że to on zostanie tym bohaterem, który odważy się na śmiały ruch i wymierzy decydujący cios, który przywróci ojczyznę na właściwe tory. I wyniesie na piedestał owego bohatera. Niecałe dwa dni później zaatakował.

W tych dniach również „Gazeta Warszawska” nazywała Narutowicza „zaporą”. Dwunastego grudnia – tuż po brutalnych zamieszkach – ten sam dziennik wzywał: „przetrwaliśmy niewolę obcą, potrafimy się wyzwolić i z sieci, w jakiej nas trzyma żydostwo przy pomocy, niestety, obałamuconej części własnego naszego społeczeństwa. Do czynu! Do walki!”.

Komentując rozruchy z 11 grudnia, dziennikarze „Gazety Warszawskiej” przekonywali w uniesieniu: „Z piersi młodzieży wyrwał się jeden okrzyk bojowy: nie chcemy takiego prezydenta! Nie znamy go! Okrzyk ten przeleciał przez ulice Warszawy i żywiołowo utworzył się wielki pochód, do którego przyłączyła się młodzież stojąca u wrót sejmu”. Dzielna młodzież w szlachetnym uniesieniu broniła polskości – zdawali się mówić autorzy. Bezpardonowo atakowali nowego prezydenta. „W Polsce nikt nie zna pana Narutowicza [...]. Narutowicz nie zna Polski. Z pochodzenia kresowiec z Kowieńszczyzny, z rodziny litwomanów, od młodości mieszkał w Szwajcarii i tam naturalizowany, nie był znany nawet kolonii polskiej [...]. Człowiek bogaty w rozmiarach wystarczających, aby

nim się interesowała finansjera światowa, przeznaczając go do określonej w Polsce roli. Ponieważ on stosunków polskich nie zna i nawet nie umie dobrze mówić po polsku, a więc tym bardziej obóz narodowy nie tylko nie pomyślał o nim jako o kandydacie, ale nawet go zwalczał".

W tym opisie Narutowicz jawi się niemal jako międzywojenne wcielenie Stana Tymińskiego z prezydenckich wyborów w 1990 roku. Wśród przekłamań i oszczerstw prasy endeckiej znaleźć można nawet takie rewelacje, jak rzekome krewniactwo Piłsudskiego i Narutowicza (w istocie łączyły ich bardzo dalekie więzy powinowactwa).

Trzynastego grudnia skonfiskowano bieżący numer „Gazety Porannej" za tekst *Głód krwi*, w którym anonimowy autor ostrzegał przed „rzekami krwi", które mogą popłynąć ulicami stolicy w odpowiedzi na rzekome prowokacje „socjalistów i wyzwoleńców", uderzające w „ludność polską Warszawy".

Napięcie sięgało zenitu. Nie trzeba nawet dodawać, że udzielało się ono Niewiadomskiemu.

Jeszcze 16 grudnia rano warszawiacy mogli w „Rzeczpospolitej" przeczytać kolejny tekst Strońskiego pt. *Przeciw większości*, w którym pisał, że „potwornością było pogwałcenie w wyborze prezydenta Rzeczypospolitej najzdrowszych i najgłębszych poczuć całego myślącego ogółu polskiego". Autor przekonywał też: „pan Prezydent Narutowicz zaczyna swą działalność od wyraźnego przeciwstawienia się woli i dążnościom większości Sejmu", zwracając uwagę na problemy z uformowaniem nowego rządu i sugerując, że prezydent chce utorować drogę powrotu do władzy Piłsudskiemu. Nie mógł wiedzieć, że sugestia ta przybierze makabryczny obrót: śmierć Narutowicza i chwilowa anarchia, jaka po tym nastąpiła, owocowała przecież spiskiem piłsudczyków,

o którym wcześniej pisaliśmy. Piłsudski, gdyby tylko chciał, mógł sięgnąć po władzę. Zadanie to ułatwił mu jednak nie Narutowicz, a Niewiadomski.

Na parę godzin przed śmiercią prezydenta w sprzedawanej na ulicach miasta „Gazecie Porannej" zamieszczono informację, że lewica popełniła „akt samobójstwa moralnego" i „dyszy pragnieniem zemsty" za wydarzenia z 11 grudnia, kiedy „musiała chronić się po sieniach kamienic przed gniewem i rozpaczą »ulicy«". Niewiadomski, zaaferowany przygotowaniami do zamachu, być może zdążył jeszcze przejrzeć poranną prasę z 16 grudnia i natrafić na te słowa.

Dla równowagi należy zwrócić uwagę, że retoryka prasy lewicowej wcale nie ustępowała w zacietrzewieniu i zwykłej nieuczciwości swym narodowym konkurentom. W pełni tendencja ta rozkwitnie po zabójstwie, jednak i wcześniej, choć socjalistyczni publicyści starali się pozować na strażników porządku i konstytucji, nie byli, łagodnie mówiąc, obiektywni. O ile nowego prezydenta oceniano raczej pozytywnie („Robotnik" nazywał go „uczciwym demokratą" i „działaczem nieskazitelnym"), o tyle bardzo ostro krytykowano wybryki środowisk narodowych, określanych mianem „młodocianych faszystów". Czternastego grudnia bliski współpracownik Piłsudskiego Tadeusz Hołówko (który zginie w zamachu z rąk ukraińskich nacjonalistów w 1931 roku) na łamach „Robotnika" opublikował artykuł *Brońmy Polski przed prawicowym bolszewizmem*. Nie bez pewnej dozy słuszności zauważał w nim, że nie akceptując wyboru Narutowicza, „Narodowa Demokracja wkroczyła obecnie na drogę walki rewolucyjnej z Konstytucją 17 Marca".

Autor, który bynajmniej nie należał do najbardziej rozgorączkowanych publicystów tamtych dni, odniósł się też do zamieszek z 11 grudnia: „wszystko to było z góry uplanowane przez prawicowych posłów. Ci właśnie ludzie, zaślepieni w swej partyjnej nienawiści, wyprowadzili na

ulicę tłumy młodzieży i kazali im przy pomocy kijów i rewolwerów obrócić wniwecz prawomocny i legalny wybór Zgromadzenia Narodowego [...]. I nie to jest straszne, że były rozruchy, że zbałamucona młodzież po wojskowemu zorganizowana strzelała do polskich robotników, bo ci ostatni szybko uspokoili łobuzów, ale to jest straszne, że ta młodzież wystąpiła jako czynnik polityczny, depczący Konstytucję, znieważający posłów, ciskający obelgi Prezydentowi Rzeczypospolitej [...]. Niech każdy w Polsce wie, że jest kara za zamachy na państwo, nie tylko ze strony komunistów, lecz i bolszewików prawicowych".

Trzynastego grudnia centrowy „Kurier Polski" zamieścił tekst *Syzyfowa polityka*, bardzo ostro (i przesadnie) atakujący demonstrantów sprzed dwóch dni, którzy „dobijali kijami leżących na ziemi przeciwników, zrzucali z koni polskich szwoleżerów, próbowali wydzierać karabiny polskiej piechocie". Tego samego dnia „Przegląd Wieczorny" konkludował: „prasa nacjonalistyczna grozi faszyzmem otwarcie, strzały już stwierdziły, że to nie próżne postrachy, ani nie przechwałki". Polsce grozi „czarny bolszewizm" – ostrzegał anonimowy autor.

Zygmunt Kisielewski w tekście *Zbezczeszczenie Rzeczypospolitej* w „Robotniku" dopowiadał: „fatalna choroba rozwija się w piwnicach spisku tolerowanego w złowrogiej apatii [...]. Uczucie wstydu i poniżenia ogarnia wszystkich; w każdym z Polaków, którzy czują i myślą odpowiedzialnie, tkwi, musi tkwić uczucie, że stało się coś nad wszelki wyraz nędznego, wstrętnego i nikczemnego. Jakby na obraz Rzeczypospolitej, chowany w sercach najczulszych i najgłębszych, z całym cynizmem i wyuzdaniem zbrodniczym wylano kubeł pomyj".

Dwunastego grudnia bardzo ostrą rezolucję przyjął Centralny Komitet Wykonawczy PPS. „Ulica przeszła pod władzę motłochu, okłamanego cynicznie przez wodzów stronnictw reakcyjnych" – przekonywano.

„Chjena” chciała wprowadzić „dyktaturę fabrykantów, obszarników, bankierów i ich płatnej służby”. „Dziki gwałt może zniszczyć Polskę, jeżeli nie spotka odporu” – przestrzegano. W związku z tym wezwano do jednodniowego strajku powszechnego w piątek 15 grudnia. „Wróg chce obalić demokrację. Organizujcie się! Bądźcie gotowi do obrony! Precz z reakcją!” – agitowano.

W tym też czasie niezwykle wojowniczą odezwę sformułował klub posłów i senatorów PSL „Wyzwolenie”. W tekście zamieszczono groźbę: „na każdy atak prawicy w miastach lud odpowie natychmiastowym atakiem na wsi”. „Prawica rozpoczęła wojnę domową!” – alarmował już bez ogródek Warszawski Okręgowy Komitet Robotniczy PPS w odezwie z 12 grudnia. Czyżby przygotowywano tam grunt pod pożądany przewrót Piłsudskiego?

Wydaje się, że niektórzy fanatycy po obu stronach liczyli na wybuch ogólnonarodowej rebelii. Liczył na nią też Niewiadomski. I chciał tę wojnę wygrać, zabijając prezydenta.

*

Eligiusz z pasją pochłaniał wynurzenia narodowych dziennikarzy, mnożące się po nominacji Narutowicza. Z obrzydzeniem czytał riposty lewicy. Jedne i drugie doskonale wpisywały się w jego poglądy i skutecznie krystalizowały jego zamiary. Utwierdzały go tylko w decyzji, którą właśnie w sposób ostateczny podejmował.

Wstrząsanego wojnami i wewnętrznymi konfliktami państwa Niewiadomski nienawidził coraz bardziej. Brutalna kampania wyborcza i następujący po niej bezpardonowy atak na pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej tylko podsycały jego uczucia. Tak oto podsumowywał

podczas procesu burzliwy okres od odzyskania niepodległości do zabójstwa Narutowicza:

– Przez cztery lata ja i całe moje pokolenie patrzyliśmy na poniewierkę Rzeczypospolitej, na wszystkie zniewagi, jakie jej wyrządzano, na najstraszniejszą i najcięższą rzecz, jaka może naród spotkać: rozkład ducha, który dzisiaj objął wszystkie klasy. Niejednokrotnie zapytywałem sam siebie, skąd to wszystko płynie, skąd płynie ta lawina zła, jaką stale z sobą niesie socjalizm? Dlaczego rzecz, która pierwotnie miała być religią sprawiedliwości powszechnej i jako taka powinnaby uszlachetniać dusze swoich wyznawców, dlaczego spycha te dusze w błoto? Czemu się to dzieje, że wszelkie gady ciągną do tego, jak ćmy do światła? Zapytajmy – byłaby to bardzo ciekawa ankieta – złodziei, sutenerów, awanturników, próżniaków, wszelkie odpadki społeczne o ich wyznanie wiary, o ich przynależność partyjną, a przekonamy się, że wszyscy oświadczą się za którymkolwiek ze stronnictw socjalistycznych. To nie jest przypadkowe. I nie jest przypadkowe, że w łonie całego stronnictwa istnieje tak wielki procent typów patologicznych i zbrodniczych. Czemu się to dzieje, że przy pozorach tak nadzwyczajnej energii socjalistyczne partie zdradzają tak wyraźnie i decydująco niemoc twórczą? To są pytania, które mnie dręczyły. Odpowiedź dało mi życie, dała mi historia.

„Życie” i „historia” podpowiedziały też Eligiuszowi, co należy zrobić. Trzeba zabić prezydenta – prezydenta „złodziei, sutenerów, awanturników, próżniaków”.

Wyjaśnienia sprawcy

Ostatecznej odpowiedzi na pytanie, DLACZEGO Narutowicz musiał zginąć, może udzielić nam osoba najlepiej poinformowana – sam Niewiadomski. Jak tłumaczył swoją decyzję? Czym próbował ją usprawiedliwić? Jak przedstawiał cel, który mu przyświecał?

Najbardziej zdumiewające w postawie sprawcy jest to, że ani przez sekundę nie okazał najmniejszej choćby skruchy ani wyrzutów sumienia. Wyglądało to tak, jakby zabójstwo Narutowicza traktował jako kolejny element swej misji edukowania Polaków i jeden z argumentów w dyskusji politycznej – na równi z erudycyjnymi wydawnictwami z zakresu historii sztuki, ilustracjami, publicystyką, pogadankami i wykładami, projektami organizacji nauki czy manifestami politycznymi. Jednego dnia mówił o „koniu w malarstwie polskim”, drugiego – mordował prezydenta Rzeczypospolitej.

W osobowości Niewiadomskiego być może zatarła się zdolność dostrzegania rzeczywistych skutków działań wynikających z głoszonych poglądów. W połączeniu z niemal całkowitym brakiem empatii – pozwalał na nią sobie tylko w sztuce – dało to wybuchową mieszankę. W tym znaczeniu Eligiusz miał cechy klasycznego fanatyka i socjopaty – osoby nieliczącej się ze skutkami realizacji misji i celu, w jakie wierzył i jakie sobie wyznaczył; osoby przykładającej większą wagę do wierności własnemu systemowi wartości niż do podporządkowania się ogólnoludzkim normom społecznym i moralnym (szanowanie cudzego życia), uczuciom

wyższym, obowiązującemu prawodawstwu. Osoby gotowej bronić własnej sprawy, choćby kosztem własnego życia i życia innych.

Znakomitym źródłem do poznania tego, co sam Niewiadomski mówił o swym czynie, są akta procesu, który wytoczono mu w prawdziwie ekspresowym tempie, jak również więzienne zapiski skazanego już na śmierć zabójcy, tłumaczącego motywy swego postępowania, mające zarazem charakter autokreacji i testamentu politycznego. Chodzi o zwięzły list *Do wszystkich Polaków* oraz cytowane już *Kartki z więzienia*.

Niewiadomski postanowił szeroko wyjaśnić, co skłoniło go popełnienia morderstwa. Jak zobaczymy, wyjaśnienia te w istocie tylko pogłębiają zagadkę człowieka, który – pozostając w pełni władz umysłowych – popełnił bezsensowną zbrodnię w imię wykoncypowanej przez siebie równie bezsensownej teorii.

– Wydaje mi się, że śmierć pana Narutowicza nie może być rozważaną sama w sobie, dlatego bo wtedy, jako fakt oderwany, będzie i dla sądu, i dla opinii publicznej w trzech czwartych niezrozumiała – tak zaczął swe dość zawiłe tłumaczenia Niewiadomski w czasie procesu. – Jasną i zrozumiałą stanie się wówczas, gdy się ją uzna jako to, czym ona istotnie była, a była epilogiem całego łańcucha wydarzeń i związanych z nimi moich przeżyć, które stanowią genezę faktu. Jeżeli chodzi o przelanie światła na sprawę, uważam, że podanie tej genezy jest niezbędne.

Wyjaśnienia, które nastąpiły po tych wprowadzających słowach, musiały wprawić w osłupienie niejedną osobę uczestniczącą w rozprawie sądowej. Eligiusz tłumaczył bowiem morderstwo Narutowicza chęcią zabicia... Józefa Piłsudskiego.

– Na śledztwie wstępnym przemilczałem pewną okoliczność, którą obowiązany jestem tutaj podać – poinformował Niewiadomski. – Strzały, od których padł prezydent Narutowicz, pierwotnie nie dla niego były

przeznaczone. Miał od nich zginąć Józef Piłsudski, Naczelnik Państwa. Dopiero ostatnie posunięcia na szachownicy sejmowej wysunęły siłą jakiegoś fatalizmu pana Narutowicza.

Następnie Niewiadomski wyjaśnił, kiedy pojawił się pomysł zabicia Naczelnika:

– Myśl o zamachu dla odebrania życia Naczelnikowi Państwa kiełkowała we mnie już dawno. Pierwszą chwilą było powołanie rządu ludowego. Od tego czasu podlegała pewnym wahaniom i tłumieniom, aż do chwili sprawy z gabinetem Korfantego. Stronniczość o pomstę do nieba wołająca, jaką okazał w tej sprawie, i język, którym przemawiał pan Naczelnik Państwa do przedstawicieli Sejmu, grożąc im, że zejdzie na ulicę i przemówi językiem ulicy; wreszcie niedotrzymanie zobowiązań przyjętych wobec Korfantego i Sejmu, że nie będzie przeszkadzał tworzeniu się tego gabinetu, wyjaśniły mi ostatecznie moralne i umysłowe jego kwalifikacje.

W narracji Eligiusza to zatem kryzys rządowy z lipca 1922 roku przelał czarę goryczy. Czy rzeczywiście tak było, czy mamy tu do czynienia z racjonalizacją dokonaną *post factum*? Jak by nie było, tezy oskarżonego były zdumiewające: tłumacząc się z morderstwa Narutowicza, perorował na temat przepychanek sejmowych i zachowania Piłsudskiego!

– Od tej chwili rzecz była postanowiona – kontynuował Eligiusz, wskazując tym samym, że przyczynę decyzji o popełnieniu zbrodni stanowiła tak błaha w kontekście życia i śmierci sprawa, jak niepowołanie rządu. – Uległo zwłoce tylko jej wykonanie. Pewne sprawy życiowe zmusiły mnie do odłożenia jej.

Jakie „sprawy życiowe” miał na myśli oskarżony? Być może kłopoty materialne (i rodzinne?) związane z porzuceniem pracy w ministerstwie

kilka miesięcy wcześniej, a także kwestia planowanego wyjazdu do Rumunii i niepokój o losy syna.

Wypowiedź Niewiadomskiego pozwala na w miarę precyzyjne określenie czasu podjęcia decyzji o morderstwie; czy raczej stwierdzenie, co sam o tym mówił: postanowienie to zaczęło kiełkować w jego głowie od czasu powstania rządu Ignacego Daszyńskiego w listopadzie 1918 roku, a ugruntowało się w połowie lipca 1922 roku, w związku z nieudaną misją utworzenia rządu przez Korfantego. Choć poważne, nie było to przecież ani najbardziej istotne, ani też najbardziej dramatyczne wydarzenie tych niespokojnych lat. Między decyzją a zabójstwem (nie tej zresztą osoby, która miała zginąć!) minęło niemal pół roku.

– Przy tym – ciągnął Niewiadomski – nie było sposobności. Kończyłem pośpiesznie moje prace z zakresu teorii i historii sztuki, które przygotowywałem w ciągu życia całego. Potem przyszły wybory. Przyszedł nowy Sejm. Przyszła chwila wahań, niepewność, czy Piłsudski będzie kandydował na stanowisko prezydenta. Sytuacja była napięta i niepewna. Postanowiłem ją rozciąć. I muszę przyznać, że chodziło mi nie tylko o to, ale także i o to, żeby zarazem przekłuć ten balon (nie umiem tego inaczej określić) stronnictw socjalistycznych, wydęty popularnością Naczelnika Państwa. Raz przekłuty, sądziłem, że się okaże oczom wszystkim tym, czym istotnie jest: drobnym, nikłym woreczkiem.

Niewiadomski nie rozumiał, że śmierć Naczelnika mogła tylko wzmocnić legendę Komendanta. Irracjonalnie liczył, że morderstwo zada ostateczny cios idei socjalistycznej i – przede wszystkim – odsłoni jej fałsz i zdradliwość. Dlaczego jednak śmierć marszałka miała mieć takie demaskatorskie skutki? Tego oskarżony nie wyjaśnił. Mało przekonująca teza o „przekłuciu balonu” pokazuje, że sam sprawca miał kłopoty z wytłumaczeniem swego czynu.

Jak Eligiusz opisał reakcję na wycofanie się Piłsudskiego z kandydowania na urząd prezydencki?

– Doznałem dwu uczuć jednoczesnych, dziwnych. Jedno – to było uczucie ulgi, że los uwalnia mnie od konieczności pozbawienia życia człowieka osobiście dobrego, szlachetnego i niepozbawionego rysów bohaterskich. Drugie uczucie – było uczuciem męki i goryczy, że oto człowiek, twórca Judeo-Polski, sprawca, w moich oczach najgłówniejszy, wszystkich nieszczęść ostatnich lat czterech, pozostanie w dalszym ciągu i będzie dalej grał wybitną rolę w życiu Polski. Byłem rozbrojony i czułem się pobity zupełnie, pobity podwójnie. Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że ta rezygnacja – to są pozory, że Piłsudski nie zrezygnuje z roli kierowniczej, że będzie w dalszym ciągu szefem swojej partii, że będzie zajmował wybitne stanowisko w Państwie, że będzie ciążył na jego losach i że z chwilą, gdyby doszło do rozprawy stanowczej, stanie na czele bojówek, na czele strzelców, na czele pułków armii regularnej w walce przeciwko narodowi.

W słowach tych można dostrzec przejawy zatrważającej logiki, która w pełni ujawni się, gdy Niewiadomski zacznie opisywać postać Narutowicza. W swym umyśle morderca ściśle oddzielał człowieka od funkcji, które ten człowiek pełnił. W Piłsudskim istocie ludzkiej Eligiusz dostrzegał dobro, szlachetność i bohaterskie cechy. W Piłsudskim osobie publicznej – tylko bezduszny obiekt pogardy.

– Piłsudskiego pamiętam jeszcze z moich młodych lat – zwierzał się Eligiusz. – Słyszałem o nim, kiedym chodził do warszawskiej szkoły realnej, potem wiedziałem o jego pracy pełnej poświęcenia w drukarni „Robotnika”, wiedziałem o jego aresztowaniach, ucieczkach, recydywach. Uczucie moje w stosunku do niego dałoby się streścić w dwu wyrazach: twarda dusza, bohaterska dusza. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że Piłsudski

miał duszę twardą dla siebie, miękką dla innych, co jest jeszcze piękniejsze. Nie wiedziałem i nie przeczuwałem jednakże, że ten rodzaj piękna, przeniesiony na funkcje Naczelnika Państwa w burzliwej, przełomowej chwili dziejowej, może się dla Państwa okazać zgubny.

Pean na cześć osoby, którą chciało się zabić, brzmi wręcz zatrważająco. Te przekonania wcale nie przeszkadzały Eligiuszowi w podjęciu decyzji o zabiciu Komendanta jako swoistej „karze” za rolę, którą odgrywał w życiu publicznym. Niewiadomski chciał zabić niejako funkcję, stanowisko, a nie konkretną osobę. Jak widać, kompletnie nie liczył się z tym, że zabijając jedno, zabija drugie. To dowód, że w Niewiadomskim zerwały się hamulce norm społecznych i etycznych: nie potrafił odróżnić abstrakcji od ich realnych skutków, w sferze ideologicznej życie ludzkie nie liczyło się.

W momencie, gdy Piłsudski zrezygnował z prezydenckiego fotela, pojawiły się jednak problemy, powiedzmy, „techniczne”:

– Ale pozory rezygnacji i jej okoliczności były tego rodzaju, że o zamachu nie mogło być mowy – w wyjaśnieniach Eligiusza nie widać rozterek moralnych, tylko troskę o nadanie zaplanowanej uprzednio zbrodni nowego, właściwego wymiaru. – Ofiarą byłaby tylko osoba fizyczna Piłsudskiego. Jego popularność, jego idee i jego duch byłyby pozostały i triumfowały. Czyn mój byłby uznany powszechnie za czyn szaleńca i zbrodniarza. Zamiast wzmocnić ideę narodową, byłbym jej zadał cios. To było niepodobieństwem.

Łatwość, z jaką Niewiadomski oddziela „osobę fizyczną” od idei, które ona symbolizuje, nieustannie zadziwia. Zabójstwo Piłsudskiego, który nie pełni żadnej oficjalnej funkcji, byłoby niepotrzebną zbrodnią, budującą jego legendę. Zabójstwo Piłsudskiego prezydenta to z kolei obywatelski czyn zatroskanego losem ojczyzny patrioty. A skoro prezydentem został

Narutowicz... Pokrętna to i zatrważająca logika. Jakim cudem sprawca mógł przy tym sądzić, że śmierć Piłsudskiego, choćby i nieprezydenta, zostanie uznana za niepotrzebną zbrodnię, a „zastępcze” morderstwo nieznanego szerzej Narutowicza, nawet niezwiązanego bezpośrednio z socjalistami, „przekłuje balon” i zmieni oblicze Polski? W grudniu 1922 roku Eligiusz był już tak „rozpędzony”, że musiał zabić. Jego wyjaśnienia to tylko dość rozpaczliwa próba zbudowania ideowej otoczki wokół decyzji o rzuceniu się w przepaść.

– Chcę jeszcze krótko powiedzieć o tym, na co patrzyłem z bliska moimi oczami, o człowieku, na którego planowałem zamach, za który powinienem tutaj być sądzony. – Niewiadomski wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że „musiał” zabić Narutowicza, a nie Piłsudskiego. – O wpływach tego człowieka na aparat państwowy, na jego funkcjonowanie. Ten wpływ niewątpliwie był bardzo duży, chociaż nie zawsze bezpośredni i uchwytny. Piłsudski dawał temu aparatowi swoich wybranych ludzi, a zarazem z Belwederu szedł pewien ton zasadniczy, ton, w którym dźwięczały różne struny, ale najbardziej charakterystyczna – to brak woli twórczej. Wszystkie kółka mechanizmu państwowego dawały mu odzew. Ten mechanizm państwowy, jak o tym wszyscy wiemy, jest chory, robi go nieprodukcyjna wiara w papier. Pisze się trochę potrzebnych, ale także nieskończoną ilość niepotrzebnych papierów.

Eligiusz bez trudności i zatrzymania przeskakiwał od Piłsudskiego do biurokracji, od socjalistów do „żydostwa”, od „Ojczyzny” do narodu. W jego mniemaniu zabicie Piłsudskiego miało rozwiązać wszystkie problemy: ofensywę socjalizmu, brak „mocy twórczej”, biurokrację, wpływy „żydostwa”, sejmokrację itp. Nie rozumiał, że przy takiej argumentacji sam podważał jakikolwiek sens zamordowania Narutowicza.

W swoich tłumaczeniach oskarżony odniósł się też do podejrzeń o wspólników zbrodni. Zrobił to na swój sposób:

– W toku śledztwa zapytywano mnie, czy nie mam wspólników. Mówiono, że *vox populi* twierdzi, że wspólnicy byli. Ten *vox populi* dla mnie o milę pachnie „Robotnikiem” i „Przeglądem Porannym”. Przyznaję dla ich wiadomości, że wspólników miałem. Moimi wspólnikami, tymi, którzy mi dali najwięcej pobudek do spełnienia tego, co spełniłem, są panowie [Feliks] Perl i [Kazimierz] Ehrenberg. Ile razy brałem do ręki te pisma, miałem wrażenie, że wyciągam z archiwów psychopatologii kryminalnej jakąś zatrutą bibułę. W moim rozumieniu każdej ideologii można bronić albo nikczemnie, albo pięknie i po rycersku. Każdej. W ten sposób prowokuje się u przeciwnika podobne stanowisko i prędzej dochodzi się do celu, aniżeli przez przewrotność i pianę na ustach. I to byłoby bardzo pięknie i bardzo po polsku. Ale do tego dziś jest daleko. Nasze partie socjalistyczne, nawet te, które zawierają stosunkowo mniejszy procent żydów [*sic*!], są tak przepojone duchem semickim i psychozą partyjną, że są absolutnie do takiego rycerskiego traktowania swoich przeciwników niezdolne.

Tak więc to owa „nierycerskość” socjalistów i propaganda socjalistycznych dziennikarzy (oczywiście o „niepolsko” brzmiących nazwiskach) były w rozumowaniu Niewiadomskiego odpowiedzialne za jego decyzję. Decyzję, której na pewno nie nazwałby on „nierycerską”, choć oznaczała oddanie strzałów w plecy bezbronnej ofiary.

W próbach wyjaśnienia swojej zbrodni Niewiadomski poruszył zadziwiający wątek: wprost przyznał, że przyczynami morderstwa były te jednostkowe nieprawidłowości, na które skarżył się podczas pracy w kontrwywiadzie i resorcie sztuki: wspominane już niepowodzenia z powołaniem szkoły artystycznej, braki w zaopatrzeniu, sprawa cenzora

żydowskiej korespondencji, jakiegoś studenta politechniki pochodzenia semickiego, pewnego podejrzanego rotmistrza, Lauera, Horwitza, archiwum komunistycznego...

– To są motywy mojego zamachu – stwierdzał, nie zdając sobie sprawy, jak „śmiesznie” to brzmi. – Kto za to wszystko odpowiada? Piłsudski wiedział albo nie wiedział. To, co się działo w defensywie, nosiło wszelkie cechy zdrady stanu. To wyjaśnia mój stan psychiczny. Piłsudski wykazał nieprawdopodobne zdolności w doprowadzaniu Państwa do ruiny. Po czteroletnich rządach, przy odchodzeniu ze stanowiska Naczelnika Państwa, Piłsudski zalecał człowieka miękkiej ręki; znaczy to innymi słowy: starajcie się o rząd słaby, o bezrząd.

– Wielkie badania historyczne XIX wieku udowodniły tragedię dziejową Polski z powodu słabych rządów – kontynuował swoją karkołomną argumentację. – Wie dziś o tym każdy sztubak, nie chciał wiedzieć Naczelnik Państwa. Komu potrzebna jest miękka ręka? Uczciwi obywatele kraju, ludzie o czystych sumieniach nie lękają się ręki twardej. Wszystko, co w Polsce żyło, co było szlachetne, prawnie myślące, domagało się ręki silnej od czterech lat. Miękka ręka jest istotnie potrzebna, ale nie dobrym obywatelom Państwa. Miękka ręka potrzebna jest złodziejom, paskarzom, bandytom, przeniewiercom grosza publicznego, chłopstwu, które się wykręca od płacenia podatków, żydostwu, spiskowcom, zdrajcom stanu; potrzebna jest aferzystom politycznym, potrzebna jest Lauerom, Horwitzom, Okuniom, Daszyńskim, Osmałowskim. Oprócz tego potrzebna jest wszystkim wrogom Polski. Wszyscy oni gardłują za miękką ręką. Piłsudski o tym wiedział – nie mógł nie wiedzieć. Mimo to zalecał miękką rękę i szukał człowieka, i znalazł go... Dalszy ciąg wiadomy...

W rozumowaniu tym Niewiadomski wykazywał naiwną postawę, charakterystyczną raczej dla ludzi o ograniczonych horyzontach, a nie tak wszechstronnie jak on wykształconych: przekonanie, że o ich problemach muszą wiedzieć wszyscy, włącznie z najważniejszymi osobami w państwie. Piłsudski musiał wiedzieć o Lauerze i Horwitzu, żydowskim studencie, podejrzanym rotmistrzu. Musiał wiedzieć, bo to był jego, Eligiusza, problem. A skoro nic z tym nie zrobił, był winien.

Najbardziej zaskakujące, wręcz trudne do uwierzenia jest to, że w swej pierwszej, najdłuższej wypowiedzi na procesie, w której zamierzał przekazać swoje ideologiczne *credo* i w pełni wyjaśnić motywy swego postępowania, Niewiadomski niemal w ogóle nie wspomniał o Gabrielu Narutowiczu. Starając się ukazać przyczyny podjęcia decyzji o zabójstwie, skoncentrował się na atakach na Żydów, socjalistów, biurokrację oraz wygłosił gwałtowną filipikę przeciw... Piłsudskiemu, który według niego odpowiadał za całe zło. Zadziwiająca to argumentacja. Pokazuje ona doskonale, jak dziwnymi zakamarkami przeciskała się myśl Eligiusza. Ofiara kompletnie go nie interesowała.

Dopiero na wyraźne sugestie zdumionych prokuratorów i sędziów, w kolejnej turze pytań i odpowiedzi Niewiadomski poruszył wątek Narutowicza, wyraźnie do tego zmuszony, nie z własnej woli. To, co powiedział, tylko pogłębiło zaskoczenie i niedowierzanie.

– Narutowicz padł ofiarą grozę budzących machinacyj, jakich areną stał się Sejm polski w obliczu całej Polski – próbował przekonywać Niewiadomski. – W sejmie kluby lewicowe w porozumieniu z żydostwem, stojącym na czele jawnych wrogów Polski, postanowiły za wszelką cenę nie dopuścić do prezydentury człowieka niezależnego. Potrzeba im było człowieka chwiejnego, uległego, dającego się powodować.

Mówił to człowiek, który tylko raz widział Narutowicza na oczy: w dniu, w którym go zabił.

– W takim chcieli mieć powolne narzędzie swoich matactw politycznych i gwarancję utrzymania kraju w stanie dotychczasowej anarchii – ciągnął oskarżony. – Udało im się przeprowadzić swojego kandydata głosami żydostwa przeciw większości polskiej. Narutowicz nie zorientował się i wybór przyjął. Zasiadł na fotelu prezydenta, splamionym krwią naszych synów, pomordowanych przez bojówki socjalistyczne w pamiętny poniedziałek jedenastego grudnia.

Niewiadomski w ogóle nie liczył się z faktami. Przecież 11 grudnia zginął sympatyk PPS!

– Przeciwko tym hańbom trzeba było zaprotestować głośno i silnie. – Wywód Eligiusza był coraz mniej logiczny i składny, do głosu zaczęły dochodzić jego manie i fobie. – Bronić majestatu Rzeczypospolitej sponiewieranego przez ciury. Czy miałem do tego prawo? Miałem prawo i obowiązek. Miałem takie prawo jak każdy obywatel, dla którego Ojczyzna nie jest czymś, o czym się dowiaduje z gazet.

Zamach był zatem protestem przeciw „hańbie” głosowania z 9 grudnia. Można zapytać: czy morderstwo legalnie wybranej głowy państwa przyczynia się do podniesienia jego majestatu?

Dalsze słowa Eligiusza są jeszcze bardziej przerażające: – Narutowicz jako człowiek dla mnie nie istniał. Nie widziałem go nigdy, nie znałem go, nie rozmawiałem z nim ani razu; ani ja, ani – zaznaczam to z naciskiem – nikt z mojej rodziny. Wszystkie przypuszczenia na ten temat są fantazją. Wierzę, że jako człowiek, jako profesor, jako mąż, jako ojciec był dobrym, szlachetnym, czcigodnym człowiekiem. Jest to moje głębokie przekonanie, dla mnie jednak nie istniał jako człowiek, ale jako symbol sytuacji

politycznej, symbol zupełnie oderwany od człowieka. Podkreślam to ze względu na jego rodzinę, żeby to, co powiem, nie było dla niej bolesne.

Nie da się ukryć, że to wypowiedź socjopaty. O ile morderstwo popełnione z nienawiści czy pod wpływem choroby psychicznej można w jakiś sposób zrozumieć, o tyle w tym wypadku jesteśmy bezsilni. Morderca myśli zupełnie trzeźwo, jest w pełni władz umysłowych. „Obiekt", który zlikwidował, nie budzi w nim żadnych emocji, nie liczy się. Morderca pozwala sobie wręcz na wspaniałomyślny (w jego mniemaniu), a tak naprawdę mrożący krew w żyłach gest: pozytywnie wypowiada się o zabitym, biorąc nawet pod uwagę „dobro" jego rodziny. Czy nie przechodzi nas mimowolny dreszcz, gdy słuchamy jego słów? Jak niezwykle łatwo Niewiadomski potrafił oddzielić człowieka od „symbolu", który ten człowiek reprezentował! Eligiusz nie żył w świecie z innym ludźmi. Byli pionkami, które w razie potrzeby trzeba strącić z szachownicy. On żył w rzeczywistości symboli i abstrakcyjnych idei.

– Był dla mnie symbolem sytuacji politycznej, symbolem hańby – potwierdza zabójca. – Tę hańbę moje strzały starły z czoła żywej Polski.

Przy okazji usunęły też z grona żywych niewinnego człowieka. Cóż z tego – przecież „Narutowicz jako człowiek dla mnie nie istniał...".

Eligiusz oczywiście nie żałował swego czynu. Wręcz przeciwnie, liczył raczej na pochwałę i uważał siebie za pełnego poświęcenia zbawiciela ojczyzny:

– Nie żałuję niczego, zrobiłem to, co było moim obowiązkiem, moim trudnym, ciężkim obowiązkiem. Spełniłem go twardo i uczciwie. Przez moje ręce przemówiła nie partyjna zaciekłość, tylko sumienie i zelżona godność narodu. Tak jak ja, czują tysiące, tylko nie każdy zrobił to, co stało się moim udziałem.

To słowa nie tylko socjopaty, ale i megalomana. Można sobie wyobrazić, że po tym oświadczeniu uznałby za coś zupełnie naturalnego burzę oklasków wdzięcznych słuchaczy. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

– To wszystko, co mam do powiedzenia – zamykał swoje zeznanie Niewiadomski.

Jedno z ostatnich zdjęć Eligiusza Niewiadomskiego. Fot. Polona

„Narutowicz jako człowiek dla mnie nie istniał”. Oto może najszczersze zdanie, wypowiedziane publicznie przez Niewiadomskiego. Człowiek, którego zabił, zupełnie go nie obchodził. Parafrazując te słowa, ludzie jako

ludzie dla Niewiadomskiego nie istnieli. Podkreślmy raz jeszcze: w swym aspołecznym, antyempatycznym umyśle postrzegał innych pod kątem funkcji, jakie spełniali, oraz własnego systemu wartości. Byli albo wrogami, albo stali po tej samej stronie. Byli urzędnikami, politykami, „żydami", „prawdziwymi" Polakami – ale nie byli dla Eligiusza ludźmi.

Narutowicz zginął więc przez przypadek, niejako w niedoskonałym zastępstwie Piłsudskiego. Była to śmierć zupełnie bezsensowna, bo sam Niewiadomski przyznał przecież, że to Piłsudski uosabiał „Judeo-Polskę". Prezydent dostał „rykoszetem" kulę, która była przewidziana nie dla niego. Był ersatzem Komendanta. Jego zabójstwo stanowiło ledwie odprysk nieudanego zamachu na marszałka, efekt frustracji zawiedzonego człowieka.

Zdumienie składu sędziowskiego oraz pytania oskarżycieli sprawiły, że Eligiusz w swym ostatnim słowie raz jeszcze odniósł się do tego niebywałego *qui pro quo* między Piłsudskim a Narutowiczem.

– Słusznie bardzo podkreślił pan prokurator – przyznał łaskawie – że nie dość uwypukliłem związek pomiędzy zamachem na Piłsudskiego a dokonanym zamachem na życie Narutowicza. Istotnie, związek jest luźny.

Czy to nie zdumiewające słowa? Morderca przyznaje się do absurdalności swego czynu, niczego nie żałując i pozostając dumnym z tego, co zrobił!

– Pierwsza rzecz wypływa z całego szeregu pewnych konieczności psychicznych. Mogła być i powinna była być – niejasno usiłował tłumaczyć Niewiadomski. – Druga jest rzeczą przypadkową. Gdyby Narutowicz przeszedł był większością polską, albo gdyby wyboru nie przyjął, zamachu by nie było. Wspólne dla obu tych czynów jest tylko pewne podłoże uczuciowe. Rzecz tę brałem po prostu. Jeżeli kto znieważa moją matkę, moją żonę albo córkę moją, to nie rozumuję, tylko uderzam.

Oto kolejne, bardzo szczere wyznanie, pokazujące osobowość Eligiusza w pełnej krasie. Mimowolnie zdradził, że morderstwo przynajmniej częściowo było nieprzemyślanym aktem emocjonalnym.

– Fakt zniewagi tu był – wyjaśniał oskarżony. – Fakt zniewagi naszej wspólnej Matki, zniewagi Ojczyzny. Nie Narutowicz, podkreślam to, znieważył ją, ale on był niestety symbolem i wyrazem tej zniewagi.

Morderca wspaniałomyślnie pozwolił sobie na pewne współczucie wobec ofiary. Nie zmniejszyło ono w niczym makabrycznej dumy, jaką odczuwał z dokonanego czynu:

– Chcę zaprotestować zupełnie kategorycznie przeciwko dwom wyrażeniom, użytym przez pana prokuratora. Jedno to „skrytobójstwo”. Skrytobójca się kryje, ja się nie kryłem, więc to nie było skrytobójstwo. I nie było tu także „zawiedzionych nadziei”. Skąd pan prokurator wie cokolwiek bądź o moich nadziejach?! Jego oświadczenie było co najmniej gołosłowne, zmierzające do zniesławienia mnie.

– Chcę streścić cały przebieg mojej sprawy. – Niewiadomski ponownie, na koniec, próbował przekonać innych do swoich racji. – Planowałem zamach na Naczelnika Państwa i zamach do skutku nie doszedł z powodu okoliczności zewnętrznych. Dokonałem zamachu na prezydenta Narutowicza, zamachu z premedytacją. Narutowicz, trzeba to przyznać, nie był człowiekiem winnym. – To jeszcze jedno zaskakujące stwierdzenie Eligiusza. – Padł ofiarą okoliczności, ofiarą sytuacji, będącej poza nim. Odebrałem mu życie, spełniłem ciężką rzecz. Nie ujawniam skruchy, przeciwnie, ujawniam pewną nadzieję, że echa moich strzałów dosięgną najdalszych zakątków ziemi polskiej, zapukają do wszystkich chat i do wszystkich serc, trafią nawet do obozów przeciwników, do tych uwiedzionych, nieświadomych komu służą ludzi, do szlachetnych

i młodych serc, zbudzą ich sumienia, wątpliwości, czy służą dobrej sprawie, zbudzą ich czujność. Resztę zrobi czas.

Czy Niewiadomski w swej megalomanii naprawdę liczył, że morderstwo przekona przeciwników politycznych do jego racji?! Że zabójstwem poruszy „szlachetne serca”? Brak tu elementarnej logiki i społecznej „wyobraźni”; jakiegokolwiek dystansu do samego siebie. Te dodatkowe wyjaśnienia jeszcze bardziej przekonują o socjopatycznej osobowości Niewiadomskiego. Niech określenie to nie brzmi wartościująco – po prostu najlepiej oddaje ono, jak się wydaje, stan rzeczy.

Sędziowie rozpatrujący sprawę Eligiusza również okazali się bezradni wobec zaskakującej argumentacji zabójcy. W uzasadnieniu wyroku próbowali jakoś opisać bezsens całej sytuacji, stwierdzając m.in.: „Niewiadomski nie przyznał się do winy, lecz przyznał fakt zabójstwa wystrzałami z rewolweru Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej Narutowicza i podał, iż od czterech lat nosił się z zamiarem zabójstwa byłego Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, uważając go za odpowiedzialnego za wszelkie niedomagania dotychczasowego ustroju Polski”. Gdyby nie kontekst sytuacji, brzmiałoby to wręcz śmiesznie. Na pewno brzmi groteskowo.

Jak uzasadniano dalej, Niewiadomski „od zamiaru tego odstąpił z chwilą, gdy Józef Piłsudski nie zgodził się na wystawienie jego kandydatury na Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej”. W zamian „dopuścił się zabójstwa Prezydenta Narutowicza z powodu przyjęcia przez niego wyboru na to stanowisko pomimo że wybór ten nastąpił głosami niepolskimi w Zgromadzeniu Narodowym”.

Czy sami sędziowie uznali swoje wywody za wystarczające uzasadnienie wyroku? Można w to powątpiewać.

*

Pisane w czasie aresztowania i w oczekiwaniu na wyrok *Kartki z więzienia* oraz list otwarty *Do wszystkich Polaków* zawierają niemal wyłącznie ideologiczne *credo* Niewiadomskiego. I w nich można jednak doszukiwać się motywów postępowania przestępcy. W tekstach tych spróbował – na drugim planie – w innej, pisemnej formie przekazać Polakom, dlaczego zabił Bogu ducha winnego człowieka. Teoretycznie można by założyć, że literacki przekaz Niewiadomskiego będzie bardziej uporządkowany stylistycznie. Autor mógł ze spokojem dobrać słowa, skonstruować frazy. Nic z tego. Jego narracja jest szarpana, urywana, nieskładna. Tak jak Eligiusz uczony potrafił okiełznać swe pióro, tak tutaj zdaje się ono samo kierować jego ręką. W zapisanych słowach tym bardziej odbija się megalomania i fanatyzm autora.

Kilkudziesięciostronicowe *Kartki* powstawały przez cały styczeń 1923 roku. Znacznie krótszy list narodził się z porywu serca, niedługo po skazaniu autora na karę śmierci. Odezwa *Do wszystkich Polaków* zaczyna się następująco: „nie chcę, aby wyrok na mnie wykonany stał się powodem zemsty i krwi. Był on zgodny z prawem i zgodny z życzeniem moim – był zatem sprawiedliwy. Więcej, potrzebny”. A więc nie śmierć Narutowicza, lecz wyrok na Niewiadomskim może – zdaniem autora – wywołać falę niezadowolenia. A przecież anarchii chciał on uniknąć najbardziej. Dlaczego zaś wyrok był sprawiedliwy? Bo za taki uznał go sam Eligiusz.

„Śmierć moja jest koniecznym uzupełnieniem mego czynu. Bez niej byłby on nie tylko bezpłodny, ale leżałby na nim cień mordu. Śmierć to zetrze. Czyn mój dopiero zakwitnie oblany krwią moją. Zakwitnie, to znaczy przemówi do narodu” – pisze dalej. I znowu: to tak naprawdę dopiero śmierć Niewiadomskiego wstrząśnie narodem! Dzięki niej, łudził się Eligiusz, zostanie zniwelowany fakt zabójstwa, jakie popełnił. To bardzo

pokrętna interpretacja starotestamentalnej zasady „oko za oko”. Czy jednak w chwili, gdy pociągał za spust, naprawdę myślał już o własnej śmierci? Biorąc pod uwagę możliwość istnienia w jego mentalności tendencji autodestrukcyjnych (których być może nawet sobie nie uświadamiał), nie jest to nieprawdopodobne.

Autor zmierzył się też z zarzutami o fanatyzm i szaleństwo: „głupcy i hipokryci widzą w nim [zabójstwie] akt szaleństwa albo fanatyzmu. Tak nie jest. Byłoby źle z Polską, gdyby odrobina charakteru wystarczała, aby być uznanym za wariata, a odrobina uczucia, wychodząca poza normę przeciętną, dawała kwalifikacje na fanatyka”. Niewiadomski usprawiedliwia więc bezsensowne morderstwo „odrobiną charakteru” i „uczucia”, nie rozumiejąc, jak można o to mieć do niego pretensje! Swoją sytuację, jak zwykle, od razu rzutuje na sprawę polskości: ci, którzy oskarżają go o szaleństwo czy fanatyzm, szkodzą Polsce.

Tymczasem Eligiusz, niczym bezinteresowny demiurg, chciał tylko wstrząsnąć rodakami: „czyn był straszny, bo musiałem uderzyć w naród nie słowem bezsilnym, ale gromem!”. Gromem, który nie trafił w Piłsudskiego. „Gromem, równym tej hańbie, jaką go oplwała spółka cynicznych hultajów i jawnych wrogów Polski. Musiałem uderzyć gromem, aby zbudzić tych, co mniemają, że Polska już ciałem się stała, że minął czas wysiłków i ofiar i że broń można już złożyć. Tak nie jest”.

Autor – gromowładny mściciel – walczy o Polskę i w zasadzie zrównuje działalność swych przeciwników politycznych z dokonanym morderstwem. Można wyczuć, że pisząc te słowa, wyobrażał sobie oklaski i zachwyty wdzięcznych Polaków nad zmarłym sobą.

„To, na co patrzą oczy nasze, nie jest jeszcze Polską” – przekonuje dalej Niewiadomski. „Nie o takiej śniły wielkie serca poetów naszych, nie za taką cierpiały, walczyły i ginęły pokolenia. To jest jeszcze ta Polska, na

którą ze zgrozą rozwarły się straszliwie oczy królewskiego upiora Kazimierza, nieśmiertelnej wizji ostatniego z proroków naszych". Nawiązując w ten sposób do projektu witrażu Stanisława Wyspiańskiego, Eligiusz powraca do jednej ze swoich myśli przewodnich: Polski idealnej, do której – ku jego wściekłości – Polska realna nie dorosła.

Zabójstwo Narutowicza stało się więc niezbędnym krokiem do zniszczenia tej quasi-Polski, tego dziwnego tworu oplecionego nitką „żydostwa" i „socjalizmu" – czyli „Judeo-Polski". „To jest dopiero Polska Piłsudskiego, Judeo-Polska. Naród polski do głosu w niej jeszcze nie doszedł. Polskę prawdziwą trzeba dopiero zdobyć i zbudować". Nawet w słowie pisanym autor nie jest w stanie zasłonić tej makabrycznej niekonsekwencji: w imię rozprawy z „Polską Piłsudskiego", dochodzi do zabójstwa Narutowicza. Zabójstwa, które ma zbudować lepszą ojczyznę.

Czy rozumowanie Eligiusza mogło przekonać czytelników? Niewiadomski zachęcał: „w walce o nią niech się hartuje duch pokolenia. Od udziału w tej walce nie uwalnia nikogo ani wiek, ani stanowisko społeczne, ani przynależność lub nieprzynależność do partii. Trzeba ją zacząć od zwycięstwa nad sobą, od pokonania własnej słabości".

Czy ten cytat – moim zdaniem bardzo ważny – nie mówi wiele o autorze? Niewiadomski całe życie walczył: walczył z przeciwnościami losu (wypadki, problemy zdrowotne), wojował z biurokracją, przeciwnikami politycznymi, przełożonymi. Walczył wreszcie z samym sobą, z własnymi słabościami, próbując – jak to opisywał Skotnicki – utrzymać na krótkiej smyczy swój gwałtowny charakter. Nie potrafił żyć bez walki.

Skoro on walczył – walczyć musiała też Polska. Póki walczyła – i to dosłownie (na wszystkich niemalże frontach) – mógł jakoś funkcjonować, choć rozwój sytuacji politycznej nie szedł po jego myśli i pogłębiał

frustrację. Gdy jednak walki zbrojne ustały i potyczki strywializowały się do postaci przepychanek sejmowych, Niewiadomski nie wytrzymał. Nie jest przypadkiem, że jego poglądy zradykalizowały się po zawarciu pokoju ryskiego. Tak jak zradykalizowała się polska scena polityczna. Niedługo po zawarciu pokoju zrzekł się stanowiska w ministerstwie. Wkrótce utwierdził się w przekonaniu o konieczności zabicia Piłsudskiego. Niewiadomski coraz bardziej desperacko szukał pola bitwy.

„Walczący o ideę narodową muszą wykazać nie tylko energię, rozwagę i zdolność do czynu twórczego, ale także i nieodzownie wielkość ducha, to jest to, czego najwięcej brakuje ich przeciwnikom – przekonywał w swym liście. – Nie będąc nigdy w stanie dorównać tamtym w przewrotności, niech bronią idei siłą oręża takiego, którego wielkość i piękno będzie zdobywać dusze i zwyciężać w nich wszelkie trucizny”. Orężem Niewiadomskiego był hiszpański browning kaliber 7,65 milimetra.

W tym i poprzednich cytatach przebija gdzieś duch Nietzscheańskiego nadczłowieka i woli mocy. Wydaje się, że Eligiusz – mniej lub bardziej świadomie – silnie przesiąkł radykalnym duchem filozofii Nietzschego. Podkreślana przez niego „moc twórcza”; potrzeba wstrząśnięcia narodem przez jednostkowy czyn w imię wzniosłej idei – tezy te przypominają wizje autora *Antychrysta*, podlane nacjonalistycznym sosem.

W końcowych partiach listu *Do wszystkich Polaków* Eligiusz dał się już całkowicie ponieść fantazji. Otwarcie rozciągnął swe ego na cały kraj; już dostrzegał wszechwidzącym okiem zbawienne skutki swego czynu i rysujące się zwycięstwo nad „Judeo-Polską”: „to się już zaczyna. Święte nadzieje moje nie zawiodły. Co jest zdrowe i polskie w obozie lewicy, usłyszało mój głos. Umieram szczęśliwy, że dzieło zbudzenia sumień i zjednoczenia serc polskich już się pełni”.

Czy Eligiusz rzeczywiście był aż tak ślepy, by nie dostrzegać – nawet z perspektywy więzienia – że jego czyn tylko pogłębił gwałtowne waśnie polityczne i doprowadził do wrzenia? Czy tylko się łudził, czy rzeczywiście, pogrążony w pracy w swej celi, kontaktujący się tylko z bliskimi i sprzyjającymi mu ludźmi, żył swoim własnym wyobrażeniem? Samozadowolenie na pewno potęgował fakt narodzin rzeczywistego kultu zabójcy, który jednak ostatecznie nie wpłynął głęboko na kształt polskiego życia społeczno-politycznego.

„W czynach, z mocy ducha płynących, utajona jest potęga straszliwa” – przekonywał w Nietzscheańskim duchu. Czy jednak to właśnie z owego „ducha” wziął się czyn, który był jedynie „zastępstwem” zamachu na Piłsudskiego i wynikiem okazji, jaka się nadarzyła? „Słowa są potrzebne, ale nie trzeba ich przeceniać. Zwycięża ostatecznie czyn twórczy albo świadoma siebie i celu ofiara”. – Niewiadomski widocznie nie podzielał tych wątpliwości. „Wszyscy jesteśmy do niej zdolni, tylko nie znamy siebie. Nie wiemy, jakie siły drzemią w nas utajone i jak je łatwo wyzwolić” – podkreślał.

Czy zatem Eligiusz, składając siebie w ofierze za „prawdziwą” Polskę, poznał siebie w momencie, gdy zastrzelił Narutowicza? Czy mierząc z browninga do prezydenta, przeżył *katharsis* i oczyszczenie? A może usiłował później na gwałt zatrzeć przed samym sobą i innymi wrażenie, że czyn swój popełnił w efekcie utraty kontroli nad swą porywczością, bezwzględnością i frustracją? Czy nie chciał przekuć porażki w sukces? Nigdy zapewne nie odpowiemy na te pytania.

Ostatnie słowa listu na pewno brzmią wieloznacznie: czy te „utajone siły”, które należy wyzwolić, nie były demonami, z którymi walczył od zawsze? Być może, dając raz niczym nieskrępowany wyraz swej osobowości, tamowanej przez wpajane od dziecka, wszechobecne normy

społeczne; osobowości, którą sam też bezwiednie tłumił, poczuł nieprawdopodobną ulgę? Czy tego, co podświadomie traktował jako słabość, nie przyjął teraz jako siły i pokazu mocy?

„Duch polski zawiera w sobie skarby nieznane i nieprzebrane – przekonywał w liście, myśląc być może o sobie. – Niech nie marnieją. Każdy z nas ma w sobie wielkie, nieznane »Ja«”. Niewiadomski odkrył je 16 grudnia 1922 roku o godzinie 12.12. „Niech z wiarą wstępuje w głąb i szuka własnej mocy. Idea narodowa, żeby zwyciężyć, musi być wielka. Wielką będzie o tyle, o ile mieścić ją będą wielkie serca”. Takie jak moje, mógł pomyśleć Eligiusz, kończąc swoje przesłanie do Polaków.

Mimo że Niewiadomski miał więcej czasu na redagowanie *Kartek z więzienia*, lektura tego tekstu pokazuje, że stworzył go w gorączkowym pośpiechu myśli. To luźny zbiór najróżniejszych impresji – „nauk”, które Eligiusz przekazuje potomności. Jak wskazuje na końcu, swe przemyślenia zapisywał od 1 do 30 stycznia: rozpoczął więc dzień po skazaniu na śmierć, a zakończył dzień przed wykonaniem wyroku. Jego niespokojna myśl skacze od „żydostwa” do majówek; od „mocy twórczej” do drobiu i babek z piasku; od legionów Piłsudskiego do świątyń indyjskich; od Marksa do Mahometa; od ojczyzny do gnojówki; od ubogiej matki pewnego działacza lewicy do cytowania własnych słów z rozprawy sądowej. Uderza w tych wywodach napuszony, manieryczny styl, w jakim wypowiada się „prorok”. To ciekawe świadectwo jego obsesji i pasji, stanowiące cegiełkę do zrozumienia osobowości mordercy.

Jest ono ważne także dlatego, że zostało wydane niedługo po śmierci autora w masowym nakładzie (przez poznańską oficynę Karola Rzepeckiego) i zdobyło dużą popularność w środowiskach narodowych. Miejsce wydania – silny ośrodek endecki – nie jest przypadkowe. W stolicy dystrybucją „dzieła” zajęła się Narodowa Księgarnia Wysyłkowa,

mieszcząca się przy ulicy Marszałkowskiej 111A. O żywotności dzieła świadczy fakt, że dwa kolejne wydania ukazały się już w III Rzeczypospolitej. W wydaniu z 2012 roku podkreślono „szokującą aktualność niektórych fragmentów”.

Na stronach tytułowych pierwotnego wydania broszury, obok portretu Eligiusza, umieszczono informację, że dochód ze sprzedaży książki zostanie przekazany przez rodzinę Niewiadomskich na budowę pracowni dla polskich artystów malarzy, „w myśl życzenia E. Niewiadomskiego”. Już ta notka była elementem budowania mitu autora jako szlachetnej osoby myślącej o innych. Nie oznacza to wcale, by Eligiusz nie był szczerze przekonany do słuszności tej decyzji.

W tekście, umieszczonym na 38 stronach niewielkiego formatu, Eligiusz w zasadzie powtórzył i rozwinął to, co powiedział na procesie. Chaotyczny zbiór „złotych myśli” umieszczony został w 14 rozdziałkach, z których najkrótsze liczą sobie zaledwie po kilka zdań: „Kłamstwo i prawda”, „Słowa a czyny”, „Wrzód społeczny”, „Młodzież”, „Demokracja to kompromis”, „Piłsudski”, „Władza”, „Partie”, „Mane, tekel, fares”, „Żydzi i my”, „Walka klas”, „Ustawa wyborcza”, „Hieny” oraz „Polityka”. W akapitach tych kryje się ideologiczne *credo* Niewiadomskiego; to jego spowiedź, a zarazem próba wytłumaczenia się z zabójstwa oraz – przede wszystkim – podstawowy instrument w autokreacji i konstruowaniu własnej legendy.

Autor zaczyna podniośle: „owocem zdrowym jest triumf duchowej strony natury ludzkiej. Z niego wypływa zdolność jednostek i narodów do ofiary, do zaparcia się siebie, do podporządkowania dobra jednostki lub grupy – dobru całości. Bez tych wartości nie ma społeczeństwa, może być tylko gromada posłuszna – pod kijem woli jednostki”. Kontekst, w którym powstały te słowa – pisane przez skazańca w więziennej celi – narzuca

oczywistą interpretację: morderstwo Narutowicza stanowiło ową „ofiarę”, wymagającą „zaparcia się siebie” i „podporządkowania dobra jednostki” potrzebom ogółu. Eligiusz to pełen poświęcenia społecznik, który zabił prezydenta dla dobra Polski. Co więcej, morderstwo było wręcz czynem twórczym, wznoszącym Polaków ponad „gromadę”, na poziom „narodu”.

Doprawdy, osoba głosząca te hasła musiała mieć wysokie mniemanie o sobie i całkowitą nieumiejętność realistycznej oceny własnych dokonań. Nie wierzę bowiem, by Niewiadomski był po prostu zimnym, cynicznym manipulatorem. On wierzył (chciał wierzyć?) w to, co pisał.

Polacy zasługują, przekonuje Niewiadomski, by ich „unarodowić”: „lud polski jest materiałem cudownym. Tają się w nim przepiękne rysy charakteru i uczuć, zdolność do bohaterstwa – w ogóle – możliwości niezmierne, a nieprzeczuwalne, które jednak czekają wyzwolenia. Tylko – trzeba się nim zająć uczciwie i bezinteresownie. Trzeba dbać o jego rozwój, rozwój stopniowy i samodzielny, a nie o posłuszeństwo krzykaczom partyjnym. Trzeba myśl ludu budzić, a nie zagważdżać gotowymi formułkami katechizmów socjalistycznych”. Nawet środowiska narodowe nie potrafiły odpowiednio wychować „ludu” i zabezpieczyć go przed „wrzodem” marginesu społecznego. „Za to ja to potrafię” – zdaje się dopowiadać między wierszami Niewiadomski.

Zamach na prezydenta był pierwszym etapem budzenia i wychowywania narodu. Kolejnym miał być pośmiertny kult zamachowca. Ludowi trzeba „wskazać jeżeli nie gotowy ideał, to potrzebę ideałów w ogóle – podkreśla Eligiusz – bo »pełne koryto«, jedyna rzecz, o której mu prawią socjaliści, nie może zaspokoić duchowych potrzeb ludu polskiego, może je tylko oszukać...”.

ELIGJUSZ NIEWIADOMSKI

KARTKI Z WIĘZIENIA

Dr. ALEKSANDER KOPCZYŃSKI

W POZNANIU
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA KAROLA RZEPECKIEGO
1923.

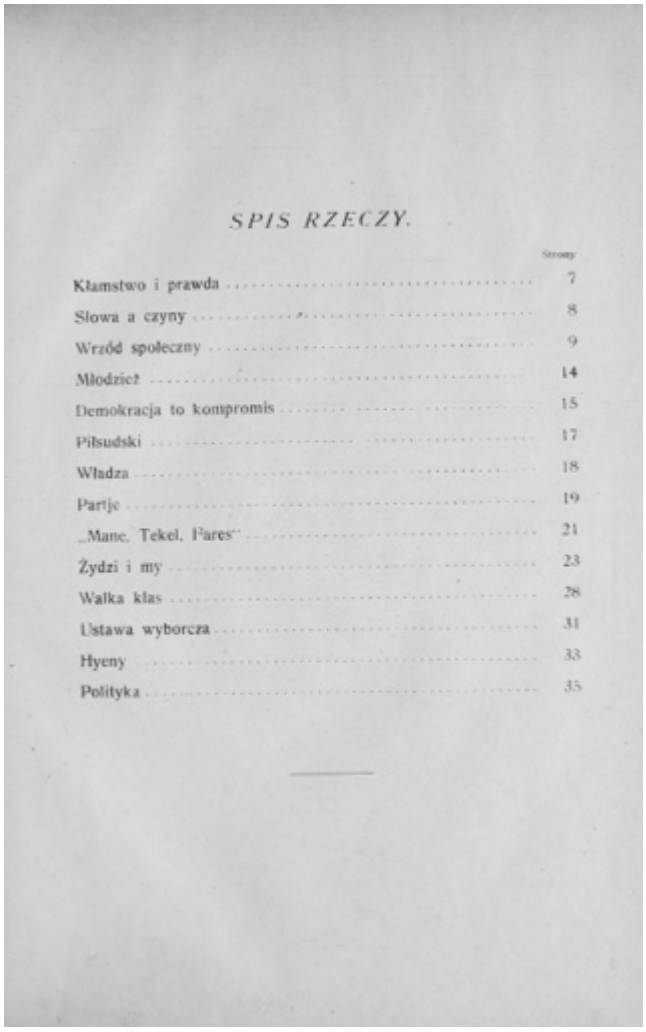

SPIS RZECZY.

Strony

Kłamstwo i prawda 7
Słowa a czyny 8
Wrzód społeczny 9
Młodzież 14
Demokracja to kompromis 15
Piłsudski 17
Władza 18
Partje 19
„Mane, Tekel, Pares" 21
Żydzi i my 23
Walka klas 28
Ustawa wyborcza 31
Hyeny 33
Polityka 35

Okładka i spis treści Kartek z więzienia *Eligiusza Niewiadomskiego wydanych w 1923 roku. Fot. Polona*

W *Kartkach* autor znów bardzo dużo miejsca poświęcił Józefowi Piłsudskiemu. Niektóre fragmenty na temat marszałka zdumiewają jeszcze bardziej niż niezrozumiałe wywody z rozprawy sądowej. Otóż „Piłsudskiemu, człowiekowi z tak fenomenalnym szczęściem, z twarzą wspaniałą, w której każdy Polak rad by widzieć bohatera, można by darować wiele błędów postępowania i braków charakteru". Co więcej, Niewiadomski rozumie i wręcz pochwala zapał młodzieży, która od 1914 roku z pełnym poświęceniem popierała marszałka. Krytykuje nawet

prawicę za „gromy”, jakie ciskała pod adresem piłsudczyków. „Kult Piłsudskiego jest w wielu wypadkach nie najgorszą, ale najpiękniejszą stroną ich ducha – przekonuje zaskakująco. – Młodzież nie umie i nie powinna być bierną, i nie mogą jej wystarczyć ideały pełnego koryta [...]. Potrzeba jej ideałów, i to żywych, bo do oderwanych nie każdy umie się egzaltować. Do serc młodych najsilniej przemawia ideał żywy, widomy – człowiek”.

Kimś takim był Piłsudski i Niewiadomski wręcz to pochwala! „Młodzieży polskiej potrzebny jest ideał bohaterstwa. Nie tylko młodzieży – całemu narodowi. I to jest wspaniały rys naszego ducha – złoty róg, zdolny czynić cuda”. Kult marszałka był więc godnym pochwały aktem wielkości narodu polskiego. Konkluzja zadziwia jeszcze bardziej: „dlatego bliżsi mi są duchem ci wyznawcy człowieka, którego działalność potępiam, aniżeli te zimne, bezkrwiste ślimaki, które mówią to, co jest niby pokrewne moim myślom”. Jakże pokrętna jest logika człowieka, który zabił Narutowicza, chcąc zlikwidować Piłsudskiego, którego kult... pochwalał.

Problem tkwi w tym – próbuje tłumaczyć się autor – że młodzież postawiła na złego konia. W krytyce Piłsudskiego Niewiadomski jest jednak dziwnie lakoniczny i w zasadzie tylko powtarza hasła wypowiedziane podczas procesu: „losy dały Piłsudskiemu w ręce wielkość Polski i wielkość własną. Zrobił, co tylko mógł, aby zdruzgotać jedno i drugie”. „Nie mogę mu darować jednego tylko, że okazał się w czasach wielkich tak małym duchowo – ciągnie Niewiadomski. – Tak niedorosłym do roli, jaką podjął... Wszystko, co zrobił Polsce złego i co jeszcze zrobi, to nie dlatego, żeby chciał; żeby miał wolę zła i niszczenia. To tylko pospolita małoduszność i nieudolność. Czy można go za to winić – a raczej jego tylko? Czy nie jesteśmy współwinni my wszyscy, żeśmy go nie poznali i utrzymali na stanowiskach – nie na jego miarę?”

To pozorne oskarżenie marszałka jest równie niepojęte jak jego obrona: przecież Eligiusz wyraźne relatywizuje „winę” swej pierwotnej ofiary, używając wręcz pobłażliwego tonu! Dlaczego więc chciał go zabić? I dlaczego nie zabił? Co znamienne, mimochodem przyznaje, że morderstwo Narutowicza niczego nie zmieniło, bo marszałek mógł wciąż „jeszcze zrobić” wiele złego. Po raz kolejny, z poczuciem frustrującego niezrozumienia, narzuca się pytanie: DLACZEGO Narutowicz musiał zginąć?

W swych rozważaniach Niewiadomski nieustannie wraca do Nietzscheańskiej idei „siły twórczej” narodu, którą mogą powiększać nie demokracja, socjalizm czy wybory, tylko wybitne jednostki. Mało subtelnie sugeruje, że sam zalicza się do tej ostatniej kategorii. „Wszystko, co wielkiego kiedykolwiek na świecie dokonano – woła – dokonał nie kompromis, ale niezłomna, nieugięta wola jednostek, względnie grup jednolitych, przy jednostkach skupionych. Tę wielkość okupowano zwykle walką, krwią, ofiarą mienia i życia, zaparciem się siebie [...]. Historia ludzkości jest historią wytrwałych i niezłomnych wysiłków twórczych, ludzi wyjątkowych geniuszów. Kompromis – z chwilą, kiedy przyszedł do głosu, dzieła te karlił i jeżeli nie niszczył formy, to wyżerał treść”.

Morderstwo na pewno nie było kompromisem. Jest oczywiste, że w słowach tych Eligiusz opisuje samego siebie. Buduje swój złoty pomnik. Zamachu dokonał przecież dzięki swej „niezłomnej, nieugiętej woli”. Jasno mówił, że oddaje życie za życie – okupił więc swój czyn „walką, krwią, ofiarą mienia i życia, zaparciem się siebie”. W mało zawoalowany sposób przyrównuje się zatem do owych „ludzi wyjątkowych geniuszów”.

W 1918 roku „geniuszów” zabrakło (rzecz jasna prócz Eligiusza). Na szczęście „masy są lepsze od ich przywódców. Tylko nie mają wpływu na ich zmianę. Dziś jeszcze, po tylu latach deprawacji, przemówić głosem

potężnym, zwrócić się do najszlachetniejszych pierwiastków natury ludzkiej, a odezwą się głosy we wszystkich bez wyjątku partiach – liczne i szczere. Bo wszędzie pod popiołami partyjnego śmiecia tlą [się] jeszcze święte ognie rasy. Jeden piorun może te popioły strząsnąć. A wtedy stanie się cud zjednoczenia serc polskich, cud, w który już przestaliśmy wierzyć". W swym pełnym megalomanii „proroctwie" Eligiusz jest przekonany, że trzy strzały w prezydenckie plecy i męczeńska śmierć sprawcy to ów „piorun" i „głos potężny", który doprowadzi do „zjednoczenia serc polskich". Tworzenie mitu trwa.

Podobnie jak w czasie procesu, autor *Kartek z więzienia* przekonuje, że zabójstwo Narutowicza miało zadać decydujący cios „żydostwu". W formie pisanej rozwija ten wątek. Również w tym rasistowskim kontekście Eligiusz kreuje się na dzielnego obrońcę polskości i ojczyzny. Jego zdaniem potężna „siła żydostwa" groziła samemu istnieniu narodu polskiego: „dla Polaków ta siła jest tak zabójcza, że otwiera już dziś przed nami zagadnienie bytu lub niebytu. Być – to znaczy zachować w czystości to, co stanowi istotę naszej odrębności, a więc geniusz rasy, duch narodowy i cały świat idei, uczuć, sił twórczych [...] Nie być – to znaczy ulec skażeniu ducha pod wpływem semitów – utracić indywidualność rasową – przestać być sobą". „Być" – to zatem zabić prezydenta i w ten sposób ochronić Polaków przed plagą „żydostwa".

„Przystosowanie się Żydów do polskości jest czysto zewnętrzne" – peroruje dalej autor. „Robią to zresztą doskonale z właściwym sobie geniuszem oszustwa. Natomiast Polacy ulegają żydostwu wewnętrznie, co jest istotnie groźne [...]. Ten stosunek psychiki obu ras, a także potworny i stale wzrastający procent żydostwa na naszej ziemi, wytwarza dla polskości zagadnienie najgroźniejsze, jakie kiedykolwiek przed nią stanęło. Może być ono rozwiązane ogromnym a zgodnym wysiłkiem i państwa,

i społeczeństwa. Tymczasem państwo polskie w ciągu czterech lat istnienia nie zrobiło nic w tym kierunku”. Wręcz przeciwnie – nadano Żydom i innym mniejszościom narodowym pełnię praw wyborczych. Wściekły Niewiadomski nie jest w stanie pojąć, jak można było do tego dopuścić: „dawanie praw obywatelskich zdeklarowanym wrogom naszym [...] może być czynem jedynie ludzi bezmózgich albo zaprzedanych. Równouprawnienie w tych warunkach jest jedną świadomą lub nieświadomą zdradą stanu. Czymś niemieszczącym się w mózgu normalnie myślącego człowieka”.

Skojarzenie z głosowaniem nad kandydaturą Narutowicza narzuca się automatycznie: przecież prasa narodowa (lewicowa zresztą też, tylko w innym tonie) niczym mantrę powtarzała tezę o wyborze prezydenta głosami mniejszości narodowych. Dla Niewiadomskiego to po prostu zdrada stanu. Zabijając Narutowicza, chciał odkupić tę „zdradę”. Morderstwo to tylko odruch „mózgu normalnie myślącego człowieka”. Ma ono wstrząsnąć społeczeństwem, wskazując mu, do czego doprowadziło równouprawnienie „obcych”. W tym rozumowaniu jest jednak podstawowa słabość: przecież i kat, i ofiara, byli „najczystszymi aryjczykami”. Coś tutaj nie pasuje. „Świat aryjski czeka w przyszłości straszliwa, śmiertelna walka ze stunogim polipem żydowskim – wieszczy mimo to autor. – Ale Polska nie może na tę chwilę czekać, bo byłoby za późno. Polska musi wystąpić do walki bez straty jednego dnia”. Sygnał do tej bitwy – a ściślej: trzy strzały – podał już Niewiadomski.

Na końcowych stronach *Kartek* autor rozpala się jeszcze bardziej, próbując ostatecznie przekonać czytelników do swych racji i umotywować dokonaną zbrodnię. Styl staje się rwany, zdania nie w pełni gramatyczne. W słowach tych dobrze widać pełną frustracji gorączkę, jaką odczuwał w ostatnich miesiącach przed feralnym dniem zabójstwa, a także pełne

mimowolnego napięcia oczekiwanie na wyrok. „Jeżeli były chwile, w których mogłem utracić wiarę w swój naród – zwierza się w rozdziale pt. „Hieny” – to chyba [były to] okresy przesileń ministerialnych i zabiegów o teki. Nie umiem znaleźć słów ohydy tych walk i targów. Widziałem stado hien, żrących się o padlinę... Padliną ich była Ojczyzna. I nie znalazł się nikt, co by rozpędził zgraję, a mnie los kazał być biernym świadkiem tej zgrozy”. Frustracja zrodziła jednak czyn: „położenie dzisiejsze nie ma wyjścia. To jest węzeł, który się rozplątać nie da – który może być jedynie rozcięty”. Mieczem, który miał rozerwać ten gordyjski węzeł, było zabójstwo Narutowicza, wzmocnione męczeńską śmiercią sprawcy.

„Więc tak wyglądają święte chwile odrodzenia!... – wykrzykuje gorzko rozczarowany i zniesmaczony autor. – Więc to jest »płacz ogromny zmartwychwstania«! Czymże wobec tego są najlichsze czasy Rzeczypospolitej szlacheckiej?... Te targi były miarą wartości ludzi. Egzamin wypadł fatalnie, zwłaszcza dla przywódców stronnictw lewicowych, robotniczych i chłopskich, a także dla drobnych ale ambitnych klik, pnących się do władzy i chcących ją wyszachrować rolą języczka u wagi”. „Potworność była tym większa – oburza się dalej – że do władzy rwali się ludzie, nie mający wyobrażenia o tym, jak ją sprawować, pragnący jedynie upiec przy tym ogniu partyjną, a często i osobistą pieczeń. Przecież jedyną ich kwalifikacją było to, że mają za sobą poparcie swoich partyj...”.

Kraj zmierzał ku katastrofie – przekonuje Niewiadomski, kontynuując swą litanię przewin polskiej polityki: „namiętności polityczne ogarnęły wszystkie warstwy ludności i przeniknęły do wszystkich dziedzin życia. Rozpaliły nienawiści niezdrowe, wykopały przepaści między bratem a bratem, trafiły do najbardziej zapadłych kątów”. Snując swą apokaliptyczną wizję, autor nie zauważa, że sam stał się jedną z największych ofiar owych namiętności. „Polska jest żarta przez trąd

politykowania – kontynuuje – a partie są jego ogniskami. Dzieje się rzecz zła”.

„Metoda oszustwa i budzenia nienawiści klasowej i partyjnej stała się czymś pospolitym, naturalnym – jak chleb powszedni. Mowy wiecowe, odezwy, broszury, czasopisma – są tym nasiąkłe, cuchną z daleka. Wszystko jest pokalane fałszem [...]. Z tego wynika, że polityka nie jest rzeczą tak niewinną. Tkwi w niej niebezpieczeństwo groźne [...] – przechodzi z agitatorów na agitowanych. Na nich się szczepi, przyjmuje, rozrasta i przenika do innych dziedzin życia i myśli. Jest to zarazą moralną”. Niewiadomski wyraźnie traci kontrolę nad piórem. W dalszych kilku akapitach ostatniego rozdziału pt. „Polityka” przeskakuje nagle do historii starożytnej Grecji, sporów teologicznych okresu bizantyjskiego i „chorągwi Mahometa”, która „nie uciszyła szwargotu obłąkanych mnichów”. Myśl autora straciła wszelkie opory, dryfując w kierunkach dla czytelnika zdumiewających. Przypomina ów „szwargot obłąkanych mnichów”.

Wściekłe, niekontrolowane tyrady Eligiusza na polską scenę polityczną, powstałą po cudownym odzyskaniu niepodległości, to przejmujące oraz radykalne i przejaskrawione świadectwo deziluzji wielu zapewne przedstawicieli inteligencji (i nie tylko), którzy spodziewali się „szklanych domów” w odrodzonej Polsce. Niektórzy – jak Niewiadomski – nie potrafili pogodzić się z różnicą między wyobrażeniami mitycznej ojczyzny a jej rzeczywistym kształtem. Zabijając prezydenta, morderca chciał niejako zabić rzeczywistość i wskrzesić marzenie. Efekt nie był trudny do przewidzenia – ale Eligiusz go nie przewidział.

Możemy się domyślać, jaką receptę proponuje Niewiadomski na zerwanie z samobójczym marszem ku przepaści polskiego państwa. W ostatnich fragmentach tekstu, okiełznawszy z najwyższym wysiłkiem

rozedrgane pióro, przekazuje swoją naukę: „temu ludowi powinien ktoś, stojący poza partiami, powiedzieć o pewnych prawdach ogólnych. Trzeba mu wyjaśnić, że polityka zawsze graniczy z oszustwem, a często jest nim samym”. Nietrudno zgadnąć, kogo autor widzi w roli owego nauczyciela.

„Wszelki rząd, jako organ narodu całego, musi stać na stanowisku narodowym, a nie klasowym – kontynuuje swe kazanie Eligiusz. – Jest to ABC polityki współczesnego państwa [...]. Co jest interesem narodu? Wszystko, co go osłania przed niebezpieczeństwem z zewnątrz, a więc – jego potęga. To znaczy jego spoistość wewnętrzna, jego moc, duch, jego bogactwo, jego organizacja obrony narodowej, czyli pogotowia wojennego”. Autor w swej wizji ucieka od konkretów, zadowalając się poziomem mało mówiących ogólników i życzeniowego myślenia.

„Idea narodowa jest wspólnym dobrem wszystkich klas – ciągnie autor. – Syn chłopa czy przemysłowca, robotnika czy kupca, magnata albo obszarnika – jednakowo powinni znać swój kraj i jego przeszłość, czcić jego bohaterów i wszystko, co w niej było wielkie [...]. W granicach tych pojęć ogólnych jest dosyć miejsca na różnice poglądów na dobro kraju i narodu. Ale różnice poglądów nie mogą wypływać wyłącznie – a choćby przeważnie – z interesów klasowych, bo w tym tkwi śmierć narodu i państwa [...]. Albowiem egoizm klasowy jest równie zły, jak egoizm osobisty i – równie wrogi interesom narodu”.

„Ojczyzna bowiem s t o i j e d y n i e o f i a r ą i p o ś w i ę c e n i e m j e j s y n ó w!” – kończy Eligiusz swój ostatni wywód i całą książkę. Te słowa, wytłuszczone przez autora, to jej najważniejsze przesłanie. To motto zbrodni. Śmierć prezydenta i rozstrzelanie jego sprawcy stanowią patriotyczną „ofiarę” na ołtarzu ojczyzny. Bohaterski zamachowiec uratował swój kraj przed upadkiem, poświęcając siebie samego. Tak miała go zapamiętać potomność.

Czy zapamiętała?

*

Cytowane wypowiedzi z procesu, listu *Do wszystkich Polaków* i *Kartek* mają podstawową wadę: zostały sformułowane *post factum*, dodatkowo w wyjątkowym kontekście procesu karnego i tuż przed egzekucją skazanego. Niewiadomski zatem nie tyle wyjaśnia swe postępowanie, ile próbuje je zracjonalizować, poddać umysłowej refleksji; może sam siebie próbuje przekonać do własnych racji. Nie można mu zarzucić braku szczerości w wystąpieniach na procesie – nie szukał przecież usprawiedliwienia i obrony. Jednak już w *Kartach z więzienia*, postrzeganych przez autora jako polityczny testament i pisanych wyraźnie w tonie manifestu ideologicznego, z zamiarem oddziaływania na odbiorcę, trudno przebić się do prawdy. Niewiadomski bardziej buduje tu swój pomnik, niż wyjaśnia motywy morderstwa. Być może sam ich do końca nie zna. Być może nie jest w stanie przyznać, że podjął decyzję o zabójstwie pod wrażeniem chwili – w momencie olbrzymiego napięcia politycznego i społecznego – dając się ponieść swej porywczej naturze. Zbrodniczy akt byłby w ten sposób aktem furii człowieka pozornie opanowanego, a w istocie sfrustrowanego, wściekłego, niepanującego nad sobą. Wyczuwam w jego wypowiedziach pewną bezradność, zakamuflowaną pewnością siebie i bezkompromisowością wypowiedzi.

Być może Niewiadomski potrafił umotywować swoje czyny względami polityki, przekonań i ideałów, w które wierzył. Nie zdołał jednak podać żadnego przekonującego motywu, DLACZEGO jeden człowiek postanowił zabić drugiego. I to nie tego, którego chciał zabić.

Czy odpowiedź na to pytanie można znaleźć w analizie procesu, wyroku i egzekucji Eligiusza Niewiadomskiego?

Jedno jest pewne: pytanie to znalazło się w centrum rozprawy sądowej.

CZĘŚĆ III
KARA

Proces

Warszawa, więzienie mokotowskie, ulica Rakowiecka
czwartek 28 XII 1922, przedpołudnie

Niewiadomski umoczył pióro w kałamarzu stojącym na stoliku w celi nr 12. Gdzieś w oddali jęknęły kraty, zamykane przez znudzonego strażnika. Trzymając brzeg kartki lewą ręką, więzień zaczął pisać:

Do sądu Okręgowego w Warszawie.

Wydział VIII karny.

Wnosi Eligiusz Niewiadomski, oskarżony z artykułu 99. Kodeksu Karnego i artykułu 15. Przepisów Przechodnich.

Przy wręczeniu kopii aktu oskarżenia oznajmiłem, że świadków nie mam i obrońcy dla siebie nie pragnę.

Ponieważ jednak w interesie publicznym leży dokładne wyjaśnienie sprawy, a mam podstawy do obaw, że bez udziału adwokata, jako osoby urzędowej, wyjaśnienie to mogłoby nie być zupełne, upraszam o wyznaczenie mi obrońcy z urzędu.

Pisałem w więzieniu mokotowskim, dnia 28 grudnia 1922.

Eligiusz Niewiadomski

Odłożył pióro i starannie złożył zapisaną kartkę.

Warszawa, więzienie mokotowskie, ulica Rakowiecka

piątek 29 XII 1922, popołudnie

– Raz jeszcze powtarzam: będę bronił się sam! – Niewiadomski zbliżył się do mecenasa Stanisława Kijeńskiego. Jako narodowiec i cichy zwolennik zabójstwa prezydenta, Kijeński zgłosił się na ochotnika i zaoferował pomoc Niewiadomskiemu. Był znany w Warszawie z uczestniczenia w procesach politycznych, sławę zyskał już w 1905 roku, broniąc m.in. działaczy... socjalistycznych, a także chłopów. Później jednak jednoznacznie opowiedział się za endecją.

– Oczywiście jest konieczne, aby przyszedł pan ze mną do sądu i dopilnował przestrzegania procedur, ale proszę ograniczyć swoje działania do minimum. Jak pisałem, ma pan tylko dopilnować, by przewód sądowy przebiegał należycie. Sam przedstawię moje racje – dodał Niewiadomski, odwracając wzrok ku sufitowi ciasnej, ale dość schludnej celi.

– Chciałbym też – dodał z naciskiem – by moje wyjaśnienia zostały możliwie najszerzej zaprezentowane społeczeństwu.

– Naturalnie – odparł Kijeński. Szczerze chciał pomóc oskarżonemu.

Kijeński szybko zrozumiał, że Eligiuszowi najbardziej zależało na budowaniu mitu swej osoby. Nie miał nic przeciwko temu. Mimo to z lekką frustracją odchylił się na niewygodnym krześle. Od kilku godzin próbował przekonać Niewiadomskiego do szerszej współpracy.

– Ale wygłoszę mowę końcową. – Mecenas chciał się upewnić, że Niewiadomski nie zrezygnował z tego wywalczonego ustępstwa. Nadaremnie przekonywał go, że już osiągnęli wiele: na posiedzeniu z 19 grudnia nowo mianowany rząd generała Sikorskiego opowiedział się za przekazaniem sprawy Eligiusza sądowi doraźnemu, ale wobec sprzeciwu Sejmu o losie mordercy miał zadecydować zwykły Sąd Okręgowy, gdzie

łatwiej było się bronić. Informacje te nie zrobiły jednak na Niewiadomskim większego wrażenia.

– W porządku – odparł cicho. – Tylko bez wzywania żadnych świadków.

Po wyjściu Kijeńskiego zamyślony Niewiadomski zrobił kilka kroków po celi, po czym postanowił sporządzić jeszcze jedną notatkę dla mecenasa.

Warszawa, ulica Miodowa
sobota 30 XII 1922, godz. 7.00

Ulica Miodowa tonęła jeszcze w porannym półmroku, kiedy przed siedzibę Sądu Okręgowego zajechał cicho czarny samochód. Choć sobota była dniem pracującym, z racji wczesnej pory wokół nie było niemal żadnych przechodniów. Ciszę szarego, grudniowego poranka przeciął odgłos otwieranych i szybko zamykanych drzwi.

Mecenas Stanisław Kijeński, zdjęcie sprzed 1906 roku. Fot. Jagiellońska Biblioteka Cyfrowa

Eligiusz Niewiadomski ledwie zdążył poprawić kołnierz płaszcza. Został pośpiesznie zaprowadzony do sądowego wejścia przez otaczających go żandarmów.

Dopiero godzinę później przed gmach sądu zaczęli ściągać pierwsi gapie pragnący obejrzeć przyjazd oskarżonego. Przeżyli rozczarowanie.

Warszawa, Sala Kolumnowa Sądu Okręgowego
sobota 30 XII 1922, godz. 10.45–15.30

Sala Kolumnowa Sądu Okręgowego przy ulicy Miodowej pękała w szwach. Wszyscy chcieli być naocznymi świadkami najgłośniejszego procesu młodej II Rzeczypospolitej; największej sensacji od czasów zakończenia I wojny światowej. Warszawiaków zdumiała szybkość, z jaką doprowadzono do procesu. Widzowie zjeżdżali się tłumnie mimo posępnej, dżdżystej pogody. Budynek sądu zabezpieczały wzmocnione patrole policji. Obawiali się nowej fali rozruchów. Policjanci legitymowali każdego, kto udawał się do gmachu.

Siedzący w sali Jan Skotnicki z przejęciem rozglądał się dookoła. Nie dostrzegał wolnych miejsc. Spojrzał w górę – upchani na galeriach ludzie ciekawie przechylali się przez barierki. Wobec wyjątkowo licznej grupy dziennikarzy postanowiono przytaszczyć dodatkowe dwa stoły z sali obok. Proces zgromadził towarzyską śmietankę Warszawy. Prawnicy, urzędnicy, artyści – a także rodzina i sympatycy oskarżonego. Żona, córka, siostra i jeden z braci Niewiadomskiego usiedli w pierwszym rzędzie krzeseł dla publiczności.

Wśród eleganckich panów i pań Skotnicki dostrzegł między innymi Stefana Żeromskiego oraz równie wówczas popularnego pisarza i lewicowego polityka Wacława Sieroszewskiego. Żeromski być może

żałował, że wiele lat wcześniej dał się sportretować oskarżonemu. Skotnicki zauważył też ministrów: Ludwika Darowskiego, Wacława Makowskiego i Henryka Strasburgera. Jego zniecierpliwienie rosło, odkąd piętnaście minut wcześniej zamknięto salę rozpraw.

Przed chwilą do zapchanego pomieszczenia wprowadzono samego Eligiusza Niewiadomskiego. Był blady, ale spokojny. Wręcz swobodnym gestem zdjął palto i szalik. Położył je na ławce. Poprawił krawat i okulary, mocno osadzone na ostrym nosie. Jego wysoka i chuda postać zwróciła uwagę wszystkich zgromadzonych. Zamachowiec nieśpiesznie usiadł obok ułożonej porządnie garderoby. Wkrótce okazało się, że był to tylko pozorny spokój. Już teraz Skotnicki dostrzegał zaciętość oskarżonego, uwidocznioną w linii jego wąskich ust i w zmarszczkach na czole.

Skotnicki wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Z niegasnącym niedowierzaniem spoglądał na łysą głowę Niewiadomskiego, próbując odczytać z jego oblicza jakąś odpowiedź. Miał wrażenie, że obok zaciętości w wyrazie twarzy Eligiusza widać było ślady jakiegoś niejasnego triumfu i oczekiwania na efektowne wystąpienie. Również tłum widzów, wśród szeptów i rozmów, ciekawie zerkał w stronę oskarżonego, u którego boku zasiadł mecenas Stanisław Kijeński. Prawnik ukradkiem czytał karteczkę, jaką wręczył mu przed chwilą Niewiadomski:

Drogi Mecenasie,

Po namyśle wczorajszym jeszcze raz wracam do rzeczy, którą widzę jasno.

Jeżeli cenicie moją przyjaźń:

1) ani słowa o listach przyjaciół, o tym nawet, że takie listy macie. Świadectwa dobrego sprawowania?! Jak żakowi! Skompromitowałyby mnie zasadniczo i beznadziejnie.

2) ani słowa o mojej nieskazitelnej przeszłości. To nie są rzeczy „na wystawę” – nawet w Sądzie.

Na Bóg żywy, mówcie krótko. Możecie to umotywować moim żądaniem. Krótkość przemówienia będzie najlepszym symbolem tego, że bronionym przez obrońcę być nie chcę.

Wydaje się najodpowiedniejszą tezą – obalenie niesłusznych zarzutów prasy.

Darujcie mi gorączkę. Tu idzie rzecz o moją najgrubszą stawkę – c z e ś ć.

Niewiadomski bał się tylko jednego: że precyzyjna konstrukcja autokreacji, jaką zaplanował, nie będzie realizowana zgodnie z założeniami. To miał być teatr jednego aktora. Obrońca miał się nie wtrącać.

Skotnicki odruchowo wytarł lekko spocone ręce o spodnie. Denerwował się. Był w końcu jednym z pięciu świadków oskarżenia.

Dokładnie za kwadrans jedenasta bocznym wejściem na salę wkroczyła ekipa sędziowska: przewodniczący sędzia Wacław Laskowski, sędziowie Jan Kozakowski i Tadeusz Krassowski, sekretarz Maria Majewska oraz prokurator Kazimierz Rudnicki. Powoli zajęli miejsca w nagle ucichłej sali.

– Otwieram posiedzenie Sądu Okręgowego – ogłosił po chwili sędzia Laskowski. – Sąd Okręgowy przystępuje do rozpatrywania sprawy Eligiusza Niewiadomskiego, oskarżonego z artykułu dziewięćdziesiątego dziewiątego kodeksu karnego i artykułu piętnastego przepisów przechodnich do Kodeksu karnego.

Obecni na sali doskonale rozumieli, że artykuły te mogły sankcjonować zastosowanie kary śmierci. Skotnicki mimowolnie pomyślał, że warto by w niepodległej Polsce zmienić rosyjski Kodeks Tagancewa, obowiązujący od 1903 roku, i tymczasowe Przepisy przechodnie, przyjęte w 1917 roku.

Kto mógł przewidzieć, że nowy kodeks karny zostanie przyjęty dopiero w 1932 roku?

– Oskarżony Niewiadomski, jak imię? – Laskowski zwrócił się teraz do mordercy.

Niewiadomski wstał i odparł: – Eligiusz.

– Ile ma lat?

– Pięćdziesiąt trzy.

– Imiona rodziców?

– Ojciec Wincenty, matka Julia.

– Gdzie urodzony?

– W Warszawie.

– Przynależność państwowa?

– Polska. – Głos Niewiadomskiego zabrzmiał nieco mocniej.

– Religia?

– Katolicka.

– Wykształcenie? – kontynuował urzędowym tonem Laskowski.

– Średnie i wyższe.

– Żonaty?

– Tak.

– Dzieci?

– Dwoje.

– W jakim wieku?

– Dwadzieścia i dwadzieścia dwa lata.

Słuchając Niewiadomskiego, Skotnicki pomyślał o losie rodziny zabójcy, ale także o nieco młodszych dzieciach samego Narutowicza, osieroconych tak nagle. Nie mógł wiedzieć, że dokładnie za dziesięć lat

schorowany brat zamordowanego prezydenta Stanisław popełni samobójstwo.

– Zajęcie?

– Malarz.

– Czy podsądny był kiedyś karany?

– Nie.

W tej chwili Skotnicki przypomniał sobie niejasno, że Eligiusz mówił coś o więzieniu w Cytadeli. „Ale to było jeszcze przed wojną” – pomyślał świadek.

Laskowski, upewniając się, że mecenas Kijeński broni oskarżonego z urzędu, odczytał treść powództwa cywilnego (towarzyszącego głównemu oskarżeniu karnemu), wniesionego formalnie przez Leopolda Skulskiego, wspominanego już byłego premiera i szefa MSW, opiekuna dzieci zmarłego prezydenta. Jak pamiętamy, Narutowicz w nagłym porywie poprosił Skulskiego o opiekę nad nieletnimi Stanisławem Józefem i Anną. Oprócz wniesienia oskarżenia z artykułu 99 kodeksu karnego powód cywilny wystąpił o symboliczną markę polską jako odszkodowanie za straty moralne i materialne spowodowane zabójstwem. Jego interesy reprezentował siedzący w pobliżu ławy sędziowskiej mecenas Franciszek Paschalski.

– Czy świadkowie stawili się? – zapytał sędzia po odczytaniu dokumentów powództwa.

– Są! – odparł komornik sądowy.

Skotnicki poruszył się niespokojnie na swoim krześle.

– Przystępuję do odczytania aktu oskarżenia – oświadczył zaraz potem Laskowski, podnosząc do oczu stosowny dokument. Skotnicki, podążając myślami za monotonnym głosem sędziego, przypominał sobie wydarzenia z feralnego 16 grudnia. Wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku.

– Niewiadomski – kontynuował przewodniczący – zbadany w charakterze oskarżonego, przyznał się do winy, oświadczając, że zamachu na życie Prezydenta Rzeczypospolitej Narutowicza dokonał z powodu przyjęcia przez niego wyboru na to stanowisko, pomimo że ten nastąpił głosami „wrogów państwa polskiego”. Zamiar swój powziął wtenczas, gdy stało się wiadomym, że prezydent przyjął ofiarowaną mu przez Zgromadzenie Narodowe godność. Od tej chwili Niewiadomski szukał jedynie sposobności do wykonania swego planu.

Skotnickiemu fragment ten skojarzył się ze słowami Nowego Testamentu o Judaszu.

– Wobec powyższych danych – kończył sędzia – mieszkaniec miasta Warszawy Eligiusz Niewiadomski, lat pięćdziesiąt trzy, oskarżony jest o to, że dnia szesnastego grudnia tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku w Warszawie podczas otwarcia wystawy w gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych dokonał zamachu na życie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabriela Narutowicza, dając doń trzy strzały rewolwerowe i powodując tym natychmiastową śmierć prezydenta.

Odczytawszy dokumenty, Laskowski zwrócił się do Niewiadomskiego:

– Proszę wstać!

Niewiadomski wstał.

– Podsądny Niewiadomski – kontynuował sędzia – czy przyznaje się do tego, że w dniu szesnastego grudnia tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku w Warszawie podczas otwarcia wystawy w Gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych dokonał zamachu na życie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej?

– Czy chodzi tylko o stwierdzenie gołego faktu? – zapytał pewnym głosem Niewiadomski.

– Przede wszystkim o odpowiedź na pytanie. – Laskowski lekko się poruszył. – Czy oskarżony przyznaje się do winy zarzuconej przez akt oskarżenia?

– Do winy się nie przyznaję. – Na sali rozległy się szmery. – Przyznaję się jedynie do złamania prawa i za to złamanie gotów jestem ponieść najdalej idącą odpowiedzialność.

Po chwili milczenia przewodniczący zapytał: – Czy podsądny życzy sobie dać jakieś wyjaśnienia?

– Owszem – głośniej oświadczył Niewiadomski.

– Czy teraz, czy w ostatnim słowie?

– Jeśli pan prezes pozwoli, to teraz – odparł Eligiusz, a zgromadzonych widzów ogarnęło jeszcze większe poruszenie.

Gdy Niewiadomski stwierdził, że pierwotnie planował zabić Piłsudskiego, przez salę przeszła fala zdumienia. Ludzie nie mogli uwierzyć w to, co słyszą. Wcześniej zamiary Eligiusza nie były znane opinii publicznej.

Tymczasem oskarżony mówił dalej. Skotnicki z rosnącym zdziwieniem i rozdrażnieniem słuchał przedłużającego się przemówienia. Niewiadomski najwidoczniej rozkręcał się z każdym słowem. Zachęcony przez sędziego Laskowskiego, który umożliwił mu złożenie wyjaśnień, coraz dalej odchodził od faktu zabójstwa, zapalając się do prezentacji swoich poglądów i wizji Polski.

Po kilkunastu minutach sędzia Laskowski zaczął żałować swej decyzji. Widząc, że Niewiadomski zamierza szczegółowo opisywać działalność „zdradzieckiego” rządu Moraczewskiego, postanowił zareagować:

– Może podsądny będzie się streszczał. Jeszcze będzie miał ostatnie słowo.

– Będę starał się streścić – obiecał Niewiadomski, po czym... powrócił do swego monologu. Emocje zaczynały brać górę. Coraz żywiej gestykulując, zaczął dawać upust frustracji, odchodząc od teoretycznych rozważań i zaostrzając język wypowiedzi:

– Najzawilsze zagadnienia państwowe, losy Polski oddane były w ręce fornali i pastuchów bydła...

– Może podsądny zechce używać innych wyrażeń, nieobrażających. – Laskowski był coraz bardziej zirytowany. – I może podsądny zechce się streszczać i przejść do aktu oskarżenia.

– ...wynikiem tego był Sejm, który wszyscy znamy. – Niewiadomski w swej pasji nawet nie zauważył wtrętu przewodniczącego. – Sejm w połowie złożony z analfabetów umysłowych i w jednej czwartej czy piątej z ludzi, na których patrzyliśmy wszyscy, którzy stanęli poza granicą polskości i obywatelskości!

Eligiusz z trudem panował nad sobą. Nagle, po słowach o „fali ciemnoty”, która wyniosła do władzy „rząd ludowy”, po krótkiej pauzie poprosił: – Czy pan prezes pozwoli na kilkuminutową przerwę dla odpoczynku?

– Owszem. Ogłaszam pięciominutową przerwę – z ulgą zgodził się Laskowski.

Skotnicki spojrzał na zegarek: zbliżała się 11.40. Przewodniczący szybko uznał decyzję o przerwie za swój kolejny błąd. Sala nie zdążyła jeszcze ochłonąć, gdy Niewiadomski, wśród cichnących rozmów, zaczął drugi akt swej „sztuki”.

– Jeszcze raz zwracam uwagę – próbował ratować sytuację Laskowski, zwracając się do monologującego Eligiusza – że oskarżony w ostatnim słowie może jeszcze przemawiać, a obecnie niech ograniczy się do samego aktu oskarżenia.

Chwila wytchnienia nie ukoiła jednak nerwów Niewiadomskiego. Wyraźnie podekscytowany, w krasomówczym zapale szybko zszedł na jeden ze swoich ulubionych tematów: Żydów. Skotnicki z niesmakiem przyjmował kolejne słowa nieszczęsnego oratora.

– Jad moralny i niemoc twórczą zaszczepiło socjalizmowi żydostwo. – Wypowiedź Niewiadomskiego była coraz bardziej chaotyczna. – Zamiast dawnej ideologii romantycznej Żydzi wnieśli...

– Co to ma za związek – nie wytrzymał Laskowski. – Niech oskarżony przystąpi do samego aktu oskarżenia!

– Będę się starał zastosować do tego wymagania. Przepraszam, że nadużywam czasu Dostojnego Sądu, ale chciałbym, by moja psychika, w której świetle czyn mój będzie sądzony, dla trybunału była jasna. Dlatego w kilku słowach postaram się streścić. – Co powiedziawszy, ponownie zagłębił się w swych antysemickich wywodach.

Zrezygnowany sędzia przez pewien czas nie reagował na słowotok Niewiadomskiego. Kiedy jednak zamachowiec zaczął schodzić na poziom personalnych oskarżeń pod adresem swych współpracowników, nie wytrzymał i znowu powtórzył te same słowa:

– Proszę się streszczać i przejść do omówienia czynu zarzucanego w akcie oskarżenia!

– Ależ bez tych wyjaśnień akt ten nie będzie tym, czym jest! – odparował Niewiadomski.

– Może z treści jego wynajdzie oskarżony jaki związek z tym, co chciałby zeznać – przekonywał Laskowski.

Oskarżony ani myślał dostosować się do tego zalecania. Skotnicki z rosnącym niedowierzaniem obserwował potyczkę między Niewiadomskim, pogrążonym w coraz bardziej natarczywych personalnych atakach, a tracącym cierpliwość Laskowskim, który co chwila decydował

się na przerywanie wypowiedzi. Wystąpienie Eligiusza zmieniło się właściwie w dialog oskarżonego z przewodniczącym składu sędziowskiego. Siedzący obok sędziowie pomocniczy – Jan Kozakowski i Tadeusz Krassowski – zerkali na siebie niepewnie.

– Dobór personelu był taki: szef rotmistrz Witecki, lat trzydzieści, sympatyczny... – Część zgromadzonych widzów była zdumiona wątkami, jakie Niewiadomski poruszał w swej mowie. Pojawiły się nawet nerwowe śmiechy.

– To nie ma znaczenia! – Sędzia Laskowski z trudem powstrzymał chęć radykalnego podniesienia głosu. – Jeszcze raz przypominam, żeby podsądny streszczał się.

Po chwili jednak Niewiadomski znów zaczął swoje:

– Witecki, rotmistrz otyły, spóźnia się na posiedzenia, często jest niewyspany. Drugi urzędnik, sekretarz Szafrański...

– Proszę o osobistościach nie mówić! – Palce Laskowskiego uderzały o blat sędziowskiego stołu.

– ...palce pokryte grubymi złotymi sygnetami, gruba złota dewizka. – Niewiadomski, jak w transie, słuchał tylko siebie. – Trzeci urzędnik, przyjaciel rotmistrza, okrągły, pulchny, wygolony, wesoły...

– Co to ma za znaczenie! – Przewodniczący był bliski furii. – Wielokrotnie już zwracałem uwagę, ale podsądny nie chce się do tego zastosować; jeszcze raz proszę o streszczanie się!

– Ten trzeci urzędnik, którego wymieniłem, był Żydem...

Skotnicki był zadziwiony manią i małostkowością Eligiusza. „W takiej chwili mówić o takich sprawach!” – myślał.

– Oprócz nich było jeszcze dwóch czy więcej urzędników, noszących wybitne cechy semickie – ciągnął niezrażony Niewiadomski mocnym głosem. – Panny przepisywaczki, w których rękach były wielkiej wagi

tajemnice państwowe, miały powierzchowność taką, że nie wiedziałem, gdzie jestem.

– Co to ma wspólnego ze sprawą? – Laskowski ograniczył się już tylko do stałego powtarzania swych nieskutecznych apeli. Szmer cichych komentarzy przechodził przez salę.

– Dobrze, nie będę dalej tego ciągnąć. – Niewiadomski jakby na chwilę się uspokoił.

Po chwili jednak nie wytrzymał:

– Powiem tylko o kilku sprawach, które miałem w rękach i które mnie wzburzyły w najwyższym stopniu. – Po czym powrócił do wyszukiwania tropów żydowskich.

„To prawdziwa mania!” – pomyślał rozgoryczony Skotnicki.

Po następnych kilku minutach filipik oskarżonego przewodniczący postanowił wreszcie zareagować:

– Dość tych rzeczy! – stwierdził stanowczo.

Niewiadomski nie od razu posłuchał. Jednak po jeszcze jednej interwencji sędziego i paru zdaniach zamilkł, wyraźnie zmęczony swą kilkudziesięciominutową oracją.

– Czy podsądny ma jeszcze co do powiedzenia? – zapytał Laskowski, licząc na negatywną odpowiedź.

– Nie. Skończyłem.

Sala na chwilę wypełniła się cichymi głosami widzów. Odczekawszy parę sekund, przewodniczący składu sędziowskiego donośnie polecił:

– Proszę wezwać świadków!

Jan Skotnicki wstał z miejsca. Wraz ze Stanisławem Carem, Karolem Kozłowskim, Edwardem Okuniem i Ignacym Sołtanem, tak jak on

powołanymi na świadków przez prokuratora, wystąpił na środek, śledzony ciekawymi spojrzeniami z widowni.

– Czy nikt ze świadków nie był pod sądem? – zapytał ich Laskowski.

– Nikt – odparli zgodnie.

– Czy świadkowie wyznania ewangelickiego zgadzają się złożyć przysięgę z katolikami?

– Tak – doszła odpowiedź.

Po tej wymianie zdań cała piątka przed Biblią, trzymaną przez księdza, przysięgła zeznawać wyłącznie prawdę. Skotnicki nie mógł słyszeć dalszego ciągu rozprawy, ponieważ wraz z resztą świadków udał się do osobnego, wyciszonego pomieszczenia. Na sali pozostał tylko pierwszy z wezwanych Stanisław Car. Skotnicki odpowiadał jako jeden z ostatnich. Zdenerwowanie sytuacją spowodowało, że słabo zapamiętał swoje zeznania. Po przesłuchaniu całej piątki mógł powrócić na miejsce w sali głównej.

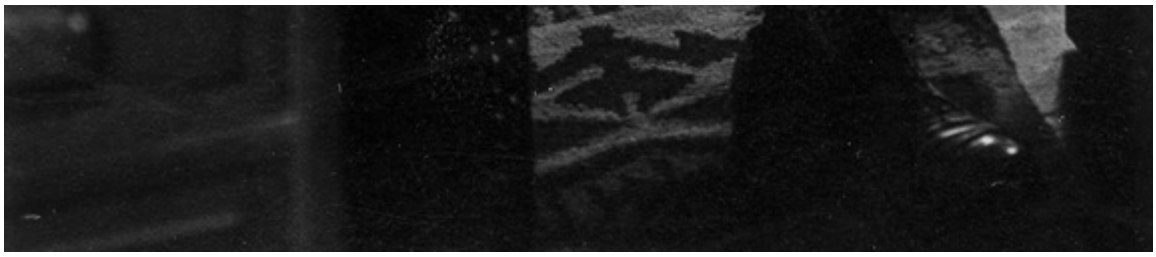

Malarz Jan Skotnicki, 1927 rok. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Niezbyt uważnie słuchał kolejnych, dość nużących etapów dochodzenia, kiedy to odczytywano protokoły z oględzin miejsca zbrodni, oględzin zwłok prezydenta Narutowicza, przedmiotów znalezionych przy mordercy i jego ofierze. Było już późne popołudnie, kiedy Skotnicki zaczął ponownie uważniej przysłuchiwać się toczonej rozprawie.

– Powód cywilny stawia kwestię w ten sposób, że dotychczas na sali sądowej nie mówi się nic o świętej pamięci Narutowiczu jako prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej. – Doszły do Skotnickiego słowa prokuratora Kazimierza Rudnickiego. – Zabójstwo jest tak bezmyślne, że istotnie związać je ze świętej pamięci prezydentem prawie nie można. I to jest dla mnie kwestia zupełnie niezrozumiała. Z dzisiejszych wyjaśnień oskarżonego wiem jeszcze mniej o przyczynach zabójstwa prezydenta, aniżeli wiedziałem przedtem.

Wiele osób na sali w tej chwili pokiwało twierdząco głowami. I dziś trudno nie zgodzić się z tym oczywistym i rozsądnym, choć pewnie też bezradnym komentarzem.

Po krótkiej serii pytań Niewiadomski wyraził chęć złożenia dalszych wyjaśnień w sprawie zabójstwa. Sędzia Laskowski ogłosił półgodzinną przerwę.

Warszawa, Sala Kolumnowa Sądu Okręgowego
sobota 30 XII 1922, godz. 16.00–19.00

Gdy skład sędziowski ponownie zajmował miejsca, grudniowe słońce schowało się już za linię horyzontu, pogrążając oszronioną Warszawę w półmroku. Ucichły rozmowy. Do Niewiadomskiego zwrócił się mecenas Paschalski, próbując wydobyć od oskarżonego rzeczywiste przyczyny zamordowania prezydenta. Pytanie to wciąż zadawali sobie zapewne wszyscy obecni na sali. Wcześniejsze tyrady Eligiusza przecież tylko pogłębiły wątpliwości. Gwałtowny atak na Piłsudskiego i Żydów w żadnym stopniu nie wyjaśniał, dlaczego zabił Narutowicza. Wręcz przeciwnie.

Bohater dnia nie miał jednak wiele nowego do powiedzenia. Potarł palcami skronie, jakiś czas milczał. „Czy to normalne – pomyślał siedzący niedaleko Skotnickiego pisarz Leo Belmont – że tłumaczył tak przestronnie, iż chciał zabić kogoś innego, a doszedłszy do właściwego punktu oskarżenia – naraz milknie?”. „On jest niepoczytalny!” – pomyślał jeszcze, nie mogąc zrozumieć bezsensowności wywodów Niewiadomskiego.

– Sprawa faktu zabójstwa jest należycie ustalona – przyznał wreszcie oskarżony. – Ustalona jest przez świadków, protokoły itp. Pozostają wyjaśnienia. Jeśli zrzekłem się obrońcy i przyjąłem w ostatniej chwili jego szlachetnie – Niewiadomski podkreślił ostatnie słowo – ofiarowaną mi pomoc, to przyjąłem dlatego, iż dowiedziałem się o fałszu, jaki został zamieszczony w komunikacie urzędowym, fałszu dążącym do zniesławienia mnie.

Chodziło o cytowaną informację Polskiej Agencji Telegraficznej o zabójstwie, w której napisano, że Niewiadomski usiłował zbiec z miejsca zbrodni.

– Wówczas przyjąłem wyznaczonego mi łaskawie przez sąd obrońcę i wymogłem na obrońcy, iż właściwie będzie on opiekunem przewodu sądowego i że bronić mnie nie będzie. Wielkodusznie na to się zgodził.

Bronić się chciałem ja sam. Odrzucałem obronę dlatego, żeby nie dać nikomu powodu do mniemania, iż chciałbym ratować moją osobę fizyczną. Tak nie jest. Chcę ratować jedynie mój czyn i jego wartość. Jest to o wiele łatwiejsze. Nie ma w Polsce człowieka, który by mój czyn uważał za pospolity mord. – Eligiusz ponownie dał się porwać emocjom. – Każdy rozumie, że jest to jeden z epizodów walki o naród. – Tutaj już prawie krzyczał. – Walki o polskość Polski!!!

Czy naprawdę w to wierzył? Czy chciał za wszelką cenę przekonać słuchaczy, czy również samego siebie?

Publiczność nie zdążyła jeszcze ochłonąć po tych słowach, gdy z kolejną sensacją wystąpił mecenas Paschalski. Poinformował on, że pewien redaktor sosnowieckiej gazety „Pochodnia Żagwi" Władysław Ludwik Evert – powiązany z piłsudczykami – miał w Sosnowcu 16 grudnia o godzinie 10.00, a więc ponad 120 minut przed zabójstwem, dowiedzieć się, że Eligiusz Niewiadomski zamordował prezydenta Narutowicza. Po jednej sensacji zaprezentował drugą:

– W tej sprawie są rzeczy ogromnie ciekawe – mówił z przejęciem. – Jak ten list jasnowidzącego ze Lwowa, który wskazywał niemal na godzinę zabójstwa. Uważam, że dane, które przed chwilą przytoczyłem, muszą być zweryfikowane, bo tego wymaga historia, wymagają tego dzieje Polski.

Skotnicki otworzył usta ze zdumienia, nie wiedząc, co myśleć o tych rewelacjach. Sala zamarła. Zdumiony sąd niedługo potem ogłosił przerwę i udał się na kolejną naradę. Zgromadzeni na sali widzowie, wyraźnie ożywieni, wymieniali się komentarzami, kręcąc z niedowierzaniem głowami.

Po wznowieniu rozprawy sędzia Laskowski poinformował zebranych, że z racji niedokładności danych przekazanych przez Paschalskiego sprawy Everta i lwowskiego jasnowidza nie zostaną rozpatrzone na procesie. Wielu

Polaków odebrało to później jako spychanie niewygodnych dla rozprawy wątków. Dało to asumpt do snucia teorii spiskowych.

Do dzisiaj nie wiadomo, jak interpretować „proroctwo” z Sosnowca. Nie wiadomo też niczego więcej o „proroku” ze Lwowa. Czy Paschalski zbyt poważnie przejął się krążącymi po Polsce plotkami? W morzu pogłosek, prognoz gorączkowych opinii i gwałtownych dyskusji, które zalało kraj po wyborze Narutowicza, mogły pojawić się takie, które akurat w zadziwiający sposób zbiegły się z rzeczywistością.

Zbliżał się już wieczór, kiedy prokurator, reprezentant powództwa cywilnego i obrońca przystąpili do wygłaszania swoich mów końcowych.

– Głos ma pan prokurator – ogłosił sędzia Laskowski, spoglądając w stronę Kazimierza Rudnickiego. Mecenas wstał, odczekał chwilę aż ucichną szmery na sali, po czym z uroczystym wyrazem twarzy, nieskutecznie skrywającym zdenerwowanie, rozpoczął przemówienie.

– Przed dwoma tygodniami – mówił zaskakująco niepewnie – w sali Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych konał na podłodze na wyciągniętym skądś dywaniku prezydent Rzeczypospolitej, najwyższy przedstawiciel trzydziestomilionowego narodu. – Rudnicki dla efektu zaokrąglił rzeczywistą liczbę obywateli polskich, która przekraczała wtedy 27 milionów. Dodatkowo zaczął akcentować każde zdanie dramatyczną pauzą, potęgując teatralność wystąpienia i próbując zamazać początkowe wahanie.

– Nie było przy nim nikogo z jego bliskich – kontynuował. – Nie miał tego spokoju śmierci, jaki bywa udziałem najniższego choćby obywatela państwa. Martwiejącą głowę obce podtrzymywały ręce. – Rudnicki niemal deklamował, przyspieszając zarazem tempo wypowiadanych słów. – I nie było nic bardziej żałosnego, bardziej wzruszającego, jak widok przedstawiciela państwa, państwa odrodzonego tak niedawno, dźwigającego się w górę tak niesłychanie szybko, konającego w obecnym

otoczeniu, w tak strasznych po prostu warunkach. Widok ten wzbudzał nie gniew, nie oburzenie, nie chęć zemsty, ale ogromną żałość... Albowiem przede wszystkim poczucie żałości przejmowało każdego z nas patrzącego na ten tragiczny moment, na powoli rosnący na piersiach zmarłego krwawy order, w którego konturach można było odczytać słowa „Pro Patria”. – Mecenas podniósł głos. – I to uczucie żałości z powodu bezmyślnie zmarnowanego, zdeptanego życia przeniknęło poza mury Zachęty, bo kiedy wyniesiono owinięte w sztandar Rzeczypospolitej ciało jej prezydenta, tłum zebrany na ulicy mazowieckiej zapłakał. – Prokurator przerwał, spoglądając w głąb sali. Tłum słuchał go z uwagą.

– Po tym odruchu żałości przyszedł odruch potępienia – ciągnął Rudnicki. – Z ust pana marszałka Senatu padły na posiedzeniu tegoż Senatu słowa: „stało się wielkie nieszczęście, najwyższy przedstawiciel Rzeczypospolitej padł od kuli szaleńca, który straszną krzywdę wyrządził całemu narodowi, bo wobec świata przedstawił swym czynem Polskę jako kraj zamętu”. Tak mówił nie wybraniec owego Sejmu, który oskarżony nazwał przed chwilą „zbiorowiskiem półanalfabetów”, lecz mąż, którego zrównoważone i zachowawcze poglądy znane są w całej Polsce; którego słowa nie były czczą formą, ale sądem nad czynem Niewiadomskiego!

Rzeczywiście. Marszałek Trąmpczyński był przecież przedstawicielem narodowej demokracji.

– To słowo „szaleniec” przebija się we wszystkich głosach, które się rozlegają – perorował mecenas, a część słuchaczy z aprobatą kiwała głowami. – Nie szaleniec w sensie psychopatologicznym, ale w tym sensie, że czyn jego nie ma żadnej podstawy, jest na niczym oparty. Z ciekawością słuchałem przemówienia oskarżonego i mniej teraz wiem o przyczynie śmierci prezydenta niż po pierwszym przesłuchaniu Niewiadomskiego.

Przebywający wciąż na sali, zmęczony Jan Skotnicki gorzej zapamiętał dalsze słowa Rudnickiego, w których bronił on dorobku odrodzonej Rzeczypospolitej, oskarżanej przez Niewiadomskiego o „anarchię”. Ożywił się w momencie, gdy prokurator wspomniał o Piłsudskim.

– Oskarżony mówi o anarchii i wytacza przeciwko Piłsudskiemu oskarżenie, że to on swoimi czynami anarchię wywołał. – Opisując wypowiedzi Niewiadomskiego, Rudnicki zmienił nieco barwę głosu. – Między innymi postawił zarzut charakterystyczny: potrzeba nam silnej ręki, mówił, a tej ręki rząd ludowy nie miał. A jednocześnie mówił, że rząd ludowy stworzył milicję, której połowa poszła do kryminału, ale lepsza część wcielona została w szeregi policji państwowej. Ten brak konsekwencji w myślach oskarżonego, brak wewnętrznej spoistości jest charakterystyczny dla całej sprawy.

Skotnicki ożywił się jeszcze bardziej, gdy usłyszał swoje nazwisko wypowiadane przez Rudnickiego:

– Umysłowość oskarżonego dziś stała się dla mnie jasną, i stało się jasnym, na jakim podłożu spełniona była zbrodnia. Niewiadomski nie umie ogarnąć całości, widzi tylko szczegóły, tylko drobiazgi, co stwierdza i świadek Skotnicki. Dziś w tym zdawałoby się logicznym opowiadaniu, kiedy oskarżony mógł rozwinąć swoją spaczoną, zupełnie chorą myśl, myśl ta rwała się ciągle i kiedy opowiadanie doszło do dnia 5 grudnia, do momentu zrzeczenia się władzy przez Piłsudskiego, oskarżony zatrzymał się. Wtedy ujawniło się nam wszystkim, jak bardzo w jego czynie brak myśli przewodniej, brak logiki, wiążącej fakta między sobą i dającej ostateczny wynik.

Ciasność horyzontów, niekonsekwencja w poglądach, trudności z logicznym myśleniem – to kolejne cegiełki do budowy charakterystyki osobowości Niewiadomskiego.

– Oskarżony mówi o anarchii, a czymże jest jego postępowanie? – mecenas zwrócił się do Eligiusza, który starał się zachować beznamiętny wyraz twarzy. – Powiada, że nie mógł znieść tej hańby, iż prezydent przyjął władzę, jak mówi, z ręki wrogów Polski. Przede wszystkim to słowo „wrogowie Polski” wprowadza w dziedzinę bardzo trudną, której szczegółowego badania chciałbym uniknąć.

Po krótkiej pauzie Rudnicki znów podniósł głos:

– Przeciwko czemu to protestuje oskarżony? Przeciwko legalnemu czynowi, przeciwko temu, co stało się zgodnie z prawami Rzeczypospolitej? Nie protestował wtedy, kiedy nasi przedstawiciele podpisywali traktat o mniejszościach narodowych, zapewniający im całkowity udział w tworzeniu państwa. Nie protestował, kiedy uchwalono konstytucję, która ten stan rzeczy całkowicie akceptowała. Nie protestował, kiedy to prawo publiczne wchodziło w życie; zaprotestował dopiero wtedy – mecenas wyraźnie akcentował każde słowo – kiedy na podstawie tego prawa został wybrany prezydent Rzeczypospolitej. A protestował nie w ramach dążeń do legalnej zmiany konstytucji, ale w sposób skrytobójczy, mordując człowieka, któremu nic zarzucić nie mógł ani pod względem charakteru, ani pod względem politycznym. Takim jest protest przeciwko legalnemu orzeczeniu ze strony człowieka, który powstaje przeciwko anarchii. Jeżeli legenda o anarchii lęgnie się w duszach polskich, to ta sama anarchia lęgnie się w niektórych polskich sercach. Oskarżony jest najgorszym przedstawicielem anarchii!

Niewiadomski niespokojnie poruszył się na swoim miejscu. Skotnicki zerkał to na niego, to na Rudnickiego, który postanowił wytoczyć najcięższe działa na samym końcu swej wypowiedzi.

– Oskarżony mówi, że swoją straszną myśl powziął pierwotnie co do osoby Józefa Piłsudskiego – grzmiał prokurator. – Zrzekł się zamiaru

zabicia go piątego grudnia, dowiedziawszy się, że Piłsudski zrezygnował z kandydatury. Chciał go bowiem zabić jako Naczelnika Państwa. A przeskakując do dokonanego przez się czynu, oskarżony mówi, że prezydent Narutowicz przez przyjęcie wyboru pohańbił naród. Żadnego innego umotywowania nie znajduje. Nic innego nie dowodzi, przychodzi ze spokojem, z cynizmem i zabija człowieka, na którego zwracały się oczy całego społeczeństwa. I cóż się dzieje? Czy cokolwiek zmieniło się w Rzeczypospolitej? – Intonacja głosu prokuratora jasno wskazywała odpowiedź. Postanowił jednak rozwiać wszelkie wątpliwości: – Nie. Tak samo wzrastać ona będzie.

– Niewiadomski widział tylko swoje papiery, swój wydział i pewne nadużycia w defensywie – dobitnie argumentował Rudnicki. – I z tych drobiazgów wysnuwał nielogiczny wniosek: albo Piłsudski nie wiedział o nadużyciach w defensywie, albo wiedział i to było wielką zbrodnią z jego strony, że nie zareagował. Takie ma pojęcie o państwowości, o całokształcie życia państwowego, o biegu maszyny państwowej człowiek, któremu wydaje się, że Naczelnik Państwa musi wiedzieć o każdym czynie każdego urzędnika. – Prawnik omiótł zasłuchaną salę spojrzeniem. – Ten człowiek, który nic nie widzi, który dostrzega tylko drobiazgi, drobne skazy, i wysnuwa wniosek, że cała maszyna państwowa jest zepsuta, że więc trzeba zabić tego, kto stoi na jej czele, ten człowiek stawia się na piedestale sędziego cnót i błędów narodu. – Prokurator zawiesił na chwilę głos.

Skotnicki z zaciekawieniem przyjął kolejną uwagę Rudnickiego, że w jego przekonaniu Niewiadomski nie miał wspólników, więc jego przestępstwo nie miało charakteru spisku politycznego. „To może uspokoić nastroje w kraju” – pomyślał malarz. Zauważył jednak, że dla Rudnickiego wcale nie umniejszało to winy mordercy.

– Jest to więc czyn indywidualny, czyn, który jednak z drugiej strony nie został wyhodowany w jego mózgu zupełnie samodzielnie i nie zrodził się w jego sercu bez żadnej z zewnątrz pobudki. – Uwaga ta spowodowała pewne ożywienie na sali. – Czyn ten powstał na tle pobudliwości i wrażliwości oskarżonego. To, co było czasem wyrazem zawiedzionych nadziei, czasem wyrazem żalu partyjnego; to, co się uzewnętrzniało w fatalnych często słowach, to Niewiadomski brał na serio, jako głos obudzonego sumienia narodu. Ta pobudliwa natura chłonęła te wszystkie głosy, które rozlegały się między szóstym a piętnastym grudnia i brała je za rzetelną prawdę. I wpatrzony, wsłuchany w to, co było tylko poszmerem tłumu, Niewiadomski wyobraził sobie, że słucha istotnie tętna narodowego życia; że słucha głosów polskiej duszy, a słyszał tylko pokrzykiwania, słyszał tylko syki gadzinowe i nic więcej. – Szmer na sali wzrósł. – I wsłuchany w te wszystkie odgłosy, posunął się do okrutnego, bezmyślnego czynu. Zdeptał życie człowieka. Zdeptał życie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Po chwili dramatycznej pauzy Rudnicki podsumował swoje przemówienie:

– Nie będę mówił o tym, iż jest to niesłychana, pierwszy raz w dziejach narodu spotykana zbrodnia. Nie o to bowiem chodzi, że w dziejach Polski nie było królobójców; że Niewiadomski jest pierwszym zabójcą głowy państwa polskiego. Chodzi o to, że w zaślepieniu swoim podeptał Rzeczypospolitej prawo! – Mecenas raz jeszcze spojrzał po twarzach zgromadzonych na sali ludzi. – Kodeksowo czyn ten nosi nazwę „zamachu na Prezydenta”, ale z punktu widzenia polskiej racji stanu ująć go należy tak, jak ujął go marszałek Trąmpczyński: jako hańbę narodu! Przedstawia on bowiem Polskę jako kraj zamętu, anarchii, gdzie woli narodu

przeciwstawia się wola jednostki, przeklęte, niezapomniane liberum veto! – ostatnie słowa w zasadzie wykrzyczał.

Po chwili dodał już nieco ciszej:

– Prawna strona tej zbrodni, jak i jej strona faktyczna, jest zupełnie jasna. Zabito człowieka, który piastował najwyższą władzę państwową w Polsce. Artykuł dziewięćdziesiąty dziewiąty kodeksu karnego, z którego oskarżony jest pociągnięty do odpowiedzialności, mówi o zamachu na głowę państwa. Jest to artykuł, który nie zna niejako różnicy między dokonanym a usiłowanym tylko przestępstwem. Każdy wysiłek, mający na celu pozbawienie głowy państwa życia lub wolności, karany jest bez względu na osiągnięty skutek karą bezterminowego ciężkiego więzienia. Do tego artykułu dziewięćdziesiątego dziewiątego kodeksu karnego stosuje się artykuł piętnasty przepisów przechodnich do Kodeksu karnego, który wspomina o okolicznościach nadzwyczajnych, uprawniających sędziów do zastosowania kary śmierci.

Po tych słowach Skotnicki mimowolnie spojrzał w stronę Niewiadomskiego, który jednak siedział nieruchomo.

– Sądzę – Rudnicki ponownie podniósł głos – że ten zamach stanowi właśnie taki wypadek nadzwyczajny, gdyż spełniony został, kiedy kraj począł się odbudowywać, wyłaniać z chaosu; kiedy powinien trzymać na wodzy nerwy i namiętności. Warunki niniejszej zbrodni są zupełnie wyjątkowe. Dla Niewiadomskiego innego wyroku być nie może, jak tylko wyrok śmierci. O taki wyrok wnoszę.

Prokurator Kazimierz Rudnicki (w środku), 1925 rok. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rudnicki powoli usiadł wśród cichych rozmów na widowni. W narastających szmerach utonęło ogłoszenie przewodniczącego Laskowskiego o krótkiej przerwie. Prokurator westchnął w duchu, zmęczony potarł czoło. Nie był do końca zadowolony ze swej mowy. W opublikowanych już po 1945 roku pamiętnikach wspominał: „w ciągu ostatnich dwóch dni nie miałem dość czasu, by uporządkować materiał dowodowy, by znaleźć pierwsze słowa mowy oskarżycielskiej, słowa, które by od razu zaznaczyły mój stosunek do sprawy, które by były pierwszym, ale właściwym tonem oskarżenia, zapowiadającego się jako całość”. „Trudne było ujęcie genezy przestępstwa – tłumaczył – odparcie ataku prawicy na państwo i jego rządy. Toteż gdy podnosiłem się z fotela, trudno mi było rozpocząć mowę we właściwym stylu. Ale »święty ogień tremy« oświecił mnie, że mowa musi być prosta w słowie aż do surowości, że nie

może być w niej miejsca ani na lirykę, ani na patos, ani na sentymentalizm”.

Rudnicki być może zbyt surowo oceniał swoje wystąpienie, niemniej można w nim odnaleźć elementy patosu. Trafnie jednak wypunktował absurdalność postawy Niewiadomskiego, choć może mógł jeszcze „docisnąć”.

Tymczasem Skotnicki, pochłonięty cichym komentowaniem wystąpienia prokuratora z sąsiadami, ledwie spostrzegł, że swoje przemówienie rozpoczął adwokat Paschalski. Słuchał go mniej uważnie, rozważając możliwe implikacje prośby strony oskarżającej o zasądzenie wyroku śmierci.

– Wysoki Trybunale! – mówił tymczasem Paschalski. – Rola moja w sprawie niniejszej jest niesłychanie trudna. Trudna jest ze względu na to, że popieram jedyne w dziejach polskich powództwo cywilne. Trudna jest dlatego, że wybaczcie – powiódł oczami po sali – chwilami wydaje mi się, iż w tej sali są opary krwi i po sali tułają się jakieś koszmary śmierci. – Skotnicki mimowolnie rozejrzał się. – Tej krwi, która do przeszłości już należy, z której oby błogosławieństwo spłynęło dla Polski.

W dalszych słowach Paschalski pogrążył się w historycznych wątkach, zdaniem Skotnickiego niezbyt ciekawych. Po paru minutach jednak baczniej zaczął przysłuchiwać się przemówieniu.

– Panowie sędziowie, Trybunale Najwyższy! – ciągnął Pachalski. – My przecież mamy tu dziwowisko niesłychane, bo z jednej strony siedzi oskarżony, siedzi profesor – wszelkie określenia odrzucam – oskarżony jednak z artykułu dziewięćdziesiątego dziewiątego kodeksu karnego. Siedzi były urzędnik, oskarżony o zabójstwo pierwszego Rzeczypospolitej prezydenta, a z drugiej strony jesteśmy my wszyscy i zaczyna się dyskusja; dyskusja, która ściśle mówiąc, wchodzi na niesłychanie niebezpieczne

drogi dyskusji politycznej; tak, jak gdyby dwie różne ze sobą walczyły strony.

Niektórzy obecni niespokojnie poruszyli się na swoich miejscach. Adwokat perorował zaś dalej:

– Moja rola jest w tej sprawie podwójnie trudna. Przychodzę w imieniu dwojga ludzi, którym zamach na prezydenta Rzeczypospolitej zabrał ojca, tylko dobrego i szlachetnego ojca, jak to gotów był nam przyznać pan Niewiadomski. Ale nie tylko w imieniu dzieci przychodzę. – Uniósł głos. – Przychodzę w tej chwili w imieniu dwojga obywateli Rzeczypospolitej, którzy również pytają się: za co zabiłeś nam ojca, tego ojca ojczyzny, o którym nie wiedziałeś nic!

Ze zdania na zdanie przemówienie Paschalskiego nabierało coraz bardziej emocjonalnego charakteru.

– Zapytuję się pana Eligiusza Niewiadomskiego – wołał, nawiązując do przysięgi prezydenckiej złożonej przez Narutowicza. – Za jakie złamanie tej przysięgi padł ojciec tych, którzy honor swego ojca, jako obywatela i jako ojczyzny ojca w moje złożyli ręce? Starałem się o tym dowiedzieć. Nie dowiedziałem się jednak.

„Podobnie jak ja”, pomyślał Skotnicki.

– Zbyto mnie ogólnikowymi słowami: on został zabity jako symbol. Symbol! – powtórzył dobitnie Paschalski. – W tej sprawie naprawdę jest tyle śmiesznej bezmyślności, jak to podkreślił urząd prokuratorski, tyle tragicznej życia polskiego ironii, jak naprawdę może to być tylko wtedy, gdy wielką politykę zacznie tworzyć artysta, człowiek nieugiętych przekonań i człowiek, jak to podkreślił jeden ze świadków, „pryncypialnych zasad”.

– Panowie sędziowie! – kontynuował Paschalski. – Pan Niewiadomski oświadcza, że o Polski majestat chodziło mu wtedy, gdy dokonywał

przestępstwa, o Polski majestat, który miał się wznieść, który miał się budować; i to tylko dzięki ciału, które na Zamku Królewskim, już jako martwe ciało pierwszego prezydenta spoczęło. W ogóle ten cały materiał, który nam został podany, to wyprowadzenie wielkiej linii ideowej, w imię której zamach został dokonany; to wyprowadzenie w o wiele szerszym jeszcze zakresie, aniżeli to miało miejsce na śledztwie pierwiastkowym; to wyprowadzenie zdaje się naprawdę najjaskrawiej potwierdzać słowa urzędu prokuratorskiego o bezmyślności zamachu.

Skotnicki zaczął się trochę gubić w tym wywodzie. Próbował się skupić na dalszych słowach adwokata.

– Wysoki Trybunale! Nie jest moją rzeczą rozpatrywanie sprawy ze strony kwalifikacji karnej. Nie wolno mi przyjmować na siebie odparcia wszystkich Niewiadomskiego zarzutów, ale przecież tak niedawno miało miejsce przemówienie, w którem ustępujący Naczelnik Państwa powiedział, dlaczego ustępuje. Dlatego bo Konstytucja nie gwarantuje możności zaprowadzenia rządu silnego, silnej władzy prezydenta Rzeczypospolitej. A przecież jednym z powodów, które zrodziły w Eligiuszu Niewiadomskim dążenie do zamachu, dążenie do wyprowadzenia Polski jako tego okrętu, na wielkie wody z mocnym sterem, było właśnie dążenie, jak mówił, do silnego rządu. Czy panowie sędziowie nie widzicie w tym pierwszego jakiegoś strasznego i tragicznego nieporozumienia?

Skotnicki przyznał w duchu rację Paschalskiemu.

– W tym wszystkim musimy sobie postawić pytanie, jaki był cel zamachu i czy śmierć Narutowicza nie była naprawdę jakimś krwawym, czysto polskim nieporozumieniem? – retorycznie pytał Paschalski. – Czy ten zamach nie był tylko krokiem tragicznym, lekkomyślnym; lekkomyślnym dlatego, że n i e posiadał w sobie wewnętrznej logiki,

a tragicznym, bo Eligiusza Niewiadomskiego doprowadził na ławę oskarżonych, na której on w dodatku czuje się jako ten, który ma prawo swe narzucać nakazy?

Adwokat z wyrzutem spojrzał na nieruchomego, ale zmęczonego już Niewiadomskiego.

– Czy Eligiusz Niewiadomski pozostawał z kimś w formalnym ustawowym spisku, to być może ważne jest z punktu widzenia kary, ale nie jest ważne wtedy, gdy przytaczam te ostatnie ustępy jego zeznania. Otóż mówił: „Tak, jak ja, czują tysiące, lecz nie każdy chce może tę kwestię, jak ja, wypowiedzieć". Tu jest istota oświadczenia. Tu dopiero w najostrzejszej formie, w tej formie, do której upoważnia rozbrat z życiem, mówił Niewiadomski swą prawdę: „tak, jak ja, czują tysiące"! – Szmery na sali znowu stały się głośniejsze.

– To jest może rzucanie bengalskich ogni, a może zapałek, które łatwo wszcząć mogą pożar – perorował Paschalski, nawiązując do ostatnich gwałtownych ataków na prezydenta i zjadliwych artykułów prasowych. – Jest taki człowiek, który w tym samym czasie chodzi po Polsce, który w swoim czasie skończył z odznaczeniem akademię sztuk pięknych, który nauczył się mówić, że jeżeli powiedziane zostało „A", to trzeba powiedzieć i „Z". Ten Niewiadomski zauważa, że Narutowicz jest klocem rzuconym przez Piłsudskiego na odchodnym, że będzie zaporą dla stworzenia silnego rządu, że to jest jedna hańba, że obiór Narutowicza jest przekleństwem Polski.

– Ja się was, panowie sędziowie, zapytam. – Paschalski pochylił się w stronę ławy sędziowskiej i pod wpływem emocji zaczął się plątać: – Zapytam, że gdyby kto z nas, podzielając zasady Eligiusza Niewiadomskiego, tak jak on myślał i wierzył sykom; gdyby ktokolwiek z nas chciał skutek doprowadzić do końca, chciał Polsce rozewrzeć wrota,

chciał Polskę uwolnić od hańby i gdyby ten ktoś miał cel zdecydowany, to niech nie dziwi się, że pod wpływem tych wszystkich wiadomości, które do niego szły, o których Narutowiczowi komunikowano w dziesiątkach listów – i jeżeli ma się artystyczne usposobienie, małe zdolności krytyki, a jeszcze mniejszą zdolność do parlamentarnego przemyślania wszystkich konsekwencji – to się nie zdziwi, że z tych drobnych ogników, którymi trzeba było oświetlić świt Polski, który miał przyjść po zmierzchu Józefa Piłsudskiego, dochodzi się do takich wyników, jakie Niewiadomski starał się tylko usprawiedliwić.

Skotnicki, zgłębiając się w zawiły i mało teraz przejrzysty wywód Paschalskiego, przypomniał sobie, że zabójca Lincolna John Wilkes Booth też był artystą – aktorem.

– Wysoki Trybunale! – Adwokat zbliżał się do końca, jeszcze bardziej dramatyzując swoje nieskładne wystąpienie. – Formalna ustawa wiąże mi usta i nie mogę powiedzieć, że w tej chwili mamy tylko dramat Eligiusza Niewiadomskiego, ale mamy dramat Polski. Polski, nie Judeo-Polski i nie zestawienia Polska – Judeo-Polska. Mamy dramat z życia parlamentarnego. Mamy dramat kryzysu, który to życie parlamentarne nosi. Bardzo żałuję, że nie mogę powiedzieć Niewiadomskiemu o tym wrażeniu, jakie zamach jego wywołał w kołach włoskich faszystów, a od którego odżegnali się i który nazwali tylko polskim małpiarstwem. Na jedno pozwolę sobie zwrócić uwagę. – Zawiesił głos. – W tej chwili przemawiam w imieniu dwóch obywateli, ale też i w imieniu kawałka polskiego narodu. Bo jeżeli z tamtej strony stoi naród, o którym się mówi, że jest większością, to pozwolę sobie zauważyć, że śp. Gabriel Narutowicz, a w tej chwili Stanisław Wojciechowski, zostali wybrani czterema i pół milionami wyborców.

– Ze swej strony chciałbym tylko jednego – Paschalski był wyraźnie poruszony – aby historia Polski mogła przejść nad dzisiejszym procesem

o zamachu szesnastego grudnia z zawoalowaną twarzą, z twarzą spowitą w kiry; ale jednocześnie w tym wielkim przekonaniu, że krew ojca moich mocodawców i ojca, pierwszego ojca ojczyzny, była jako hosanna. – Adwokat mocno zaakcentował to słowo. – Była jako krew, która przypomina wszystkim o tym, co powiedział Eligiusz Niewiadomski, że Polska jest przeszłością, jest teraźniejszością, dniem dzisiejszym, a idziemy do Polski przyszłości. W tej Polsce przyszłości oby nigdy więcej nie znalazł się już człowiek, który zechce budować ojczyznę, zabijając jej prezydenta.

– Proszę o zasądzenie akcji cywilnej! – dodał po krótkiej pauzie, po czym usiadł wśród ożywionych rozmów, które nagle wypełniły mury Sali Kolumnowej. Niektórzy pozwalali sobie na krytykę chwiejnego przemówienia Paschalskiego.

Skotnicki spojrzał na stojący w rogu zegar: zbliżała się siódma wieczór.

Warszawa, Sala Kolumnowa Sądu Okręgowego
sobota 30 XII 1922, godz. 19.00–19.50

Sędzia Laskowski, odczekawszy chwilę, uciszył salę, ogłaszając:

– Głos ma pan obrońca.

Mecenas Kijeński ciężko podniósł się z miejsca i rozejrzał po twarzach zgromadzonych ludzi. Nie miał łatwego zadania. Zdawał sobie sprawę, że los jego klienta – zwłaszcza w obliczu postawy, jaką obrał – jest w zasadzie przesądzony. O to zresztą Eligiuszowi chodziło. Dlatego prawnik chciał przede wszystkim wykorzystać swe wystąpienie do próby moralnej rehabilitacji dokonanego morderstwa. Niewiadomski w jego zamierzeniach miał stać się postacią tragiczną, ale bohaterską: mścicielem krzywd wyrządzanych narodowi przez Piłsudskiego, lewicę i Żydów. Można powtórzyć: o to właśnie Eligiuszowi chodziło. W swej linii obrony,

poniesiony emocjami, Kijeński szybko jednak przestał być konsekwentny, ku niezadowoleniu swego klienta.

– Panowie sędziowie! Przede wszystkim poczytuję sobie za powinność podziękować sądowi za to, iż zaszczycił mnie wyznaczeniem do obrony w tej sprawie – rozpoczął. – Ale zaraz potem winien jestem sądowi zameldować, że powierzony mi obowiązek w uwzględnieniu życzeń oskarżonego musiałem ograniczyć zupełnie dobrowolnie. – Kijeński spojrzał na Eligiusza. – Rola moja w tym procesie jest zupełnie niezwykła. Zwykle walczyło się o to, aby obrona, którą ograniczano, miała jak najszerszy zakres, tu zaś zaszedł tak dziwny splot okoliczności, że dobrowolnie przyjąłem obronę i dobrowolnie sam ją ograniczyłem, powziąwszy poszanowanie dla względów, które podczas wczorajszej mojej długiej konferencji z oskarżonym usłyszałem. Czy można nie przyjąć życzeń człowieka, który jest najgłębiej przekonany, iż czyn jego podlega potępieniu, a który własną tylko mocą pragnie wyjaśnić, że do czynu, na który on sam się wzdryga, popchnięty był wewnętrznym nakazem o konieczności dokonania go?

„On wierzy w to, co mówi” – pomyślał Skotnicki, obserwując rosnącą pasję mecenasa.

– Nie może tu być mowy o obłędzie, ale w skupieniu wielkim musimy stawić pytanie, czy każdy człowiek jest w stanie stłumić w sobie ból, który go rozsadza? – ciągnął Kijeński. – Czy Bóg tak stworzył człowieka, że on może stać się nadczłowiekiem? W teorii się mówi, że należy władać sobą, panować nad sobą, aleśmy nie tak stworzeni, aby to było w całej rozciągłości możliwe; jest to tylko ideał, do którego człowiek dąży. Pan Niewiadomski nie mógł znieść tego bólu, który go rozsadzał, ukoić; w porachunku z tym bólem, może nawet nieświadomie, uległ parciu wewnętrznego nakazu, a wolna wola jego przestała działać. – Na sali dało

się słyszeć odgłosy niezadowolenia. – Co za bezmierna tragedia w duszy człowieka, który decyduje się na spełnienie czynu, uznawanego przez niego samego, sprawcę, za czyn straszliwy!

Dramatyczny ton Kijeńskiego nie mógł przekonać Skotnickiego.

– Mam mu jeszcze współczuć?! – mruknął pod nosem świadek, a obrońca mówił dalej:

– Okoliczności okropne naszego życia publicznego, przedstawione przez oskarżonego, które go do czynu pchnęły, zostały wyłożone tak przejrzyście, że i bez mego uzupełnienia spowodować one muszą powszechne wgłębienie się w nie wszędzie tam, gdzie w sercach tkwi ofiarna miłość ojczyzny.

Skotnicki westchnął, bo odniósł dokładnie odwrotne wrażenie. Słuchając słów obrońcy, utwierdzał się w przekonaniu, że prawnik próbuje tworzyć mit Niewiadomskiego jako szlachetnego, wręcz romantycznego idealisty, gorącego patrioty, wiernego swym poglądom i poświęcającego się dla ratowania ojczyzny. Malarz z niesmakiem pokręcił głową. Rozejrzał się po sali, próbując odgadnąć nastroje innych ludzi. Zauważył, że są zróżnicowane.

W tym czasie Kijeński krytykował formułę powództwa cywilnego w sytuacji, gdy postępowanie toczono na podstawie artykułu dotyczącego zamachu na życie głowy państwa.

– Pan prokurator nie zauważył jednego. – Kijeński postanowił też odnieść się do wystąpienia Rudnickiego. – Powiedział, że w kraju się wiele rzeczy zrobiło. Ja to potwierdzę. Mamy dopiero cztery lata własnego życia. Organizm w takim wieku mocny nie jest. Potrzebuje on rozumnej, zorganizowanej, ciągłej pieczołowitości, aby nabrał sił. Trzeba czekać. Ale jeśli w kraju wiele zrobiono, kto to wszystko zrobił, kto zorganizował,

zbudował? Społeczeństwo, nie rząd. I to właśnie pan Niewiadomski zaznaczył.

Rudnicki zaczął dawać znaki, że będzie chciał zabrać głos po przemowie obrońcy.

– Zalewa nas wprost fala wrogiej obczyzny – grzmiał Kijeński, zbaczając na wątki ksenofobiczne, dokładnie tak jak Niewiadomski. – Z tą wciąż rosnącą falą rośnie i obawa w sercach naszych, że ta fala może nas całkowicie pochłonąć. Widział to nie tylko Niewiadomski, widzą to miliony Polaków.

Skotnicki wspomniał w tym momencie o krwawych zamieszkach z ostatnich dni.

– Niewiadomski w całej istocie swojej był wstrząśnięty tym, że te głosy obce, jak on mówi, głosy wrogów państwa, spowodowały wybór człowieka polskiej mniejszości. Powiedział sobie: dość tego. Organizm nawet najtęższy dłużej męki takich rozmaitych operacyj nie wytrzyma i może paść. A jak padnie, to co?... I oto geneza czynu – tłumaczył Kijeński.

Niewiadomski przelotnie spojrzał na mecenasa. W jego mniemaniu mówił zdecydowanie za dużo.

– Nie było takiego czynu w Polsce, ale też Polska nie była nigdy w takich warunkach wyjątkowych, w jakich ją widział Niewiadomski – ciągnął Kijeński. – Polska nigdy tak nie była przez obcość chłonięta. Niewiadomski widział, że my na każdym polu jesteśmy wykolejani, z siodła wysadzani. I ot: tragedia czynu jego i tragedia jego głęboko kochającego, bolejącego serca!

Prokurator Rudnicki coraz bardziej ostentacyjnie wyrażał niezadowolenie ze słów kolegi.

– W ten sposób należy patrzeć na czyn jego – kontynuował żarliwie Kijeński, szukając poparcia wśród publiczności. – Nie jest to czyn

zbrodniarza, lecz czyn człowieka oszalałego z bólu. I w ten sposób, mam nadzieję, Wysoki Trybunał zakwalifikuje w motywach swojego wyroku czyn Niewiadomskiego. A teraz zapytam, komu jest potrzebna śmierć Niewiadomskiego? – Po krótkiej pauzie podniósł głos. – Czy potrzebna maksymie „oko za oko, ząb za ząb”? Kogo to obudzi? Czy naszą duszę zbiorową? Kto by nam tak mówił, źle by mówił.

Niewiadomski z rosnącą niecierpliwością zerkał na swego obrońcę, niezadowolony z kierunku, w jakim szła linia obrony. Niezrażony Kijeński, opierając się na dekrecie Piłsudskiego z 11 stycznia 1919 roku mówiącego o „wyjątkowych warunkach”, wymaganych do wymierzenia kary śmierci, przekonywał:

– Wyjątkowe warunki tu istotnie są, tylko trzeba zauważyć, że one są w innym zgoła kierunku.

Nagle adwokat przerwał i nachylił się ku Niewiadomskiemu, który szepnął mu stanowczo parę słów do ucha. Salę na chwilę wypełniły przyciszone rozmowy.

– W tej chwili pan Niewiadomski prosi mnie – głośno powiedział Kijeński, próbując jednocześnie spoglądać na swego klienta i na sędziów – abym w tym przedmiocie przestał mówić. Więc spełniam życzenie z wiarą, że sumienie wasze, panowie sędziowie, orzeknie o winie sprawiedliwie według zasad chrześcijańskich. Poruszę natomiast jeszcze jedno. – Mecenas uspokajającym gestem powstrzymał niespokojnego Eligiusza. – Oszalały bólem, miał twardą, pewną, mocną rękę i strzelił do tego człowieka, którego uważał za narzędzie owej grożącej Polsce potęgi. To także zasługuje na rozważenie przy ocenie czynu Niewiadomskiego.

– Mogłem powołać kilku świadków spośród znanych w społeczeństwie ludzi – konkludował Kijeński – którzy by opowiedzieli o całym życiu Niewiadomskiego; życiu, którego wcale ukrywać nie potrzeba.

Powiedzieliby oni o jego młodzieńczych porywach, męskim działaniu, o jego wybitnej a owocnej pracy. Nie mogłem niestety tego zrobić, bo oskarżony prosił, żeby z jego strony świadków żadnych nie było. I jedynie tylko świadek Skotnicki, powołany przez pana prokuratora, mówił Wysokiemu Trybunałowi o pięknie ducha tego człowieka.

Skotnicki drgnął: przecież on tylko starał się podać możliwie pełny opis swego dawnego znajomego! Niepewnie poruszył się na krześle.

Kijeński skończył. Prokurator Rudnicki natychmiast poprosił o głos. Sędzia Laskowski zgodził się, ogłaszając czas replik.

– Obrońca powiedział, że oszalały bólem Niewiadomski zabił tego, którego uważał za narzędzie – zaczął spokojnie prokurator, by po chwili gwałtownie zmienić ton. – Otóż jest to czyn zupełnie nielogiczny, nieprzemyślany; jest to czyn, który jeszcze raz wskazuje na to, że ten umysł nie potrafi ujmować całości, a tylko szczegóły, jeśli uderzał w narzędzie, a nie szukał przyczyn, nie starał się ich zgłębić.

„Powtarza się” – pomyślał Skotnicki, słuchając dalszych wywodów Rudnickiego, w których bronił dorobku II Rzeczypospolitej i określał czyn Niewiadomskiego jako prowadzący do anarchii.

– Dziś w Polsce jest lepiej, aniżeli kiedykolwiek było, dziś Polska się odradza, zmartwychwstaje, wznosi się i idzie wzwyż, bez względu na to, jakie ręce starają się rzucić na nią piętno ohydnej niewoli.

Rudnicki siadł, przeciągle patrząc na Kijeńskiego i Niewiadomskiego. O zezwolenie na zabranie głosu poprosił mecenas Paschalski.

– Przyszedłem tu w imieniu dzieci i w imieniu dzieci proszę o zasądzenie powództwa – tłumaczył raz jeszcze. – Ten wyrok niech będzie stwierdzeniem, że Polska dzisiejsza z tamtą Polską, z tą Polską wielką, jest najściślej, najpiękniej łzami i krwią związana.

Kijeński nie odmówił sobie prawa do riposty:

– Bardzo wdzięczny jestem panu prokuratorowi za podniesienie tego, co on z mego przemówienia za *lapsus linguae* uważa: mianowicie, żem uznał dzisiejsze warunki naszego życia za gorsze aniżeli kiedyś. Jednak słowa moje potwierdzam. Gdy przodkowie nasi ginęli w kopalniach, na szafocie, w więzieniach i w tajgach sybirskich, to zawsze krzepili się przepełniającym ich dusze ideałem wymarzonej wolnej Ojczyzny, dla której cierpieli i ginęli. W natchnionej kompozycji Grottgera polskiej katorżnicy w kopalni sybirskiej przy taczkach objawia się Matka Boża z dzieciątkiem i ta zjawa dodaje nadziei, że może Ona kiedyś istotnie przyjdzie.

Skotnicki zauważył, że widzowie byli już zmęczeni i zniecierpliwieni przedłużającą się dyskusją, która wyraźnie odchodziła od głównego wątku procesu.

– A gdy ziściło się to objawienie, gdy ta Królowa Niebios zeszła, zdawało się, ku nam, a tymczasem widzi się straszną pogardę tego, co się widziało w ideale: to ból bólów ściska. I to odczuwał nie jeden Niewiadomski i nie tysiące, a miliony! – Adwokat znów dał się porwać swej zawiłej retoryce. – Tylko to jest nieszczęściem, że kiedy dotychczas długie lata trwaliśmy w walce z zewnętrznym wrogiem, to dziś długie może lata będziemy musieli trawić w walce o pokonanie tego wroga wewnętrznego, który rozsiadł się wśród nas...

Jak widać, nie tylko Niewiadomski był gorzko rozczarowany bolesną różnicą między wyobrażeniami o wolnej Polsce a jej rzeczywistą postacią. Kijeński mimochodem trafnie zauważył zjawisko deziluzji wobec odrodzonej ojczyzny, której uległo bardzo wielu Polaków.

Przewodniczący Laskowski uspokoił znów ożywioną salę, po czym obwieścił:

– Oskarżony ma prawo do ostatniego słowa. – Spojrzał na Niewiadomskiego z lekką obawą, pamiętając tyradę sprzed kilku godzin.

Tym razem jednak zamachowiec okazał się zaskakująco zdyscyplinowany i wyważony. Skotnicki zapamiętał kilka fragmentów ostatniego publicznego wystąpienia Eligiusza.

– Nawiązując do przemówienia pana prokuratora – rozpoczął mocnym głosem Niewiadomski – zaznaczam, że nie moją rzeczą jest polemika w sprawie traktatu wersalskiego; w sprawie tego, jak mógłby być i powinien być wykonany, w sprawie tego, jaka mogłaby i powinna być konstytucja polska, gdyby powstała bez nacisku ludzi poza polskim uczuciem będących. I wiele innych spraw pomijam zupełnie. Polemika nie jest moją rzeczą. Zrobią to inni, zrobią lepiej ode mnie. Ja nie daję dialektyki ani świetnej retoryki. Daję to, co mam.

– Pozwolę sobie uzupełnić przemówienie pana prokuratora pewnymi momentami, które pominął albo na które położył za mało nacisku – kontynuował Eligiusz. – Pan prokurator oświetlał całą sprawę ze stanowiska psychologicznego i ze stanowiska prawnego bardzo dobrze. Doszedł do wniosków zupełnie naturalnych i słusznych, tylko nie poparł ich tym, co ja bym nazwał racją stanu. To jest czymś, co stoi ponad wszelką psychiką i ponad wszelkim prawem i w wypadku kolizji z tamtymi przeważa. W dzisiejszych czasach złamania dyscypliny społecznej i wyzwalania bestii ludzkiej złagodzenie wyroku straci dla ogółu, dla tłumu cały efekt, całą siłę.

Kijeński wymownie popatrzył na swego klienta. Skotnicki z mimowolnym zdumieniem zrozumiał, że Niewiadomski namawia sąd do skazania go na śmierć!

– Trzeba pamiętać o jednym – z niezmąconym spokojem, nie zważając na rosnącą konsternację widzów, ciągnął Niewiadomski. – Mianowicie aby wyrok, który dostojny sąd dziś wyda, nie był zapewnieniem bezkarności i zachętą dla złoczyńców, których ręce uzbroją i opłacą wrogowie Polski.

Jeśli na najwyższych stanowiskach w Polsce znajdą się nareszcie mężowie stanu, polscy mężowie stanu, to nie ma wątpliwości, że po ich życie sięgnie nie jedna, ale dziesięć uzbrojonych rąk. Dzisiejszy wyrok sądu powinien być dla tych zabójców *in spe* przestrogą i grozą; inaczej ta krew, ta cenna krew polska, która może się polać, spadnie na ręce tych, którzy będą podpisywali złagodzone wyroki. Jeżeli wyrok zapadnie najsurowszy na tej podstawie, to przeciwko niemu nie podniesie się ani jeden głos, ani na prawicy, ani na lewicy, ani z tej ławy, na której ja tu zasiadam, ani w waszych własnych sumieniach.

Niektórzy obecni na sali być może zdawali sobie sprawę, że Niewiadomski, przeświadczony o wielkości swego czynu – bardzo się tutaj pomylił. Skotnicki wyczuł z kolei, że oskarżonemu tak naprawdę wcale nie chodzi o przestrogę dla potencjalnych zabójców. To był tylko element tworzenia mitu zatroskanego o Polskę patrioty. Niewiadomski chciał po prostu umrzeć, bo tylko wtedy jego czyn mógł stać się legendą. I tylko wtedy zamachowiec mógł uniknąć poznania skutków swego czynu, które mogłyby go tragicznie rozczarować.

– Z tego, co powiedziałem, wynika, że czyny moje zamierzone, jak i wykonane, według brzmienia prawa są przestępstwem państwowym kategorii najwyższej. – Eligiusz dalej w zdumiewający sposób formułował oskarżenie przeciwko sobie samemu. – Przyłączam się do kwalifikacji zrobionej przez pana prokuratora i do jego wniosku, ażebym był sądzony na podstawie paragrafu piętnastego przepisów przechodnich.

Kijeński nerwowo zerkał na swego klienta.

– Jeśli prawo przewiduje za jego złamanie dwie formy kary i obie uznaje za jednakowo celowe i dobre, to czyż nie jest rzeczą, biorąc po ludzku, najsłuszniejszą pozostawienie oskarżonemu wyboru? Wybór ja zrobiłem.

Zgromadzeni w Sali Kolumnowej ludzie ze zmieszaniem patrzyli na Niewiadomskiego.

– Pozostaje jeszcze parę rzeczy natury osobistej. Prawo domaga się za jego złamanie zadośćuczynienia, ale nie zemsty, nie krzywdy – Eligiusz nieświadomie powtórzył słowa prokuratora. – Wyrok skazujący mnie na więzienie bezterminowe, terminowe, jednodniowe, jednogodzinne, będzie największą krzywdą moralną, jaką mi można wyrządzić. Ani na chwilę nie wątpię, że taka krzywda nie leży w intencjach waszych, panowie sędziowie. Miejsce, na którym stoję, nie ma dla mnie nic hańbiącego. Przeciwnie. Ażeby na nim zasiąść, musiałem doprawdy wiele w sobie przezwyciężyć. Mimo to do życia powracać nie pragnę, przynajmniej do życia mojego ciała.

„Wciąż mówi o sobie, w ogóle nie myśli o hańbie najbliższych!” – myślał Skotnicki. Mordercę interesowała tylko własna „krzywda moralna”. Wydaje się, że niemal oczekiwał współczucia!

– Chcę, ażeby żył mój duch – rozpływał się nad sobą. – To znaczy to, co było moją myślą, moim uczuciem, co żyło w moich czynach i co przetrwa mnie w moich pracach. Wyrok więzienia rzuci w oczach świata cień na moją pamięć, a w moich własnych oczach odbierze mi to, co było moją siłą moralną w chwili, gdy wykonywałem czyn straszny. Kiedy strzelałem do człowieka nieznanego mi, bezbronnego, stojącego do mnie tyłem, moją siłą moralną było przeświadczenie, że za jego życie daję moje. Nie chciałbym żyć z myślą, że ten trybunał polski, ten symbol sprawiedliwości najwyższej, odebrał mi to, co było i co jest do tej chwili moim najwyższym dobrem. Wystawiłem weksel, chcę go spłacić uczciwie.

Po chwili ciszy dodał:

– To moje ostanie słowo. – I usiadł.

Można się zastanawiać, co przeważało w tym zadziwiającym rozumowaniu: tendencje autodestrukcyjne, mitotwórcza mania megalomana czy... chęć ucieczki przed konsekwencjami swego czynu. Tak jak kilkanaście miesięcy wcześniej w ministerstwie, tak teraz Niewiadomski złożył dymisję – z życia. Rzeczywistość nie kształtowała się po jego myśli, postanowił więc tupnąć nogą i odejść – tak, jak chciał odejść z Towarzystwa Kursów Naukowych po zatargu z Krzywickim i z resortu sztuki po zatargu z Ponikowskim.

Warszawa, Sala Kolumnowa Sądu Okręgowego
sobota 30 XII 1922, godz. 19.50–20.50

Po szokującym wystąpieniu oskarżonego przewodniczący Laskowski zbierał się powoli do zakończenia rozprawy, ale ubiegł go prokurator Rudnicki, który lekko wytrącony z równowagi, postanowił krótko odnieść się do niezbyt istotnego fragmentu wypowiedzi Niewiadomskiego.

– Chciałbym zgłosić pewne zameldowanie – rzekł, wstając. – Stwierdzam, że mówiąc o „zawiedzionych nadziejach”, nie miałem zupełnie na myśli Niewiadomskiego, lecz miałem na myśli to, że rozlegały się głosy zawiedzionych nadziei, które Niewiadomski uważał za głosy patriotyzmu. Nie odnosiłem tego do niego osobiście. Chodzi mi o zaznaczenie tego. Obrażanie oskarżonego nie wchodziło nigdy w moje plany i zamiary.

– Ogłaszam przemówienia stron za zakończone – z pewną ulgą obwieścił Laskowski zamiast odpowiedzi. Po kilku czynnościach urzędowych członkowie składu sędziowskiego opuścili salę, odprowadzani wzrokiem przez podnoszących się z miejsc widzów. Była 19.55.

Narada nie trwała długo. Kilka minut przed 21.00 sędziowie powrócili.

Wyrok i śmierć

Warszawa, Sala Kolumnowa Sądu Okręgowego
sobota 30 XII 1922, godz. 20.55

Skotnicki obserwował twarze zasiadających na swoich miejscach sędziów. Zauważył, że sędzia Jan Kozakowski wygląda na wzburzonego. Przewodniczący Wacław Laskowski poinformował, że pełna wersja wyroku zostanie ogłoszona w środę, 10 stycznia 1923 roku. Teraz przystąpił do odczytania samej sentencji.

– Sąd zawyrokował – ogłosił uroczyście przewodniczący Laskowski – mieszkańca miasta stołecznego Warszawy, Eligiusza Niewiadomskiego, lat pięćdziesiąt trzy syna Wincentego i Julii, skazać po pozbawieniu praw stanu w myśl artykułu 25, 28, 30 i 34 kodeksu karnego na karę śmierci.

Niewiadomski zachował kamienną twarz, pod którą skrył zadowolenie i ulgę. Luźniejsza już sala pogrążyła się w całkowitej ciszy.

– Ściągnąć z pozostałego po skazanym majątku opłaty sądowe w wysokości dwu tysięcy marek i koszty sądowe niniejszej sprawy – kontynuował sędzia. – Spośród dowodów rzeczowych: rewolwer, magazyn z czterema nabojami, oddzielny nabój, kulę i dwie gilzy skonfiskować i przekazać Zakładowi Medycyny Sądowej Uniwersytetu Warszawskiego, cztery listy anonimowe przekazać prokuratorowi Sądu Okręgowego, pozostałe zaś dokumenty pozostawić przy sprawie.

Następnie sędzia stwierdził, że z racji nieudowodnienia stanu majątkowego dzieci zabitego prezydenta i niewspółmierności poniesionych

strat z ustaloną symboliczną kwotą odszkodowania powództwo cywilne uznane zostało za niewystarczająco umotywowane i w związku z tym oddalone. Decyzja ta wywołała nowe poruszenie na sali.

Po chwili Laskowski dodał, że do czasu wykonania wyroku skazany zostanie umieszczony w pawilonie nr 63 Cytadeli (po 1918 roku zmieniono złowrogą rosyjską numerację budynków w twierdzy). Prawdopodobnie trafił tam z Mokotowa z pewnym opóźnieniem.

RZECZPOSPOLITA

ROK III · WARSZAWA, SOBOTA 30 GRUDNIA · CENA MK. 200.— · NR. 354

DODATEK NADZWYCZAJNY

W Y R O K
W SPRAWIE ELIGJUSZA NIEWIADOMSKIEGO

Po zakończeniu przesłuchania świadków i biegłych, oraz dodatkowem wyjaśnieniu przez oskarżonego motywów zbrodni, zabrał głos prokurator Rudnicki, domagając się w myśl art. 99-go K. K. i 15-go Przepisów Przechodnich do K. K. wyroku, skazującego Eligjusza Niewiadomskiego na karę śmierci.

Następnie zabrał głos zastępca strony cywilnej mec. Paschalski.

Następnie przewodniczący udziela głosu oskarżonemu do ostatniego słowa.

Oskarżony oświadcza między innemi, co do postawionego mu oskarżenia o skrytobójstwo:

„Skrytobójca nie jestem, gdyż sam oddałem się w ręce władzy. Proszę o zastosowanie 8-go ustawy przechodniej, t. j. kary śmierci, gdyż każda godzina w więzieniu byłaby dla mnie hańbą. Zabiłem nie osobę ale symbol. Podpisałem wekslel, który muszę życiem własnem spłacić".

Na tem zamknięto rozprawę o godz. 8.

Po ustaleniu pytań Trybunał udał się na naradę, poczem o godz. 8.50 przewodniczący ogłosił

W Y R O K
skazujący ELIGJUSZA NIEWIADOMSKIEGO
na karę śmierci.

Motywy wyroku będą ogłoszone 10 stycznia 1923 roku.

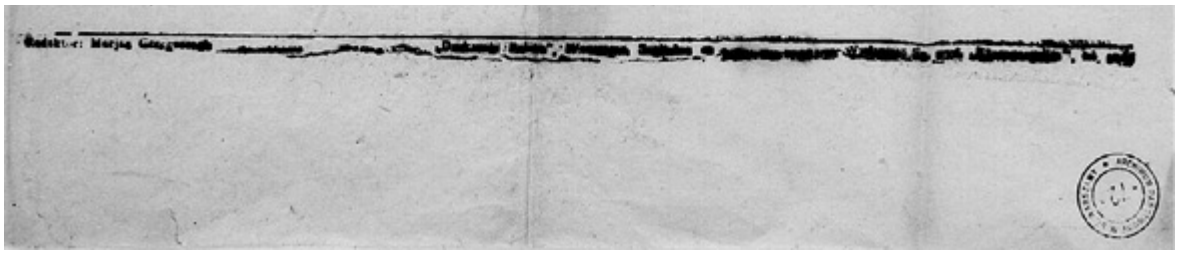

Informacja prasowa o wyroku śmierci w sprawie Eligiusza Niewiadomskiego. Fot. Domena publiczna

Sędziowie wstali. W ten sposób, po zaledwie jednym dniu, tuż po 21.00, proces Niewiadomskiego został zakończony. Sala Kolumnowa powoli pustoszała. Ludzie, wtulając głowy w kołnierze płaszczów, znikali w mroku ulicy Miodowej.

Skotnicki, rzucając ostatnie spojrzenie na Niewiadomskiego, podążył za nimi.

Warszawa, Sąd Okręgowy
środa 10 I 1923, godz. 12.00

Skotnicki postanowił wybrać się na publiczne odczytanie umotywowania wyroku. Lekko spóźniony, wpadł do gmachu przy ulicy Miodowej w momencie, kiedy rozpoczęto już odczytywanie tekstu. Zaaferowany, zapamiętał tylko niektóre fragmenty:

„...zważywszy, że na rozprawie głównej podsądny Niewiadomski nie przyznał się do winy, lecz przyznał fakt zabójstwa wystrzałami z rewolweru Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Narutowicza i podał, iż od czterech lat nosił się z zamiarem zabójstwa byłego Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, uważając go za odpowiedzialnego za wszelkie niedomagania dotychczasowego ustroju Polski, że jednakże od zamiaru tego odstąpił

z chwilą, gdy Piłsudski nie zgodził się na wystawienie jego kandydatury na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej...

...podsądny Niewiadomski, powodowany swoistym poglądem na obecny stan rzeczy w Polsce i swoistym poczuciem Jej honoru rzeczywiście dnia 16 grudnia 1922 roku w Warszawie podczas otwarcia wystawy w gmachu Zachęty Sztuk Pięknych dokonał zamachu na życie wybranego przez Zgromadzenie Narodowe prezydenta Gabriela Narutowicza...

...co się tyczy kary, to mając na uwadze z jednej strony prawie fanatyczne przywiązanie podsądnego Niewiadomskiego do swych poglądów, pojęć i uczuć, które jednakże mogło być i winno być hamowane przez jego wysoką inteligencję i wykształcenie, z drugiej zaś strony mając na uwadze, iż podsądny Niewiadomski, popełniając niniejsze przestępstwo, dopuścił się czynu na wskroś anarchistycznego, mogącego przy obecnym stanie Polski, przy braku Jej wewnętrznej konsolidacji wywołać powszechną w kraju anarchię, że podsądny Niewiadomski, mając zupełną możność zamanifestowania swego stanowiska konstytucyjnie, nie poddał się obowiązującej Konstytucji, nie uszanował jej i targnął się na Majestat Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej w osobie Jej Prezydenta...

...że dążenie jednostki do tego, żeby przejawy zbiorowości nie były zaprzeczeniem tego, co jednostka w sumieniu swym uznaje za dobro i prawdę, mogą być realizowane jedynie na drodze budzenia sumień współrodaków, lecz nigdy drogą gwałtu, który jest zaprzeczeniem moralnych prawd sumienia...

...że brak tych wysokich moralnych prawd w życiu narodów musi prowadzić do walk zaciętych i do rozkładu...

...że najwyższa władza narodu – Reprezentant Majestatu Rzeczypospolitej Polskiej, odpowiedzialny przed sumieniem i Bogiem, wyobraża tą najwyższą zasadę praw moralnych...

...że gwałt, popełniony na wyobrazicielu tych praw, jest moralnie niedopuszczalnym i niemożliwym dla tych, którzy prawdy sumienia, jako najwyższą prawdę głoszą...

...Sąd Okręgowy przeszedł do najgłębszego i niezłomnego przekonania, że w danym wypadku zachodzą wszystkie te wyjątkowe warunki, o których mówi część druga artykułu 15 przepisów przechodnich do Kodeksu karnego”.

Dalej został odczytany wyrok, który Skotnicki dobrze znał. Nie był to jednak koniec.

– Odrębne zdanie sędziego Jana Kozakowskiego – usłyszał, uświadamiając sobie, skąd ta wzburzona mina Kozakowskiego z dnia procesu. Uważnie śledził odczytywaną urzędowym tonem treść zdania odrębnego:

– Biorąc pod uwagę, że normalną, przez artykuł dziewięćdziesiąty dziewiąty kodeksu karnego przewidzianą karą, jest kara bezterminowego ciężkiego więzienia, artykuł zaś piętnasty przepisów przechodnich do Kodeksu karnego zezwala (bynajmniej nie w formie nakazu) na obostrzenie powyższej kary do kary śmierci włącznie, uzależniając jednakże to obostrzenie kategorycznie zaistnieniem „wyjątkowych warunków danego wypadku”; że w danym razie przewód sądowy nie zdołał ustalić tych wyjątkowych warunków – obiektywna strona dokonanego przez podsądnego Niewiadomskiego czynu ułożyła się całkowicie w ramach artykułu dziewięćdziesiątego dziewiątego kodeksu karnego; że podsądny Niewiadomski dokonał inkryminowanego mu czynu bez wątpienia w stanie niezmiernie silnego afektu; że zwrócona przezeń do sądu w ostatnim jego słowie prośba o wymierzenie mu kary głównej oczywiście nie może być braną pod rozwagę w jaki by to nie było sposób – doszedłem do przekonania, że zgodnie z obowiązującą ustawą kara za czyn przez

podsądnego Eligiusza Niewiadomskiego dokonany może mu być wymierzoną jedynie w granicach artykułu dziewięćdziesiątego dziewiątego kodeksu karnego.

„Nawet sędziowie są podzieleni” – pomyślał Skotnicki, mając w pamięci nieustanny korowód przeciwników i zwolenników Niewiadomskiego, jaki przetaczał się przez Warszawę w ostatnich dniach.

Obserwując jednak zachowanie Niewiadomskiego, Skotnicki zaczynał rozumieć argumentację Kozakowskiego. Coraz lepiej rozumiał, w jaki sposób Eligiusz próbuje budować swój mit. Doszedł do przekonania, że skazańcowi było tak naprawdę wszystko jedno, kogo zabił – byleby była to ważna osoba i byle mógł w sądzie wygłosić swe przesłanie dla narodu. Śmierć przez rozstrzelanie mogła tylko umocnić legendę „królobójcy”. Prozaiczny pobyt w więzieniu – niekoniecznie.

Skotnicki opuszczał Salę Kolumnową wyraźnie przygnębiony.

Warszawa, Cytadela
sobota 13 I 1923, przedpołudnie

Chodząc nerwowo po zawalonej książkami celi, Niewiadomski trzymał w ręce dostarczoną mu pisemną wersję umotywowanego wyroku. Nie był zadowolony z jednego ze sformułowań użytych w dokumencie. Wciąż dręczyła go też nieprawdziwa informacja podana 16 grudnia przez Polską Agencję Telegraficzną o tym, że usiłował uciec z miejsca przestępstwa. Starał się sprostować tę jakże niepasującą do budowanego mitu nieścisłość podczas procesu. Teraz postanowił zareagować ponownie. Nie mógł przepuścić ani jednego słowa, które burzyłoby jego autokreację.

Usiadł, odsuwając krzesło, położył tekst wyroku na stole, a sam zaczął szybko pisać:

Uwagi o motywach wyroku.

W motywach doręczonego mi wyroku na stronie drugiej powiedziano jest: „podsądny Niewiadomski został zatrzymany przez świadków Okunia i Sołtana z rewolwerem w ręku, który mu świadek Sołtan odebrał”. Wyrażenia „został zatrzymany”, „świadek Sołtan odebrał” każą przypuszczać, że usiłowałem zbiec, co komunikat urzędowy z dnia 16 grudnia 1922 r. niezgodnie z prawdą podał do wiadomości publicznej.

Ponieważ na śledztwie i podczas rozprawy sądowej ustalono z pomocą świadków, że nie usiłowałem zbiec, mam prawo stwierdzić, że wymienione wyrażenia nie odpowiadają istocie faktu i kwestionują moją lojalność po dokonaniu zabójstwa.

Z tych względów życzeniem moim jest, aby sprawa tego szczegółu jeszcze raz była rozpatrywana i nieścisłość powyższa usunięta w interesie prawdy i powagi Sądu; tym bardziej, że zadaje jej zbyt jaskrawo kłam cała linia mojej obrony, a także fakt, że zrzekam się apelacji, mimo że sprostowanie tego szczegółu w drodze apelacji nie byłoby rzeczą trudną.

Nie apeluję, ponieważ nie chcę dłużej zwłóczyć z dopełnieniem tego, co winno być dopełnione do końca. Niech rewizja, której żądam, będzie dokonana już po mojej śmierci.

Eligiusz nie mógł się już doczekać rozstrzelania. Spodziewane strzały były dla niego fanfarami ogłaszającymi triumf.

Znów zaczął spacerować po celi. W głowie kołatały mu słowa, które nie tak dawno skreślił do mecenasa Kijeńskiego: „tu idzie rzecz o moją najgrubszą stawkę – c z e ś ć”...

Warszawa, Cytadela
niedziela 14 I 1923, przedpołudnie

Niewiadomski odłożył na chwilę materiały i notatki do pracy o polskim malarstwie. Znów wytrąciło go z równowagi wspomnienie o wypowiedzi Leo Belmonta, na którą niedawno się natknął. Uczestniczący w procesie Belmont, znany eseista i pisarz żydowskiego pochodzenia, sympatyk lewicy, w *Liście otwartym* do prezydenta Wojciechowskiego, datowanym na 8 stycznia, dowodził, że wykonanie wyroku na Niewiadomskim niczego nie zmieni w polskim życiu politycznym, a tylko uczyni zabójcę bohaterem środowisk narodowych. Przypominało to argumentację sędziego Kozakowskiego. Słowa te okazały się zresztą – przynajmniej częściowo – prorocze.

List spotkał się ze sporym rezonansem. Inteligencja warszawska ze zdumieniem przyjęła wynurzenia pisarza, który przecież stał na przeciwnym biegunie ideologicznym niż Niewiadomski i kilkanaście dni wcześniej z pełnym zaangażowaniem uczcił zmarłego Narutowicza, poświęcając mu wiersz pt. *Na pogrzeb prezydenta*.

Teraz Eligiusz bał się, że Belmont pokrzyżuje jego plany budowy własnego pomnika. Mitu ważniejszego niż życie. Postukał palcami o blat więziennego stołu, po czym zdecydowanym ruchem sięgnął po czystą kartkę papieru i zaczął pisać:

Do Sądu Okręgowego w Warszawie, wydział VIII.

W dniu 1 stycznia 1923 r. przesłałem do pana prokuratora pismo, które poniżej w streszczeniu zwracam do sądu okręgowego, przewidując, że poprzednie może nie być włączone do aktów sprawy.

Oznajmiam niniejszym, że wyrok przyjmuję. Wszelkie podania o ułaskawienie, o ile by takowe z czyjejkolwiek bądź strony wpłynęły, proszę uważać za złożone bez mojej wiedzy i wbrew mojej woli. O ile by na podaniu znalazł się mój podpis, proszę uważać go za nieautentyczny.

Nadto upraszam Wysoki Sąd, aby przesyłając akta sprawy do pana Prezydenta Rzeczypospolitej, raczył nie pominąć niniejszego pisma, oraz aby wyświadczył mi swoją łaskę i powstrzymał się od wnoszenia swego głosu o złagodzenie wyroku.

„Może to ich powstrzyma...” – stwierdził w duchu, mając na myśli zabiegi swoich zwolenników i rodziny o ułaskawienie. Do Niewiadomskiego dochodziły, dzięki mecenasowi Kijeńskiemu, informacje, że nowy prezydent Stanisław Wojciechowski rozważyłby zastosowanie prawa łaski w momencie, gdyby Niewiadomski okazał skruchę. Dla Eligiusza było to nie do przyjęcia. Oznaczałoby przyznanie się do błędu i działania pod wpływem impulsu. A na to nie mógł sobie pozwolić, choćby kosztowało go to utratę życia.

Pogrążony w tych myślach, rzucił okiem na inny list, który niedawno napisał do kardynała Kakowskiego, również przeciwstawiając się ułaskawieniu. Dowiedział się bowiem, że duchownego odwiedzili jego bliscy, prosząc o pomoc. Z uznaniem spojrzał na zawartą w tym liście maksymę: „jeśli mnie zabiją, będę żył w pamięci narodu, jeśli ułaskawią, umrę w narodzie”. Nie zdawał sobie sprawy, jak przykre dla Kakowskiego, sprzyjającego Narutowiczowi, musiały być te megalomańskie stwierdzenia.

Eligiusz zadumał się przez chwilę. Marzył, by 5 pułk piechoty, w którym służył, oddał mu przed śmiercią honory wojskowe. Spojrzał na leżącą obok kartkę z niezwykle detalicznym, autorskim projektem pomnika. Pomnika, który miał stanąć na jego grobie.

Warszawa, Sąd Okręgowy
czwartek 18 I 1923, przedpołudnie

Wśród sędziów, którzy na posiedzeniu w gmachu przy ulicy Miodowej rozpatrywali wniosek prezydenckiego zabójcy sprzed czterech dni o rezygnacji z prób ułaskawienia, panowało przekonanie, że Niewiadomski wciąż prowadzi swą dziwną grę – nie samokrytyki, ale „samoskazania". Pojawiły się spekulacje, że może skazany bał się ośmieszenia z powodu zmniejszenia wyroku. Ktoś zauważył, że Eligiusz nawet półsłówkiem nie wspomniał o swojej rodzinie. Nie brał jej w swych kalkulacjach pod uwagę. Najważniejsza była misja. Misja, którą uwieńczyć miała śmierć.

Ostatecznie sąd zadecydował o włączeniu podania Niewiadomskiego do akt sprawy.

Warszawa, Cytadela
sobota 27 I 1923, poranek

Niewiadomski, porządkując notatki rozłożone na więziennym stole, spojrzał w kalendarz. Mijał właśnie termin wniesienia apelacji od wyroku Sądu Okręgowego. Chwilę popatrzył przed siebie, po czym znów pogrążył się w meandrach historii malarstwa polskiego.

Warszawa, Sąd Okręgowy
poniedziałek 29 I 1923, popołudnie

Prokurator Rudnicki z zaskoczeniem spoglądał na kartkę, którą trzymał w ręce. Właśnie dostarczono mu ją z celi Niewiadomskiego. „Zupełnie zwariował!" – pomyślał prawnik, przebiegając oczami zapisany drobnym maczkiem tekst.

Niewiadomski, zgodnie ze swymi planami, domagał się, by przed egzekucją, którą właśnie wyznaczono na 31 stycznia, 5 Pułk Legionów

oddał mu honory wojskowe i uczcił jego śmierć paradną salwą.

„Czy on nie rozumie, iż utracił wszelkie prawa publiczne? W jakim świecie on żyje?” – zastanawiał się prokurator.

Warszawa, Cytadela
wtorek 30 I 1923, świt

Poranek swego ostatniego pełnego dnia życia Niewiadomski spędził samotnie, próbując jeszcze uzupełniać gorączkowo zapisywane notatki.

Godz. 11.00–13.00

Słabo naoliwione, zakratowane drzwi celi Niewiadomskiego zaskrzypiały, tłumiąc ciche głosy sporej grupki oczekujących ludzi. Przed niewielkim pomieszczeniem zjawiła się rodzina i krewni Niewiadomskiego – w sumie aż 16 osób, w tym żona, dzieci i brat z żoną. Nastroje były grobowe. Najbliżsi solidaryzowali się jednak – przynajmniej teraz – ze skazańcem.

Chcąc przełamać ten nastrój, Niewiadomski zachowywał się spokojnie i wręcz (jak na niego) pogodnie. Starał się porozmawiać z każdym, jednak trudno było znaleźć wspólne tematy rozmów, które nie wywołałyby przykrych skojarzeń. Mimo to spotkanie przeciągnęło się do dwóch godzin.

Warszawa, Sąd Okręgowy
wtorek 30 I 1923, popołudnie

– Czy któryś z panów zamierza dobrowolnie przyjąć ten nieunikniony obowiązek? – Kazimierz Rudnicki popatrzył na czterech podprokuratorów,

swych podwładnych. Jeden z nich musiał z urzędu być obecny przy egzekucji.

Mężczyźni z zakłopotaniem odwrócili wzrok. Nikt się nie zgłosił na ochotnika.

– W takim razie niech zadecyduje los – westchnął Rudnicki.

Padło na Czesława Michałowskiego. Gdy pozostali z ledwo skrywanym uczuciem ulgi opuścili gabinet Rudnickiego, prokurator wraz z Michałowskim zaczęli omawiać okoliczności przebiegu egzekucji.

– A jeśli Niewiadomski w ostatniej chwili się załamie – zastanowił się w pewnej chwili Michałowski – i zachce prosić o przywrócenie terminu wniesienia apelacji mimo prawomocnego wyroku?

Do wszystkich Polaków.

Nie chcę, aby wyrok na mnie wydany stał się powodem zemsty i krwi. Był on zgodny z prawem i z życzeniem mojem, był zatem sprawiedliwy. Więcej - był potrzebny. Śmierć moja jest koniecznem uzupełnieniem mego czynu. Bez niej byłby on nietylko bezpłodny, ale -leżałby na nim cień mordu. Śmierć to zetrze.

Czyn mój zakwitnie dopiero - podlany krwią moją.

Zakwitnie - to znaczy: przemówi do narodu.

Głupcy i Hipokryci, widzą w nim akt szaleństwa, albo fanatyzmu. Tak nie jest. Byłoby źle z Polską, gdyby odrobina charakteru wystarczyła, aby być uważanym za warjata, a odrobinę uczucia, wychodzącą poza normę przeciętną, dawała kwalifikacje na fanatyka.

Czyn był straszny, bo musiałem uderzyć w naród - nie słowem bezsilnem, ale gromem. Gromem - równym tej hańbie - jaką go oplwały: spółka cynicznych hultajów i jawnych wrogów Polski, która nim trzęsie.

Musiałem uderzyć gromem, aby zbudzić tych, co mniemają, że Polska już się ciałem stała, że minął czas wysiłków i ofiar i, że broń można już złożyć.

Tak ~~jest~~ nie jest. To, na co patrzą oczy nasze, mnie jest jeszcze Polską. Nie o takiej śniły wielkie serca poetów naszych nie za taką cierpiały - walczyły i ginęły pokolenia.

To jest jeszcze ta Polska, na którą ze zgrozą rozwarły się straszliwe oczy królewskiego upiora - Kazimierza, nieśmiertelnej wizji ostatniego z proroków naszych. To jest dopiero Polska Piłsudskiego - Judeo - Polska. Naród polski do głosu w niej jeszcze nie doszedł.

Polskę prawdziwą trzeba dopiero zdobyć i zbudować.

W walce o nią niech się hartuje duch pokolenia. Od udziału w tej walce nie uwalnia nikogo wiek, ani stanowisko społeczne, ani przynależność lub nieprzynależność do partji.

Trzeba ją zacząć od ~~zwycięstwa~~ zwycięstwa nad sobą, od pokonania

własnej słabości. Walczący o ideę narodową muszą wykazać nietylko

. ///.

energję, rozwagę i zdolność do czynu twórczego, ale i nieodzownie - wielkość ducha, t.j. to czego najbardziej brakuje ich przeciwnikOm. nie będąc w stanie nigdy dorównać tamtym w przewrotności, nie bronią idei siłą oręża takiego, którego wielkości i piękne będzie dobywać duszę i zwyciężać moc wszelkiej trucizny.

To się już zaczyna. Swięte nadzieje moje nie zawiodły. Co jest zdrowe i polskie w obozie lewicy, usłyszało mój głos. Umieram szczęśliwy, że dzieło wzbudzenia sumień i zjednoczenia serc polskich już się pełni.

W czynach, z mocy ducha płynącej , utajona jest potęga strzaszliwa. Słowa są potrzebne, lecz nie trzeba ich przeceniać. Zwycięża ostatecznie czyn twórczy, albo świadoma sobie i celu ofiara.

Wszyscy jesteśmy do niej zdolni, tylko nie znamy sobie. Nie wiemy, jakie siły drzemią w nas utajone i jak je łatwo wyzwolić. Duch polski zawiera w sobie skarby nieznane i nieprzebrane.

Niech - nie marnieją!

Każdy z nas ma w sobie wielkie nieznane "ja"

Niech wiara wstępuje w głąb i szuka własnej mocy.

Idea narodowa, a żeby zwyciężyć musi być wielka.

Wielka będzie o tyle, o ile mieścić ją będą wielkie serca.-

/-/ Eligjusz Niewiadomski.

Warszawa, dnia 12 stycznia 1923 roku.

Maszynopis Listu do wszystkich Polaków *Eligiusza Niewiadomskiego. Fot. Polona*

– W takim wypadku – odrzekł Rudnicki, zastanawiając się głośno – należałoby egzekucję odroczyć i umożliwić skazanemu złożenie odnośnego podania do Sądu Apelacyjnego, by mogło być natychmiast załatwione.

Warszawa, Cytadela
wtorek 30 I 1923, godz. 13.00–16.00

Po wyjściu najbliższych Eligiusz ponownie został sam. Siadając na pryczy, wsłuchiwał się z zaciśniętymi ustami w gasnące odgłosy kroków. Potem próbował jeszcze pracować.

Godz. 16.00

Niewiadomski podniósł głowę znad papierów. Do celi przyszedł Stanisław Kijeński. Obaj mężczyźni pogrążyli się w rozmowie, która trwała ponad półtorej godziny. W pewnym momencie Eligiusz poprosił:

– Chciałbym porozmawiać z księdzem.

Wprawdzie mógł skorzystać z prawa do pociechy duchowej tuż przed wykonaniem wyroku, ale postanowił już teraz spotkać się w spokoju z więziennym kapelanem ks. Kurzyną, którego zdążył poznać. W dotychczasowym życiu Eligiusz nie przywiązywał do religii szczególnej wagi. Teraz trzeba było jednak spełnić tradycyjne rytuały.

– Jeśli to możliwe, spotkanie pragnąłbym odbyć jak najprędzej, by móc się jeszcze przespać i odpocząć przed jutrzejszym dniem – wyjaśnił Eligiusz, już bez manifestowanej przy rodzinie pogody ducha.

– Oczywiście, zrobię, co się da – zapewnił Kijeński.

Zamiast odpowiedzi Niewiadomski wręczył mecenasowi swój list *Do wszystkich Polaków*, o którym wcześniej rozmawiali. Kijeński z pietyzmem ujął rękopis w dłonie.

Godz. 17.30–21.00

Po opuszczeniu celi swego klienta mecenas udał się do portierni, skąd zadzwonił do prokuratora oraz odpowiednich struktur kościelnych, pragnąc od razu uzyskać pozwolenie na przybycie księdza. Nie było z tym żadnych problemów.

Okazało się jednak, że ks. Kurzyna był akurat nieobecny. Dlatego do Niewiadomskiego przyszedł ostatecznie jeden z księży misjonarzy z kościoła św. Krzyża ks. Pietrzyk. Około 19.00 wszedł w pośpiechu na dziedziniec Cytadeli i udał się do celi Niewiadomskiego.

Rozmawiali blisko dwie godziny. Mniej więcej o 20.00 skazaniec otrzymał rozgrzeszenie i przyjął komunię.

Po wyjściu ks. Pietrzyka Eligiusz spojrzał przed siebie, w otaczający go mrok. Myślał o swoim liście *Do wszystkich Polaków*, który przekazał Kijeńskiemu. Zaplanował, że dokument zostanie rozesłany do największych gazet w Polsce i opublikowany w dniu wykonania wyroku. Nie mógł wiedzieć, że władze administracyjne zakażą publikacji dokumentu i skonfiskują te numery pism, w których zaprezentowano list lub jego fragmenty (m.in. „Gazety Porannej”, „Słowa Radomskiego”, „Gońca Krakowskiego” i „Głosu Lubelskiego”).

Po pewnym czasie Niewiadomski sięgnął po pióro i skreślił jeszcze kilka słów do Kijeńskiego:

Obrońco mój i przyjacielu, daruj tę ciężką rolę, jaką Ci włożyłem na barki i którą zdołałeś godnie dźwigać. Oceniam Twoją wielkoduszność, dziękuję Ci gorąco i żegnam jak brata. Eligiusz Niewiadomski.

Złożył zamaszysty podpis, zadowolony, że nie zapomniał i o takim szczególe. Mógł być pewien, że wdzięczny mecenas nie schowa notatki, ukazującej jej autora jako serdecznego i przejmującego się losem innych człowieka, do szuflady.

*

Niewiele wcześniej, kilkaset metrów dalej, podprokurator Sądu Okręgowego w Warszawie Czesław Michałowski stał z głęboko nasuniętym na głowę kapeluszem i oglądał miejsce stracenia, nieco w dole murów fortecznych Cytadeli, przy Bramie Straceń niedaleko brzegów Wisły. W duchu przeklinał szarą pogodę. Wcale nie chciał tu być i narzekał na los, który zmusił go do asystowania przy wykonaniu wyroku. Wybrał wreszcie miejsce i kazał ustawić nowy słupek, do którego planowano rano przywiązać Niewiadomskiego.

Warszawa, Cytadela
środa 31 I 1923, godz. 5.00

Donośny głos wartownika wyrwał Niewiadomskiego ze snu. Więzień szeroko otworzył oczy.

Godz. 5.30

Ponure mury Cytadeli pogrążone były jeszcze w ciemności. W słabym blasku nielicznych latarni odbijały się cienie spacerujących wartowników, policjantów i żołnierzy, którzy zabezpieczali teren w obawie przed zamieszkami. Główne wejścia do więzienia były pilnie strzeżone.

Ludzi, wystraszonych wczesną porą, a także zimowym mrozem, wiatrem i szarzyzną, było jednak niewielu. Wokół murów wędrowali za to dziennikarze, licząc na jakąś sensację. Nikogo nie wpuszczano do środka.

Godz. 5.50

Do uszu zgromadzonych przy Cytadeli gapiów dobiegł daleki dźwięk dzwonka sań. Po chwili z mroku wynurzyła się zakapturzona, pochylona postać ojca Beniamina Zontaga, kapucyna, który jechał na ostatnie widzenie z Niewiadomskim. Mnich wysiadł z sań, minął dziennikarzy i – przepuszczony przez wartę – zniknął w bramie Cytadeli.

Kiedy odgłos jego kroków słabł w hulającym wietrze, od murów budynku odbił się początkowo cichy, a potem donośniejszy turkot samochodowych silników, który ostatecznie rozdarł poranną ciszę. Trzaskając drzwiami, z pierwszego pojazdu wysiedli sekretarz wydziału karnego Sądu Okręgowego w Warszawie Tomasz Byliński, komendant policji Henryk Charlemagne i jego zastępca, zaś z drugiego wyłonili się podprokurator Czesław Michałowski, wyraźnie w złym humorze, oraz mecenas Stanisław Kijeński.

Chwilę później przybyli również wojskowi, w tym pluton egzekucyjny: kompania szkolna 30 Pułku Strzelców Kaniowskich na czele z kapitanem Kazimierzem Nizińskim.

W przygnębiającej ciszy urzędnicy i żołnierze brnęli w śniegu w kierunku bocznej bramy Cytadeli, pod którą miano wyprowadzić skazańca. Wykonanie wyroku celowo ustalono na wczesny ranek (godzinę 6.30), by uniknąć tłumów. Zabieg okazał się bardzo skuteczny.

Godz. 6.00

Głośny zgrzyt zawiasów bramy wzbudził w nielicznych gapiach i dziennikarzach mimowolny dreszcz. Usłyszeli ciężkie kroki, skrzypienie suchego od mrozu śniegu. Z mroku wyłoniły się cztery ciemne postacie. Niosły trumnę. Posuwały się powoli w kierunku miejsca, gdzie miano dokonać egzekucji, pod murami Cytadeli.

Tymczasem Michałowski i Byliński weszli do celi Niewiadomskiego. Skazaniec wstał. Zgodnie z obowiązującymi procedurami urzędnicy sprawdzili jego personalia, po czym wyszli. W celi pozostał Kijeński. Przez dłuższą chwilę rozmawiał z zadziwiająco spokojnym Eligiuszem. Grał on swą rolę do końca. Był nawet skory do żartów: powiedział mecenasowi, że ostatnią książką, jaką przeczytał, była oskarżycielska *Legenda o Piłsudskim* Jana Lipeckiego. Był to pseudonim endeckiej dziennikarki Ireny Pannenkowej.

Warszawa, mieszkanie Jana Skotnickiego
środa 31 I 1922, godz. 6.00

Jan Skotnicki obudził się nagle z niespokojnego snu. Poczuł się dziwnie, bez powodu zdenerwowany. Sam nie wiedział, dlaczego zaczął oczekiwać na telefon ze złymi wieściami. W irracjonalnym przeświadczeniu bał się, że

zostanie wezwany na miejsce kaźni Niewiadomskiego. Nie znał terminu wyznaczonego przez sąd.

„Czyżby to było dziś?” – pomyślał, wstając z łóżka.

Warszawa, Cytadela
środa 31 I 1923, godz. 6.05

Brama raz jeszcze przeraźliwie zaskrzypiała. Tym razem szybko przeszła przez nią energicznym krokiem kompania szkolna 30 Pułku Strzelców Kaniowskich, która przez chwilę przebywała w środku budynku. Jeden z dziennikarzy podbiegł do maszerujących w ślad za trumną żołnierzy.

– Dokądże to?... – próbował zaczepić najbliższego żołnierza.

– Niedaleko stąd, może o pół kilometra. Zaraz za tym zakrętem schodzi się w dół... Tam jest... – Słowa młodego mężczyzny niknęły wśród marszowego kroku.

Godz. 6.10–6.30

Zaczynało szarzeć. Minuty wlokły się niemiłosiernie. Właściwie nikt nie wiedział, skąd bierze się opóźnienie. Pod Cytadelę przybywało coraz więcej ludzi, ale zniecierpliwieni strażnicy nikogo nie dopuszczali zbyt blisko. Zniecierpliwienie udzielało się też dziennikarzom, przestępującym z nogi na nogę i stawiającym kołnierze płaszczów w poszukiwaniu odrobiny ciepła.

Mróz, oczekiwanie i brak informacji wprowadzały dziwny niepokój.

W tym czasie kapucyn Beniamin Zontag dyskretnie wszedł do celi nr 12, którą przed chwilą opuścił Kijeński. Ksiądz życzliwie spojrzał na skazańca. Uderzył go spokój Niewiadomskiego, którzy poprawiał właśnie

szczegóły swego starannego ubioru. Zontag należał do tej części duchowieństwa, która sprzyjała ideom narodowym i uważała Eligiusza za bohatera.

– Bardzo mi przykro być obecnym w tak tragicznej chwili – zapewnił cicho duchowny, ściskając ręce Niewiadomskiego. – Z drugiej strony poczytuję sobie za wielki zaszczyt uścisnąć dłonie bohatera – dodał żarliwie.

– Ojcze, bohaterem nie jestem. – Eligiusz w dokładnie sposób skromnie spuścił oczy. – Bohaterami są żołnierze, którzy o głodzie i chłodzie walczyli za ojczyznę. Bohaterami są wszyscy Polacy; szczególnie ci, którzy cierpią na tym, że w Polsce nie mają tego, co im Polska dać powinna, bo ta Polska nie jest tą Polską, o której śniły całe pokolenia i tęskniliśmy my.

Niewiadomski przemawiał, jak gdyby stał przed wielotysięcznym tłumem. Liczył zapewne, że Zontag zapisze jego słowa. Nie pomylił się.

– Ta Polska, na którą patrzymy – ciągnął swe groteskowe przemówienie – to Polska Piłsudskiego: Judeo-Polska. Szczęśliwy jestem, że nie patrzę, bo nie będę patrzył na to, co z Polski zrobiono. Tam dopiero odpocznę, ojcze – popatrzył w oczy Zontaga i kontynuował nieco spokojniej – bo tu to katorga. Choćby mi powiedzieli, że będę żył sto lat w najświetniejszych warunkach, nie chciałbym żyć.

Czyżby nareszcie przyznał, że jego czyn niczego nie zmienił? Że Polska nadal stacza się ku przepaści? Był jednak ratunek: przecież to dopiero ofiara zamachowca miała wstrząsnąć sumieniami i odmienić fatalistyczne tendencje. A przy tym dać „bohaterowi” tak bardzo oczekiwaną sławę. Oraz – czego pewnie nie chciał przyznać – upragniony spokój i ucieczkę od siebie.

– Wreszcie, ojcze – ponownie zaczął mówić urywanymi zdaniami, tamując wzbierające emocje – mnie się gwałt nie dzieje: śmierć za śmierć.

Ufam, że mnie Chrystus, to uosobienie miłosierdzia, nie odrzuci. Bo ja nie chciałem zabić tego człowieka. Ja chciałem przemówić do narodu; poruszyć go, zbudzić, żeby ta hydra żydowska go nie pożarła, a nie miałem sposobu. Czyn był straszny, lecz ojcze, nie miałem sposobu, żeby inaczej przemówić do narodu, a chciałem, żeby mnie cały naród usłyszał i się zjednoczył.

Nawet teraz – a właściwie szczególnie teraz – Eligiusz nie mógł wyzbyć się megalomanii. Cała otoczka ideologiczna była tylko zasłoną dymną, w której krył się najważniejszy motyw zabójstwa: „żeby mnie cały naród usłyszał”. Nie przeczy to temu, że Niewiadomski mógł bezwiednie usiłować przekonywać sam siebie: tym usilniej, im bliżej było końca.

Na koniec poprosił Zontaga, by ten przekazał „kardynałowi” (zapewne Kakowskiemu), że umiera jako „wolny syn”.

Po chwili u skazańca zjawił się też lekarz wojskowy kapitan Piekałkiewicz. To on miał stwierdzić zgon po egzekucji. Zaraz za lekarzem wszedł oficer służby więziennej.

– Już czas! – oznajmił urzędowym tonem.

Niewiadomski nalał sobie gorącego mleka do szklanki i wypił. Założył płaszcz, wyszedł na korytarz i stwierdził spokojnie:

– Gotów jestem.

Długo czekał na tę chwilę.

Godz. 6.30

Grupka zgromadzona przed Cytadelą usłyszała kolejny przeraźliwy zgrzyt bramy. „Coś się wreszcie dzieje!” Dziennikarze i gapie szybko spojrzeli w kierunku dźwięku. Z czeluści Cytadeli wyjechały trzy samochody. W pierwszym, w asyście żandarmów, znajdował się lekko pobladły

Niewiadomski. Jak zwykle nienagannie ubrany. W pozostałych pojazdach jechali podprokurator, wciąż w kwaśnym humorze, sekretarz, obrońca i naczelnik policji.

Kawalkada po kilku minutach zniknęła z oczu widzów za murem fortecznym, zjeżdżając w dół.

Tłumek zagorzałych zwolenników Niewiadomskiego komentował tę krótką scenę. Podziwiano spokój skazańca.

– Mówię wam, ludzie – przekonywał starszy człowiek, pracownik służby więziennej, kręcąc z niedowierzaniem głową – stary jestem, służę lat kilkadziesiąt, a czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Jest pewna chwila, której nie wytrzymuje i wytrzymać nie może żaden skazaniec. Nawet najodważniejsi upadają zupełnie na duchu, gdy prowadzeni na miejsce stracenia, przy skręcie do fosy, nagle widzą plac kaźni...

Godz. 6.45–7.15

Samochód wojskowy, w którym znalazł się Niewiadomski, psuł się i dwukrotnie musiał stanąć – raz niedługo po wyjeździe z bramy i drugi raz sto kroków dalej. Czy dla skazańca nie było to alegorią jego wizji odrodzonej Polski?

Wreszcie pojazdy dojechały do końca murów fortecznych. Pasażerowie wysiedli przed mostkiem rozciągniętym nad niewielkim strumykiem. Dalszy odcinek trasy, w kierunku Wisły, przebyli już pieszo. Szli chwilę między murami Cytadeli a wałem, aż doszli do kotliny, gdzie Michałowski kazał poprzedniego dnia ustawić słupek. Wszyscy milczeli. Niewiadomski szedł z przodu w towarzystwie Kijeńskiego i ojca Zontaga. Choć nie okazywał chęci ucieczki, żandarmi pilnie go obserwowali.

Adwokat w pewnej chwili chwycił skazańca za ramię, widząc, że ten się potyka na nierównej drodze:

– Panie mecenasie, niech mnie pan puści, bo pomyślą jeszcze, że mnie pan podtrzymuje, a ja idę z całą pewnością siebie. – Niewiadomski bardziej niż śmierci obawiał się okazania słabości.

Wreszcie, przekraczając jeszcze jedną kładkę nad wąskim strumykiem, doszli do słupka, przy którym miano dokonać egzekucji. Niewiadomski zachował przynajmniej zewnętrzny spokój, co jeszcze bardziej zdumiałoby owego starego strażnika więziennego sprzed bramy Cytadeli, gdyby mógł to zobaczyć.

Nieopodal, przy rachitycznej, niewielkiej jodle, majaczył wykopany dół. Tuż obok ukryto drewnianą trumnę, przytaszczoną godzinę wcześniej.

Godz. 7.15

Strzelcy Kaniowscy sprawnie ustawili się w czworobok. Manewr obserwowali wydelegowani specjalnie na tę okazję wojskowi: oficer inspekcyjny garnizonu warszawskiego kapitan Rogowski, oficer inspekcyjny komendy Cytadeli kapitan Honkisz, oficer komendy miejskiej podporucznik Sobczyk. Przybył też naczelnik aresztu Cytadeli porucznik Klus.

Niewiadomski stanął pośrodku czworoboku. Nieopodal przystanął ojciec Beniamin Zontag. Podprokurator Michałowski nakazał sekretarzowi Bylińskiemu odczytanie sentencji wyroku. Urzędowy głos Bylińskiego kontrastował z ponurym milczeniem świadków i niespokojnymi spojrzeniami żołnierzy. Gdy Byliński skończył, ojciec Zontag dał Niewiadomskiemu do pocałowania krzyż i pobłogosławił skazańca.

– Chciałbym parę słów ostatnich jeszcze wypowiedzieć – niespodziewanie głośno odezwał się skazaniec i po chwili ciszy, nie słysząc protestów, oświadczył:

– Umieram szczęśliwy, że przestanę patrzeć na to, co zrobił z Polską Piłsudski. – Michałowski i Byliński wymienili spojrzenia. – Ufny, że krew moja przyczyni się do zjednoczenia wszystkich serc ludzkich. Umieram za Polskę, którą gubi Piłsudski!

Absurdalna retoryka zabójcy Narutowicza sięgnęła zenitu. Dla niego był to jednak moment chwały.

Wypowiedziawszy te słowa, których rozpowszechniania zakaże cenzura, skazaniec sam podszedł do słupka. Komendant kompanii przyprowadził sześciu wylosowanych żołnierzy i ustawił ich w odległości ośmiu metrów od Niewiadomskiego. Jeden z pozostałych żołnierzy podszedł, trzymając czarną opaskę i sznur.

– Nie zawiązujcie mi oczu i nie przywiązujcie do słupka – powstrzymał go Niewiadomski, po czym zwrócił się do plutonu egzekucyjnego:

– Proszę, aby mierzono mi w głowę, ja stanę wam wygodnie.

Dziwne zachowanie Niewiadomskiego zwiększyło tylko zdenerwowanie młodych mężczyzn, ściskających mocno kolby swych karabinów. Tymczasem Eligiusz oparł się o słupek, zdjął palto, kapelusz i szalik. Stojącemu nieopodal mecenasowi Kijeńskiemu podał swoje okulary. W ręku trzymał kwiaty, które dostał od rodziny. Przedstawienie trwało.

Sześciu strzelców kaniowskich namierzyło cel.

Godz. 7.19

– Ognia! – padła komenda. Spokojny poranek rozdarł huk salwy karabinowej. Zgromadzeni przy Cytadeli ludzie usłyszeli tylko przytłumiony hałas.

Jeden z żołnierzy, szewc z zawodu, miał po latach pożałować swego czynu.

Niewiadomski, z roztrzaskaną głową, padł twarzą na ziemię. Trzy kule przebiły górną część czaszki, czwarta utkwiła w sercu. Kałuża krwi z trudem wsiąkała w przymarznięte podłoże. Doktor Piekałkiewicz podszedł do skazańca i stwierdził zgon. Była godzina 7.19.

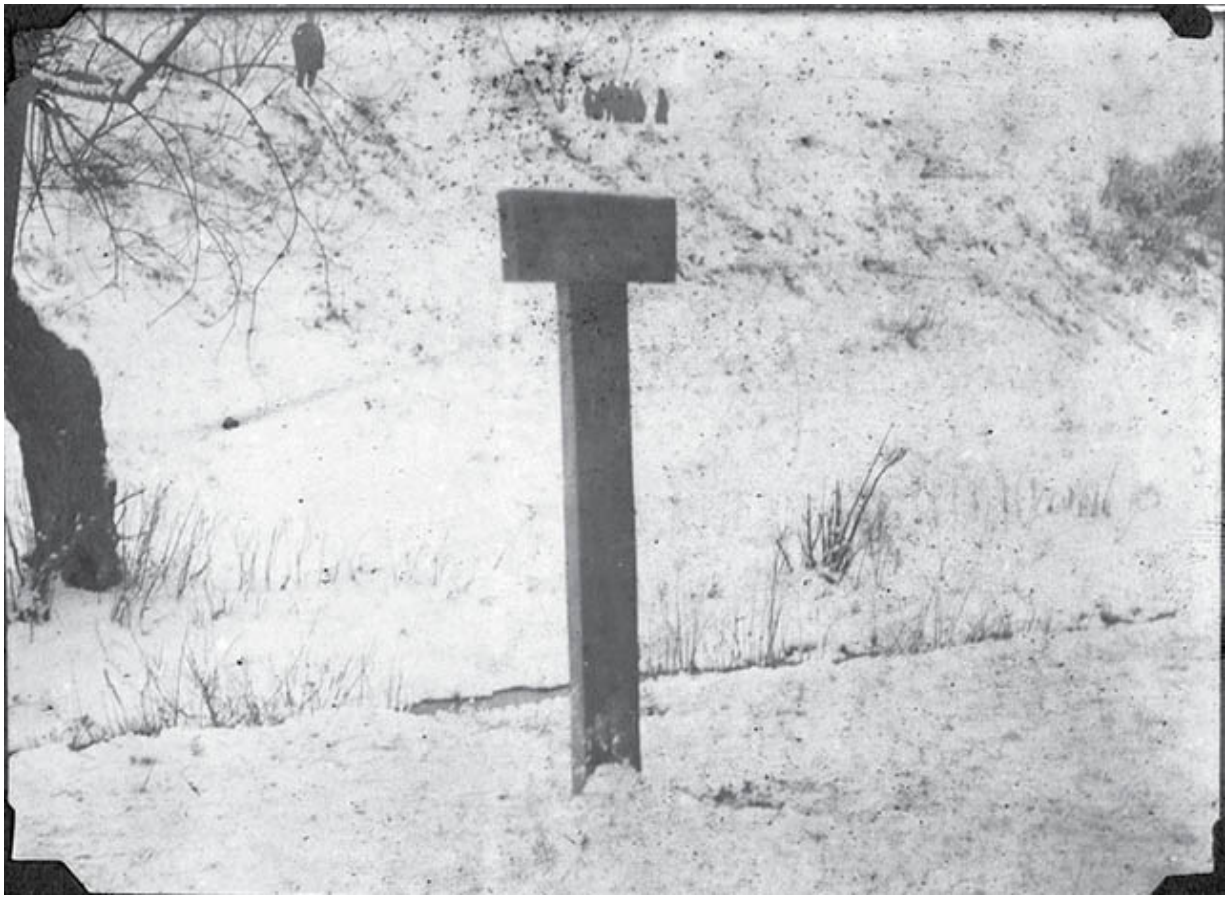

Słup, przy którym rozstrzelano Eligiusza Niewiadomskiego na stokach Cytadeli Warszawskiej. Fot. Zbiory Małgorzaty Karoliny Piekarskiej

Przez moment wszyscy świadkowie stali nieruchomo w ciszy. Po chwili jednak grabarze wojskowi w towarzystwie dwóch żołnierzy przynieśli trumnę i umieścili w niej zwłoki. Na piersiach zmarłego szorstkim ruchem ułożyli zakrwawione kwiaty, po czym zamknęli wieko. Szybko przenieśli trumnę do grobu i zasypali go ziemią. Dół był płytki, ponieważ rodzina i tak miała zabrać później ciało.

Na miejsce rozstrzelania przybiegli tymczasem dwaj bratankowie Niewiadomskiego: Roman i Tadeusz, których wreszcie wpuszczono za bramy. Po chwili, kiedy świadkowie egzekucji oddalili się, pozwolono wejść reszcie gapiów.

Zaczął padać śnieg.

Godz. 16.00–18.00

Mrok znowu zapadł nad Cytadelą, kiedy nad świeżo usypaną mogiłę dotarli większą grupą najbliżsi i dalsi krewni Niewiadomskiego. Chcąc zaradzić bezczynności i tłumionym płaczom kobiet, mężczyźni oczyścili prowizoryczny grób, który zdążył już zniknąć pod warstwą śniegu, i złożyli na nim wieńce z sośniny z biało-czerwoną szarfą oraz kwiaty.

Spoglądając na grób męża, Maria trzymała w otulonej rękawiczką dłoni liścik, w którym Niewiadomski spisał ostatnie życzenie: „kiedy wam oddadzą zwłoki, to proszę, by trumny nie otwierano, tylko zamknięto ją w drugiej, dużej. Karawan, jeśli ma być użyty (a pewno musi być użyty, bo za daleko na tragi), niech będzie skromny. Nie lubiłem się wdrapywać na wyniosłe miejsca. Chciałbym utrzymać ten styl. Piękno będzie w czym innym niż w karawanie. To jest blichtr”.

Nawet po śmierci Niewiadomski myślał tylko o sobie i swojej misji. Myślał jak artysta, widząc w swym czynie piękno i styl. Na pewno nie

myślał o żonie.

Warszawa, Ratusz Miejski
poniedziałek 5 II 1923, godz. 18.00

Komisarz Rządu na Warszawę Franciszek Anusz przeglądał przysłany mu właśnie przez kancelarię dokument skierowany do zakładu pogrzebowego pana Seweryna Staniszewskiego, mieszczącego się przy ulicy Jasnej 13. Niewiele wcześniej rodzina Eligiusza Niewiadomskiego wniosła do Ratusza podanie o zgodę na przewiezienie zwłok zmarłego na Powązki. Co ciekawe, miał spocząć w grobie rodzinnym de Tillych, a nie Niewiadomskich. Rodzina informowała, że do transportu został upoważniony zakład Staniszewskiego. Przedsiębiorca, sympatyzujący ze środowiskami narodowymi, zobowiązał się pokryć wszystkie koszty pogrzebu. Rodzina nie potrafiła odmówić, deklarując zarazem złożenie stosownej sumy na cele charytatywne.

Anusz przebiegł oczami tekst dokumentu:

Komisariat Rządu na miasto stołeczne Warszawę niniejszym zezwala na przewiezienie zwłok Eligiusza Niewiadomskiego z Cytadeli do grobu rodzinnego na Cmentarz Powązkowski. Wszelkie przygotowania do eksportacji winien Pan wykonać z tym obliczeniem, aby zwłoki zostały wywiezione z Cytadeli nie później, jak o 6.00 rano dnia 6 lutego, to jest we wtorek, i skierowane wprost do grobu rodzinnego na Cmentarz Powązkowski według marszruty, którą wskaże delegowany na miejsce Nadkomisarz Policji Państwowej.

„Wczesna godzina i nadzór policji powinny zapewnić spokój” – pomyślał Anusz i złożył na dokumencie swój podpis.

Przeciw szybkiemu wydaniu ciała rodzinie protestował prokurator Rudnicki, który zalecał przeczekanie fali gorączkowej aktywności zwolenników skazanego. Ratusz mimo wszystko wybrał sprytną strategię postępowania. Do tej pory nie ogłoszono daty pogrzebu. Przyjęte teraz terminy zmuszały zakład pogrzebowy do dokonania ekshumacji zwłok wyłącznie w nocy z 5 na 6 lutego. Opóźnienie groziło tym, że karawan nie zostanie wpuszczony w obręb Cytadeli. Najbliższa rodzina mogła wejść na teren więzienia tylko między 5.00 a 6.00 rano, boczną bramą od strony ulicy Zakroczymskiej. Trasa konduktu miała zostać wyznaczona w ostatniej chwili. Jedno było pewne: musiała być możliwie krótka, a pojazd z trumną Niewiadomskiego nie mógł się zatrzymywać.

Taka organizacja i wstrzymywanie się z podaniem daty pogrzebu miały zapobiec zorganizowaniu się zwolenników Niewiadomskiego i przeobrażeniu uroczystości w manifestację.

Plany te sprawdziły się jedynie częściowo.

Warszawa, ulica Jasna 13
wtorek 6 II 1923, godz. 3.30–4.00

W zakładzie pogrzebowym Seweryna Staniszewskiego panował niezwykły jak na tę porę ruch. W budynku zgromadziło się dwunastu mężczyzn: pięciu członków rodziny Eligiusza (w tym najbardziej energiczni Tadeusz i Roman Niewiadomscy), jego dobry znajomy z lat dziecinnych Edward Holc, rzeźbiarz Romuald Zerych, a także sam Staniszewski i grupa grabarzy.

Dziesięć minut później grabarze ułożyli pustą trumnę na dorożce-karawanie, mocując ją specjalnymi pasami. Najbliżsi Eligiusza chwycili za

pasy i ruszyli wolno wzdłuż wozu. Zmarznięte konie głośno parskały, choć noc, jak na tę porę roku, była dość ciepła.

Niezwykły kondukt ruszył w milczeniu przez opustoszałe miasto w kierunku Cytadeli. Miarowy stukot końskich podków odbijał się echem od uśpionych kamienic i wyludnionych ulic. Pogrążony w mroku pochód minął gmach Zachęty, plac Teatralny, ulice Miodową, Długą i Zakroczymską.

Cytadela była już blisko.

Warszawa, Cytadela
wtorek 6 II 1923, godz. 4.00–6.00

Na widok zbliżających się ludzi strażnicy przy bramie Cytadeli zażądali przepustek. Wszystko było w porządku. Żałobnicy przekroczyli bramę i powoli ruszyli w głąb fortyfikacji, mając za przewodnika jednego z żandarmów. Minęli pawilon nr 63 i znaleźli się na trasie, którą kilka dni wcześniej podążał Niewiadomski.

Przy mostku nad strumykiem zatrzymali powóz i udali się wąską ścieżką do świeżego grobu. Panujący mrok, szum ciemnych wód Wisły i ciche szemranie wijącego się strumyka wzbudzały irracjonalny niepokój uczestników smutnego pochodu, nawet grabarzy, którzy rzadko kiedy pracowali o takiej porze.

W końcu doszli do mogiły. Nieopodal, przy murze, wysoka latarnia rzucała wokół mdłe światło, dodając upiorności całej scenerii. Zbliżała się godzina 4.30. Należało się spieszyć, by zdążyć przed 6.00 z wywiezieniem ciała. Inaczej mogło ono na zawsze pozostać w murach twierdzy.

Grabarze w milczeniu przystąpili do pracy. Po paru minutach nocną ciszę zakłóciło uderzenie łopaty o twardy przedmiot – dokopano się do

trumny. Jednocześnie z oddali dało się słyszeć coraz wyraźniej odgłosy kroków. Przybywali właśnie przedstawiciele policji: pułkownik Jacejnik z adiutantem porucznikiem Majewskim, oficer inspekcyjny porucznik Oborski, kierownik aresztu porucznik Klus, nadkomisarz inspekcyjny Poraziński w towarzystwie dwóch podwładnych, a także wyznaczony z urzędu lekarz. Mieli oni asystować przy ekshumacji.

Wydobycie trumny okazało się skomplikowane: choć celowo umieszczono ją płytko pod ziemią, specyfika terenu nadrzecznego spowodowała, że dół, w którym się znajdowała, nasiąkł wodą gruntową. Skraj dołu zaczął w pewnym momencie osuwać się na skrzynię. Grabarze poczęli szybko odkopywać naniesioną ziemię i zabezpieczać grób przed całkowitym zawaleniem. Wreszcie udało się wydobyć trumnę na powierzchnię.

Prosta, złożona z kilku desek skrzynia była wilgotna i spłaszczona pod wpływem ciężaru ziemi. Ponieważ nie nadawała się do użytku i nie zmieściłaby się w przywiezionej drugiej trumnie, żałobnicy musieli przeciwstawić się ostatniemu życzeniu zmarłego i otworzyć ją. Grabarze sięgnęli po młotki i zdjęli wieko. W bladym świetle latarni ukazało się ciało. Ktoś szybko rzucił chusteczkę, zasłaniając zmasakrowaną twarz Niewiadomskiego. Róże, które trzymał w momencie śmierci, jeszcze całkowicie nie zwiędły.

Rzeźbiarz Zerych zbliżył się do trumny, chcąc zrobić odlew ręki zmarłego, ale obecni policjanci nie pozwolili na to. Nie sprzeciwili się jednak, gdy Edward Holc wyjął z kieszeni nieboszczyka ołówek i notatki.

Grabarze delikatnie, ale stanowczo pochwycili ciało i przełożyli je do przytaszczonej metalowej trumny, do której włożono niektóre wieńce umieszczone na grobie i świeżo ścięte hiacynty. Następnie nałożyli metalowe wieko, zalutowali je i przykryli jeszcze dodatkowym wiekiem

dębowym. Systematyczna praca grabarzy budziła zniecierpliwienie przedstawicieli policji, którzy starali się ich przynaglać, przypominając o konsekwencjach opóźnienia.

Wreszcie żałobnicy i grabarze unieśli ciężką skrzynię i udali się w drogę powrotną. Zgodnie z życzeniem władz więziennych słupek i opuszczona drewniana trumna pozostały na miejscu. Rodzinie, mimo próśb, nie pozwolono zabrać tych przedmiotów. Miały zostać spalone.

O godzinie 5.45 kondukt dotarł do pozostawionego przy strumyku karawanu. Załadowano trumnę na wóz, konie ruszyły. Pochód, kierowany przez żandarmerię i policję, posuwał się szybko. Władze wciąż kazały się śpieszyć, zbliżała się przecież 6.00.

Niedaleko, od zewnętrznej strony Cytadeli, pod bramę podjechały dorożki i samochody, przywożąc m.in. żonę i córkę Niewiadomskiego, a także nieodłącznego mecenasa Kijeńskiego. Tuż przed 6.00 obie grupy połączyły się.

Warszawa, Żoliborz–Powązki
wtorek 6 II 1923, godz. 6.00–7.00

Po opuszczeniu murów Cytadeli władze policyjne poinformowały żałobników, że trasa konduktu została wytyczona przez Żoliborz. Najbliżsi Niewiadomskiego, popędzani przez żandarmerię wojskową, brnęli przez rozmarznięte błota i piaski ówczesnych warszawskich obrzeży, taszcząc ciężkie wieńce. W pewnej chwili pod jednym z samochodów towarzyszących konduktowi zawalił się drewniany mostek. Żandarmi nie pozwolili jednak na przestój.

Żałobnicy w milczeniu posuwali się w ciemnościach przedświtu. Nie wolno było zapalać latarni. Towarzyszący żałobnikom księża (Pietrzyk

i Wilhelmini) szli nieco z boku – nie pozwolono im przewodniczyć konduktowi. Na jego czele szedł za to wachmistrz żandarmerii, który wskazywał drogę.

Po półgodzinie, kiedy już zaczęło się rozjaśniać, kondukt dotarł pod most kolejowy niedaleko Dworca Gdańskiego. Pieczę nad nim przejęła teraz policja. Funkcjonariusze, obawiając się niepokojów, licznie obstawili drogę na Powązki, w pobliskich podwórzach ukryły się dodatkowe oddziały, których celem było wkroczenie do akcji w razie potrzeby.

Policja pozwoliła jednak, by ksiądz Pietrzyk nałożył liturgiczną szatę i wraz z księdzem Wilhelminim stanął na czele konduktu. Pojawił się też krzyż. Tutaj do żałobników zaczęli przyłączać się pierwsi warszawiacy. Karawan przeszedł koło Dworca Gdańskiego, przeciął plac Broni i udał się Stawkami oraz ulicą Dziką na Powązki.

Warszawa, Powązki
wtorek 6 II 1923, godz. 7.00–9.00

Mimo wczesnej pory i braku wcześniejszych informacji przed cmentarzem Powązkowskim zdążyła zebrać się znaczna liczba Polaków. Wśród tłumu znalazł się Marian Fuks, fotograf-ilustrator, sprzyjający narodowcom. Policjanci rozglądali się z niepokojem. Zdawali sobie sprawę, że chęć oddania hołdu Niewiadomskiemu była tylko pretekstem do zamanifestowania poglądów politycznych i sprzeciwu wobec władz II Rzeczypospolitej. Obawiali się więc zamieszek. Niektórzy najbardziej zagorzali narodowcy przychodzili w pobliże cmentarza już od kilku dni, nie znając daty uroczystości. Spory tłum zgromadził się tam w piątek 2 lutego.

Gdy kondukt zbliżył się do dawnych rogatek miejskich, do karawanu podeszło kilku młodych ludzi. Wyprzęgli konie i sami pociągnęli wóz. Ktoś

zaintonował pieśń *Kto się w opiekę*. Część zgromadzonych ludzi podjęła śpiew. Jednocześnie z powązkowskiego kościoła wyszedł ksiądz rektor Stefański wraz z księdzem kapelanem Szmurłą i dwoma kapucynami: ojcem Viatorem i bratem Symforianem.

Gdy ciągnięty przez studentów karawan dotarł pod kościół, trumna została zdjęta i przeniesiona do świątyni. Fuks starał się dokumentować te wydarzenia, błyskając fleszem swojego ciężkiego aparatu fotograficznego. Policja nie interweniowała, choć niektórzy funkcjonariusze wymienili między sobą znaczące spojrzenia.

Grób Eligiusza Niewiadomskiego na warszawskich Powązkach tuż po pogrzebie. Fot. Zbiory Małgorzaty Karoliny Piekarskiej

Mszę żałobną odprawił ksiądz Wilhelmini. Gdy nabożeństwo dobiegło końca, wielotysięczny już tłum zaludnił obszar cmentarza. Trumna została poniesiona droga usłaną jedliną do 65. kwatery 4. bramy cmentarza. Przed karawanem przemieszczał się długi korowód wieńców. Zgromadzeni na trasie ludzie pochylali się nad trumną, ustawieni w szpaler między

kościołem a grobem. Do skrzyni przymocowano tabliczkę z napisem „śp. Eligiusz Niewiadomski – żył lat 53, zm. 31 stycznia 1923 r.”. Tuż za trumną szli najbliżsi zmarłego. Wśród przybyłych dominowali ubożsi mieszkańcy stolicy. Niektóre kobiety płakały.

Gdy trumnę spuszczano do grobu, na chwilę zapanowała przejmująca cisza. Nikt nie wygłosił żadnej mowy. Nagle jeden z uczestników ceremonii odpiął zdobyty na froncie Krzyż Walecznych i rzucił go do grobu. Gest ten można było interpretować dwuznacznie: jako hołd dla zmarłego albo manifestacyjne porzucenie odznaczenia.

Kolejne osoby zaczęły rzucać na świeży grób kwiaty i wieńce. Wśród szarf na wiązankach znalazły się i takie słowa: „Od Polek z Ameryki – Cześć Nieśmiertelnemu” czy „Nieśmiertelnemu bohaterowi...”. Dały się przy tym słyszeć okrzyki z tłumu: „Cześć mu!”. Na koniec odśpiewano *Rotę*, która dla wielu zgromadzonych był nieoficjalnym hymnem Polski. Policjanci niespokojnie rozglądali się dookoła, ale do większych incydentów nie doszło.

Pogrzeb Niewiadomskiego był manifestacją niezgody na polską rzeczywistość. Mieszanką patriotyzmu i kultu mordercy. Wśród obiektywnych obserwatorów mogło to wywoływać gęsią skórkę.

Około godziny 9.00 uroczystości pogrzebowe dobiegły końca. Tłum zaczął się rozchodzić. Niemniej aż do wieczora kolejne osoby nieustannie nawiedzały grób Niewiadomskiego. W miarę jak zbliżał się zmrok, przybywało zniczy. Wieczorem mogiła z daleka świeciła się żółtym światłem woskowych lampek. W nocy przy grobie pozostały samozwańcze warty organizowane przez narodową młodzież, mające stanowić zabezpieczenie przez prowokacjami lewicowych bojówek nazywanych w prasie endeckiej „żydowsko-socjalistycznymi”.

Atmosfera była gorąca – nie tylko z powodu żarzących się zniczy.

Nabożeństwa w intencji zmarłego zabójcy odbyły się jeszcze w środę 7 lutego o godzinie 10.00 w kościele Ojców Kapucynów przy ulicy Miodowej oraz trzy dni później, w sobotę, w kościele św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, również o godzinie 10.00. Bliźniacze ceremonie urządzano w całym kraju.

Warszawa, mieszkanie Mariana Fuksa
wtorek 6 II 1923, godz. 10.00

Fotograf Marian Fuks nie zdołał jeszcze przekroczyć progu swego mieszkania, gdy w bramie kamienicy został zatrzymany przez urzędnika policyjnego, który nakazał Fuksowi i jego pomocnikowi udanie się do urzędu śledczego. Obok czekał już wóz policyjny. W urzędzie skonfiskowano Fuksowi zdjęcia, tłumacząc, że muszą one uzyskać akceptację władz.

Po konfiskacie zatrzymani zostali zwolnieni. Incydent nagłośniła narodowa bulwarówka „Gazeta Poranna 2 grosze”.

Odium / kult

W dniu stracenia do redakcji prawicowych pism (takich jak „Rzeczpospolita”) spłynęło wiele listów, których autorzy przyrzekali powstrzymanie się od rozrywek i zabaw w imię żałoby po rozstrzelanym. Za to inni obiecywali palenie obrazów Niewiadomskiego.

Postępek prezydenckiego zabójcy wzbudzał skrajne emocje. Jeśli Niewiadomski chciał swym czynem wstrząsnąć społeczeństwem, to na pewno mu się – na krótko – udało. Jeśli jednak liczył, że ten wstrząs będzie czymś pozytywnym, wzniosłym i wzmocni naród – głęboko się pomylił.

Doprowadził tylko do zaognienia sporów ideologicznych i powiększenia przepaści między narodowcami a środowiskami lewicowymi. Polskie serca z pewnością nie zostały zjednoczone. Jego osoba stała się jednocześnie obiektem kultu i społecznego odium, a władze zabroniły mediom rozpowszechniania ostatnich słów Niewiadomskiego.

Zamordowanie Narutowicza spotkało się ze zbiorowym potępieniem. Tylko w tym sensie przeważająca część mieszkańców II Rzeczypospolitej przemawiała chwilowo jednym głosem, zresztą w sposób całkowicie sprzeczny z marzeniami Eligiusza. Niezliczone oświadczenia potępiające zamach formułowały wszystkie partie polityczne (też narodowe!), organizacje społeczne, towarzystwa, instytucje naukowe, kulturalne, wyższe uczelnie, władze miejskie i wiejskie. Samorządy lokalne przyjmowały komunikaty, gminy wiejskie podejmowały uchwały. Odezwy na ręce marszałka Rataja przysyłały tak egzotyczne organizacje, jak

Towarzystwo Teozoficzne, Polskie Towarzystwo Esperantystów, Towarzystwo „Wolna Polska” w Argentynie czy Stowarzyszenie Lokatorów miasta Częstochowy.

Rozpoczęto nawet społeczne składki na budowę pomnika zamordowanego prezydenta. Rektor i Senat Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie podpisali odezwę, w której ostro oceniali Polaków: „zamordowanie prezydenta Narutowicza jest jaskrawym przejawem strasznej choroby moralnej, która ogarnęła od dłuższego czasu Europę i od wielu już miesięcy toczy również nasze społeczeństwo. A imię tej choroby: zaniedbanie, zlekceważenie prawa i moralności, praw ojczystych, obowiązujących każdego obywatela, i praw odwiecznych, obowiązujących każdego człowieka [...]. Widzimy wszędzie hipertrofię chorobliwego egotyzmu, wynoszącego swe poglądy i swój ograniczony rozum do stopnia najwyższego kryterium, które się stawia ponad wszelkie prawo: widzimy za nim zwykły brudny egoizm, korzystający z panującego sceptycyzmu i niepewności moralnej, aby prawa innych dla najmniejszej swej korzyści podeptać; widzimy wszędzie zupełną obojętność na prawdę, głęboką niesprawiedliwość w stosunku do ludzi i przede wszystkim głęboką niesumienność w stosunku do siebie. Z przerażeniem konstatujemy panowanie najniższych żądz, bezgranicznej chciwości, chęci używania, uznania za dobre wszystkich środków, byle prowadziły do celu”.

Część z tych określeń doskonale pasuje do Niewiadomskiego. Autorzy odezwy mieli jednak na myśli wszystkich, nie tylko mordercę i autorów nagonki na prezydenta: „nie oskarżamy nikogo, ludzi ani stronnictw – nie czas mierzyć odpowiedzialności, kiedy wszyscy jesteśmy winni [...]. Za obowiązek sobie poczytujemy ostrzec naród, że skoro się raz zlekceważy i spróbuje siebie postawić ponad obowiązujące w Ojczyźnie prawa, to nie ma już granicy, nie ma kryterium dobra i zła, nieuniknione jest prędzej czy

później panowanie ślepej namiętności, które w chwilach wstrząśnień tylekroć narody poprzez krew i zbrodnię do zguby prowadziło”. Oto rzadki głos rozsądku w tych burzliwych dniach.

Świetny przykład siły oburzenia, jakie wznieciło morderstwo, stanowiły zerwane obrady Warszawskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów, przewidziane na 16 grudnia. Na wieść o zabójstwie prezydenta posiedzenie przekształciło się w wiec potępiający czyn Niewiadomskiego. Zgromadzeni przy ulicy Brackiej literaci byli niezwykle podnieceni i zdenerwowani. W gorącej atmosferze mnożyły się wyzwiska, inwektywy i groźby nie tylko pod adresem bezpośredniego sprawcy, lecz także sprawców „moralnych”: autorów antyprezydenckiej nagonki z ostatnich dni. Pisarz Maciej Wierzbiński, sprzyjający ideom narodowym i współpracujący z „Rzeczpospolitą”, nie wytrzymał i oburzony wybiegł z sali, trzaskając głośno drzwiami.

W gorączkowych dyskusjach literaci omawiali projekty najróżniejszych, nieraz bardzo radykalnych rezolucji. W końcu uchwalono tekst przygotowany przez Juliusza Kadena-Bandrowskiego i Antoniego Słonimskiego:

Do wszystkich Obywateli Rzeczypospolitej Polskiej! Wobec ohydnego mordu, dokonanego na osobie Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza – my, literaci polscy, rzucamy piętno hańby na wszystkich moralnych sprawców niesłychanej w dziejach Polski zbrodni. W dniu pohańbienia Ojczyzny, w dniu walki o praworządność i demokratyzm w państwie, ślemy wam ten głos przepojony goryczą. Niechaj natchnie on was wiarą w prawdziwe braterstwo pisarzy polskich z ludem pracującym demokratycznej Polski.

Morderstwo znalazło odbicie również w twórczości artystycznej. Okolicznościowe wiersze napisali m.in. Leo Belmont, Leon Rygier, Antoni Słonimski i Julian Tuwim. Ten ostatni swój utwór *Do nich* (inny tytuł: *Pogrzeb prezydenta Narutowicza*) opublikował w „Kurierze Porannym” 20 grudnia. Pisał:

Krzyż mieliście na piersiach, a browning w kieszeni.
Z Bogiem byli w sojuszu, a z mordercą w pakcie,
Wy, w chichocie zastygli, bladzi, przestraszeni,
Chodźcie, głupcy, do okien - i patrzcie, i patrzcie!
[...]
Przez serce swe na wylot pogrzebem przeszyta,
Jak Jego pierś kulami, niech widzi stolica
Twarze wasze, zbrodniarze! I niech was przywita
Strasznym krzykiem milczenia żałobna ulica!

Słonimski z kolei w poetyckiej wizji opisał moment zamachu:

Na pluszowej kanapie, wśród ciekawych tłoku,
Jakże długo umierać trzeba od krwotoku,
Jest czasu aż za wiele, by dreszczem odrazy
Wstrząsnęły rzeźby zimne i wielkie obrazy

W ramach złotych spiętrzone, nieruchome twarze,
Zachody, wschody słońca, zamglone pejzaże.
Cisza w polu – wiatr białych nie przegania chmurek.
Boli – proszę powoli odpinać tużurek...
Czy to pachną perfumy, czy święte kadzidła?

Ktoś mówi szeptem, biegnie, schodzi z malowidła,
Czarny krzak tui, obok – zakurzone palmy.
Czemu taka cisza? Gdzie żałobne psalmy.
Nie płacz – widzisz, już lepiej – widzisz mniej krwawi,
Może to tylko rana – jutro się poprawi...

Literacką relację kontynuował Kazimierz Wierzyński:

Pan prezydent wyjechał z białego pałacu
Trumną na piramidzie wzniesiony na szczyty,
Pierwszy raz na wolności – w tym kraju – zabity.
Teraz już śpi, najwyższy, i nie pyta za co.

W tworzonej na gorąco poezji morderca znalazł się wyłącznie na drugim planie. Jan Nepomucen Miller w wierszu *Prezydent na marach*, opublikowanym na łamach „Robotnika”, pisał:

Pod krwawym sztandarem boju
z orłem na sercu –
trzema kulami przeszyty
Prezydent Rzeczypospolitej...

...ale – mój panie – toć przecież już ślepy widzi...
...wiadomo... żydzi...

...wariat... no kto by pomyślał... on serio...
przecież dla tłumu... o polska donkiszoterio!...
[...]
...trzy kule... system Mauzera...
...widział kto... ciężka cholera...

...toć inteligent... artysta
gdzie ziarno wie i gdzie plewki...

...to nie przelewki...
...rzecz oczywista...

...wyciąć do nogi... przeorać...
...krwią zasiać... odemścić... prowadź!

...nareszcie... chwała Ci Boże!
...znalazł się zbożny – w Gomorze...

Niezwykle ostro na zabójstwo zareagowały lewicowe partie polityczne. PSL „Wyzwolenie” w publicznym oświadczeniu przekonywało: „wszelkimi siłami starali się panowie endecy nie dopuścić prezydenta Narutowicza do władzy [...]. A gdy się to nie udało, zamordowany został wybraniec ludu, zamordowany właśnie dlatego, że był wybrańcem ludu, a nie sytego ucisku i ciemnoty endeckiej. Dość prowokacji! Radzimy i ostrzegamy póki czas, nie budźcie wy gniewu ludu i jego karzącej ręki. My wojny nie chcemy ani zewnętrznej, ani domowej. Ale kto nas zaczepi, będzie tego żałował”. To była już bardzo poważna groźba rozpętania polsko-polskiego piekła.

„Straszny, skrytobójczy mord polityczny, dokonany na osobie wybranego zwierzchnika państwa, przejęły grozą i wstrętem całą klasę pracującą Polski – wtórowali radykalnym ludowcom socjaliści z PPS. – Lud pracujący odczuwa te ciosy jako bezpośrednio przeciw sobie wymierzone, jako groźną zapowiedź jeszcze większej nędzy i niedoli. Ten lud wyzyskiwany przez zgraję nielitościwych paskarzy, lud toczący coraz to cięższą walkę o byt [...] zauważył nagle przed sobą olbrzymi spisek reakcji polskiej, godzący pałką i rewolwerem w większość sejmową, zabijający prezydenta Republiki, dążący do dyktatury paskarzy nad narodem [...]. W tak ciężkim położeniu kraju powołujemy was, robotnicy polscy, do obrony waszego życia i waszych praw najświętszych”. Socjaliści zastrzegli jednak, że ta obrona ma się realizować na „gruncie konstytucyjnym”.

W tych godzinach nawet środowiska narodowe nabrały wody w usta. Przestępstwo było ewidentne, trudno było pochwalać zbrodnię nawet najzagorzalszym krytykom prezydenta. Jak deklarowano, wiadomość o zamachu miała wywołać „głęboki ból” wśród członków klubu sejmowego Związku Ludowo-Narodowego. Przyjęli oni odezwę, w której pisali: „z uczuciem najgłębszej grozy dowie się kraj o strasznym nieszczęściu, które nań spada. Zbrodniczy czyn człowieka niepoczytalnego nie tylko okrywa

kraj cały ciężką żałobą, ale także ściąga nań niesławę, wyrządza mu wielką krzywdę, zaburza jego życie prawne, które tylko prawnym torem toczyć się może, bo droga gwałtu i zbrodni prowadzi tylko do rozstroju i zagłady. Wstrząsająca do głębi zbrodnia dzisiejsza wywoła wszędzie w Polsce zgrozę i potępienie”. Narodowcy w mgnieniu oka przeistoczyli się z kontestatorów systemu w obrońców prawa i porządku.

Politycy endeccy mieli jeszcze jeden problem: obawiali się, że ktoś mógłby posądzić ich o współpracę z Eligiuszem. Dlatego, bojąc się represji władz (generał Sikorski rozpoczął przecież ograniczone, ale realne czasowe internowania), zaprzeczali jakimkolwiek domysłom, według których morderstwo było elementem spisku. Zwracali uwagę – skądinąd słusznie – że Niewiadomski od dawna nie należał do Narodowej Demokracji; że był to człowiek zmarginalizowany, samotny. Po prostu sfrustrowany szaleniec. We własnym interesie starali się pomniejszać związek między histeryczną antyprezydencką nagonką z połowy grudnia a zabójstwem. Świadomy tych manipulacji Sikorski, nowy premier, mając na myśli endecję, stwierdził: „robienie z zamachowców wariatów weszło już w zwyczaj i nikt temu nie uwierzy”.

*

Jest bardzo charakterystyczne i godne podkreślenia, że już wkrótce, zwłaszcza po procesie Niewiadomskiego, te nastroje zaczęły ewoluować i różnicować się. Ewolucja ta przybierała trudne do przewidzenia kształty: endecja odżegnywała się od swych wcześniejszych twierdzeń o szaleństwie Eligiusza, o chorobie coraz powszechniej mówiono za to po drugiej stronie politycznej barykady, co paradoksalnie służyło narodowcom, osłabiając wątek spiskowy.

W czasie, kiedy Niewiadomski przebywał w więzieniu w oczekiwaniu na wyrok, a potem na egzekucję, w środowiskach narodowych począł narastać kult jego osoby. Dokładnie tak, jak to sobie wymyślił Eligiusz. Kult ten rósł w miarę zbliżania się momentu egzekucji. Nigdy jednak nie osiągnął poziomu, który mógłby zadowolić wygórowane oczekiwania zabójcy.

Do więzienia na Mokotowie codziennie nadchodziły listy, kartki, a także bukiety kwiatów. Jakże musiało to podbudowywać ego skazańca! W wielu miejscach w Polsce ludzie przekazywali sobie z rąk do rąk podobizny „bohatera". Jednocześnie wiele osób – czasem zupełnie szalonych – usiłowało uzyskać zgodę na „audiencję" w celi Niewiadomskiego. Prokurator Rudnicki, do którego kierowano większość tego typu podań, miał pełne ręce roboty. Najbardziej zapadła mu w pamięć pewna teozofka – fanatyczna zwolenniczka młodego (założonego w 1875 roku w Nowym Jorku przez Rosjankę Jelenę Bławatską) panteistycznego ruchu parareligijnego, wzorującego się m.in. na neoplatonizmie i buddyzmie. Owa teozofka – zdecydowanie asertywna dama z Warszawy – usilnie przekonywała Rudnickiego, że musi się zobaczyć z Niewiadomskim. Jej zdaniem potrzebował duchowego ukojenia w ostatnich chwilach życia. Rudnicki oponował, jak mógł. W końcu ustalono kompromis: obiecał zapytać, czy Niewiadomski zgodzi się ją przyjąć. Eligiusz nie szukał jednak ukojenia w teozofii.

W pierwszych kilku miesiącach 1923 roku rodzice ponad 300 dzieci w Polsce nadali swym pociechom rzadkie imię Eligiusz. To niezwykły przejaw kultu mordercy.

Piłsudski, zniesmaczony taką ewolucją nastrojów społecznych, demonstracyjnie wycofał się z polityki do Sulejówka. Zabójstwo prezydenta było jednym z ważniejszych powodów tej decyzji.

Stanisław Mackiewicz w *Historii Polski* starał się zrozumieć, skąd brało się wśród części Polaków takie uwielbienie dla mordercy, które zdumiewająco szybko zastąpiło szok po morderstwie. Przyznawał, że „użycie gwałtu, przemocy, użycie siły fizycznej wywołuje odrazę" w Polsce, która słynęła z braku stosów i niepopełnienia w swej długiej historii ani jednego królobójstwa. „Ale później – kontynuował Mackiewicz – w stosunku do aresztowanego i uwięzionego Niewiadomskiego nastąpiła pewna zmiana nastroju. Zgorszą się tym ludzie, jeśli oświadczę, że Niewiadomski zyskał nawet popularność. W Polsce bardzo cenią poświęcenia, a Niewiadomski na procesie w sposób rycerski żądał kary śmierci dla siebie. Zachowanie się jego na procesie na sądzie było poważne, nawet prokurator oświadczył, że nie leżało w jego intencjach obrażać osobiście Niewiadomskiego. Dotychczas bojowców, którzy ginęli na Cytadeli, miała tylko lewica, teraz prawica zyskała swego przedstawiciela terroru. Jakkolwiek był to terror zwrócony przeciwko władzy własnej, ale ci, których Niewiadomski wzruszał, nie rozumowali, lecz kierowali się sentymentem".

W swych *Dziennikach* Maria Dąbrowska, powracając myślami do powszechnie potępianego zabójstwa Narutowicza i rosnącego jednocześnie współczucia dla Niewiadomskiego, pisała: „naród nasz składa się z dwóch narodów, które język ust mają wspólny, ale nie język ducha". To zaskakująco aktualne słowa. Marszałek Rataj dziwił się za to: „wczoraj skazano Niewiadomskiego na śmierć. Bolesne jednak i niebezpieczne dla przyszłości, iż nie wyszedł moralnie unicestwiony [...]. Czyż naprawdę jesteśmy narodem anarchicznym?".

O psychice narodowej w kontekście narodzin kultu Niewiadomskiego pisał także Ignacy Mościcki, następca Stanisława Wojciechowskiego i trzeci prezydent II Rzeczypospolitej: „zabójstwa Narutowicza nie można

jednak sprowadzić tylko do wypadku, spowodowanego przez jakiegoś chorego człowieka. Wielkie procesje, liczące tysiące ludzi, śpieszące z hołdem do grobu mordercy i obsypujące kwiatami jego miejsce spoczynku, dawały wyraźny dowód, że ówczesna inteligencja polska ulegała wysoce niezdrowej i szkodliwej dla rozwoju Państwa sugestii. Musiało się w takim objawie widzieć wpływ przeszło stuletniej niewoli narodu".

Nie w pełni zgodziłbym się powyższymi analizami. Wbrew sugestiom Mackiewicza Niewiadomski wcale nie zachował się na procesie tak poważnie: jego filipiki przeciw Żydom i absurdalne wspominki o kolegach, z którymi pracował, nie służyły budowaniu jego mitu. Nie bagatelizując ogólnonarodowych uwarunkowań z płaszczyzny „psychiki" (czy socjologii) narodowej i spadku po rozbiorach, które podkreślają cytowani autorzy, większe znaczenie oddałbym po prostu bieżącym sporom politycznym, tak przecież gorącym i brutalnym. Ocena Niewiadomskiego stała się papierkiem lakmusowym, określającym światopogląd osoby wypowiadającej tę ocenę.

Jednym z poważniejszych punktów sporu o Niewiadomskiego stał się jego list *Do wszystkich Polaków*: w zamierzeniu autora manifest polityczny i pean na cześć idei narodowej. Trzydziestego pierwszego stycznia, w dniu rozstrzelania autora, treść listu opublikował „Dziennik Poznański". Na mocy rozporządzenia komisarza miasta stołecznego Warszawy Franciszka Anusza dokonano konfiskaty tego numeru w stolicy. Zakazano ponadto rozpowszechniania nadzwyczajnego numeru „Gazety Porannej", zawierającego panegiryczny opis śmierci Eligiusza. W dniu egzekucji redakcje wysokonakładowych „Rzeczpospolitej" i „Kuriera Warszawskiego" otrzymały telefony z komendy stołecznej, że w razie opublikowania listu również grozi im całkowita konfiskata.

Dwa dni później Anusz nakazał skonfiskowanie całego nr 32 „Gazety Porannej”, która wydrukowała streszczenie listu. Z kolei 4 lutego 1923 roku przesłanie Niewiadomskiego *in extenso* opublikowały „Słowo Radomskie”, „Goniec Krakowski” i „Głos Lubelski” – pisma regionalne i nie najbardziej popularne. Niemniej władze administracyjne z obszarów, na których ukazywały się te tytuły, postanowiły dokonać konfiskaty numerów zawierających tekst przesłania zamachowca.

Nadgorliwe poczynania władz miejskich i regionalnych punktowali politycy endeccy. Szóstego lutego 1923 roku posłowie Związku Ludowo-Narodowego zgłosili oficjalną interpelację do ministra spraw wewnętrznych i ministra sprawiedliwości, uznając przeprowadzone konfiskaty za łamanie prawa. Posłowie pisali:

Zważywszy:

1) że ani treść listu śp. E. Niewiadomskiego, ani treść nadzwyczajnego dodatku „Gazety Porannej” z 31 I br. nie zawierają w sobie nic karygodnego, bo ani antypaństwowego, ani podburzającego, a przeciwnie – list nieboszczyka nawołuje Polaków do pracy nad sobą i nad budową państwa, przenoszą walkę o Polskę na grunt „wielkości ducha”, a więc do sfery moralnej, a nie fizycznej;

2) że artykuł 105. konstytucji Rzeczypospolitej wyraźnie poręcza wolność prasy i uchyla stanowczo możność stosowania cenzury prewencyjnej [...];

3) że władze sądowe po zbadaniu sprawy konfiskaty „Głosu Lubelskiego” i „Głosu Radomskiego” nie znalazły cech przestępstwa i konfiskatę uchyliły;

4) [...]

5) czyn, którego dopuściła się władza administracyjna w Radomiu, Lublinie itd., a szczególniej pan Anusz w Warszawie, jest karygodny, bo w sposób rażący pozbawia pewne odłamy prasy gwarantowanych im przez Konstytucję swobód obywatelskich [...].

Stojąc na gruncie prawa, praworządności i mając w najwyższym poszanowaniu obowiązującą nas Konstytucję, gwałconą przez władze wykonawcze [...] *niżej podpisani stwierdzają, że w czynach tegoż komisarza Anusza widać zupełnie planową a nielegalną walkę z niesympatycznym dla niego kierunkiem politycznym i że wzorując się na przykładach rządu sowieckiego, dąży on do zniszczenia prasy polskiej, utrzymując jedynie prasę żydowską lub pod jej wpływami się znajdującą.*

Niżej podpisani zapytują pana ministra spraw wewnętrznych i pana ministra sprawiedliwości:

1) czy wiadomo im, że tego rodzaju nielegalne konfiskaty miały miejsce i jeżeli wiadomo, to

2) co zamierzają uczynić, aby zapewnić na przyszłość korzystanie z pełni praw obywatelskich większościom polskim w Polsce

3) czy zamierzają usunąć i pociągnąć do odpowiedzialności tych urzędników, a w pierwszym rzędzie komisarza Anusza, którzy dopuścili się nadużycia władzy?

Anusz rzeczywiście niedługo potem – w maju 1923 roku – przestał być komisarzem Warszawy. Różnym oficynom wydawniczym w całym kraju udawało się bez większych przeszkód drukować stenogram procesu Eligiusza. Publikacje te okazywały się bestsellerami.

Opisywany już pogrzeb Eligiusza Niewiadomskiego, pochowanego – tak jak ojciec – na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, stał się wbrew nadziejom władz wielką manifestacją polityczną. W uroczystościach wzięło

udział ogółem około 10 tysięcy ludzi. Już podczas nocnej ekshumacji pojawił się w kręgach narodowców pomysł, by porąbać słupek, przy którym zginął skazaniec, a także zniszczoną drewnianą trumnę, w celu rozdania tych „relikwii” żałobnikom. Jak wiemy, władze nie dopuściły do takich działań.

Warto przy tym zauważyć, że na pogrzebie Niewiadomskiego zjawiło się jednak zdecydowanie mniej ludzi niż na wcześniejszych uroczystościach pogrzebowych prezydenta Narutowicza. Czy zadecydowały o tym jedynie wczesna pora i blokada informacyjna? Na pewno władze II Rzeczypospolitej, a także liczne inicjatywy społeczne, zadbały o kultywowanie pamięci o ofierze zamachu. Jeszcze w 1923 roku w Warszawie wytyczono plac, którego patronem został zmarły prezydent. Rok później łódzką ulicę Dzielną przemianowano na ulicę Gabriela Narutowicza. Tak samo postąpiono np. w 1928 roku z ulicą Namiestnikowską w Lublinie. Podobnych działań było znacznie więcej. Z okazji 20-lecia odzyskania niepodległości Poczta Polska wypuściła okoliczny znaczek z wizerunkiem Narutowicza.

Tymczasem w kolejnych dniach po pogrzebie na świeży grób Niewiadomskiego przybywały prawdziwe pielgrzymki i procesje. Niesiono wieńce i kwiaty. Kombatanci wojenni i studenci ochotniczo organizowali honorowe warty przy mogile. Śpiewano patriotyczne pieśni. Pomstowano na rządzących. Dużo dyskutowano. Między innymi nad mowami marszałków obu izb parlamentu z 21 grudnia, w których wspominali oni przed słuchającymi w pozycji stojącej posłami sylwetkę zmarłego prezydenta; czy też nad decyzją Sejmu, który uchwałą z 16 stycznia 1923 roku postanowił wmurować w gmachu przy ulicy Wiejskiej tablicę pamiątkową ku czci Narutowicza (odsłonięto ją w czerwcu), jednocześnie przeciwstawiając się sławieniu mordercy.

Jeszcze pół roku później lider PSL „Wyzwolenie” Stanisław Thugutt żalił się z mównicy sejmowej: „na Powązkach grób Niewiadomskiego jest ciągle zarzucony kwiatami, a osoby, które przechodzą tamtędy i nie chcą dawać datków na uczczenie pamięci Niewiadomskiego, są lżone i napastowane. Podobno na grobie – zaznaczam: podobno, bo sam tego nie widziałem – istnieje napis »Bohaterowi narodu«”.

Eligiusza czczono też, jak pisałem, poprzez zamawianie mszy w dziesiątkach kościołów w całej Polsce. Sprzyjający narodowcom księża głosili płomienne kazania. Niekiedy zbyt płomienne. Zaniepokojony Episkopat został w końcu zmuszony do wydania zakazu odprawiania nabożeństw ku czci Niewiadomskiego. Dobitnie świadczy to o skali problemu. W sformułowanym 10 lutego uzasadnieniu zwierzchnicy polskiego Kościoła katolickiego tłumaczyli, że charakter tych mszy „może wprowadzić zamęt do pojęć o moralności chrześcijańskiej, która nie pozwala pod żadnym warunkiem na złamanie przykazania »nie zabijaj«”. Co ciekawe, zdarzało się też, że niektórzy księża odmawiali odprawiania nabożeństw w intencji prezydenta Narutowicza, zarzucając mu ateizm i związki z masonerią.

Z czasem poparcie dla Niewiadomskiego traciło ogólnospołeczny i publiczny charakter. Dobrze się stało, że w rocznicę zabójstwa doszło do publicznego uczczenia ofiary (m.in. w formie uroczystej sesji na Politechnice Warszawskiej, zawiązującej Akademicki Komitet Uczczenia Pamięci Prezydenta Narutowicza), a manifestacje poparcia dla sprawcy miały już tylko marginalny charakter.

Niemniej co roku, w końcu stycznia, przy grobie mordercy zbierała się grupa warszawiaków, ludzi reprezentujących właściwie wszystkie warstwy społeczne. Na jedną z takich rocznic z ciekawości wybrał się lider konserwatywnych ludowców Wincenty Witos. „Po zachowaniu się ludzi

widać było, że oni go uważają co najmniej za świętego” – wspominał polityk. Zdziwiony pytał bezradnie: „Co to mieści w sobie?”.

*

Polem, na którym szczególnie zażarcie starli się zwolennicy i przeciwnicy Niewiadomskiego, stała się prasa. Co znamienne, wiele z opublikowanych wtedy artykułów miało anonimowy charakter. Śledzona przez tysiące Polaków medialna dyskusja rozpalała umysły i emocje.

Morderstwo prezydenta odbiło się dość szerokim echem w prasie zagranicznej. Depesze kondolencyjne na ręce marszałka Rataja nadsyłali również zachodni politycy, m.in. niedawno wybrany papieżem Achille Ratti – Pius XI, który był „żywo dotknięty” zbrodnią i podkreślał swą modlitwę o „miłosierdzie” i „zgodę chrześcijańską” w Polsce. W tytułach prasowych skupiano się przede wszystkim na osobie prezydenta, a nie zabójcy. Narutowicza wychwalały m.in. „Journal de Genève”, „Le Temps”, „Le Matin”. We francuskim „Le Petit Journal” stwierdzono, że morderstwo nie było „nieoczekiwanym i odosobnionym wydarzeniem. Jest ono logicznym rezultatem walki partyjnej, która po wyborze Gabriela Narutowicza na prezydenta osiągnęła kulminacyjne natężenie”. Nawet w faszystowskich Włoszech krytykowano wybujały polski nacjonalizm, który miał stanowić podłoże zbrodni. „Il Messaggero” donosił, że morderca pochodził z kręgów „fanatyzmu nacjonalistycznego i antysemickiego”.

„The Times” złowróżbnie sugerował, że zabójstwo prezydenta każe z powątpiewaniem spoglądać na trwałość państwa polskiego. Podobne sugestie pojawiły się w rządowej gazecie Czechosłowacji „Česko-Slovenska Republika”. Jak widać, czyn Eligiusza przyniósł efekty całkowicie odwrotne od urojonych przez niego samego.

Ciekawie wyglądały komentarze prasy sowieckiej: „Prawda” z 17 grudnia 1922 roku określała czyn Niewiadomskiego jako „bezsilny wybryk burżuazyjno-anarchistycznego systemu”. Grudniowe starcia zwolenników przeciwnych obozów politycznych określano jako bratobójczą walkę burżuazyjnego społeczeństwa, która przyspieszy nadejście rewolucji.

W Polsce tylko przez pierwsze kilkadziesiąt godzin udało się utrzymać w miarę jednolitą treść tytułów prasowych, co odpowiadało ewolucji nastrojów społecznych. W niezwykle rzadkiej w tych czasach, ale też bardzo krótkiej chwili wszystkie tytuły, od prawicowych po lewicowe, potępiły morderstwo i wyrażały żal w stosunku do ofiary. Od razu jednak rodziły się poważne i głębokie różnice w interpretacji wydarzeń.

W logiczny sposób najbardziej bezstronnie – choć wciąż niezwykle emocjonalnie – zachowywały się tytuły centrowe, niedeklarujące (przynajmniej otwarcie) przynależności do danej opcji ideowej. W zamieszczonym na pierwszej stronie „Kuriera Polskiego” z 17 grudnia artykule można było przeczytać: „uczucie oburzenia i przerażenia, żalu i wstydu, gniewu i troski kłębią się, jak fale gwałtowne poruszonego morza, w duszach, które nie zdziczały w psychozie gwałtu i zachowały zdolność odczucia całej tragicznej grozy dnia wczorajszego [...]. U samego progu odnowionych dziejów państwa polskiego stanęła ohydna mara nienawiści: morderstwo polityczne. Bo choć nikczemnik i głupiec, który wczoraj zabił pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, nie reprezentuje żadnej politycznej myśli, choć jest tylko zwyrodniałym typem tego kabotynizmu, którego genealogia idzie wstecz aż do efeskiego podpalacza [Herostratesa, który spalił świątynię Artemidy – P.P.], to jednak płomień jego pochodni wyszedł z tej atmosfery nienawiści i gwałtu, którą wytworzyły złe duchy Polski w dniach ostatnich”.

„Jaką hańbą przed światem okrywa Polskę ta zbrodnia!” – kontynuowała gazeta, wskazując na okrutną ironię: jeszcze parę lat temu, podczas niemieckiej okupacji w czasie wojny, niemiecki generał-gubernator w Warszawie Hans von Beseler bezpiecznie jeździł po ulicach Warszawy w otwartym powozie. Polski prezydent nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. „To wspomnienie i to zestawienie nadaje wczorajszej zbrodni piętno politycznej podłości!” – konkludowano. Na koniec pozostawiono przewrotne pocieszenie: „może przynajmniej krwawa ta ofiara nie będzie daremna! Krew zmyła z pięknej, jasnej postaci Gabriela Narutowicza błoto, którym obrzucono ją po wyborze”.

„Kurier” winił za ostatnie wydarzenia głównie środowiska narodowe, ale nie w sposób kategoryczny i uproszczony: „o tak! Żadne z naszych politycznych stronnictw nie ma z tym ohydnym morderstwem nic wspólnego – ale są takie, które z przerażeniem dziś patrzą, do czego doprowadziło rozpętanie przez nie najdzikszych namiętności, wołanie krwi, krzyk zemsty za »sponiewieranie« narodu, igranie z groźbą wojny domowej”. Liczono, że teraz „poruszy się niejedno sumienie, które spało w przeddzień wielkiego narodowego nieszczęścia”. Czy były to płonne nadzieje?

Zgodnie z wytycznymi polityków prasa narodowa starała się izolować czyn Niewiadomskiego od podłoża społecznego i za wszelką cenę unikać *iunctim* między niedawną kampanią nienawiści wobec Narutowicza a jego śmiercią. Dominowała teza, że Eligiusz, osoba „niepoczytalna” i „szalona”, musi ponieść karę. Ale nikt więcej. „Gazeta Poranna” w tekście z 19 grudnia pt. *Gdzie niebezpieczeństwo?* stwierdzała wprost: „opinia potępiła jednomyślnie zamach morderczy, ustalono też z całą oczywistością, że był on czynem jednostki, poza którą nie stał absolutnie nikt”.

Umiarkowanie prawicowa „Gazeta Warszawska” już 16 grudnia opublikowała tekst *Wobec zbrodniczego zamachu*, w którym przekonywała: „mordercą jest człowiek, którego stan umysłu od dawna budził wątpliwości i który nie po raz pierwszy w drodze gwałtu torował drogę swoim przekonaniom. Dotąd co prawda chodziło o jego przekonania artystyczne i twórczość malarską, w której »obronie« napadł np. w swoim czasie na redaktora »Gazety Porannej«. Teraz chory ten człowiek uczuł się nagle powołany do ferowania »wyroków politycznych« i to z rewolwerem w dłoni”. Przypomnienie epizodu z pobiciem redaktora prawicowej gazety miało podkreślić dystans Eligiusza od narodowców.

„Zbrodnia dokonana na osobie prezydenta Narutowicza wstrząśnie do głębi całym społeczeństwem polskim – pisano dalej w tekście – raz z powodu ofiary, którą padł zamordowany, po wtóre ze względu na atmosferę, która wylęgła zbrodnię. O Eligiuszu Niewiadomskim wypowiedzą swój sąd lekarze i sędziowie karni, na zamach sam w sobie rzuci opinia publiczna wyrok potępiający bezwzględnie”.

Co znamienne, następnego dnia gazeta dyskretnie zmieniła ton. W tekście *Tragiczny konflikt* pojawiła się teza, że choć Niewiadomski był nieobliczalny, to jednak kierował się „narodowymi odruchami”: „morderstwo, popełnione na osobie Prezydenta Rzeczpospolitej, jest wypadkiem wykraczającym poza ramy obliczeń politycznych. W żadnym obliczeniu politycznym, jakie w danych warunkach można było robić, czyn taki nie leżał w widokach czyichkolwiek interesów”. W ten sposób artykuł stara się przeciąć skojarzenia o związkach Eligiusza z polityką endeków. „Rzecz stała się na płaszczyźnie, na terenie uczuć narodowych. Poza partiami, jako instytucjami życia politycznego, istnieje naród, który jest żywiołem psychicznym i ma swoje ruchy akcji i reakcji, wyładowujące się w czynach ludzi, nawet politycznie nieodpowiedzialnych. Ci, którzy nigdy

w słowniku duszy swojej słowa nie poczuli i w kategoriach myślenia go nie mieli, nie mogą oczywiście stanąć teraz na tym punkcie widzenia”.

Stąd już krok do usprawiedliwienia Niewiadomskiego jako „prawdziwego” Polaka, który dał się unieść „żywiołowi psychicznemu” narodu. Ci, którzy tego nie zrozumieli, „nigdy w słowniku duszy swojej słowa nie poczuli”.

Na zakończenie, po tym zawoalowanym ataku na „nieprawdziwych” Polaków, artykuł nawołuje do zakończenia sporów i wyciszenia nastrojów: „nie wolno nam zamieniać życia publicznego w anarchiczne odruchy uczuć. Jesteśmy narodem cywilizowanym, który ma środki dochodzenia swych praw w ramach legalności. Nie ma potrzeby uciekania się do kroków rozpaczy”. Ciekawe, że przed 16 grudnia gazeta o legalizmie i respektowaniu prawa zapomniała, kwestionując wybór Narutowicza. Teraz, chcąc nie dopuścić do rewanżystowskich nastrojów, mianowała się stróżem kultury politycznej.

Pozory bezstronności starał się jeszcze zachowywać Stanisław Cat Mackiewicz w konserwatywnym „Słowie”. Dziewiętnastego grudnia opublikował tekst pt. *Dziś i jutro*, w którym wpisał się w endecką ocenę czynu Niewiadomskiego: „obowiązkiem każdego przeciwnika Demokracji Narodowej jest w danej chwili oświadczyć, iż zamach nieszczęsnego obłąkańca, Eligiusza Niewiadomskiego, nie był planowany przez żadną polską organizację partyjną. Tak też było w istocie [...]. Każdy myślący obywatel polski wie i czuje, iż czyn Niewiadomskiego wynikł z premedytacji jednostki, a nie premedytacji partii. Ludzie uczciwi nie powinni dla własnych demagogicznych celów stwarzać atmosfery kryminalnych podejrzeń”.

Autor starał się delikatnie bronić endeckiej prasy, odpowiedzialnej za antyprezydencką nagonkę: „prasa ChJN życzyła sobie, aby społeczeństwo

reagowało manifestacjami protestu przeciw wyborowi prezydenta Narutowicza. Z naszego, konserwatywnego punktu widzenia, było to niepotrzebne i szkodliwe, gdyż wyboru tego nie można było odmienić. Ale nikt z polityków ChJN nie chciał zamachu, strzałów, skrytobójstw, zbrodni. To także jest pewne”. Mackiewicz gotów byłby przyznać słuszność zarzutom pod adresem prasy endeckiej o „jątrzenie”, „demagogię” i „brak poszanowania praworządności”, ale tylko pod warunkiem, że te same sformułowania przypisano by pismom lewicowym. Kończył swój wywód znamienną tezą: „nacjonalizm polski nie jest prawicą, lecz przywłaszczył sobie nazwę prawicy podczas wyborów, wykorzystując ogólnoeuropejski zwrot na prawo. Niestety nacjonalizm nie tylko w Polsce nie ma naturalnych warunków do zwycięstwa”. Ciekawe, czy przypomniał sobie te słowa dekadę później, po dojściu Adolfa Hitlera do władzy w Niemczech.

Podobnie jak w ostatnich dniach, znowu dał o sobie znać Stanisław Stroński. Jego artykuł *Ciszej nad tą trumną* opublikowany 17 grudnia 1922 roku w „Rzeczpospolitej” był komentowany równie szeroko jak jego wcześniejsza radykalna filipika przeciw Narutowiczowi, w której nawoływał do usunięcia tej „zawady”. Teraz, najwidoczniej mocno przestraszony burzą, jaką wywołał, i być może czując wyrzuty sumienia, zdecydowanie spuścił z tonu, formułując tezy podobne do tekstu *Tragiczny konflikt* z „Gazety Warszawskiej”. Co ciekawe, tekst mimo wszystko nie spodobał się Mackiewiczowi, który określił Strońskiego jako „histeryka”, co „tłumaczy się zresztą przez jego żydowskie pochodzenie [*sic*!]”. Tytuł artykułu adwersarza Mackiewicz określił jako „wysoce niesmaczny”, świadczący o „ogromie nietaktu” i „arogancji” autora.

I rzeczywiście, Stroński wcale nie zamierzał rezygnować ze swych poglądów. Za wszelką cenę chciał przy tym ograniczyć możliwe szkody, jakie morderstwo mogło spowodować na scenie politycznej. Zwłaszcza

endeckiej. Można jednak przypuszczać, że obok tych czysto politycznych względów, mógł też powodować się odruchem ludzkim. Zawołanie „ciszej nad tą trumną” było być może podświadomą prośbą o zapomnienie o sprawie, w której Stroński mógł czuć się winnym; o zapomnienie jego wcześniejszych ataków.

Swój artykuł zaczynał spokojnie i obiektywnie: „gdy pierwszy urzędnik i najwyższy przedstawiciel Państwa, Prezydent Rzeczpospolitej, padł jako ofiara skrytobójczego zamachu, dokonanego niewątpliwie z pobudek politycznych, całe społeczeństwo bez względu na przekonania i takie czy inne poglądy [...] widzi w nim obywatela, który padł na pierwszym posterunku państwowym, i u trumny jego pochylą się wszystkie czoła w czci i żałobie”. Owo skrytobójstwo „jest nieszczęściem, klęską, hańbą, ale nie podrywa wiary w zdrowie i uczciwość społeczeństwa. A tak jest dzisiaj w Polsce, gdzie cały naród widzi w zamordowanym Prezydencie Rzeczpospolitej nie przedstawiciela własnego czy przeciwnego obozu politycznego, ale przedstawiciela władzy państwowej, a przede wszystkim ofiarę zbrodni, wywołującej powszechne potępienie”.

Po oddaniu cesarzowi co cesarskie Stroński przystąpił do kontrowersyjnej argumentacji: „nad zwłokami śp. Prezydenta Rzeczypospolitej [...] hasać zaczyna przerażający taniec stronniczych oskarżeń wygrywanych jako zręczne posunięcie w walce politycznej”. Oskarżenie o polityczne wykorzystywanie zbrodni formułuje jeden z głównych autorów antyprezydenckiej nagonki! „Takie oskarżenia – ciągnął – rzucają niektóre stronnictwa lewicy wprost przeciw stronnictwom prawicy. Ciszej, dużo ciszej, obok tej otwartej trumny, panowie oskarżyciele!”. Aż cisną się na usta słowa: i kto to mówi?

„Więc ciszej, dużo ciszej na tą otwartą trumną – powtarza niezrażony Stroński. – W żałobie, w skupieniu, w głębokim zastanowieniu się nad

wszystkim, czego szargać i szarpać, i gwałcić nie wolno”. Zatem tekst ten stanowi w istocie próbę obrony obozu narodowego – i samego autora.

Określenie „ciszej nad tą trumną” przeszło do mowy potocznej, podlegając ciekawej ewolucji: jeśli na początku kojarzyło się z cyniczną grą polityczną, z czasem, wyrwane z kontekstu zabójstwa Narutowicza, stało się wezwaniem do uszanowania czyjejś śmierci.

„Gazeta Poranna 2 grosze”, o wiele bardziej radykalna niż „Rzeczpospolita” i „Gazeta Warszawska”, już 17 grudnia w zasadzie wyłamała się ze wspólnego medialnego frontu. Przekroczyła próg, na którym stanęła „Gazeta Warszawska”. Artykuł *Tragedia człowieka i Polski* jest dla nas bardzo ważny nie tylko z racji jego zadziwiającej logiki, lecz także dlatego, że skupia się na Niewiadomskim. Z tekstu wynika, że to nad nim należy się litować i jemu współczuć.

„Uderza osoba sprawcy – zwierza się anonimowy autor. – Człowiek z wysoką kulturą ducha, niezwiązany z żadną partią, niezależny umysłowo, którego nie można uważać za czyjeś narzędzie”. Oto kolejna, mało subtelna próba izolacji Niewiadomskiego z rzeczywistości politycznej. „Człowiek starszy, w wieku, kiedy prawie wykluczone są motywy chwilowego afektu, skoro zdecydował się na czyn taki, musiał działać pod wrażeniem głębokiej tragedii, jaką przeżywamy”. Cóż było ową tragedią? Brak kultury politycznej? Walki bojówek? Antyprezydencka nagonka? Nie. Tragedią był brak czystości rasowej Polski, który groził triumfem „dążeń i aspiracji żydowsko-niemiecko-ruskich”. To te dążenia sprawiły, że mniejszości narodowe zadecydowały o wyborze Narutowicza. Był on w sumie sam sobie winien, zdaje się mówić autor, podkreślając: „wychowany od dzieciństwa na obczyźnie nie miał widocznie odczucia tych zasad – problemów i wybór przyjął [...]. Nie miał świadomości historycznego znaczenia i tragizmu stanowiska, na które fala wypadków go wysunęła”.

Czy w tym kontekście czyn Niewiadomskiego nie wydaje się usprawiedliwiony? Przecież stał się on tylko nieszczęśliwą ofiarą „eksperymentów od lat czterech, w których wolę większości narodu gwałcono. Dziś wszyscy widzą, do czego prowadzi lekceważenie historycznych instynktów narodu i zastępowanie ich surogatem taktycznych posunięć. Tragedia wczorajsza jest groźną oznaką położenia, w jaki nas wpływy obce, międzynarodowe, żydowskie wpędziły, skoro zaczynamy się wbrew narodowemu charakterowi i tradycjom wzajemnie mordować. Zguba nad nami wisi. Jeżeli tych wpływów nie rozpoznamy i nie skupimy się koło sztandaru narodowego, w którym jedyny ratunek przed anarchią i katastrofą – zginiemy”.

Rozumowanie to w zadziwiający sposób przypomina przemowy Niewiadomskiego podczas procesu. I tu, i tu zginęła gdzieś postać Narutowicza, a zamiast tego wyłoniły się nagle antypolskie fobie i frustracje. Winni morderstwa są tak naprawdę... Żydzi i kosmopolici. Zbieżność ta doskonale pokazuje, że Eligiusz podczas procesu nie był bełkotliwym szaleńcem. On po prostu nasiąkł atmosferą czasów, w których żył.

Obok tego tekstu swoje wynurzenia zamieścił znany antysemita Stanisław Pieńkowski. Przynajmniej nie wstydził się upublicznić swego nazwiska. Domagał się natychmiastowego procesu Niewiadomskiego, tego „szaleńca”, którego nieszczęśliwy los „żydostwo” wykorzystuje do szkalowania endecji. „Jest na kuli ziemskiej ktoś, kto stoi poza wszelkim prawem ludzkim i boskim, ktoś, kogo Polska ze swej mogiły na własnym grzbiecie wyniosła” – Pieńkowski wskoczył na swój ulubiony temat. „Hiena, co się trupem polskim od stu lat tuczyła, żyd plugawy, któremu wolno u nas, nie czekając na sądy, oskarżać milionowe rzesze społeczeństwa o mord polityczny”. „Żyd plugawy” posłużył się

Niewiadomskim do realizacji swych niecnych celów. Czy trzeba to komentować?

Dalej autor zaatakował Juliana Tuwima za jego wiersz *Do nich*: „tak więc, obywatele, dożyliście nareszcie tej hańby, że szajgec pod osłoną stanu wojennego, w »wolnej« Polsce kopie was publicznie po twarzy, jak wschodni despota klęczących u jego tronu niewolników. Zatem: na kolana, Polacy! Przed gniewem Boga waszego! Przez usta Jojne Tuwima mówi groźny Jehowa. Mówi po polsku, więc powinnaś zrozumieć podła, polska kanalio!”.

Medialne zawieszenie broni skończyło się. W perfidny sposób zaczęto realizować życzenie Strońskiego: nad trumną Narutowicza robiło się cicho w tym sensie, że w wirze walki politycznej coraz mniej uwagi poświęcano samemu zmarłemu.

W prymitywnej argumentacji Pieńkowskiemu nie ustępował ks. Kazimierz Lutosławski. Dwudziestego trzeciego lutego 1922 roku opublikował w „Myśli Narodowej” jakże daleki od ideałów chrześcijańskiej miłości bliźniego tekst. „Nieszczęsny zamach morderczy na prezydenta Narutowicza pogrążył i tak podniecone nasze życie publiczne w istny atak szału, z którego z bezczelną skwapliwością starają się skorzystać wewnętrzni zaborcy: spisek masońsko-belwederski, przez żydostwo międzynarodowe politycznie prowadzony, ażeby zdrowy instynkt Narodu potworną wprost mistyfikacją zbałamucić”. Mistyfikacja polegała zdaniem Lutosławskiego na tym, że lewica okrzyknęła się strażniczką konstytucji i legalizmu.

Tymczasem, jak przekonywał duchowny, choć wybór prezydenta był zgodny z ustawą zasadniczą, to jednak „od pisanej konstytucji są ważniejsze i świętsze prawa niepisane, które są wyryte w sumieniu uczciwych ludzi i prawych Polaków – i tych pogwałcenie [...] musi

wywołać w całym Narodzie jeden odruch oburzenia i potępienia. Brak takiego odruchu byłby dowodem gangreny moralnej społeczeństwa. Naród więc miał całkowite prawo jak najpotężniejszymi manifestacjami dać wyraz swemu oburzeniu, swej pogardzie dla sprawców jego hańby".

W tydzień po zabójstwie ks. Lutosławski wciąż udowadniał, że hańbą był wybór Narutowicza, a nie jego zabójstwo. Przy tym rozgrzeszał – *nomen omen* – uczestników rozruchów, których krytykowano nawet w samym obozie endeckim. Zresztą sam Lutosławski był źle oceniany przez wiele środowisk katolickich, w tym przez kardynała Kakowskiego.

Krótkotrwały rozejm kończyła również prasa piłsudczykowska i lewicowa. Już 17 grudnia „Kurier Poranny" opublikował tekst *Pierwsza wielka żałoba wolnej Polski*, w którym anonimowy autor – w emocjonalnej formie – przekonywał, że decyzja Niewiadomskiego była efektem presji i nagonki politycznej. „Skrytobójstwo to pragniemy gorąco wszyscy przenieść na rachunek niepoczytalnego obłędu tkniętej nagłą furią jednostki" – zaczynał. „Wierzymy, że najbardziej, najusilniej zależeć musi na podobnym wyjaśnieniu wstrząsającej każdym polskim sumieniem potworności tym wszystkim, którzy w morderstwie ujrzeli nagle spełnienie wszystkich swoich zaciekłych dążeń, rozuzdanych [*sic*!] podszczuwań, nieposkromionych pogróżek i nie cofających się przed żadnym wstydem zapowiedzi".

Dziennikarz rozwijał atak – zresztą trafiony – na autorów antyprezydenckiej nagonki: „morderca jest obłąkańcem – wołają zdławione wspólnie odczuwanym przez wszystkich przerażeniem rozliczne głosy. Wołają oczywiście nie dlatego, aby zdjąć ze zbrodniarza winę i karę [...], ale aby zdjąć winę i hańbę ze środowiska, które tego rodzaju obłąkańców wzniecać, wytwarzać i podsycać mogło. Jeżeli obłąkańcem jest człowiek, który uwierzył, że krwią Elekta Rzeczypospolitej zmazana być winna

hańba, jaka spływać miała na Polskę [...] i że mord, jakiego dokonywuje [...], jest czynem »patriotyzmu« [...] – jakąż nazwę i jakąż miarę stosować trzeba do tych wszystkich, którzy opętańczym krzykiem o tej rzekomej »hańbie«, w jakiej zanurzyć miała Polskę pierwsza elekcja, cały kraj przepełniali od tygodnia z wzrastającą z dnia na dzień coraz wścieklej konwulsyjną histerią”.

№ 344 Warszawa, 17 Grudnia 1922 r., Niedziela Rok XLVI

KURJER PORANNY

Wychodzi codzień zrana w dni powszednie, niedziele i święta

Numer pojedynczy 100 marek

PRENUMERATA miesięczna w administracji ... mk. ... kwartalna ... mk. ... zagranicą ... mk.

Adres Redakcji Przechodnia 5th. Telef. 430. Adres dla depesz: Kurjer Warszawa. Redakcja otwarta przez cały dzień i noc. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Konto czekowe Pozn. Kasa Oszczędn. Nr 631.

CENA OGŁOSZEŃ

Przed tekstem, za wiersz wysokości 1 milim. mk. 200.—
Za tekstem . . . . . mk. 150.—
Sportowe . . . . . mk. 600.—
Nekrologi i komunikaty . . . . . mk. 400.—
Kolumny . . . . . mk. 700.—
Zwiększ. ceny o 50 lub więcej razy o 25 pr. drożej.
Warunki do 31 wiersz. (w 130 mk.) wyżej — mk. 200.—
Drobne na wiersz . . . . . mk. 125.—
Nadesłane (wiersz ogłoszenia) . . . . . mk. 300.—
Ogłoszenia drobne o powtórzenia proszę pobierać bezpośrednio w biurze, po 10 mk. za wiersz.
Ogł. za tekstem, nieregularne w tekst drożej o 50%, drożej
Ogłosz. w 4-ej nekrologach, brzeg się o 25 proc. drożej
Ogłosz. przyjęte wrak. po znakiu umów. o 25 pr. drożej.
Ogłoszenia zbiorowe, listowania, zgłoszenia i klauzule o [illegible] drożej.
Ogłoszenia firm zagranicznych o 50 pr. drożej.
Za bezpieczny druk ogłoszeń nie odpowiada.
Ogłosz. zagraniczne (obcojęzyczne) przyjmuje się tylko za gotówkę.
Każda nowa pobudka terminu zwrotu wszelkie ich przyjęte ogłoszenia, od dnia zmiany ceny bez uprzedniego zawiadomienia.

Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

ś. p. Gabrjel Narutowicz

ofiarnie spieszący na służbę ojczyźnie w dniach klęski i grozy, posłuszny rozkazowi Zgromadzenia Narodowego i głosowi sumienia, patrjota bez skazy, obywatel wzorowy, męczennik obowiązku, dnia 16 grudnia 1922, trzeciego dnia po objęciu władzy, zamordowany został skrytobójczo w Warszawie przez fanatycznego zdrajcę Ojczyzny.

Szczegóły zamordowania Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

Przebieg zbrodni

Wczoraj przed południem udał się Prezydent Rzeczypospolitej do J. E. kardynała Kakowskiego, aby go rewizytować.

Na godz. 12 w południe było zaznaczone otwarcie nowej wystawy obrazów w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych przy ulicy Królewskiej. Na wernisaż był zaproszony Prezydent Rzeczypospolitej.

Po wizycie u kardynała, Prezydent, który wyjechał był z Belwederu otwartym ekwipażem w towarzystwie szefa kancelarji cywilnej Cara, udał się do Zachęty i wszedł do gmachu, gdzie go przyjął komitet. Na wystawę przybyli liczni dygnitarze, wśród nich prezes ministrów dr. Nowak, minister oświaty Kumaniecki i w. in. Oprowadził Prezydenta Rzeczypospolitej prezes ministrów Nowak oraz artysta-malarz Oleś, członek Komitetu Zachęty.

Prezydent udał się na parter, do sali na lewo i zaczął oglądać wystawione dzieła sztuki. W tej chwili podkradł się do niego Eligjusz Niewiadomski, znany, b. współpracownik pism „Gazeta Warszawska" i „Gazeta Poranna" i dał z bezpośredniej bliskości trzy strzały z browninga. Morderca stał za prezesem ministrów Nowakiem; strzały padły ukośnie, od tyłu w lewy bok i w plecy Prezydenta.

Kule padły szybko po sobie, prawie bez przerw. Prezydent Rzeczypospolitej osunął się na kolana, zbryzgany krwią i strzelił odruchu przytomności zatoczył się na ziemię, podłożono mu pod głowę futro; z ust na krzyk o lekarza wysunął się dokładnie i zajął się nim. Równocześnie ks. Malinowski udzielił konającemu ostatniej ze artykułów martis.

Agonja trwała krótko. Po chwili Prezydent Rzeczypospolitej zakończył żywot.

W sali zapanował tumult, zaczęto cisnąć się ku drzwiom. Tłum był dość gęsty, gdyż oprócz publiczności, znajdowało się przeszło 150 osób zaproszonych, w ich licznie ciało dyplomatyczne, przyczem posłowie przybyli z małżonkami, attaches i personelem ambasad, dalej reprezentanci władz i urzędów, wojskowości, miasta itd. itd. Gdzie byli rozproszeni po różnych salach, wszelako w sali, gdzie znajdował się Prezydent, było wiele osób. Zaczęło cisnąć się ku drzwiom, wreszcie te zamknięto, tak samo kilka rzuciło się na ziemię i zakazał zamknąć drzwi wiatrowe, aby nikt z ewentualnie podejrzanych nie zdołał wydostać się na zewnątrz.

W pobliżu Prezydenta Rzeczypospolitej znajdował się w chwili zamachu młodzi literat pseud. nagiełski p. Max Miller, który w chwili gdy Prezydent stanął przed jednym z pierwszych obrazów, przystąpił do Prezydenta i zaczął rozmowę na temat, którego nie mógł zrozumieć w uroczystości zaprzysiężenia Prezydenta w którym czwartek i złożyć mu życzeń. Pseud Max Miller oświadczył, że korzysta z tej sposobności, aby złożyć Prezydentowi życzenia, na co Prezydent odpowiedział życzliwie, czyniąc aluzję do ostatnich zajść: „Chyba kandelabrów..."

To były ostatnie słowa Prezydenta Rzeczypospolitej. Prawie w tej samej chwili rozległy się strzały. Morderca dokonał zbrodni.

Przygoda świadka mordu

Pierwszą myślą otoczenia Prezydenta było zawezwanie telefonicznie pomocy lekarskiej. Dr. Łopkowski, zastępca szefa kancelarji cywilnej Cara, rzucił się do telefonu, aby połączyć się z miastem.

Telefon był nieczynny...

W pobliżu Prezydenta znajdował się również pseud Kolciałkowski, major W. P. Widząc, że telefon nie działa, postanowił pan Kolciałkowski wybrać i zawiadomić o zbrodni marszałka Piłsudskiego. Wybiegłszy przed gmach, stał się pan Kolciałkowski uczestnikiem charakterystycznego zajścia.

Przed Zachętą zebrał się już dość spory tłum. W pierwszym szeregu stojących znajdował się pseud Józef Haller, były generał. Na widok jego pan Kolciałkowski, przypomniawszy sobie wydarzenia ostatnich dni, ich porządek i przebieg, wstrząśnięty oburzeniem, nie mógł powstrzymać się od zawołania ku p. Hallerowi:

— Krew na spodu na podłą głowę!!!

Stojący niedaleko kombatant policji podbiegł szybko ku pseud Kolciałkowskiemu i chciał go za ten wykrzyk oburzenia zaaresztować. Pan Kolciałkowski wylegitymował się jako pseud i poinformował się Sztabu generalnego, gdzie znajdował się wtedy marszałek Piłsudski.

Do gmachu Zachęty nad z gmachu nie wypuszczano tymczasem nikogo z osób prywatnych. Po pewnym czasie nadjechało Pogotowie i lekarze stwierdzili zgon Prezydenta.

Morderca

Tymczasem morderca został schwytany: oficer 1 jazdy Zbrodniarzowi odebrano broń, browning małego kalibru, i chciano oddać go w ręce władz bezpieczeństwa, lecz okazało się, że przedstawicieli tych władz nie można znaleźć na salach. Dopiero po dłuższym czasie, około dwudziestu minut, udało się wyszukać komisarza i paru szeregowych, którym oddano mordercę.

Należy dodać, że Eligjusz Niewiadomski urządzał ostatnio liczne odczyty i prelekcje, które sam organizował; można wykładał w różnych zakładach naukowych warszawskich estetykę i historję sztuki, był na tem polu znanym specjalistą. W ministerstwie kultury i sztuki był w swoim czasie wysokim urzędnikiem, dyrektorem departamentu, a niedawno zastępował chwilowo ministra kultury i sztuki. Na wszystkich tych stanowiskach odznaczał się, według wszystkich, którzy z nim się stykali, bystrością sądu i szybkością orjentowania się w sytuacji. W swoim czasie pragnął mieć posterunkiem d-ra Buzka, szefa urzędu statystycznego, i w tym celu do d-ra Buzka się udawał. Nadto pisywał bystre krytyki artystyczne w „Gazecie Porannej" i w „Gazecie Warszawskiej".

Obecnie powierzono mu, jako jednemu z pięciu członków komitetu organizacyjnego, zorganizowanie wystawy dzisiejszej, z czego wywiązał się energicznie. W tym charakterze był jedynym z zaproszonych gości do zwiedzenia dzisiaj udanie wystawy i wraz z dwoma członkami komitetu złożył zaproszoną wizytę Prezydentowi.

W Belwederze

Wiadomość o zbrodni dotarła szybko do Belwederu. Na miejsce pośpieszył natychmiast będący w pełnem odjutant, ppor. Jacyna znajdował się w Zachęcie) oraz personel kancelarji.

Ze słów osób, wchodzących w skład Domu Prezydenta, okazuje się, że osnowa wiadomość przybył do Prezydenta prezes Rady ministrów, Nowak, przestrzegając Prezydenta przed ewentualnie zdarzyć się możliwej zamachami i doradzając, aby Prezydent wczoraj pozostał w Belwederze. Prezes Nowak proponował zastąpienie przez siebie Prezydenta na otwarciu wystawy.

Nadto od chwili zaprzysiężenia napływały do kancelarji zamówione pisma oraz zawiadomienia telefoniczne z przestrogami przed spiskiem, który gotuje zamach na Prezydenta, aby go zamordować.

Prezydent Rzeczypospolitej nie ulękł się napływających pogróżek, które uważał za chęć nastraszenia go, jak również nie podzielił żywionych przez prezesa Nowaka obaw. Postanowił nie zmieniać programu dnia sobotniego, a w piątek zajmował się zwykłą pracą, między innemi redagował tekst odezwy do ludności, jaka miała ukazać się w niedzielę rano. Była to odezwa, wzywająca do spokoju i porządku. Byłaby podpisana jeszcze wczoraj, gdyby nie to, że wskutek żywiącej rządu nie było jej komu kontrasygnować. Wczoraj spodziewał się Prezydent rząd otworzyć i odezwę w niedzielę wydać.

Wiadomość jaka zadania do Belwederu, stwierdzała zgon. Wobec tego przygotowano dwa odkrycia łoża. Obecnie je szwadron przybocznej szwoleżerów i kawalkata zdążyła do Zachęty, aby zabrać zwłoki.

(Dalszy ciąg patrz str. 4-a).

„Kurjer Poranny” z 17 grudnia 1922 roku, nr 344. Fot. CRISPA, Biblioteka Cyfrowa Uniwersytetu Warszawskiego

Powyższe rozważania okazały się jeszcze stosunkowo powściągliwe, a wręcz wyważone, w porównaniu z artykułami z kolejnych dni. Wtedy zaczęto już wprost pisać o narodowym spisku, którego Niewiadomski był tylko narzędziem. Osiemnastego grudnia brat znanego nam Franciszka Anusza, Antoni – poseł z ramienia PSL „Piast” – opublikował na łamach popularnego „Kuriera Porannego” ostry tekst pt. *Rękę karaj, nie ślepy miecz!* Anusz jedynie marginalnie zajmuje się Niewiadomskim – owym „ślepym mieczem” – przekonując, że jego ukaranie to rzecz konieczna, ale w sumie drugorzędna. Liczy. się tak naprawdę „ręka”, czyli „bandyci pióra o rabskich duszach, którzy swoją uległość i potulność wobec rządów zaborców wetują sobie obecnie szarpaniem powagi władzy polskiej, którzy systematycznie sączą jad anarchii w nasz organizm społeczny [...]. Musimy dopilnować, aby zostały zasypane te cuchnące kałuże trucizn endeckich, z których na Polskę całą rozchodzi się fetor moralny [...]. Dlatego też pierwszym krokiem do uzdrowienia tej atmosfery [...] musi być obezwładnienie i unieszkodliwienie tych łotrzyków pióra, którzy swoją podłą, pozbawioną wszelkiej odpowiedzialności działalnością dziennikarską nastawiają puginał skrytobójstwa i zdrady między dziećmi wspólnej Matki i mnożą pośród nas Kainów”.

Język ten niewiele odbiega od poetyki tekstów „Gazety Porannej”. Oba style nie sytuują się daleko od rynsztoka. Czy jednak z perspektywy współczesnych mediów język ten wydaje się jeszcze szokujący?...

Lewicujący „Przegląd Wieczorny” mocniej uwypuklił wątek spiskowy. W tekście o znamiennym tytule *Spisek przeciwko narodowi* z 18 grudnia przekonywał, że ramieniem Niewiadomskiego kierowała endecja:

„zbrodnia, która wprawiła naród w grozę i wstyd za wyrodków, została popełniona przez jednego człowieka, lecz nie on sam jest za nią odpowiedzialny i nie on jeden musi ponieść karę. Poza winnymi, którzy chcą odpowiedzialności i kary uniknąć, zgadzają się na to wszyscy: dopóki spisek nie został urzędownie wykryty, nie można wskazywać poszczególnych winowajców, choćby nazwiska ich były na ustach wszystkich. Zbrodnia została zorganizowana zręcznie, lecz sprawiedliwość zdoła chyba uchwycić za rękę tych, którzy bezpośrednio wetknęli broń mordercy”.

Artykuł sugeruje, że Niewiadomski wypierał się wspólników i brał odpowiedzialność tylko na siebie dlatego, że było to „pierwszą powinnością schwytanego spiskowca [...]. Morderca Prezydenta Rzeczypospolitej spełnia ten obowiązek zbrodniczego honoru i zapiera się, jakoby ktokolwiek z nim współdziałał i on z kimkolwiek. Nikt temu uwierzyć nie może i nie uwierzy, zbrodnia była przygotowana starannie i wykonana z precyzją, nadto morderca podaje jako pobudki wszystkie występne kłamstwa, którymi nacjonaliści obrzucali wybór Prezydenta. Jest on duchowo ich człowiekiem, uchwała Zgromadzenia Narodowego była dla niego hańbą i występkiem, tak samo jak dla nich, nie uczynił on nic więcej, jak tylko wcielił zasady w praktykę i z przesłanek wyciągnął wniosek”.

Gazeta nie zauważała, że teza o spisku jest ryzykowna: w końcu ktoś, wierząc w spiskowe teorie, mógłby pomyśleć, że przygotowali go tak naprawdę piłsudczycy, pragnąc skompromitować środowiska narodowe. Takie głosy się zresztą – jak wiemy – pojawiały. Nie da się ukryć, że w sprawie morderstwa jest kilka niewiadomych – dziwne „proroctwa”, zaskakująca bierność policji po 9 grudnia 1922 roku, nie do końca zbadany spisek piłsudczyków zawiązany po śmierci Narutowicza, tajemniczy goście Aleksandry Piłsudskiej czy też sprawa karteczki z nazwiskiem

Niewiadomskiego – które wciąż czekają na wyjaśnienia. Na pewno nie wystarczają one jednak do udowodnienia istnienia spisku – z czyjejkolwiek strony.

Podobnym spiskowym tropem podąża w swych wspomnieniach Jędrzej Giertych, jeden ze współpracowników Romana Dmowskiego. Twierdzi on, że w czasie wyborów prezydenckich „piłsudczycy i socjaliści szykowali na ten dzień zamach stanu, objęcie dyktatury przez Piłsudskiego i rzeź polityków narodowych. Zostało wreszcie ujawnione, że wybór Narutowicza był zdecydowanie niewygodny także i dla Piłsudskiego. Wniosek, jaki się z tego wszystkiego nasuwa, brzmi, że nie kto inny, tylko Piłsudski, brutalny i pozbawiony skrupułów rewolucjonista i kandydat na dyktatora, chciał sprzątnąć Narutowicza, ale wolał dokonać tego przez spowodowanie podburzenia do tego czynu człowieka, którego wina obciąży obóz narodowy, co będzie zarazem dobrym pretekstem do zrobienia dyktowanego rzekomym oburzeniem zamachu stanu”.

Niewiadomski miałby więc ulegać sprytnym podszeptom lewicy i nieświadomie postępować w myśl zamierzeń marszałka, którego chciał zabić! W tym ekwilibrystycznym rozumowaniu jest jeden bardzo słaby punkt: przecież Piłsudski mógł próbować przejąć władzę bezpośrednio po zamachu (w myśl teorii Giertycha), a tego nie zrobił – choć chcieli tego niektórzy jego oficerowie. Teoria ta pozbawiona jest przekonujących dowodów. Podobnie zresztą jak idea spisku narodowców.

Wracając do artykułu z „Przeglądu Wieczornego”: koronnym dowodem na istnienie endeckiego spisku miała być dla autora wypowiedź premiera Sikorskiego o karze dla „winnych skrytobójczego mordu”. „Po krwawych zajściach poniedziałkowych – kontynuował – usiłowali spiskowcy uśpić czujność opinii i czynników bezpieczeństwa publicznego przez podawanie nieudanego zamachu za niewinny odruch »ulicy«, który powstał

samorzutnie”. Zdaniem autora zamach miał więc nastąpić 11 grudnia, prawdopodobnie przy barykadzie, przed którą zatrzymał się jadący na zaprzysiężenie Narutowicz. Akcja się jednak nie powiodła. Dlaczego? Autor nie wyjaśnia.

„Przegląd” brnął w tę argumentację następnego dnia, 19 grudnia: dnia pogrzebu Narutowicza. Artykuł *Etapy spisku przeciw narodowi* wyliczał – zgodnie z tytułem – kolejne wydarzenia, które doprowadziły do zbrodni: oświadczenie prawicy o braku woli współpracy z prezydentem, manifestacje uliczne, rozruchy z 11 grudnia. Teraz wyjaśniono, co miało uratować Narutowicza przed śmiercią właśnie wtedy: nieoczekiwana zmiana trasy przejazdu do Sejmu, która zaskoczyła zamachowców. Potem jednak nadszedł etap finalny: trzy strzały Niewiadomskiego.

W rozumowanie „Przeglądu” wpisywał się list otwarty do generała Józefa Hallera, sformułowany przez „Kurier Poranny” 19 grudnia. „Panie jenerale! – pisano. – Wezwaniu twemu stało się zadość! Padły strzały... Stanąłeś po stronie tych, dla których każda droga, nawet po trupach, jest dobra, byle dojść do władzy. Na wezwanie twoje, panie jenerale, padły strzały”. Tak więc to Haller – a nie Piłsudski, jak chciał Giertych – miał stać za zabójstwem, dążąc do przejęcia władzy w wyniku przewrotu.

W zacietrzewieniu ideologicznym najbardziej radykalnym wypowiedziom endeckim bynajmniej nie ustępowała prasa PPS-owska, reprezentowana przez „Robotnika”. W artykule *Mord serca* z 17 grudnia pisano: „w obozie faszystów wiedziano doskonale o mającej nastąpić zbrodni”. Podkreślając nagonkę na prezydenta, przekonywano, że prasa narodowa tuż przed zamachem groziła, iż „na ulicach stolicy popłyną »rzeki krwi«, jeśli Prezydent będzie paradował. Po trzech dniach endek, zawścieczony [*sic*!], ongi wysługujący się reakcji carskiej, endek do ostatniej chwili przytomny na umyśle, czynny jako profesor wykładający,

morduje w biały dzień [...] pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej. Jest metoda w tym »obłędzie« i jest przyczynowość zjawisk. Trucizna płynąca strumieniami z prasy endecko-faszystowskiej, ta pełna wściekłej nienawiści akcja białego terroru wydała już owoce". Pomijając nieścisłości biograficzne (Niewiadomski nie był „czynny jako profesor wykładający"), charakterystyczne jest podkreślanie zdrowia psychicznego mordercy, co pozwalało skuteczniej w tych dniach atakować obóz narodowy. Dopiero później, gdy narastał już kult zamachowca, socjaliści zaczęli przekonywać o jego szaleństwie, chcąc zburzyć tworzoną legendę.

W artykule opisano również – w mało wybrednym tonie – znamienną woltę środowisk endeckich, jaka nastąpiła tuż po morderstwie: „po pierwszej konsternacji prasa endecka z ogromną zaciekłością i wściekłym tupetem zaczęła wmawiać, że faszyści to grzeczne i spokojne dzieci". Wyśmiewano zapewnienia narodowców o obłąkaniu Niewiadomskiego: „morderca w wypadku tramwajowym połamał swego czasu nogi, ale był zdrów na umyśle. [...] Chory umysłowo nie był. Żywił tylko wielką nienawiść do socjalistów, z których »pasy chciał drzeć« jeszcze w 1905 r., z czym się co najmniej nie krył. Za czasów moskiewskich jako profesor rysunków w politechnice warszawskiej znany był ze swego wysługiwania się reakcji carskiej. Był, razem z najbliższą rodziną swą, zacietrzewionym endekiem [...]. A przy tym, co jest rzeczą najważniejszą, czyn mordercy prezydenta Rzeczypospolitej jest prostą a nieuniknioną konsekwencją zorganizowanych ataków prawicowego faszyzmu".

Dwa dni później „Prosper" (czyli socjalistyczny działacz i publicysta Stanisław Posner) na łamach „Robotnika" w artykule *Wam... w odpowiedzi* kontynuował bezpardonowy atak na przeciwników politycznych: „nie! Nie zamilkniemy po jednym dniu i nie przejdziemy do innej »aktualności«. Jeżeli macie jeszcze sumienie – będziemy waszym sumieniem. Będziemy

wam powtarzali: jesteście winni zbrodni! Przez was stała się zbrodnia! Nie my jedni tak myślimy i nie my jedni wam powtarzać będziemy te słowa. Obudziliście zdrowy odruch moralny narodu. Czyni się dookoła was pustka: oczy przejrzały, wzdrygnęły się serca”.

W tekście znalazły się też obszerne ustępy na temat Niewiadomskiego: „w pierwszej godzinie po dokonaniu zbrodni, dosłownie w pierwszej godzinie, kiedy jeszcze trup Prezydenta nieostygły leżał na miejscu zbrodni, już z waszych sztabów padła komenda, już skrzypiały pióra waszych pismaków: to wariat, to był obłąkany! Kogo chcieliście w tym pierwszym odruchu usprawiedliwić? Czy chodziło wam o uwolnienie od zasłużonej kary Niewiadomskiego? Czy była to taka szczególna dbałość o »swojego człowieka«? Czy jego to chcieliście ratować? Nie, wy od pierwszej chwili zaczęliście ratować siebie. Nikomu innemu do głowy nie przyszło zastanowić się, czy Niewiadomski jest psychopatą. Wam, tylko wam, ta myśl przyszła do głowy. Bo wy jedni musieliście się usprawiedliwiać i wypierać współudziału; musieliście myć ręce, bo od razu wszyscy zaczęli szukać na nich krwawych plam. Znaleźliście dla siebie usprawiedliwienie w tym, że mordercą miał być wariat”.

Trzeba przyznać, że autor dość trafnie określił publiczną retorykę endecji w pierwszych dniach po zabójstwie. Niewiadomski jest jednak w tym wywodzie traktowany tylko jako instrument do ataku na narodowców. „Któż wam uwierzy – ciągnął Posner – że tym wybiegiem kwestia współwiny została załatwiona? Czy człowiek, który z premedytacją obmyśla swój plan, na chłodno przewiduje okoliczności, w których będzie mógł spotkać się ze swoją ofiarą, wdziewa strój uroczysty, udając się na paradę, i chowa rewolwer do kieszeni – jest niepoczytalny? Czy można mówić o nieprzytomności tego zbrodniarza? Mówicie: wariat. A ilu jeszcze

macie takich »wariatów«, spacerujących po Warszawie z rewolwerami w kieszeniach i upatrujących sobie ofiar?”.

„Wariat... – kontynuował. – Ale jego choroba nosi nazwę: endeckość. Od dwudziestu paru lat znam stosunki polityczne w Warszawie i odkąd pamiętam, Niewiadomski był endekiem. Setki ludzi, podżeganych przez dwugroszówki, ściskało pięści, sławiło drabów, którzy powóz Narutowicza obrzucali błotem, i w głos powtarzało, że Narutowiczowi trzeba by w łeb palnąć. Znalazł się jeden, gorętszy, gwałtowniejszy, chorobą fanatyzmu dzikiej nienawiści silniej dotknięty, i ten strzelił. Oto wszystko, co da się powiedzieć o Niewiadomskim. Jest on jednym z wielu, przypadkiem, tragicznym nic, za którym stoicie – wy. Jeżeli był to człowiek silniej od innych dotknięty zarazą, to gdzie jest bagno siejące zarazki w atmosferę duchową Polski, wnoszące miazmaty i bakcyle zgnilizny moralnej i politycznego szału? Gdzie szukać tego bagna?”.

„My wiemy, gdzie jest to bagno – odpowiadał sobie „Prosper”. – Jesteście winni [...]. Nie nawoływaliście jawnie do morderstwa Narutowicza, ale rzucaliście hasła, które musiały do mordu doprowadzić”. Zatem „winowajcami takiego stanu rzeczy jesteście wy – i tylko wy. My wszyscy, którzy broniliśmy się przed wami, jak przed zarazą, którzy nie chcieliśmy wchodzić z wami w żadne sojusze, żadne kompromisy – posiedliśmy teraz oczywisty dowód, że mieliśmy rację. Ta niezmyta krwawa plama na waszym czole, to piętno bratobójców i morderców – ostrzeże dziś wszystkich: baczność!”.

Dla dziennikarza Niewiadomski to „przypadek” i „tragiczne nic”. Nie takiej prasy życzył sobie morderca.

Dla endeków „szaleniec”, dla lewicy „spiskowiec”. Tak ogólnie prezentowano Niewiadomskiego w pierwszych dniach po morderstwie. Oba określenia nie były trafne. Niewiadomski nie był klinicznym „szaleńcem”,

choć predyspozycje osobowościowe i sytuacja życiowa odegrały kluczową rolę w decyzji o zabójstwie. Nie ma też dowodów, że był „spiskowcem", choć intensywna i gorąca atmosfera grudnia 1922 roku podsyciła jego emocjonalne rozchwianie. Morderstwo było najprawdopodobniej decyzją indywidualną i osobistą, lecz wyrosłą na gruncie uwarunkowań psychologicznych i otaczającej go rzeczywistości. Oba określenia nie są więc do końca trafne, ale na pewno świadczą o bardzo niskim poziomie debaty publicznej w tym czasie i niezwykłej sile ideologicznych sporów.

Błyskawiczny proces Eligiusza również odbił się szerokim echem w mediach, choć nie tak bardzo jak śmierć jego ofiary. Rozprawa w oczywisty sposób wzbudziła kontrowersje wśród narodowych publicystów. Trzydziestego stycznia w artykule *W ostatniej chwili* dobrze nam znany i niezwykle opiniotwórczy – w negatywnym tego słowa znaczeniu – Stanisław Stroński na łamach „Rzeczpospolitej" wytoczył ciężkie działa przeciw polskiemu aparatowi sprawiedliwości. Wytykał potknięcia i błędy popełnione w trybie postępowania wobec mordercy znienawidzonego przez niego prezydenta. „Sprawa Eligiusza Niewiadomskiego – pisał – odsłania raz jeszcze braki bardzo poważne w dzisiejszym naszym stanie prawnym". Zwracał uwagę – skądinąd słusznie – na problemy z uzgodnieniem przyjętej niedawno konstytucji z wciąż obowiązującymi przepisami karnymi, wywodzącymi się jeszcze z prawodawstwa zaborców.

Te niekonsekwencje odbiły się na toku postępowania w sprawie Niewiadomskiego. „Są ludzie, którzy nie uznają słuszności kary śmierci, i są ustawodawstwa, które jej nie uznają – pisał Stroński – ale to jest rzecz sporna. Niesporne jest jednak to, że tam, gdzie ma być wykonana kara śmierci, nie powinien istnieć ani cień wątpliwości, że zrobiono wszystko,

co było możliwe, dla zupełnej ścisłości prawnej i całkowitej zgody z duchem i brzmieniem podstawowego prawa państwowego”.

Czy autorowi zależało na uratowaniu Niewiadomskiego? Nie sądzę. Chodziło raczej o to, by zasiać ziarno niepewności i podważyć wiarygodność całego procesu. Apele o „ścisłość i dokładność”, pisane piórem jednego z głównych aktorów nagonki na Narutowicza, nie brzmią wiarygodnie. Można jednak przypuszczać, że trafiały na podatny grunt wśród zwolenników zamachowca.

W czasie burzliwych dyskusji ze stycznia 1923 roku, kiedy Niewiadomski czekał w swej celi nr 12 na wykonanie wyroku, bardzo wiele kontrowersji wzbudził cytowany już *List otwarty* Leo Belmonta do prezydenta Wojciechowskiego, w którym pisarz – wbrew ogólnym nastrojom – nawoływał do ułaskawienia Niewiadomskiego: „Należałem do tych – tłumaczył swe stanowisko autor – co ból i zgrozę z powodu tego tak nielicującego z dziejami Polski katastrofalnego wypadku odczuli w całej pełni, jako hańbę spadającą wraz z żałobą na kraj cały [...]. Ale, Panie Prezydencie! [...] Wiesz, że Eligiusz Niewiadomski nie powinien być rozstrzelany! [...] Życie Niewiadomskiego wisi na włosku – od Ciebie, Panie Prezydencie, zależy, czy ten włos będzie przecięty i szala sprawiedliwości opadnie tylko z tym brzękiem, z jakim opada szala mściwości społecznej, czy też przeobrazi się on w złoty łańcuch, utrzymujący życie skazańca w imię tego, iż krew Niewiadomskiego nie jest w Polsce potrzebna, bo jej wielka żałoba nie nasyci się krwią mściwie przelaną!”.

Belmont przejrzał zamiary Eligiusza i obawiał się narodzin legendy skazańca: „on chce, on musi chcieć zostać męczennikiem! Nie widziałem go nigdy przedtem, nim ujrzałem w sądzie po raz pierwszy – ale dziś znam go dobrze, przeniknąwszy spojrzeniem na wprost przez fatalnych

dwanaście godzin tego niebywałego w dziejach procesu – i wiem, że się nie mylę, twierdząc, iż pożąda on śmierci pragnieniem nieugaszalnym. Widziałem jego postać, spiżem pokrywającą mękę duszy – a bywa, że twarz kryje najlżejszy odruch strachu śmierci i pozuje na bohaterstwo; ale jemu, Panie Prezydencie – przy słuchaniu wyroku śmierci nie tylko nie drgnęła twarz, nie drgnęły ręce. A to znaczy, że on nie kłamał, iż chce śmierci, że szczerze nazwał ją swoim »dobrem moralnym za śmierć Narutowicza« [...]. A tylko dlatego ważył się na czyn szalony, iż wierzył, że zań odda życie własne; tym jedynie usprawiedliwiał okropność czynu, który z tej tylko strony rozumiał!”.

Dlatego należało go ułaskawić niejako wbrew niemu – przekonywał Belmont – właśnie po to, by go skompromitować w oczach zwolenników: „krew Niewiadomskiego na stokach cytadeli nie jest nikomu potrzebna. Ona może być potrzebną tylko... nieśmiertelności duszy zabójcy, który w zgonie własnym, milczeniem pogodzi się ze swoim czynem [...]. Bo cóż mówią o nim zżymający się najmocniej na lewicy i bolejący najszczerzej nad hańbą mordu po prawicy? Jedno i to samo: fanatyk. Tak – fanatyk! Bo »tylko fanatyk zabija Symbole«. Tylko on nie liczy się z żywą osobą, w którą godzi – z wartością ludzką człowieka zabijanego”.

„Czy naprawdę tylko rozstrzał poprawi naszą psychosocjalną tragedię? Czy kule są najwyższą mądrością państwa i ludzkości? – retorycznie pytał Belmont. – Niewiadomski rozstrzelany, odkupiony karą śmierci za winę życia – [stanie się] grobem w oczach ludzkich, na ustach, w sercach. A grób to zawsze coś świętego... [...]. Mogiła skazańca, choćby rozstrzelanego po cichu, od chwili rozplakatowania o fakcie kary, jest na widowni [...]. Wówczas błądzący – ci, co myśleli jak on – mocniej błądzą, bo przybywa im argument: »on był męczennikiem za ideę« [...]. Jutro – gdy padnie, zbroczony krwią, zabójca – każda jego racja, którą pozostawił w obronie

sądowej, wyolbrzymieje, każda nieracja zblednie. Przez opar krwi nawet błąd opinii skazańca wyda się świętą prawdą”.

Chcąc przekonać prezydenta, Belmont podkreślał swe zastrzeżenia co do zasadności i etyczności kary śmierci. Zarazem wręcz usprawiedliwiał czyn Niewiadomskiego, tłumacząc go nagłym porywem niespokojnej duszy, szaleństwem, idealizmem. W ten zadziwiający sposób przejmował retorykę prasy narodowej z pierwszych dni po zamachu. Zauważmy przy tym, że w wielu miejscach charakterystyka sprawcy przedstawiona przez pisarza okazuje się bardzo trafna.

Co ciekawe, z argumentami Belmonta zgodził się Ignacy Daszyński, który być może uchronił Polskę przed przewrotem, nie dopuszczając do wymordowania przywódców endecji przez bojówki socjalistyczne 16 i 17 grudnia. Przywódca socjalistów zdawał sobie sprawę, że śmierć mordercy może uczynić z niego męczennika, i niechętnie patrzył na wyrok sądu, choć nie zdobył się – tak jak Belmont – na sformułowanie oficjalnego apelu do nowego prezydenta.

Mimo licznych głosów z wielu stron Stanisław Wojciechowski nie dał się jednak przekonać i nie zdecydował się na akt łaski. Czy słusznie?

Rozstrzelanie Niewiadomskiego zostało przedstawione ze szczegółami – ale w mało obiektywny sposób – w sprzyjającej mu prasie. Niestrudzony Stanisław Stroński 31 stycznia 1923 roku na łamach „Rzeczpospolitej” opublikował tekst *Wina i ofiara*, w którym starał się poprzez skomplikowane figury stylistyczne ustawić postać Niewiadomskiego na tej samej płaszczyźnie co zabitego przezeń prezydenta. „Smutny do głębi i smutny na zawsze półtoramiesięczny okres od dnia zamordowania śp. Prezydenta Narutowicza 16 grudnia 1922 r. zamyka się dzisiaj, dnia 31 stycznia 1923 r., straceniem Eligiusza

Niewiadomskiego, a dwa te dni związane są nierozerwalnie” – zaczynał autor.

W artykule zagubiła się gdzieś informacja, kto był ofiarą, a kto mordercą. Stroński piał za to, że „wstrząsające zdarzenie, które przejdzie w dzieje z nazwiskami Gabriela Narutowicza i Eligiusza Niewiadomskiego, nie ma w sobie jednak ani krztyny pierwiastka osobistego zatargu, lecz w całości związane jest z życiem narodowym w tych czasach ostatnich i z potężnym zmaganiem się uczuć, myśli, dążeń i działań, które się ujawniły i z sobą starły”. Niezorientowany w bieżących wydarzeniach czytelnik mógłby na podstawie tych słów wywnioskować, że obaj mężczyźni toczyli jakiś równorzędny spór ideowy, byli godnymi siebie przeciwnikami, reprezentantami potężnych sił społecznych. I obaj tragicznie zginęli.

W dalszych partiach tekstu autor kontynuował swoje – łagodnie mówiąc – ryzykowne zestawienie. Pisał m.in. o wielkiej wadze „przejść narodowych”, na których „podłożu poniósł śmierć Gabriel Narutowicz i stracony zostaje Eligiusz Niewiadomski”. Wydawałoby się – dwie ofiary.

Dopiero pod koniec tekstu można się dowiedzieć, co konkretnie uczynił Niewiadomski. Autor tekstu zasugerował jednak, że tak naprawdę winny śmierci Narutowicza był niezdrowy układ polityczny w Polsce. Przekonywał: „śp. Narutowicz, człowiek prawy, daleki od walk politycznych, ale niechcący ustępować ze stanowiska, na które go życie wysunęło zgodnie z poglądami, nie działał w żadnej mierze z pobudek osobistych i dał życie w ofierze przekonaniom”. Niemal sam położył głowę pod topór – zdawał się sugerować dziennikarz. Jednocześnie sprawca – Niewiadomski – z przynajmniej równie godną podziwu wiernością poświęcił się w obronie własnych przekonań. „W tym, co uczynił – tłumaczył Stroński – jest ogrom winy niewątpliwej, ciężkiej, groźnej, a związanej z winą, która tkwiła i tkwi jeszcze w niezdrowych stosunkach

i pojęciach politycznych, sprzecznych ze słusznym dążeniem narodu polskiego do istotnej niepodległości”.

W swej wymowie tekst przemyca myśl, że Niewiadomski walczył o niepodległość, zabijając Narutowicza. Warto zwrócić uwagę na znamienną woltę, jakiej dokonał Stroński i pokrewni mu ideowo dziennikarze: tuż po zabójstwie podkreślali indywidualny charakter czynu Eligiusza. Teraz, wpisując się w mitologizację tej postaci, wyraźnie odwracali to rozumowanie.

Na koniec Stroński wyraził mimo wszytko nadzieję, że drugi raz taka tragedia się nie powtórzy. Ciekawe, czy miał na myśli los Narutowicza, czy Niewiadomskiego.

W tym samym numerze „Rzeczpospolitej”, informując o rozstrzelaniu mordercy, pisano o „wielkim wrażeniu”, jakie wydarzenie to wywarło na pogrążonych w żałobie mieszkańcach stolicy. W dniu stracenia skazańca jego myśli i poglądy postanowiła przypomnieć również „Gazeta Warszawska”: „Dzisiaj rano zeszedł ze świata w okolicznościach niezwykłych, w drodze tragicznego rozrachunku z prawem, wybitny przedstawiciel inteligencji polskiej, artysta i pisarz: śp. Eligiusz Niewiadomski” – donosił na początku artykułu zatytułowanego *Śp. Eligiusz Niewiadomski* dziennikarz Zygmunt Wasilewski. W przeciwieństwie do stosunkowo umiarkowanego Strońskiego, nie miał on oporów przed wychwalaniem zabójcy: „społeczeństwo cywilizowane, tracąc spośród siebie wybitną jednostkę – pisał – nie może jej grzebać bez uświadomienia sobie straty. Wyrok pozbawił śp. Niewiadomskiego praw stanu i życia fizycznego. Pozostaje życie duchowe jednostki, które nie kończy się ze śmiercią, i prawo szacowania jego wartości”.

I w tym tekście dochodzi do zdumiewającego zrównania śmierci kata i ofiary: „padli dwaj Polacy w tragicznej rozprawie, bynajmniej nie

osobistej natury. Wywiązał się piorun w atmosferze politycznej, tak dalece nieosobistej, że rozprawa sądowa nie miała sposobności dotykania sprawy osób w grę wchodzących”. O ile śmierć Niewiadomskiego została w budzący wręcz odrazę sposób zrównana ze zgonem prezydenta, o tyle – co warto zauważyć – endeckie media po 16 grudnia 1922 roku odeszły od bezpardonowego ataku na Narutowicza.

Wasilewski skupił się jednak na biografii Niewiadomskiego i cytowaniu jego wypowiedzi, wyrażając nadzieję, że potomność zapamięta przesłanie bohatera. Eligiusz w opisie dziennikarza to „człowiek prawy, ideowy, wrażliwy, ale surowy względem siebie i ofiarny”. Choć prostolinijny, „przejawiał w tej właściwości niezwykłą siłę, otwartość i odwagę”. Co prawda „czyn, za który spotkała go straszna kara, był katastrofą”, ale „sam typ duchowy, jaki ujawnił się przy tej sposobności, obudzić musi podziw skończonością silnej struktury i gotowością do poświęceń”. To niemal jawna pochwała morderstwa! Znowu zatraca się w tych słowach dramat Narutowicza. Uwypuklona za to zostaje „ofiara” i „poświęcenie” jego zabójcy. To chyba jeden z najbardziej smutnych wątków całej historii morderstwa prezydenta.

„Obojętnych nawet dotąd wyznawców imienia Polski zastanowić musiał widok stanu psychicznego, w którym interes jednostki zupełnie poddany został wyższej psychice narodowej” – Wasilewski, niezrażony, ciągnął swój ekwilibrystyczny wywód. „Pod tym względem mowy jego na procesie pozostaną nie tylko dokumentem historycznym chwili obecnej, ale pomnikiem człowieka wielkiego charakteru”.

Czy trzeba dodawać coś więcej? Uczynił to sam Wasilewski, porównując przesłanie listu *Do wszystkich Polaków*, który wielokrotnie cytował, do... „nauki Mickiewicza”. „Dziecko polskie, które za lat sto czytać będzie te słowa – pisał dziennikarz, podsumowując list

Niewiadomskiego – z trudem pojmie prawdę historyczną, że człowiek tych poglądów, uczuć i cech charakteru został stracony we własnej ojczyźnie z wolą jej państwa i z jego własną. Na tym właśnie tragizm polega". Słowem: Niewiadomski to wielki polski patriota, który poświęcił życie dla przyszłości kraju. Przyszłe pokolenia będą chwalić mordercę i dziwić się, dlaczego poniósł karę za swój czyn.

Całe szczęście, że ta ponura wizja nie została zrealizowana. Czy jednak naprawdę pozostała całkowitą fikcją?

„Nie zagłada jest zasadą, lecz triumf ducha poprzez tragedię zagłady" – równie patetycznie, co niejasno podsumowywał Wasilewski swój zdumiewający artykuł. Cytował przy tym mesjanistycznego filozofa z pierwszej połowy XIX wieku Józefa Gołuchowskiego, według którego „triumfem dusz wielkich jest zgon bohaterski", „naród zaś, zdolny do polotu tragicznego, zginąć nie może, jego życie tli nawet pod popiołem". „Ta myśl – komentował dziennikarz – daje mu [narodowi] dar entuzjazmu i wytrwania i moralną potrzebę wyrażania podziwu i wdzięczności tym, którzy faktowi życia narodu w idei dali świadectwo swoją ofiarą".

Wasilewski chciał, by czyn Niewiadomskiego – będący szlachetną ofiarą – stał się obiektem wdzięczności i podziwu Polaków. Wszak swym morderstwem ożywił on naród, a zabijając Narutowicza, realizował misję narodową, podnosił morale i potęgował polski patriotyzm – zdawał się mówić autor. Niewiadomski dokonał „nieobliczalnego wysiłku bohaterskiego".

Zaiste, pokrętna to logika. Jakże pasująca do logiki Eligiusza.

*

Można ubolewać, że ocena postępku Niewiadomskiego od razu stała się elementem gry politycznej i wskaźnikiem poglądów oceniającego.

W gwałtownym sporze między zwolennikami a oskarżycielami umknął gdzieś najważniejszy aspekt ludzki: zabicie jednego człowieka przez drugiego. Osobista tragedia zeszła na drugi plan. Została „upupiona” brutalną grą polityczną i ideologiczną.

Czy nie brzmi to znajomo?

Epilog

Nieziemski głos Pana przekazał mu wieść
By z mocą uderzył źródło zniewolenia
I zdradę ukarał, On Boży miecz
I zdradę ukarał, On Boży miecz
Niewiadomski, Niewiadomski, święta misja, święty cel

Czy to wiersz jakiegoś endeka z 1923 roku? Nie, to rockowa kompozycja pt. *Asasyn – św. Eligiusz Niewiadomski* autorstwa istniejącego od 1996 roku zespołu NaRa (skrót od Narodowy Radykalizm) – skrajnie nacjonalistycznej grupy grającej w stylu RAC (Rock Against Communism), powiązanej z subkulturą skinheadów. Piosenki można posłuchać w serwisie YouTube. Tekst wyśpiewuje zachrypniętym głosem fałszujący wokalista. Refren – „Niewiadomski, Niewiadomski, święta misja, święty cel" – skanduje cały zespół, w stylu przypominającym pijacką przyśpiewkę. Muzykę częściowo ratuje znośna gitara prowadząca i sekcja rytmiczna. Utwór dodano do serwisu 19 grudnia 2009 roku. Zamiast teledysku widoczny jest obrazek w formie tablicy, na której – obok portretu Eligiusza – umieszczono hasło: „umarł za ideę, bez żadnych kompromisów!". Do dziś „teledysk" wyświetlono około 12 tysięcy razy.

Jest dość oczywiste, że wojna i okres PRL wstrzymały choćby i marginalny kult Niewiadomskiego. Dyktatura komunistyczna mogła

pozwolić na wszystko, ale nie na czczenie pamięci narodowego radykała. W 1977 roku Polacy mogli co prawda obejrzeć film fabularny Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego pt. *Śmierć prezydenta*, w którym świetną kreację mordercy zaproponował wybitny aktor Marek Walczewski. Niemniej ukazany tam portret Niewiadomskiego był rzecz jasna zdecydowanie negatywny. Film cieszył się zresztą dużą popularnością.

W rzeczywistości III Rzeczypospolitej w mainstreamowym przekazie układ wydaje się przejrzysty: Narutowicz jest upamiętniany i czczony (czego dowodzi mnogość ulic i placów jego imienia, a także okolicznościowe, głównie rocznicowe wypowiedzi przedstawicieli władz), a czyn Niewiadomskiego – potępiany. O ile w ogóle ktoś o nich mówi. Zdarzają się jednak sytuacje, które przeczą temu schematowi: na początku lat dziewięćdziesiątych, przy okazji 70. rocznicy morderstwa, w sejmie doszło do awantury, kiedy posłowie Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego sprzeciwili się (nieskutecznie) nadaniu jednej z sal sejmowych imienia Narutowicza.

Jednocześnie kult Niewiadomskiego, zamrożony na kilkadziesiąt lat, nie został całkowicie wyeliminowany z pamięci społecznej. Transformacja ustrojowa i towarzysząca jej wolność słowa wybudziły ten kult z letargu. Dzisiaj kult Niewiadomskiego trwa – na marginesie i nie w skali masowej, ale jednak realnie. Eligiuszowi udało się zarazić swym wizerunkiem niektóre środowiska narodowe (czy raczej odwołujące się do takiej tradycji, często mgliście zdefiniowanej). Można uspokajająco twierdzić, że mowa jedynie o niszowych skrajnościach. Specyfika współczesnych środków przekazu – z dominantą mediów internetowych i społecznościowych – sprawia jednak, że owe skrajności (z prawej czy lewej strony) są bardziej widoczne niż kiedyś.

Na stronie internetowej ugrupowania Narodowe Odrodzenie Polski zamieszczono artykuł *Niewiadomski – człowiek zasad*, opublikowany 27 stycznia 2011 roku, niedługo przed 92. rocznicą śmierci malarza. W tekście można przeczytać m.in.: „swoje działania, całe życie poświęcił Polsce. Czy to na niwie zawodowej czy prywatnej – Ojczyzna była dla Niewiadomskiego niekłamaną treścią i istotą Jego życia. Będąc świadkiem tworzenia się chorego u swych podstaw systemu dopiero co niepodległej Polski, zareagował. Z całą premedytacją, nie kryjąc się, nie uciekając od odpowiedzialności za swoje działania, dokonał czynu, który wstrząsnął całą Polską. Proces przeciwko Niewiadomskiemu stał się procesem wytoczonym przez Niewiadomskiego duchowej i politycznej korupcji tworzącego się nowego państwa. A sam Niewiadomski – symbolem ofiarności i poświęcenia dla następnych pokoleń polskich patriotów”.

Pod tekstem widnieje rysunek, niezbyt wierny realiom historycznym, przedstawiający w komiksowym stylu długowłosego młodego mężczyznę z pistoletem w dłoni, opierającego się o zarys samochodu. Obrazkowi towarzyszy napis „Eligiusz Niewiadomski – człowiek zasad”, a w lewym dolnym rogu dodano symbol Narodowego Odrodzenia Polski. Strona miała już ponad 6500 wejść.

Kult Niewiadomskiego dziś – plakat Narodowego Odrodzenia Polski. Fot. Grzegorz Kozakiewicz / Forum

Podobne artykuły można znaleźć na stronach internetowych takich organizacji jak Narodowy Kwidzyń czy Obóz Narodowo-Radykalny. Na witrynie tej pierwszej parę lat temu umieszczono obszerny artykuł *Eligiusz Niewiadomski – zapomniany bohater*, będący panegiryczną notką biograficzną zabójcy. W 1922 roku postanowił on „wziąć odpowiedzialność za losy Ojczyzny w swoje ręce, świadom grożących mu konsekwencji – przekonuje autor. – Nie mógł patrzeć, jak zaledwie w cztery lata po odzyskaniu wolności Polska znów pogrąża się w internacjonalistycznym i ateistycznym niebycie". Swoim czynem „zmazał hańbę, jaką przyniósł narodowi polskiemu ten [Narutowicza] wybór", a potem „z pokorą [*sic*!]

przyznał się do winy”. „Przez wiele miesięcy a nawet lat na grobie tego wielkiego męża zawsze były składane świeże kwiaty i paliły się znicze, tak samo jak płonęły dumne polskie serca” – kończy autor, w niezamierzony sposób niemal tragikomicznie. Ten sam artykuł zamieściła również strona nacjonalista.pl pt. *Eligiusz Niewiadomski in memoriam*. Równie dobrze mógłby ukazać się w 1923 roku w „Gazecie Porannej”.

Co ciekawe, obie wersje nie są już dostępne dla czytelników (natrafiłem na nie wcześniej). Na portalu nacjonalista.pl można za to odnaleźć ponad 30 tekstów poświęconych Niewiadomskiemu, często składających się z fragmentów jego własnych wypowiedzi i komunikatów relacjonujących obchody kolejnych rocznic jego śmierci, o tak znamiennych tytułach, jak *Eligiusz Niewiadomski: Zlikwidować twórców Judeo-Polski!*; *Eligiusz Niewiadomski: Przeciwko partiokracji i kawiorowej lewicy* czy *Wrocław: Płomienie, pamięć, Niewiadomski!*

W podobnym tonie utrzymany został tekst niejakiego „Augustusa” pt. *Eligiusz Niewiadomski – dla was zbrodniarz, dla nas bohater!* ze strony ONR. Według autora morderca Narutowicza „kierował się miłością do Ojczyzny i Narodu Polskiego. Zabijając prezydenta nie Polski, a lewicy i wrogich mniejszości, uchronił nasz kraj przed grożącą mu anarchią i walką rewolucyjną”. A przecież było dokładnie odwrotnie – o mało do anarchii nie doprowadził. Niezrażony „Augustus” konkluduje: „stąd dla wrogów Narodu Polskiego zapatrzonych w »zachodnie standardy« był on i zawsze będzie zbrodniarzem, dla nas jednak był, jest i będzie BOHATEREM!”.

Tekstom towarzyszą niekiedy czyny. W marcu 2011 roku w Krakowie zawisły plakaty rozklejone przez członków Narodowego Odrodzenia Polski: na czarno-białym wizerunku przedstawiono popiersie starszego łysego mężczyzny z zawziętym (stanowczym?) wyrazem twarzy,

trzymającego przed sobą pistolet wycelowany w niewidoczną osobę. Obok znalazło się hasło „Eligiusz Niewiadomski 1.12.1869 – 31.01.1923 – człowiek zasad” oraz internetowy adres NOP.

Dwa lata później (w styczniu 2013 roku) grupa narodowców z Białegostoku w podobny sposób uczciła pamięć Niewiadomskiego. Relację z tego wydarzenia na YouTubie zobaczyło tym razem stosunkowo niewiele, bo niecałe 500 osób. Podobna liczba osób zobaczyła nagranie z grudnia 2015 roku, kiedy to delegacja „patriotów polskich” złożyła kwiaty na grobie Eligiusza: „w rocznicę wykonania wyroku śmierci na polityku organizującym rzeź katolików w Polsce planowanej na rok 1923”. Tym politykiem miał być oczywiście Narutowicz.

Takiego komentarza powstydziliby się chyba nawet najbardziej zapiekli międzywojenni krytycy prezydenta.

Podobne wydarzenia powtarzają się co roku. Tak oto postać Niewiadomskiego ulega reinterpretacji w nowej historycznie rzeczywistości zjednoczonej Europy.

Niewiadomski nie mógłby jednak być w pełni zadowolony z kultu, jakim otaczają go młodzi skini. Są to przecież środowiska marginalne, niszowe. A on chciał kultu powszechnego, narodowego. Tymczasem przeciętny Polak w ogóle nie wie, kim był Eligiusz Niewiadomski. Może ta niewiedza nie jest akurat w tym przypadku taka zła?... I czy sytuację może zmienić okrągła, setna rocznica dramatycznych wydarzeń z Zachęty?

*

Adwokat Niewiadomskiego mecenas Stanisław Kijeński określił zabójstwo prezydenta Narutowicza jako „czyn szalony, potępiony przez wszystkich i przez samego sprawcę”. Słowa te nie oddają prawdy. Niewiadomski do

końca nie wykazał przecież ani krzty skruchy czy też zwykłej, ludzkiej refleksji, aż do śmierci pozostając niewolnikiem własnej wizji świata.

Zdumiewające, że i obrońca Niewiadomskiego, i jego oskarżyciel tak naprawdę nie byli w stanie stwierdzić, dlaczego Eligiusz zdecydował się zabić Narutowicza. Czy istnieje w ogóle możliwe wyjaśnienie tej tajemnicy? Wydaje się wręcz, że sam Niewiadomski, mimo pozorów, nie umiał szczerze odnaleźć odpowiedzi na pytanie: DLACZEGO? Potrafił tylko skonstruować narrację – aczkolwiek absurdalną i budzącą zdumienie – opisującą motywy swego postępowania.

Warto raz jeszcze podkreślić, że przypadek Niewiadomskiego był zapewne najbardziej ekstremalnym przejawem deziluzji, jaką przeżyło wielu Polaków – z kręgów zarówno elity, jak i przeciętnych mieszkańców – po krótkotrwałej euforii wywołanej odzyskaniem niepodległości i strachu spowodowanego koniecznością jej obrony. Sto dwadzieścia trzy lata niewoli doprowadziły do niezwykłego wzrostu oczekiwań co do przyszłej, wolnej Rzeczypospolitej. Wymarzona ojczyzna miała być państwem idealnym, pełnym „szklanych domów”, wspaniałych, ofiarnych obywateli i mądrych władz, niepopełniających błędów z przeszłości. Mesjanistyczna Polska musiała być godna tego miana. Tymczasem rzeczywistość okazała się bardziej prozaiczna, a młode i słabe państwo poznało wszystkie cienie i blaski świeżo zakwitłej demokracji w trudnym regionie Europy Środkowo-Wschodniej, naznaczonej zaciekłymi sporami politycznymi i niewielką stabilnością ustrojową.

Deziluzja ta była czymś głębszym niż spory polityczne. Nienawiść Niewiadomskiego do otaczającej go rzeczywistości przekraczała podziały na narodowców i socjalistów, ludowców i konserwatystów. Wynikała ze zderzenia własnej wizji wolnej Polski z realnym światem. Zderzenia, które w przypadku Eligiusza było jak najbardziej dosłowne.

Niezwykle burzliwe grudniowe dni 1922 roku stanowiły szczytowe ucieleśnienie wszystkich tych frustracji. To niezwykle ważny fenomen z zakresu socjologii czy może psychologii społecznej. Szkoda, że do dzisiaj należycie nieprzebadany. Analiza tego fenomenu w istotny sposób wzbogaciłaby naszą wiedzę o tym, kim jesteśmy.

Czy Niewiadomski był – jak chcieli jego oponenci – szaleńcem? Na pewno wykazywał impulsywność, skłonność do fanatyzmu i przemocy oraz ewidentny brak empatii. Trawiły go problemy emocjonalne; pogłębiające się nieuporządkowanie psychiczne i coraz wyraźniejsze wyalienowanie; silne napięcie między zinternalizowanym, idealnym wizerunkiem Polaka, patrioty i mężczyzny a uznaną za słabość i odrzucaną wrażliwością artysty. Nie rozumiał „ludzkich” konsekwencji swych poglądów. Cechy socjopatyczne powodowały, że nie miał hamulców, które innych, przeciętnych ludzi powstrzymywały przed przekuwaniem nawet silnej frustracji w najbardziej radykalne działania.

Cechy te wcale jednak nie muszą kwalifikować go do miana osoby psychicznie chorej. Najbardziej przerażająca w Niewiadomskim jest jego całkowita przytomność umysłu przed zbrodnią, w trakcie jej dokonywania i po niej – co nie przeczy temu, że ulegał silnej afektacji. Zabił z gorącą głową, ale zimną krwią – w dodatku nie tę osobę, którą chciał.

Czego zresztą wcale nie żałował. Czy zmieniłby swoje nastawienie, gdyby dożył do maja 1926 roku, kiedy to Piłsudski doprowadził do przewrotu majowego? Oto przecież wreszcie ktoś zadał cios sejmokracji. Czy Niewiadomski ponownie dałby się zauroczyć marszałkowi, którego tak bardzo znienawidził pod koniec życia? Jak z pewną nutą prowokacji przekonywał znany historyk Andrzej Garlicki, „w gruncie rzeczy zamach majowy, w sensie deklaratywnym, w sensie haseł politycznych, stanowił spełnienie tego, o czym mówił Niewiadomski”.

To oczywiście tylko spekulacje. Jedno wydaje się pewne: Eligiusz znów rozczarowałby się niedostatecznym radykalizmem obozu sanacyjnego.

Zadowolić go mogła tylko własna wizja. Wizja, która zakłada śmierć i ofiary, i kata.

Indeks

Aleksander I Romanow, car Rosji
Aleksander II Romanow, car Rosji
Anusz Antoni
Anusz Franciszek
Apuchtin Aleksandr
Arct Michał
Arystofanes
„Augustus”, autor internetowy

Balicki Zygmunt
Barlicki Norbert
Bartoszewski Władysław
Baudouin de Courtenay Jan
Belmont Leo
Bernaś Franciszek
Beseler Hans von
Bławatska Jelena
Böcklin Arnold
Boerner Ignacy

Booth John Wilkes
Brutus
Budionny Siemion
Buze Józef
Byliński Tomasz

Car Stanisław
Caravaggio
Chaciński Józef
Charlemagne Henryk
Chełmoński Józef
Chopin Fryderyk
Chotek Zofia
Curzon George
Czajkowski Michał
Czartoryski Adam

Darowski Ludwik
Darwin Karol
Daszyński Ignacy
Dawidowski Maciej Aleksy „Alek”
Dąbrowska Maria
Dąbrowski Stanisław
Demidecki-Demidowicz Aleksander
Demidecki-Demidowicz Konstanty
Denikin Anton
Deutscher Mojżesz

Dmowski Roman
Dobrawa (Dąbrówka), księżna Polski
Dowbor-Muśnicki Józef
Dreyfus Alfred
Dubanowicz Edward
Dunikowski Xawery
Dzierżyński Feliks

Ehrenberg Kazimierz
Evert Wacław Ludwik

Floyar-Rajchman Henryk
Franciszek Ferdynand Habsburg, arcyksiążę austriacki
Fryderyk, książę duński
Fuks Marian

Garlicki Andrzej
Gaulle Charles de
Gerson Wojciech
Giertych Jędrzej
Głąbiński Stanisław
Gołubiew Zofia
Gołuchowski Józef
Göring Hermann
Grabski Stanisław
Grabski Władysław
Grottger Artur
Grużewski, członek redakcji „Gońca”

Grzywo-Dąbrowski Wiktor

Haller Józef
Hegel Georg Wilhelm Friedrich
Helena, konkubina Wincentego Niewiadomskiego
Herostrates
Hitler Adolf
Holc Edward
Hołówko Tadeusz
Honkisz, kapitan
Horwitz, działacz komunistyczny
Hryniewiecki Ignacy

Ilski Konrad
Iłłakowiczówna Kazimiera
Iwanowski Jerzy

Jacejnik, pułkownik
Jackowski Tadeusz Gustaw
Jadwiga, św.
Jagiełło Eugeniusz
Jan II Kazimierz, król Polski
Januszajtis Marian
Jaroszyński Tadeusz
Jaworowski Rajmund
Judasz Iskariota

Kaden-Bandrowski Juliusz

Kakowski Aleksander
Kałuszewski Jan
Kamieński Antoni
Kasprzycki Tadeusz
Kautsky Karl
Kawalerowicz Jerzy
Kazimierz Wielki, król Polski
Kazubska Maria
Kessler Harry von
Kijeński Stanisław
Kinga, św.
Kirkor-Kiedroniowa Zofia
Kisielewski Zygmunt
Klus, porucznik
Kniaziołucki Leon
Koc Adam
Kopczyński Kazimierz
Kordisówna Zofia
Korfanty Wojciech
Korotyński Wincenty
Kościuszko Tadeusz
Kowalewski Jan
Kowalski Lejb
Kozakowski Jan
Kozłowski Karol
Krassowski Tadeusz
Krzywicki Ludwik

Krzywoszewski Stefan
Krzyżanowski Konrad
Kucharzewski Jan
Kumaniecki Kazimierz
Kurzyna, ksiądz
Kwiatkowski Teofil
Kwieciński Henryk

Laskowski Wacław
Lauer, działacz komunistyczny
Lenin Włodzimierz
Lesser Aleksander
Leśniowski Antoni
Ligocki Edward
Lincoln Abraham
Lloyd George David
Loth Edward
Lubomirski Zdzisław
Luiza, księżniczka szwedzka
Luksemburg Róża
Lutosławski Kazimierz

Łepkowski Stanisław

Maciesza Andrzej
Mackiewicz Stanisław
Mahomet
Majewska Maria

Majewski, porucznik
Makowski Wacław
Malczewski Jacek
Malecki Władysław
Maliszewski, członek redakcji „Gońca”
Marchlewski Julian
Marks Karol
Matejko Jan
Mączyński Przemysław
Mendelejew Dmitrij
Michalski Jerzy
Michałowski Czesław
Mickiewicz Adam
Miedziński Bogusław
Mieszko I, książę Polski
Mikołaj II Romanow, car Rosji
Mikołaj Mikołajewicz Romanow, wielki książę rosyjski
Miller Jan Nepomucen
Millerand Alexandre
Miłkowski Zygmunt
Miriam-Przesmycki Zenon
Moraczewski Jędrzej
Morawski Kazimierz
Mościcki Ignacy
Muller William Grenfell Max
Mussolini Benito

Napoleon I Bonaparte, cesarz Francuzów
Narutowicz Anna
Narutowicz Ewa
Narutowicz Gabriel *passim*
Narutowicz Józef
Narutowicz Stanisław
Narutowicz Stanisław Józef
Natanson Jakub
Nietzsche Friedrich
Niewiadomska Aleksandra
Niewiadomska Anna
Niewiadomska Barbara z Gąsowskich
Niewiadomska Cecylia
Niewiadomska Juliana (Julia) z Wernerów
Niewiadomska Lucyna
Niewiadomska Maria
Niewiadomska Maria z de Tillych
Niewiadomski Andrzej Prus
Niewiadomski Eligiusz *passim*
Niewiadomski Jakub Ewaryst
Niewiadomski Jan
Niewiadomski Józef Kajetan
Niewiadomski Roman, brat Eligiusza
Niewiadomski Roman, bratanek Eligiusza
Niewiadomski Stefan
Niewiadomski Tadeusz
Niewiadomski Wincenty

Niewiadomski Włodzimierz
Niziński Kazimierz
Nowaczyński Adolf
Nowak Julian
Nowak Maciej J.

Oborski, porucznik
Okuń Edward
Olszański Wojciech
Olszyński Marcin
Osmałowski Karol
Ostrowski Józef

Pacyńska Danuta
Paderewska Helena
Paderewski Ignacy Jan
Pannenkowa Irena
Paschalski Franciszek
Perl Feliks
Petlura Semen
Pęczarski Feliks
Pękosławski Stanisław
Piasecki Stanisław
Piekałkiewicz, lekarz wojskowy
Pieńkowski Stanisław
Piestrzyński Eugeniusz
Pietrzyk, ksiądz

Piłsudska Aleksandra
Piłsudski Bronisław
Piłsudski Józef
Pius XI, papież
Pluciński Leon
Poincaré Raymond
Ponikowski Antoni
Popławski Jan Józef
Poraziński, nadkomisarz
Posner Stanisław „Prosper”
Princip Gawriło
Prystor Aleksander
Przeździecki Stefan

Rabski Władysław
Raczyński Józef
Rataj Maciej
Rogiewicz Andrzej
Rogowski, kapitan
Rosiak Marek
Rozwadowski Tadeusz
Rudnicki Kazimierz
Ruszczyc Ferdynand
Ruszczyc Marek
Rydz-Śmigły Edward
Rygier Leon
Rymar Stanisław

Rzepecki Karol

Sadzewicz Antoni
Salomea, bł.
Sapieha Eustachy
Sawicki, lekarz
Seyda Marian
Sieroszewski Wacław
Sikorski Radosław
Sikorski Władysław
Simmler Józef
Skorżyński Józef
Skotnicki Jan
Skulski Leopold
Sławek Walery
Słonimski Antoni
Słoński Edward
Sobczyk, oficer
Sokołowski Zygmunt
Sołtan Ignacy
Sosnkowski Kazimierz
Stabrowski Kazimierz
Stachiewicz Julian
Stalin Józef
Stamirowski Kazimierz
Staniszewski Seweryn
Stefański Wacław

Stefański, ksiądz
Stołypin Piotr
Strasburger Henryk
Straszyński Leonard
Stroński Stanisław
Stróżecki Jan
Studnicki Władysław
Stwosz Wit
Symforian, kapucyn
Szacki Jerzy
Szafrański, sekretarz
Szczypiorski Adam
Szekspir William
Szeptycki Stanisław
Szlagowski Antoni
Szmurła, ksiądz

Śliwiński Artur
Śniegocki, lekarz

Tagancew Nikołaj
Taube Gustaw
Taube Maria Róża
Thon Ozjasz
Thugutt Stanisław
Tilly Jan de
Tilly Natalia de z Gorczyckich

Tokarzewski Marian
Tokarzewski-Karaszewicz Michał
Tommasini Francesco
Trąmpczyński Wojciech
Trojanowski Edward
Trzaska Władysław
Trzebiński Marian
Trzos-Rastawiecki Andrzej
Tuchaczewski Michaił
Tusk Donald
Tuwim Julian
Tymiński Stan

Ulianow Aleksander
Urstein Maurycy

Viator, kapucyn

Walczewski Marek
Waligórski Teofil
Wasilewski Zygmunt
Werner Ferdynand
Werner Fryderyk
Werner Julia Amalia z Hallfeldów
Wierzbiński Maciej
Wierzyński Kazimierz
Wiktor Emmanuel III, król Włoch
Wilhelm II Hohenzollern, cesarz niemiecki

Wilhelmini, ksiądz
Wilson Thomas Woodrow
Witecki, rotmistrz
Witkiewicz Stanisław
Witkiewicz Stanisław Ignacy
Witos Wincenty
Włoskowicz Adam
Wojciechowski Janusz
Wojciechowski Stanisław
Wojdyno, urzędnik
Wyspiański Stanisław

Zamoyski Maurycy
Zegadłowicz Emil
Zerych Romuald
Zieliński, podporucznik
Ziomek Teodor
Zontag Beniamin
Zyndram-Kościałkowski Marian

Żeligowski Lucjan
Żeromski Stefan

Podstawowa bibliografia

ARCHIWALIA

Archiwum Telewizji Polskiej

Prywatne zbiory Andrzeja Prusa Niewiadomskiego

PRASA Z EPOKI (1922–1923)

„Express Poranny”; „Gazeta Poranna”; „Gazeta Warszawska”; „Kurier Polski”; „Kurier Poranny”; „Kurier Warszawski”; „Przegląd Wieczorny”; „Robotnik”; „Rzeczpospolita”

DZIENNIKI, WSPOMNIENIA, WYDAWNICTWA Z EPOKI

Belmont Leo, *List otwarty do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie Eligiusza Niewiadomskiego*, Warszawa 1923

Drozdowski Marek Marian, *Gabriel Narutowicz: prezydent RP we wspomnieniach, relacjach i dokumentach*, Warszawa 2004

Dymowski Tadeusz, *Moich 10 lat w Polsce odrodzonej*, Warszawa 1928

Eligiusz Niewiadomski przed sądem, Białystok 1923

Gabriel Narutowicz. Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej. Księga pamiątkowa, Warszawa 1925

Gabriel Narutowicz we wspomnieniach współczesnych polityków, Warszawa 1992

Haller Józef, *Pamiętniki*, Londyn 1964

Iłłakowiczówna Kazimiera, *Ścieżka obok drogi*, Warszawa 1939

Kakowski Aleksander, *Z niewoli do niepodległości. Pamiętniki*, Kraków 2000

Kijeński Stanisław, *Proces Eligiusza Niewiadomskiego o zamach na życie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabriela Narutowicza w dniu 16 grudnia 1922 r. odbyty w Sądzie Okręgowym w Warszawie dnia 30 grudnia 1922 roku. Specjalne sprawozdanie stenograficzne, mieszczące całkowity przewód sądowy, z podaniem dokumentów śledztwa wstępnego, przemówień stron, krótkiego życiorysu i podobizny oskarżonego*, Warszawa 1923

Kirkor-Kiedroniowa Zofia, *Wspomnienia*, t. 1–3, Kraków 1986–1989

Krzywicki Ludwik, *Wspomnienia*, t. 1–3, Warszawa 1957–1959

Marschak Leopold, *Byłem przy tym... Wspomnienia 1914–1939*, Warszawa 1973

Miłosz Czesław, *Wyprawa w dwudziestolecie*, Kraków 2000

Morawski Kajetan, *Wczoraj. Pogadanki o niepodległym dwudziestoleciu*, Londyn 1967

Mościcki Ignacy, *Prezydent RP. Autobiografia*, Warszawa 1992

Niewiadomski Eligiusz, *Atlas do dziejów Polski zawierający 13 mapek kolorowanych*, Warszawa 1899

Niewiadomski Eligiusz, *Kartki z więzienia*, Poznań 1923 (2. wyd. 1994), Warszawa 2012

Niewiadomski Eligiusz, *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*, Warszawa 1926

Niewiadomski Eligiusz, *Potrzeby artystyczne Warszawy wobec przewidywanych zmian politycznych*, Warszawa 1923

Niewiadomski Eligiusz, *Program i metoda nauki rysunku w średnich i wyższych szkołach techniczno-mechanicznych*, Warszawa 1917

Piber Andrzej, *Eligiusz Józef Niewiadomski*, „Polski Słownik Biograficzny” 1978, t. XXIII

Piłsudska Aleksandra, *Wspomnienia*, Warszawa 1989

Piłsudski Józef, *Wspomnienia o Gabrielu Narutowiczu*, Londyn 1982

Pragier Adam, *Czas przeszły dokonany*, Londyn 1966

Rataj Maciej, *Pamiętniki*, Warszawa 1965

Rudnicki Kazimierz, *Wspomnienia prokuratora*, Warszawa 1957

Sanojca Józef, *Winowajcy zbrodni. Uwagi o zamordowaniu ś.p. prezydenta Narutowicza*, Warszawa 1923

Skotnicki Jan, *Przy sztalugach i przy biurku: wspomnienia*, Warszawa 1957

Słonimski Antoni, *Alfabet wspomnień*, Warszawa 1975

Stefański Wacław, *Moje wspomnienia*, w: *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1968

Thugutt Stanisław, *Autobiografia*, Warszawa 1984

Trzebiński Marian, *Pamiętnik malarza*, Wrocław 1958

Urstein Maurycy, *Eligiusz Niewiadomski w oświetleniu psychiatry*, Warszawa [?] 1923

Witos Wincenty, *Moje wspomnienia*, t. 1–3, Paryż 1964–1965

Wojciechowski Stanisław, *Prezydent RP. Wspomnienia, orędzia, artykuły*, Warszawa 1995

Zegadłowicz Emil, *Motory*, t. 1, Warszawa–Lwów 1938

ARTYKUŁY I OPRACOWANIA

Ajnenkiel Andrzej, *Gabriel Narutowicz*, w: *Prezydenci Polski*, red. naukowy A. Ajnenkiel, Warszawa 1991

Bernaś Franciszek, *Gabriel Narutowicz*, Warszawa 1979

Bernaś Franciszek, *Ofiary fanatyzmu*, Warszawa 1987

Cameron Alasdair D., *Psychiatria*, Wrocław 2009

Czarna Księga polskiej reakcji. Prawda o Endecji, Kraków 1937

Dąbrowska Maria, *Dzienniki 1914–1965*, tom I: *1914–1925*, Warszawa 2009

Giertych Jędrzej, *Polski Obóz Narodowy*, Krzeszowice 2005

Kalicki Włodzimierz, *Trzy kule od prezydenta*, „Gazeta Wyborcza" („Duży Format"), 16 IV 2010

Kalicki Włodzimierz, *Zawada usunięta*, „Gazeta Wyborcza" („Duży Format"), 17 XII 2007

Królobójca, „Newsweek" 2001, nr 15

Michnik Adam, *O gorzkiej chwale, albo o polskim heroizmie, megalomanii i warcholstwie*, „Gazeta Wyborcza", 21 I 2006

Ministrowie Polski Niepodległej 1918–1945, red. Marek Baumgart, Henryk Walczak, Adam Wątor, Szczecin 2001

Muszyński Wojciech Jerzy, *Eligiusz Niewiadomski – czyli o autorze „Kartek z więzienia"*, w: Eligiusz Niewiadomski, *Kartki z więzienia*, Warszawa 2012

Nałęcz: Polska uskrzydlona, Polska spsiała, „Gazeta Wyborcza", 16 XI 2009

Nie wiemy, czy to była zbrodnia polityczna. Z Jerzym Szackim rozmawia Aleksandra Klich, „Gazeta Wyborcza", 20 X 2010

Nowak Maciej M., *Narutowicz–Niewiadomski. Biografie równoległe*, Warszawa 2019

Pacyńska Danuta, *Śmierć prezydenta*, Warszawa 1965

Pleskot Patryk, *Niewiadomski. Zabić prezydenta*, Warszawa 2012

Pruchnik Adam, *Pierwsze piętnastolecie Polski niepodległej (1918–1933)*, Warszawa 1983

Ruszczyc Marek, *Strzały w „Zachęcie”*, Katowice 1987

Rybak Agnieszka, *Chory na Polskę*, „Rzeczpospolita”, 17 XII 2011

Suwart Adam, *Tragiczny los przypadków* (cz. 2), „Przewodnik Katolicki” 2008, nr 10

Świerkowski Ryszard, *Głośno nad trumnami*, Warszawa 1987

W blasku legendy. Kronika poetycka życia Józefa Piłsudskiego, oprac. Krzysztof A. Jeżewski, Paryż 1988

Wolsza Tadeusz, *Arcymistrzowie, mistrzowie, amatorzy... Słownik biograficzny szachistów polskich*, Warszawa 1995

Zlecenie na prezydenta, „Wprost” 2005, nr 51–52

PODSTAWOWE LEKTURY DO POGŁĘBIENIA WIEDZY O CZASACH NIEWIADOMSKIEGO

1920 rok – wojna światów. Studia przypadków w stulecie Bitwy Warszawskiej, red. Elżbieta Kowalczyk, Konrad Rokicki, Warszawa 2021

Ajnenkiel Andrzej, *Od „rządów ludowych” do przewrotu majowego. Zarys dziejów politycznych Polski 1918–1926*, Warszawa 1986 (wyd. 5)

Bołdyrew Aneta, *Matka i dziecko w rodzinie polskiej. Ewolucja modelu życia rodzinnego w latach 1795–1918*, Warszawa 2008

Borejsza Jerzy W., *Piękny wiek XIX*, Warszawa 2010 (wyd. 3)

Buszko Józef, *Od niewoli do niepodległości (1864–1918)*, Kraków 2000

Eckert Marian, *Historia Polski 1914–1939*, Warszawa 1990

Friszke Andrzej, *Państwo czy rewolucja. Polscy komuniści a odbudowanie państwa polskiego 1892–1920*, Warszawa 2021

Garlicki Andrzej, *Drugiej Rzeczypospolitej początki*, Wrocław 1996

Garlicki Andrzej, *Od Brześcia do maja*, Warszawa 1986

Haas Ludwik, *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821–1999. Słownik biograficzny*, Warszawa 1999

Hübner Mateusz, *Pułkownicy. Rdzeń środowiska piłsudczyków w systemie polityczno-ustrojowym II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2020

Ihnatowicz Ireneusz, *Społeczeństwo polskie 1864–1914*, Warszawa 1988

Józef Piłsudski – idee, tradycje, nawiązania, red. Sebastian Pilarski, Łódź–Warszawa 2019

Karski Gabriel, *W przymglonym lustrze*, Łódź 1970

Kieniewicz Stefan, *Historia Polski 1795–1918*, Warszawa 2002 (wyd. 11)

Konopczyński Władysław, *Historia polityczna Polski 1914–1939*, Warszawa 1995

Kukiel Marian, *Dzieje Polski porozbiorowe (1795–1921)*, Londyn 1993 (wyd. 4)

Łozińska Maja, *Życie codzienne i niecodzienne w przedwojennej Polsce*, Warszawa 1999

Mackiewicz Stanisław, *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Londyn 1992

Maj Ewa, *Komunikowanie polityczne Narodowej Demokracji 1918–1939*, Lublin 2010

Müller Jan-Wener, *Przeciw demokracji. Idee polityczne XX wieku w Europie*, Warszawa 2016

Mysiakowska-Muszyńska Jolanta, Muszyński Wojciech Jerzy, *Architekt wielkiej Polski Roman Dmowski 1864–1939*, Warszawa 2018

Nie szablą, lecz piórem, red. Daria Nałęcz, Warszawa 1994

Pajewski Janusz, *Budowa Drugiej Rzeczpospolitej 1918–1926*, Poznań 2007 (wyd. 2)

Pobóg-Malinowski Władysław, *Najnowsza historia polityczna Polski, t. 1: 1864–1914*, Komorów 2000

Polska Odrodzona 1918–1939: państwo, społeczeństwo, kultura, red. Jan Tomicki, Warszawa 1988 (wyd. 2)

Przeperski Michał, *Zajścia w Warszawie 9–11 grudnia 1922 roku. Geneza, przebieg, konsekwencje*, „Almanach Warszawy" 2017, t. 11

Rozpad imperiów. Kształtowanie powojennego ładu w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1918–1923, red. Magdalena Gibiec, Grzegorz Hryciuk, Robert Klementowski, Wrocław 2020

Róg Rafał, *Polscy królobójcy*, Warszawa 1993

Warszawiacy wobec niepodległości. Działania mieszkańców Warszawy na rzecz odradzania się Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1914–1921, red. Michał Zarychta, Warszawa 2020

Watt Richard M., *Gorzka chwała: Polska i jej los 1918–1939*, tłum. Piotr Amsterdamski, Warszawa 2005

Wereszycki Henryk, *Historia polityczna Polski 1864–1918*, Warszawa 1990 (wyd. 2)

Zanim nastała wolność. Droga do niepodległej II Rzeczypospolitej, red. Filip Musiał, Michał Wenklar, Kraków 2021

Zaremba Paweł, *Historia dwudziestolecia (1918–1939)*, Wrocław 1991

Projekt okładki
Anna Slotorsz/ artnovo.pl

Grafiki wykorzystane na okładce
iStock, Adobe Stock, domena publiczna

Opieka redakcyjna
Krzysztof Chaba

Opieka promocyjna
Karolina Domańska

Korekta
Małgorzata Matykiewicz-Kołodziej
Joanna Kłos

Wybór ilustracji
Ewelina Olaszek

Indeks
Tomasz Babnis

Copyright © by Patryk Pleskot
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-240-8825-6

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik przygotował Woblink
woblink
woblink.com